

SEKRET FREUDA

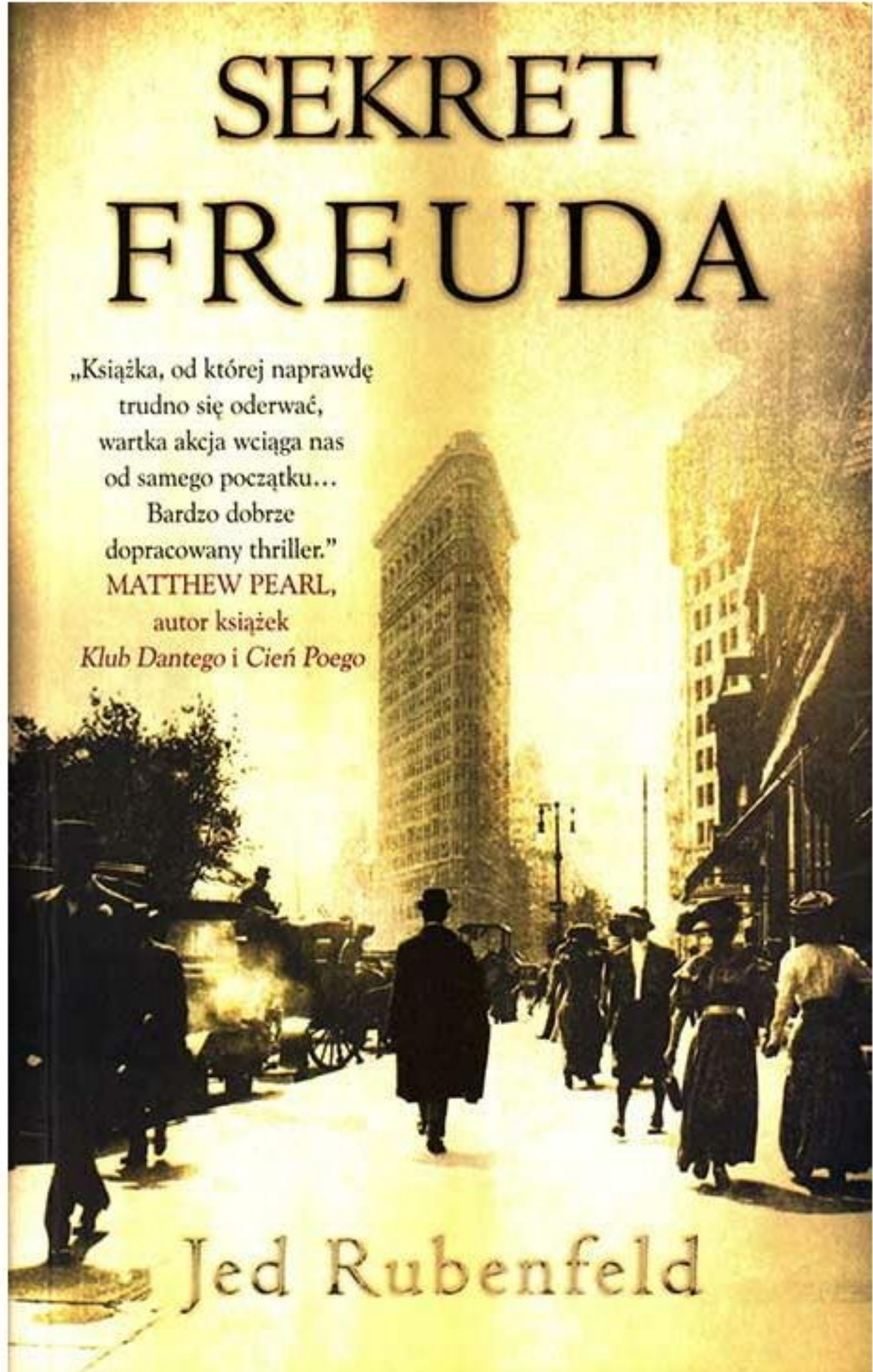
„Książka, od której naprawdę
trudno się oderwać,
wartka akcja wciąga nas
od samego początku...”

Bardzo dobrze
dopracowany thriller.”

MATTHEW PEARL,

autor książek

Klub Dantego i Cień Poego



Jed Rubenfeld

Jed Rubinfeld

Sekret Freuda

Z języka angielskiego przełożył Paweł Cichawa

Amy, jedynej i na zawsze, oraz Sophii i Louisie

- Wam dedykuję

W 1909 roku Zygmunta Freuda w towarzystwie swojego ówczesnego ucznia Carla Junga po raz pierwszy i jedyny gościł w Stanach Zjednoczonych, by wygłosić kilka wykładów na Clark University w Worcester (Massachusetts). Honorowy doktorat, który przyznały mu władze tej uczelni, był pierwszym instytucjonalnym dowodem uznania dla dorobku naukowego Freuda.

Choć podróż ta uwieńczona została olbrzymim sukcesem, Freud zawsze wspominał ją jak koszmar. Amerykanów nazywał dzikusami, a ich ojczyznę obarczał winą nawet za dolegliwości fizyczne, które trapiły go długo przed 1909 rokiem. Biografowie Freuda usiłowali rozwiązać tę zagadkę, poszukując na jego amerykańskim szlaku jakiejś nieujawnionej nigdy przygody, która wyjaśniałaby to uprzedzenie do Ameryki.

CZEŚĆ

pierwsza

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W szczęściu nie kryje się żadna tajemnica.

Wszyscy ludzie nieszczęśliwi są do siebie podobni: przywiera do nich jakieś dawno minione wydarzenie (albo oni przywierają do niego). Może to być rana odniesiona przed wielu laty albo niespełnione pragnienie, albo cios wymierzony dumie, albo miłość, której iskra nie rozbłysnęła płomieniem, zdławiona została pogardą lub, co gorsza, obojętnością. Żyją więc spowici w całun przeszłości. Człowiek szczęśliwy natomiast nie ogląda się za siebie. Nie patrzy też w przód. Żyje teraźniejszością.

W tym jednak sęk. Teraźniejszość nie może bowiem jednego: nie pozwala dostrzec sensu. Drogi do szczęścia i sensu nie biegną obok siebie. Aby zaznać szczęścia, człowiek musi żyć chwilą i tylko dla niej. Jeśli jednak chce odnaleźć sens, odkryć znaczenie swoich pragnień i tajemnic, całego swojego życia - musi po raz wtóry pogрузić się w przeszłości, nawet tej najczarniejszej, jednocześnie żyjąc dla przyszłości, jakkolwiek byłaby niepewna. Tak więc machając przed oczami życiowym szczęściem i sensem życia, natura nas mami, nalegając, byśmy wybrali albo jedno, albo drugie.

Gdy mowa o mnie, zawsze wybierałem sens. Zapewne właśnie dlatego w sobotni wieczór 29 sierpnia 1909 roku znalazłem się wśród spoconego tłumu, który oczekiwał w porcie Hoboken na przybycie należącego do towarzystwa Nord-deutsche Lloyd parowca „George Washington”. Aż z Bremy niósł on na pokładzie człowieka, którego chciałem poznać bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Wybiła siódma, a statku wciąż ani śladu. Abraham Brill, mój przyjaciel i lekarz, podobnie jak ja stawił się w porcie z tego samego powodu. Ledwo nad sobą panował, nie mógł ustać w miejscu i ciągle palił. Upał był morderczy, a powietrze aż gęste od smrodu ryb. Znad wody unosiła się nienaturalna mgła, jakby ocean parował. Zza gęstych kłębow dobiegł nas podwójny sygnał okrętowej syreny. Nawet mew nie było widać, choć dookoła rozbrzmiewał ich lament. Ogarnęło mnie dziwne przeczucie, że z powodu tej mgły „George Washington” rozbił się o jakąś skałę i dwustu pięćdziesięciu pasażerów topi się teraz gdzieś pod Statuą Wolności. Już zmierzchało, a upał nie ustępował. Czekaliśmy.

Pokazał się nagle; nie gdzieś tam na horyzoncie jako mała plamka, której wszyscy wypatrywali, lecz niczym wielki biały mamut wynurzył się z mgły w całej okazałości. Oczekujący powitali ten widok stłumionym okrzykiem zdumienia. Czar szybko jednak prysł, przerwany pokrzykiwaniami pracowników portowych podczas zarzucania cum i bieraniny, która nastąpiła później. W ciągu kilku minut bowiem setki dokerów przystąpiły do rozładowywania frachtu.

Brill krzyknął, żebym ruszył za nim, i zaczął przepychać się przez tłum w kierunku trapu. Na nic jednak się zdały jego błagania, by wpuszczono nas na pokład. Nikomu nie wolno było tam wejść, a pasażerów jeszcze nie wypuszczano. Minęła kolejna godzina, zanim Brill szarpnął mnie za rękaw i wskazał trzech pasażerów schodzących na ląd. Od razu wiedziałem, że nienagannie ubrany, dystygowany dżentelmen z siwymi włosami i siwą brodą to znany wiedeński psychiatra, doktor Zygmunt Freud.

Na początku dwudziestego wieku Nowy Jork przeżył architektoniczny wstrząs. Olbrzymie wieże

zwane drapa-czarni chmur strzelały w niebo jedna po drugiej, sięgając wyżej niż wszystko, cokolwiek stworzył wcześniej człowiek. W 1908 roku podczas ceremonii przecięcia wstęgi na Liberty Street wiwatujący tłum podrzucaniem cylindrów przyjął słowa burmistrza McClellana, który ogłosił wzniesienie z czerwonej cegły i niebieskiego marmuru czterdziestosiedmiopiętrowego budynku Singera, najwyższej konstrukcji na świecie. Osiemnaście miesięcy później burmistrz musiał powtórzyć to samo podczas ceremonii oddania do użytku pięćdziesięciopiętrowego wieżowca Metropolitan Life przy Dwudziestej Czwartej. Nawet wtedy jednak mało kto się spodziewał, że niebawem nad centrum miasta zapanuje pięćdziesięcioośmiopiętrowy ziggurat pana Woolwortha.

Przy każdej przecznicy olbrzymie szkielety ze stalowych belek wyrastały tam, gdzie jeszcze kilka dni wcześniej rozciągały się puste działki. Huk koparek nie cichł. Tak wielką przebudowę można porównać chyba tylko do dokonanej pół wieku wcześniej przez Haussmanna w Paryżu. Prac budowlanych w Nowym Jorku nie podporządkowano wszakże żadnej wizji architektonicznej. Nie było ani koncepcji, ani władz, które panowałyby nad całością. Wszystkim rządził kapitał, a zawierane transakcje wyzwalały energię spekulantów, która nadawała wszystkiemu niepowtarzalny, typowo amerykański styl.

Ten swoisty wyścig o wielkość miał także niezaprzeczalnie męski charakter. Na ziemi panował wszechwładnie nieustępliwy Manhattan, abstrakcyjna kratownica biegnących ze wschodu na zachód ulic, których numery zaczynały się od dwustu, skrzyżowanych z dwunastoma alejami ciągnącymi się z północy na południe.

W powietrzu zaś, pośród ogromu górujących nad chodnikami konstrukcji puszących się jak pawie, unosiły się ambicje, współzawodnictwo, dominacja, ryzyko, a nawet żądza - wielkości i pieniędzy.

*

Wieżowiec o nazwie Balmoral mieścił się na Bulwarze - bo tak właśnie nowojorczyki nazywali wówczas odcinek Broadwayu między ulicą Pięćdziesiątą Piątą a Sto Pięćdziesiątą Dziewiątą. Ten nowy gmach miał wówczas przed sobą niepewną dość przyszłość, ponieważ w 1909 roku najbogatsi nadal mieszkali w rezydencjach, a nie w apartamentach. Oczywiście, utrzymywali apartamenty na okoliczność krótkich pobytów w mieście, czasem przeciągających się nawet na sezon; nie mieściło im się jednak w głowach, że można by mieszkać tam stale. Inwestowanie w Balmoral było więc czymś w rodzaju hazardu: zdecydowano się na postawienie olbrzymiej sumy na to, że bogacze dadzą się namówić na zmianę przyzwyczajień, jeśli apartamenty okażą się dostatecznie wystawne.

Balmoral liczył siedemnaście kondygnacji, wznosił się więc wyżej niż którykolwiek inny apartamentowiec. Żaden zbudowany wcześniej budynek mieszkalny nie mógł się z nim równać. Cztery potężne skrzydła zajmowały cały kwartał. W zdobiącej olbrzymi hol rzymskiej fontannie pływały się foki. Wszędzie lśnił marmur z Carrary, a żyrandole z weneckiego kryształu rozbłyskiwały światłami. Najmniejszy apartament miał osiem pokoi, największy zaś oferował czternaście sypialni, siedem łazienek i wysoką na sześć metrów salę balową - wszystko obsługiwane przez pokojówki. Jego wynajęcie kosztowało olbrzymią sumę czterystu dziewięćdziesięciu pięciu dolarów miesięcznie.

Właściciel Balmoralu, pan George Banwell, znajdował się w prawdziwie godnej pozazdroszczenia sytuacji inwestora, który nie mógł odnotować strat. Wzniesienie tego okazałego gmachu pochłonęło sześć milionów dolarów, z których on sam nie wziął nawet centa, skrupulatnie przekazując całą tę kwotę wykonawcy - firmie budowlanej American Steel and Fabrication Company. Jej właścicielem

wszelako był także pan George Banwell, a całkowity koszt budowy wyniósł cztery miliony dwieście tysięcy. 1 stycznia 1909 roku, sześć miesięcy przed planowanym otwarciem Balmoralu, pan Banwell ogłosił, że w nowym gmachu pozostały do wynajęcia tylko dwa apartamenty, ponieważ pozostałe są zamówione. Choć oświadczenie to było czystym wymysłem, uwierzono w nie, i po trzech tygodniach zostały do wynajęcia rzeczywiście tylko dwa apartamenty. Pan Banwell natomiast odkrył wielką tajemnicę, że prawdę, podobnie jak budynki, można konstruować.

Elewacja Balmoralu stanowiła krzykliwy przykład sztuki w najbardziej ekstrawaganckim wydaniu. Linię dachu stanowił kwartet przeszklonych betonowych łuków, po jednym w każdym skrzydle konstrukcji. Łuki te zwieńczały czterometrowe szklane tafle od sufitu do podłogi, a ponieważ były to okna sypialni, odsłoniłyby niejednego kompromitujący sekret komuś, kto zdołałby się na ich wysokości znaleźć. W niedzielną noc 29 sierpnia widok przez okno w alabastrowym skrzydle naprawdę zaszokowałby każdego. Pośrodku sypialni stała bowiem prawie naga młoda kobieta w migotliwym świetle dwunastu świec. Ręce miała związane nad głową, a wokół szyi biały jedwabny krawat, który czyjeś dłonie zaciskały silnie, coraz silniej, aż zaczęła się dusić.

W nieznośnym sierpniowym upale ciało dziewczyny lśniło od potu. Chwilami traciła świadomość. Chciała coś powiedzieć, słowa umykały jej jednak, by za chwilę znów się pojawić. Wreszcie zebrała siły.

- Imię - wyszeptała. - Jak mam na imię?

Z wielką ulgą stwierdziłem, że doktor Freud nie wygląda jak szaleniec. Szlachetne rysy twarzy zdradzały stanowczość, a staranie przystrzyżona broda - dbałość o wygląd. Miał mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i był raczej pulchny, świetnie się jednak trzymał jak na pięćdziesięcioletniak. Nosił dobrze skrojony garnitur z drogiego materiału i fular, zgodnie z wymogami kontynentalnej mody. Przy kamizelce kołysał się łańcuszek od zegarka. Zupełnie nie było po nim znać trudów tygodniowej podróży oceanicznej.

Tylko te jego oczy! Brill ostrzegał mnie przed nimi. Już kiedy schodził z trapu, wydały mi się przerażające, jakby pełne wściekłości. Być może to oszczerstwa od wielu lat kierowane pod jego adresem w Europie sprawiły, że patrzył na wszystkich gniewnie. A może był nierad z przybycia do Ameryki? Rok wcześniej, gdy pan Hall, rektor Clark University, czyli mojej macierzystej uczelni, zaprosił go do złożenia wizyty w Stanach Zjednoczonych, Freud odrzucił zaproszenie. Nie wiedzieliśmy, dlaczego. Rektor Hall ponowił zaproszenie, wyjaśniając, że rada uczelni przyznała mu swoje najwyższe akademickie wyróżnienie, które zamierzano wręczyć podczas obchodów dwudziestolecia, a cykl jego wykładów o psychoanalizie stanowił najważniejszy punkt uroczystości rocznicowych; tym ważniejszy, że nigdy wcześniej w Ameryce wykładów na ten temat nikt nie wygłaszał. Po długich namowach Freud zgodził się do nas przyjechać. Czy teraz żałował decyzji?

Zaraz jednak miałem okazję się przekonać, że moje przypuszczenia były bezpodstawne. Pierwszym, co Freud zrobił na amerykańskiej ziemi, było zapalenie cygara; sięgnął po nie, jak tylko zszedł z trapu. Natychmiast też zniknęło z jego oczu niezadowolenie, na twarzy zagościł uśmiech, zastępując grymas, który wzięłem za wściekłość. Wciągnął dym głęboko do płuc i rozejrzał się dookoła, jakby oceniając rozmiary portu, i z rozbawieniem obserwował panujący w nim harmider.

Brill powitał Freuda ciepło. Znali się z Europy; Brill nawet gościł w wiedeńskim domu Freuda. Wiele razy opisywał mi tamten wieczór: urokliwe wnętrza pełne starych mebli, kochające i kochane dzieci,

wreszcie godziny elektryzującej rozmowy. Powtarzał tę opowieść tak często, że znałem ją prawie na pamięć.

Nagle, jakby przywiana wiatrem, podbiegła grupka dziennikarzy. Otoczyli Freuda i zaczęli wykrzykiwać każdy swoje pytania, w większości po niemiecku. Odpowiadał na nie z satysfakcją, wydawał się jednak zaskoczony chaotycznym sposobem przeprowadzania wywiadu. W końcu Brill odgo-nił reporterów i lekko popchnął mnie do przodu.

- Niech mi będzie wolno przedstawić doktora Strathama Youngera. Niedawno skończył Harvard University, a obecnie wykłada w Clark. Rektor Hall oddelegował go, by się zajmował panem podczas tygodniowego pobytu w Nowym Jorku. To niewątpliwie najbardziej utalentowany amerykański psychoanalityk. Oczywiście, jest też jedynym amerykańskim psychoanalitykiem.

- A pan, Brill, nie uważa się za psychoanalityka? - zdziwił się Freud.

- Nie uważam się za Amerykanina - odparł. - Moi przodkowie pochodzą z innej części świata i zdaniem pana Roose-velta nie ma tu miejsca ani dla mnie, ani dla takich jak ja.

Freud zwrócił się do mnie.

- Zawsze z wielkim zadowoleniem witam kolejnego członka naszego ruchu. Moja radość jest tym większa tutaj, w Ameryce, z którą wiąże wielkie nadzieje - powiedział nienaganną angielszczyzną, po czym poprosił, bym w jego imieniu podziękował rektorowi Hallowi za zaszczyt, który go spotkał.

- To my czujemy się zaszczytzeni, panie Freud - zapewniłem. - Ponadto chciałbym sprostować: chyba nie zasługuję na miano psychoanalityka - dodałem natychmiast.

- Nie bądź głupcem, Younger, oczywiście, że zasługujesz! - zlekceważył moją uwagę Brill, po czym przedstawił mnie towarzyszom Freuda. - To pan Sandor Ferenczi z Budapesztu, słynny lekarz, którego nazwisko jest w Europie synonimem psychiatrii, a to chyba jeszcze bardziej sławny pan Carl Jung z Zurychu. Jego praca o demencji stanie się pewnego dnia znana w całym cywilizowanym świecie.

- Cieszę się, że mogę pana poznać - odezwał się Ferenczi. Mówił z silnym węgierskim akcentem. - Niech pan nie zwraca uwagi na to, co wygaduje Brill. Trzeba go ignorować. Wszyscy tak robimy.

Ferenczi ubrany był w biały garnitur. Dobiegał czterdziestki. Miał złotaworude włosy, a na jego twarzy malowała się życzliwość. Widać było, że z Brilllem łączy go zażyła przyjaźń, choć gdy idzie o wygląd, jeden był przeciwieństwem drugiego. Brill należał do najniższych spośród moich znajomych; jego duża głowa była lekko spłaszczona, oczy zaś wąsko osadzone. Niewysoki Ferenczi natomiast miał długie ramiona, długie palce u rąk i długie uszy, a cofająca się linia włosów optycznie wydłużała twarz.

Od razu polubiłem Ferenczego, choć nigdy wcześniej nie ścisnąłem dłoni tak wiotkiej, że nie stawiała żadnego oporu, jakbym miał w ręku kawałek mięsa prosto od rzeźnika. Poczułem się lekko zażenowany, gdy z syknieniem wyszarpnął palce, jakbym chciał mu je zmiażdżyć. Przeprosiłem z głębi serca, on jednak zapewnił, że dzięki temu, jak się wyraził, od początku napotyka amerykańskie przeszkody do pokonania. Pozostało mi więc tylko skinąć głową, co miało wyrażać uprzejmą zgodę.

Jung, który wyglądał na mniej więcej trzydzieści pięć lat, wywarł na mnie całkiem inne wrażenie. Mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt, miał ciemne włosy, pozbawioną uśmiechu twarz, cieniutki wąsik, wydatny nos i wysokie czoło. Pomyślałem natychmiast, że na pewno podoba się kobietom, choć brakowało mu towarzyskiej ogłady Freuda. Obdarzył mnie silnym uściskiem chłodnej jak stal dłoni wyprostowany jak struna; gdyby nie charakterystyczne dla naukowca małe okrągłe okulary, można by go wziąć za oficera Gwardii Szwajcarskiej. Sympatia, którą wyraźnie budzili w Brillu Freud i Ferenczi, nie dawała się zauważyć, gdy wyciągał dłoń na powitanie Junga.

- Jak minęła panom podróż? - zapytał Brill. Musieliśmy poczekać w porcie, aż przyniosą bagaże naszych gości. - Mam nadzieję, że nie była zbyt męcząca.
 - Ależ kapitalnie - odparł Freud. - Proszę sobie wyobrazić, że jeden ze stewardów czytał moją *Psychopatologię życia codziennego*.
 - Coś podobnego! Na pewno nakłonił go do tego Ferenczi - przekomarzał się z nim Brill.
 - Nakłonił? - krzyknął Ferenczi z udawanym oburzeniem. - Nigdy czegoś takiego nie...
 - Tak, panowie - przerwał mu Freud, nie zwracając uwagi na komentarz Brilla. - Kto wie, czy nie był to najwspanialszy moment w całym moim zawodowym życiu, co zresztą o tym życiu pewnie nie świadczy najlepiej. Zyskujemy rozgłos, przyjaciele, rozgłos. Uznanie nadchodzi powoli, ale przyjdzie na pewno.
 - Czy podróż trwała długo, panie doktorze? - zapytałem idiotycznie.
 - Tydzień - odparł Freud. - I większość tego czasu spędziliśmy w najbardziej efektywny sposób, a mianowicie wzajemnie analizując swoje sny.
 - Świetnie! Szkoda, że mnie tam nie było - wykrzyknął Brill. - A do jakich wniosków, panowie, doszliście? - zainteresował się.
 - Cóż, analiza jest jak rozbieranie się publicznie - odpalił Ferenczi. - Gdy się już pokona początkowe zawstydzenie, staje się orzeźwiająca.
 - To właśnie powtarzam moim pacjentom - oświadczył Brill. - Zwłaszcza kobietom. A pan, Jung? Czy także i panu poniżenie wydaje się orzeźwiające?
- Jung, wyższy od Brilla o dobre trzydzieści centymetrów, spojrział na niego z góry jak na laboratoryjny okaz.
- Nie jest to zbyt dokładne stwierdzenie, że analizowaliśmy nawzajem swoje sny - odparł.
 - Prawda - potwierdził Ferenczi. - To raczej Freud analizował, a Jung zmierzył się ze mną w interpretacyjnym pojedynku.
 - Co takiego? - wykrzyknął Brill. - Czy to znaczy, że żaden z was nie odważył się analizować snów mistrza?
 - Nikt nie otrzymał na to pozwolenia - wyjaśnił Jung, bez śladu choćby najmniejszych emocji.

- Tak, tak - odezwał się w końcu Freud z wiele mówiącym uśmiechem. - Gdy tylko się odwrócę, analizujecie każde moje słowo aż do znudzenia. Czyż nie, Abrahamie?

- Oczywiście, że tak - odpowiedział Brill natychmiast.

- A wszystko dlatego, że jesteśmy wszyscy dobrymi synami i znamy swoje edypowe obowiązki.

W górującym nad miastem apartamencie na łóżku za związaną kobietą leżały ustawione w równym szeregu akcesoria: brzytwa z kościaną rączką, ponadpółmetrowa czarna skórzana szpicruta, trzy skalpele ułożone od najmniejszego do największego i mała fiolka do połowy wypełniona przezroczystym płynem. Po chwili zastanowienia czyjeś ręce dokonały wyboru.

Widząc pełznący po ścianie cień brzytwy, kobieta pokręciła głową. Chciała krzyknąć, ale uciskający gardło krawat zamienił jej wołanie w szept. Zza pleców dobiegło ją pytanie:

- Mam jeszcze trochę poczekać?

Skinęła potakująco głową.

- Nie mogę czekać. - Związane nad głową dłonie ofiary wyglądały wyjątkowo delikatnie, a szczupłe i zgrabne nogi, choć nagie, nie były wyzywające. - Nie mamy już czasu.

Kobieta drgnęła, gdy na gołym udzie poczuła pierwsze, najdelikatniejsze z możliwych pociągnięcie. Przesuwająca się po skórze brzytwa zostawiała za sobą szkarłatny ślad. Krzyknęła, wyginając plecy w łuk, jakby chciała stać się kolejnym zwieńczeniem okien. Kruczoczarne włosy zwisały. Zaraz potem brzytwa skaleczyła drugie udo i kobieta krzyknęła głośniejszym głosem niż poprzednio.

- Nie krzycz. Nie chodzi o krzyk - usłyszała łagodne upomnienie. Nie rozumiejąc, pokręciła tylko głową. - Musisz wydawać z siebie inny dźwięk. - Ponownie pokręciła głową, Chciała się odezwać, lecz słowa więzły jej w gardle.

- Masz jęczeć. Wiem, że potrafisz. Pamiętasz? Mówiłaś mi przecież, że rozumiesz. - Brzytwa wróciła na swoje miejsce w szeregu, a na przeciwległej ścianie zamajaczył cień pejcza. - Chcesz tego. Masz jęczeć tak, jakbyś tego chciała. - Jedwabny krawat wokół szyi delikatnie, lecz nieubłagane zaciskał się coraz mocniej. - Jęcz!

Podjęła wysiłek, by wykonać polecenie. Z jej ust padł cichy, błagalny jęk, jakiego nie wydała wcześniej.

- Doskonale! O to właśnie chodzi!

Jedwabny krawat wciąż zaciskał się wokół szyi. Po krótkiej chwili na jej plecy spadło pierwsze uderzenie pejcza. Jęknęła błagalnie. Drugi raz był mocniejszy. Piekący ból kazał jej krzyknąć, powstrzymała jednak krzyk i po raz kolejny jęknęła.

- Tak lepiej!

Następny cios wylądował nie na plecach, tylko poniżej. Otworzyła usta, lecz dokładnie w tej samej chwili jedwabny krawat zacisnął się jeszcze mocniej i zaczęło jej brakować powietrza, przez co jęk

wydawał się słabszy i jeszcze bardziej błagalny - ku wyraźnemu zadowoleniu oprawcy. Każde następne uderzenie stawało się głośniejsze i padało szybciej, zostawiając na białej skórze czerwone pręgi. Mimo przejmującego bólu kobieta starała się jęczeć dokładnie tak, jak jej kazano. Ale nawet jęki stawały się coraz głośniejsze i częstsze.

Deszcz ciosów ustał. Dawno już by upadła, gdyby nie przytrzymała jej lina krępująca dłonie, której drugi koniec przytwierdzony był do sufitu. Całe ciało miała pokryte pręgami. Z jednej lub dwóch ran spływały strużki krwi. Na krótką chwilę omsknęła się w ciemność; potem znów pojawiło się chwiejne światło świec. Przebiegł ją dreszcz. Otworzyła oczy. Poruszyła wargami.

- Powiedz, jak mam na imię - wyszeptała, jej szeptu jednak nie dało się słyszeć.

Pętla jedwabnego krawata rozluźniła się, odsłaniając piękny kształt szyi. Przez tę jedną chwilę oddychała swobodnie. Głowę wciąż miała odchyłoną do tyłu i fala czarnych włosów spływała do bioder.

Nagle krawat znów się zacisnął. Nic już nie widziała. Poczła tylko palce, które przebiegły delikatnie po jej wargach. Chwilę potem te same palce zacisnęły krawat tak silnie, że przestała się nawet dławić. Znów zapadła ciemność. Tym razem jednak płomień świecy już nie powrócił.

- Naprawdę istnieje pociąg, którego trasa biegnie pod rzeką? - zapytał Sandor Ferenczi z niedowierzaniem.

Brill i ja zapewniłszy go natychmiast, że nie tylko taki pociąg istnieje, ale też za chwilę się nim przejedziemy. Kolej podziemna wprowadziła w porcie Hoboken następną innowację, a mianowicie pełną obsługę bagażową. Pasażer przybywający do Stanów Zjednoczonych musiał jedynie przyczepić do bagażu informację z nazwą hotelu na Manhattanie. Numerowi przenosili walizy do wagonu bagażowego, a po zakończeniu podróży - do hoteli. Dzięki temu udogodnieniu swobodnie wkroczyliśmy na peron, z którego roztaczał się widok na rzekę. Wraz z zachodzącym słońcem podniosła się mgła, odkrywając postrzępioną linię dachów Manhattanu, błyszczącego ćwiekami elektrycznych lamp. Nasi goście wpatrywali się, zadziwieni rozległością centrum Nowego Jorku i wysokością kłujących chmury iglic.

- To centrum świata - odezwał się Brill.

- A mnie się dzisiaj śnił Rzym - odparł na to Freud i zamilkł. Nie mogliśmy się doczekać, w każdym razie ja z pewnością, dalszej części jego opowieści. Zaciągnął się cygarem, po czym kontynuował: - Spacerowałem samotnie. Dopiero zapadł zmrok, podobnie jak teraz. Doszedłem do okna wystawowego, na którym dostrzegłem szkatułkę na biżuterię. To, oczywiście, oznacza kobietę. Rozejrzałem się dookoła. Wielce zakłopotany stwierdziłem, że wędrówka po mieście zaprowadziła mnie do dzielnicy burdeli.

Rozgorzała debata, czy poglądy Freuda oznaczają sprzeciw wobec tradycyjnej moralności. Jung dowodził, że tak właśnie jest. Twierdził wręcz, że jeśli ktokolwiek tego nie dostrzeże, z pewnością nie rozumie Freuda w ogóle. Jego zdaniem główny sens psychoanalizy wiąże się z niezdrowymi i wynikającymi z zacoiania zakazami obowiązującymi społeczeństwo. Po odkryciu istoty nauczania

Freuda tylko tchórzostwo mogłoby nakłonić kogokolwiek do poddania się tak zwanej moralności ludzi cywilizowanych.

Brill i Ferenczi żywo protestowali, utrzymując, że psychoanaliza zmusza pacjenta do uświadomienia sobie prawdziwych potrzeb seksualnych, a nie do podporządkowania się im.

- Kiedy pacjent opowie nam swój sen, dokonujemy interpretacji. Nie zalecamy mu przecież, by zrealizował marzenia żywione podświadomie - powiedział Brill. - Przynajmniej ja tego nie robię. A pan, Jung?

Zauważyłem, że zarówno Brill, jak i Ferenczi, perorując, ukradkiem zerkają na Freuda, jakby oczekując aprobaty. Jung tego nie robił. Był całkowicie pewien swojego zdania albo też pewność siebie udawał. Gdy idzie o Freuda, ten nie podzielił wprawdzie żadnego ze stanowisk, ale cała dyskusja sprawiała mu niekłamaną satysfakcję.

- Niektóre sny nie wymagają interpretacji. Wymagają działania - odparował Jung. - Weźmy na przykład sen profesora Freuda o prostytutkach. Jego znaczenie nie budzi wątpliwości: tłumione libido stymulowane rychłym przybyciem do Nowego Świata. O takim śnie nie ma co dyskutować - zawyrokował, po czym zwrócił się do Freuda: - Może więc należałoby przystąpić do działania? Jesteśmy w Ameryce, możemy robić, co nam się podoba.

- Jestem żonaty - odezwał się na to Freud, po raz pierwszy wtrącając się do dyskusji.

- Ja także - odparował Jung.

Freud uniósł brwi i pokiwał głową, nie odpowiedział jednak. Poinformowałem towarzystwo, że czas wsiadać do pociągu. Na twarzach czuliśmy zimny powiew. Freud raz jeszcze omiótł wzrokiem linię dachów na tle nieba.

- Gdyby tylko wiedzieli, co im przynosimy - odezwał się w końcu z uśmiechem.

ROZDZIAŁ DRUGI

W 1909 roku w Nowym Jorku zaczęło się upowszechniać niewielkie urządzenie, które usprawniło komunikację i na zawsze odmieniło naturę kontaktów między ludźmi: telefon. W poniedziałek 30 sierpnia o ósmej rano zarządca rezydencji Balmoral podniósł z mosiężnej podstawy wyłożoną macicą perłową słuchawkę i ściszone głosem zamówił szybką rozmowę z właścicielem budynku.

Pan George Banwell odebrał telefon szesnastie pięter wyżej, na ostatniej kondygnacji Skrzydła Trawertynowego, w luksusowym apartamencie, który zachował dla siebie. Dowiedział się, że panna Riverford leży martwa w swoim apartamencie w Skrzydle Alabastrowym, że znalazła ją pokojówka i że padła ofiarą morderstwa, a może nawet czegoś jeszcze gorszego. Nie zareagował jednak. Cisza w słuchawce panowała tak długo, że w końcu zarządca zapytał:

- Jest pan tam?

- Niech wszyscy stamtąd wyjdą. Proszę zamknąć drzwi i nie wpuszczać nikogo do środka. I proszę powiedzieć swoim ludziom, żeby byli cicho, jeśli nie chcą stracić pracy - odpowiedział Banwell głucho, rozłączył się, po czym zatelefonował do swojego starego przyjaciela, burmistrza Nowego Jorku. Kończąc z nim rozmowę, stwierdził: - Nie mogę sobie pozwolić na obecność policji w budynku, chyba mnie rozumiesz, McClellan? Żadnych mundurowych. Rodzinę sam powiadomię. Chodziłem do szkoły z Riverfordem. Tak, to jej ojciec. Biedaczyna.

- Panno Neville - krzyknął burmistrz do sekretarki, gdy tylko odłożył słuchawkę. - Niech mi pani sprowadzi Huga-la. Natychmiast!

Charles Hugel pełnił funkcję koronera miasta Nowy Jork i właśnie do jego obowiązków należały oględziny zwłok w każdym przypadku gwałtownej śmierci, jeśli istniało podejrzenie zabójstwa. Panna Neville poinformowała burmistrza, że koroner Hugel czeka przed gabinetem już od rana. McClellan przymknął oczy i pokiwał głową, po czym powiedział głośno:

- Świetnie. Proszę go wpuścić.

Zanim zamknęły się za nim drzwi, koroner Hugel zaczął pełną oburzenia tyradę. Miał zamiar oprotestować oplakany stan miejskiej kostnicy. Burmistrz, który nieraz już słyszał litanie jego narzekań, przerwał mu w pół słowa. Pokrótce opisał sytuację w Balmorale i polecił, by Hugel natychmiast udał się tam nieoznakowanym pojazdem. Wyraźnie zaznaczył, że mieszkańcy rezydencji nie mają prawa zauważyć obecności policji na miejscu, i dodał, iż policyjny detektyw dołączy do niego później.

- Ja? - zdziwił się koroner. - Wystarczy O'Hanlon z mojego biura.

- Nie - odparł burmistrz. - Chcę, żebyś się tym zajął osobiście. George Banwell to mój stary przyjaciel. W jego sprawie potrzebuję kogoś, kto ma duże doświadczenie, jest dyskretny i komu mogę zaufać. Jesteś jednym z niewielu takich właśnie ludzi, którzy mi zostali.

Koroner trochę ponarzekał, ale w końcu ustąpił.

- Ale stawiam dwa warunki. Po pierwsze, człowiek odpowiedzialny za budynek, ktokolwiek to jest, ma otrzymać polecenie, by niczego nie dotykano w miejscu zbrodni. Absolutnie niczego. Jak mam odnaleźć mordercę, jeśli wszystko mi tam zadepczą i poprzestawiają, zanim dojadę?

- Słusznie. Co jeszcze?

- Chcę mieć pełny nadzór nad śledztwem i całkowitą swobodę działania, włącznie z doborem detektywa prowadzącego.

- Zgoda. Będziesz miał najbardziej doświadczonego człowieka z całej policji.

- Ależ ja chcę czegoś przeciwnego! Dobrze byłoby pracować z człowiekiem, który nie sprzeda sprawy zaraz po tym, jak ją rozwikłam. Niedawno przyjęli człowieka nazwiskiem Littlemore. Będę pracował właśnie z nim.

- Littlemore? Świetnie! - powiedział burmistrz, przenosząc wzrok na stos papierów leżących przed nim na biurku.

- Bingham powiedział kiedyś, że to jeden z najzdolniejszych młodzików, jakich mamy.

- Najzdolniejszy? Przecież to kompletny idiota!

- Skoro tak sądzisz, Hugel, to dlaczego chcesz z nim pracować? - Burmistrz był wyraźnie zaskoczony.

- Ponieważ nie da się go kupić. Przynajmniej jeszcze się nie da.

Kiedy koroner Hugel dotarł do rezydencji Balmoral, powiedziano mu, żeby poczekał na pana Banwella. Hugel nie znosił, gdy kazano mu czekać. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat, z których ponad trzydzieści poświęcił pracy dla miasta. Długie godziny spędzane przez wszystkie te lata w niezdrowej atmosferze miejskiej kostnicy sprawiły, że nabawił się ziemistej cery. Nosił okulary z grubymi szklami, a między zapadniętymi policzkami wyhodował o wiele za duże wąsy. Był całkiem łysy, jeśli nie liczyć małej kępki kręconych włosów wystającej zza ucha po obydwu stronach głowy. I był nad wyraz pobudliwy. Nawet gdy się nie poruszał, żyły na skroniach pulsowały mu tak gwałtownie, że wyglądał, jakby za chwilę miał dostać ataku apopleksji.

W 1909 roku koroner miasta Nowy Jork znajdował w szczególnej sytuacji, ponieważ był poza strukturami dowodzenia. Do jego obowiązków należały oględziny zwłok i ekspertyzy sądowe, a także współpraca z prokuraturą, podlegał zaś bezpośrednio burmistrzowi. Oznaczało to, że działał niezależnie od kogokolwiek w policji, z samym komisarzem włącznie, ale też nikt w policji, nawet dzielnicowy z najmniejszego rewiru, nie podlegał jemu. Hugel żywił dla nowojorskiej policji niekłamaną pogardę. Jego zdaniem, a miał wszelkie podstawy, by tak sądzić, większość policjantów była nieudolna, a niemal wszyscy nieuczciwi. Nie spodobała mu się decyzja burmistrza o odesłaniu na emeryturę głównego inspektora Byrnesa, chociaż ten niewątpliwie dorobił się majątku na łapówkach. Nie podobał mu się także nowy komisarz, który wydawał się nie okazywać najmniejszego choćby szacunku dla sztuki dochodzenia przyczyny zgonu, a medycynę sądową uważał za niepotrzebną. Prawdę mówiąc, Hugel nie słyszał o żadnej rozsądnej decyzji podjętej przez nowojorską policję, oczywiście z wyjątkiem jego własnych. Ale on znał się na swojej pracy. Choć nie miał tytułu lekarskiego, ukończył trzy lata studiów medycznych i potrafił przeprowadzać sekcję zwłok lepiej niż

lekarze, którzy mu przy tym asystowali.

Po piętnastu irytujących minutach w końcu przybył pan Banwell. Nie był wiele wyższy od Hugela, wydawał się jednak nad nim górować.

- Kim pan jest? - zapytał.

- Koronerem miasta Nowy Jork - odpowiedział Hugel, starając się pokazać, kto tu rządzi. - Tylko ja mogę dotykać ciała zmarłej. Wszelkie próby niszczenia dowodów zostaną potraktowane jako utrudnianie śledztwa i będą karane. Czy wyraziłem się jasno?

George Banwell był wyższy, przystojniejszy, lepiej ubrany i o wiele, wiele bogatszy od koronera. Doskonale też zdawał sobie sprawę ze swojej przewagi.

- Opowiadasz mi pan brednie - skwitował. - Proszę iść za mną. I dopóki znajduje się pan w moim budynku, proszę nie podnosić głosu.

Banwell odwrócił się i ruszył w kierunku Skrzydła Alabastrowego, a Hugel podążył za nim, zgrzytając zębami. W windzie nie zamienili ani słowa. Koroner z opuszczoną głową obserwował nienagannie uprasowane prążkowane spodnie towarzysza i błyszczące sznurowane półbuty, bez wątplenia warte więcej niż jego własny garnitur, koszula, kamizelka, krawat, kapelusz i buty razem wzięte. Drzwi do apartamentu panny Riverford otworzył im lokaj, stojący przy nich na straży, po czym w całkowitej ciszy Banwell poprowadził Hugela, zarządcę budynku i lokaja do sypialni ofiary.

Prawie nagie blade ciało leżało na podłodze. Zmarła miała zamknięte oczy. Gęste ciemne włosy układały się obok twarzy na misternym wzorze wschodniego dywanu. Wciąż była wyjątkowo piękna. Ręce i nogi nie straciły gracji, tylko wokół szyi wiła się brzydka czerwona pręga, a na plecach i pośladkach widoczne były pokryte zakrzepłą krwią rany po uderzeniach pejcza. Związane dłonie wyciągnięte miała nad głową. Koroner podszedł zdecydowanym krokiem i przyłożył kciuk do jej nadgarstka w miejscu, gdzie powinno być wyczuwalne tętno.

- Jak ją... W jaki sposób zmarła? - zapytał chropawym głosem Banwell. Ręce miał złożone na piersi.

- Nie wie pan? - odpowiedział koroner pytaniem.

- Nie pytałbym, gdybym wiedział.

Hugel zajrzał pod łóżko, po czym oglądał zwłoki pod różnymi kątami, przechodząc z miejsca na miejsce.

- Moim zdaniem została uduszona. Ktoś robił to bardzo powoli.

- Czy została...? - Tego pytania Banwell nie dokończył.

- Niewykluczone. Pewność zyskam dopiero po badaniu.

Kawałkiem czerwonej kredy koroner narysował wokół zwłok spory okrąg i zapowiedział, że nikomu nie wolno tej linii przekraczać. Następnie rozejrzał się po pokoju. Wszystko było w nienagannym porządku. Nawet kosztowna pościel leżała starannie wygładzona, bez najmniejszej zmarszczki. Po

kolei otwierał szafy, szuflady sekretery i pudzera na biżuterię. Nie wyglądało na to, by czegokolwiek brakowało. Lśniące cekinami suknie wisiały równiutko w szafie, koronkowa bielizna starannie ułożona była w szufladach. W ciemnogrnatowym atłasowym pudełku na sekreterze spoczywała tiara z brylantami, a obok niej skrzyły się naszyjnik i kolczyki do kompletu.

Koroner zapytał, kto wchodził do apartamentu przed nimi. Okazało się, że tylko pokojówka, która znalazła ciało. Zaraz potem zamknięto drzwi i nikt ich więcej nie otwierał. Po uzyskaniu tej informacji od zarządcy budynku koroner kazał przyprowadzić pokojówkę. Ładna dziewiętnastoletnia Włoszka w długiej spódnicy i białym fartuchu z długimi rękawami z początku wzbraniała się przekroczyć próg sypialni.

- Młoda damo! Czy dotykała pani czegokolwiek w tym pomieszczeniu? - zapytał Hugel.

Pokręciła przecząco głową. Mimo spoczywających na podłodze zwłok i obserwującego ją pracodawcy stała pewnie i patrzyła wypytującemu ją mężczyźnie prosto w oczy

- Nie, proszę pana - odparła.

- Czy cokolwiek wniosła pani do sypialni albo stąd wyniosła?

- Nie jestem złodziejką.

- A może dotykała pani garderoby? Albo mebli?

- Nie.

- Doskonale - ucieszył się koroner. - Ta pani jest wolna.

- Niech pan już z tym skończy - odezwał się Banwell. Hugel rzucił na niego okiem i wyjął kartkę papieru.

- Nazwisko? - zapytał.

- Czyje nazwisko? - warknął właściciel budynku tonem, który sprawił, że zarządca aż się skurczył. - Niby moje?

- Zmarłej.

- Elizabeth Riverford.

- Wiek?

- Skąd mam wiedzieć.

- Jak rozumiem, przyjaźni się pan z jej rodziną.

- Znam jej ojca. To bankier z Chicago.

- Ach, tak! Zapewne więc dysponuje pan adresem tego bankiera?

- Oczywiście, że tak.

Obydwaj mężczyźni mierzyli się nieprzyjaznym wzrokiem.

- Zechce pan więc dać mi ten adres.

- Dam go McClellanowi.

- To ja prowadzę śledztwo, a nie burmistrz McClellan

- powiedział Hugel wściekły.

- Zobaczymy, czy długo jeszcze będzie je pan prowadził

- warknął Banwell i po raz wtóry polecił koronerowi, żeby się pospieszył, ponieważ rodzina Riverfordów chce, żeby ciało jak najszybciej przewieziono do rodzinnego domu i jemu właśnie powierzyła związane z tym obowiązki. Koroner oświadczył, że pod żadnym pozorem nie może się na to zgodzić, gdyż zgodnie z prawem ciało ofiary zabójstwa należy bezwzględnie poddać sekcji zwłok.

- Ale nie to ciało - odciął się Banwell i dodał, że koroner powinien zatelefonować do burmistrza, jeśli ma w tej kwestii jakieś wątpliwości. Ten odparł, że jeśli ktokolwiek przeszkodzi mu zabrać ciało panny Riverford do miejskiej kostnicy, będzie ścigany sędownie z największą surowością. Ostrzeżenie to nie wywarło jednak na panu Banwellu większego wrażenia, koroner dodał więc, że zna reportera „Herald Tribune”, który niewątpliwie uzna utrudnianie postępowania przedstawicielowi wymiaru sprawiedliwości za temat wart opisanie. Dopiero wtedy, choć niechętnie, Banwell ustąpił.

Hugel miał ze sobą aparat fotograficzny Wyjął go teraz i zaczął robić zdjęcia. Po każdej detonacji lampy błyskowej otoczony kłębamii dymu wyjmował ze skrzynki aparatu zużytą płytkę i wymieniał na nową. Banwell stwierdził, że jeśli te zdjęcia dostaną się do prasy, Hugel może być pewien, że nigdy więcej nie znajdzie zatrudnienia w żadnej instytucji podległej władzom miasta. Koroner nie odpowiedział.

Chwilę później usłyszeli dziwne wycie, jakby cicho zawodziły skrzypce na najwyższych tonach. Wycie stawało się coraz głośniejsze, aż przeszło w lament. Pokojówka krzyknęła. Gdy umilkł jej krzyk, dziwny dźwięk zniknął. Ciszę przerwał pan Banwell.

- Co to było, do diabła? - zwrócił się do zarządcy.

- Nie wiem, proszę pana. Ale to nie pierwszy raz. Może jakaś instalacja w ścianach?

- Trzeba to sprawdzić - polecił Banwell.

Koroner zrobił jeszcze kilka zdjęć i oświadczył, że skończył na dzisiaj i zabiera ciało. Nie miał zamiaru przesłuchiwać sąsiadów, ponieważ nie było to jego zadanie, ani czekać, aż zjawi się detektyw Littlemore. W upale proces rozkładu ciała przebiega znacznie szybciej niż zwykle, należało więc jak najprędzej umieścić je w lodówce. Dwaj pracownicy rezydencji zwieźli zwłoki windą towarową do garażu, a tam czekał już kierowca koronera.

Kiedy dwie godziny później w rezydencji zjawił się detektyw Littlemore, rozumie się, w cywilnym

ubraniu, nie pojmował, co się dzieje. Posłańcy burmistrza potrzebowali trochę czasu, by go znaleźć w podziemiach nowego, wciąż niewykończonego budynku komendy policji przy Centre Street, gdzie ćwiczył strzelanie z nowego pistoletu. Otrzymał polecenie, by dokładnie zbadać miejsce zbrodni. Tymczasem miejsce zbrodni zostało już uprzątnięte, a zwłok zamordowanej kobiety dawno tam nie było. Pan Banwell nie chciał go przyjąć, a i pracownicy rezydencji Balmoral okazali się wyjątkowo mało rozmowni.

Najważniejszego świadka wcale nie udało mu się odnaleźć: pokojówki, która odkryła zwłoki. Natychmiast po odjeździe koronera Hugela zarządca budynku wezwał ją do swojego gabinetu, wręczył kopertę z wypłatą miesięcznej pensji (oczywiście, pomniejszoną o jeden dzień, bo przecież był dopiero 30 sierpnia). Poinformował ją przy tym, że zostaje zwolniona.

- Przykro mi, Betty. Naprawdę bardzo mi przykro - powiedział na pożegnanie.

Zanim reszta towarzystwa podniosła się z łóżek, zdążyłem przejrzeć poranną prasę w eleganckiej rotundzie hotelu Manhattan, w którym Clark University ulokował Freuda, Junga, Ferenczego i mnie podczas tygodniowego pobytu w Nowym Jorku. Brill nie potrzebował hotelu, ponieważ był nowojorczykiem. Żadna z gazet nie zamieściła informacji ani o Freudzie, ani o jego wykładach w mojej uczelni. Tylko w piśmie „New Yorker” znalazłem krótką wzmiankę anonsującą przybycie „doktora Freuda z Wiednia”.

Nigdy nie chciałem zostać lekarzem. Tego jednak życzył sobie mój ojciec, a jego życzenia były dla nas wszystkich rozkazem. Gdy skończyłem osiemnaście lat i nadal jeszcze mieszkałem w domu rodzinnym w Bostonie, oświadczyłem ojcu, że zostanę najlepszym w Ameryce znawcą twórczości Szekspira. Odparł na to, że mogę być nawet najgorszym szekspirologiem, jeśli o niego idzie; gdy jednak nie zdecyduję się na karierę medyka, sam będę musiał znaleźć środki na opłacenie studiów w Harvardzie.

Jego groźba nie wywarła na mnie wrażenia. Nic sobie nie robiłem z rodzinnego nabożeństwa dla harwardzkich dyplomów. Oświadczyłem więc, że równie dobrze mogę studiować gdziekolwiek. Była to moja ostatnia rozmowa z ojcem.

Jak na ironię, przyszło mi wypełnić wolę ojca w chwili, gdy nie miał on już pieniędzy, które mogłyby mu posłużyć jako argument w rozmowie ze mną. Upadek banku pułkownika Winslowa w listopadzie 1903 roku był niczym w porównaniu z kryzysem gospodarczym w Nowym Jorku cztery lata później, ale mojemu ojcu wystarczył w zupełności. W ciągu jednej nocy postarzał się na twarzy o dziesięć lat. Nad brwiami, bez żadnej zapowiedzi pojawiły się głębokie bruzdy. Matka powtarzała mi wielokrotnie, że powinienem okazać mu współczucie, nigdy jednak tego nie zrobiłem. Podczas pogrzebu ojca, na który tłumnie nie stawiała się współczująca elita Bostonu, po raz pierwszy pomyślałem, że pójdę jednak na medycynę. Nie potrafię powiedzieć, czy za tą decyzją kryło się praktyczne myślenie o przyszłości, czy może coś innego.

Tak się poukładały sprawy, że to ja wymagałem współczucia i uczelnia mi je okazała. Kiedy powiadomiłem władze Harvardu, że z końcem roku przerwę naukę, ponieważ po śmierci ojca dwustudolarowe chesne stanowi dla mnie barierę nie do pokonania, kierujący wtedy uczelnią rektor Eliot zwolnił mnie z opłaty. Zapewne doszedł do wniosku, że w interesie uczelni nie leży wyrzucenie trzeciego z kolei przemierzającego jej dziedzińce Strathama Młodsze, lecz wsparcie pólsieroty i oczekiwanie przyszłych korzyści z racji tej decyzji. Bez względu na motywację wdzięczność wobec

uniwersytetu zachowam na zawsze.

W Harvardzie uczęszczałem na słynne wykłady profesora Putnama z neurologii. Byłem pilnym studentem medycyny, ponieważ korzystałem z uczelnianego stypendium, żaden jednak ze zgłębianych przedmiotów nie porwał mnie ani nie zainspirował. Któregoś wiosennego poranka podczas rzeczowego i suchego jak pieprz omówienia chorób neurologicznych profesor Putnam wspomniał o „seksualnej teorii” Zygmunta Freuda jako jedynej interesującej pracy badawczej nad neurozami histerycznymi i obsesyjnymi. Po wykładzie poprosiłem o wskazanie jakichś tekstów źródłowych na ten temat i profesor skierował mnie do Havelocka Ellisa, który w swoich badaniach przyjmował dwa najbardziej radykalne odkrycia Freuda: istnienie tego, co europejski uczoney nazywał podświadomością, oraz seksualną etiologię nerwic. Poznałem wtedy Mortona Princea, który właśnie zaczynał wydawać czasopismo poświęcone psychologii. Doktor Prince miał obszerną kolekcję zagranicznych publikacji. Okazało się także, że znał mojego ojca. Zatrudnił mnie w swoim czasopiśmie jako korektora. Dzięki temu trafiało w moje ręce niemal wszystko, co napisał Freud, od *Interpretacji snów* po rewolucyjne *Trzy eseje*. Dobrze znałem niemiecki i dzieła Freuda pochłaniałem z pasją, której nie pamiętałem u siebie od lat. Jego teksty były misternie skonstruowane. A jeśli racja była po jego stronie, płynące z nich wnioski musiały zmienić świat.

Ostatecznie połączyłem bakcyła, gdy zapoznałem się z proponowaną przez Freuda interpretacją *Hamleta*. Rzucona niby mimochodem, licząca nie więcej niż dwieście słów dygresja w traktacie na temat snów, była genialnym rozwiązaniem największej zagadki w historii literatury Zachodu.

Szekspirowski *Hamlet* był wystawiany tysiące razy, częściej niż jakikolwiek inny dramat. Nie ma też chyba utworu literackiego, o którym napisano by więcej, oczywiście nie licząc Biblii. A wszystkie te dywagacje snuto wokół swoistej pustki, próżni będącej podstawą dramatu - niezdolności głównego bohatera do działania. Działanie Hamleta to ciąg uników i wymówek, których chwyta się główny bohater, by usprawiedliwić zwłokę w dokonaniu aktu zemsty na zabójcy ojca (czyli swoim stryju Klaudiuszu, obecnym królu Danii i mężu matki), przeplatany pełnymi udręki monologami, w których młody książę potępia się za paraliż woli. Najsłynniejszy z tych monologów to oczywiście ten zaczynający się od pytania: „Być albo nie być?”. Dopiero kiedy wahania i wewnętrzne rozterki Hamleta doprowadziły do tragedii - po samobójstwie Ofelii, zamordowaniu matki, która wypła truciznę przygotowaną przez Klaudiusza dla Hamleta i otrzymaniu śmiertelnego ciosu zatrutym mieczem Laertes

- w ostatniej scenie dramatu książę duński w końcu decyduje się odebrać stryjowi trzykrotnie darowane życie.

Dlaczego Hamlet nie podejmuje działania? Na pewno nie ze względu na brak możliwości: Szekspir daje bohaterowi wiele sposobności do zabicia Klaudiusza. Sam Hamlet to przyznaje („Teraz mógłbym to zrobić”), a jednak nie korzysta z okazji. Co go powstrzymuje? I dlaczego ten niewytłumaczalny brak zdecydowania, zdający się świadczyć o słabości i tchórzostwie, od trzystu z górą lat przykuwa uwagę widzów na całym świecie? Najwięksi geniusze literatury naszych czasów, Goethe i Coleridge, bezskutecznie próbowali wyciągnąć miecz zatopiony w tym głazie. Tysiące innych o ścianę tego głazu rozbiło sobie głowy.

Nie podobało mi się oparte na kompleksie Edypa rozwiązanie proponowane przez Freuda. Ściślej biorąc, napawało mnie wstrętem. Nie chciałem w nie wierzyć, tak samo zresztą, jak nie chciałem uwierzyć w istnienie samego kompleksu Edypa. Czułem, że muszę zadać kłam szokującym teoriom

Freuda, że muszę wskazać, na czym polega i w czym tkwi ich błąd. Nie potrafiłem jednak tego dokonać. Dzień po dniu całymi godzinami siedziałem wsparty plecami o drzewo w uczelnianym parku, rozmyślając nad Freudem i Szekspirem. Z każdą chwilą diagnoza dotycząca motywów zachowania Hamleta postawiona przez wiedeńskiego naukowca wydawała mi się coraz bardziej przekonująca. Nie tylko bowiem stanowiła pierwsze pełne wyjaśnienie tkwiącej w dramacie zagadki, ale też czyniła zrozumiałym, dlaczego wcześniej nikt nie potrafił jej rozwikłać, jednocześnie klarownie uzasadniając hipnotyczny wręcz wpływ dramatu na widzów.

Oto więc naukowiec zastosował swoje koncepcje do Szekspira. Oto medycyna nawiązała kontakt ze światem ducha. Lektura tych dwóch niby od niechcienia napisanych stron w *Interpretacji snów* zdecydowała o mojej przyszłości: skoro nie potrafiłem obalić psychologicznej teorii Freuda, musiałem ją uznać za wartą, by jej poświęcić całe moje życie.

Koroner Charles Hugel nie mógł zapomnieć dziwnego dźwięku dobywającego się ze ścian apartamentu panny Ri-verford. Nie mógł pozbyć się myśli, że to jakaś zamurowana w nich dusza prosi o łaskę. Jękliwe wycie wciąż brzmiało mu w uszach. Był też przekonany, że jednak w sypialni zamordowanej kobiety czegoś brakowało. Natychmiast po wejściu do swojego gabinetu zawołał posłańca i kazał mu biec po detektywa Littlemore'a.

Kolejną spośród licznych rzeczy, które wzbudzały niezadowolenie koronera, była lokalizacja jego biura. Nie zaproponowano mu bowiem, żeby się przeniósł do nowej kwatery głównej policji ani do nowej siedziby pierwszego komisariatu na Old Slip; tam miałyby przynajmniej telefon. Nie tylko policja, ale też sędziowie rozgościli się ostatnio w nowym budynku - a jego, który był przecież nie tylko biegłym patologiem, ale też i sędzią pokoju, którego praca znacznie bardziej wymagała nowoczesnych urządzeń, pozostawiono w starym gmachu Van den Heuvela z obrywającymi się tynkami, pleśnią i, co najgorsze, przeciekającymi sufitami. Nienawidził widoku tych wielkich zacieków nad głową, wykończonych nierównymi brązowożółtawymi obwódkami. Nienawidził ich zwłaszcza dzisiaj; wydawały mu się większe niż zwykle i zastanawiał się przez chwilę, czy sufit nie runie zaraz na niego. Oczywiście, koroner musi mieć gabinet blisko kostnicy. Rozumiał to doskonale, nie potrafił jednak pojąć, dlaczego w nowej kwaterze głównej policji nie znalazło się miejsce na nowoczesną kostnicę, taką z prawdziwego zdarzenia.

Jimmy Littlemore wszedł do gabinetu koronera wolnym krokiem. Miał dwadzieścia pięć lat, nie był ani wysoki, ani niski. Nie wyglądał źle, ale też nie prezentował się szczególnie okazale. Nie dało się przypisać żadnego określonego koloru jego krótko ostrzyżonym włosom - ani ciemne, ani jasne, ewentualnie można by o nich powiedzieć: rude. Na jego typowo amerykańskiej twarzy malowały się otwartość i życzliwość, a oprócz tego - jeśli nie liczyć kilku piegów - nie było w niej nic, co ułatwiałoby jej zapamiętanie. Szeroki uśmiech i czerwona muszka, którą dumnie prezentował pod słomkowym kapeluszem - nic więcej nie rzucało się w oczy.

Koroner kazał sobie opowiedzieć o dotychczasowych ustaleniach w sprawie panny Riverford, starając się, by jego głos brzmiał w sposób niedopuszczający jakiegokolwiek sprzeciwu. Stwierdził przy tym, że on sam, jako koroner, przejmuje bezpośrednio prowadzenie śledztwa tylko w wyjątkowych sytuacjach i wyraźnie dawał do zrozumienia, że jeśli dochodzenie nie zakończy się sukcesem, Littlemore powinien się liczyć z poważnymi konsekwencjami.

Władczy głos koronera najwyraźniej nie zrobił należytego wrażenia na detektywie. Chociaż Littlemore nigdy wcześniej nie pracował bezpośrednio z koronerem, wiedział doskonale, że ten nie

cieszy się łaskami nowego komisarza policji oraz że wszyscy nazywają go wampirem, co miało być przytykiem do zapału, z jakim przeprowadzał sekcje zwłok, i nie ma praktycznie żadnej władzy. Littlemore był jednak człowiekiem wyjątkowo wyrozumiałym i dobrze wychowanym, nie okazał więc rozmówcy braku szacunku.

- Co wiem o sprawie panny Riverford? - powtórzył zadane pytanie. - No cóż, w sumie nic, panie Hugel, z wyjątkiem tego, że zabójca to mężczyzna po pięćdziesiątce, że ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, nie jest żonaty, przywykł do widoku krwi, mieszka poniżej Canal Street i w ciągu ostatnich dwóch dni był w porcie.

Hugelowi po prostu szczęka opadła.

- Jak pan zdobył te informacje?

- Żartowałem, panie Hugel. Nie mam zielonego pojęcia, kim jest morderca. Nie wiem nawet, po co w ogóle kazano mi iść na miejsce zbrodni. Nie zebrał pan przypadkiem jakichś odcisków?

- Ma pan na myśli odciski palców? - upewnił się koroner. - Oczywiście, że nie. Sądy nigdy się nie zgodzą, by dopuścić dowód w postaci odcisków palców!

- Kiedy ja tam dotarłem, było już za późno. Apartament był czyściutko wysprzątnany, a rzeczy tej dziewczyny zniknęły

Rozsierdzony Hugel mruknął coś pod nosem o utrudnianiu dochodzenia i fałszowaniu dowodów, po czym ponownie zwrócił się do detektywa.

- Ale z pewnością musiał pan dowiedzieć się czegoś o córce Riverfordów.

- Była cicha i bardzo spokojna. Zamknięta w sobie.

- To wszystko?

- Mieszkała tam od niedawna - wyjaśnił Littlemore.

- Wprowadziła się dwa miesiące temu. Najwyżej trzy.

- Rezydencja Balmoral została uroczyście otwarta w czerwcu. Nie ma więc lokatorów, którzy mieszkaliby tam dłużej niż dwa, trzy miesiące.

- Ach, tak?

- Czy widziano ją z kimś wczoraj? - kontynuował ko-roner.

- Wróciła do siebie około ósmej. Była sama. Nikt jej później nie odwiedzał. Poszła do siebie i już stamtąd nie wyszła.

- Miała jakichś stałych gości?

- Nie. Żaden z moich rozmówców nie pamiętał, by ktokolwiek ją odwiedzał.

- Dlaczego mieszkała sama w Nowym Jorku? Taka młoda osoba w tak olbrzymim apartamencie?

- Tego właśnie chciałem się dowiedzieć, ale żaden człowiek z personelu Balmoralu ani pisała. Wszyscy nabrali wody w usta. Ale o tym porcie mówiłem poważnie. Na podłodze w sypialni panny Riverford znalazłem trochę gliny. Grudka była całkiem świeża. Według mnie pochodzi właśnie z portu.

- Glina? A jaki miała kolor?

- Czerwona. Trochę zaschnięta.

- Ależ to nie była glina, Littlemore - stwierdził koroner, przewracając oczami. - To była moja kreda!

Detektyw marszczył brwi.

- A ja się zastanawiałem, dlaczego zrobiono nią takie wielkie koło!

- Żeby ludzie trzymali się z dala! Ależ z pana głupek, Littlemore!

- Żartowałem, panie Hugel. To nie była pańska kreda. Glinę znalazłem koło kominka. Kilka niewielkich drobinek widocznych dopiero pod szkłem powiększającym. Zebrałem je, a następnie porównałem z próbkami, których mam całą kolekcję. Wydaje się, że są identyczne jak glina przy nabrzeżach portowych.

Przez chwilę Hugel się zastanawiał, czy okazać mu uznanie.

- Czy glina w porcie czymś się szczególnie wyróżnia? Może znalezione przez pana grudki pochodziły z innego miejsca, choćby z Central Parku? - zapytał w końcu.

- Na pewno nie z parku, panie Hugel. To glina rzeczna, a w Central Parku nie ma przecież rzeki.

- W takim razie może z Hudson Valley?

- Niewykluczone.

- Albo z Fort Tryon. Wie pan, z tej zamożnej dzielnicy. Przecież zrobili tam ostatnio spore wykopy.

- Myśli pan, że jest tam glina?

- Gratuluję świetnej roboty, detektywie Littlemore.

- Dziękuję, panie Hugel.

- A przy okazji, może chciałby pan zapoznać się z rysopisem mordercy?

- Oczywiście, że tak.

- W średnim wieku, bogaty, praworęczny, siwiejące ciemne włosy; wzrost jakieś metr osiemdziesiąt cztery do metr osiemdziesiąt siedem. Sądzę też, że znał ofiarę, i to dobrze.

Littlemore słuchał z rosnącym zdumieniem.

- Skąd pan...

- Tu ma pan trzy włosy, które znalazłem na ciele ofiary - wyjaśnił koroner, wskazując małe szklane prostokąty leżące na jego biurku obok mikroskopu; między tymi przezroczystymi szkiełkami zdążył już umieścić znalezione włosy. - Są ciemne, ale pokryte siwizną, co sugeruje, że ich właściciel jest w średnim wieku. Na szyi denatki były także niteczki białego jedwabiu, pochodzące najprawdopodobniej z krawata, którym ją udusił. Skoro nosi jedwabne krawaty, musi mieć dużo pieniędzy. Niewątpliwie jest też praworęczny.

- A to z czego pan wnosi?

- Ponieważ wszystkie rany na ciele dziewczyny przebiegają z prawej do lewej.

- No dobrze, ale skąd pan wie, że ją znał?

- Nie wiem, przypuszczam tylko. Niech mi pan powie, w jakiej pozycji znajdowała się panna Riverford, kiedy zadawał jej ciosy.

- Przecież nie widziałem ciała. Nie znam nawet przyczyny śmierci - odparł detektyw.

- Podczas wstępnych oględzin stwierdziłem uduszenie, co potwierdziło się, gdy po otwarciu ciała zobaczyłem złamaną kość gnykową. Piękne złamanie, jeśli wolno tak się wyrazić. Kość przedzieliła się dokładnie na pół i wyglądała zupełnie jak mostek kurczęcia. Zresztą cała klatka piersiowa była wspaniała. Denatka miała doskonale uformowane żebra, a płuca i serce po wyjęciu okazały się podręcznikowym wręcz przykładem śmierci komórek na skutek uduszenia. Ale do rzeczy! Panna Riverford była wyprostowana, podczas gdy napastnik ją biczował. Wiem o tym bez cienia wątpliwości, ponieważ strużki krwi ściekały z jej ran pionowo. Jestem też przekonany, że dłonie miała w tym czasie związane nad głową jakąś grubą liną, która niemal na pewno przymocowana była do sufitu, najprawdopodobniej do żyrandola. Dostrzegłem na nim małe niteczki pochodzące z jakiejś liny. Pan ich nie widział? No cóż, proszę więc wrócić na miejsce zbrodni, by je zebrać. A teraz pytanie: dlaczego mężczyzna dysponujący grubą solidną liną dusił ofiarę delikatnym jedwabiem? I wniosek, panie Littlemore: ponieważ darzył ją uczuciem. Panna Riverford miała metr sześćdziesiąt siedem. Rany na jej ciele wskazują, że zadał je ktoś wyższy od niej o siedemnaście do dwudziestu centymetrów. Łatwo obliczyć, że wzrost mordercy zawiera się między metr osiemdziesiąt cztery a metr osiemdziesiąt siedem.

- Chyba że na czymś stał - zauważył Littlemore.

- Co takiego?

- No, na przykład na stołku. Albo na czymś innym.

- Mężczyzna nie staje na stołku, kiedy chłoscze kobietę, detektywie Littlemore!

- A dlaczego nie?

- Ponieważ to absurdalne. Ponadto mógłby spać.

- Zawsze można się czegoś przytrzymać - odparował detektyw. - Żyrandola na przykład albo wieszaka na kapelusze.

- Wieszaka na kapelusze? A niby po co miałyby to robić?

- Żebyśmy wywnioskowali, że jest wyższy niż w rzeczywistości.

- Ile razy prowadził pan śledztwo w sprawie morderstwa? - zapytał koroner.

- To moja pierwsza taka sprawa. To znaczy... w charakterze detektywa - odpowiedział Littlemore z nieskrywanym podnieceniem.

Hugel pokiwał tylko głową.

- Oczywiście rozmawiał pan z pokojówką?

- Z pokojówką?

- Tak, z pokojówką panny Riverford. Mam nadzieję, że wypytał ją pan dokładnie, czy zauważyła coś niezwykłego.

- Myślałem, że...

- Nie chcę, żeby pan myślał - uciął Hugel. - Chcę, żeby pan prowadził dochodzenie. Proszę wrócić do Balmoralu i porozmawiać z tą dziewczyną. To ona odkryła ciało. I proszę jej kazać dokładnie opisać, co zobaczyła po wejściu do sypialni. Chodzi o dokładny opis. Zrozumiał pan, detektywie?

W Piątej Alei, na wysokości Pięćdziesiątej Trzeciej, w pokoju, do którego nigdy nie weszła kobieta, nawet po to, by powycierać kurze albo wytrzepać zasłony, ze skrzęcej się karafki lokaj nalewał trunek do trzech kryształowych kielichów. Ich rżnięte czasze były tak wielkie, że każda pomieściłaby całą butelkę wina bordo, lokaj nalał jednak nie więcej niż centymetr czerwonego płynu, po czym podał członkom Triumwiratu.

Trzej mężczyźni siedzieli w głębokich skórzanych fotelach wokół kominka w bibliotece. Znajdowało się w niej ponad trzy tysiące siedemset woluminów, w większości tekstów greckich, łacińskich i niemieckich. Po jednej stronie kominka na zielonej jadeitowej podstawie stało popiersie Arystotelesa, po drugiej - starożytna rzeźba Hindusa. Nad kominkiem na płaskiej płycie wielką sinusoidą wił się między płomieniami wąż. Pod nim drukowanymi literami wygrawerowano napis CHARAKA.

Dym unoszący się z fajek delikatnie muskał sufit wysoko nad ich głowami. Mężczyzna siedzący pośrodku wykonał niemal niezauważalny ruch prawą dłońią; na jednym z palców zalśniła srebrna, niezwykle okazała obrączka. Mężczyzna był żylasty, dobiegał sześćdziesiątki, miał wychudłą twarz i palce pianisty. Pod czupryną siwych włosów i gęstymi czarnymi brwiami lśniły ciemne oczy.

Na dany mu znak lokaj podpalił grubą stertę papierów w palenisku. Kominek rozbłysnął tańczącymi z trzaskiem pomarańczowymi płomieniami.

- Nie zapomnij pozbierać potem popiołu - polecił chudy mężczyzna lokajowi. Ten skinął głową i wycofał się, a gospodarz uniósł kielich. - Z ogniem można walczyć tylko w jeden sposób, panowie...

Kiedy pozostali dwaj mężczyźni spełniali toast, uważny obserwator mógłby dostrzec u nich takie same srebrne obrączki na palcu prawej dłoni. Jeden z nich był dość korpulentny, a jego czerwone policzki okalały bokobrody. On właśnie dokończył toast, wzniesiony przez gospodarza.

- ...ogniem - powiedział, nim opróżnił kielich.

Drugi mężczyzna był chudy i miał sporą łysinę. Nie odezwał się ani słowem, tylko powoli sączył wino - Chateau La-fite, rocznik 1870.

- Zna pan barona? - zwrócił się do niego gospodarz. - Zdaje się, że jesteście spokrewnieni.

- Rothschilda? - zapytał beznamiętnym głosem. - Nigdy go nie spotkałem. Jestem spokrewniony z angielską gałęzią rodu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Na pierwszy etap wędrówki Freuda po Ameryce Brill wybrał Coney Island. Jakby nie było ciekawszych miejsc. Ponieważ Grand Central Station leżała zaledwie przecznicę od hotelu, wybraliśmy się tam pieszo. Na bezchmurnym niebie lśniło gorące już mimo wczesnej pory słońce, a poniedziałkowy ruch uliczny zaczynał powoli powodować korki. Samochody niecierpliwie przyspieszały, wyprzedzając konne wozy dostawcze. Ogłuszający hałas wykluczał jakąkolwiek rozmowę. Tuż obok hotelu na wysokości Czterdziestej Drugiej strzelało w niebo olbrzymie rusztowanie, które okalało nowo powstający budynek. Nieustannie terkotały młoty pneumatyczne.

W budynku dworca nagle zapanowała cisza. Freud i Ferenczi rozglądali się z podziwem. Znajdowaliśmy się we wspaniałym tunelu ze szkła i stali, długim na dwieście i wysokim na trzydzieści metrów, z szeregiem potężnych lamp gazowych pod sufitem. To inżynierskie чудо o niebo przewyższało wieżę pana Eiffla w Paryżu. Tylko Jung zdawał się nieporuszony. Zastanawiałem się, czy coś mu nie dolega, ponieważ był blady i sprawiał wrażenie nieobecnego. Podobnie jak ja, Freud był zaskoczony i zgorzony informacją, że planuje się rozbiórkę budynku dworca, ponieważ przeznaczony był dla lokomotyw parowych, a epoka pary powoli dobiega końca.

Kiedy schodziliśmy na podziemny peron, nastrój Freuda wyraźnie się pogorszył.

- On się boi waszych podziemnych pociągów - szepnął mi do ucha Ferenczi. - Tak przynajmniej mi mówił wczoraj wieczorem. To pewnie jakaś obsesja, którą trzeba by przeanalizować.

Zapewne Freudowi nie poprawił się humor, gdy nasz pociąg nagle stanął w tunelu między stacjami, zamigotało oświetlenie i po chwili ogarnęła nas nieprzenikniona ciemność.

- Budynki strzelają w niebo, a pociągi się zapadają pod ziemię - powiedział poirytowany wiedeńczyk.
- Ameryka jest patetyczna jak Wergiliusz! Rozpęta piekło, jeśli nie zdoła sięgnąć do nieba!

- Czy to pański epigraf? - zapytał Ferenczi.

- Epigraf epigrafem. Byle tylko nie stał się moim epitafium - odparował Freud.

- Panowie! - krzyknął niespodziewanie Brill gdzieś w ciemnościach. - Przecież wy nie znacie jeszcze analizy przypadku paraliżu dłoni, którą przeprowadził Younger!

- Studium przypadku? - ożywił się Ferenczi. - Koniecznie musimy się z nim zapoznać - dodał z entuzjazmem.

- Nie, nie. Tamta analiza była niekompletna - powiedziałem.

- Niedorzeczność! - skarcił mnie Brill. - To jedna z najdoskonalszych analiz, z jakimi miałem do czynienia. Wykorzystuje wszystkie chyba założenia psychoanalizy.

Nie pozostawił mi wyboru. Otoczony kompletnymi ciemnościami i nieznośnie dusznym powietrzem zdałem relację ze swojego drobnego sukcesu, wypełniając nią oczekiwanie na ponowne uruchomienie pociągu.

Studia w Harvardzie ukończyłem w 1908 roku, otrzymując dyplom nie tylko z medycyny, ale też z psychologii. Moja pracowitość wywarła wielkie wrażenia na wykładowcach i zapewne dlatego zwrócili na mnie uwagę doktora G. Stanleya

Halla, pierwszego naukowca, który uzyskał dyplom Harvard University z psychologii, założyciela Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego i rektora kampusu Clark University w Worcester. Ambicją Halla było uczynić z tej uczelni wiodący ośrodek badawczy w kraju i temu celowi poświęcał swoje liczne talenty. Kiedy zaproponował mi pozycję wykładowcy psychologii z możliwością prowadzenia własnej praktyki, zgodziłem się natychmiast. Nie bez znaczenia była też możliwość wyniesienia się z Bostonu.

Miesiąc później zgłosiła się do mnie pierwsza pacjentka, którą poddałem psychoanalizie. Szesnastoletnią dziewczynę

- nazwijmy ją Priscillą - przyprowadziła do mnie zrozpaczona matka. To Hall poradził rodzinie, żeby zgłosić się na leczenie właśnie do mnie. Więcej powiedzieć nie mogę, gdyż groziłoby to ujawnieniem tożsamości dziewczyny.

Priscilla była niska i dość otyła, miała jednak miłą twarz i dobry charakter. Od roku cierpiała z powodu ostrych napadów duszności, silnych bólów głowy i całkowitego paraliżu lewej dłoni. Co oczywiste, ataki choroby przyprawiły ją o wielki dyskomfort. Paraliż zdawał się wskazywać na histerię, która upośledzała funkcjonowanie dłoni aż do nadgarstka włącznie. Jak dowodzi Freud, tego rodzaju paraliż nie poddaje się żadnej interwencji biologicznej *sensu stricto*, co pozwala wnioskować, że nie istnieją przyczyny fizjologiczne. Dolegliwość o podłożu neurologicznym może ograniczać funkcjonowanie poszczególnych palców dłoni, nigdy zaś nie obejmuje nadgarstka. Zdarza się także utrata sprawności kciuka z zachowaniem sprawności pozostałych palców. Gdy jednak paraliż chwyta całą część ciała niezależnie od skomplikowanej sieci połączeń nerwowych, trzeba się odwołać do psychologii, a nie do fizjologii, jako że ten rodzaj schorzenia dokładnie odpowiada obrazowi mentalnemu. W przypadku Priscilli był to mentalny obraz jej lewej dłoni.

Lekarze nie znaleźli, oczywiście, somatycznych podstaw dolegliwości. Nie pomógł też uzdrowiciel sprowadzony specjalnie z Nowego Jorku. Zalecił odpoczynek i całkowite wycofanie się z życiowej aktywności, co niewątpliwie tylko pogorszyło sytuację. Rodzina szukała pomocy nawet u kręgarza, który także niewiele wskórał.

Po wykluczeniu przyczyn neurologicznych i ortopedycznych - porażenia, choroby Kienbocka i tym podobnych - postanowiłem spróbować psychoanalizy. Najpierw rezultaty były mizerne, a to z powodu obecności podczas sesji matki dziewczyny. Na nic się zdawały delikatne aluzje, by ta dobra kobieta zostawiła mnie sam na sam z pacjentką, gdyż psychoanaliza tego właśnie wymaga. Po trzeciej wizycie oświadczyłem matce wprost, że nie zdołam pomóc Priscilli, dopóki w moim gabinecie podczas terapii będzie się znajdował ktokolwiek oprócz mnie i pacjentki. Nawet jednak w odosobnieniu początkowo nie mogłem sprawić, by dziewczyna zaczęła mówić. Zgodnie z najnowszymi zaleceniami terapeutycznymi Freuda kazałem jej położyć się na leżance z zamkniętymi oczami. Poleciłem, by skupiła myśli na sparaliżowanej ręce i na głos wypowiadała wszystko, co przychodzi jej do głowy w związku z tą dolegliwością - nawet jeśli będą to jej zdaniem rzeczy nieistotne, niezwiązane z chorobą, nie na miejscu albo nawet niegrzeczne. Priscilla ograniczała się jedynie do powierzchownego opisu początku zdrowotnych problemów.

W jej relacji krytyczny moment nastąpił 10 sierpnia 1907 roku. Datę pamiętała dokładnie, ponieważ było to dzień po pogrzebie jej ukochanej starszej siostry, którą bardzo podziwiała. Mary, bo tak miała na imię siostra, mieszkała w Bostonie razem z mężem, Bradleyem. Zmarła na grypę, zostawiając męża z dwójką małych dzieci. Odbył się pogrzeb i nazajutrz matka poleciała Priscilli, by zajęła się napisaniem podziękowań do licznych członków rodziny i przyjaciół, którzy złożyli kondolencje. Wieczorem dziewczyna doznała ataku ostrego bólu lewej dłoni - a trzeba dodać, że jest leworęczna. Nie widziała w tym niczego niezwykłego z dwóch powodów: ponieważ napisała bardzo wiele listów i ponieważ już przedtem od czasu do czasu zdarzała się podobna dolegliwość. Nocą obudził ją duszący bezdech. Nie mogła oddychać. Gdy oddech się unormował, próbowała zasnąć ponownie, lecz okazało się to niemożliwe. Rano wstała z silnym bólem głowy, pierwszym z serii dręczących ją przez cały rok ataków migreny. Okazało się, że ma także całkowicie sparaliżowaną lewą dłoń, która bezużytecznie zwisała od nadgarstka.

Podczas wizyt ciągle powtarzała mi te i podobne fakty, po czym następowała długa cisza. Na nic zdały się usilne zapewnienia, że na pewno ma mi do powiedzenia jeszcze coś więcej, że niemożliwe, by oprócz tej garstki myśli panowała w jej głowie pustka. Uparcie utrzymywała, że nie przychodzi jej do głowy nic innego, czym mogłaby się ze mną podzielić.

Korciło mnie, żeby zastosować hipnozę. Niewątpliwie by się jej poddała, Freud jednak zdecydowanie hipnozę odrzucał. Była jego ulubioną techniką w początkowym okresie, gdy jeszcze pracował z Breuerem; później jednak doszedł do wniosku, że nie tylko nie przynosi ona trwałych efektów, ale też nie można opierać się na przywołanych w hipnotycznym stanie obrazach przeszłości. Postanowiłem więc, że bezpieczniej będzie sięgnąć po technikę, którą Freud wprowadził po zrezygnowaniu z hipnozy. Ta właśnie metoda spowodowała w końcu przełom.

Upowiedziałem Priscillę, że za chwilę położę na jej czole dłoń. Zapewniłem, że wśród jej wspomnień znajduje się takie, które domaga się ujawnienia, i że jest to wspomnienie kluczowe dla zrozumienia wszystkiego, co mi dotychczas powiedziała. Bez niego więc nie znajdziemy przyczyny jej dolegliwości. Wytłumaczyłem też, że to wspomnienie przez cały czas tkwi w jej umyśle, choć ona nie zdaje sobie z tego sprawy, i że je odtworzy, gdy tylko poczuje na czole moją dłoń.

Z trwogą wyciągnąłem rękę, by przystąpić do dzieła. Ważył się wszak na szali mój autorytet! Gdyby nie ujawniło się żadne nowe wspomnienie, znalazłbym się w sytuacji jeszcze gorszej niż poprzednio. Na szczęście jednak wspomnienie napłynęło, gdy tylko Priscilla poczuła na czole moją dłoń. Dokładnie tak, jak opisywał w swoich pracach Freud!

- Doktorze Younger! - krzyknęła dziewczyna. - Widziałam ją! Widziałam!

- Kogo?

- Dłoń Mary!

- Dłoń Mary?

- Jak leżała w trumnie. Okropny widok! Kazali nam na nią patrzeć.

- Proszę mówić dalej - zachęciłem.

Priscilla milczała.

- Czy z dłonią Mary było coś nie tak? - zapytałem.

- Ależ nie! Wszystko było jak należy. Mary miała piękne dłonie. I pięknie grała na pianinie, nie to, co ja.

Priscilla walczyła z jakimiś emocjami, których nie potrafiłem sprecyzować. Aż się przestraszyłem zabarwienia jej policzków i czoła: zrobiły się niemal szkarłatne.

- Była taka piękna. Trumnę także miała piękną. Białe drewno wyłożone aksamitem. Wyglądała jak Śpiąca Królowna, choć wiedziałam, że nie śpi.

- A co z jej dłonią?

- Dłonią?

- Tak. Co z jej dłonią, Priscillo?

- Niech mi pan nie każe tego mówić - poprosiła. - To mnie zawstydza.

- Ależ nie ma się czego wstydzić - zapewniłem. - Nie ponosimy odpowiedzialności za własne uczucia. Nie kierujemy nimi i dlatego żadne uczucie nie może być powodem do wstydu.

- Naprawdę, doktorze Younger?

- Naprawdę.

- Ale nie powinnam była...

- To była lewa dłoń Mary, prawda? - zaryzykowałem. Skinęła głową z zażenowaniem, jakby przyznawała się do przestępstwa. - Proszę mi o niej opowiedzieć.

- Obrączka - wyszeptała ledwo słyszonym głosem.

- Rozumiem, obrączka - odezwałem się, aby ją zachęcić.

Moje „rozumiem” było wierutnym kłamstwem. Miałem jednak nadzieję, że dzięki niemu Priscilla uzna, iż właśnie wszystko stało się dla mnie jasne, podczas gdy w istocie jasne nie było nic. To oszustwo było jedynym elementem całej terapii, którego później żałowałem. Ale jak się miało okazać, uciekałem się do kłamstwa w tej czy innej formie w pracy z każdym pacjentem, którego poddawałem później psychoanalizie.

- Tę obrączkę dał jej Brad. Była ze złota. I pomyślałam, jaka to wielka strata, że zagrzebią ją w ziemi razem z Mary. Prawdziwe marnotrawstwo!

- Nie ma się czego wstydzić. Praktyczne podejście do życia jest cnotą, a nie wadą - zapewniłem dumny z przenikliwości tego sądu.

- Nic pan nie rozumie, doktorze. Chciałam mieć tę obrączkę dla siebie.

- Ach, tak.

- Ja ją chciałam nosić, doktorze Younger - wyznała w końcu, niemal krzyżąc. - Bo chciałam, żeby Brad ożenił się ze mną. Doskonale potrafiłabym przecież zaopiekować się dwojgiem maleństw. I umiałabym także jemu dać szczęście.

- Skryła twarz w dłoniach i załkała spazmatycznie. - Cieszyłam się, że Mary nie żyje, doktorze. Ja się z tego cieszyłam. Ponieważ on był wolny i mógł wziąć mnie za żonę.

- Nie widzę twojej twarzy, Priscillo - powiedziałem.

- Och, przepraszam.

- Ależ ja się z tego powodu cieszę, ponieważ zakrywasz twarz lewą dłonią.

Stłumiła okrzyk zdumienia. Była to prawda: posłużyła się lewą dłonią, by otrzeć łzy. Histeryczny objaw ustąpił natychmiast, gdy uświadomiła sobie przyczynę, która go wywoływała. Od tamtej chwili minął już rok i paraliż nie powrócił. Ustąpiły także bóle głowy i napady duszności.

Po tym wyznaniu odtworzenie całej historii stało się banalnie proste. Priscilla kochała się w Bradleyu od dnia, gdy pierwszy raz przyszedł z wizytą do Mary. Miała wtedy trzynaście lat. Nikogo chyba nie zaskoczy, że miłość trzynastoletniej do młodego mężczyzny może obejmować także pożądanie, nawet jeśli nie do końca uświadomione. Priscilla nigdy się do tego nie przyznała, skrywając swe seksualne pragnienia nawet przed samą sobą. Podobnie zresztą jak nie przyznała się do wynikającej z nich zazdrości, która jej dziecięcy umysł przywiodła do przekonania, że śmierć Mary otworzy jej drogę do realizacji skrytych pragnień. Jednocześnie dziewczynka wypierała wszystkie te uczucia tak silnie, że zniknęły z jej świadomości. Niewątpliwie to właśnie one stały się przyczyną pojawiających się od czasu do czasu bólów lewej dłoni, które zaczęły się w dniu ślubu, gdy po raz pierwszy zobaczyła złotą obrączkę wsuwaną na palec siostry. Dwa lata później widok tej samej obrączki na palcu leżącej w trumnie siostry rozbudził te same uczucia - próbowały przebić się do świadomości, a może nawet na chwilę się do niej przedostały. Do zakazanych uczuć pożądania i zazdrości dołączyło teraz jeszcze jedno, godne potępienia w najwyższym stopniu: satysfakcja z przedwczesnej śmierci siostry. Rezultatem była kolejna potrzeba wypierania uczuć, nieskończenie silniejsza niż poprzednio.

Rola listów, które Priscilla pisała do żałobników, jest bardziej skomplikowana. Możemy sobie tylko wyobrazić, jak dziewczyna cierpiała, raz po raz oglądając swoją lewą rękę, szpetną, bo bez obrączki, podczas przelewania na papier wyrazów smutku z powodu śmierci siostry. Zapewne był to konflikt, którego nie potrafiła znieść. Jednocześnie wielogodzinne pisanie stanowiło nie lada wysiłek, który uzasadnił fizjologicznie to, co nastąpiło później. Bez względu na przyczynę lewa dłoń zaczęła symbolizować zło, ponieważ kojarzyła się zarówno z panińskim stanem, jak i karygodnymi pragnieniami.

Trzy cele nabrały zatem kapitalnego znaczenia. Po pierwsze, nie wolno jej mieć takiej dłoni: musi pozbyć się dłoni, na której nie ma ślubnej obrączki, choć powinna tam lśnić. Po drugie, musi ponieść karę za pragnienie zajęcia miejsca Mary u boku Bradleya. Po trzecie wreszcie, musi uniemożliwić spełnienie tego pragnienia. Każdy z tych celów został osiągnięty w histerycznych symptomach

chorobowych. To doprawdy cudowne, jak precyzyjnie podświadomy umysł wykonuje swoje zdania! Priscilla pozbyła się lewej dłoni, jednocześnie wymierzając sobie karę za głęboko skrywane pragnienia. Inwalidztwo pozwoliło jej osiągnąć także trzeci cel, ponieważ z niesprawną ręką nie mogła opiekować się dziećmi Bradleya ani też, jak to taktownie ujęła, „dać mu szczęścia”.

Leczenie Priscilli, od początku do końca, zajęło dwa tygodnie. Kiedy jej wyjaśniłem, że takie pragnienia są całkowicie naturalne i nie podlegają świadomej kontroli człowieka, nie tylko pozbyła się symptomów chorobowych, ale nawet poweselała. O cudownym uzdrowieniu młodej inwalidki mówiono w całym Worcester, tak jakby co najmniej sam Zbawca po raz kolejny przywrócił wzrok Izajaszowi. Przekazywano sobie z ust do ust, że Priscilla nieszczęśliwie się zakochała, a ja ją z tego uleczyłem. Gestowi położenia dłoni na czole przypisywano najróżniejsze magiczne moce. I chociaż dzięki temu zdobyłem renomę, wskutek czego moja praktyka lekarska rozwijała się coraz lepiej, całe zdarzenie miało także negatywne konsekwencje w postaci szturmie prawie czterdziestu pacjentek - wszystkie twierdziły, że trapią je dolegliwości niepokojąco podobne do choroby Priscilli, i oczekiwały, że postawię im diagnozę nieodwzajemnionej miłości oraz ulecę przez nałożenie dłoni.

Kiedy skończyłem swoją opowieść, pociąg wjeżdżał właśnie na stację City Hall. Tam przesiadaliśmy się do pociągu, który - tym razem na powierzchni - miał nas zabrać aż do Coney. Nikt nie skomentował przypadku Priscilli choćby słowem i zaczynałem już sądzić, że zrobiłem z siebie durnia. Uratował mnie Brill, stwierdzając, że z pewnością zasługuję na to, by poznać zdanie Mistrza na temat mojej analizy.

Freud zwrócił się do mnie z iskierką w oku. Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy mówił, że z wyjątkiem kilku drobiazgów nie ma zastrzeżeń do przedstawionej analizy. Nazwał ją błyskotliwą i zapytał, czy się zgodzę, by zacytował ją w swojej kolejnej pracy. Brill poklepał mnie po plecach, Ferenczi z uśmiechem uściśnął mi dłoń. Był to moment największej satysfakcji w całym moim życiu zawodowym. Ba, w całym moim życiu w ogóle!

Nie miałem pojęcia, że stacja City Hall lśni tak wielkim przepychem kryształowych żyrandoli, inkrustowanych ścian i sklepionych łuków. Wszyscy zachwycaliśmy się tym wspaniałym widokiem, z wyjątkiem Junga, który niespodziewanie oświadczył, że z nami nie pojedzie. Uświadomiłem sobie, że chwilę wcześniej on jeden w żaden sposób nie zareagował też na moją opowieść o uzdrowieniu Priscilli. Wyjaśniając tę nagłą decyzję, Jung stwierdził, że musi się położyć.

- Położyć? - zdziwił się Brill. - Przecież wczoraj poszedłeś do łóżka o dziewiątej!

Chociaż pozostali się rozeszli dobrze po północy, Jung poszedł do swojego pokoju zaraz po przybyciu do hotelu i nie zszedł na wspólną kolację w hotelowej restauracji. Freud zapytał Junga, czy wszystko w porządku, a ten odparł, że dokucza mu ból głowy. Wtedy Freud polecił mi odprowadzić Junga do hotelu. Jung jednak zrezygnował z mojej asysty, stwierdzając, że sam znajdzie drogę powrotną. Tak więc udał się z powrotem do centrum miasta, a my ruszyliśmy w dalszą drogę bez niego.

Kiedy detektyw Jimmy Littlemore wrócił w poniedziałek wieczorem do rezydencji Balmoral, odźwierny imieniem Clifford właśnie zaczynał zmianę. Pracował także poprzedniej nocy. Littlemore zapytał go, czy znał pannę Riverford.

Do Clifforda najwyraźniej nie dotarło polecenie, żeby trzymał język za zębami.

- Pewnie, że ją pamiętam - powiedział. - Niezła ślicznotka z niej była!

- Rozmawiał pan z nią? - dopytywał się detektyw.

- Nie wdawała się w rozmowy A przynajmniej nie ze mną.

- Może zapamiętał pan coś niezwykłego w związku z nią?

- Kilka razy rano otwierałem jej drzwi.

- Niby co w tym niezwykłego?

- Ze zmiany schodzę o szóstej. O tej porze widuje się tylko dziewczyny, które chodzą do pracy. Panna Riverford nie wyglądała na kobietę pracującą. Podejrzewam, że do pracy nie szła. Wychodziła stąd mniej więcej o piątej, może o piątej trzydzieści.

- Skoro nie szła do pracy, to dokąd?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- A wczoraj wieczorem? Zauważył pan kogoś albo coś niezwykłego?

- Że niby co uważa pan za niezwykłe? - upewniał się ClifFord.

- Na przykład coś, co przebiegało inaczej niż normalnie. Albo jakąś osobę, która wcześniej się tu nie pojawiała.

- Był tu jeden taki facet. Wyszedł koło północy. Bardzo się spieszył. Widziałeś go może, Mac? - zwrócił się do drugiego odźwiernego. Ten przecząco pokręcił głową. - Mnie się on całkiem nie podobał.

- Papierosa? - zaproponował Littlemore. Clifford sięgnął do paczki i schował papierosa do kieszeni, ponieważ obowiązywał go zakaz palenia w pracy. - A dlaczego on się panu nie podobał? Co z nim było nie tak?

- On tak po prostu mi się nie podobał. Może to był jakiś obcokrajowiec?

Clifford nie potrafił bliżej sprecyzować swoich zastrzeżeń, zapewnił jednak, że człowiek ten nie mieszka w rezydencji Balmoral. Littlemore dokładnie wypytał o jego wygląd: wysoki, chudy, dobrze ubrany, ciemne włosy, wysokie czoło, pod czterdziestkę. Nosi okulary, a wtedy dźwigał jakąś czarną walizkę. Wsiadł do dorożki przed rezydencją i pojechał w stronę centrum.

Przez kolejne dziesięć minut detektyw przepytывał odźwiernych i portierów, żaden jednak nie zauważył, jak wysoki ciemnowłosy mężczyzna wchodził do budynku. Mógł jednak wejść niepostrzeżenie razem z którymś z mieszkańców. Potem Littlemore zapytał, gdzie znajdzie pokojówki. Skierowano go na dół.

W piwnicy Littlemore dotarł do niskiego gorącego pomieszczenia z rurami biegnącymi po wierzchu wzdłuż wszystkich ścian. Grupa pokojówek składała właśnie bieliznę. Wszystkie wiedziały, która

obsługiwała pannę Riverford: Betty Longobardi. Szeptem poinformowały detektywa, że nikt od tej pory nie widział Betty. Zniknęła. Wyszła z pracy wcześniej, nie mówiąc nikomu ani słowa. Nie miały pojęcia, dlaczego. To była bardzo miła dziewczyna, choć potrafiła pokazać pazurki. Kilka razy postawiła się nawet kierownikowi nocnej zmiany. Może znów się o coś z nim pożarła? Jedna z pokojówek wytłumaczyła mu, gdzie Betty mieszka. Po uzyskaniu tej informacji detektyw zaczął się zbierać do wyjścia. I wtedy właśnie zobaczył Chińczyka.

Ubrany w biały podkoszulek i ciemne szorty mężczyzna wszedł do pokoju, dźwigając wiklinowy kosz po brzezi wypełniony świeżo upraną bielizną. Wyłożył pranie na stół i kierował się z powrotem do drzwi, kiedy Littlemore zwrócił na niego uwagę. Wzrok detektywa przykuły chude łydki i sandały opuszczającego pomieszczenie mężczyzny. Jednak to nie one wydały mu się tak interesujące ani nawet chód Chińczyka, który dziwnie szurał stopami po ziemi, zostawiając za sobą długie ślady. Ni mniej, ni więcej, tylko te ślady zafrapowały młodego policjanta - dostrzegł w nich bowiem kawałeczki ciemnoczerwonej gliny.

- Hej, ty tam! - powiedział głośno.

Chińczyk zastygł w bezruchu ze zgarbionymi plecami, po chwili jednak puścił się pędem i zniknął za drzwiami, mocno ściskając w dłoni wiklinowy kosz. Detektyw rzucił się za nim w pogoń i wypadł z pomieszczenia akurat w porę, by zobaczyć, jak Chińczyk znika za drzwiami wahadłowymi na końcu długiego korytarza. Pobiegł w tamtą stronę, przeszedł przez wahadłowe drzwi i znalazł się w pralni: olbrzymiej, rozbrzmiewającej wszelakimi dźwiękami sali pełnej mężczyzn. Pochylali się nad deskami do prasowania, tarami, prasowalnicami parowymi i poruszali korbami wielkich pralek. Widział Murzynów i białych, Włochów i Irlandczyków, nigdzie jednak nie dostrzegł Chińczyka. Pusty kosz wiklinowy leżał na boku przy jednej z desek do prasowania, kołysząc się jeszcze delikatnie, dopiero co rzucony na podłogę. Woda stojąca na podłodze skutecznie zacierała wszelkie ślady. Littlemore przesunął na bakier swój słomkowy kapelusz i pokręcił głową.

Gramercy Park przy alei Lexington był jedynym prywatnym parkiem na całym Manhattanie. Korzystać mogli z niego tylko właściciele domów stojących naprzeciw wykwintnego metalowego ogrodzenia okalającego cienistą zielenią. W komplecie kluczy każdego z nich znajdował się mały kluczyk do furtki, która otwierała drogę do prawdziwego rajskiego ogrodu kwiatów, krzewów i drzew.

Dla dziewczyny, która wychodziła z jednego z tych domów wczesnym wieczorem w poniedziałek 30 sierpnia, klucz do tej furtki zawsze stanowił przedmiot niemal magiczny. Gdy była mała, stara służąca, pani Biggs, pozwalała jej nieść go w małej białej sakiewce, kiedy przechodziły przez ulicę. Nie umiała jeszcze wtedy otwierać zamków i pani Biggs musiała prowadzić jej rękę, pomagając przekręcić klucz w dziurce. Wraz z otwarciem furtki cały świat stawał przed nią otworem.

Im była starsza, tym park się robił mniejszy. Teraz miała już siedemnaście lat i oczywiście od dawna potrafiła przekręcać klucz w zamku bez niczyjej pomocy. Tak też właśnie uczyniła: otworzyła furtkę i powoli podeszła do ławki, na której zawsze siadywała. Niosła kilka podręczników szkolnych i własny egzemplarz powieści Edith Wharton *Świat zabawy*. Nadal bardzo lubiła tę ławkę, choć z biegiem czasu park stał się raczej dodatkiem do domu rodziców niż schronieniem przed nimi. Pięć tygodni temu udali się oni na wieś, zostawiając córkę pod opieką pani Biggs i jej męża. Wciąż jeszcze odczuwała radość, jaką sprawiła jej wiadomość o wyjeździe rodziców.

Dzień był nieznośnie gorący; jej ulubiona ławka stała jednak pod baldachimem z kasztanowca i

wierzy. Położyła obok siebie książki, nie otwierając ich nawet. Pojutrze zacznie się wrzesień - miesiąc, na który tak bardzo czekała przez całą, jak jej się zdawało, wieczność. W przyszłą niedzielę skończy osiemnaście lat. Trzy tygodnie później rozpocznie studia w Barnard College. Była jedną z dziewcząt, które mimo przemożnej chęci wejścia w życie starały się jak najdalej odsunąć od siebie dorosłość. Kiedy miała trzynaście, czternaście, a nawet piętnaście lat, ciągle jeszcze bawiła się lalkami i pluszowymi misiami, choć jej szkolne koleżanki rozmawiały już o szminkach, pończochach i balach. W wieku szesnastu lat pluszowe zabawki wreszcie skazano na banicję i popadły w zapomnienie na górnych półkach jej szafy. Jako siedemnastolatka była smukłą, błękitnooką dziewczyną o oszałamiającej wręcz urodzie. Długie jasne włosy nosiła związane z tyłu kokardą.

Kiedy dzwony kościoła kalwaryjskiego wybiły szóstą, zobaczyła panią Biggs i jej męża, jak w pośpiechu zbiegają po schodach frontowej werandy domu - zapewne chcieli zdążyć po zakupy przed zamknięciem sklepów. Pozdrowili ją machnięciem dłoni, a ona odwzajemniła przyjazny gest. Kilka minut później otarła łzy z oczu i wolno ruszyła w stronę domu, przyciskając książki do piersi. Patrzyła pod nogi, obserwując trawę, koniczynę i fruujące nad nią pszczoły. Gdyby spoj-rzała w lewo, zapewne dostrzegłaby w odległym końcu parku mężczyznę, który stał za żelaznym ogrodzeniem.

Przyglądał się jej od dłuższej już chwili. Trzymał w ręku czarną walizkę i ubrany był też na czarno, zdecydowanie nieodpowiednio jak na upalną pogodę. Ani na chwilę nie spuścił z niej wzroku, gdy przechodziła przez ulicę i potem pokonywała schody przed frontowym gankiem pilnowanym przez dwa niewielkie wapienne lwy, które skutecznymi strażnikami nie były na pewno. Widział, jak dziewczyna otworzyła drzwi, nie korzystając z klucza. Wcześniej zaobserwował też dwójkę służących, którzy pospiesznie opuszczali dom.

Mężczyzna rozejrzał się uważnie i szybkim krokiem podszedł do ganku. Wspiął się na schody i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się natychmiast.

Pół godziny później ciszę letniego wieczoru w Gramercy Park przerwał dziewczęcy krzyk. Odbijał się echem od jednego końca ulicy do drugiego, wibrował w powietrzu i wbrew prawom fizyki zdawał się brzmieć w nieskończoność. Zaraz potem tylnymi drzwiami wybiegł z domu ubrany na czarno mężczyzna. Potknął się o schodek i w tym momencie upuścił metalowy przedmiot wielkości drobnej monety, który odbił się od kamiennej płytki i poszybował zaskakująco wysoko w powietrze. Mężczyzna się zachwiał, szybko jednak odzyskał równowagę, popędził w kierunku komórki na narzędzia i uciekł z ogrodu tylnym wyjściem na małą uliczkę za domem.

Krzyk usłyszeli także państwo Biggsowie. Właśnie wracali do domu obładowani zakupami i bukietami kwiatów. Najszybciej, jak potrafili, dobiegli przerażeni do drzwi, a później weszli na piętro. Drzwi do głównej sypialni stały otworem, choć przecież powinny być zamknięte. Wewnątrz zobaczyli swoją podopieczną. Na jej widok panu Biggsowi wypadły z rąk pakunki. Torba z mąką pękła i biały pył rozsypał się wokół jego znoszonych czarnych butów. W górę wzbiła się pudrowa chmura, a po podłodze w stronę bosych stóp dziewczyny toczyła się cebula.

Panią pośrodku sypialni rodziców niemal całkiem naga, odziana tylko w bieliznę - tego oczy służącego w żadnym razie oglądać nie powinny. Miała gołe nogi, a jej smukłe ręce unosiły się nad głową związane grubą liną; ta z kolei przymocowana była do haka w suficie, na którym wisiał mały żyrandol. Wyprostowanymi palcami dziewczyna omal dotykała zwisających z niego kryształowych sopli. Zarówno z przodu, jak i z tyłu bieliznę miała podartą, jakby rozerwaną silnymi uderzeniami pejcza lub trzciniowej laski. Między wargi ktoś jej wcisnął coś, co wyglądało jak krawat albo męski

szalik, który następnie owinął wokół szyi.

Na szczęście żyła. Rozglądała się wokół szeroko otwartymi przerażonymi oczami. Na dwójkę znanych sobie przecież służących popatrzyła nie z ulgą, lecz z obawą, jakby byli mordercami albo zjawami z najgorszych koszmarów. Mimo upału cała się trzęsała. Po raz kolejny zebrała się do krzyku, tym razem jednak nie wydobyła z gardła żadnego dźwięku, jakby głos jej odmówił posłuszeństwa.

Pani Biggs pierwsza przysłała do siebie. Przede wszystkim wypchnęła męża z pokoju i poleciła mu, natychmiast sprowadzić do domu policjanta. Następnie ostrożnie podeszła do dziewczyny i przemawiając do niej bardzo łagodnie, zaczęła rozplątywać krępujące ją więzy. Gdy wyjęła z jej ust szal, dziewczyna zaczęła wykonywać ustami ruchy zwykle towarzyszące mówieniu, jednak spomiędzy warg nie dobył się ani jeden dźwięk, ani jedno słowo, choćby wypowiedziane szeptem. Kiedy przybyła na miejsce policja, funkcjonariusze z konsternacją stwierdzili, że dziewczyna straciła mowę. Czekali ich jednak jeszcze większa niespodzianka. Przyniesiono jej papier i ołówek, a jeden z policjantów poprosił, by opisała dokładnie, co się stało. Napisała dwa słowa: „Nie mogę”. Dopytywali się, dlaczego, na co młoda panna napisała kolejne dwa słowa: „Nie pamiętam”.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Była prawie siódma, gdy Freud, Ferenczi i ja wróciliśmy do hotelu w ten poniedziałkowy wieczór. Brill pojechał prosto do domu, zmęczony, ale szczęśliwy. Odnoszę wrażenie, że Coney Island jest ulubionym miejscem Brilla w Ameryce. Powiedział mi kiedyś, że gdy przybył do Stanów Zjednoczonych w wieku piętnastu lat, bez grosza przy duszy i zupełnie sam, całe dni spędzał na nadmorskim deptaku, a noce pod nim. Mimo to nie byłem przekonany, czy rzeczywiście prezentację Ameryki powinniśmy zacząć od pokazania Freudowi wystawy wcześnieaków utrzymywanych przy życiu w inkubatorach oraz Jolly Trixie, kobiety ważącej trzysta dziesięć kilogramów, reklamowanej zapierającym dech sloganem: „Ona to dopiero jest gruba!”.

Freud był jednak najwyraźniej zachwycony i stwierdził, że deptak przypomina mu wiedeński Prater, tylko - jak się wyraził - w olbrzymim powiększeniu. Brill przekonał go nawet, by wypożyczył strój kąpielowy i razem z nami popływał w olbrzymim napełnianym słoną wodą basenie w Steeplechase Park; profesor okazał się lepszym pływakiem od Brilla i Ferenczego. Po południu zaczęły mu doskwierać dolegliwości związane z prostatą, usiedliśmy więc dla odpoczynku w kawiarnianym ogródku przy deptaku. Odbyliśmy tam rozmowę, przerywaną przeraźliwym łoskotem pędzących w wesołym miasteczku kolejek i cichszym nieco łopotem żagli; nigdy jej nie zapomnę.

Brill wyszydzał leczenie kobiet z histerii, stosowane przez amerykańskich lekarzy, którzy zalecali albo kuracje wodne, albo masaże, albo wibracje.

- To po części szarlataneria, a po części usługi seksualne
- zawyrokował i dla poparcia swojej tezy zaczął opisywać potężną maszynę wibracyjną zakupioną niedawno za czterysta dolarów przez pewnego lekarza, który był ni mniej, ni więcej, tylko profesorem medycyny w Columbia University - W rzeczywistości, choć oczywiście żaden się do tego nie przyzna, lekarze ci starają się głównie doprowadzić pacjentki do orgazmu.
- Wydaje się pan oburzony, a przecież Avicenna stosował tę samą metodę w Persji ponad dziewięćset lat temu
- odparł Freud.
- Czy robił to dla pieniędzy? - odpowiedział Brill pytaniem, w którym pobrzmiwała nutka goryczy.
- Niektórzy z kolegów zarabiają na tym tysiące dolarów miesięcznie. Ale najgorsza jest ta ich hipokryzja. Pewnego razu zwróciłem uwagę jednemu z czcigodnych doktorów, który akurat jest moim przełożonym w szpitalu, że jeśli stosowane przez niego leczenie okazuje się skuteczne, to dowodzi słuszności psychoanalizy. Ta bowiem podkreśla związek między histerią a seksualnością. Trzeba było widzieć jego oburzenie! I słyszeć zapewnienia, że jego kuracje nie mają nic wspólnego z seksem, pozwalają jedynie pacjentkom zrelaksować się i pozbyć nadmiernego pobudzenia układu nerwowego. Na koniec stwierdził, że jeśli ja wyciągam inne wnioski, dowodzi to jedynie szkodliwego wpływu teorii Freuda. Miałem szczęście, że nie wyrzucił mnie z pracy!

Freud tylko się uśmiechnął. Nie podzielał ani wojowniczości, ani goryczy Brilla. Stwierdził, że nie można winić ludzi niedouczonego. Dotarcie do prawdy o histerii jest wyjątkowo trudne, a ponadto

przez całe wieki stosowano poważne represje wobec uczonych zajmujących się tym problemem.

- Tak samo jest z każdą chorobą - powiedział na zakończenie. - Dopiero gdy zrozumiemy przyczynę, możemy stwierdzić, że znamy naturę trapiących człowieka dolegliwości. I tylko wtedy możemy je leczyć. Obecnie przyczyny hysterii są dla tych lekarzy nieznane, dlatego wciąż tkwią oni w średniowieczu. Leczą pacjentów za pomocą upuszczania krwi i nazywają to medycyną.

Wtedy właśnie rozmowa nabrała tak wielkiego dla mnie znaczenia. Freud zapytał bowiem, czy chcemy zapoznać się z jednym z jego niedawnych przypadków - chodziło o pacjenta opętanego strachem przed szczurami. Oczywiście, odpowiedzieliśmy twierdząco.

Nigdy wcześniej nie słyszałem, by ktoś opowiadał tak jak Freud. Opisywał historię choroby tak płynnie, z tak wielką erudycją i znajomością rzeczy, że niepodzielnie panował nad naszą uwagą przez całe trzy godziny. Co jakiś czas Brill, Ferenczi i ja przerywaliśmy mu, zadając jakieś pytanie lub prowokując profesora. Odpowiadał na pytanie, zanim zadający zdołał wypowiedzieć je do końca. W kilku zdaniach potrafił rozwiać wszystkie nasze wątpliwości. Byłem całkowicie przekonany, że wśród wrzasków naganiaczy wabiących klientów, krzyków bawiących się dzieci i odwiedzających Coney Island poszukiwaczy emocji nasza czwórka drąży najgłębsze pokłady wiedzy człowieka o własnej naturze, dochodząc do nigdy nieodkrywanych obszarów, wytyczając ścieżki na niezbadanym lądzie, na które pewnego dnia wkroczy po naszych śladach cała ludzkość. Wszystko, co człowiek wie o sobie - ludzkie sny i marzenia, świadomość i najszybsze pragnienia - zmieni się na zawsze.

Po powrocie do hotelu Freud i Ferenczi szykowali się na obiad u Brilla. Ja sam, niestety, byłem już wcześniej umówiony. Jung też miał im towarzyszyć, nigdzie jednak nie mogliśmy go znaleźć. Freud kazał mi pukać do skutku do drzwi jego pokoju, ale na nic się to nie zdało. Czekali do ósmej, po czym udali się do Brilla bez niego. Przebrałem się szybko, nieco rozdrażniony, w strój wieczorowy. Konieczność uczestniczenia w balu była dla mnie przykra zawsze; fakt, że z powodu balu ominęła mnie kolacja z Freudem, wyjątkowo mnie poirytował.

Nowojorska socjeta doby połączanego wieku zawdzięczała swoje istnienie dwóm wyjątkowo bogatym kobietom: pani Williamowej B. Astor i pani Williamowej K. Vanderbilt. Była bowiem dziełem starcia, do którego doszło między nimi w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego stulecia.

Pani Astor, z domu Schermerhorn, szczyliła się przynależnością do najwyższych sfer, pani Vanderbilt natomiast pochwalić się tym nie mogła. Astorowie wywodzili swój ród i bogactwo z arystokracji holenderskiej, która osiadła w Nowym Jorku jeszcze w osiemnastym wieku. Prawdę mówiąc, w ich przypadku termin „arystokracja” był nieco nadużywany, ponieważ ci handlarze futer nie byli książętami krwi w Starym Świecie. Europejskie damy i europejscy panowie nie czytali zapewne pamiętników Tocqueville’a, zgadzali się natomiast co do jednej różnicy między Europą a Stanami Zjednoczonymi: Ameryka, na swoje nieszczęście, pozbawiona była arystokracji. Niemniej już w końcu dziewiętnastego wieku bajecznie bogaci Astorowie bywali gośćmi w londyńskim pałacu St. James; wkrótce też ich aspiracje zostały zaspokojone angielskimi tytułami szlacheckimi, które oczywiście były o wiele lepsze od holenderskich, tym bardziej że holenderskich nie było.

Vanderbiltowie z kolei nie mieli szlacheckich korzeni. Cornelius Vanderbilt, zwany Komandorem, był za to najbogatszym człowiekiem w Ameryce. Więcej, był najbogatszym człowiekiem na świecie. W połowie dziewiętnastego wieku milion dolarów oznaczało bajeczną wprost fortunę. Cornelius Vanderbilt był wart sto milionów dolarów - na tyle oszacowano jego majątek, gdy zmarł w 1877 roku.

Dziesięć lat później jego syn podwoił rodzinny kapitał. Mimo to Komandor był zwyczajnym, ordynarnym, rzec by można, magnatem kolejowym i okrętowym, który majątek zawdzięczał przemysłowi. Dlatego właśnie pani Astor nie składała wizyt ani jemu, ani jego krewnym.

Szczególnie pieczołowicie pani Astor omijała dom młodej pani Williamowej K. Vanderbilt, żony wnuka Komandora. Nie zostawiła tam nawet swojej karty wizytowej, tym samym demonstrując, że Vanderbiltowie nie zasługują na bywanie w najlepszych domach na Manhattanie. Pani Astor głosiła także, że w całym Nowym Jorku jest zaledwie czterysta osób godnych pojawienia się w przyzwoitej sali balowej, przy czym tak się składało, że właśnie czterystu ludzi mogła pomieścić jej własna sala balowa. Vanderbiltowie, oczywiście, nie zaliczali się do owych czterech setek.

Pani Vanderbilt nie była osobą mściwą, natomiast dała się poznać jako kobieta inteligentna, niezłomna i wytrwała. Nie żałowała grosza, by przełamać wzniesione przez Astorów bariery. Najpierw, obficie korzystając z hojności męża, zdobyła zaproszenie na Bal Patriarchów, który był wydarzeniem w nowojorskim kalendarzu towarzyskim - pojawiali się na nim najznakomitsi mieszkańcy miasta. Wciąż jednak nie dawało jej to wstępu do ściśle wyselekcjonowanego grona bywalców domu pani Astor.

Podjęła więc kolejny krok. Namówiła męża na budowę nowego domu. Ta nowa siedziba Vanderbiltów miała stanąć przy Piątej Alei pod numerem 660, na skrzyżowaniu z Pięćdziesiątą Drugą, i nie przypominać wyglądem żadnego domu w całym Nowym Jorku. Cel został osiągnięty. Rezydencja zaprojektowana przez Richarda Morrisa Hunta, nie tylko najlepszego amerykańskiego architekta, ale też gościa mile widzianego w domu Astorów, świeciła ścianami z białego wapienia i imponowała francuskim stylem z doliny Loary. Drzwi frontowe prowadziły pod zawrotnie wysoko sklepiony sufit kamiennego foyer, które przez ponad osiemnaście metrów wiodło do przepięknej klatki schodowej, zdobionej rzeźbami w marmurach sprowadzanych aż z Caen. Wśród trzydziestu siedmiu pomieszczeń znajdowała się olbrzymia jadalnia rozświetlana wielkimi witrażami, sala gimnastyczna dla dzieci i sala balowa na ośmiuset gości. Całości dopełniały obrazy, które wyszły spod pędzla Rembrandta i Gainsborougha, oraz stylowe meble, niegdyś należące do Marii Antoniny.

W 1883 roku budowa nowej rezydencji dobiegała końca i pani Vanderbilt ogłosiła, że niebawem wyda bal inauguracyjny, który, jak się później okazało, kosztował ją jakieś dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ale były to dobrze zainwestowane pieniądze - przede wszystkim zapewniły na balu obecność kilku znaczących a przekupnych osobistości, które nie przestrzegały narzuconej przez panią Astor etykiety. Znalazło się wśród nich kilka angielskich dam, garstka teutońskich baronów, koteria włoskich hrabiów i nawet były prezydent Stanów Zjednoczonych. Pani Vanderbilt dopełniła starań, by ten i ów usłyszał o kilku ważnych gościach. Tu i ówdzie rozpuściła także wieści o wyjątkowo atrakcyjnych oraz niebywale kosztownych rozrywkach czekających uczestników balu. Kazała wydrukować tysiąc dwieście zaproszeń. Wówczas bal inauguracyjny w nowej rezydencji zagościł na ustach wszystkich nowojorczyków.

Tak się złożyło, że wyjątkowo ochoczą bywalczynią przyjęć i bali była Carrie, ukochana córka pani Astor, która przez całe lato wraz z przyjaciółkami przygotowywała się do kadryla na wielkim balu u Vanderbiltów. Tymczasem żadne z owych tysiąca dwustu wydrukowanych zaproszeń nie trafiło do Carrie Astor. Zaproszeni zostali wszyscy jej znajomi, którzy teraz dopiero zaczęli przygotowywać stroje do kadryla, ona zaś nie. Nic więc dziwnego, że zalewała się łzami. Pani Vanderbilt opowiadała każdemu, kto zechciał słuchać, że bardzo współczuje Astorównie i wszystko by zrobiła, by osuszyć jej łzy. Jak jednak mogła zaprosić na bal dziewczynę, której matce nie została przedstawiona?

Któregoś popołudnia zimą 1883 roku pani Williamowa B. Astor wsiadła do powozu i kazała się wieźć na Piątą Aleję pod numer 660; tam poleciła odzianemu w niebieską liberię lokajowi zostawić swoją kartę wizytową. Dawało to pani Vanderbilt doskonałą okazję, by zignorować wielką Caroline Astor - okazję, której nie oparłaby się z pewnością osoba nie tak dalekowzroczna. Pani Vanderbilt jednak zareagowała natychmiast, wysyłając do rezydencji Astorów zaproszenie na swój bal, dzięki czemu Carrie w towarzystwie matki mogła w nowej siedzibie rodziny Vanderbilto w zaprezentować wart ponad dwieście tysięcy dolarów brylantowy gorset wszystkim gościom, w tym także elicie - czterystu bywalcom domu pani Astor.

Na początku dwudziestego stulecia dom ten przemienił się z niezdojbytej twierdzy w przybytek władzy, pieniędzy i sławy. Wkupić się do socjety mógł każdy, kto wart był sto milionów dolarów. Panowie z wyższych sfer żenili się z tancerkami rewiowymi, a panie z najlepszego towarzystwa opuszczały mężów. Nawet pani Vanderbilt w 1895 roku w atmosferze skandalu uzyskała rozwód i została panią Olivero-wą H. P Belmont. Charlotte, córka pani Astor, uciekła do Anglii z kochankiem, zostawiając czwórkę dzieci. Trzej synowie i jeden wnuk multimilionera Jaya Goulda pojęli za żony aktorki. James Roosevelt poślubił prostytutkę. Nawet morderca mógł być wzięty za znakomitość, zwłaszcza jeśli miał odpowiednie pochodzenie. Harry Thaw z Pittsburgha, choć był dziedzicem niezłej fortuny w branży górniczej, nigdy nie zyskałby sławy w Nowym Jorku, gdyby nie zabił renomowanego architekta Stanforda Whitea na dachu budynku Madison Square Garden w 1906 roku. Choć strzelił Whiteowi prosto w twarz na oczach setki biesiadników, ława przysięgłych uniewinniła go dwa lata później, uznając za niepoczytalnego. Byli jednak komentatorzy, którzy otwarcie twierdzili, że żadna ława przysięgłych w Ameryce nie skazałaby mężczyzny za zabicie drania, który zaciągnął do łóżka jego żonę. Z kolei, by być uczciwym wobec Whitea, trzeba stwierdzić, że jego romans z ową młodą damą zdarzył się w czasach, gdy była ona jeszcze szesnastoletnią niezamężną tancerką kabaretową, a nie szacowną panią Thaw. Jeszcze inni utrzymywali, że członkowie ławy przysięgłych nie chcieli skazać pana Thaw ze względu na sporą sumę pieniędzy, którą otrzymali od adwokata oskarżonego; wręczając ją, zapewniał każdego z nich, że jeśli tak podyktuje im sumienie, mogą odrzucić jego wniosek o umorzenie postępowania i uniewinnienie jego klienta.

Latem nowojorskie elity udawały się do marmurowych pałaców w Newport i Saratodze, aby oddawać się żegludze, jeździe konnej i grze w karty. W tamtych wspaniałych czasach najznamienitsze rodziny potrafiły jeszcze udowodnić, że naprawdę zaliczają się do najlepszych. Wychowany w rezydencji pod numerem 660 na Piątej Alei młody Harold Vanderbilt trzykrotnie obronił puchar Ameryki, odpierając zaciekle ataki Brytyjczyków. On także wymyślił brydża kontraktowego.

Zbliżał się wrzesień 1909 roku i niebawem miał się rozpocząć nowy sezon. Wszyscy podzielali opinię, że od dawna nie było takiej plejady debutantek. „Times” donosił, że panna Josephine Crosby dysponuje wyjątkową urodą i cudownym głosem. Gibka panna Mildred Carter wraz z ojcem właśnie wróciła z Londynu, gdzie tańczyła z samym królem. Zadebiutować miały także panna Hyde, dziedziczka rodowej fortuny, oraz panna Rutheford, którą ostatnio widziano jako druhnę na ślubie panny White z hrabią Sheer-Thossem.

Zainauguować sezon miał bal charytatywny wydawany przez panią Stuyvesant Fish w poniedziałek 30 sierpnia

- jego celem była zbiórka funduszy na nowy szpital dla dzieci. Jako że modne stało się wydawanie bali w najznakomitszych hotelach Nowego Jorku, pani Fish zaprosiła gości do Waldorf-Astoria.

Okazały budynek mieścił się na rogu Piątej Alei i Trzydziestej Czwartej, w miejscu, gdzie ćwierć wieku wcześniej rezydowała pani Astor, dopóki nie została pokonana przez panią Vanderbilt. W porównaniu z imponującą rezydencją

Vanderbiltów ceglany dom Astorów zrobił się nagle niewielki i bezbarwny. Dlatego pani Astor bez większych ceremonii zrównała go z ziemią i trzydzieści przecznic dalej wzniosła dwukrotnie większe francuskie *chateau* - nie w stylu zamków nad Loarą, lecz bardziej wyszukany i dostojnym stylu drugiego cesarstwa, z salą balową na tysiąc dwieście osób. Tereny zwolnione przez panią Astor wykorzystał jej syn, który wznosił na nich największy na świecie i najbardziej luksusowy w mieście hotel Waldorf-Astoria.

Do wystawnych hotelowych wnętrz nowojorska socjeta wkraczała stumetrowym niemal korytarzem od strony Trzydziestej Czwartej, zwanej powszechnie Aleją Pawi. Z okazji wytwornego balu odźwierni przywdziali niebieskie pończochy i witali gości przy powozach, które licznie pojawiały się na podjeździe. Po obydwu stronach Alei Pawi setkami ustawili się nowojorczy, by zobaczyć procesję najbogatszych i najpotężniejszych. Przykryta kopułą i lśniąca złoceniami olbrzymia restauracja hotelowa, zwana Palmowym Ogrodem, miała szklane ściany, żeby tłum na zewnątrz mógł podziwiać wykwintną biesiadę i doborowe towarzystwo. W sali nie zabrakło też wielkich kryształowych lusterek, w których wytworni biesiadnicy mogli podziwiać samych siebie. Na swój bal pani Stuyvesant Fish zarezerwowała nie tylko Palmowy Ogród, ale też Salę Cesarską i urokliwą restaurację Pod Mirtami na wolnym powietrzu. Gościom przygrywała orkiestra z Metropolitan Opera w pełnym składzie z towarzyszeniem zespołu tamtejszych śpiewaków.

Dźwięki muzyki przywitały Strathama Youngera, gdy zjawił się w Alei Pawi u boku swojej kuzynki, panny Belvy Dula, pół godziny po tym, jak jego europejscy goście wyszli na obiad do państwa Brillów.

Moja matka była z domu Schermerhom. Jej siostra poślubiła Fisha. Te dwa znaczące fakty genealogiczne sprawiały, że byłem zapraszany na każdy wystawny bal na Manhattanie.

Zamieszkałem w Worcester w stanie Massachusetts, co dawało mi doskonałą wymówkę, by Iwią część tych zaproszeń odrzucać. Musiałem jednak czynić wyjątki dla balów i przyjęć wydawanych przez moją ekscentryczną ciotkę Mai-me, czyli panią Stuyvesant Fish. Nie była moją prawdziwą ciotką, kazała się jednak tak nazywać, co też czyniłem już jako chłopiec, gdy spędzałem wraz z rodzicami letnie miesiące w jej domu w Newport. Po śmierci ojca to właśnie ciotka Maime zadbała, by mojej matce niczego nie zabrakło i żeby nie musiała wynosić się z naszego domu w Back Bay, w którym mieszkała od dnia ślubu. Dlatego nigdy nie odrzucałem zaproszeń ciotki Maime. Na dodatek jeszcze kuzynce Belvie już dawno temu obiecałem, że wraz z nią pojawię się w Alei Pawi.

- A to co znowu? - zapytała Belva, mając na myśli muzykę, gdy szliśmy wzdłuż niekończącego się holu, otoczeni tłumem zerkających na nas z każdej strony ludzi.

- To *Aida* pana Verdiego, a my jesteśmy maszerującymi zwierzętami - odparłem.

Belva wskazała grubą kobietę, którą w pewnej odległości przed nami prowadził mąż.

- Popatrz tylko na Arthura Scotta Burdena i jego żonę! Pierwszy raz widzę panią Scott w wielkim pąsowym turbanie. Może powinniśmy w związku z tym przybyć tu na słońcach?

- Belvo!
- A tam, zobacz, państwo Nastowie! Jej kapelusz a la dyrektoriat wydaje się o wiele bardziej na miejscu, nie sądzisz? Podobają mi się też te jej gardenie, ale nie jestem przekonana do strusich piór. Mogą nakłaniać ludzi, by chowali głowę w piasek, kiedy pani Nastowa przechodzi obok.
- Miarkuj się, Belvo!
- Czy zdajesz sobie sprawę, kuzynie, że obserwuje nas przynajmniej tysiąc par oczu? - zapytała Belva, najwyraźniej delektując się zainteresowaniem tłumu. - Założę się, że w Bostonie nie zdarza się nic podobnego!
- Z przykrością stwierdzam, że Boston pozostaje daleko w tyle - odparłem.
- Ta z całą masą drogich kamieni we włosach to baronowa von Haefton, która zeszłej zimy nie zaprosiła mnie na bal wydawany na cześć markiza de Charette. Tuż za nią idzie John Jacob Astor z żoną. Towarzystwo aż huczy, że wszędzie pojawia się z Maddie Forge, która dopiero co skończyła szesnaście lat. A oto i nasi gospodarze, państwo Stuyvesant Fishowie.
- Fish - poprawiłem.
- Słucham?
- Nazwisko Stuyvesant Fish nie przyjmuje liczby mnogiej. Mówi się więc „państwo Stuyvesant Fish”, a nie „Stuyvesant Fishowie” - wyjaśniłem, skwapliwie korzystając z wyjątkowo rzadkiej okazji do pouczenia kuzynki Belva w sprawach nowojorskiej etykiety.
- Nie wierzę ani jednemu twojemu słowu, kuzynie. Przecież pani Fish wygląda tak właśnie, jakby na dzisiejszy wieczór przyjęła liczbę mnogą. Nie sądzisz?
- Nie dam powiedzieć złego słowa o mojej ciotce, Belvo!
- upomniałem ją. Kuzynka Belva była niemal moją rówieśnicą. Zналиśmy się od dziecka. Na salony wkroczyła prawie dziesięć lat temu, nikt jednak się na nią dotychczas nie połasczył, zapewne z powodu wyglądu. W wieku dwudziestu siedmiu lat biedaczka znajdowała się w rozpaczliwej sytuacji, gdyż otoczenie powoli oswajało się z tym, że zostanie starą panną. - Ciotka Maime przynajmniej nie przyprowadziła dziś swojego pieska - dodałem po chwili.

Kiedyś w Newport ciotka Maime wydała bal na cześć nowego pudła francuskiego, który wszedł na salę, drepcząc po czerwonym dywanie w nabijanej brylantami obroży.

- Jak to nie? - odparowała Belva z wyraźną satysfakcją.
- Oczywiście, że przyprowadziła. I też ubrała w obrożę z brylantami! - mówiąc to, wskazywała Marion Fish, najmłodszą córkę ciotki Maime, na której oszałamiający debiut nie została zaproszona.
- No i dotarliśmy na miejsce, kuzynko - powiedziałem, gdy doszliśmy do końca korytarza. - Teraz muszę cię opuścić - dodałem, albowiem ciotka Maime już odrywała mnie od niej, by wrzucić w ramiona panny Hyde, która oprócz wielkiego majątku nie miała żadnych wielkich zalet. Tańczyłem

także z kilkoma innymi pannami, włącznie z wysoką Elea-nor Sears, która okazała się całkiem miła, choć nieustannie musiałem pochylać głowę, by uniknąć zderzenia z rondem jej wielkiego kapelusza, który przypominał sombrero. Oczywiście, jeden taniec przypadł biedaczce Belvie.

Po obowiązkowym koktajlu z ostryg uraczono nas - według menu z kartami o złoconych brzegach - rosyjskim bufetem, czyli pieczoną baraniną z purée z kasztanów jadalnych i szparagów, sorbetem z szampana, pieczonym żółwiem i rumianą kaczką z sałatką pomarańczową. A był to zaledwie pierwszy z dwóch posiłków tego wieczoru. Drugi zaplanowano po północy. Dopiero po drugim gorącym posiłku miał się odbyć kadryl i inne tańce salonowe, które - jak znałem ciotkę Maime - przeciągną się do białego rana.

Czasem nawet lubiłem pojawiać się na nowojorskich balach i przyjęciach. Wycofałem się z towarzyskich spotkań w Bostonie, ponieważ nie mogłem znieść znaczących spojrzeń i szeptów dotyczących okoliczności śmierci mojego ojca. Różnica między socjetą Bostonu a nowojorską polegała na tym, że bostończycy chcieli za wszelką cenę robić to samo, co zgodnie z tradycją robili wszyscy, nowojorczyki zaś równie usilnie dążyli do tego, by prześcignąć w ekstrawagancji poprzedników. Nowojorskie bale były widowiskiem, do którego moje bostońskie maniery i przyzwyczajenia nijak nie przystawały, nawet jeśli często w nich uczestniczyłem. De-biutantki zwłaszcza - o wiele liczniejsze tutaj niż w Bostonie i znacznie większej urody - jak na mój gust spowite były nadmiernym blichtrzem. Brylanty i perły skrzyły się na gorsetach ich sukien, połyskiwały na szyjach i ramionach, migotały we włosach i zwieszały się z uszu. Wszystkie, oczywiście, najprawdziwsze, żadnych imitacji. Ja natomiast nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że patrzę na strasy.

- Tutaj jesteś, Stratham! - krzyknęła ciotka Maime. - Dlaczego ty i Marion jesteście spokrewnieni? Już dawno bym ją za ciebie wydała! A teraz słuchaj uważnie. Panna Crosby wszystkich o ciebie wypytuje. W tym roku skończy osiemnaście lat i jest drugą pod względem urody dziewczyną w Nowym Jorku. Ty z kolei jesteś najprzystojniejszym w tym mieście mężczyzną. Oczywiście, mam na myśli kawalerów. Musisz z nią zatańczyć!

- Przecież już z nią tańczyłem - odparłem. - Ponadto wiem z dobrego źródła, że panna Crosby zamierza poślubić pana de Menocal.

- Ale ja nie chcę, żeby ona poślubiła pana de Menocal! Dla niego przeznaczyłam wnuczkę Franza i Ellie Sigelów, małą Elsie. Ona jednak wyjechała do Waszyngtonu. Do tej pory mi się zdawało, że z Waszyngtonu się raczej ucieka! Co też ta dziewczyna sobie myśli? Równie dobrze mogłaby uciec do Kongo. Czy przywitałeś się już ze Stuyviem?

Stuyvie to jej mąż, Stuyvesant. Ponieważ nie wymieniłem jeszcze serdeczności z wujem Fishem, ciotka Maime poprowadziła mnie do niego. Wuj rozmawiał z Louistem J. de G. Milhau, którego znałem z Harvardu. Obok nich stał jeszcze jeden mężczyzna, czterdziesto-, może czterdziestopięcioletni. Wydał mi się znajomy, nie potrafiłem jednak sobie przypomnieć, kim jest. Krótkie włosy, gładko ogolony, inteligentne spojrzenie. Widać było, że cieszy się wielkim autorytetem. Zastanawiałem się, kim może być, gdy zagadkę rozwiązała ciotka Maime.

- To burmistrz - powiedziała szeptem. - Zaraz cię przedstawię.

Burmistrz McClellan, jak się okazało, właśnie wychodził. Ciotka Maime wyraziła głośny sprzeciw i podkreśliła, że wychodząc, straci występ panny Caruso. Ciotka nie znosiła opery, wiedziała natomiast

doskonale, że reszta świata uważa ją za szczyt dobrego tonu. Burmistrz przeprosił, że wychodzi, podziękował jej serdecznie za działalność dobroczynną na rzecz miasta i zapewnił, że na pewno nie opuściłby towarzystwa tak wcześnie, gdyby nie wzywały go wyjątkowo poważne sprawy. Ciotka Maime zaprotestowała jeszcze bardziej stanowczo, tym razem przeciwko używaniu w jej obecności słów „wyjątkowo poważne sprawy”. Oświadczyła, że nie chce słyszeć o niczym poważnym, po czym odwróciła się i odeszła, ciągnąc za sobą chmurę szyfonu.

Wtedy ku mojemu zaskoczeniu Milhau zwrócił się do burmistrza ze słowami:

- Younger jest lekarzem. Może opowie mu pan o tym?
- Do licha! To prawda - krzyknął wuj Fish. - I to lekarzem po Harvardzie. Na pewno znajdzie nam odpowiedniego człowieka! Niech mu pan o wszystkim opowie, McClellan!

Burmistrz zmierzył mnie wzrokiem i zamyślił się, jakby przyszło mu podjąć trudną decyzję.

- Zna pan Actona? - zapytał mnie w końcu.
- Lorda Actona? - odpowiedziałem pytaniem.
- Nie. Harcourta Actona z Gramercy Park. Sprawa dotyczy jego córki.

Dowiedziałem się, że dziś wieczorem dziewczyna padła ofiarą brutalnej napaści. Doszło do niej w domu rodzinnym pod nieobecność rodziców, którzy udali się na wieś. Napastnik nie został schwytany. Ba, nikt poza dziewczyną go nie widział. Gdy burmistrz McClellan, który był przyjacielem rodziny, prosił pannę Acton, by opisała przestępce, ona nie potrafiła nic powiedzieć i w ogóle nie pamiętała, co się zdarzyło. Burmistrz jechał właśnie do komendy policji; wciąż przebywała tam biedna panna Acton pod opieką lekarza rodzinnego. Ten jednak nie potrafił żadną miarą wyjaśnić, co się stało pacjentce, nie znalazł bowiem żadnych fizycznych obrażeń, które usprawiedliwiłyby takie symptomy chorobowe.

- Dziewczyna wpadła w histerię i cierpi na kryptoamnezję - orzekłem autorytatywnie.
- Kryptoamnezję? - powtórzył Milhau.
- Utratę pamięci wywołaną epizodem traumatycznym. Nazwę tę wprowadził doktor Freud z Wiednia. To stan histeryczny i często towarzyszy mu afonia, czyli bezgłos albo utrata mowy.
- Do licha! - odezwał się wuj Fish. - Utrata mowy, powiedziałaś? Właśnie to się jej przytrafiło!
- Doktor Freud napisał książkę o zaburzeniach mowy
- kontynuowałem. Ta monografia Freuda znana była w Ameryce na długo przedtem, nim pojawiły się tu jego prace z psychologii. - Jest on jednym z najlepszych na świecie specjalistów w tej dziedzinie. Wykazał związek między zaburzeniami mowy a histerią pourazową, zwłaszcza na tle seksualnym.
- Jaka szkoda, że ten pański Freud jest w Wiedniu - stwierdził burmistrz.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Głośno i długo dobijałem się do drzwi mieszkania Brilla, aż w końcu otworzyła mi jego żona. Nie mogłem się doczekać, kiedy powiem im, że właśnie zorganizowałem dla Freuda pierwszą konsultację psychologiczną w Ameryce, że na dole czeka samochód z kierowcą przysłany przez samego burmistrza Nowego Jorku. Zastałem ich jednak w humorach tak radosnych i beztroskich, że nie zdobyłem się na to, by tę sielankę przerwać.

Mieszkanie Brilla mieściło się na piątym piętrze w sześciokondygnacyjnym budynku przy zachodniej bramie Central Parku. Było maleńkie; zaledwie trzy pokoje, a każdy mniejszy od mojej kawalerki na Manhattanie. Za to okna wychodziły na park. Każdy niemal centymetr zajmowały tu książki. W powietrzu unosił się zapach smażonej cebuli.

Jung, Brill, Ferenczi i Freud tłoczyli się przy małym stole pośrodku pomieszczenia, które jednocześnie było kuchnią, jadalnią i salonem. Brill krzyknął do mnie, że muszę koniecznie skosztować, jak pyszny mostek przyrządziła Rose. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, już stał przede mną kieliszek wina. Brill i Ferenczi właśnie odgrywali scenkę psychoanalizy, przy czym ten pierwszy udawał Freuda, a Ferenczi pacjenta. Wszyscy pokładali się ze śmiechu, nawet Jung, który, jak zauważyłem, wodził wzrokiem za żoną Brilla.

- Drodzy przyjaciele - odezwał się Freud. - To wcale nie wyjaśnia, dlaczego Ameryka.
- Bo widzisz, Younger, właśnie zadajemy sobie pytanie
- zwrócił się do mnie Brill, chcąc wyjaśnić sytuację - dlaczego psychoanalizę ekskomunikowano w całej Europie, tutaj natomiast, w purytańskiej Ameryce, Freud ma otrzymać doktorat *honoris causa* i wygłosić serię wykładów na prestiżowym uniwersytecie. Jak to możliwe?
- Według Junga to dlatego, że wy, Amerykanie, nie rozumiecie seksualnych teorii Freuda - dodał Ferenczi. - Kiedy je zrozumiecie, odrzucicie psychoanalizę jak gorący kartofel.
- Nie sądzę - powiedziałem. - Moim zdaniem psychoanaliza będzie się u nas rozprzestrzeniać jak pożar.
- A to niby z jakiego powodu? - zapytał Jung.
- Otóż właśnie z powodu naszego purytanizmu - odparłem. - Jest jednak coś, co...
- Ależ jest dokładnie odwrotnie - przerwał mi Ferenczi.
- Purytańskie społeczeństwo powinno nas eliminować.
- I wyeliminuje, z całą pewnością. Ameryka was wyeliminuje, jak tylko się dowie, co mówimy! - dodał Jung sarkastycznie.
- Purytańska Ameryka? - wtrącił się Brill. - Sam diabeł bardziej przestrzega purytanizmu!

- Dajcie spokój, panowie - uciszyła ich Rose Brill, ciemnowłosa kobieta o poważnym spojrzeniu. - Pozwólcie, żeby doktor Younger dokończył myśl.

- Nie, nie, chwileczkę! - odezwał się Freud. - Doktor Younger chce nam powiedzieć coś zupełnie innego. Co mianowicie, mój chłopcze?

Schody z czwartego piętra pokonaliśmy najszybciej, jak się dało. Im więcej Freud słyszał o przypadku napadniętej dziewczyny, tym większą okazywał ekscytację. Gdy usłyszał, że sprawą interesuje się sam burmistrz miasta, chciał znaleźć się w centrum wydarzeń równie mocno jak ja. W samochodzie było jeszcze jedno wolne miejsce i Freud zdecydował, że oprócz Brilla pojedzie z nami także Ferenczi. Najpierw zaproponował to Jungowi, ten jednak, dziwnie niezainteresowany, odmówił. Nawet nie wszedł z nami do auta.

Zanim ruszyliśmy, Brill powiedział półgłosem:

- Nie podoba mi się to, że zostawiamy tu Junga. Poczekajcie chwilę, pójdę po niego. Ściśniemy się jakoś i po drodze wysadzimy go przy hotelu.

- Abrahamie - skarcił go Freud z niespodziewaną surowością. - Mówiłem ci, co o tym sędzę. Musisz jakoś pokonać nieufność wobec Junga. Jest mądrzejszy od nas wszystkich razem wziętych.

- Nie o to chodzi - zaprotestował Brill. - Przecież przed chwilą podjąłem tego człowieka obiadem we własnym domu, prawda? Chodzi mi o stan, w jakim znajduje się Jung, ot, co.

- Jaki stan?

- Coś z nim jest nie tak. Ma silne rumieńce i zbyt łatwo ulega ekscytacji; raz jest podniecony, a za chwilę znów obojętny. Musieliście przecież to zauważyć! Od czasu do czasu mówi też bez sensu.

- Sam podawałeś mu wino.

- To zupełnie nie ma nic do rzeczy - odparł Brill. - Wcześniej przecież nie tykał alkoholu.

- To był wpływ Bleulera - wyjaśnił Freud. - Ale już go z tego wyleczyłem. Chyba nie potępiasz go za to, że pije, Abrahamie?

- Oczywiście, że nie. Wszystko jest lepsze od trzeźwego Junga! Wydaje mi się, że powinniśmy zadbać, by był pijany bez przerwy. Słyszeliście, jak pytał, dlaczego podłoga w moim mieszkaniu jest taka miękka? Drewniana podłoga, powiedzmy sobie szczerze!

- Wszystko to wytwory wyobraźni - zawyrokował Freud.

- A za wyobraźnią zawsze kryje się wola, życzenie. Jung zwyczajnie nadużył alkoholu. Dopilnuj po prostu, żeby bezpiecznie dotarł do hotelu.

- Dobrze - odpowiedział Brill i wysiadł z auta, życząc nam powodzenia. Zanim wszedł do budynku, odwrócił się do nas i krzyknął: - Można by sobie życzyć, by wyobraźnia nie robiła nic!

Limuzyna sunęła hałaśliwie po Broadwayu. Ferenczi zapytał, czy w Ameryce zawsze się jada

mieszaninę jabłek, orzechów, selera i majonezu. Rose najwyraźniej podała gościom sałatkę waldorf.

Freud się nie odzywał. Sprawiał wrażenie zamyślonego. Pomyślałem, że zmartwiły go uwagi Brilla. Sam też podejrzewałem, że z Jungiem dzieje się coś niedobrego. Zastanawiałem się, co Freud miał na myśli, gdy powiedział, że Jung jest wart więcej niż my wszyscy razem wzięci.

- Brill cierpi na paranoję - niespodziewanie odezwał się Ferenczi, kierując te słowa do Freuda. - Na pewno nie dzieje się nic złego.

- Paranoik zawsze ma trochę racji - odpowiedział mu Freud. - Słyszałeś, jak on się przejęczył?

- Kto się przejęczył?

- Jung. Powiedział: „Ameryka was wyeliminuje”. Nie nas, tylko was - dodał Freud gwoli wyjaśnienia i zamilkł.

Jechaliśmy Broadwayem aż do Union Square, później Czwartą Aleją do Bowery Road przez Lower East Side. Mijając nieczynne targowisko na Hester Street, musieliśmy zwolnić. Choć była już prawie dwudziesta trzecia, zgromadziło się tam sporo Żydów, z długimi bokobrodami i w tych osobliwych czarnych strojach zapinanych od góry do dołu. Być może z powodu panującego upału nie mogli zasnąć w dusznych kamienicach, w których gnieździło się tak wielu imigrantów. Żydzi spacerowali pod rękę albo dyskutowali o czymś w małych grupkach. Hybryda dialektu dolnoniemieckiego, którą nazywali językiem jidysz, rozlegała się wszędzie wokół.

- A więc tak wygląda Nowy Świat - rzucił Freud z przedniego siedzenia; w jego głosie usłyszałem wyraźną dezaprobatę. - Po cóż, na Boga, przejechali pół świata, skoro powielają tryb życia, od którego uciekli?

- Nie jest pan człowiekiem religijnym, profesorze Freud? - zaryzykowałem pytanie. Okazało się wyjątkowo niefortunne. Początkowo sądziłem, że Freud nie dosłyszał. Po chwili jednak odpowiedział zamiast niego Ferenczi.

- To zależy, co rozumiemy przez religijność. Jeśli na przykład oznacza ona przekonanie, że Bóg jest zbiorową iluzją inspirowaną przez wszechwładny kompleks Edypa, Freud jest wyjątkowo religijny.

Surowe i przenikliwe spojrzenie Freuda, które po raz pierwszy spostrzegłem u niego na nabrzeżu, spoczęło teraz na mnie.

- Oto, jaki tok myślowy krył się za tym pytaniem - powiedział. - Zapytałem, po co ci Żydzi przyjechali tutaj. Pomyślał pan, Younger, że przyjechali tutaj w poszukiwaniu wolności wyznania; ten wniosek uznał pan jednak za zbyt oczywisty i powstrzymał się od jego wyrażenia. Następnie doszedł pan do konstatacji, że skoro ja, także przecież Żyd, nie widzę sensu w emigracji do Ameryki z przyczyn religijnych, Bóg nie znaczy dla mnie wiele. Tak jest istotnie! Religia znaczy dla mnie tak niewiele, że nie dostrzegam, jak wielkie znaczenie ma dla nich. Takie właśnie myślenie doprowadziło pana do pytania o moją religijność, prawda, Younger?

- Najprawdziwsza - odparłem.

- Nie ma się czym przejmować - wtrącił Ferenczi. - On robi to każdemu.

- Na zadane tak bezpośrednio pytanie udzielię panu równie otwartej odpowiedzi - ciągnął Freud. - Jestem człowiekiem jak najżarliwiej niewierzącym. Każda neuroza to religia dla tego, kto na nią cierpi, a wiara w Boga jest neurozą, która dotyka całą ludzkość. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że cechy, które przypisujemy Bogu, odpowiadają na nasze obawy i pragnienia, które po raz pierwszy odczuwamy jako niemowlęta, a później żyjemy jako dzieci. Ten, kto tego nie dostrzega, nie pojął najważniejszej prawdy o psychice człowieka. Jeśli więc jest pan człowiekiem religijnym, proszę nie podążać moim śladem.
- Gra pan nieczysto, profesorze Freud - stwierdził Ferenczi. - Younger nie powiedział przecież, że potrzebna mu jest religia.
- Skoro zainteresował się moim światopoglądem, może również poznać jego implikacje - powiedział Freud, przyglądając mi się uważnie. Cała surowość rozproszyła się w jednej chwili i spojrzenie stało się ciepłe, niemal ojcowskie.
- A ponieważ mnie też interesuje jego światopogląd, odbiję pytanie jak piłeczkę. Czy jest pan człowiekiem religijnym, Younger?

Z zakłopotaniem stwierdziłem, że nie wiem, co powinienem odpowiedzieć.

- Mój ojciec był religijny- powiedziałem niepewnie.
- To nie jest odpowiedź na zadane pytanie - wtrącił Ferenczi.
- Nie szkodzi. Zrozumiałem ją - stwierdził Freud. - Odpowiedź brzmiała, że skoro jego ojciec wierzył, on sam w sposób naturalny jest skłonny wątpić.
- To prawda - przytaknąłem.
- Ale także niepokoi się, czy zwątpienie oparte na takiej przesłance jest słuszne. Stąd gotów byłby wierzyć.

Ze zdumienia odebrało mi mowę. Zamiast mnie pytanie zadał na szczęście Ferenczi.

- Skąd ta pewność, profesorze?
- To wniosek wysnuty z tego, co Younger powiedział nam wczoraj wieczorem: że studia medyczne były wyborem jego ojca, a nie jego samodzielną decyzją - odpowiedział Freud.
- Ponadto będąc nieco młodszy, żywiłem takie same odczucia - dodał po chwili i z ulgą zaciągnął się cygarem.

Wspaniała marmurowa fasada z trójkątnymi zwieńczeniami w antycznym stylu greckim i fantastyczna kopuła podświetlana miękkim światłem lamp ulicznych sprawiały, że nowa komenda policji przy Centre Street 240 kojarzyła się raczej z pałacem niż z budynkiem władz municypalnych. Za masywnymi dębowymi drzwiami natknęliśmy się na umundurowanego funkcjonariusza, który stał za drewnianym półkolistym blatem sięgającym mu do piersi. Światło żarówki elektrycznej tworzyło wokół niego żółtawą poświatę. Zakręcił korbą w aparacie telefonicznym i po chwili pojawił się burmistrz McClellan w towarzystwie starszego brzuchatego jegomościa, który wyglądał na

zmarłego i okazał się lekarzem rodzinnym Actonów. Doktor nazywał się Higginson.

Burmistrz McClellan uściskał dłoń każdego z nas, po czym zaczął przeproszać Freuda za niedogodności, na jakie go naraził.

- Pan Younger mówił mi, że jest pan również wyśmienitym znawcą starożytnego Rzymu. Pozwolę sobie więc podarować panu moją książkę o Wenecji. Najpierw jednak przejdźmy na górę. Jest tam panna Acton, powiedziałbym, w opłakanym stanie - stwierdził burmistrz i poprowadził nas na po schodach.

Po drodze doktor Higginson mówił dużo o lekach, które zastosował. Żaden z nich nie mógł wyrządzić pacjentce szkody, przynajmniej w tej sprawie mieliśmy trochę szczęścia. Znaleźliśmy się w wielkim, klasycznie urządzonym gabinecie z obciążanymi skórą krzesłami, mnóstwem mosiężnych ozdób i biurkiem wielkości tak imponującej, że siedząca przy nim dziewczyna wydawała się dziwnie mała. Była owinięta kocem. Stało przy niej dwóch policjantów.

McClellan miał rację. Panna Acton znajdowała się w opłakanym stanie. Twarz miała czerwoną i opuchniętą od łez, a niezwiązane długie włosy były bardzo potargane. Patrzyła na nas wielkimi z przerażenia oczami. Nigdy wcześniej nie widziałem spojrzenia tak pełnego strachu i nieufności.

- Próbowaliśmy wszystkiego - poinformował McClellan.

- Pisząc na kartce papieru, odpowiada nam na każde pytanie, dotyczące tego, co wydarzyło się przedtem i potem. Jeśli zaś idzie o... że się tak wyrażę, sam incydent, niczego sobie nie przypomina.

Przed dziewczyną leżał na biurku stos papieru i pióro.

Burmistrz dokonał prezentacji. Dziewczyna miała na imię Nora. Wyjaśnił, że jesteśmy lekarzami, którzy, żywi taką nadzieję, pomogą jej odzyskać głos i pamięć. Zwracał się do niej jak do siedmioletniego dziecka, być może przekonany, że skoro straciła mowę, ma także kłopoty ze zrozumieniem, choć przecież po oczach można było rozpoznać od razu, iż w tym względzie nie doznała najmniejszej nawet szkody. Jak dało się przewidzieć, przybycie trzech kompletnie nieznanym mężczyznom spotęgowało jej przygnębienie. W oczach zaiskrzyły łzy, które zdołała jednak powstrzymać. Napisała nawet na kolejnej kartce skierowane pod naszym adresem przeprosiny, jakby obwiniała się za amnezję, która ją dotknęła.

- Róbcie swoje, panowie - powiedział burmistrz.

Freud chciał najpierw wykluczyć fizjologiczne przyczyny trapiących pacjentkę symptomów.

- Panno Acton, chcę sprawdzić, czy nie doznała pani urazu głowy. Czy pozwoli pani się zbadać? - zapytał, a gdy dziewczyna skinęła na zgodę głową, przystąpił do badania. Po dokładnych oględzinach powiedział na głos; - Żadnego urazu czaszki nie stwierdzam.

- Afonia może być skutkiem uszkodzenia krtani - zauważyłem, odnosząc się do utraty głosu, na którą pacjentka cierpiała.

Freud skinął głową i gestem zachęcił mnie, bym zbadał dziewczynę. Gdy się do niej zbliżałem, odczuwałem ogromne zdenerwowanie. Nie potrafiłem określić jego przyczyny. Najwyraźniej się

obawiałem, że Freud uzna moją metodę badania pacjentki za niewprawną, choć przecież znacznie trudniejsze i bardziej skomplikowane badania przeprowadzałem bez wahania pod badawczym spojrzeniem uniwersyteckich profesorów. Wyjaśniłem panie Acton, że konieczne jest ustalenie, czy za utratą jej zdolności do mówienia nie kryją się jakieś uszkodzenia narządów mowy. Poprosiłem, żeby ujęła moją dłoń i umieściła sobie na szyi. Chciałem w ten sposób zminimalizować dyskomfort, jaki z pewnością odczuje podczas badania. Wyciągnąłem przed siebie rękę, układając dłoń tak, że palec wskazujący i środkowy były wyprostowane, a reszta podkurczona. Niechętnie ujęła moją dłoń i przesunęła ku sobie, umieszczając dwa wyciągnięte palce nad swoim obojczykiem. Poprosiłem, żeby uniosła głowę. Kiedy przesuwalem palcami od obojczyka do krtani, mimowolnie zauważyłem nie tylko obrażenia, ale także delikatne linie szyi i podbródka, tak doskonałe, jakby zostały wyrzeźbione w białym marmurze przez samego Berniniego. Ucisk w różnych miejscach powodował, że syczała i mrużyła oczy, ani razu jednak nie spróbowała się uchylić.

- Nic nie wskazuje na uraz laryngologiczny - stwierdziłem głośno.

Panna Acton wydawała się teraz jeszcze bardziej nieufna niż w chwili, gdy weszliśmy do gabinetu. Nie winiłem jej za to. Zdarza się bowiem, że informacja, iż fizycznie wszystko jest w porządku, powoduje u pacjentów większy niepokój niż wiadomość, że lekarz znalazł konkretną przyczynę dolegliwości. Ponadto była z dala od bliskich, w dodatku otoczona przez zupełnie obcych mężczyzn. Miałem wrażenie, że taksuje nas wzrokiem, jednego po drugim.

- Moje drogie dziecko - zwrócił się do niej Freud. - Niepokoi się pani utratą głosu i pamięci. Niepotrzebnie. Amnezja po takim przeżyciu jest zjawiskiem bardzo powszechnym. Wielokrotnie zetknąłem się także z pourazową utratą głosu. Jeśli tylko nie doszło do trwałych uszkodzeń fizycznych, a takich u pani nie stwierdziliśmy, zawsze udawało mi się przywrócić zarówno pamięć, jak i głos. Chcę zadać pani kilka pytań, żadne z nich jednak nie będzie dotyczyło tego zdarzenia. Chciałbym wiedzieć, jak się pani czuje teraz. Może najpierw chciałaby się pani czegoś napić?

Dziewczyna skinęła głową z wyraźną wdzięcznością. McClellan wydał stosowne polecenie jednemu z policjantów, który po chwili zjawił się z filiżanką herbaty. Tymczasem Freud zaczął rozmawiać z pacjentką, to znaczy on pytał, a ona odpowiadała, pisząc. Najpierw zadawał ogólne pytania, na przykład dotyczące rozpoczynającego się za miesiąc roku akademickiego. Pod koniec tej wymiany zdań dziewczyna napisała, że bardzo jej przykro, iż nie potrafi odpowiedzieć na pytania policjantów, ale chciałaby już jechać do domu.

Freud odwołał nas na chwilę na bok. W związku z tym całkiem spora grupka mężczyzn przeniosła się w odległy koniec wielkiego gabinetu, ponieważ za profesorem podążyli burmistrz McClellan, Ferenczi, doktor Higginson i ja.

- Czy została zgwałcona? - spytał Freud szeptem.

- Bogu dzięki, nie - odpowiedział burmistrz.

- Ale rany, które jej zadano, skupiają się w charakterystyczny sposób wokół intymnych części ciała - dodał doktor Higginson i odchrząknął. - Była bita pejcem po plecach i pośladkach, a także po... także po miednicy. Ma też ranę ciętą na udzie, zadaną prawdopodobnie brzytwą.

- Cóż za potwór robi takie rzeczy? - oburzył się burmistrz.

- Pytanie brzmi raczej, dlaczego nie dzieje się to częściej - odparł Freud cicho. - Zaspokojenie dzikich instynktów sprawia przyjemność nieporównywalnie większą od podążania za instynktami cywilizowanymi. Tak czy owak, najskuteczniejsze w dniu dzisiejszym będzie powstrzymanie się od wszelkiego działania. Nie jestem przekonany, czy u podstaw tej amnezji leży histeria. Podduszenie może spowodować takie same skutki. Jednakże panna Acton wyraźnie odczuwa głębokie poczucie winy. Dobrze robi jej teraz sen. Możliwe, że symptomy znikną, gdy się rano obudzi. Jeśli się utrzymają, koniecznie trzeba ją będzie poddać psychoanalizie.

- Ma pan na myśli wyrzuty sumienia? - dopytywał się zdziwiony McClellan.

- Poczucie winy - sprostował Ferenczi. - Dziewczyna cierpi nie tylko z powodu obrażeń doznanych podczas napaści, ale także związanego z nią poczucia winy.

- Dlaczego, na Boga, miałyby się czuć winna? - zapytał burmistrz.

- Ewentualnych powodów jest wiele - odezwał się Freud. - Niemal zawsze samooskarżenie towarzyszy młodym ofiarom napaści na tle seksualnym. Dwukrotnie przepraszała za utratę pamięci. Utrata głosu zaś jest o wiele bardziej zagadkowa.

- Może odbył z nią stosunek analny? Albo oralny? - rzucił Ferenczi.

- Wielki Boże! - wtrącił McClellan oburzony. - To możliwe.

- Możliwe, ale mało prawdopodobne - zawyrokował Freud. - Gdyby doszło do penetracji oralnej, należałoby się spodziewać odmowy wzięcia czegokolwiek do ust. Tymczasem pacjentka bez zahamowań wypija herbatę. Prawdę mówiąc, właśnie z tego powodu zapytałem, czy nie jest spragniona.

Przez chwilę zastanawialiśmy się nad całą sytuacją w milczeniu. W końcu odezwał się McClellan, tym razem już nie zniżając głosu do szeptu.

- Proszę mi wybaczyć ignorancję, profesorze Freud, ale czy utracona pamięć zdarzeń nadal istnieje gdzieś w umyśle panny Acton, czy też została, że się tak wyrażę, usunięta?

- Jeśli przyjmiemy, że amnezja ma podłoże histeryczne, pamięć z pewnością powróci. Ona właśnie jest przyczyną symptomów chorobowych - odparł Freud.

- Pamięć jest więc powodem utraty pamięci? - zdziwił się burmistrz.

- Przechowywane w pamięci obrazy związane z napaścią, być może wraz z głęboko odsuwanymi wspomnieniami ożywionymi wskutek napaści, są nie do przyjęcia dla świadomego umysłu. Ten, nie mogąc ich zaakceptować, tłumi je i powoduje amnezję.

- Nie bardzo rozumiem, o jakich głębiej ukrytych wspomnieniach pan mówi.

- Zdarzenie podobne do tego, które stało się udziałem panny Acton, choć oczywiście jest brutalne i przerażające, rzadko powoduje amnezję u osób w jej wieku. Ofiara je zapamięta, jeśli oczywiście jest zdrowa. Jeśli jednak wcześniej padła ofiarą przemocy seksualnej lub doświadczyła innych przeżyć, wystarczająco traumatycznych, by konieczne stało się wyparcie ich z pamięci, następna trauma może

doprowadzić do zaniku pamięci, a to dlatego, że myśl o najświeższym negatywnym doświadczeniu przywołuje wspomnienie o tym poprzednim, już zapomnianym, a świadomość ofiary się przed tym broni.

- Mój Boże! - westchnął burmistrz.
- Co należy uczynić? - zapytał doktor Higginson.
- Czy potrafi ją pan wyleczyć? - wtrącił się burmistrz McClellan. - Jest jedyną osobą, która może opisać napastnika.
- Hipnoza? - zasugerował Ferenczi.
- Odradzałbym hipnozę w tym przypadku. Na pewno nie pomogłaby pacjentce - zawyrokował Freud.
- Oprócz tego wspomnienia przywołane podczas hipnozy nie zawsze bywają wiarygodne.
- A co z tą analizą? Tak się pan chyba wyraził, profesorze? - dopytywał się burmistrz.
- Analizę możemy zacząć najwcześniej jutro rano - odparł Freud. - Czuję się jednak w obowiązku pana uprzedzić, że psychoanaliza to proces żmudny i długotrwały. Lekarz musi rozmawiać z pacjentem codziennie przynajmniej przez godzinę.
- Nie widzę najmniejszego problemu - zapewnił McClellan. - Pytanie brzmi, gdzie pana Acton powinna spędzić noc.

Z przebywającymi na wsi rodzicami dziewczyny nie udało się nawiązać kontaktu. Doktor Higginson sugerował, żeby się zwrócić do kogoś z przyjaciół rodziny, burmistrz jednak uznał, że nie byłoby to rozsądne.

- Acton będzie rad, jeśli uda się nam zachować całe to zajście w tajemnicy. Inaczej rozniesie się pogłoska, że dziewczynie wyrządzono nieodwracalną krzywdę.

Panna Acton zapewne słyszała ten ostatni komentarz. Zauważyłem, że pisze coś na kartce. Podeszedłem do niej i odczytałem: żądała, by ją natychmiast odwieźć do domu.

McClellan z miejsca stwierdził, że nie może na to pozwolić. Ostrzegł, że przestępcy często wracają na miejsce zbrodni. Kto wie, czy napastnik nie obserwuje jej domu nawet w tej chwili? Kto wie, czy w obawie, że ofiara go zidentyfikuje, nie uznał, że jedynym sposobem na uniknięcie wymiaru sprawiedliwości jest pozbawienie jej życia? Może na nią czyha? Dlatego powrót do Gramercy uznał za wykluczony, przynajmniej dopóki nie wróci ze wsi ojciec, który będzie czuwał nad jej bezpieczeństwem. Gdy to powiedział, na twarzy panny Acton znów pojawił się inny wyraz. Wykonała przy tym pełen ekspresji gest, którego znaczenia nie potrafiłem dociec.

- Już wiem - wykrzyknął McClellan i oświadczył, że pannę Acton należy zawieźć do hotelu Manhattan, w którym my także mieszkaliśmy. Postanowił wynająć jej tam apartament i ulokować w nim także starą panią Biggs, która dopilnuje, by z Gramercy Park przewieziono ubrania i wszystkie potrzebne rzeczy. Obydwie zostaną w hotelu, dopóki państwo Acton nie powrócą ze wsi. Takie rozwiązanie będzie nie tylko najbezpieczniejsze, ale także najdogodniejsze ze względu na czekającą dziewczynę terapię.

- Jest jeszcze jeden problem - oświadczył Freud. - Psychoanaliza wymaga od lekarza poświęcenia i czasu. Z powodów oczywistych czasu nie mam, nie mogę więc podjąć się tego zadania. Mój kolega doktor Ferenczi także nie. A pan, Younger? Może pan zajmie się pacjentką?

Freud zauważył moje wahanie i odciągnął mnie nieco na bok.

- Powinien ją leczyć Brill, nie ja - stwierdziłem.

Freud przeszył mnie spojrzeniem, które przewierciłoby chyba kamień.

- Nie wątpię, że posiada pan wystarczające kwalifikacje i umiejętności, chłopcze - powiedział cicho.
- Dowodzi tego przypadek paraliżu dłoni, o którym nam pan opowiadał. Chcę, żeby pan poprowadził tę pacjentkę.

Było to polecenie, którego nie mogłem zignorować, a jednocześnie dowód zaufania, którego wagi nie potrafię właściwie opisać. Oczywiście, wyraziłem zgodę.

- W porządku - skwitował głośno. - Pacjentka należy do pana. Będę nadzorował leczenie, dopóki nie opuścę Ameryki, jednak psychoanalizą zajmie się doktor Younger... oczywiście, jeśli pacjentka zgodzi się na leczenie, które zalecamy - dodał po chwili, zwracając się szarmancko do panny Acton.

CZEŚĆ

druga

ROZDZIAŁ SZÓSTY

We wtorek rano detektyw Littlemore zauważył, że Charles Hugel ma policzki zapadnięte bardziej niż zwykle. Powiększyły się worki pod jego oczami oraz pojawiła kolejna sina obwódka. Był jednak pewien, że dokonane przez niego odkrycia poprawią nastrój koronera.

- Panie Hugel! Byłem w Balmoralu po raz kolejny i niech pan zgadnie, czego się dowiedziałem!
- Rozmawiał pan z pokojówką? - zapytał Hugel natychmiast.
- Ona już tam nie pracuje. Zwolnili ją.
- Wiedziałem, że tak będzie! Ustalił pan jej adres?
- Tak, odnalazłem ją bez kłopotu. Ale jest jeszcze coś. Ponownie odwiedziłem sypialnię panny Riverford, żeby dokładnie obejrzeć sufit, wbity w niego hak i tę lampę w kształcie kuli do gry w kręgle. Mówił pan, że była do niej przywiązana liną, i miał pan rację. Na żyrandolu znalazłem ślady.
- Świetnie! Zabezpieczył je pan?
- Mam wszystkie. Lampę zresztą też - pochwalił się Littlemore, a rozmówca rzucił nań szybkie, pełne złych błysków spojrzenie. - Doszedłem do wniosku, że hak nie wygląda za solidnie, wdrapałem się więc na łóżko, szarpnąłem kilka razy... i wie pan co? Złamał się.
- Wydawało się panu, że hak nie wygląda solidnie, szarpnął więc pan nim kilka razy i złamał - powtórzył koroner, a po chwili dodał: - Świetnie się pan spisał, detektywie!
- Dziękuję, panie Hugel.
- Może następnym razem rozwali pan cały apartament? Zniszczył pan coś jeszcze?
- Nie - odpowiedział Littlemore. - Nie rozumiem, jakim cudem utrzymał dziewczynę, skoro tak łatwo się złamał, zaledwie po jednym szarpnięciu?
- No cóż, niewątpliwie jakoś wytrzymał jej ciężar.
- Mam coś jeszcze lepszego, a dokładniej dwie rzeczy
- pochwalił się Littlemore, po czym opowiedział o tajemniczym mężczyźnie, który z walizką w ręku opuszczał rezydencję Balmoral około północy w niedzielę. - I co pan na to powie, panie Hugel? - zakończył swoją opowieść dumny z siebie. - To mógł być on, prawda?
- Są pewni, że nie mieszka tam?
- Całkowicie. Nigdy przedtem go nie widzieli.
- I niósł walizkę? W której ręce?

- Clifford nie zwrócił na to uwagi.
- Pytał pan o to?
- Oczywiście. Musiałem sprawdzić, czy jest leworęczny.

Hugel chrząknął lekceważąco.

- Tak czy owak, to nie o niego chodzi.
- Dlaczego pan tak sądzi?
- Ponieważ mężczyzna, którego szukamy, ma szpakowate włosy i mieszka w rezydencji Balmoral, detektywie Littlemore - odpowiedział koroner, ożywiając się z każdym wypowiedzianym słowem. - Wiemy, że panna Riverford rzadko przyjmowała gości. Wiemy, że także w niedzielę wieczorem nikt jej nie odwiedzał. Jak więc morderca dostał się do apartamentu? Skoro drzwi są nienaruszone, istnieje tylko jedna możliwość: zastukał, a ona mu otworzyła. Zastanówmy się teraz, czy samotnie mieszkająca dziewczyna otworzyłaby drzwi nieznanemu, i to w nocy. Szczerze wątpię. Otworzyłaby je natomiast sąsiadowi, komuś mieszkającemu w tym samym budynku. Albo komuś, kogo się spodziewała, kogo wpuszczała do siebie już niejednokrotnie.

- Facet z pralni! - krzyknął Littlemore, wprawiając koronera w zupełne osłupienie. - To właśnie drugie odkrycie, o którym miałem panu powiedzieć. Niech pan tylko posłucha. Kiedy byłem w piwnicach Balmoralu, zjawił się tam Chińczyk. Zauważyłem, że zostawia na podłodze ślady gliny. Czerwonej gliny! Pobrałem próbkę. To ta sama glina, której ślady znalazłem w sypialni panny Riverford. Może to on ją zabił?

- Chińczyk? - zainteresował się Hugel.
- Próbowałem go zatrzymać, ale uciekł. Pracuje w pralni. Może w niedzielę wieczorem przyniósł jej do pokoju uprane rzeczy, panna Riverford mu otworzyła, a on ją zamordował. Potem zszedł z powrotem do pralni i nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi.

Koroner wziął głęboki oddech.

- Detektywie Littlemore! Chińczyk z pralni nie mógł zamordować panny Riverford. Morderca jest człowiekiem zamożnym. Wiemy to na pewno.
- Nie, panie Hugel. Nie możemy być tego pewni. Doszedł pan do tego wniosku, ponieważ ofiarę uduszono eleganckim jedwabnym krawatem. Jeśli ktoś pracuje w pralni, ma pod ręką mnóstwo takich krawatów. Może więc ten Chińczyk krawatem oddanym do prania zamordował pannę Riverford.
- Jaki miałby motyw?

- Nie wiem. Może zwyczajnie lubi mordować kobiety, jak ten zabójca z Chicago. Przecież pana Riverford pochodziła z Chicago. Nie sądzi pan, że...

- Nie sądzę, detektywie! Nie sądzę też, że Chińczyk ma cokolwiek wspólnego z zamordowaniem panny Riverford.

- Ale przecież glina...
- Proszę zapomnieć o glinie!
- Chińczyk zaczął uciekać, kiedy go chciałem zagadnąć.
- Dość już z tym Chińczykiem! Słyszysz pan, Littlemore? Do tego morderstwa nijak żaden Chińczyk nie pasuje! Morderca jest wysokim białym mężczyzną. Włosy, które znalazłem na ciele ofiary, należą do człowieka rasy białej. Proszę się skupić na pokojówce, bo to ona jest kluczem do sprawy. Co panu powiedziała?

Zszedłem na śniadanie mniej więcej kwadrans przed wizytą, którą miałem złożyć pannie Acton. Freud właśnie siadał do stołu, Brill i Ferenczi już zajęli miejsca, ten pierwszy nawet zdołał już opróżnić trzy talerze i pracował właśnie nad czwartym. Mówiłem mu wcześniej, że uczelnia opłaci również jego śniadanie, najwyraźniej więc postanowił skorzystać z okazji.

- To jest właśnie Ameryka - powiedział do Freuda. - Zaczyna się od ciasteczek owsianych z cukrem i śmietaną, potem udziec jagnięcy z frytkami, świeże bułeczki z masłem i na deser ciasteczka z gryki polane syropem klonowym prosto ze stanu Vermont! Nie znam niczego lepszego.

- A ja znam - odparł Freud. Dodał, że dokucza mu żołądek, ponieważ amerykańskie jedzenie jest dla niego stanowczo za ciężkie.

- Dla mnie też - narzekał Ferenczi, przed którym stała tylko filiżanka herbaty. - Myślę, że to chyba ta sałatka z majonezem - dodał z nieszczęśliwą miną.

- Gdzie jest Jung? - zapytał Freud.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Brill. - Wiem natomiast, dokąd poszedł w sobotę wieczorem.

-W sobotę wieczorem? Poszedł do swojego pokoju

- stwierdził Freud.

- Otóż nie - oświadczył Brill znaczącym tonem. - Wiem też, z kim ten wieczór spędził. Ale mam tu coś ważniejszego. Chcę panu coś pokazać, panie profesorze. Proszę spojrzeć.

Spod krzesła wyjął grubą stertę kartek papieru związanych gumkami. Było tego jakieś trzysta stron. Na pierwszej widniał tytuł: *Wybór prac na temat hysterii i innych psy-choneuroz pióra Zygmunta Freuda w przekładzie i z przedmową A. A. Brilla.*

- Pańska pierwsza książka po angielsku, profesorze - powiedział Brill. Wręczając Freudowi tekst, promieniał dumą, jakiej nie widziałem u niego nigdy wcześniej. - Wywoła sensację! Jestem tego pewien.

- Niezmiernie się cieszę, Abrahamie - powiedział Freud, zwracając Brillowi tekst książki. - To świetna wiadomość. Ale może wróciłby pan do tego, co mówił o Jungu.

Radość zniknęła z twarzy Brilla w jednej chwili. Podniósł się z krzesła, zadarł dumnie głowę.

- A więc tak traktuje pan dzieło mojego życia, któremu poświęciłem cały ostatni rok? Niektóre sny nie wymagają analizy, wymagają działania. Zegnam - oświadczył wyniośle, po czym usiadł z powrotem. - Przepraszam, nie wiem, co mnie napadło - dodał po chwili. - Pewnie myślałem przez chwilę, że jestem Jungiem.

Brill rzeczywiście doskonale naśladował Junga. Feren-czi dostał ataku śmiechu, Freud natomiast pozostał niewzruszony. Odczekawszy chwilę, Brill odchrząknął i normalnym już głosem zwrócił naszą uwagę na osobę wydawcy książki, Smitha Ely ego Jelliffa, którego nazwisko także widniało na stronie tytułowej.

- Jelliffe wydaje czasopismo „Journal of Nervous Disease”

- wyjaśnił. - Jest lekarzem, bogatym jak Krezus. Ma rozległe znajomości, a dzięki mnie także on nawrócił się na naszą wiarę. Bóg mi świadkiem, że zamienię tę Gomerę w prawdziwy Eden dla psychoanalizy! Zobaczycie! Tak czy owak, nasz przyjaciel Jung miał z Jelliffem sekretną randkę w niedzielę wieczorem.

Okazało się, że kiedy rano Brill odbierał wydruk książki, wydawca wspomniał, iż w niedzielę wieczorem podejmował Junga obiadem w swoim apartamencie. Jung nie wspomniał nam o tym spotkaniu ani słowem.

- Z tego, co wiem, panowie rozmawiali głównie o lokalizacji najlepszych burdeli na Manhattanie - ciągnął Brill.

- Ale posłuchajcie, czego się dowiedziałem. Jelliffe poprosił Junga, żeby w przyszłym tygodniu wygłosił serię wykładów na temat psychoanalizy na Fordham University, a to szkoła prowadzona przez jezuitów.

- Ależ to wspaniała wiadomość! - wykrzyknął Freud.

- Czyżby? - zdziwił się Brill. - Dlaczego Jung, a nie pan, profesorze?

- Od przyszłego wtorku codziennie mam wykład w Massachusetts. Nie mógłbym w tym samym czasie wykladać w Nowym Jorku.

- Ale dlaczego trzyma to w tajemnicy? Dlaczego nie powiedział nam o spotkaniu z Jelliffem?

Nikt z nas nie znał odpowiedzi na to pytanie. Freud jednak nie przejął się tym specjalnie i stwierdził, że zapewne Jung miał jakiś ważny powód, by milczeć.

Przez cały czas trzymałem w rękach przyniesiony przez Brilla wydruk. Przerzuciłem kilka pierwszych kartek i z zaskoczeniem odkryłem prawie pustą stronę. Znajdowało się na niej tylko pięć wersów tekstu, wydrukowanych pośrodku pochyloną majuskułą. Tekst kojarzył mi się z Biblią.

*Poddajcie się obrzezaniu dla Pana, obrzezajcie też wszyscy wasze serca (wy, mieszkańcy Judy i Jerozolimy). W przeciwnym razie mój gniew będzie płonął jak ogień, będzie palił i nikt nie potrafi go zgasić przez wzgląd na przewrotność uczynków waszych. **

Przekład według Biblii Tysiąclecia.

- Co to takiego? - zapytałem, wskazując na nietypowo zadrukowaną stronę.

Ferenczi wziął ode mnie kartkę i przeczytał tekst.

- Proroctwo Jeremiasza - stwierdził, demonstrując znajomość Pisma Świętego o wiele lepszą niż moja. - Tylko co Jeremiasz robi w książce o historii? - zapytał, kładąc kartkę pośrodku stołu. Wszyscy patrzyli teraz na biblijny cytat i pomarszczoną twarz starca na dole strony, odbitą jakimś stemplem. Obrazek przedstawiał wschodniego mędrca w turbanie; mężczyzna nosił długą brodę, miał wielki nos i szeroko otwarte hipnotyzujące oczy.

- Hindus? - zapytał Ferenczi.

- A może Arab? - zasugerowałem.

Kolejna kartka tekstu zawierała ten sam biblijny cytat wydrukowany pośrodku. Nie było na niej natomiast wizerunku wschodniego mędrca z zawiniętą turbanem głową i wielkimi oczami. Przejrzałem kolejne kartki. Na wszystkich widniał ten sam cytat - bez twarzy

- Czy to jakiś żart, Brill? - zapytał Freud.

Z wyrazu twarzy Brilla wynikało jednak wyraźnie, że ten żart nie wydał mu się śmieszny.

Detektyw Littlemore był gorzko rozczarowany tym, że koroner Hugel zlekceważył jego odkrycia. Dostosował się jednak do jego woli i przeszedł do omawiania wiadomości związanych z pokojówką panny Riverford. Zresztą informacje te były równie interesujące.

- Ona jest naprawdę w kiepskiej sytuacji, panie Hugel. Żałuję, że nie mogę nic dla niej zrobić - zaczął detektyw. Okazało się jednak, że zrobił. Najpierw Betty odniosła się do niego z rezerwą. Żeby przełamać jej niechęć, Littlemore zaprosił ją na wodę sodową. Kiedy powiedział, że wie, iż zwolnili ją z pracy, wybuchnęła gniewem na taką niesprawiedliwość. Nie potrafiła pojąć, dlaczego właściwie straciła pracę. Przecież niczego złego nie zrobiła. Niektóre dziewczęta podkradały z apartamentów różne drobiazgi. Dlaczego nie wyrzucali ich za to z pracy? Co miała teraz robić? Jej ojciec zmarł przed rokiem, a przez ostatnie dwa miesiące Betty żywiła całą rodzinę: matkę i trzech małych braci. Teraz na pieniądze z Balmoralu nie może już liczyć.

- Czego się pan od niej dowiedział o sprawie, detektywie? - zapytał Hugel i przygryzł dolną wargę.

Betty nie lubiła chodzić do apartamentu panny Riverford. Twierdziła, że w nim straszy. Dwukrotnie słyszała tam płacz małego dziecka, choć przecież dziecka nigdy tam nie było. Według niej panna Riverford była dziwna. Wprowadziła się jakieś cztery tygodnie temu. Ale nie korzystała z żadnych firm transportowych. Mieszkanie zostało umeblowane, zanim się pojawiła właścicielka. Była wyjątkowo spokojna i bardzo skryta. Nigdy nie bałaganiała i zawsze słała łóżko. Wszystkie rzeczy trzymała w największym porządku, a jedna z szaf była zawsze zamknięta na klucz. Kiedyś chciała podarować Betty kolczyki. Ta zapytała, czy są prawdziwe, to znaczy, czy to naprawdę brylanty, i kiedy panna Riverford odparła, że tak, Betty odmówiła przyjęcia tak drogiego prezentu. W dzień Betty prawie jej nie widywała. Przez krótki czas pracowała na nocną zmianę i właściwie wtedy tylko spotkała pannę Riverford kilka razy. Zazwyczaj panny Riverford nie było w apartamencie, gdy Betty pojawiała się w pracy o siódmej rano.

- Jeden z odźwiernych powiedział mi, że kilka razy widział, jak panna Riverford wychodzi z budynku przed szóstą rano - kończył relację Riverford. - Co to może oznaczać, panie Hugel?
- Oznacza to, że musi pan wysłać kogoś do Chicago -odpowiedział koroner.
- Żeby porozmawiał z rodziną?
- Otóż to. Co pokojówka powiedziała panu na temat wyglądu sypialni w dniu, kiedy odkryła w niej ciało?
- Problem w tym, że ona niezbyt dobrze pamięta ten właśnie moment. Potrafi sobie tylko przypomnieć twarz panny Riverford.
- Może dostrzegła coś leżącego na zwłokach albo obok nich na podłodze?
- Pytałem o to, panie Hugel, ale Betty niczego nie pamięta.
- Niczego?
- Zostały jej w pamięci utkwione w nią oczy panny Riverford z szeroko otwartymi powiekami.
- Rozhisteryzowana idiotka!
- Nie mówilby pan tak, gdyby pan z nią porozmawiał -stwierdził Littlemore, całkowicie zaskoczony reakcją rozmówcy. - A swoją drogą, jak stwierdzić, że coś się zmienia?
- Że co?
- Twierdzi pan, że coś uległo zmianie w miejscu zbrodni między chwilą, kiedy Betty znalazła zwłoki, a momentem, gdy wszedł tam pan. A przecież drzwi do apartamentu zostały od razu zamknięte i postawiono przy nich kamerdynera, który miał nikogo nie wpuszczać aż do chwili, gdy zjawicie się wy.
- Też tak myślałem - odparł koroner, szybkim krokiem przemierzając tam i z powrotem ciasny gabinet. - Tak mi powiedziano.
- Dlaczego więc pan sądzi, że ktoś się jakoś dostał do wewnątrz?
- Dlaczego? - powtórzył Hugel z grymasem niezadowolenia. - Chce pan wiedzieć, dlaczego? Dobrze, panie Littlemore. Niech pan idzie ze mną - rozkazał i wyszedł z gabinetu.

Detektyw udał się za nim. Po starych schodach zeszli trzy piętra w dół, pokonali labirynt korytarzy z łuszczącą się farbą na ścianach i wreszcie znaleźli się w kostnicy. Koroner przekręcił klucz w zamku i otworzył łukowato sklepione drzwi. Littlemore poczuł uderzenie stęchłego zimnego powietrza i zaraz potem zobaczył zwłoki poukładane rzędami na drewnianych półkach, niektóre całkiem nagie i wystawione na widok wszystkich, którzy się tam znajdują, inne przykryte płachtami. Nie mógł się powstrzymać, by nie na rzucić okiem na intymne części nagich ciał, co wzbudziło w nim odrazę.

- Nikt oprócz mnie nie zauważyłby tego tropu - stwierdził koroner. - Nikt! - powtórzył dobitnie i

przeszedł w głąb pomieszczenia, gdzie na ostatniej półce leżały zwłoki przykryte białą płachtą z napisem: „E. Riverford, 29.08.09.” - Niech się pan uważnie przyjrzy, detektywie, i powie mi, co pan dostrzegł.

Teatralnym gestem koroner odkrył zwłoki. Na ich widok oczy detektywa Littlemore'a zrobiły się wielkie jak spodki. Hugel odwrócił wzrok od jego twarzy i podążając za spojrzeniem kolegi, zobaczył powód jego wielkiego zdziwienia: pod białą płachtą leżały zwłoki nie Elizabeth Riverford, ale jakiegoś mężczyzny o pomarszczonej skórze i czarnych zębach.

Na piętro panny Acton udałem się windą i dopiero tam przypomniałem sobie, że muszę jeszcze zajść do własnego pokoju po papier i coś do pisania. Po drodze zastanawiałem się, jak bardzo ten dziwaczny biblijny cytat wpłynął na Bril-la. Mój nowojorski kolega wydawał się przerażony i zapewniał, że natychmiast zażąda wyjaśnień od wydawcy. Miałem też wrażenie, że coś w związku z tą sprawą przed nami ukrywa.

Spodziewałem się, że Freud będzie uczestniczył w moich pierwszych sesjach z panną Acton. On tymczasem polecił mi tylko, żebym zdawał mu relację z tego, co zrobiłem, ponieważ uznał, iż jego obecność zakłóci przeniesienie.

Przeniesienie jest zjawiskiem psychologicznym, które Freud odkrył całkowicie przypadkiem i sam był nim zaskoczony. Kolejni pacjenci albo obdarzali go boską niemal czcią, albo nienawidzili. Początkowo próbował ignorować ich uczucia, uznając je za niepożądane zakłócenie relacji terapeutycznej. Z czasem wszakże zaczął je doceniać, ponieważ okazywały się bardzo istotne zarówno w przebiegu choroby, jak i w leczeniu. Pacjent odtwarzał w gabinecie psychoanalityka podświadome konflikty, które powodowały symptomy chorobowe, i przenosił na lekarza tłumione żądze, które leżały u podstaw nękającej go choroby. Nie działało się tak przypadkiem. Freud odkrył, że histeria polega na przenoszeniu na innych ludzi, a czasem nawet na jakieś przedmioty, głęboko skrywanych pragnień i emocji ukształtowanych w dzieciństwie, które nigdy nie znalazły ujścia. Podczas psychoanalizy lekarz drobiazgowo analizuje z pacjentem to zjawisko, stymulując przeniesienie i pracując nad nim: elementy spychane do podświadomości przechodzą do umysłu świadomego, usuwając tym samym przyczynę choroby.

Przeniesienie okazało się jednym z najważniejszych odkryć Freuda. Czy ja kiedykolwiek wpadnę na coś porównywalnego z tym fundamentalnym spostrzeżeniem? Dziesięć lat temu myślałem, że mi się to udało. 31 grudnia 1899 roku z wielką ekscytacją obwieściłem o tym mojemu ojcu, przerywając mu pracę kilka godzin przed przybyciem gości na sylwestrowe przyjęcie, które co rok wydawała moja matka. Był zaskoczony, że zjawiam się znienacka w jego gabinecie i przeszkadzam mu w pracy. Zdaje się, że był też poirytowany, choć oczywiście nie dał po sobie niczego poznać. Powiedziałem mu wtedy, że dokonałem ważnego odkrycia, które może się okazać znaczące, i poprosiłem, by pozwolił sobie o nim opowiedzieć. Przekrzywił głowę i powiedział, żebym zaczął. Więc zacząłem.

Od zarania czasów nowożytnych rewolucyjne wybuchy ludzkiego geniuszu zarówno w sztuce, jak i nauce przytrafiały się zgodnie z pewnym wzorcem, argumentowałem. Do każdego z nich mianowicie dochodziło na przełomie wieków, a dokładniej - w pierwszym dziesięcioleciu nowego wieku.

Które ludzkie dzieło można nazwać największym i który człowiek ma największe prawo do miana geniusza, ponieważ odmienił świat, pchając go na nowe tory? Komu przypada ten zaszczyt w malarstwie, poezji, rzeźbie, naukach przyrodniczych, teatrze, literaturze, muzyce? Gdy idzie o

malarstwo, koneserzy jednogłośnie wskazują kaplicę Scrovegnich, na której ścianach Giotto po raz pierwszy wprowadził do nowożytnego malarstwa trójwymiarowość, umieszczając plastycznie kształtowane światłocieniem postacie w iluzorycznej przestrzeni. Trzy freski namalował tam między 1303 a 1305 rokiem. W poezji palma pierwszeństwa z pewnością należy się Dantemu za *Piekiełło* - największe powstałe kiedykolwiek dzieło, które poeta zaczął pisać po wygnaniu z Florencji w 1302 roku. Jeśli chodzi o rzeźbę, to mamy tylko jedną możliwość: *Dawid Michała Anioła* wyrzeźbiony z wielkiego kawałka marmuru w 1501 roku. W tym samym roku rewolucję w świecie nauki zapoczątkował Mikołaj z Torunia, podróżując do Padwy. Oficjalnym celem były studia medyczne, w sekrecie jednak uczony kontynuował obserwacje astronomiczne, które pozwoliły mu odkryć zakazaną prawdę. Dzisiaj znamy go jako Kopernika. Wśród powieści wybór paść musi na *Don Kichota z La Manchy*, który po raz pierwszy zaatakował wiatraki w 1604 roku. W muzyce z kolei nikt nie odważy się zakwestionować geniuszu Beethovena, którego symfonie kazały jego następcom pójść całkiem nowymi ścieżkami. Pierwsza z nich powstała w 1800 roku, *Eroica* sprzeniewierzyła się dotychczasowym kanonom w 1803, a słynna *Piąta symfonia* gotowa była w 1807 roku.

Taki właśnie wywód przedstawiłem mojemu ojcu. Dziecinny, zgoda! Ale przecież miałem wtedy siedemnaście lat. Uważałem, że to wielka rzecz żyć na przełomie wieków, i oczekiwałem, iż w ciągu najbliższych kilku lat pojawią się rewolucyjne idee. Czegóż bym wtedy nie dał, by żyć za sto lat, na przełomie tysiącleci!

- Niewątpliwie jesteś pełen entuzjazmu - odparł flegmatycznie mój ojciec i była to jedyna reakcja. Popełniłem błąd, okazując ekscytację. Określenie „pełen entuzjazmu” oznaczało w ustach ojca najwyższą pogardę.

Mój entuzjazm znalazł wszakże potwierdzenie. W 1905 roku nieznany nikomu szwajcarski urzędnik patentowy o ży-dowsko-niemieckich korzeniach wpadł na to, co nazwał teorią względności. Już po dwunastu miesiącach moi profesorowie w Harvardzie twierdzili, że Einstein na zawsze zmienił nasze pojmowanie przestrzeni i czasu. Przyznaję, że nic przełomowego nie wydarzyło się w sztuce. W 1903 roku publiczność w St. Botolph przez chwilę zachwycała się liliami wodnymi pewnego Francuza. Okazały się one jednak obrazem artysty, który zwyczajnie tracił wzrok. Natomiast gdy mowa o postępie człowieka w dziedzinie rozumienia samego siebie, moje przewidywania znów się sprawdziły. Zygmunta Freuda opublikował *Interpretację snów* w 1900 roku. Ojciec kpiłby sobie zapewne z tego, ale ja jestem przekonany, że teoria Freuda na zawsze odmieni nasze myślenie o sobie. Po Freudzie nigdy już nie spojrzymy na siebie w taki sam sposób jak poprzednio.

Matka zawsze „chroniła” mnie przed ojcem. Drażniło mnie to, bo ochrony nie potrzebowałem. Wymagał jej za to mój starszy brat, tylko w jego przypadku ochrona matki okazywała się nieskuteczna. To wielka przewaga być młodszym bratem. Wszystko dokładnie widziałem. Nie byłem faworyzowany, choć tak to mogło wyglądać. Po prostu zanim ojciec zdążył się dobrać do mnie, uodporniłem się i nie zdołał poważnie zaszkodzić mojej osobowości. Miałem jednak piętę achillesową: był nią Szekspir. Ojciec szybko to odkrył.

Matka nigdy nie powiedziała wprost, że moja fascynacja Szekspirem jest przesadna. Ojciec natomiast nie pozwolił mi żywić najmniejszych wątpliwości co do swojej opinii w tym względzie. Uważał mianowicie, że to niezdrowe i aroganckie, by bardziej niż rzeczywistością wokół interesować i przejmować się literacką fikcją, a szczególnie dylematami Hamleta. Wiedziałem o tym doskonale, choć raz tylko dał wyraz swoim odczuciom. Kiedy miałem trzynaście lat, recytowałem głośno kwestię Hamleta z drugiego aktu: „Czym dlań Hekuba, czym on dla Hekuby, by płakać miał aż z jej

powodu?”. Zapewne nieznośnie i przesadnie warczałem, wypowiadając słowa: *krwawy i sprośny okrutnik*, a moja żądza zemsty musiała brzmieć w ustach chłopca nadto egzaltowanie. Nie miałem przy tym pojęcia, że mojej recytacji przysłuchuje się ojciec. Kiedy skończyłem, odchrząknął i zapytał, kim jest dla mnie Hamlet, a kim ja dla Hamleta, żebym aż płakał z jego powodu.

Nie muszę chyba mówić, że wcale wtedy nie płakałem. Nie pamiętam, żebym w ogóle kiedykolwiek płakał. Jeśli więc uwaga ojca miała na celu cokolwiek oprócz wprawienia mnie w zakłopotanie, to zapewne chciał mi uświadomić, że moja fascynacja *Hamletem* nie liczy się zupełnie w życiowej hierarchii, nijak się ma do mojej przyszłości i nie przystaje do realnego świata. Chciał, żebym to zrozumiał jak najwcześniej. Udało mu się: nie tylko zrozumiałem, o co mu idzie, ale także pojąłem w końcu, że ma rację.

Wiedza ta nie przeszkodziła mi jednak nadal wielbić Szekspira. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że nie wymieniałem go wśród geniuszy, którzy odmienili świat, w tamtej rozmowie z ojcem w 1899 roku. Zrobiłem to celowo, chciałem bowiem zastawić na ojca pułapkę: bardzo by mu pasowało, gdyby mógł użyć przeciw mnie „mojego ukochanego Szekspira” - tak się ze złośliwym uśmiechem wyrażał o poecie ze Stratfordu. Był o wiele zbyt subtelny, by odnieść się na przykład do Dickensa albo Tołstoja, ponieważ wiedział doskonale, że od razu nazwałbym ich klasycznymi gigantami połowy wieku, mistrzami form raczej istniejących wcześniej niż odkrywcami form nowych. Wiedział również dobrze, że Szekspir miał u mnie zagwarantowane miano geniusza i w każdej chwili gotów byłem przywołać jego nazwisko, by zmiażdżyć ewentualną krytykę mojego wywodu.

Być może ojciec zwierzył pułapkę. Może nawet znał mnie lepiej, niż przypuszczałem. W każdym razie nie zapytał o to, nie miałem więc okazji, by mu powiedzieć, że *Hamlet* powstał w 1600 roku.

Nie miałem też okazji uzmysłwić ojcu, że nie jestem jedynym człowiekiem, w którym Szekspir wzbudza tak ogromne emocje. Niektórzy jego entuzjaści oddali życie za *Hamleta*. Ojciec nie miał o tym naturalnie pojęcia, zresztą wszyscy niemal już zapomnieli, że nie gdzie indziej, tylko w Stanach

Zjednoczonych doszło do zamieszek właśnie z powodu tej sztuki. Zaledwie sześćdziesiąt lat temu znany amerykański aktor Edwin Forrest podróżował po Anglii i zobaczył, jak angielski aktor z arystokratycznego rodu, William Macrea-dy, wciela się na scenie w księcia Danii; mocno go za tę rolę skrytykował. Z niesmakiem opowiadał, że Hamlet w interpretacji Macreadyego podskakuje na scenie drobnymi kroczkami i jest absurdalnie zniewieściały, przez co degraduje rozterki szlachetnego księcia. A Forrest był atletycznie zbudowany i pochodził z ubogiej rodziny, która wychowała go w demokratycznych tradycjach.

Ta krytyka zapoczątkowała publiczny spór między dwoma cieszącymi się międzynarodową sławą osobistościami teatru. Podczas występów w Anglii Forrest został wygwizdany i jak niepyszny musiał zejść ze sceny. Kiedy Macrea-dy przyjechał na gościnne występy do Ameryki, odpłacono mu pięknym za nadobne. W kierunku sceny poleciały wątpliwej świeżości jajka, stare buty, monety, a nawet krzesła. Kulminacja sporu nastąpiła przed starą operą Astora na Manhattanie 7 maja 1849 roku - piętnaście tysięcy wojowniczo nastawionych wielbicieli talentu Forresta zebrało się, by przerwać występ Macreadyego. Burmistrzem Nowego Jorku był wtedy człowiek niedoświadczony, który objął urząd zaledwie tydzień wcześniej. Wezwał więc policję, a w końcu padł rozkaz, by otworzyć ogień do tłumu. Tamtej nocy zginęło prawie trzydzieści osób.

Mój ojciec powiedziałby zapewne, że oddali życie za nic, skoro za *Hamleta*. Tak jest jednak zawsze:

ludziom zależy najbardziej na tym, co najmniej praktyczne. Medycyna oznaczała dla mnie to, co praktyczne. Wszystko, co robiłem przed rozpoczęciem studiów lekarskich, było tylko odległą od realiów życia zabawą. Właśnie dlatego ojcowie muszą umrzeć: żeby świat ich synów stał się rzeczywisty.

Tak samo jest z przeniesieniem: pacjent wiązuje się z lekarzem i ta więź ma wyraźny emocjonalny charakter. Kobieta jako pacjentka często płacze w obecności lekarza, gotowa dla niego na wszystko, ze śmiercią włącznie. To jednak fikcja, urojenie, mrzonka. W rzeczywistości jej uczucia nie mają nic wspólnego z lekarzem, po prostu na jego osobę przenosi gwałtowne emocje, które wzbudza w niej zupełnie ktoś inny. Największą gafą, jaką popełnić może psychoanalityk, jest uznanie tych wydumanych uczuć, zarówno uwodzicielskich, jak i nienawistnych, za rzeczywiste. Takie właśnie myśli towarzyszyły mi, gdy zmierzałem do drzwi pokoju panny Acton, by przystąpić do naszej pierwszej sesji.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Stara służąca wpuściła mnie do apartamentu panny Acton, krzyząc jednocześnie:

- Młody doktor już przyszedł!

Dziewczyna siedziała na sofie przy oknie z jedną nogą podwiniętą pod siebie i czytała książkę, wyglądającą jak podręcznik do matematyki. Podniosła wzrok, ale nie powitała mnie, co zrozumiałe, bo przecież nie mogła mówić. Kryształowe sople zwisające z żyrandola delikatnie drżały, być może wskutek pędzących pod budynkiem hotelowym podziemnych pociągów.

Panna Acton miała na sobie prostą białą sukienkę wykończoną niebieską lamówką. Nie założyła żadnej biżuterii. Szyję przewiązała apaszką w kolorze nieba. Zważywszy na letnie upały, istniał tylko jeden możliwy powód założenia tej apaszki: pozostawione przez napastnika ślady na szyi wciąż były widoczne i pod nią chciała je ukryć.

Wyglądała zupełnie inaczej niż wczoraj, do tego stopnia, że na ulicy bym jej nie rozpoznał. Długie włosy, tak potargane, gdy widziałem ją w ogromnym gabinecie w komendzie, lśniły gładko uczesane i zebrane w długi warkocz. Wczoraj nie potrafiła powstrzymać drżenia, dziś była ucieleśnieniem wdzięku. Głowę trzymała wysoko, uwydatniając piękną, długą szyję. Tylko wargi miała jeszcze lekko opuchnięte w miejscu, na które padł cios napastnika.

Z czarnej teczki wyjąłem kilka notatników, pióra oraz atrament. Były, oczywiście, przeznaczone nie dla mnie, tylko dla panny Acton, żeby mogła się ze mną porozumiewać, pisząc. Idąc za wskazaniem Freuda, nigdy nie prowadziłem żadnych notatek podczas sesji terapeutycznej z pacjentem. Rozmowę zapisywałem po wizycie z pamięci.

- Dzień dobry, panno Acton - powiedziałem. - Te notatniki są dla pani.

- Dziękuję - odpowiedziała. - Który mam sobie wziąć?

- Którykolwiek - odparłem, zanim dotarł do mnie fakt aż nazbyt oczywisty. - Odzyskała pani mowę!

- Pani Biggs! Proszę nalać doktorowi herbaty - odezwała się znowu.

Podziękowałem za herbatę. Niespodziewana wiadomość, że panna Acton odzyskała mowę, wyprowadziła mnie z równowagi, a dodatkowo zdałem sobie sprawę z faktu, że jako lekarz nie powinienem mieć pacjentce za złe, iż jej stan zdrowia się polepszył bez mojego udziału.

- Czy odzyskała pani także pamięć? - zapytałem.

- Nie. Ale pański kolega po fachu, ten starszy mężczyzna, powiedział, że pamięć wróci w sposób naturalny, czyż nie?

- Doktor Freud twierdził, że to właśnie głos może pani odzyskać bez interwencji medycznej, a nie pamięć, panno Acton - odparłem i natychmiast się zdziwiłem, że to powiedziałem, ponieważ wcale nie byłem pewien, co właściwie Freud miał na myśli.

- Nienawidzę Szekspira - powiedziała, obserwując mnie uważnie. Szybko się zorientowałem, co sprowokowało to oświadczenie. Między notatniki, które jej podałem, zaplątał się egzemplarz *Hamleta*. Włożyłem go z powrotem do teczki. Kusilo mnie, żeby zapytać, dlaczego nie lubi Szekspira, opanowałem się jednak i zamiast tego powiedziałem:

- Czy możemy rozpocząć terapię, panno Acton?

Z westchnieniem pacjenta, który widział już w życiu aż nadto lekarzy, odwróciła się do mnie plecami i spojrzała w okno. Najwyraźniej sądziła, że za chwilę wyjmę stetoskop albo zacznę oglądać rany na jej ciele. Powiedziałem więc, że będziemy tylko rozmawiali. Usłyszawszy to, wymieniła sceptyczne spojrzenie z panią Biggs.

- Cóż to za terapia, doktorze? - zapytała.

- Nosi nazwę psychoanalizy i jest bardzo prosta. Muszę jednak poprosić, żeby pani służąca zostawiła nas samych. Następnie zechce się pani położyć, a ja zapytam panią o kilka spraw. Pani zadanie polegać będzie na tym, by mówić na głos wszystko, co przychodzi pani do głowy w związku z moimi pytaniami. Proszę się nie przejmować, jeśli odpowiedź wyda się pani bez znaczenia z uwagi na moje pytanie, a może nawet nieuprzejma. Pacjent ma po prostu mówić to, o czym, usłyszawszy pytanie, pomyślał; cokolwiek to jest.

Zdziwiona, aż zamrugła powiekami.

- Pan żartuje?

- Ależ skąd!

Potrzebowałem kilku minut, by przełamać wahanie dziewczyny, a następnie kolejnych kilku, żeby przekonać jej służącą - która powtarzała w kółko, że nigdy w życiu o czymś takim nie słyszała - by nas zostawiła samych. W końcu udało mi się pokonać opór pani Biggs, a pannę Acton namówić, by się położyła wygodnie na sofie. Poprawiła apaszkę na szyi, wygładziła dół sukienki i leżała, cała spięta. Zapytałem, czy w tej pozycji rany na plecach jej nie dokuczają. Kiedy zaprzeczyła, usiadłem na krześle poza jej polem widzenia i zacząłem:

- Proszę mi powiedzieć, co się pani śniło dzisiejszej nocy.

- Słucham?

- Jestem pewien, że dobrze pani usłyszała, panno Acton.

- Nie bardzo rozumiem, co moje sny mają z tym wspólnego.

- Sny złożone są z fragmentów doświadczeń dnia poprzedniego. Każdy sen, który pani sobie przypomni, pomoże nam w przywróceniu pani utraconej pamięci - wyjaśniłem.

- A jeśli nie chcę?

- Miała pani sen, którego wolałaby nie opowiadać?

- Nie to miałam na myśli. Jeśli nie chcę pamiętać tego zdarzenia. Wszyscy przyjmujecie, że chcę je sobie przypomnieć.
- Ależ nie, panno Acton. Ja zakładam, że nie chce pani go pamiętać. Gdyby pani chciała, po prostu by pani je zapamiętała.
- Co to ma znaczyć? - zapytała, podnosząc się i patrząc na mnie z nieskrywaną wrogością. Zazwyczaj świeżo poznani ludzie nie żywią do mnie nienawiści. W tym przypadku najwyraźniej miałem do czynienia z wyjątkiem. - Sądzi pan, że udaję?
- Nie ma mowy o udawaniu, panno Acton. Czasem nie chcemy pamiętać różnych zdarzeń, ponieważ są dla nas zbyt bolesne. Odcinamy się od nich, a dotyczy to zwłaszcza wspomnień z dzieciństwa.
- Nie jestem dzieckiem.
- Wiem. Chodziło mi o to, że być może ma pani sprzed wielu lat wspomnienia, które trzyma z dala od świadomości.
- Co też pan opowiada! Przecież zaatakowano mnie wczoraj, a nie wiele lat temu!
- I właśnie dlatego zapytałem, co się pani dzisiaj śniło.

Po raz kolejny obdarzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem, udało mi się jednak jakoś ją udobruchać i nakłonić, by się położyła ponownie.

- Czy inne pacjentki także prosi pan, by opisywały swoje sny, doktorze? - zapytała, patrząc w sufit.
- Tak.
- To musi być zabawne! Ale przecież sny bywają też nudne. Czy wtedy pacjentki wymyślają jakieś interesujące historie?
- Proszę się tym nie kłopotać.
- Czym?
- Tym, że pani sny mogą być nudne.
- Nic mi się nie śniło. Jestem pewna, że pan admiruje Ofelię.
- Słucham?
- Za potulność. U Szekspira wszystkie kobiety są idiotkami, a Ofelia to najcięższy przypadek tej ułomności.

Zbiło mnie to z tropu. Istotnie, wielbiłem Ofelię. Co więcej, mam wrażenie, że wszystkiego, co wiem o kobietach, nauczyłem się z dzieł Szekspira. Nie miałem wątpliwości, że panna Acton próbuje odbiec od tematu. Choć utrudnia to lekarzowi pracę, warto niekiedy poświęcić trochę czasu podobnym unikom, bywają bowiem wskazówką, która skieruje analizę na właściwe tory.

- Co pani ma do zarzucenia Ofelii? - zapytałem.

- Zabija się z powodu śmierci swojego ojca, głupiego i całkiem bezsensownego faceta. Czy pan by się zabił, gdyby zmarł pański ojciec?

- Mój ojciec nie żyje.

Zakryła usta dłonią.

- Och, przepraszam. Jestem bezmyślna.

- Chyba mogę powiedzieć, że po jego śmierci zabiłem część siebie - dodałem po chwili. - Nie widzę w tym niczego niezwykłego.

Uśmiechnęła się.

- Co przychodzi pani na myśl, gdy myśli pani o przeszłych wydarzeniach, panno Acton?

- Nic nie przychodzi mi na myśl - odparła. - Jeśli dobrze mi wiadomo, na tym właśnie polega amnezja, prawda?

Opór dziewczyny mnie nie zaskoczył. Wśród rad udzielonych mi przez Freuda znalazła się i ta, by nie dać się łatwo zbyć. W amnezji o podłożu histerycznym jakiś niedostępny, od dawna zapomniany epizod z przeszłości zostaje nagle ożywiony przez świeżej daty wydarzenie i zaczyna napierać na świadomość, która z kolei stawia opór i robi wszystko, by nie dopuścić do siebie niepożądanych wspomnień. Psychoanaliza staje po stronie odpychanych przez pacjenta wspomnień i walczy z siłami, które je tłumią. Dlatego wywołuje gwałtowną i czasem przedłużającą się wrogość.

- Nigdy się tak nie dzieje, żeby umysł był pusty - powiedziałem. - Co chodzi pani po głowie w tej chwili?

- Dokładnie teraz?

- Tak. Niech się pani nie zastanawia, tylko po prostu to powie.

- Dobrze. Pański ojciec nie umarł. Popełnił samobójstwo.

Przez chwilę milczałem.

- Skąd pani o tym wie?

- Powiedziała mi Clara Banwell.

-Kto?

- Zona Georgea Banwella - wyjaśniła. - Zna pan Georgea Banwella?

- Nie.

- Jest znajomym mojego ojca. W zeszłym roku Clara zabrała mnie na pokaz koni i tam pana widziałyśmy. Był pan wczoraj na balu pani Fish, prawda?

Potwierdziłem.

- Zastanawia się pan, czy moja rodzina została zaproszona, ale boi się pan o to zapytać w obawie, że nie dostaliśmy zaproszenia.

- Nie, panno Acton. Zastanawiam się, w jaki sposób pani Banwell poznała okoliczności śmierci mojego ojca.

- Czy to, że ludzie wiedzą, utrudnia sytuację?

- Czy pani próbuje utrudnić sytuację? - odpowiedziałem pytaniem.

- Clara twierdzi, że wszystkie dziewczęta są podekscytowane faktem, iż pański ojciec popełnił samobójstwo. Uważają, że to czyni pana bardziej interesującym. A na przyjęcie pani Fish zostaliśmy zaproszeni, ja jednak nigdy nie będę chodziła na te wasze bale.

- Naprawdę?

- Naprawdę! Są obrzydliwe.

- Dlaczego?

- Bo są takie... obrzydliwie męczące.

- Bale są obrzydliwie męczące?

- Czy pan wie, doktorze, co z takiej okazji musi zrobić debiutantka? Otóż musi razem z matką odwiedzić wszystkich znajomych rodziców; to jakieś sto domów. Nie sądzę, by potrafił pan sobie wyobrazić, jakie to potwornie nudne. W każdym domu kobiety mówią nam, że wyglądamy jak dorosłe, mając na myśli coś... odrażającego. Potem nadchodzi ten wielki dzień i pokazuje się nas jak gadające zwierzęta, na które właśnie zaczął się sezon polowań. Potem zmusza się nas, by przetrzymać korowód w kotylnie, a każdy mężczyzna jest przekonany, że zasługuje na to, by się z nami kochać, bez względu na to, kim jest, ile ma lat i jak bardzo nieświeżym owiewa nas oddechem. Nie potrafiłabym się zmusić, żeby z nimi tańczyć. W przyszłym miesiącu zaczynam studia. Nie mam zamiaru w ogóle pokazywać się na balach.

Uznałem, że najlepiej nie komentować tej decyzji. Zresztą cały wywód wydał mi się przekonujący. Zmieniłem więc temat.

- Proszę mi powiedzieć, co się z panią dzieje, kiedy próbuje sobie pani przypomnieć to wydarzenie.

- Jak to, co się ze mną dzieje?

- Chcę, żeby mi pani powiedziała, jakie myśli lub obrazy przychodzą pani do głowy, gdy próbuje sobie pani przypomnieć, co się stało wczoraj.

Wzięła głęboki oddech.

- Tam, gdzie powinny być wspomnienia, jest całkowita ciemność. Nie wiem, jak inaczej to opisać.
- A jest pani tam, w tej ciemności?
- Czy tam jestem? - powtórzyła pytanie ściszone głosem. - Sądzę, że tak.
- Jest w niej coś jeszcze?
- Jest jeszcze ktoś - wyznała i przeszedł ją dreszcz. - Mężczyzna.
- Jakie myśli wywołuje w pani ten mężczyzna?
- Nie wiem. Na myśl o nim czuję kołatanie w sercu.
- Czyżby czegoś się pani bała?

Przełknęła ślinę.

- Strach? Niech się zastanowię. Zostałam napadnięta we własnym domu. Mężczyzna, który mnie zaatakował, jest wciąż na wolności. Policja nie ma pojęcia, kto to mógł być. Zachodzi podejrzenie, że mężczyzna ten obserwuje mój dom, bo chce mnie zabić, gdy tylko tam wrócę. A pańskie wnikliwe pytanie zmierza do ustalenia, czy się czegoś boję?

Powiniennem był okazać jej odrobinę współczucia, postanowiłem jednak wystrzelić ostatnią kulę, jaka mi pozostała.

- Nie po raz pierwszy utraciła pani mowę, panno Ac-ton, prawda?

Spojrzała na mnie kosym okiem. Mimowolnie zauważyłem pełne gracji linie jej podbródka, nosa i czoła.

- Kto panu o tym powiedział?
- Pani Biggs poinformowała o tym wczoraj policję.
- To było trzy lata temu - wyjaśniła, lekko się przy tym rumieniąc. - I nie ma związku absolutnie z niczym.
- Nie ma się pani czego wstydzić, panno Acton.
- Ja się nie mam czego wstydzić?

Usłyszałem oczywiście nacisk, z jakim wypowiedziała pierwsze słowo, nie potrafiłem tylko zrozumieć, o co jej chodzi.

- Nie jesteśmy odpowiedzialni za nasze uczucia. Dlatego uczucia nie mogą stanowić powodu do wstydu.

- W życiu nie słyszałam większej bzdury!
- Czyżby? A moje pytanie o to, czy ma się pani czego bać?
- To oczywiste, że uczucia nas zawstydzają. Dzieje się tak przecież co dzień.
- Wstydzi się pani tego, co spowodowało, że po raz pierwszy utraciła pani głos?
- Nie ma pan pojęcia, co się wtedy wydarzyło! - powiedziała i nagle odniosłem wrażenie, że jest słaba i krucha, choć podniesiony głos wcale na to nie wskazywał.
- Dlatego o to pytam.
- Nie mam zamiaru mówić panu o tym - oświadczyła, podnosząc się z kanapy. - To nie medycyna! To wścibstwo!
- dodała, po czym jeszcze głośniej krzyknęła: - Pani Biggs! Proszę do mnie!

Natychmiast otworzyły się drzwi i pani Biggs wparowała do środka. Musiała przez cały czas stać w korytarzu, niewątpliwie strzygąc uszami.

- Doktorze Younger - zwróciła się do mnie panna Acton.
- Zamierzam wybrać się teraz na zakupy, ponieważ nikt nie ma pojęcia, jak długo będę zmuszona przebywać w hotelu. Może pan wrócić do swojego pokoju.

Burmistrz kazał koronerowi czekać całą godzinę. Zwykle zniecierpliwiony i skłonny do wybuchu Hugel był teraz wyraźnie wściekły.

- To najprawdziwsza obstrukcja! - krzyczał, wchodząc do gabinetu McClellana. - Domagam się specjalnego dochodzenia!

George Brinton McClellan junior, syn bohaterskiego generała, który wstawił się podczas wojny secesyjnej, był największym intelektualistą i wizjonerem na fotelu burmistrza Nowego Jorku. W 1909 roku zaledwie garstkę Amerykanów uznawano za specjalistów w dziedzinie historii Włoch; McClellan należał do tych nielicznych. W wieku czterdziestu trzech lat miał już za sobą karierę redaktora gazety i prawnika, był pisarzem, kongresmanem, wykładowcą historii Europy w Princeton, honorowym członkiem Amerykańskiego Stowarzyszenia Architektów i burmistrzem największego miasta w kraju. Kiedy radni Nowego Jorku podjęli uchwałę zakazującą kobietom palenia tytoniu w miejscach publicznych, McClellan ją zawetował.

Mimo tych wszystkich dokonań McClellan nie był do końca pewien swojego stołka. Kolejne wybory na ten urząd miały się odbyć za niespełna dziewięć tygodni, on natomiast nie uzyskał oficjalnej nominacji od żadnej poważnej partii politycznej ani syndykatu. W całej swojej karierze popełnił bowiem dwa fatalne błędy. Pierwszym było pokonanie niewielką większością w 1905 roku Williama Randolpha Hearsa, który odtąd zamieszczał w należących do niego gazetach sensacyjne doniesienia na temat bezwstydnego przekupstwa, jakiego rzekomo dopuszczał się McClellan. Drugim było zerwanie kontaktów z Tammanym Hallem, który znienawidził McClellana za nieprzekupność właśnie. Tammany Hall rządził partią demokratyczną w Nowym Jorku, a Nowym Jorkiem trzęśli demokraci.

Przywódcztwo to bardzo się mu przysłużyło, znacznie powiększając jego fortunę. W ciągu kilku lat Tammany uszczuplił miejską kiesę o przynajmniej pięćset milionów dolarów. McClellan kandydował do wyborów z nominacji Tammany'ego, po objęciu urzędu jednak odzegał się od kumoterstwa, którego bezwstydnie odeń zażądano. Usunął ze stanowiska najbardziej skorumpowanych urzędników i doprowadził do postawienia wielu z nich w stan oskarżenia. Miał nadzieję, że sam zastąpi Tammanyego na stanowisku szefa partii, tego celu jednak jeszcze nie osiągnął.

Prawie całkiem zakrywając lśniący blat z orzecha włoskiego, obok wszystkich piętnastu wychodzących w mieście gazet na biurku burmistrza leżało kilka projektów. Wśród nich strzelisty most wiszący, którego konstrukcja opierała się na dwóch potężnych, lecz cudownie smukłych wieżach. Po górnym poziomie mostu miały mknąć miejskie tramwaje, na dolnym zaś przewidziano sześć pasów ruchu konnego oraz samochodowego.

- Czy wie pan, Hugel, że jest pan dzisiaj piątą osobą, która domaga się, żebym wszczął dochodzenie w takiej czy innej sprawie? - zapytał burmistrz.

- A niby co się stało z ciałem ofiary? Wstało i ot, tak sobie, poszło? - odpowiedział koroner pytaniem.

- Niech pan popatrzy - powiedział burmistrz, wskazując jeden z projektów. - To Manhattan Bridge. Jego budowa kosztowała trzydzieści milionów i zostanie oddany do użytku jeszcze w tym roku, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię na tym stanowisku. Łuk od strony centrum miasta jest repliką portalu kościoła opactwa St-Denis, tylko dwukrotnie większą. Za sto lat ten most...

- Panie burmistrzu! Córkę Riverfordów...

- Wiem, co się stało z córką Riverfordów - przerwał McClellan niespodziewanie władczym tonem i spojrzał Hugelowi prosto w twarz. - Co mam powiedzieć Banwello-wi? Co on z kolei ma powiedzieć zdruzgotanej rodzinie dziewczyny? Niech pan mi odpowie na to pytanie! Oczywiście, że należało wszcząć śledztwo, już dawno temu. I już dawno powinien je pan był zakończyć!

- Ja? Dawno temu? - zdziwił się koroner.

- Ile ciał zniknęło w ciągu ostatniego pół roku, włącznie z tymi dwoma, które zginęły już po tym, gdy niby poradziłyśmy sobie z problemem? Dwadzieścia? Wie pan równie dobrze jak ja, co się z tymi zwłokami dzieje.

- Sugeruje pan, że ja...

- Oczywiście, że nie. Ale któryś z pańskich ludzi sprzedaje zwłoki szkołom medycznym. Ponoć inkasuje po pięć dolarów za każde.

- Czy to ja ponoszę winę za warunki, w których sam także muszę pracować? - odparował Hugel. - Żadnych zabezpieczeń, żadnej straży, piętujące się stosy zwłok i żadnych pomieszczeń, w których dałoby się je godnie przechowywać. Niektóre zaczynają gnić, zanim mogą zezwolić na ich usunięcie z kostnicy. Co miesiąc ślę raporty na temat urągających wszelkiej przyzwoitości warunków w kostnicy. Pan jednak postanowił trzymać mnie w tej kreciej norze.

- Przykro mi z powodu stanu kostnicy miejskiej. Wiem, że w tych warunkach nikt oprócz pana by sobie nie poradził, to pewne. Jest też jednak prawdą, że przymykał pan oko na kradzieże zwłok, a ja niebawem będę zmuszony ponieść tego konsekwencje. Przepyta pan każdego swojego pracownika i skontaktuje się z każdą szkołą medyczną w tym mieście. Chcę, żeby te zwłoki się znalazły.
- Niemożliwe, żeby te akurat zwłoki powędrowały do szkoły medycznej - zaproponował koroner. - Już poddałem je autopsji. Otworzyłem klatkę piersiową, żeby potwierdzić, że przyczyną śmierci było uduszenie.
- I co z tego?
- Jak to co? Żadna szkoła medyczna nie kupi ciała po sekcji. Potrzebują zwłok nienaruszonych.
- W takim razie złodziej się pomylił.
- Nie ma mowy o pomyłce - zaprzeczył Hugel. - Ciało dziewczyny ukradł ten, kto ją zamordował.
- Niech pan się opanuje, Hugel. Zaczyna pan fantazjować.
- Ależ ja panuję nad sobą.
- Nie bardzo więc rozumiem, co mi pan chce powiedzieć. Że morderca włamał się do kostnicy miejskiej i zbiegł z ciałem swojej ofiary?
- Właśnie to.
- Ale w jakim celu?
- Ponieważ na ciele dziewczyny znajduje się dowód rzeczowy i morderca nie chce, żebyśmy go mieli.
- Jaki dowód rzeczowy?

Szczęki koronera zacisnęły się wyjątkowo mocno, a w okolicach skroni pojawiły się plamy w kolorze śliwki.

- Dowód rzeczowy w postaci... to jest... - zaczął i zająknął się. - Nie wiem jeszcze, jaki dowód rzeczowy. Dlatego musimy odzyskać zwłoki!
- Drzwi kostnicy są przecież zamykane na jakiś zamek, prawda?
- Oczywiście, że tak.
- Doskonale! Czy zamek był uszkodzony dzisiaj rano? Dostrzegł pan jakieś ślady włamania?
- Nie - przyznał koroner niechętnie. - Ale wystarczy przyzwoity wytrych, żeby...
- Oto, co pan robi, panie Hugel! Proszę jak najszybciej powiadomić swoich ludzi, że na tego, kto, nazwijmy to tak, odnajdzie zwłoki panny Riverford w którejś ze szkół medycznych, czeka nagroda w

wysokości piętnastu dolarów. Dwadzieścia pięć dolarów, jeśli znajdą się jeszcze dzisiaj. Dzięki temu zwłoki na pewno znów spoczną w miejskiej kostnicy. A teraz proszę mi wybaczyć, ale mam dużo pracy. Życzę miłego dnia.

Hugel niechętnie ruszył w kierunku drzwi. Już miał wychodzić, gdy burmistrz podniósł wzrok znad biurka.

- Chwileczkę, panie Hugel. Proszę chwilę zaczekać. Powiedział pan, że panna Riverford została uduszona?

- Tak - potwierdził koroner. - A dlaczego pan pyta?

- Jak ją uduszono?

- Została zadławiona.

- Jak na garocie?

- Tak. Dlaczego pan o to pyta? - dziwił się koroner, ale burmistrz po raz wtóry zignorował jego pytanie.

- Czy na jej ciele były jakieś inne obrażenia?

- Wszystko opisałem w raporcie - odparł rozżalony Hugel, dla którego wiadomość, że burmistrz nie czyta jego raportów, była kolejnym upokorzeniem. - Przed śmiercią dziewczynę biczowano; ślady stwierdziłem na pośladkach, po obu stronach kręgosłupa i na przedniej części klatki piersiowej. Ponadto widoczne były dwa wykonane wyjątkowo ostrym narzędziem nacięcia sięgające do skóry właściwej na przecięciu dermatomów S-dwa i L-dwa.

- Gdzie? Niech pan mówi po ludzku, Hugel!

- Na wewnętrznej stronie górnej części uda jednej i drugiej nogi.

- Na litość Boską! - wyrwało się burmistrzowi.

*

Zszedłem na lunch, próbując po drodze jakoś uporządkować to, co zdarzyło się podczas spotkania z panną Acton. W restauracji zastałem Junga czytającego amerykańską gazetę. Przysiadłem się do niego. Pozostali panowie udali się do Metropolitan Museum. Jung nie poszedł z nimi, ponieważ (jak mi wyjaśnił) miał w planach wizytę u doktora Onu-fa, neuropsychiatry z Ellis Island.

Po raz pierwszy znalazłem się sam na sam z Jungiem. Odniosłem wrażenie, że jest ożywiony i towarzyski, jak rzadko. Twierdził, że przespał całe wczorajsze popołudnie i ta długa drzemka świetnie mu zrobiła. Rzeczywiście, bladość, która wczoraj wzbudziła mój niepokój, prawie całkiem ustąpiła.

- Amerykanom brakuje literatury, a nie kultury w ogóle

- oświadczył. Jak sądzę, miał to być komplement. Niemniej jednak chciałem mu udowodnić, że

Amerykanie nie są kompletnymi analfabetami, opowiedziałem więc historię zamieszek o Szekspira przed starą operą Astora

- Amerykanie chcieli więc muskularnego Hamleta?

- stwierdził z rozbawieniem. - Pańska historia potwierdza moje spostrzeżenie. Muskularny, zachowujący się jak prawdziwy mężczyzna Hamlet to oczywisty fałsz. Jak twierdził mój pradziadek, Hamlet prezentuje kobiecą stronę osobowości mężczyzny, rozważa wszystko w nieskończoność, jest zamknięty w sobie, skupia się na własnych odczuciach i wykazuje niezwykłą wrażliwość na świat duchowy, brak mu jednak siły, by unieść ten ciężar, który znoszą w sposób naturalny kobiety. Prawdziwe wyzwanie polega bowiem na tym, by słysząc głosy z drugiego świata, żyć tu i teraz, być człowiekiem czynu.

Zastanowiły mnie głosy, o których wspomniał Jung. Czy chodziło mu o podświadomość? Z ogromną satysfakcją stwierdziłem też, że podziela moją opinię o Hamlecie.

- Opisuje pan Hamleta niemal tak jak Goethe - powiedziałem. - Właśnie tak Goethe interpretuje niezdolność Hamleta do działania.

- Wspomniałem chyba, że to opinia mojego pradziadka, czyż nie?

Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby oswoić się z tym, co właśnie usłyszałem.

- Goethe był pańskim pradziadkiem? - zapytałem.

- Freud przedkłada Goethego ponad wszystkich poetów - odparł. - Jones z kolei nazywa go dytyrambistą! Może pan sobie wyobrazić? Zwyczajny Anglik! Nie mam pojęcia, co Freud widzi w tym Jonesie - dodał zde gustowany. Niewątpliwie chodziło mu o Ernesta Jonesa, brytyjskiego propagatora teorii Freuda obecnie mieszkającego w Kanadzie, który miał do naszej kompanii dołączyć nazajutrz. - A odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: tak. Jestem Carl Gustav Jung Trzeci. Pierwszy był synem Goethego, o czym powszechnie wiadomo. A oskarżenia o morderstwo były całkowicie bezpodstawne.

- Nie wiedziałem, że Goethe był oskarżony o morderstwo.

- Oczywiście, nie Goethe! - oburzył się. - Chodziło o mojego dziadka, do którego zresztą pod wieloma względami jestem podobny. Został aresztowany za morderstwo, chociaż nikogo nie zamordował. Prawdą jest natomiast, że napisał powieść o mordercy. I to całkiem niezłą. Nosi tytuł *Podejrzany* i opowiada o człowieku niesłusznie oskarżonym o morderstwo. A przynajmniej czytelnik ma wszelkie podstawy, by uznać to oskarżenie za bezpodstawne. Później dziadka otoczył kuratelą von Humboldt. Wie pan, Younger, chyba jednak wolałbym, żeby pański uniwersytet nie honorował mnie na równi z Freudem. On jest wyjątkowo wrażliwy na tym punkcie.

To chyba nagła zmiana tematu sprawiła, że nie potrafiłem znaleźć na to odpowiedzi. A przecież mój uniwersytet nie traktował Freuda i Junga tak samo. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że to Freud jest znamienitym gościem obchodów rocznicowych i głównym wykładowcą, u którego zamówiono aż pięć prelekcji. Jung miał za ledwie poprowadzić jedno seminarium, i to w zastępstwie kogoś, kto w ostatniej chwili odwołał swoje przybycie. Jednakże Jung nie czekał na moją reakcję.

- Podobno zapytał pan wczoraj Freuda, czy jest wierzący. Doskonale pytanie, Younger! - Znów zmienił temat, zaskakując mnie po raz kolejny, ponieważ wcześniej nigdy nie dał mi poznać, że podoba mu się jakiegokolwiek moje posunięcie.

- Zapewne powiedział panu, że nie jest. Freud to geniusz, ale jego mądrość naraża go na niebezpieczeństwa. Ktoś, kto poświęca całe życie badaniu chorych psychicznie, karłów i niegodziwców, może stracić z oczu wspaniałych, pięknych, uduchowionych ludzi. Ani przez chwilę nie zwątpiłem, że dusza ludzka nie ogranicza się do funkcji cielesnych.

- Nie jestem tego pewien, doktorze Jung.

- I z całą pewnością taka konstatacja nie jest dla pana atrakcyjna. Inaczej niż dla nich.

Zapytałem, kogo ma na myśli.

- Wszystkich: Brilla, Ferencziego, Adlera, Abrahama, Ste-kela i całą resztę. On się otacza takimi... typami. A oni gotowi są zbrukać wszystko, co wzniosłe, sprowadzić to do genitaliów i ekskrementów. Ale duszy nie można zredukować do funkcji cielesnych. Nawet Einstein, który też jest przecież jednym z nich, wątpi, czy można obejść się bez wiary w Boga.

- Albert Einstein?

- Często bywa u mnie na obiedzie - odparł Jung. - Ale on także ma skłonności redukcjonistyczne. Najchętniej ująłby cały wszechświat w prawa matematyczne. Niewątpliwie to cecha charakterystyczna umysłowości żydowskiej. To znaczy umysłowości żydowskiego mężczyzny. Ponieważ Żydówki są po prostu agresywne. Żona Brilla to typowa ich przedstawicielka, całkiem nieatrakcyjna, za to przepełniona agresją.

- Jeśli się nie mylę, Rose nie jest Żydówką.

- Rose Brill nie jest Żydówką? - zaśmiał się Jung. - Kobieta, która się tak nazywa, może być tylko Żydówką!

Nie odpowiedziałem. Jung najwyraźniej zapomniał, że Rose Brill nie zawsze tak się nazywała.

- Aryjczyk ma wrodzoną potrzebę mitu - ciągnął Jung.

- Nie próbuje więc sprowadzić wszystkiego do poziomu człowieka. Także tutaj, w Ameryce, dostrzegam tendencję, by wszystko zredukować, ale i jedną różnicę. Otóż u was wszystko robi się jakby dla dzieci. Rozumiem przez to, że wszystko upraszcza się tak bardzo, żeby nawet dziecko zdołało zrozumieć; znaki informacyjne, reklamy, cokolwiek. Nawet wasz sposób chodzenia przypomina chód dziecka, bo wszyscy, maszerując, wymachują rękami. Podejrzewam, że to wpływ Murzynów. Czarni to rasa ludzi dobrodusznych i religijnych, ale też prostodusznych i dość ograniczonych. Murzyni wywierają na Amerykanów przemożny wpływ. Zauważyłem, że ludzie z Południa mówią z murzyńskim akcentem. Wyjaśnia to panujący w tym kraju matriarchat. Kobiety niewątpliwie mają dominującą pozycję w Ameryce. Amerykańscy mężczyźni są owcami, a wasze kobiety odgrywają rolę nienasyconych wilków.

Przestały mi się już podobać kolory na twarzy Junga. Początkowo uznałem je za przejaw lepszego

zdrowia, teraz zaś wydał mi się zbyt rumiany. Martwił mnie też stan jego umysłu, i to z kilku powodów: mówił chaotycznie, nie rozumował logicznie i głosił żenujące wprost poglądy. Pomyślałem, że jak na osobę, która przebywa w Ameryce od dwóch dni, Jung uważa się za wyjątkowo dobrze zorientowanego w amerykańskich sprawach; zwłaszcza wiele zdawał się wiedzieć na temat naszych kobiet. Zmieniłem temat, informując go, że właśnie zakończyłem pierwszą sesję terapeutyczną z panną Acton.

- Co też pan mówi? - zapytał tonem, który w jednej chwili stał się lodowaty.
- Panna Acton mieszka w naszym hotelu.
- Zajmuje się pan psychoanalizą tej dziewczyny? Pan, tutaj, w tym hotelu?
- Tak, doktorze Jung.
- Rozumiem - stwierdził. Życzył mi powodzenia, choć niezbyt przekonywająco, po czym zaczął się zbierać do wyjścia. Poprosiłem, żeby przekazał ode mnie doktorowi Onufo-wi wyrazy szacunku. Przez chwilę patrzył na mnie, jakbym bełkotał coś kompletnie bez sensu, po czym odparł, że spełni moją prośbę z przyjemnością.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Na wschodnim brzegu rzeki Hudson, niecałe sto kilometrów na północ od Nowego Jorku, stał przysadzisty wiktoriański budynek z czerwonej cegły. Wokół centralnej wieżyczki rozciągało się sześć bocznych skrzydeł z małymi oknami. Był to wzniesiony w końcu XIX wieku stanowy szpital psychiatryczny w Matteawan - dla osób, które dopuściły się przestępstw.

Szpital w Matteawan nie był zbyt pilnie strzeżony, ale też nie przebywali w nim przestępcy, tylko ludzie chorzy psychicznie, których złamali prawo pod wpływem choroby. Wielu z nich wcale nie postawiono zarzutów, a ci, którzy stanęli przed sądem, zostali uniewinnieni.

W 1909 roku stan wiedzy medycznej na temat niepoczytalności daleki był od doskonałego. Około dziesięciu procent pacjentów szpitala w Matteawan uznano za niepoczytalnych z powodu uprawiania masturbacji. Większość pozostałych zdiagnozowano jako ofiary szaleństwa dziedzicznego. Była też jednak spora liczba pacjentów, u których szpitalni lekarze nie potrafili stwierdzić przyczyny choroby psychicznej, jeśli istotnie pacjenci ci na taką chorobę cierpieli.

Pensjonariusze groźni dla otoczenia przebywali w zatłoczonych salach o ścianach obitych gąbką i z zakratowanymi oknami. Pozostałych nie pilnowano niemal wcale. Nie aplikowano im żadnych leków ani nie odbywano z nimi „rozmów uzdrawiających”. Leczenie koncentrowało się wokół pojęcia higieny umysłowej, tak więc pacjenci mieli wracać do zdrowia dzięki wczesnemu wstawaniu i wykonywaniu lekkiej, ale czasochłonnej pracy - głównie zajmowali się sadzeniem i pielęgnowaniem warzyw w tysiącakrowym przyszpitalnym gospodarstwie rolnym, niedziele poświęcali modlitwom, a codziennie punktualnie o siedemnastej zjadali mdłą kolację podawaną w refektarzu; grali czasem w warcaby lub oddawali się innym godziwym rozrywkom i wcześniej udawali na spoczynek.

Pacjent z sali 3121 spędzał jednak dni w inny sposób. Do dyspozycji miał także sale od 3122 do 3124. Sypiał nie na szpitalnym łóżku jak pozostali, lecz w dużym i wygodnym łożu. I spał na nim do późna. Nie lubił czytać książek, za to codziennie otrzymywał pocztą kilka nowojorskich gazet i wszystkie wydawane w Nowym Jorku czasopisma, które przeglądał nad porcją jajek gotowanych bez skorupki dokładnie wtedy, gdy jego sąsiadów pędzono wielką grupą do gospodarstwa rolnego na przedpołudniowe zajęcia. Kilka razy w tygodniu konferował ze swoimi adwokatami, a co więcej - raz w tygodniu przyjeżdżał do niego pociągiem szef kuchni słynnej nowojorskiej restauracji Delmonico, żeby przygotować kolację, którą następnie pacjent ów spożywał we własnej jadalni. Szampanem i innymi napojami dzielił się ze strażnikami szpitala, z którymi także spędzał noce na grze w pokera. Gdy przegrywał w karty, niemal zawsze rzucał różnymi przedmiotami, rozbijał butelki albo szyby w oknach, a czasem nawet łamał krzesła. Strażnicy dbali więc, by zbyt często nie przegrywał. Drobniaki, które na to poświęcali, były bowiem niczym w porównaniu z przyzwoitymi sumkami, jakie im wypłacał za zwolnienie z konieczności stosowania się do szpitalnego reżimu. Ponadto odbijali sobie przegrane, zgarniając do kieszeni sumy, które stanowiły dla nich fortunę, ilekroć przyprowadzali mu do pokoju dziewczęta, żeby mógł się nieco odprężyć.

Tyle że nie było to łatwe. Oczywiście, problem nie dotyczył wprowadzenia dziewcząt do budynku szpitala, tylko wyrafinowanych gustów pacjenta z sali 3121. Lubił mianowicie dziewczęta młode i piękne, a takie wymagania znacznie utrudniały strażnikom zadanie. Co gorsza, kiedy już udawało im się znaleźć odpowiednią dziewczynę, wytrzymywała ona najwyżej kilka wizyt, choć też była hojnie

wynagradzana. W ten sposób po dwunastu miesiącach strażnicy nie mieli już do kogo się zwrócić.

Dwaj panowie wychodzący z sali numer 3121 o pierwszej popołudniu we wtorek ostatniego dnia sierpnia 1909 roku staranie rozważyli ten problem i znaleźli rozwiązanie, tak przynajmniej im się wydawało. Nie należeli oni do szpitalnej straży. Pierwszy, korpulentny, spod melonika prezentował wyjątkowo zadowoloną minę, drugi zaś, mężczyzna w podeszłym wieku, błyskał łańcuszkiem od zegarka przy kamizelce, miał wychudzoną twarz i dłonie pianisty.

Usłyszawszy relację burmistrza o tym, co się stało w rezydencji Actonów, koroner aż się zapienił.

- Co się z panem dzieje, Hugel? - zatroskał się burmistrz.
- Nikt mnie o tym nie poinformował. Dlaczego?
- Ponieważ jest pan koronerem, a nikt przecież nie został zabity.
- Ale obydwa przestępstwa popełniono dosłownie w identyczny sposób - obstawał przy swoim Hugel.
- Tego nie wiedziałem - stwierdził McClellan.
- Wiedziałby pan, gdyby przeczytał pan mój raport.
- Na Boga, niechże pan ochłonie, Hugel! - zażądał burmistrz i wskazał koronerowi krzesło. Gdy porównali obydwa przestępstwa, Hugel stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że morderstwa na Elizabeth Riverford i napadu na Norę Ac-ton dokonał ten sam mężczyzna.
- Wielki Boże! - zmartwił się burmistrz. - Sądzi pan, że powinienem jakoś ostrzec mieszkańców miasta?

Hugel zaśmiał się lekceważąco.

- Że co? Że po ulicach krąży morderca panien z towarzystwa?
- Właśnie tak bym to sformułował. Albo jakoś podobnie
- powiedział burmistrz, zdziwiony sarkazmem koronera.
- Mężczyźni nie atakują kobiet w sposób całkowicie przypadkowy. Każde przestępstwo ma motyw. Scotland Yardowi nigdy się nie udało schwytać Kuby Rozpruwacza, ponieważ nie dostrzegli tego, co łączyło jego ofiary. Nawet nie spróbowali znaleźć ich cech wspólnych. Sprawa była przegrana już w chwili, gdy uznali, iż mają do czynienia z szaleńcem.
- Wielki Boże! Nie twierdzi pan chyba, że to sprawka Rozpruwacza? - przeraził się burmistrz.
- Nie, oczywiście, że nie - zaprzeczył koroner, machając rękami z irytacją. - Twierdzą natomiast, że obydwa te przestępstwa popełnił ten sam mężczyzna. I że te kobiety coś łączy. Jeśli znajdziemy to połączenie, złapiemy go. Nie trzeba więc niczego rozgłaszać, za to należy strzec tej dziewczyny. Zaatakował ją przecież po to, żeby zamordować. Teraz dziewczyna jest osobą, która może go

zidentyfikować. Proszę pamiętać, że morderca nie wie, iż została dotknięta amnezją. Niewątpliwie będzie chciał skończyć to, co zaczął.

- Dzięki Bogu, przeniosłem ją do hotelu.
- Czy ktoś jeszcze wie, gdzie ona teraz przebywa?
- Lekarze, oczywiście.
- Informował pan rodzinę albo przyjaciół domu?
- Nie, oczywiście, że nie.
- Dobrze. Chwilowo jest więc bezpieczna. Czy coś sobie dzisiaj przypomniała?
- Nie wiem - odpowiedział McClellan z powagą. - Nie zdążyłem jeszcze skontaktować się z doktorem Youngerem.

Burmistrz zastanawiał się, co ma zrobić. Żałował, że nie może już wezwać do siebie starego generała Bingham, który przez wiele lat był komisarzem nowojorskiej policji. Zaledwie miesiąc wcześniej sam zmusił Bingham do przejścia na emeryturę. Cóż, Bingham był przeciwny reformie policji. Sam jednak był nieprzekupny i na pewno wiedziałby, co zrobić.

Burmistrz zdążył się przez miesiąc przekonać, że nowy szef policji, komisarz Baker, jest człowiekiem nieudolnym. Potrafi rozmawiać jedynie o bejsbolu i pieniądzach, które można na nim zarobić. McClellan doszedł teraz do wniosku, że Hugel jest jednym z jego najbardziej doświadczonych ludzi. Inaczej: gdy idzie o zabójstwa, jest najbardziej doświadczony. Skoro więc uważa, że nie trzeba publikować żadnego ostrzeżenia, zapewne ma rację. Dziennikarze natychmiast skorzystaliby z okazji i wzniecił powszechną histerię. A gdyby jeszcze wyszło na jaw, co niewątpliwie prędzej czy później by nastąpiło, że zaginęło ciało pierwszej ofiary, zaczęliby wylewać pomyje na urządowanie burmistrza i na niego samego. Oprócz tego przecież obiecał Banwellowi, że policja spróbuje rozwikłać sprawę, nie nadając jej rozgłosu. A George Banwell był jednym z niewielu przyjaciół, jacy McClellano-wi pozostali. Postanowił więc pójść za radą Hugela.

- Dobrze więc, panie Hugel - powiedział. - Nie wystosujemy na razie żadnego ostrzeżenia. Mam nadzieję, że się pan nie myli. Niech pan znajdzie mordercę. Najlepiej niech pan zaraz pojedzie do domu Actonów. Przekazuję panu nadzór nad śledztwem. I proszę powiedzieć detektywowi Littlemoreowi, że chcę go widzieć natychmiast.

Hugel zaprotestował. Przecierając szkła okularów, przypomniał burmistrzowi, że koroner nie jest zwykłym detektywem i do jego obowiązków nie należy bieganie po całym mieście. McClellan przełknął te uwagi i zaczął przekonywać rozmówcę, że tylko jemu może zaufać w sprawie, która jest tak ważna i jednocześnie tak delikatna, ponieważ nikt lepiej od niego nie oceni sytuacji na miejscu przestępstwa. Hugel zamrugał oczami w sposób, który zdawał się wyrażać całkowitą zgodę z tymi stwierdzeniami, po czym zdecydował, że wobec powyższego uda się do rezydencji Actonów.

Gdy tylko wyszedł Hugel, burmistrz wezwał do siebie sekretarkę i kazał jej połączyć się telefonicznie z Banwellem. Dowiedział się przy okazji, że Banwell wydzwaniał od rana.

- Czego chciał? - zapytał.
- Był, prawdę mówiąc, obcesowy, panie burmistrzu - odpowiedziała.
- Rozumiem, panno Neville. Ale czego konkretnie chciał?

Panna Neville sięgnęła po swoje notatki.

- Chciał wiedzieć, kto, do cholery, zamordował pannę Ri-verford, dlaczego ten cholerny koroner zwleka z sekcją zwłok i gdzie są jego pieniądze - odczytała.

Burmistrz westchnął głęboko.

- Kto, dlaczego i gdzie. Zabrakło jeszcze kiedy - powiedział jakby do siebie i spojrzął na zegarek. On też miał coraz mniej czasu. Najdalej za dwa tygodnie zostanie zamknięta lista kandydatów w wyborach na burmistrza. Stracił już nadzieję na nominację od Tammany'ego, mógł więc startować jedynie jako kandydat niezależny albo popierany przez komitet obywatelski. Tyle tylko, że taka kampania wymagała pieniędzy. A także dobrej prasy, a nie lawiny oskarżeń i ataków w związku z napaściami na panny z towarzystwa.

- Proszę więc zatelefonować do Banwella - zwrócił się ponownie do panny Neville. - Niech mu pani przekaże, że chciałbym się z nim spotkać za półtorej godziny w hotelu Manhattan. To nie powinno być dla niego kłopotliwe. Prowadzi budowę tuż obok, więc i tak pewnie zamierza się tam wybrać. No i niech pani wezwie Littlemorea.

Pół godziny później detektyw Littlemore wsadził głowę w uchylone drzwi prowadzące do gabinetu burmistrza.

- Chciał mnie pan widzieć, burmistrzu?
- Panie Littlemore - odezwał się McClellan. - Wie pan, że morderca zaatakował po raz kolejny?
- Tak, panie burmistrzu. Powiedział mi o tym Hugel.
- To dobrze. Ta sprawa jest dla mnie wyjątkowo ważna. Osobiście znam Actonów, a George Banwell jest moim przyjacielem. Chcę wiedzieć o wszystkim, co się w tej sprawie dzieje. Niech pan natychmiast pójdzie do hotelu Manhattan, znajdzie doktora Youngera i spyta go, czego udało mu się dowiedzieć. I proszę na siebie nie zwracać uwagi, detektywie Littlemore! Nikt nie może wiedzieć, że w hotelu znajduje się potencjalny świadek w sprawie o morderstwo. Od tego może zależeć życie panny Acton. Zrozumiał pan?
- Tak jest, panie burmistrzu! Czy w tej sprawie podlegam panu, czy też kapitanowi Carneyowi z wydziału zabójstw?
- Podlega pan koronerowi Hugelowi. I oczywiście mnie. Zależy mi na wyjaśnieniu tej sprawy, Littlemore. Za wszelką cenę. Zna pan ustalony przez koronera rysopis mordercy?
- Tak, panie burmistrzu - odparł Littlemore i zawahał się.

- Mam pytanie. A jeśli opis koronera jest niewłaściwy?
- Ma pan jakieś powody, żeby tak sądzić?
- Wydaje mi się... Moim zdaniem w to morderstwo zamieszany jest Chińczyk.
- Chińczyk? - zdziwił się burmistrz. - Informował pan o tym Hugela?
- Tak, ale on się nie zgadza z tą opinią.
- Ach, tak! Radziłbym, żeby pan ufał koronerowi. Wiem, że on jest... nadmiernie wrażliwy w pewnych kwestiach, musi pan jednak pamiętać, jak ciężko uczciwemu człowiekowi, który rzetelnie wykonuje swoje obowiązki, pozostawać w cieniu, podczas gdy ludzie nieuczciwi dorabiają się majątków i sławy. Właśnie dlatego korupcja jest taka zaraźliwa: łamie wolę w uczciwych ludziach. Hugel ma wielkie doświadczenie i wielką wiedzę. I wysoko pana ceni, Littlemore. Do tej sprawy on sam wybrał właśnie pana.
- Mnie?
- Tak, Littlemore, pana. A teraz proszę się zabrać do pracy.

Wychodząc z hotelu natknąłem się na pannę Acton i jej służącą, panią Biggs, które wybierały się do miasta na zakupy. Właśnie zajechał po nie powóz. Ulicę przed hotelem pokrywało poryte koleinami zaschłe błoto, podsadziłem więc pannę Acton do powozu, żeby nie zabłociła pantofli. Z zakłopotaniem stwierdziłem przy tym, że jej wąska talia niemal idealnie mieści się w moich dłoniach. Chciałem też pomóc pani Biggs, ale z nią nie poszłoby mi tak łatwo.

Żegnając się z panną Acton, powiedziałem, że zobaczymy się jutro rano. Zapytała, co mam na myśli, wyjaśniłem więc, że chodzi mi o kolejną sesję psychoanalityczną. Stałem z ręką opartą o drzwi powozu. Zatrzasnęła je, odtrącając moją dłoń.

- Nie mam pojęcia, co się z wami wszystkimi dzieje!
- krzyknęła. - Nie życzę sobie pańskich sesji! Sama sobie przypomnę, co się stało. Zostawcie mnie tylko w spokoju!

Powóz odjechał. Trudno mi opisać, co czułem, obserwując, jak toczy się ze stukotem. Rozczarowanie nie było odpowiednim określeniem. Miałem ochotę zapaść się pod ziemię. Analizą panny Acton powinien być zająć się Brill. Byle stażysta, a nawet miejski lekarz poradziłby sobie ze sprawą lepiej ode mnie!

Poniosłem klęskę, zanim zdołałem cokolwiek zrobić. Dziewczyna odrzuciła psychoanalizę, a mnie nie udało się jej przekonać, by zmieniła zdanie. Zresztą sam się przyczyniłem do tego, naciskając zbyt silnie, zanim odpowiednio ją przygotowałem. Byłem kompletnie zaskoczony tym, że odzyskała głos. Umknęło mi jakoś, że przecież Freud liczył się z taką możliwością wczoraj wieczorem. Odzyskany głos powinien był pomóc w analizie, przyspieszyć ją i ułatwić. Dla mnie jednak okazał się przeszkodą. Do tej pory sądziłem, że jestem wyrozumiałym, życzliwym i umiejącym słuchać lekarzem. Znalazłem się w defensywie, niczym nieudolny amator.

Co miałem teraz powiedzieć Freudowi?

Przy drzwiach hotelu Manhattan detektyw Littlemore minął młodego dżentelmena, który pomagał młodej damie wsiąść do powozu. Obydwoje należeli do świata, do którego młody policjant nie miał dostępu. Świadczył o tym choćby ich strój, na który pozwolić sobie mogli tylko ludzie z lepszych sfer. Młody dżentelmen był wysoki, miał ciemne włosy i wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, a młoda dama wyglądała jak anioł, który zszedł po coś na ziemię. W ich ruchach Littlemore dostrzegł płynność i grację, których sam, niestety, nie posiadał.

Nie przejął się tym jednak ani trochę. Nie czuł urazy do młodego dżentelmena, od anielskiej damy zaś znacznie bardziej podobała mu się Betty. Postanowił jednak, że nauczy się poruszać tak jak ten młody mężczyzna. Z pewnością zdoła to zrobić. Wystarczy, że dobrze się przypatrzy i zacznie go naśladować. Wyobraził sobie, jak podsadza Betty do swojego powozu, jeśli oczywiście kiedykolwiek dorobi się powozu i Betty da mu choćby cień szansy, by ją do niego zaprosił.

Chwilę później, po krótkiej wymianie zdań z recepcjonistą, Littlemore wybiegł z powrotem na zewnątrz, by odnaleźć młodego mężczyznę, któremu przyglądał się przy wejściu. Na szczęście stał dokładnie w tym samym miejscu z rękami splecionymi z tyłu i wpatrywał się w odjeżdżający powóz tak intensywnie, że przez chwilę detektyw pomyślał, iż coś mu się stało.

- Doktor Younger, prawda? - zapytał, a gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, dodał: - Wszystko w porządku?
- Słucham? - odezwał się w końcu Younger.
- Doktor Younger?
- Niestety, tak.
- Jestem Littlemore, z policji. Przysyła mnie do pana burmistrz. Czy tym powozem odjechała panna Acton?.
- Przepraszam, czy może pan powtórzyć? Kim pan jest?

Littlemore przedstawił się po raz kolejny i wyjaśnił, że mężczyzna, który napadł na pannę Acton, zamordował w niedzielę inną młodą kobietę, a policja nie ma żadnego świadka.

- Czy panna Acton coś sobie przypomniała, doktorze?

Younger pokręcił głową.

- Panna Acton odzyskała głos, wciąż jednak nie pamięta przebiegu zdarzenia - powiedział.
- Cała ta sprawa wydaje mi się raczej dziwna. Czy ludzie często tracą pamięć?
- Nie, ale to się zdarza, zwłaszcza po takich przeżyciach jak to, przez które przeszła panna Acton - wyjaśnił Younger.
- No proszę, wracają!

Istotnie, powóz panny Acton zawrócił na rogu i jechał teraz w kierunku hotelu. Kiedy się zatrzymał przed hotelem, panna Acton wyjaśniła Youngerowi, że pani Biggs zapomniała zostawić w recepcji klucz do pokoju.

- Proszę mi go dać - powiedział Younger, wyciągając rękę. - Odniosę do recepcji.
- Dziękuję panu, poradzę sobie sama - odparła panna Acton, wyskakując z powozu, po czym przeszła obok, nie rzucając doktorowi nawet jednego spojrzenia.

Younger niczego nie dał po sobie poznać, Littlemore wiedział jednak doskonale, co znaczy być odrzuconym, i współczuł młodemu lekarzowi. Po chwili przyszła mu do głowy inna myśl.

- Niech mi pan powie, doktorze, dlaczego pozwala pan młodej damie tak sobie chodzić po mieście? To znaczy bez opieki?
- Niewiele mam w tej mierze do powiedzenia, detektywie. A właściwie nic. Ale przecież panna Acton przez cały czas jest ze swoją służącą, a przedtem pilnowali jej policjanci. Dlaczego to pana interesuje? Czy coś jej grozi?
- Chyba nie - odpowiedział Littlemore. Hugel mówił mu, że napastnik nie wie, gdzie przebywa teraz jego ofiara, ale coś go w tej sprawie niepokoiło. Cała była jakaś dziwna: zamordowana dziewczyna, o której nikt nic nie wiedział, ludzie tracący nagle pamięć, uciekający Chińczycy i zwłoki ginące z kostnicy. - Ale nie zaszkodzi ostrożność.

Detektyw wszedł do hotelu, Younger poszedł za nim. Littlemore zapalił papierosa i obserwował, jak drobniutka panna Acton przechodzi między kolumnami owalnego lobby. Mężczyzna na jej miejscu rzuciłby klucz na recepcyjną ladę i wyszedł, ona natomiast czekała spokojnie, aż zostanie obsłużona. Wokół recepcji tłoczyło się sporo ludzi, z których przynajmniej połowa pasowała do podanego przez ko-ronera rysopisu mordercy.

Jeden ze znajdujących się w holu mężczyzn zwrócił uwagę detektywa. Czekał na windę. Był wysoki, ciemnowłosy, nosił okulary i przeglądał gazetę. Littlemore nie widział jego twarzy, ale odniósł wrażenie, że to obcokrajowiec. Oprócz tego trzymał gazetę wyżej, niż się to robi zazwyczaj. Czyżby próbował zakryć twarz? Panna Acton oddała klucz recepcjoniście i ruszyła z powrotem do powozu. Mężczyzna obrzucił ją szybkim spojrzeniem - a może spojrzał na detektywa? -po czym znów ukrył twarz za gazetą. Po chwili drzwi windy się otworzyły i mężczyzna wszedł do środka. Sam.

Panna Acton nie uznała za stosowne zauważyć doktora i detektywa, minęła ich bez słowa i wyszła na zewnątrz. Mimo to Younger poszedł jej śladem, by odprowadzić ją do powozu.

Littlemore został w hotelu. Doszedł do wniosku, że nic takiego się nie stało. W końcu każdy niemal mężczyzna w hotelowym lobby podniósł oczy na pannę Acton, gdy samotnie przemierzała marmurową posadzkę. Detektyw wpatrywał się w strzałkę nad windą, do której wszedł tamten mężczyzna. Powoli przesuwiała się w prawo, wskazując coraz wyższe piętra. Nie dane mu jednak było stwierdzić, na które piętro udał się mężczyzna z gazetą, ponieważ nim winda się zatrzymała, powietrze przeszył rozdzierający krzyk.

Krzyk okazał się pełnym bólu rżeniem konia. Zwierzę ciągnęło powóz z placu budowy na rogu

Czterdziestej Drugiej, nad którym wznosił się stalowy szkielet dziewięcio-piętrowego budynku. Powoził nim nienagannie ubrany mężczyzna w cylindrze i z elegancką laseczką, którą położył na kolanach. Był to George Banwell.

W 1909 roku pojazdy konne wciąż jeszcze walczyły o prymat z samochodami na głównych ulicach Nowego Jorku, choć walka była nierówna, a właściwie już przegrana. Rwące do przodu, trąbiące klaksonami samochody były szybsze i zwinniejsze od koni. Co więcej, nowe maszyny rozwiązywały problem zanieczyszczenia środowiska - wtedy bowiem termin ten odnosił się do zalegających ulice końskich odchodów, wypełniających powietrze smrodem i sprawiających, że przez najważniejsze ulice miasta już koło południa praktycznie nie dało się przejść na drugą stronę. Chociaż George Banwell lubił swoje automobile tak bardzo jak inni panowie z towarzystwa, z całego serca żałował koni. Towarzyszyły mu od dzieciństwa i nie miał zamiaru z nich rezygnować. Zazwyczaj też powoził sam, a stangret siedział obok niego zakłopotany.

Banwell spędził poranek na placu budowy przy Canal Street, nadzorując olbrzymie przedsięwzięcie. O jedenastej trzydzieści przeniósł się do centrum miasta, na plac budowy przy Czterdziestej Drugiej między alejami Madison a Piątą, niecałą przecznicę od hotelu Manhattan. Skontrolował swoich ludzi i teraz zmierzał do hotelu na spotkanie z burmistrzem. Ujął wodze i ściągnął je tak gwałtownie, że kieżno wpiło się w pysk konia, osadzając zwierzę w miejscu i zmuszając je do wydania przeraźliwego odgłosu. Banwell się tym jednak nie przejął. Sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał rżenia. Wpatrując się w jakiś punkt przed siebie, ściągał wodze jeszcze bardziej, wbijając kieżno jeszcze głębiej w koński pysk ku przerażeniu stangreta.

Koń rzucał łbem na boki, bezskutecznie próbując pozbyć się wżynającego się w pysk kieżna. W końcu zwierzę stanęło dęba i wydało z siebie owo przeraźliwe rżenie przypominające krzyk, które dobiegło do uszu Littlemore'a i wszystkich na całej ulicy. Koń stanął na ziemi, by po chwili znów stanąć dęba, tym razem gwałtowniej. Powóz zaczął się niebezpiecznie przechylać. Banwell razem ze stangretem wyskoczyli z niego jak marynarze z tonącej łodzi. Powóz przewrócił się na bok, pociągając za sobą konia.

Stangret podniósł się pierwszy. Próbował pomóc pracodawcy, ten jednak odepchnął go gwałtownie i sam zaczął strzepywać kurz z kolan i łokci. Wokół nich zebrał się spory tłum. Niecierpliwi kierowcy zaczęli naciskać klaksony. Po krótkiej chwili Banwell doszedł do siebie. Nie był człowiekiem przywykłym do tego, że zrzucają go konie, a wywrócenie powozu wydawało się nie do pomyślenia. Oczy płonęły mu gniewem. Z wściekłością patrzył na tłum gapiów, trąbiących kierowców i przede wszystkim na leżącego konia, który bezskutecznie próbował podnieść się z ziemi.

- Strzelba! - powiedział Banwell do stangreta lodowatym głosem. - Natychmiast daj mi strzelbę!

- Nie może go pan zabijać - sprzeciwił się stangret, który właśnie klęczał obok zwierzęcia i usiłował oswobodzić mu kopyta z lin, w które się zaplątał. - Niczego sobie nie złamał. Tylko się zaplątał. No, już dobrze. Wszystko już dobrze - przemawiał do konia, pomagając mu wstać. - To nie była twoja wina.

Stangret na pewno chciał dobrze, nie mógł chyba jednak wyrazić tego gorzej.

- Nie jego wina? Nie jego? - krzyknął Banwell. - Staje dęba jak najgorsza chabeta, i to nie jego wina? - Chwycił kieżno i ostrym ruchem pociągnął w dół, zmuszając konia, by opuścił łeb, i patrząc

mu prosto w oczy. - Nie nauczyłeś go pokory? - zwrócił się do stangreta. - W takim razie ja go nauczę!

Wyprzągnął konia, chwycił za uzdę, dosiadł go na oklep i popędził z powrotem na plac budowy Tam jeździł w koło, aż podprowadził zwierzę prosto pod ramię wielkiego dźwigu, który strzelał w niebo na samym środku placu. Obiema rękami chwycił kołyszący się hak na końcu dźwigowej liny, owinął ją kilka razy wokół tułowia zwierzęcia, po czym zaczepił hak. Zeskoczył z konia i krzyknął do operatora dźwigu:

- Ej, ty! Podnoś! Słyszysz, co mówię? Podnieś go! Głuchy jesteś? Podnoś, mówię!

Z początku kompletnie zaskoczony operator dźwigu nie potrafił zrozumieć, czego Banwell od niego żąda. W końcu przesunął dźwignię i długa lina wolno się napięła. Haczyk naprężył skórzane paski pod brzuchem zwierzęcia, które zaczęło się kręcić i wierzgać, wystraszone tym dziwnym doznaniem. Przez chwilę nie działo się nic więcej.

- Podnoś, zaszary gnojku! - wrzasnął Banwell do operatora maszyny. - Podnoś albo idź do domu i powiedz żonie, że właśnie straciłeś pracę! Słyszysz?

Operator znów przesunął dźwignię. Ramię szarpnęło i koń uniósł się nad ziemię. Jak tylko poczuł, że traci grunt pod nogami, wpadł w panikę, zaczął rzeć i wierzgać, żeby się uwolnić. Oczywiście, to się nie udało i kołysał się tylko na końcu wielkiego haka.

- Proszę uwolnić to zwierzę! - krzyknął kobiecy głos pełen współczucia i oburzenia. Była to panna Acton, która widziała całe zajście i teraz szybkim krokiem podążała w kierunku placu budowy, przedzierając się przez tłum gapiów. Younger szedł tuż obok niej, Littlemore kilka kroków z tyłu.

- Natychmiast proszę przestać! Niech ktoś go powstrzyma!

- Do góry - rozkazał Banwell głośno, na przekór żądaniu dziewczyny, które niewątpliwie słyszał. Przez chwilę patrzył na nią, po czym przeniósł wzrok z powrotem na konia.

- Jeszcze wyżej!

Operator dźwigu posłusznie wykonywał polecenia, podnosząc zwierzę coraz wyżej: sześć, osiem, dwanaście metrów nad ziemię. Filozofowie nie są przekonani, czy zwierzęta są zdolne odczuwać emocje porównywalne z ludzkimi, ale na pewno nikt z oglądających najprawdziwszy strach w oczach tego biednego konia nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Ponieważ wszystkie oczy skierowane były na wierzgające w panice, bezradne zwierzę nad ich głowami, nikt nie zauważył, że na wysokości trzeciego piętra zaczyna się poruszać stalowy dźwigar leżący na rusztowaniu. Czterometrowy niemal dźwigar przymocowany był do liny, której drugi koniec przywiązano do haka unoszącego teraz konia. Dotychczas lina ta zwisała luźno obok rusztowania, ale kiedy ramię dźwigu wędrowało w górę, naprężyła się coraz bardziej. W końcu dźwigar stoczył się z desek podestu. A ponieważ był przymocowany do haka, poszybował w jego stronę, czyli w kierunku Georgea Banwella.

Banwell pierwszy zobaczył, że w jego kierunku pędzi wielki stalowy pręt, nabierając szybkości z

każdym ułamkiem sekundy. Dźwigar celował prosto w jego brzuch, jak gigantyczna włócznia. Gdyby go osiągnął, zabiłby na miejscu. Przeleciał dosłownie kilka centymetrów obok, co było zasługą wielkiego szczęścia, które zresztą nieustannie dopisywało George owi Banwellowi.

Minąwszy go, dźwigar poszybował w tłum gapiów. Kilkunastu z nich odruchowo rzuciło się na ziemię, by uniknąć uderzenia. Tymczasem wśród obserwującej całe zajście gromady powód do obaw miała tylko jedna osoba, czyli panna Acton, ponieważ teraz wielka stalowa włócznia wycelowana była prosto w nią. Ona jednak nie krzyknęła ani nie ruszyła się z miejsca, stała sparaliżowana strachem albo niezdecydowana, w którą stronę uciekać. Z szeroko rozwartymi z przerażenia powiekami patrzyła w oczy nadlatującej śmierci.

Younger chwycił dziewczynę za długi warkocz i szarpnął ją ku sobie mocnym - i niezbyt rycerskim - gestem.

- Au! - wykrzyknęła panna Acton.

Pędzący pręt przeleciał ze świstem tuż obok nich, tak blisko, że poczuli pęd powietrza, i poszybował dalej.

- Przepraszam - powiedział Younger i w tej samej chwili po raz wtóry pociągnął ją mocno za włosy w przeciwną stronę.

- Au! - wykrzyknęła panna Acton głośniejszym głosem niż poprzednio, kiedy stalowa włócznia przemykała tuż obok nich, jak wahadło powracając na miejsce startu.

Banwell beznamytnie obserwował, jak dźwigar ze świstem przelatuje obok niego, unosi się i uderza w rusztowanie, roztrzaskując je niczym konstrukcję z zapalek. W powietrze poszybowali pracujący na górze robotnicy, we wszystkich kierunkach rozprysnęły się narzędzia, deski i belki rusztowania. Kiedy opadł kurz, tylko koń wciąż rżał, bezradnie wierzgając nad głowami zamaryłymi z przerażenia ludźmi. Banwell dał operatorowi dźwigu znak, żeby opuścił zwierzę na ziemię i z zimną wściekłością polecił pracownikom, żeby uprzętnęli rumowisko.

- Proszę mnie odprowadzić do apartamentu - zwróciła się panna Acton do Youngera.

Jeszcze przez długi czas tłum gapiów kręcił się dookoła, obserwując zniszczenia i odtwarzając przebieg zdarzenia. Koń znalazł się w troskliwych rękach stangreta George'a Banwella. Littlemore podszedł do niego, żeby się czegoś dowiedzieć.

- I jak on to przeżył, biedaczysko? - zagadnął mężczyznę. - To jest kłusak amerykański?

- Półkrwi - odpowiedział stangret, próbując uspokoić spanikowane zwierzę. - Nazywa się Cream.

- Jest piękny. To na pewno.

- Bardzo piękny.

- Ciekawe, dlaczego stanął dęba. Może coś zobaczył?

- Raczej nie on.

- Jak to? - zdziwił się detektyw.
- To nie była wina konia. Tamten próbował go zmusić, żeby się cofał, a nie wolno cofać zaprzęzonego konia - mówił to spokojnym głosem i kierował słowa do zwierzęcia, głaszcząc je zarazem. - Próbował cię zmusić, żebyś się cofnęła. Właśnie tego od ciebie chciał. Bo się wystraszył.
- Wystraszył? A czego?
- To niech pan jego spyta, dobrze? Ja nie mam pojęcia. Wiem tylko, że niełatwo go wystraszyć, a bał się tak, jakby zobaczył samego diabła.
- Coś takiego! - rzucił Littlemore i powoli ruszył z powrotem do hotelu.

Na najwyższym piętrze hotelu Manhattan Carl Jung obserwował całe wydarzenie z balkonu. Niezwykłe zajście na budowie przepełniło go strachem, ale też jednocześnie wprawiło w wielką euforię. Tak wielkie podniecenie czuł dotychczas może raz lub dwa razy w życiu. Zszedł z balkonu, opadł na podłogę i siedział jak odrętwiały plecami oparty o łóżko. Widział twarze i słyszał dźwięki, których nikt inny zobaczyć ani usłyszeć nie mógł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pani Biggs odchodziła od zmysłów z niepokoju. Gdy dotarliśmy do apartamentu panny Acton, najpierw kazała jej się położyć, następnie powiedziała, żeby lepiej usiadła, a chwilę później przekonywała, że powinna pochodzić trochę po pokoju, żeby „wróciły jej kolory”. Dziewczyna nic sobie nie robiła z tych poleceń; udała się prosto do małej kuchni, w którą wyposażony był jej apartament, i zaczęła sobie robić herbatę. Pani Biggs wznosiła ręce w górę i powtarzała w kółko, że to przecież ona powinna robić herbatę, a nie panienka. Ucichła dopiero wtedy, kiedy panna Acton usiadła i wtuliła swoją twarz w dłonie.

Dziewczyna miała niezwykłą umiejętność odzyskiwania spokoju po najbardziej nawet przerażających wydarzeniach. Albo też potrafiła świetnie udawać spokój, kiedy wcale nie była spokojna. Wypiła herbatę i wręczyła parującą jeszcze filiżankę starej służącej.

- Zginęłaby pani, panienko Noro, gdyby nie młody doktor! - odezwała się znów pani Biggs. - Ten drąg by panienkę zabił!

Panna Acton położyła dłoń na jej rękach i poprosiła o herbatę. Kiedy służąca przyniosła pełną filiżankę, panna Acton powiedziała, że chce ze mną porozmawiać na osobności, więc ma nas zostawić samych. Po kilku minutach przekonywania pani Biggs w końcu dała się namówić i wyszła z pokoju.

Gdy zostaliśmy sami, panna Acton podziękowała mi.

- Dlaczego kazała pani służącej wyjść? - zdziwiłem się.

- To nie ja się upierałam, że nie powinno jej tu być podczas sesji - odparła. - Chciał pan poznać okoliczności, w których utraciłam głos trzy lata temu. A ja chcę panu o nich opowiedzieć.

Porcelana zaczęła drżeć w jej dłoniach. Próbowwała nalać sobie herbaty z czajniczka i nie wcelowała. Odstawiła więc filiżankę i spłotła palce.

- Biedny koń! Jak ten człowiek mógł coś takiego zrobić?

- Przecież to nie pani wina, panno Acton.

- Co się z panem dzieje? - zapytała, obrzucając mnie wściekłym spojrzeniem. - Dlaczegoż miałabym się za to winić?

- Nie ma żadnego powodu. Ale pani słowa zabrzmiały tak, jakby się pani obwiniała.

Panna Acton podeszła do okna. Rozchyliła zasłony, odkrywając drzwi balkonowe, za którymi roztaczał się widok na panoramę miasta.

- Wie pan, kto to był?

- Nie.

- George Banwell. Mąż Clary. Przyjaciół mojego ojca

- wyjaśniła. Jej oddech zrobił się nierówny. - To było nad jeziorem, w jego letnim domu. Wtedy złożył mi propozycję matrymonialną

- Proszę się położyć, panno Acton - poleciłem.

- Dlaczego?

- Tego wymaga terapia.

- Skoro tak pan twierdzi...

Kiedy się położyła, podjąłem rozmowę.

- Pan Banwell poprosił panią o rękę? Chciał, żeby pani została jego żoną w wieku czternastu lat? - zapytałem.

- Miałam szesnaście lat, doktorze, a jemu wcale nie chodziło o ślub.

- Co więc pani zaproponował?

- Że on ze mną... żebym...

- Żeby odbyła pani z nim stosunek? - zapytałem po chwili. Zazwyczaj rozmowa o seksie z młodymi pacjentkami jest trudna, ponieważ nie ma pewności, jak dużo wiedzą na temat biologii. Gorzej jednak pozwolić sobie na zbyt dużą delikatność, bo może ona wzmacniać niepotrzebnie poczucie winy, które dziewczęta łączą z doświadczeniami seksualnymi.

- Tak - odpowiedziała. - Przebywaliśmy w jego letnim domu. Cała moja rodzina. Spacerował ze mną wokół sadzawki w ogrodzie. Powiedział, że kupił inny domek w okolicy, do którego moglibyśmy się razem wybrać i skorzystać ze stojącego tam wielkiego wygodnego łóżka tak, by nikt się o tym nie dowiedział.

- Co pani wtedy zrobiła?

- Dałam mu w twarz na odlew i natychmiast odeszłam. Powiedziałam o wszystkim ojcu, ale on nie stanął w mojej obronie.

- Nie uwierzył?

- Zachowywał się tak, jakbym to ja zawiniła. Nalegałam jednak, żeby porozmawiał z panem Banwellem. Tydzień później ojciec mi powiedział, że pan Banwell zaprzeczył mojemu oskarżeniu, ponoć z wielkim oburzeniem. Pewnie miał w oczach tę samą wściekłość, którą wszyscy zobaczyliśmy dzisiaj. Przyznał, że w rozmowie ze mną wspominał o wiejskim domku, ale upierał się, że sama wyciągnęłam niegodziwe wnioski, do których doprowadziła mnie lektura takich, a nie innych książek. Ojciec postanowił uwierzyć panu Ban-wellowi. Nienawidzę go za to.

- Pana Banwella?

- Nie, mojego ojca.
- Panno Acton, głos straciła pani trzy lata temu, a opisuje mi pani wydarzenie, do którego doszło zaledwie rok temu.
- Trzy lata temu on mnie pocałował.
- Pani ojciec?
- Ależ skąd! Cóż za obrzydlistwa pan opowiada? - obruszyła się. - Pan Banwell.
- Miała pani czternaście lat? - zapytałem.
- Czy w szkole miał pan kłopoty z arytmetyką, doktorze Younger?
- Proszę mówić dalej.
- Był Dzień Niepodległości. Rodzice poznali państwa Banwellów zaledwie kilka miesięcy wcześniej, ale mój ojciec i pan Banwell zdążyli już zostać najbliższymi przyjaciółmi. Ludzie pana Banwella przebudowywali nasz dom i spędziliśmy wtedy trzy tygodnie na wsi. Clara była dla mnie taka dobra! Nie spotkałam w życiu kobiety silniejszej i bardziej inteligentnej niż ona, doktorze Younger. I piękniejszej od niej. Widział pan Linę Cavalieri w *Salome*?
- Nie - odpowiedziałem. Legendarnie piękna panna Cavalieri grała *Salome* na scenie Manhattan Opera zeszłej zimy; nie mogłem przyjechać z Worcesteru, żeby ją podziwiać.
- Clara wygląda dokładnie tak samo jak ona. I też występowała na scenie. Wiele lat temu. Sam pan Gibson zrobił jej wtedy zdjęcie. W każdym razie pan Banwell właśnie kończył budować któryś ze swoich wielkich budynków, chyba Hanover. Mieliśmy wybrać się na dach tego gmachu i oglądać stamtąd sztuczne ognie. Matka źle się poczuła, jak zwykle zresztą, i została w domu. Z jakichś powodów w ostatniej chwili ojciec też powiedział, że nie może się z nami wybrać do miasta. Nie pamiętam już, dlaczego został w domu. Chyba też był chory, bo panowała wtedy grypa. W każdym razie skończyło się tym, że pan Banwell zaofiarował się mnie tam zabrać, bo bardzo chciałam ten pokaz zobaczyć.
- Pojechaliście tylko we dwoje?
- Tak. On sam powoził. Było już ciemno. Pognał konie galopem do centrum miasta. Pamiętam ciepły wiatr na twarzy. Razem wsiedliśmy do windy. Byłam bardzo zdenerwowana. Po raz pierwszy jechałam wtedy windą. Oprócz tego nie mogłam się doczekać pokazu sztucznych ogni. Kiedy w końcu wystrzeliły pierwsze działka, bardzo się wystraszyłam. Może nawet krzyknęłam. A on schwycił mnie w ramiona, podniósł i przycisnął do siebie. A potem przywarł wargami do moich warg - powiedziała, robiąc przy tym grymas, jakby chciała splunąć.
- A co było dalej? - zapytałem.
- Wyrwałam się mu, ale nie miałam dokąd uciekać. Nie wiedziałam, jak zejść z tego dachu. Starał się mnie uspokoić. Powiedział, że to będzie nasza tajemnica i że teraz dalej pooglądamy sztuczne ognie. Tak też zrobiliśmy.

- Czy komuś pani o tym mówiła?

- Nie. Wtedy właśnie straciłam głos. Tamtej nocy. Wszyscy myśleli, że się przeziębiam. Może i tak było. Odzyskałam mowę następnego ranka, podobnie jak tym razem. Później nigdy się nie godziłam, by przebywać z panem Banwellem sam na sam.

Po tych słowach zapadła długa cisza. Odniosłem wrażenie, że dziewczyna wyczerpała świadome wspomnienie o tamtych wydarzeniach.

- Proszę teraz pomyśleć o wczorajszym incydencie. Może coś przychodzi pani na myśl?

- Nie - odparła. - Przykro mi, ale nic.

Zapytałem, czy mogę przekazać doktorowi Freudowi to, co mi przed chwilą powiedziała. Kiedy się zgodziła, poinformowałem ją, że następnego ranka będziemy kontynuowali rozmowę. Wydała się tym zdziwiona.

- O czym jeszcze mielibyśmy rozmawiać, doktorze? Przecież wszystko już panu powiedziałam.

- Może jeszcze coś się pani przypomni?

- Skąd takie przypuszczenie?

- Ponieważ cierpi pani na amnezję. Jestem przekonany, że pamięć powróci, gdy odkryjemy wszystko, co się wiąże z incydentem na dachu.

- Sądzi pan, że coś ukrywam?

- To nie jest ukrywanie, panno Acton. A raczej... jest to coś, co ukrywa pani przed samą sobą.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparła i zamilkła ponownie. Kiedy byłem o krok od drzwi, zatrzymał mnie jej cichy miękki głos.

- Doktorze Younger!

- Tak, panno Acton? - zapytałem, odwracając się ku niej. W jej niebieskich oczach dostrzegłem łzy. Uniosła podbródek, aby nie pozwolić im skapnąć.

- On naprawdę złożył mi tę propozycję wtedy nad jeziorem. A wcześniej naprawdę mnie pocałował.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo się boi, że również ja, podobnie jak jej ojciec, nie uwierzę w to, co mi powiedziała. Było coś nieopisanie ujmującego w tym jej sformułowaniu o propozycji matrymonialnej.

- Wierzę każdemu pani słowu, panno Acton - zapewniłem.

Wybuchnęła łzami. Zostawiłem ją w pokoju, życząc pani Biggs miłego dnia, kiedy mijałem ją w holu.

George Banwell przeszedł z burmistrzem McClellanem do udostępnianej tylko najważniejszym

gościom sali restauracyjnej hotelu Manhattan. Burmistrz zauważył, że Banwell wygląda, jakby przed chwilą uczestniczył w bójce.

- Drobnny problem z młodym koniem - wyjaśnił Banwell, wzruszając ramionami.

Burmistrz wyjął z kieszeni kopertę i wręczył ją Banwellowi.

- Oto pański czek. Radzę iść do banku jeszcze dzisiaj. To wielka kwota. I ostatnia. Następnym razem czeków już nie będzie, bez względu na wszystko. Czy się rozumiemy?

Banwell skinął głową.

- Jeśli będą jakieś dodatkowe koszty, sam je pokryję - zadeklarował.

Następnie burmistrz go poinformował, że morderca panny Riverford zaatakował po raz kolejny, i zapytał, czy Banwell zna Harcourta Actona.

- Oczywiście, że znam Actona. On i jego żona bawią teraz w moim letnim domu. Jakiś czas temu pojechali tam do Clary.

- Więc to dlatego nie mogliśmy się z nimi skontaktować!

- A dlaczego pyta pan o Actona?

- Drugą ofiarą jest właśnie jego córka.

- Nora? Nora Acton? Ależ widziałem ją godzinę temu!

- Tak, Bogu dzięki, żyje.

- Co się stało? Czy powiedziała, kto to zrobił?

- Nie. Straciła mowę i nic nie pamięta. Nie wie, kto jej to zrobił, a i my nie mamy o tym pojęcia. Zajmują się nią teraz specjaliści. Jest teraz w hotelu Manhattan. Ulokowałem ją tam, przynajmniej do czasu, zanim powróci Acton.

- Do diabła! - wykrzyknął Banwell. - Taka piękna dziewczyna!

- To prawda, jest bardzo piękna.

- Zgwałcił ją?

- Nie, Bogu dzięki.

- Bogu dzięki!

Moich towarzyszy znalazłem w salach z zabytkami starożytnego Rzymu i Grecji Metropolitan Museum. Freud wdał się w dyskusję z przewodnikiem, demonstrując w niej niebywałą wiedzę na temat antyku, ja zaś zacząłem rozmawiać z Brillem i zostaliśmy trochę z tyłu. Wyjaśniła się sprawa

książki. Wydawca, pan Jelliffe, był początkowo tak samo zaskoczony jak my, później wszakże przypomniał sobie, że pożyczał tekst pewnemu pastorowi, dla którego wydawał serię biblijnych pamfletów. Zapewne teksty obydwu publikacji jakoś się przemieszały

- Czy wiedziałeś, że pradziadkiem Junga był Goethe?

- zapytałem Brilla.

- Bzdura! - odparł Brill, który przez rok mieszkał w Zurychu, gdzie pracował pod kierownictwem Junga. - Rodzinne legendy. Opowiadał ci też o von Humboldcie?

- Tak, o nim też.

- A można by pomyśleć, że jak mężczyzna wzeni się w olbrzymie pieniądze, to nie musi już wymyślać sobie wielkich przodków.

- Chyba dlatego właśnie ich wymyśla - skwitowałem.

Brill chrząknął, po czym z dziwną lekkością odsunął z czoła grzywkę, ukazując zadrapanie nad brwiami.

- Widzisz to? - zapytał. - Wczoraj wieczorem po waszym wyjściu Rose rzuciła we mnie patelnię.

- Wieki Boże! Dlaczego?

- Z powodu Junga.

-Co?

- Powtórzyłem Rose to, co na temat Junga powiedziałem na dole Freudowi. To ją doprowadziło do szału. Powiedziała mi, że jestem o Junga zazdrosny, bo Freud go ceni, i że jestem głupcem, bo Freud zauważy moją zazdrość i będzie miał przez to gorsze o mnie zdanie. Odparłem na to, że mam powody, żeby być zazdrosnym o Junga, zważywszy, jak patrzyła na niego przez cały wieczór. Wiesz, że ona ma takie samo wykształcenie jak ja? Nie może tylko znaleźć pracy w zawodzie lekarza, a ja nie potrafię jej utrzymać, bo mam tylko czterech pacjentów.

- Rzuciła w ciebie patelnię? - zapytałem.

- Tylko nie patrz na mnie tym analitycznym wzrokiem. Od czasu do czasu kobiety rzucają różnymi rzeczami. Wszystkie to robią, prędzej czy później. Pewnego dnia sam się o tym przekonasz. Wszystkie... z wyjątkiem Emmy, żony Junga. Ona jedynie zapewnia Carlowi olbrzymią fortunę, jest matką jego dzieci i uśmiechem pokrywa wszystkie jego kłamstwa. Podaje obiad jego kochankom, gdy przyprawia je do domu. Ten facet zawarł chyba pakt z diabłem! Jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo o Goethem albo von Humboldcie, to go po prostu zabiję!

Zanim wyszliśmy z muzeum, omal nie doszło do blamażu. Freud stwierdził nagle, że musi pilnie skorzystać z toalety, podobnie jak podczas wycieczki na Coney Island, i przewodnik posłał nas do piwnicy.

- Już nic mi nie mówcie, sam wiem. Będę musiał przebrnąć przez niekończące się korytarze, aż w końcu dotrę do pałacu ze złota i marmurów! - powiedział Freud, gdy schodziliśmy po schodach. Miał rację zarówno co do jednego, jak i drugiego. A na miejsce dotarliśmy w ostatniej chwili.

Koroner Hugel zjawił się w biurze dopiero we wtorek wieczorem. Całe popołudnie spędził w rezydencji Actonów przy Gramercy Park. Wiedział już, co napisze w raporcie: zebrane dowody rzeczowe w postaci włosów, kawałków jedwabiu i liny bez cienia wątpliwości świadczą, że Norę Acton zaatakował ten sam mężczyzna, który zamordował Elizabeth Riverford. Przeklinał się jednak w duchu za to, czego nie znalazł. Przeszukał całą sypialnię. Przeczesał cały ogród, nawet czołgając się po nim z nosem przy ziemi. Odkrył (i odnotował) połamane gałęzie, podeptane kwiaty i mnóstwo innych śladów wskazujących, że napastnik uciekł przez ogród za domem. Nigdzie jednak nie znalazł dowodu, którego szukał, materialnego dowodu, który pozwoliłby zidentyfikować sprawcę.

Kiedy wreszcie usiadł w swoim gabinecie, był zmęczony. Mimo polecenia burmistrza nie przekazał pracownikom informacji o nagrodzie za wytropienie zwłok panny Riverford. Znalazł jednak dla siebie wytłumaczenie. W końcu przecież nie kto inny, tylko burmistrz kazał mu jechać do rezydencji Actonów prosto z ratusza, jak więc miał wrócić do kostnicy?

W holu czekał na niego detektyw Littlemore, który poinformował go, że policjant nazwiskiem Gitlow jest już w drodze do Chicago i dotrze tam nazajutrz rano. Z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru detektyw opowiedział mu także o incydencie z panem Banwellem i koniem. Hugel słuchał uważnie, po czym wykrzyknął:

- Banwell! Na pewno zobaczył córkę Actonów przed hotelem i na jej widok tak się przeraził!
- Z pewnością określenie „przerażający” ostatnie przy-szłoby mi do głowy, gdybym chciał opisać wygląd panny Ac-ton - stwierdził Littlemore.
- Głupcze! - odparł koroner. - Przecież on na pewno sądził, że mała Actonówna nie żyje!
- Dlaczego miałby tak sądzić?
- Niechże pan użyje głowy, Littlemore!
- Ależ jeśli to on byłby sprawcą, musiałyby wiedzieć, że dziewczyna żyje.
- Co takiego?
- No przecież twierdzi pan, że napastnikiem był Banwell, prawda? Ale ktokolwiek napadł na pannę Acton, musi wiedzieć, że ona żyje. Gdyby więc napastnikiem okazał się rzeczywiście Banwell, nie wpadłby w panikę na widok dziewczyny.
- Co? Bzdura! Mógł myśleć, że ją wykończył. Albo... albo się bał, że go rozpozna. W każdym przypadku wpadłby w panikę na jej widok.
- Dlaczego sądzi pan, że to on?
- Niech pan posłucha, Littlemore! Jest wysoki, w średnim wieku, bogaty. Ma ciemne włosy, ale siwieje. Jest praworęczny. Mieszka w tym samym budynku, w którym rezydowała pierwsza ofiara. I

wpadł w panikę na widok drugiej.

- Skąd pan to wie?
- Od pana, Littlemore. Sam pan przecież powiedział, że według stangreta Banwell czegoś się przestraszył. Jak inaczej wyjaśnić jego panikę?
- Nie, nie. Chodziło mi o to, skąd pan wie, że jest praworęczny.
- Bo go wczoraj spotkałem, detektywie, i potrafię robić właściwy użytek z oczu.
- O rety, pan to dopiero jest spostrzegawczy, panie Hu-gel! Niech mi pan więc powie, czy jestem praworęczny, czy leworęczny - poprosił, chowając obie ręce za siebie.
- Dajmy już temu spokój, Littlemore!
- Nie podzielam pańskiego zdania, panie Hugel. Trzeba było widzieć, jak chłodny i opanowany był po całym tym zajściu. Spokojnie wydawał polecenia, żeby wszystko uporządkować i inne takie.
- Nonsens! Jest zatem nie tylko mordercą, ale też dobrym aktorem. Mamy go, detektywie Littlemore!
- No, niekoniecznie go mamy.
- Ma pan rację - powiedział koroner w zadumie. - Wciąż nie dysponuję żadnym dowodem. Musimy go zdobyć, koniecznie!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Z Metropolitan Museum pojechaliśmy konną taksówką przez park do nowego kampusu Columbia University, w którym mieści się słynna z olbrzymich zasobów biblioteka. Nie byłem tam od 1897 roku, kiedy matka zaciągnęła mnie na inaugurację budynku Schermerhomów. Na szczęście Brill nie wiedział o moich powiązaniach z tym klanem, bo niewątpliwie wspomnieliby o nich Freudowi.

Odwiedziliśmy klinikę psychiatryczną, w której Brill miał gabinet. Później Freud stwierdził, że chce ze mną porozmawiać o sesji z panną Acton. Brill i Ferenczi zostali więc w klinice i wdali się w dyskusję na temat technik terapeutycznych, my natomiast z Freudem spacerowaliśmy po Riverside Drive, skąd doskonale widać było dzikie i postrzępione klify New Jersey nad rzeką Hudson.

Niczego nie pominąłem, opisując Freudowi zarówno pierwszą sesję, która zakończyła się porażką, jak i drugą uwieńczoną wyznaniem na temat przyjaciela ojca nazwiskiem Banwell. Freud dokładnie mnie wypytywał. Chciał poznać każdy szczegół, nawet pozornie nieistotny, i nalegał, abym przytaczał w całości wypowiedzi pacjentki, a nie tylko je parafrazowałem. Pod koniec mojej relacji zgasił cygaro, przydeptyując je na chodniku, i zapytał, czy moim zdaniem incydent na dachu sprzed trzech lat był wówczas przyczyną utraty głosu przez pannę Acton.

- Tak by się wydawało - odparłem. - Incydent dotyczył bowiem ust i dodatkowo wiązał się z zakazem mówienia o tym komukolwiek. Zrobiono jej coś, o czym nie wolno mówić, stała się więc niezdolna do mówienia.

- Dobrze. Czyli pocałunek w usta na dachu budynku, kiedy miała czternaście lat, spowodował histerię? - zapytał Freud, uważnie przy tym obserwując moją reakcję.

Zrozumiałem. Podejrzewał coś wręcz przeciwnego do tego, co przed chwilą sformułował. Według Freuda incydent na dachu nie mógł wywołać u panny Acton hysterii, nie był bowiem ani natury edypowej, ani nie poprzedzał go uraz z dzieciństwa. Tylko takie urazy bowiem prowadzą do neuroz, choć zazwyczaj to właśnie późniejsze wydarzenia ustanawiają mechanizm wywołujący wspomnienie owego długo tłumionego konfliktu i wywołują objawy histeryczne.

- Czy nie jest możliwe, by w tym jednym przypadku uraz z okresu dojrzewania wywołał reakcję histeryczną pacjentki, panie profesorze?

- Jest możliwe, mój chłopcze, ale w tym przypadku zachowanie dziewczyny na dachu samo w sobie było histerią

- wyjaśnił Freud. Wyjął z kieszeni kolejne cygaro, zastanowił się przez chwilę i z powrotem je schował. - Podam ci definicję zachowania histerycznego. Otóż jest to zachowanie, w którym okazja do przyjemności seksualnej wywołuje uczucia w większości lub całkowicie nieprzyjemne.

- Miała zaledwie czternaście lat.

- A ile lat miała Julia tej nocy, gdy poślubiła Romea?

- Trzydzieści - odpowiedziałem, przyznając mu tym samym rację.

- Zdrowy i silny, w pełni dojrzały mężczyzna, o którym wiemy tylko tyle, że jest wysoki, dobrze zbudowany, mocny i zwięźsi, całuje dziewczynę w usta. Niewątpliwie znajduje się w stanie seksualnego podniecenia. Jak sądzę, możemy być pewni, że Nora bezpośrednio odczuła objawy tego podniecenia, skoro mówi, że nadal czuje, jak Banwell przyciska ją do swego ciała. Nie mam wątpliwości, którą część męskiego ciała ma na myśli. Wszystko to u zdrowej czternastolatki wywołałoby przyjemną stymulację. Norę Acton natomiast ogarnęło przemożne uczucie wstrętu i obrzydzenia. Innymi słowy, jej histeria zrodziła się na długo przed tym pocałunkiem.

- A czy nie uważa pan za możliwe, że zaloty Banwella były po prostu niechciane?

- Szczerze w to wątpię - odparł Freud. - Nie zgadza się pan ze mną, Younger?

Stanowczo się z nim nie zgadzałem, choć starałem się tego nie okazać.

- Myśląc o całym zajściu, wyobraża pan sobie Banwella rzucającego się na niewinną osobkę - ciągnął Freud. - Ale może naprawdę to ona go uwiodła? Przystojny mężczyzna, najlepszy przyjaciel ojca - taki podbój byłby niewątpliwie atrakcyjny dla dziewczyny w jej wieku, ponieważ najprawdopodobniej sprowokowałaby zazdrość ojca.

- Panna Acton go odrzuciła - powiedziałem.

- Czyżby? Przecież po tym pocałunku dochowała tajemnicy, nawet kiedy odzyskała głos. Mam rację?

- Tak.

- Czy świadczy to o obawie przed powtórzeniem się incydentu, czy może o pragnieniu, by się on powtórzył?

Dostrzegałem siłę argumentów Freuda, dalej jednak żywiłem przekonanie, że nie obalają one tezy o niewinności dziewczyny.

- Później nie chciała przebywać z nim sam na sam - odparowałem.

- Ależ przeciwnie! - wykrzyknął Freud. - Dwa lata później Nora wybrała się na spacer wyłącznie w jego towarzystwie. I poszli nad brzeg jeziora, które zawsze stanowi bardzo romantyczną scenerię, jeśli w ogóle jakaś sceneria może być sama z siebie romantyczna.

- Tam jednak odrzuciła go po raz kolejny.

- Dała mu w twarz, co wcale nie musi oznaczać odrzucenia. Dziewczyna, podobnie jak pacjent podczas psychoanalizy, musi najpierw powiedzieć „nie”, które później przeradza się w „tak”.

- Poskarżyła się ojcu.

- Kiedy?

- Natychmiast - stwierdziłem w pierwszej chwili, po czym się zreflektowałem. - Nie wiem, kiedy to zrobiła. O to nie zapytałem.

- Być może liczyła, że pan Banwell podejmie kolejną próbę, a kiedy tego nie zrobił, poskarżyła się ojcu ze złości.

Nie odezwałem się, Freud jednak zauważył, że nie jestem do końca przekonany.

- Musi pan przede wszystkim pamiętać, mój chłopcze, że nie jest całkowicie bezstronny - dodał po chwili.

- Nie bardzo rozumiem, panie profesorze.

- Chyba jednak pan rozumie.

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Chce pan powiedzieć, że wolałbym, żeby panna Acton uważała zaloty Banwella za niepożądane?

- Broni pan honoru Nory.

Zdałem sobie sprawę, że cały czas mówię o Norze per panna Acton, podczas gry Freud nazywa ją po imieniu. Poczułem, że się rumienię.

- To dlatego, że jestem w niej zakochany - wyznałem. Freud się nie odezwał. - Musi pan przejąć tę analizę, profesorze. Albo Brill. Zresztą to Brill powinien był prowadzić ją od samego początku.

- Nonsens! To pańska pacjentka, Younger. Świetnie pan sobie radzi. Nie wolno panu tylko zbyt poważnie traktować tych uczuć. Są nieuniknione w psychoanalizie, stanowią bowiem część terapii. Nora najprawdopodobniej zaczyna odczuwać wpływ przeniesienia, pan natomiast przejmując ten wpływ z drugiej strony. Musi więc pan podejść do tych uczuć jak do danych. Musi je pan poukładać. Są fikcyjne. Nie okażą się silniejsze od tych, które aktor generuje na scenie. Dobry odtwórca Hamleta poczuje wściekłość na stryja, żadną miarą jednak nie przeniesie tej wściekłości na kolegę grającego jego rolę. Z psychoanalizą jest dokładnie tak samo.

Przez dłuższą chwilę żaden z nas się nie odezwał.

- A czy panu kiedykolwiek zdarzyło się żywić jakieś uczucia do swoich pacjentów, panie profesorze? - zapytałem w końcu.

- Był czas, że witałem takie uczucia z radością, bo świadczyły, że jeszcze nie jest mi obce pożądanie. Zdarzało mi się znajdować o krok od katastrofy. Musi pan jednak pamiętać, że psychoanalizę zacząłem prowadzić, kiedy byłem znacznie starszy od pana, miałem więc łatwiejsze zadanie. Ponadto jestem żonaty. W moim przypadku do wiedzy, że są to uczucia sztuczne, dołączają się jeszcze zasady moralne, których pogwałcić nie mogę.

Może się to wydać dziwaczne, ale kiedy Freud skończył mówić, przyszło mi do głowy jedynie pytanie, jakim cudem słowa „sztuczny” można użyć zamiast słowa „fikcyjny”.

- Dość już tego - kontynuował po chwili Freud. - Najważniejsze jest teraz stwierdzenie, jaki wcześniejszy uraz wywołał histeryczną reakcję dziewczyny na dachu. Proszę mi powiedzieć, dlaczego Nora nie poinformowała policji, dokąd pojechali jej rodzice?

Zadawałem sobie to samo pytanie już przedtem. Panna Ac-ton powiedziała mi, że jej rodzice są w letnim domu Georgea Banwella, nie wspomniała o tym jednak ani słowem policji, która wysyłała posłańców, jednego za drugim, do letniej rezydencji państwa Actonów, w której nie zastali nikogo. Jej powściągliwość jednak nie wydawała mi się dziwna. Zawsze zazdrościłem ludziom, którzy w sytuacjach kryzysowych mogli czerpać prawdziwą pociechę od rodziców. Nic chyba bardziej nie dodaje otuchy. Mnie, niestety, nigdy nie było to dane.

- Może nie chciała, by rodzice byli przy niej po tej napaści? - odpowiedziałem pytaniem.

- To możliwe - zgodził się Freud. - Ja sam ukrywałem przed ojcem najgorsze wątpliwości na własny temat aż do jego śmierci. Podobnie jak pan. - To ostatnie spostrzeżenie Freud wygłosił tak, jakby było ono powszechnie znanym faktem. Tymczasem przecież nie wspominałem o tym nikomu.

- W tego rodzaju skrywaniu odczuć jest jednak zawsze element neurotyczny. Proszę właśnie od tego zacząć pańskie jutrzejsze spotkanie z Norą, doktorze Younger. Ja bym tak zrobił. Coś jest w tej letniej rezydencji. Niewątpliwie wiąże się to z częstym u dziewcząt podświadomym pożądaniem własnego ojca. Zastanawiam się...

Zatrzymał się w miejscu i zamknął oczy. Stał tak przez dłuższą chwilę.

- Mam! - powiedział, otwierając oczy.

- Co takiego? - zapytałem.

- Mam pewne podejrzenia, ale nie powiem panu o nich, Younger. Nie chcę niczego sugerować ani panu, ani jej. Proszę się dowiedzieć, czy dziewczyna ma jakieś wspomnienia związane z tą letnią rezydencją, wspomnienia wcześniejsze niż incydent na dachu. Proszę pamiętać, żeby nie ujawniać pacjentce własnych uczuć. Musi pan być jak lustro i odbijać tylko to, co ona pokazuje panu. Może zobaczyła w nim coś, czego nie powinna była widzieć. I pewnie nie zechce panu o tym opowiedzieć, ale niech pan będzie konsekwentny i łatwo nie ustępuje.

We wtorek późnym popołudniem Triumwirat znów się zebrał w bibliotece. Jeden z mężczyzn trzymał w wypielęgnowanych dłoniach raport, który niedawno otrzymał, i odczytał go pozostałym. Wśród dokumentów, które miał przed sobą, znajdował się pakiet listów.

- Tej korespondencji nie spalimy - powiedział mężczyzna.

- A ja mówiłem, że oni wszyscy to degeneraci. Bez wyjątku - odezwał się mężczyzna o czerwonej twarzy z gęstymi bokobrodami. - Musimy ich zgnieść! Jednego po drugim!

- I tak właśnie zrobimy - odparł pierwszy. - Ale najpierw wykorzystamy ich do własnych celów.

Na chwilę zapanowała cisza, po czym odezwał się trzeci, łysiejący mężczyzna:

- A co z dowodami?

- Nie będzie żadnych dowodów oprócz tych, które sami zdecydujemy się przedstawić - odpowiedział gospodarz.

Detektyw Jimmy Littlemore wysiadł z metra na rogu Siedemdziesiątej Drugiej i Broadwayu, a więc na przystanku najbliższym Balmoralu. Pan Hugel mógł sobie stawiać wszystkie pieniądze na Banwella, on jednak nie miał zamiaru zrezygnować ze sprawdzenia własnych podejrzeń.

Poprzedniego wieczoru, kiedy Chińczyk rozpląnął się bez śladu, Littlemore nie zdołał ustalić na jego temat nic konkretnego. Pracownicy pralni wiedzieli, że ma na imię Chong, na tym jednak ich znajomość z nim się kończyła. Któryś zasugerował, że więcej dowie się od księgowego, pana Mayhew, którego zastanie tylko w ciągu dnia.

Littlemore znalazł pana Mayhew w pokoju na tyłach budynku i zaczął go wypytywać o Chińczyka z pralni.

- Właśnie zapisywałem go w kalendarzu - powiedział księgowy, nie podnosząc wzroku nad papierów.
- Bo nie stawiał się dzisiaj w pracy? - zapytał Littlemore.
- Skąd pan wie?
- Zgadłem - odpowiedział detektyw.

Mayhew rzeczywiście udzielił detektywowi potrzebnych informacji. Chińczyk nazywał się Chong Sing i mieszkał w centrum miasta, przy Ósmej Alei pod siedemset osiemdziesiątym drugim.

Littlemore zapytał także, czy Chong kiedykolwiek dostarczał pranie do Skrzydła Alabastrowego, a zwłaszcza do apartamentu panny Riverford. Mayhew popatrzył na niego z rozbawieniem.

- Pan chyba żartuje! - powiedział.
- A dlaczego?
- Przecież to Chińczyk!
- No i co z tego?
- To ekskluzywny hotel, proszę pana! Zwykle nawet nie zatrudniamy Chińczyków. Chong mógł przebywać wyłącznie w piwnicy. Miał szczęście, że w ogóle dostał u nas pracę.
- Pewnie był głęboko wdzięczny A dlaczego go zatrudniliście?

Mayhew wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Pan Banwell powiedział, żebyśmy znaleźli dla niego jakieś zajęcie. Więc znaleźliśmy. Ale chyba nie docenił własnego szczęścia.

Kolejnym zadaniem, jakie postawił sobie Littlemore, było znalezienie woźnicy, który w niedzielę nocą zabrał sprzed budynku Balmoralu wysokiego ciemnowłosego mężczyznę. Odźwierni mu poradzili, żeby popytał w stajni w Alei Amsterdam, bo tam większość woźniców sprzed Balmoralu trzyma konie, dodając przy tym, że powinien się tam wybrać znacznie później, bo nocni woźnice

pojawiają się nie wcześniej niż o dziewiątej trzydzieści, a nawet o dziesiątej.

Detektyw Littlemore był bardzo zadowolony z przerwy, miał bowiem czas, żeby raz jeszcze rzucić okiem na apartament panny Riverford, a potem zająć do Betty. Zastał ją w lepszym nastroju. Zgodziła się pójść z nim do kinematografu. Zanim wyszli, uściskała serdecznie matkę i swoich młodszych braci, którzy z rozdziawionymi ustami oglądali jego pistolet i byli zachwyceni, gdy pozwolił im przez chwilę pobawić się kajdankami i odznaką służbową. Okazało się, że Betty znalazła już nową pracę. Przez cały poranek szczęście jej nie dopisywało; chodziła od hotelu do hotelu w nadziei, że w którymś z nich będzie wolne miejsce dla doświadczonej pokojówki. W końcu trafiła do szwalni na Washington Square, gdzie szyją szmizjerki. Pan Harris, właściciel zakładu, porozmawiał z nią chwilę i przyjął z miejsca do pracy. Miała zacząć następnego ranka.

Godziny nowej pracy nie radowały Betty zanadto: od siódmej rano do ósmej wieczorem. Nie była też zbyt zachwycona oferowanym zarobkiem.

- Ale przynajmniej płacą od sztuki, a pan Harris mówił, że niektóre dziewczyny zarabiają nawet po dwa dolary dziennie - stwierdziła.

Około dziewiątej trzydzieści detektyw Littlemore zaszedł do stajni w Alei Amsterdam w pobliżu Setnej. W ciągu kolejnych dwóch godzin zjawiało się tam dobrze ponad tuzin woźniców, którzy zostawiali konie albo odbierali je stamtąd. Littlemore rozmawiał z każdym z nich, na próżno jednak. Gdy ostatni boks był pusty i detektyw zbierał się już do wyjścia, chłopiec stajenny poradził mu, żeby poczekał na pewnego weterana, który też trzymał u nich konia, ale jeszcze się nie pojawił. Rzeczywiście, tuż przed północą przed stajnię doczłapała się leciwa kłacz powożona przez starego woźnicę. Najpierw mężczyzna nie chciał odpowiadać na pytania Littlemorea, kiedy jednak detektyw zaczął podrzucać w górę ćwierćdolarówkę, przypomniał sobie, po co ma język w gębie. Rzeczywiście, nie poprzedniej nocy, tylko jeszcze wcześniej zabierał sprzed Balmoralu ciemnowłosego mężczyznę. Czy pamięta, dokąd go zawiózł? Oczywiście! Do hotelu Manhattan.

Littlemore zaniemówił, za to stary woźnica się rozgadał:

- Nie zgadniesz, co zrobił, jak wysiadł przed hotelem! Wziął taksówkę! Jedną z tych czerwono-zielonych taksówek na benzynę. Na moich oczach do niej wsiadł! To tak jakby wyciągnął pieniądze z mojej kieszeni i wsunął je w łapę komuś innemu.

Freud uciął naszą rozmowę stwierdzeniem, że musi natychmiast wracać do hotelu. Wiedziałem, co się dzieje. Na szczęście natychmiast podjechała dorożka.

Jak tylko przekroczyliśmy próg hotelu, zaczepił nas Jung. Zapewne czekał na powrót Freuda. Z niezrozumiałym dla mnie zdecydowaniem zagroził nam drogę i upierał się, że natychmiast musi porozmawiać z Freudem, bo sprawa nie cierpi zwłoki. Nie mógł wybrać mniej fortunnego momentu, ponieważ zaledwie chwilę wcześniej Freud z wyraźnym zakłopotaniem poinformował mnie, że musi natychmiast skorzystać z toalety.

- Na Boga, Jung! Proszę mnie zaraz przepuścić. Muszę się znaleźć w swoim pokoju.

- Dlaczego? Znowu ma pan ten... ten sam problem?

- Niech pan tak nie wrzeszczy! Tak, mam ten problem. Proszę mnie przepuścić. Nie mogę dłużej czekać.

- Od dawna wiedziałem, że pańska enurezja ma podłoże psychiczne - oświadczył Jung, używając fachowego terminu na popuszczanie moczu.

- Jung! Niech pan...

- To jest neuroza! Mogę panu pomóc - upierał się Jung.

- Niech pan... - powtórzył Freud i zamilkł, nie kończąc zdania. Zupełnie zmienił mu się głos. Mówił spokojnie i bardzo cicho, patrząc Jungowi prosto w oczy. - Teraz na cokolwiek jest za późno!

Nastąpiła pełna zakłopotania cisza, po czym znów odezwał się Freud.

- Niech żaden z was nie śmie spojrzeć w dół! Jung, odwróci się pan i będzie szedł przede mną. Pan, Younger, będzie się trzymał mojej lewej strony. Nie, tu, mówię. Po lewej! Pójdziemy prosto do windy. Natychmiast!

Uformowani jak w szyku ruszyliśmy sztywno w kierunku wind. Recepcjonista przyglądał się nam nieco zdziwiony, nie sądzę jednak, żeby cokolwiek podejrzewał. Ku mojemu zaskoczeniu Jung nie przestał mówić.

- To ten pański sen o hrabim Thunie. To on jest kluczem do wszystkiego. Może wreszcie mi pan pozwoli go przeanalizować?

- A co niby mógłbym zrobić, żeby się pan nad nim nie zastanawiał? - odpalił Freud.

- Hrabia Thun symbolizuje mnie - ciągnął Jung, gdyśmy się znaleźli w windzie. - To więcej niż oczywiste. Obydwa nazwiska złożone są z czterech liter i w obydwu występuje zbitka „un”. Jego rodzina pochodzi z Niemiec i zmuszono ją do emigracji, z moją było tak samo. On jest wyżej urodzony niż pan, ja także. On jest uosobieniem arogancji, a mnie się arogancję zarzuca. W pańskim śnie Thun jest pańskim wrogiem, ale także funkcjonuje w pańskim otoczeniu jako persona. Jest kimś, komu pan przewodzi, a jednocześnie stanowi dla pana zagrożenie. I oczywiście jest Aryjczykiem. Wszystko to może prowadzić do jednego tylko wniosku: to ja się panu śnię, musi pan jednak zniekształcać ten sen, bo nie chce pan przyznać, że mnie traktuje jak zagrożenie.

- Carl - powiedział Freud, powoli wymawiając sylaby.

- Hrabia Thun śnił mi się w 1898 roku. To ponad dziesięć lat temu. My natomiast poznaliśmy się w 1907 roku.

Otworzyły się drzwi windy. Korytarz był pusty. Freud energicznie ruszył w kierunku swojego pokoju. Poszliśmy za nim. Zastanawiałem się, co Jung odpowie. Nie musiałem długo czekać.

- Wiem! Śnimy o tym, co się już wydarzyło, i o tym, co dopiero nastąpi. Younger! Niechże pan to potwierdzi - krzyknął z nienaturalnie błyszczącymi oczami.

- Ja? - zdziwiłem się.

- Oczywiście, że pan. Był pan tam przecież i wszystko widział! - odparł, po czym chyba zmienił zdanie, bo zwrócił się znów do Freuda. - Zresztą nieważne! Pańska enure-zja świadczy o ambicji. Oznacza zwracanie uwagi na siebie samego, właśnie tak, jak pan to zrobił przed chwilą. Następuje zawsze, gdy czuje pan koło siebie rywala i boi się unicestwienia. Tu też przecież mamy owo „un”! Dlatego właśnie problem z trzymaniem moczu powrócił dzisiaj w tym, a nie w żadnym innym momencie.

Doszliśmy do drzwi pokoju i Freud sięgnął do kieszeni po klucz. Musiało to być nieprzyjemne, zważywszy na okoliczności. Klucz upadł na podłogę, ale żaden z nas nawet nie drgnął. Po chwili Freud podniósł go z ziemi, a kiedy się wyprostował, powiedział do Junga:

- Szczerze wątpię, by miał pan dar wygłaszania prorocत्व, jedno natomiast mogę panu o przyszłości powiedzieć: będzie pan moim spadkobiercą. To pan odziedziczy psychoanalizę po mojej śmierci, a jeszcze nawet wcześniej zacznie pan psychoanalitikom przewodzić. Osobiście tego dopilnuję. Mówiłem to panu już nieraz, mówiłem także innym i powtarzam raz jeszcze: nie mam innego następcy, Carl. Niechże pan w to nie wątpi.

- Proszę mi więc do końca opowiedzieć sen z hrabią Thu-nem! - wykrzyknął Jung. - Sam pan przecież mówił, i to kilka razy, że niektórych elementów tego snu nigdy pan nie ujawnił. Skoro jestem pańskim dziedzicem, proszę mi je opowiedzieć. Jestem przekonany, że moja analiza się potwierdzi. Czyż nie?

Freud pokręcił głową. Odniosłem wrażenie, że się uśmiechnął, chyba nawet z żalem.

- Mój chłopcze! - zwrócił się do Junga. - Istnieją rzeczy, których nawet ja nie mogę ujawniać. Nigdy bowiem nie odzyskałbym potem autorytetu. A teraz zostawcie mnie, panowie. Dołączę do was w restauracji za pół godziny.

Jung odwrócił się i odszedł bez słowa.

Manhattan Bridge, którego budowa latem 1909 roku dobiegała końca, był jednym z trzech mostów wiszących nad East River, mających połączyć wyspę Manhattan z Brooklynem, do 1898 roku stanowiącym osobne miasto. Te trzy mosty - Brooklyn, Williamsburg i Manhattan - miały w chwili powstania najdłuższe przęsła i przez miesięcznik „Scientific American” wychwalane były jako największe ówczesne osiągnięcia architektoniczne. Ich wzniesienie możliwe było dzięki wynalezieniu liny stalowej oraz jeszcze jednemu wynalazkowi - był nim keson.

Potężne wieże tych mostów, do których podtrzymywania niezbędne były stalowe liny w konstrukcji wiszącej, spoczywały na fundamentach znajdujących się głęboko pod wodą, ponad trzydzieści metrów pod dnem rzeki. Fundamentów tych nie dało się ułożyć bezpośrednio na miękkim dnie rzeki, warstwa po warstwie usuwano więc piasek, szlam, łupek ilasty, glinę i kamienie, by się dostać do podłoża skalnego. Często używano do tego dynamitu. Zrealizowanie takiej konstrukcji głęboko pod wodą wszystkim wydawało się niemożliwe, dopóki nie wynaleziono kesonu.

Keson jest czymś w rodzaju olbrzymiego drewnianego dzwonu. Ten używany przy budowie Manhattan Bridge od strony Nowego Jorku miał ponad piętnaście tysięcy metrów kwadratowych powierzchni. Jego ściany wykonano z niezliczonych kawałków żółtych desek sosnowych, które zbite razem tworzyły ścianę grubości sześciu metrów; uszczelniono je milionem beczek smoły, lakieru i

górami pakuł. Na samym dole ściany kabiny od wewnątrz i od zewnątrz wzmocniono płytami stalowymi, a całość ważyła ponad trzydzieści milionów kilogramów.

Manhattański keson miał sufit, ale nie miał podłogi; jej funkcję spełniało dno rzeki. Krótko mówiąc, keson użyty do budowy Manhattan Bridge był największym na świecie zatopionym dzwonem.

W 1907 roku keson zrzucono na dno rzeki i wypełnił się wodą. Na brzegu uruchomiono potężne silniki parowe, które przez metalowe rury dzień i noc pompowały powietrze do jego wnętrza. Wysokie ciśnienie powietrza wypompowało wodę przez odwierty w ścianach konstrukcji. Winda łączyła keson z nabrzeżem. Pracownicy zjeżdżali nią na dół i oddychali pompowanym do środka powietrzem. Znajdowali się na samym dnie rzeki, dzięki czemu mogli prowadzić podwodne prace konstrukcyjne, wcześniej uważane za niemożliwe: rozbijali skały wielkimi młotami, usuwali muł łopatami, kruszyli łupek ilasty za pomocą lasek dynamitu i wylewali beton. Gruz usuwano przez specjalnie skonstruowane komory nazywane przez robotników oknami, choć nie dało się przez nie niczego zobaczyć. W kesonie mogło pracować jednocześnie trzystu ludzi.

Czyhało na nich w każdej chwili niebezpieczeństwo. Robotnicy, którzy wyszli na powierzchnię po całym dniu pracy w użytym po raz pierwszy kesonie podczas budowy Brooklyn Bridge, natychmiast zaczęli odczuwać dziwne zamroczenie, potem przyszło sztywnienie stawów, a w końcu unieruchomienie kolan i łokci oraz nieznośny ból całego ciała. Lekarze określili te tajemnicze dolegliwości mianem choroby kesonowej, robotnicy natomiast nazywali je łamańcami, ponieważ w ich wyniku chory zmuszony był przyjmować nienaturalnie wykrzywioną postawę. Choroba kesonowa zrujnowała zdrowie tysięcy robotników. Wielu z nich zostało na zawsze sparaliżowanych, wielu też zmarło, zanim odkryto, że muszą się wynurzać powoli i stopniowo, a przed wyjściem na powierzchnię zatrzymywać na trochę na pewnych wysokościach, aby zapobiec chorobie.

W 1909 roku na temat dekompresji wiedziano już znacznie więcej. Powstały tabele określające, jak długo powinno trwać wychodzenie na powierzchnię, co było uzależnione od czasu spędzonego w kesonie. Z tych właśnie tabel wynikało, że mężczyzna, który tuż po północy 31 sierpnia 1909 roku przygotowywał się do zejścia pod wodę, może spędzić na dole najwyżej piętnaście minut bez potrzeby dekompresji. Nie bał się kesonu, był w nim już wielokrotnie. Tym razem jednak miał zjechać windą całkiem sam.

Jednym ze swoich automobili pojechał w dół rzeki, omijając po drodze maszyny, sterty drewna, chylące się ku ziemi budki z blachy falistej, zwoje stalowych lin i sterty kamieni. Plac budowy całkowicie opustoszał; stróż nocny skończył obchód, a pierwsze grupy robotników z porannej zmiany miały się zjawić dopiero za trzy godziny. W świetle księżyca skończona już wieża mostu rzucała cień, który z ulicy przesłaniał widok na budowę. Silniki parowe nieustannie pompowały powietrze do wnętrza kesonu; ich ryk zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

Mężczyzna zatrzymał auto i zabrał z tylnego siedzenia wielki czarny kufer, który przeniósł na nabrzeże i postawił u wylotu szybu prowadzącego do wnętrza kesonu. Komuś innemu zapewne by się to nie udało, on jednak był wysoki, wysportowany i silny, dlatego jednym ruchem zarzucił sobie kufer na plecy. Prezentował się tym dziwniej, że miał na sobie frak i koszulę oraz elegancką muchę pod szyją.

Otworzył zamek w drzwiach windy i wszedł do środka, wlokąc za sobą kufer. Ciemność rozpraszały dwa promienie niebieskawego światła. Im niżej zjeżdżała winda, tym cichszy stawał się ryk silników

pomp i tym było chłodniej i ciemniej. Wokół unosił się wilgotny zapach ziemi i soli. Mężczyzna poczuł, jak ciśnienie zatyka mu uszy. Bez trudu otworzył śluzę, włączył keson i zepchnął skrzynię z rampy. Spadła z wielkim hukiem tuż obok sterty desek.

Niebieskie płomienie lamp gazowych oświetlały wnętrze kesonu. Spalały czysty tlen, dostarczały więc dość światła, nie dymiąc ani nie wydzielając żadnych woni. W ich nierównym świetle po ziemi i po krokwiach cienie przesuwają się jak koty. Mężczyzna spojrzawszy na zegarek, doszedł do jednego z okien, otworzył włącznik i stękając z wysiłku, wepchnął czarny kufer do śluzy. Następnie zamknął włącznik, zabezpieczył go i pociągnął jeden ze zwisających nad nim łańcuchów, otwierając w ten sposób zewnętrzny włącznik śluzy. Drugi łańcuch obracał wnętrzem śluzy w taki sposób, że jej zawartość - w tym wypadku duża czarna skrzynia - lądowała na dnie rzeki. Przesuwając łańcuchy do wyjściowej pozycji, mężczyzna zamknął zewnętrzny włącznik śluzy i uruchomił pompę, która wciągnęła wodę, przygotowując w ten sposób urządzenie do ponownego użytku.

Wykonał zadanie. Spojrzawszy na zegarek. Za ledwie pięć minut upłynęło, odkąd zjechał do kesonu. Nagle usłyszał skrzypienie drewna.

Niektóre dźwięki, które rozlegają się nocą w zamkniętym pomieszczeniu, są od razu rozpoznawalne. Nie można z niczym pomylić tupotu nóg małego gryzonia. Od razu do rozpoznania jest też na przykład trzaśnięcie drzwi zamkniętych podmuchem wiatru albo kroki dorosłego człowieka, który stąpa po podłodze z desek. Właśnie ten ostatni dźwięk dobiegł go w ciemnościach.

Mężczyzna się odwrócił.

- Kto tu? - krzyknął.
- To ja, proszę pana - odparł głos innego mężczyzny, który w sprężonym powietrzu wydawał się odległy.
- Co za ja?
- Malley, proszę pana.

Z cienia, w którym pograżone były dwa legary podłogowe, wyłonił się rudzielec, niski, ale o posturze niedźwiedzia, od stóp do głowy zabłocony.

- Seamus Malley?
- Ten sam - odpowiedział rudy mężczyzna. - Nie wyrzuci mnie pan z pracy?
- Co, do cholery, robisz na dole? - odpowiedział pytaniem wysoki mężczyzna. - Kto jeszcze jest z tobą?
- Nie ma żywej duszy, proszę pana. A zostałem, bo każą mi pracować dwanaście godzin we wtorek, a potem przychodzić na pierwszą zmianę w środę.
- Nocujesz tutaj?
- Po co mam stąd wychodzić, pytam, skoro zaraz po wynurzeniu się na górę musiałbym z powrotem

zjeżdżać na dół?

Malley był powszechnie lubiany przez kolegów. Wszyscy znali jego silny tenor, który często echo roznosiło po komorach kesonu, i nieograniczone wręcz możliwości spożywania alkoholu pod każdą postacią. Ten ostatni talent przysporzył mu kłopotów we własnym domu przedwczoraj, czyli w niedzielę, bo małżonka w dni świąteczne nie pozwalała mu pić. Rozsierdzona zażądała, żeby jej się nie pokazywał na oczy do przyszłej niedzieli i zjawił się w domu trzeźwy. Prawdę mówiąc, ten właśnie nakaz zmusił Malleya, żeby uszykował sobie spanie w kesonie.

- Powiedziałem sobie: Malley, przekimaj się na dole! Nikt się nie zorientuje i wszystko będzie dobrze.

- Widziałeś mnie przez cały czas, Seamus? - zapytał mężczyzna we fraku.

- Ale skądże, proszę pana. Spałem - zapewnił Malley, dygocząc przy tym rzeczywiście jak ktoś, kto spał się w chłodzie i wilgoci.

Wizytowo odziany mężczyzna bardzo wątpił w to zapewnienie, choć było ono szczere. Zresztą szczere czy nie, Malley widział go teraz.

- Wstydu bym się najadł, Seamus, gdybym wyrzucił cię z pracy za coś takiego! Nie wiesz, że moja matka, niech spoczywa w pokoju, była Irlandką?

- Nie wiedziałem, proszę pana.

- Trzydzieści lat temu wzięła mnie za rękę i zaprowadziła nad rzekę, żebym zobaczył, jak ze statku schodzi sam Charles Parnell. A było to dokładnie nad miejscem, w którym obydwaj stoimy teraz.

- Miał pan wielkie szczęście, proszę pana.

- Powiem ci, Seamus, czego potrzebujesz: butelczyny dobrej, irlandzkiej whisky, która dotrzymałaby ci towarzystwa tutaj na dole! Tak się składa, że mam jedną w samochodzie. Może wyjedziesz ze mną na górę i ci ją dam? Pod warunkiem, że pozwolisz mi łyknąć kilka kropel. Potem wrócisz sobie tutaj, wypijesz i jeszcze się prześpisz. Co ty na to?

- Jest pan za dobry, szanowny panie, za dobry! - odparł Malley.

- Przestań gadać i chódź - polecił mężczyzna we fraku, popychając Malleya po rampie w kierunku windy. Gdy weszli do niej obydwaj, przesunął dźwignię, i zaczęli podróż na powierzchnię. - Chyba będę musiał potrącić ci za wynajem lokalu na noc - zażartował.

- Taki widok wart jest każdych pieniędzy - odparł Malley ze śmiechem, po czym dodał już poważnie: - Chyba pominęliśmy pierwszy przystanek dekompresyjny, proszę pana. Musi pan zatrzymać windę.

- Ależ, co ty, Seamus! Przecież w ciągu pięciu minut wracasz na dół. Nie trzeba się zatrzymywać po drodze na powierzchnię, jeśli zaraz się zjeżdża z powrotem.

- Naprawdę, proszę pana?

- Oczywiście. Masz to wypisane we wszystkich tabelach -zapewnił wysoki mężczyzna, sięgnął do wewnętrznej kieszeni fraka, wyjął z niej tabelę i pomachał nią Malleyowi przed oczami. - Proszę bardzo, sam możesz zobaczyć.

Zapewnienie to było poniekąd prawdziwe. Człowiek może bezpiecznie zjechać od razu do kesonu i bez przerw na dekompresję wynurzyć się na powierzchnię, jeśli spędza pod wodą nie więcej niż kwadrans. Mężczyzna we fraku był więc bezpieczny.

- No dobrze. Gotów jesteś, żeby wstrzymać oddech?

- Wstrzymać oddech? - zdziwił się Malley.

Mężczyzna we fraku przesunął w dół dużą dźwignię i zastopował windę.

- A co ty sobie myślisz, człowieku? - krzyknął. - Jedzie-my prosto na górę, mówiłem ci przecież! Dlatego musisz nabrać powietrza i zatrzymać je, dopóki nie wydostaniemy się na powierzchnię. Nie chcesz przecież umrzeć na łamańce, prawda?

Znajdowali się mniej więcej w jednej trzeciej wysokości szybu windowego, prawie dwadzieścia metrów pod lustrem wody.

- Jak długo byłeś na dole? - dopytywał się mężczyzna we fraku. - Szesnaście godzin?

- Prawie dwadzieścia, proszę pana.

- Dwadzieścia godzin na dole, Seamus! Sparaliżowałoby cię na pewno albo nawet byś nie przeżył! Weź głęboki oddech, tak jak ja, i zatrzymaj go w płucach, żeby nie wiem co.

Poczujesz lekki ucisk, ale nie wolno ci wypuścić powietrza, słyszysz? Nie możesz wypuścić powietrza. Jesteś gotów?

Malley skinął głową. Obydwaj mężczyźni wciągnęli do płuc wielką ilość powietrza, po czym mężczyzna we fraku ponownie uruchomił windę. Gdy zaczęła się wznosić, Malley poczuł w płucach silny ucisk. Mężczyzna we fraku go nie czuł, ponieważ tylko udawał, że wstrzymuje oddech; w rzeczywistości powoli wydychał powietrze, starając się, żeby nie było tego widać. Ryk silników stawał się coraz głośniejszy, oddechu więc nie dało się też usłyszeć.

Malley poczuł ból w piersiach. Chcąc zasygnalizować ten ból i wielką trudność, jaką sprawiało mu wstrzymywanie oddechu, wskazał klatkę piersiową i usta. Mężczyzna we fraku pokręcił przecząco głową i pokiwał palcem, żeby podkreślić, jak ważne jest, żeby nie wypuszczać nabranego w płuca powietrza. Zaraz też przyciągnął Malleya do siebie i położył mu na twarzy swoją wielką dłoń, zakrywając nią usta i nos. Uniósł brwi, jakby chciał zapytać Malleya, czy mu to pomogło. Malley skinął głową, wykonując przy tym dziwny grymas. Twarz mu poczerwieniała, a oczy zaczęły wychodzić z orbit. Gdy winda zatrzymała się na powierzchni, zakasłał. Przykrywająca mu usta dłoń pokryła się krwią.

Ludzkie płuca są zaskakująco nieelastyczne. Nie potrafią się rozciągać. Na wysokości dwudziestu metrów pod powierzchnią, gdy Malley wziął ostatni oddech, ciśnienie zewnętrzne wynosi około trzech atmosfer, co oznacza, że Irlandczyk zaczerpnął do płuc trzykrotnie więcej powietrza niż normalnie.

Kiedy winda się podnosiła, powietrze się rozszerzało. Płuca szybko przekroczyły maksymalną pojemność, nadymając się jak balon. Pęcherzyki płucne zaczęły pękać jeden po drugim, a uwolnione przez nie powietrze wypełniło jamę opłucnej, czyli przestrzeń między klatką piersiową a płucami, powodując stan nazywany przez lekarzy odmą opłucno-wą. Jedno z jego płuc zwyczajnie się zapadło.

- Seamus, Seamus! Nie wypuszczaj powietrza, prawda?

Znawali się już na górze, mężczyzna we fraku jednak nie miał zamiaru otwierać drzwi windy.

- Przysięgam, że nie - odpowiedział Malley, dysząc. - Matko Boska! Co się ze mną dzieje?

- Straciłeś płuco, i tyle. Ale to cię nie zabije.

- Muszę... - Malley upadł na kolana - muszę się położyć.

- Położyć? Nic z tego! Musisz stać, słyszysz? Tak będzie lepiej - zapewnił mężczyzna we fraku, po czym chwycił Malleya pod pachy, podniósł z powrotem na nogi i oparł o ścianę windy. - Tak będzie lepiej!

Jak większość gazów uwieczonych w płynie bańki powietrza we krwi człowieka podchodzą do góry. Zmuszenie Malleya do utrzymania pozycji pionowej sprawiło, że banieczki powietrza wciąż jeszcze znajdujące się w jego płucach przebiły się przez popękane naczynia krwionośne, przesunęły prosto do serca, a stamtąd do arterii wieńcowych i szyjnych.

- Dziękuję - wyszeptał Malley. - Czy nic mi się nie stanie?

- Zaraz się dowiemy - odpowiedział mężczyzna we fraku.

Malley chwycił się rękami za głowę. Wszystko zaczęło

mu wirować przed oczami. Posiniały mu żyły na szyi.

- Co się ze mną dzieje? - zapytał.

- No cóż, Seamus. Moim zdaniem masz właśnie wylew.

- Czy ja umrę?

- Będę z tobą szczery, człowieku. Gdybym teraz zawiózł cię z powrotem na dół, może bym cię jeszcze uratował - powiedział mężczyzna we fraku. I była to prawda. Ponowna kompresja jest bowiem jednym sposobem, który pozwala uratować człowieka umierającego z powodu dekompresji. - Ale wiesz co? - zapytał po chwili, wycierając zakrwawioną dłoń czystą chusteczką. - Moja matka nie była Irlandką.

Malley otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Spojrzał na człowieka, który go zabił, głowa przechyliła mu się do tyłu, oczy zaszklily i więcej się nie poruszył. Mężczyzna we fraku spokojnie otworzył drzwi windy. Na placu nie było nikogo. Poszedł do samochodu, wziął z tylnego siedzenia butelkę whisky, wrócił do windy i tam położył ją obok ciała, które osunęło się już na podłogę.

Za kilka godzin robotnicy odkryją zwłoki biednego Malleya, który zostanie pochowany jako kolejna ofiara choroby kesonowej. Jego przyjaciele zgodnie stwierdzą, że był dobrym człowiekiem, ale też dodadzą zaraz, że tylko głupiec mógł spędzać noce w kesonie, który nie jest miejscem dobrym ani dla ludzi, ani dla zwierząt. Niektórzy będą się zastanawiali, po co chciał się wydostać na górę w środku nocy i jak mógł zapomnieć o etapach pośrednich, na których zawsze trzeba się zatrzymywać w drodze na powierzchnię. Dojdą do wniosku, że był pijany i że na pewno coś go wystraszyło, więc się nie zatrzymał. Na nabrzeżu nikt nie zauważy odbitych w czerwonej glinie śladów stóp mordercy. W drodze do kesonu przejdą po nich wszyscy robotnicy i obrys eleganckich pantofli zniknie, zdeptany setkami ciężkich buciorów.

CZEŚĆ

trzecia

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W środę obudziłem się o szóstej nad ranem. Nie pamiętałem, żeby śniła mi się Nora Acton, a przecież kiedy tylko otworzyłem oczy w swoim wyłożonym boazerią hotelowym pokoju, pomyślałem właśnie o niej. Czy seksualne pożądanie ojca naprawdę leżało u podstaw symptomów hysterii panny Acton? Taki przecież był zasadniczy sens tego, co starał mi się uzmysłwić Freud. Nie chciałem w to uwierzyć. Sama myśl o tym napawała mnie odrazą.

Nigdy nie lubiłem Edypa. Nie lubiłem tragedii, której był bohaterem, i nie lubiłem go jako człowieka. Nie podobała mi się także teoria Freuda, którą nazwał imieniem tego mitycznego bohatera. Była ona jedynym aspektem psychoanalizy, którego nie potrafiłem ogarnąć. Wierzyłem, że podświadoma mentalność kieruje naszym życiem; że nieustannie tłumimy zakazane żądze seksualne i agresję, która rodzi się z nich właśnie; że te tłumione pragnienia ujawniają się w naszych snach i dają o sobie znać w przejęzyczeniach i neurozach. Ale żeby mężczyzna chciał uprawiać seks z własną matką, a kobieta z ojcem? Tego zaakceptować nie umiałem. Freud powiedziałaby, oczywiście, że ten mój sceptycyzm to zwyczajny opór, ponieważ nie chcę uznać kompleksu Edypa za fakt. Bez wątpienia tak właśnie było. Ale opór, jakkolwiek go zdefiniujemy, z pewnością nie dowodzi prawdziwości tego, czemu się przeciwstawia.

Dlatego właśnie ciągle wracałem do *Hamleta* i zaproponowanego przez Freuda niepodważalnego, choć ogromnie irytującego rozwiązania tkwiącej w tym dramacie zagadki. W dwóch zdaniach Freud obalił funkcjonujące od lat przekonanie, że Hamlet był, jak to stwierdził rzekomy pradziadek Junga, intelektualistą i esteta, z definicji niezdolnym do podejmowania decyzji i działania. Freud dowodził, że Hamlet nieustannie podejmuje zdecydowane działania. Zabija Polo-niusza. Planuje i wprowadza w życie podstęp z odegraniem życia w teatrze, dzięki czemu doprowadza do ujawnienia winy Klaudiusza. Posyła na śmierć Rosencrantza i Guildensterna. Wydaje się więc, że nie potrafił zrobić tylko jednego: zemścić się na łajdaku, który zabił jego ojca i sypiał z jego matką.

Według Freuda prawdziwy powód tej niemożności jest prosty: Hamlet dostrzega w postępowaniu stryja realizację własnych skrytych pragnień, swoich edypowych żądz.

Klaudiusz zrobił więc tylko to, co sam Hamlet chciał uczynić. Żeby posłużyć się słowami Freuda: „Tym samym odrazą, która powinna doprowadzić go do zemsty, zostaje w nim zastąpiona samooskarżeniem, skrupułami i wyrzutami sumienia”. Nie da się zaprzeczyć, że Hamlet sam się oskarża. Raz za razem surowo się gani, nadmiernie i niemal nieracjonalnie. Zastanawia się nawet nad popełnieniem samobójstwa, a przynajmniej tak się powszechnie interpretuje pytanie, które zadaje sam sobie w słynnym monologu. Prze-myśliwa nad odebraniem sobie życia. Dlaczego? Dlaczego Hamlet czuje się winny i dlaczego chodzą mu po głowie samobójcze myśli, gdy zastanawia się, jak pomścić ojca? Przez trzysta lat nikt nie potrafił wyjaśnić zagadki słynnego monologu Hamleta, zrobił to dopiero Freud.

Według Freuda Hamlet czuje podświadomie, że sam chciał zrobić to, co Klaudiusz, czyli zabić ojca i zastąpić go w łóżnicy matki. Klaudiusz jest więc ucieleśnieniem tajemnicy Hamleta, realizacją jego skrytych pragnień, lustrzanym odbiciem jego samego. Myśli Hamleta biegną wprost od pragnienia zemsty do poczucia winy, ponieważ w stryju odnajduje samego siebie. W tej sytuacji zabicie Klaudiusza byłoby zarówno realizacją własnych edypowych żądz i pragnień, jak i czymś w rodzaju

samounicestwienia. Dlatego właśnie Hamlet czuje się sparaliżowany. To histeria; ma poczucie winy spowodowane seksualnym pożądaniem własnej matki, którego nie udało mu się skutecznie zepchnąć do podświadomości.

Byłem święcie przekonany, że musi istnieć jeszcze jakieś inne wyjaśnienie, że owo słynne: „Być albo nie być” da się wytłumaczyć jakoś inaczej. Sądziłem, że gdyby mi się udało inne wytłumaczenie znaleźć, uzasadniłbym w ten sposób zastrzeżenia do freudowskiej teorii związanej z kompleksem Edypa. Nigdy jednak nie zdołałem tego dokonać.

Zszedłszy na śniadanie, zastałem Brilla i Ferenczego przy tym samym stole, który zajmowali wczoraj. Brill mężnie atakował leżący przed nim na talerzu sznycel otoczony smażonym jajkiem. Ferenczi nie był w formie: upierał się, że przez cały dzień nie tknie nawet odrobiny jedzenia. Obydwaj rozmawiali ze mną z niejakim przymusem; miałem wrażenie, że przerwałem im jakąś bardzo osobistą rozmowę.

- Wszyscy tutejsi kelnerzy są Murzynami. Czy to powszechne w Ameryce? - zapytał Ferenczi.
- Tylko w lepszych lokalach - odparł Brill. - Nie zapominajmy, że nowojorczyści sprzeciwiali się równouprawnieniu, dopóki nie zrozumieli, co ono naprawdę oznacza: będą mogli nadal trzymać czarnych służących, tylko mniejszym kosztem.
- Nowy Jork nie sprzeciwiał się emancypacji - zaproponowałem.
- Czy bunt nie jest sprzeciwem? - zapytał Brill.
- Niech pan nie zwraca na niego uwagi, Younger - wtrącił się Ferenczi. - To naprawdę jedyny sposób, żeby z nim wytrzymać.
- Oczywiście, ignoruj mnie! - zawołał Brill. - Wszyscy to robią. I słusznie, bo nie mną, tylko Jungiem powinniśmy się pilnie zająć. On jest przecież ważniejszy od nas wszystkich razem wziętych!

Domyśliłem się, że zanim przysiadłem się do stolika; rozmawiali o Jungu. Zapytałem, czy mogliby jakoś mi wyjaśnić stosunek Freuda do Junga. Wyjaśnili.

Całkiem niedawno, bo w ciągu ostatnich dwóch lat, Freud zdobył nową grupę szwajcarskich zwolenników, z których Jung okazał się najwybitniejszy. Pierwsi wiedeńscy uczniowie Freuda nie lubili kolegów z Zurychu, a ich niechęć wzrosła jeszcze, gdy Jung został redaktorem naczelnym „Rocznika Psychoanalitycznego”, pierwszego w świecie czasopisma fachowego poświęconego nowej psychologii. Na tym stanowisku Jung mógł merytorycznie zmieniać treść prac wszystkich pozostałych. Wiedeńczycy twierdzili, że nie do końca akceptuje on seksualną etiologię, czyli główne odkrycie Freuda; zgodnie z nią u podstaw histerii i innych chorób umysłowych leżą tłumione pragnienia seksualne. Dlatego też wiedeńscy uczniowie profesora byli przekonani, że powołanie Junga na stanowisko redaktora naczelnego wynikało wyłącznie z faworyzowania pupila. Brill podkreślił stanowczo, że w tej kwestii wiedeńczycy mają niewątpliwie rację, gdyż Freud nie tylko wyróżnił Junga, ale też wybrał go już na następcę tronu i swojego dziedzica - to on właśnie miał po nim przejąć stery szkoły psychoanalizy.

Nie chciałem wspominać o tym, że poprzedniego wieczoru sam słyszałem takie stwierdzenie z ust

Freuda, głównie dlatego, że musiałbym wtedy opisać niefortunną przygodę profesora. Zauważyłem więc tylko, że Jung wydaje mi się wyjątkowo wrażliwy na opinię, jaką ma o nim Freud.

- Ależ każdy z nas jest wrażliwy na jego opinię - odparł na to Ferenczi. - Nie ma natomiast wątpliwości, że relacja między Freudem a Jungiem przypomina stosunki ojca z synem. Dlatego Jung jest uczulony na najmniejszą nawet naganę. Dostaje wtedy szału. Zwłaszcza gdy mowa o przeniesieniu. Bo Jung ma... jak by to ująć?... inną koncepcję przeniesienia.

- Naprawdę? Czy opublikował ją może?

Ferenczi i Brill wymienili spojrzenia.

- Niekoniecznie. Mówię o podejściu Junga do pacjentów. A raczej do pacjentek. Rozumie pan?

Zaczynałem rozumieć.

- On z nimi sypia - szepnął Brill. - Wszyscy o tym wiedzą.

- Ja sam nigdy tego nie zrobiłem - oświadczył Ferenczi

- ale też nie doznałem jeszcze zbyt wielu pokus w tym względzie, wszelkie więc gratulacje pod moim adresem uznałbym, niestety, za przesadzone.

- Czy profesor Freud o tym wie?

Tym razem Ferenczi zniżył głos do szeptu.

- Jedna z zawiedzionych pacjentek Junga napisała w tej sprawie do Freuda list, w którym wszystko mu wyłuszczyła. Profesor pokazywał mi ten list, i inne także. Niektóre były osobliwe. Na przykład ten napisany przez matkę pewnej pacjentki. Freud poprosił mnie o radę w tej sprawie - pochwalił się Ferenczi. Widać było, że przepełnia go duma z tego powodu. - Powiedziałem mu, że raczej nie powinien traktować słów tej dziewczyny jako dowodu. Oczywiście, doskonale o wszystkim wiedziałem, jeszcze zanim Freud pokazał mi listy. To była tajemnica poliszynela. Chodziło o przepiękną dziewczynę, studentkę i Żydówkę z pochodzenia. Ludzie mówią, że Jung nie potraktował jej najlepiej.

- O, nie! - powiedział Brill, patrząc w kierunku wejścia do restauracji. W drzwiach pojawił się bowiem Freud, ale nie sam. Towarzyszył mu Ernest Jones, mężczyzna, którego poznałem trzy miesiące wcześniej na kongresie psychoanalitycznym w New Haven, i propagator nauki Freuda w Anglii.

Jones przyjechał do Nowego Jorku, by spędzić z nami ten tydzień. W sobotę zamierzał pojechać do Massachusetts, by nam towarzyszyć podczas uroczystości w Clark University. Mniej więcej czterdziestoletni Jones był niemal tak niski jak Brill, ale znacznie potężniej od niego zbudowany. Miał wyjątkowo bladą cerę, prawie pozbawiony był podbródka, a ciemne włosy świeciły od brylantyny. Uśmiech na zaciśniętych wąskich wargach był raczej wyniosły niż życzliwy. Miał także osobliwy zwyczaj unikania wzroku osoby, do której się zwracał. Freud prowadził z nim żartobliwą rozmowę i najwyraźniej się cieszył z tego spotkania. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że ani Ferenczi, ani Brill nie dzielają jego radości.

- Sandor Ferenczi, stary przyjacielu! Cóż za niespodzianka widzieć pana tutaj! - powiedział Jones. - Przecież nie został pan zaproszony, prawda? Mam na myśli wygłoszenie referatu.

- Nie zostałem, ale...

- I Abraham Brill - ciągnął Jones, rzucając oczami na boki, jakby chciał sprawdzić, czy na sali nie wypatrzy jeszcze kogoś znajomego. - Co słyhać u pana? Nadal tylko trzech pacjentów?

- Czterech - sprostował Brill.

- Może się pan uważać za szczęśliwca. W moim gabinecie w Toronto aż roi się od pacjentów i nie mam ani chwili, by sięgnąć po pióro. Obecnie więc pracuję jedynie nad artykułami dla dwóch czasopism fachowych: „Neurologii” i „Niepoczytalności”. No i przygotowałem także wykład, który wygłosiłem w New Haven, albowiem ma się ukazać drukiem. A pan, Brill, coś wydaje?

Uwagi wygłoszone przez Jonesa sprawiły, że atmosfery nie dało się dłużej nazywać miłą.

- Tylko książkę Freuda o hysterii - odpowiedział Brill z udawaną skromnością. Jones już otwierał usta, ale rozmyślił się i nic nie powiedział. - Tak, obecnie wydaję tylko własne tłumaczenie książki Freuda - ciągnął Brill. - Z niemieckim miałem więcej kłopotów, niż mógłbym przypuszczać, ale ukończyłem pracę.

Na twarzy Jonesa odmalowała się ulga.

- Freud nie potrzebuje tłumacza na niemiecki, ty draniu

- powiedział z ulgą i głośnym śmiechem. - Freud sam pisze po niemiecku. Jemu jest potrzebny tłumacz angielski.

- Dlatego właśnie dokonałem tłumaczenia na angielski

- wyjaśnił Brill.

Jonesa zamurowało. Przez chwilę nie mógł znaleźć słów, po czym odezwał się do Freuda:

- Przecież nie... No chyba nie pozwolił pan Brillowi tłumaczyć swoich dzieł na angielski?! - zapytał i po chwili milczenia zwrócił się do Brilla: - Czy przypadkiem pański angielski nie jest na to zbyt słaby? Wszak jest pan emigrantem!

- Ależ, Erneście! Niechże pan poskromi zazdrość!

- Ja miałbym być zazdrosny o Brilla? Wolne żarty!

W tym momencie chłopiec hotelowy wymienił głośno nazwisko Brilla, a gdy ten dał mu znak, na srebrnej tacy podsunął mu kopertę. Robiąc nadętą minę, Brill dał chłopcu dziesięć centów napiwku.

- Zawsze chciałem otrzymać telegram w hotelu - powiedział ze śmiechem. - Wczoraj omal nie wysłałem go sam sobie na adres hotelu Manhattan, żeby zobaczyć, jakie to uczucie.

Nastrój do żartów jednak go opuścił, gdy wyjął z koperty kartkę i rzucił na nią okiem. Ferenczi wyjął mu z dłoni telegram i pokazał wszystkim. Nic dziwnego, że tekst wprowadził Brilla w osłupienie:

WTEDY PAN SPUŚCIŁ NA SODOMĘ DESZCZ SIARKI I OGNIĄ STOP DYM UNOSIŁ SIĘ NAD ZIEMIĄ STOP GĘSTY DYM JAKBY Z PIECA W KTÓRYM TOPIĄ METAL STOP ŻONA KTÓRA SZŁA RAZEM Z NIM OBEJRZAŁA SIĘ I STAŁA SIĘ SŁUPEM SOLI STOP ZANIM BĘDZIE ZA PÓŹNO

- Znowu to samo! - wyszeptał Brill.
- Moim zdaniem nie ma najmniejszego powodu, żeby się w to wpatrywać, jakby się ducha zobaczyło. Przecież od razu widać, że to od jakiegoś religijnego fanatyka. Pełno ich w Ameryce!
- A skąd niby wiedział, że tutaj będę? - zapytał Brill, najwyraźniej nieuspokojony tymi słowami.

*

Burmistrz George McClellan mieszkał tuż przy Piątej Alei, w jednej z okazałych rezydencji okalających Washington Square North, których architektura nawiązywała do starożytnego Rzymu. Wychodząc z domu w środę rano, burmistrz z zaskoczeniem zauważył, że z parku po przeciwnej stronie ulicy szybkim krokiem zmierza ku niemu koroner Hugel. Obydwaj panowie spotkali się między korynckimi kolumnami strzegącymi drzwi wejściowych.

- Co pan tu robi, Hugel? - zdziwił się McClellan. - Mój Boże! Wygląda pan, jakby nie spał od kilku dni.
- Chciałem mieć pewność, że pana zastanę - odparł zdyszany koroner. - To Banwell, Banwell to zrobił!
- Co?
- George Banwell zabił pannę Riverford.
- Niechże pan nie będzie śmieszny! Znam Banwella od dwudziestu lat!
- Od chwili, gdy zjawiłem się w rezydencji Balmoral, próbuje utrudniać śledztwo. Groził mi, że doprowadzi do odsunięcia mnie od sprawy. Próbował też nie dopuścić do sekcji zwłok.
- Na litość boską! Przecież on zna ojca tej dziewczyny!
- A dlaczego miałoby to być przeszkodą w autopsji?
- Dla większości ludzi widok pociętego ciała kogoś bliskiego jest przykry, Hugel.

Jeśli burmistrz chciał dać Hugelowi do zrozumienia, że wątpi w jego zdrowe zmysły, koroner nie pojął aluzji.

- Całkowicie pasuje do sporządzonego w śledztwie rysopisu mordercy. Mieszka w tym budynku, przyjaźni się z rodziną, ofiara na pewno otworzyłaby mu drzwi. Ponadto kazał dokładnie posprzątać

pokój ofiary, zanim zjawił się tam Littlemore, żeby detektyw nie mógł dokonać przeszukania.

- Przecież pan zbadał wcześniej miejsce zbrodni! - przerwał mu McClellan.
- Nie do końca - odparł Hugel. - Zbadałem tylko sypialnię. Littlemore miał przeszukać cały apartament.
- Czy Banwell wiedział, że ma się tam zjawić Littlemore? Mówił mu pan o tym?
- Nie - mruknął koroner. - Ale jak pan wyjaśni fakt, że wczoraj wpadł w panikę na widok panny Acton? - zapytał i zdał burmistrzowi relację z incydentu z koniem, o którym słyszał od Littlemorea. - Banwell próbował uciec, ponieważ się bał, że dziewczyna rozpozna w nim napastnika.
- Nonsens! - odpowiedział burmistrz. - Bezpośrednio po tym zdarzeniu miałem z nim spotkanie w hotelu Manhattan. Czy pan wie, że Banwellowie pozostają z rodziną Actonów w zażyłych stosunkach? Mildred i Harcourt Actonowie spędzają teraz czas w letniej rezydencji Banwella.
- Mówi pan, że on zna Actonów? To kolejny dowód! Jest jedynym podejrzanym, który znał obydwie ofiary.

Burmistrz popatrzył na koronera zimno.

- Co pan ma na marynarce, Hugel? Wygląda mi to na jajko - zapytał.
- Bo to jest jajko. Rzucili nim we mnie chuligani, gdy dochodziłem do pańskiego domu. Musimy natychmiast aresztować Banwella.

Burmistrz pokręcił głową. Południowa strona Washington Square z pewnością nie należała do zbyt eleganckich osiedli. Od dłuższego już czasu McClellan nie mógł pozbyć się stamtąd gangu młodych łobuziaków, którzy z faktu, że działają pod nosem samego burmistrza, najwyraźniej czerpali dodatkową zachętę do głupich kawałów.

- Jestem zaskoczony, Hugel - powiedział, przechodząc do czekającego nań za rogiem domu konnego powozu. - Wszystko to jedna wielka spekulacja!
- Nie nazwie pan tego spekulacją, kiedy trafi panu na biurko sprawa kolejnego morderstwa! - odparł koroner.
- George Banwell nie zamordował panny Riverford - odparł na to burmistrz.
- A skąd niby pan wie?
- Wiem - powiedział McClellan zdecydowanym tonem. - Nie chcę słyszeć więcej tych nedorzecznych oszczerstw! Proszę iść do domu. Nie powinien się pan pokazywać nikomu w takim stanie. Proszę odpocząć! To polecenie służbowe.

Pod numerem 782 na Ósmej Alei, gdzie w lokalu numer 4C miał ponoć mieszkać Chong Sing, wznosiła się pięciopiętrowa kamienica czynszowa. Było tam brudno i obskurnie, a w oknach na pierwszym piętrze, na którym znajdowała się chińska restauracja, wisiły wędzone świńskie golonki i

ociekające tłuszczem kadłuby kaczek. Pod restauracją mieścił się obskurny sklep z rowerami, którego właścicielem był biały. Oprócz niego wszyscy wokół - stara kobieta biegająca tam i z powrotem przez drzwi frontowe, mężczyzna na ganku palący wielką fajkę i kilka osób wyglądających z okien mieszkań na wyższych piętrach - byli Chińczykami.

Kiedy detektyw zaczął się wspinać po nieoświetlonych schodach na trzecie piętro, z ciemności wyłonił się mężczyzna w długiej tunice i stanął mu na drodze. Miał rzadką brodę, cienki warkoczyk z tyłu głowy i zęby koloru świeżo zardzewiałego metalu. Littlemore się zatrzymał.

- Ty idziesz złą drogą - odezwał się Chińczyk bez żadnego powitania. - Restauracja drugie piętro. Z tyłu.

- Nie idę do restauracji - wyjaśnił detektyw. - Szukam pana Chonga Singa. Mieszka tutaj na czwartym piętrze. Zna go pan?

- Nie - odpowiedział Chińczyk, nadal blokując przejście.

- Nie ma żadnego Singa na górze.

- To znaczy, że wyszedł czy że tutaj wcale nie mieszka?

- Nie ma żadnego Singa na górze - powtórzył mężczyzna i dotknął dłonią klatki piersiowej detektywa. - Ty idź stąd.

Detektyw ominął Chińczyka i dalej wspinał się po wąskich schodach. Drewniane stopnie piszczały pod stopami. Rozchodził się zapach tłustego mięsa. Korytarz na czwartym piętrze nie miał okien, detektyw szedł więc w ciemności, choć przecież był dzień. Zauważył, że zza uchylonych drzwi obserwują go oczy ciekawskich. W mieszkaniu numer 4C nikt nie zareagował na pukanie. Zdawało mu się, że słyszy, jak ktoś szybko zmyka po schodkach pożarowych. Gdy wszedł do budynku, zapach wędzonego mięsa pobudził jego apetyt. Teraz, na dusznych wyższych piętrach, zmieszany z kłębam dymu z opium, pobudzał do mdłości.

Burmistrz wszedł do swego gabinetu w ratuszu i sekretarka natychmiast poinformowała go, że dzwonił pan Ban-well. Kazał się z nim połączyć.

- George - przedstawił się Banwell.

- George - odpowiedział McClellan. Było to ich rytualne powitanie, które po raz pierwszy wypowiedzieli dwadzieścia lat temu jako świeżo upieczeni członkowie Klubu Manhattan.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że wczoraj wieczorem skontaktowałem się z Actonem. Przekazałem mu tę upiorną wiadomość. Dzisiaj rano wyruszył z powrotem do Nowego Jorku. Powinien być w hotelu około południa. Tam się z nim spotkam.

- Doskonale! - ucieszył się McClellan. - Dołączę do was.

- Czy Nora coś sobie przypomniała?

- Nie - odparł burmistrz. - Ale koroner znalazł podejrzanego: to ty.

- Mnie? - wykrzyknął Banwell. - Jak tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że to gnida!
- Coś mi się wydaje, że obydwaj poczuliście to samo.
- Co mu powiedziałaś?
- Że ty tego nie zrobiłaś.
- A co z ciałem Elizabeth? - dopytywał się Banwell. - Riverford co chwila przysyła mi w tej sprawie telegramy.
- Ciało zostało wykradzione, George.
- Co takiego?
- Wiesz przecież o kłopotach, jakie miałem już wcześniej z miejską kostnicą. Mam nadzieję, że uda mi się je odzyskać. Możesz jakoś uspokoić Riverforda? Niech poczeka jeszcze z dzień.
- Uspokoić? Przecież zamordowano jego córkę!
- Przynajmniej spróbuj - poprosił burmistrz.
- Dobrze, zobaczę, co się da zrobić - obiecał Banwell.
- A skoro o tym mowa... kim są ci specjaliści zajmujący się Norą Acton?
- Nie mówiłem ci? - zdziwił się burmistrz. - To terapeuci. Podobno potrafią leczyć amnezję tylko dzięki rozmowie z pacjentem. Swoją drogą, to fascynujące! Każą pacjentowi opowiadać o różnych przeżyciach z przeszłości.
- Jakich przeżyciach? - zapytał Banwell.
- Różnych, George - odparł burmistrz.

Koroner Hugel wykonał polecenie burmistrza i udał się do domu. Zajmował dwa ostatnie piętra drewnianego budynku na Warren Street. Gdy dotarł do siebie, położył się na zdezelowanym łóżku, ale nie zasnął. Światło było zbyt ostre, a krzyki tragarzy zbyt głośne, nawet kiedy głowę opatulił poduszką.

Dom, w którym mieszkał, mieścił się na skraju Market District w dolnej części Manhattanu. Kiedy wynajmował to mieszkanie, była to spokojna i miła dzielnica mieszkaniowa. Z czasem jednak zmieniła się w dzielnicę składów, hurtowni i hal produkcyjnych. Mimo to się nie wyprowadził, ponieważ niska pensja koronera nie pozwalała mu na wynajęcie dwóch pięter budynku w lepszej części miasta.

Hugel nienawidził swojego mieszkania. Na suficie widniały takie same obrzydliwe otoczone brązowymi obwódkami plamy jak w kostnicy. Zaklął sam do siebie. Przecież jest ko-ronerem miasta Nowy Jorku! Dlaczego musi mieszkać w tak podłych warunkach? Dlaczego musi chodzić w nędznym garniturze, który wydaje się jeszcze gorszy w porównaniu ze świetnie skrojoną marynarką Georgea

Banwella?

Dowody przeciwko Banwellowi w zupełności wystarczały, by go aresztować. Dlaczego burmistrz nie chciał tego dostrzec? Żałował, że sam nie może nakazać aresztowania Banwella. Ale niestety, koroner nie miał takiej władzy. Raz jeszcze wszystko przeanalizował. Musi mieć coś jeszcze! Musi przedstawić jeszcze jakiś dowód, który uzupełni obraz i pozwoli mu dopiąć celu. Morderca Elizabeth Riverford ukradł zwłoki z kostnicy, by ukryć ślad, który posłużyłby za dowód - to wydawało się przekonujące. Jaki to ślad? Nagle przyszło mu do głowy, że kompletnie zapomniał o fotografiach, które zrobił w sypialni panny Riverford podczas oględzin. Jest przecież możliwe, że na którejś z nich zarejestrował ów brakujący element.

Wstał z łóżka i ubrał się w pośpiechu. Mógł wywołać zdjęcia sam, choć robił to rzadko. Miał w budynku kostnicy własną ciemnię. Ale nie, lepiej niech te zdjęcia wywoła policyjny fotograf Louis Riviere.

O dziewiątej zapukałem do apartamentu panny Acton. Nie zastałem nikogo. Zapytałem w recepcji, czy coś wiedzą. Owszem, czekała tam na mnie wiadomość; panna Acton pisała, że wróci do hotelu o jedenastej i że mogę ją wtedy odwiedzić, jeśli mam życzenie.

Z punktu widzenia psychoanalizy takie zachowanie było kompletnie niedopuszczalne. Po pierwsze, sesji terapeutycznej nie należy traktować jak odwiedzin, po wtóre zaś, to lekarz, a nie pacjent powinien decydować o terminie wizyty.

Mimo to zaszedłem do panny Acton o jedenastej. Siedziała wygodnie na sofie, podobnie jak poprzedniego ranka. Piła herbatę na tle drzwi balkonowych. Nie podnosząc wzroku, poprosiła, bym usiadł. Również i to mnie zirytowało. Pana Acton czuła się zbyt swobodnie. Psychoanalizę powinno się jednak przeprowadzać w gabinecie lekarskim, to ja powinienem być gospodarzem i ja powinienem komenderować.

Kiedy usiadłem, podniosła wzrok i całkiem zbiła mnie z tropu. Oczy miała pełne trwogi i ekscytacji.

- Komu pan o tym powiedział? - zapytała, a w jej głosie wyczułem zaciekawienie raczej niż oskarżenie. - O tym, co zrobił mi pan Banwell.

- Tylko doktorowi Freudowi. Co się stało?

Wymieniała spojrzenia z panią Biggs, która sięgnęła po

złożoną na dwoje kartkę papieru i podała mi ją. Rozłożyłem kartkę. Piórem ktoś na niej napisał: „Trzymaj język za zębami!”.

- Jakiś chłopiec wsunął mi to do ręki na ulicy, po czym zaraz uciekł - wyjaśniła panna Acton. - Sądzi pan, doktorze, że to George Banwell mnie zaatakował?

- A pani?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Dlaczego nie mogę sobie niczego przypomnieć? Niech pan sprawi, bym odzyskała pamięć - powiedziała błagalnym tonem. - Przecież on może mnie przez cały czas obserwować! Niech mi pan pomoże, doktorze Younger!

Dotychczas nie widziałem jej w takim stanie. Pierwszy raz poprosiła mnie o pomoc. Także pierwszy raz od chwili przybycia do hotelu naprawdę była przestraszona.

- Spróbuję - obiecałem.

Pani Biggs nie trzeba już było tłumaczyć, że musi wyjść z pokoju. Natychmiast kazałem dziewczynie się położyć, choć z pewnością jej się to nie podobało. Była tak podekscytowana, że z ledwością potrafiła wytrzymać w jednym miejscu.

- Panno Acton, proszę sięgnąć myślami dalej niż trzy lata wstecz, do czasu tuż przed incydentu na dachu. Była pani wtedy z rodziną w letniej rezydencji Banwellów.

- Dlaczego pan mnie o to pyta? - wybuchnęła. - Chcę sobie przypomnieć, co się stało przed dwoma dniami, a nie trzy lata temu!

- Nie chce pani sobie przypomnieć, co się wydarzyło trzy lata temu?

- Tego nie powiedziałam.

- Ależ właśnie tak! Profesor Freud jest przekonany, że coś pani wtedy przeżyła, zapomniała o tym i dlatego właśnie nie może sobie przypomnieć tego, co zaszło przed dwoma dniami.

- O niczym nie zapomniałam! - odparowała.

- A więc istotnie coś pani przeżyła.

Zamilkła.

- Nie ma się czego wstydzić, panno Acton - zapewniłem.

- Niech pan przestanie ciągle to powtarzać! - krzyknęła z wściekłością tyleż wielką, co nieoczekiwaną. - Niby czego miałabym się wstydzić?

- Nie wiem.

- Niech pan już idzie!

- Panno Acton!

- Niech pan sobie idzie. Nie lubię pana. Nie jest pan dostatecznie bystry.

Nie ruszyłem się z miejsca.

- Co więc pani przeżyła? - zapytałem. Zamiast odpowiedzieć, wpatrywała się w dal. Podniosłem się z miejsca i postanowiłem postawić wszystko na jedną kartę.

- Żałuję, panno Acton, ale nie mogę pani pomóc. Niestety.

Wzięła głęboki oddech.

- Widziałam mojego ojca z Clarą Banwell!

- Proszę opisać, co pani widziała.

- Dobrze, powiem panu - zgodziła się dość niechętnie. Usiadłem, a ona zaczęła opowiadać: - Na parterze jest duża biblioteka. Często się zdarzało, że nie mogłam spać, a wtedy właśnie tam przychodziłam. W świetle księżycy było w bibliotece wystarczająco jasno, bym mogła czytać nawet bez zapalania świecy. Którejś nocy, gdy zeszłam na parter, drzwi biblioteki były uchylone. Słyszałam, że ktoś jest w środku. Podeszłam do drzwi i zajrzałam przez szparę. Ojciec siedział na fotelu pana Banwella, twarzą do mnie. Clara klęczała przed nim. Odpięta sukienka zsunęła jej się z ramion i opadła poniżej bioder. Widać było całe plecy. A ona ma piękne plecy, doktorze, przepiękne. Białe jak... nieskazitelnie białe. I ten kształt, jak szkło klepsydry albo pudło wiolonczeli. Clara nie klęczała w bezruchu, tylko... jak by to określić... falowała. Podnosiła i opuszczała głowę w jednostajnym rytmie. Nie widziałam jej rąk, pewnie więc trzymała je przed sobą. Raz albo dwa odrzuciła włosy do tyłu, ale przez cały czas falowała. Był to hipnotyzujący widok. Oczywiście, wtedy nie rozumiałam, czego jestem świadkiem. Jej ruch bardzo mi się podobał, był taki delikatny... niczym fala lekko uderzająca o brzeg. Wiedziałam jednak doskonale, że robią coś złego.

- Proszę mówić dalej - zachęciłem, gdy na chwilę zamilkła.

- Potem ojciec zaczął wydawać z siebie jakiś odrażające, chrapliwe dźwięki. Zastanawiałam się, jak Clara znosi to wstrętne charczenie. Ona jednak nie tylko je znosiła, ale poruszała się dzięki nim coraz szybciej, coraz bardziej zdecydowanie. Ojciec ścisnął silnie poręcz fotela. A ona falowała coraz szybciej. Byłam tym widokiem zafascynowana, ale nie chciałam dłużej patrzeć. Cichutko weszłam na górę i wróciłam do swojego pokoju.

- A potem?

- Nie było żadnego potem - odparła i wymieniliśmy spojrzenia. - To już koniec, doktorze. Mam nadzieję, że przynajmniej pan zaspokoił ciekawość, bo mnie pamięć nie wróciła na pewno.

Zastanawiałem się nad zdarzeniem, które pana Acton przed chwilą opisała. Z jednej strony miało ono cechy urazu psychicznego, z drugiej zaś - panna Acton nie wydawała się traktować tego przeżycia w taki właśnie sposób.

- Czy doświadczyła pani później jakichś dolegliwości fizycznych? Miała pani jakieś problemy? Straciła głos? - zapytałem.

-Nie.

- Sparaliżowało pani jakąś część ciała?

-Nie.

- Czy pani ojciec się zorientował, że pani ich widziała?

- Jest na to za głupi.

Znów się przez chwilę zastanawiałem.

- Proszę teraz pomyśleć o swojej amnezji. Co przychodzi pani do głowy?
- Nic - odpowiedziała.
- Nigdy tak nie jest, żeby w umyśle nie było kompletnie nic.
- Już pan mi to mówił poprzednio! - wykrzyknęła ze złością, po czym zamilkła, wbijając we mnie swoje niebieskie oczy. - Tylko jedna z rzeczy, którą pan zrobił, pozwoliła mi powziąć nadzieję, że zdoła mi pan pomóc. I nie miało to nic wspólnego z pańskimi pytaniami - dodała.

- Cóż takiego?

Spuściła wzrok.

- Nie wiem, czy powinnam o tym mówić.
- Dlaczego nie?
- Nieważne. Zrobił pan to na policji.
- Zbadałem pani szyję.
- Tak - powiedziała cicho, odwracając głowę. - Kiedy po raz pierwszy dotknął pan mojej szyi, przez chwilę miałam wrażenie, że coś widzę, że przychodzi mi do głowy jakiś obraz, jakieś wspomnienie. Nie wiem, co to było.

Było to zaskakujące oświadczenie, ale bardzo prawdopodobne. Freud przecież odkrył, że dotyk często uwalnia przytłumione wspomnienia. Ja sam zastosowałem technikę dotyku podczas terapii Priscilli. Również amnezja panny Acton mogła się skończyć w związku z taką formą leczenia.

- Czy chce pani spróbować czegoś podobnego teraz?
- To mnie wystraszyło.
- Prawdopodobnie wystraszy panią również i tym razem.

Pokiwała głową. Podszedłem do niej i wyciągnąłem przed siebie rękę. Zaczęła zdejmować z szyi chustkę. Powiedziałem, że nie jest to konieczne, ponieważ dotknę nie jej szyi, lecz czoła. Była zaskoczona, wyjaśniłem więc, że to jedna ze standardowych metod profesora Freuda w leczeniu zaników pamięci. Nie wydawała się tym usatysfakcjonowana, ale powiedziała, żebym robił swoje. Delikatnie położyłem dłoń na jej czole. Nie zauważyłem żadnej reakcji, zapytałem więc, czy przychodzą jej do głowy jakieś myśli.

- Tylko to, że ma pan zimne dłonie, doktorze Younger

- odparła.

- Przykro mi, panno Acton, ale musimy wrócić do rozmowy. Dotyk nie poskutkował - oświadczyłem i usiadłem. Wyglądała niemal na rozgniewaną. - Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do tego, co mi

pani opowiedziała. Otóż wspomniała pani o plecach pani Banwell, jej nagich plecach. Były białe jak coś, co widziała pani wcześniej. Nie powiedziała pani jednak, jak co.

- I pan chciałby to wiedzieć?
- Dlatego zadałem pani pytanie.
- Proszę stąd wyjść! - powiedziała, siadając.
- Słucham?
- Proszę stąd wyjść! - krzyknęła i rzuciła we mnie cukiernicą pełną słodkich kostek. Wstała i natychmiast z całej siły zrobiła to samo z filiżanką i spodkiem, biorąc zamach zza głowy. Na szczęście filiżanka pofrunęła na prawo ode mnie, a spodek minął mnie z drugiej strony, po czym uderzył o ścianę i rozbił się na drobne kawałki. Panna Acton sięgnęła po dzbanek do herbaty.
- Proszę tego nie robić - odezwałem się.
- Nienawidzę pana!

Stałem niewzruszony.

- Nie żywi pani nienawiści do mnie, tylko do swojego ojca za to, że przehandlował panią Banwellowi w zamian za jego żonę - oświadczyłem.

Oczekiwałem, że po tej diagnozie dziewczyna osunie się na sofę cała we łzach. Myliłem się jednak. Podskoczyła jak dzika kotka, w tej samej chwili rzucając we mnie dzbankiem. Kiedy uderzył mnie w lewe ramię, spadła pokrywka, a na ramię wylał się wrzątek. To było bardzo bolesne. Nie samo uderzenie, lecz poparzenie. Mimo to nie poruszyłem się ani nie okazałem żadnych emocji. Chyba rozsierdziło ją to jeszcze bardziej, bo podniosła z ziemi dzbanek i zamachnęła się nim, celując w moją głowę.

Ze względu na dużą różnicę wzrostu wystarczyło, abym się lekko uchylił, i uniknąłem uderzenia. Dzbanek chybił celu. Chwyciłem pannę Acton za rękę. Impet obrócił ją tyłem do mnie, a wtedy silnie schwyciłem ją w pól i przyciągnąłem do siebie, przyciskając obie jej ręce do talii.

- Niech mnie pan puści! - zażądała. - Proszę mnie natychmiast puścić albo zacznę krzyczeć.
- A potem? Co zrobi pani potem? Opowie wszystkim, że na nią napadłem?
- Liczę do trzech - odparła ostro. - Albo mnie pan puści, albo zacznę krzyczeć. Raz, dwa, t...

Chwyciłem ją za gardło, nie dopuszczając, by wypowiedziała ostatnie słowo. Nie powinienem był tego zrobić, ale wzburzenie wzięło górę. Uniemożliwiło jej to krzyk, ale przyniosło też niespodziewany efekt uboczny. Przestała być naprężona jak struna. Upuściła dzbanek. Oczy otworzyła szeroko, szafirowe tęczówki zaczęły szybko biegać tam i z powrotem. Nie wiedziałem, co zaskoczyło mnie bardziej: atak skierowany na mnie czy ta gwałtowna przemiana. Natychmiast rozluźniłem uścisk.

- Widziałam go - wyszeptała.

- Pamięta pani?

- Widziałam go - powtórzyła. - Ale teraz wspomnienie zniknęło. Chyba byłam związana. Nie mogłam się poruszać. Och, dlaczego nie potrafię sobie tego przypomnieć? Dlaczego?

Po chwili odwróciła się do mnie.

- Niech pan to zrobi jeszcze raz!

-Co?

- To, co przed chwilą... Wtedy sobie przypomnę. Jestem pewna.

Powoli, nie spuszczać ze mnie wzroku, zdjęła z szyi apaszkę, odsłaniając utrzymujące się nadal siniaki. Delikatnymi dłońmi ujęła moją prawą rękę i przyciągnęła do swojej szyi, jak wtedy, kiedy widziałem ją po raz pierwszy. Dotknąłem miękkiej, delikatnej skóry, starając się nie urazić miejsc zasinionych.

- Widzi pani coś? - zapytałem.

- Nie - szepnęła. - Musi pan zrobić to, co poprzednio.

Nie odezwałem się. Nie wiedziałem, czy chce, żebym

zrobił to, co podczas badania na policji, czy może chodzi jej o to, co zrobiłem przed chwilą.

- Niech pan mnie zacznie dusić - dodała po chwili.

Nie zareagowałem.

- Proszę, niech pan mnie zacznie dusić.

Położyłem na jej szyi kciuk i palec wskazujący w miejscu, gdzie rozlewały się sine plamy. Przygryzła wargi. Zapewne z bólu. Po zakryciu siniaków dłońmi nie widziałem żadnych śladów napaści - tylko piękne linie podbródka i szyi. Nacisnąłem. Natychmiast zamknęła oczy.

- Mocniej - powiedziała cicho.

Lewą ręką objąłem ją w pasie, a prawą dusiłem coraz silniej. Plecy jej się wygięły w łuk, a głowa odchyliła do tyłu. Chwyciła mnie za rękę, ale nie próbowała jej odciągnąć.

- Widzi pani coś? - zapytałem. Przecząco pokręciła głową. Wciąż miała zamknięte oczy. Jeszcze bardziej zacisnąłem palce, jednocześnie silniej podtrzymując ją drugą ręką. Oddech uwiązł jej w gardle. Cynobrowe wargi się rozchyliły.

Niełatwo mi wyznać, jak nieprofesjonalne reakcje to we mnie wzbudziło. Nigdy wcześniej nie widziałem tak doskonale pięknych ust. Jej pełne wargi drżały. Skórę miała miękką i gładką. Długie włosy lśniły, skrząc się jak wodospad omiatany promieniami słońca. Przyciągnąłem ją bliżej do siebie. Poczulem na piersiach jej dłoń. Nie pamiętam, jak i kiedy ją tam położyła.

Nagle zdałem sobie sprawę, że jej piękne niebieskie oczy patrzą na mnie. Kiedy się otworzyły? Nie zauważyłem też, że próbuje mi coś powiedzieć.

Rozluźniłem uchwyt. Spodziewałem się, że będzie dyszeć, ale nie. Spojrzała na mnie i cicho, ledwie słyszalnym głosem powiedziała:

- Pocałuj mnie.

Szczerze przyznam, że nie wiem, co zrobiłbym z tą prośbą, gdybym w tej samej chwili nie usłyszał, że ktoś głośno puka do drzwi. Potem zazgrzytał klucz nerwowo przekręcany w zamku. Natychmiast ją puściłem. W ułamku sekundy podniosła z podłogi dzbanek i postawiła go na stole, po czym obydwójce stanęliśmy twarzą do drzwi.

- Przypomniałam sobie - wyszeptała podnieconym głosem, kiedy obracała się gałka i ktoś próbował otworzyć drzwi.

- Wiem, kto na mnie napadł.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W południe tego samego dnia, a więc 1 września, Carl Jung miał zjeść obiad w doborowym towarzystwie na zaproszenie Smitha Ely'ego Jelliffe'a, wydawcy, lekarza i wykładowcy chorób psychicznych na Fordham University. Panowie spotkali się w wychodzącym na park klubie przy Pięćdziesiątej Trzeciej. Freud nie został zaproszony. Ferenczi, Brill ani Younger też nie. Fakt ten nie zaniepokoił Junga, uznał go bowiem za kolejny dowód wielkiego znaczenia, jakiego zaczyna nabierać w świecie nauki. Człowiek mniej wielkoduszny machałby takim zaproszeniem przed nosem tym, którzy go nie otrzymali. Jung jednak poważnie traktował ciążyący na nim obowiązek miłości bliźniego, ukrył je więc przed towarzyszami.

Konieczność ukrywania tak wielu rzeczy jednakże mu doskwierała. Zaczęło się to już w dniu, w którym opuścili Bremę. Oczywiście, Jung nie zniżył się do kłamstwa. Obiecał sobie przecież, że nigdy tego nie zrobi. Nie była to również jego wina. Sami doprowadzili do sytuacji, w której pewne rzeczy postanowił przemilczeć.

Choćby bilety na statek „George Washington”: Freud i Ferenczi zarezerwowali koje w drugiej klasie. Cóż on mógł na to poradzić? Nie chciał ich stawiać w niezręcznej sytuacji, musiał zatem powiedzieć, że kiedy kupował bilet, wolne były już tylko kajuty pierwszej klasy. Potem ten sen pierwszej nocy na pokładzie. Jego znaczenie nie mogło budzić wątpliwości: on, Carl Jung, przewyższał Freuda wiedzą, przenikliwością i autorytetem. Z troski o jakże wrażliwą godność własną starego profesora zapewnił więc, że kości, które odnalazł w tym śnie, nie były Freuda, ale jego żony. Prawdę mówiąc, sprytnie też dodał, że oprócz ziemskich szczątków żony były tam także kości szwagierki Freuda, żeby się przekonać, jak Freud zareaguje na trupa we własnej szafie. Wszystko to co prawda drobiazgi, doprowadziły jednak do sytuacji, w której konieczne stało się przemilczenie poważniejszych kwestii już na miejscu, w Ameryce.

Obiad w klubie z Jelliffeem przyniósł Jungowi wielką satysfakcję. Przy owalnym stole siedziało już dziewięciu, może nawet dziesięciu mężczyzn. Z poważną naukową dyskusją i przednim winem bordo mieszała się odpowiednia dawka sprośnego humoru, który przecież tak lubił. Obiektem przycinków uczynili przede wszystkim ruch sufrażystek. Jeden z panów zapytał, czy któryś z pozostałych biesiadników spotkał kiedykolwiek sufrażystkę, z którą miałby ochotę iść do łóżka. Jednogłośnie odpowiedź brzmiała: nie! Ktoś inny zauważył, że należałoby powiadomić te panie, iż nawet jeśli zyskają prawo głosu, nie pojawią się chętni, by z nimi sypiać. Wszyscy też się zgodzili, że dobrym lekarstwem dla kobiety domagającej się równouprawnienia byłoby naprawdę jej dogodzić, ta terapia wszelako napawała ich takim wstrętem, że jednak za lepsze rozwiązanie uznali przyznanie im prawa głosu we wszystkich wyborach.

Jung był w swoim żywiole. Choćby dlatego, że nie musiał udawać biedniejszego. Nie musiał także przemilczać swoich przodków. Po posiłku panowie udali się do palami, gdzie kontynuowali rozmowę przy koniaku. Goście stopniowo przeredzali szeregi, aż w końcu został tylko z Jelliffeem i trzema starszymi panami. Na delikatny sygnał jednego z nich Jelliffe natychmiast się podniósł. Jung wstał razem z nim, uznając, że także pora już iść. Wtedy Jelliffe mu wyjaśnił, że ci trzej panowie chcieliby zamienić z nim kilka słów, a po rozmowie będzie na niego czekał powóz przed klubem.

Jelliffe nie był członkiem klubu, choć bardzo tego pragnął. Władza w tym elitarnym gronie należała

do trzech dżentelmenów, którzy pragnęli z Jungiem porozmawiać. Oni właśnie kazali Jelliffe'owi go tutaj przyprowadzić.

- Proszę usiąść, doktorze Jung - zaprosił mężczyzna, który odprawił Jelliffe'a, wypielegnowaną dłonią wskazując wygodny fotel.

Jung starał się przypomnieć sobie nazwisko tego mężczyzny. Żadną miarą nie potrafił. Usłyszał dzisiaj tak wiele nazwisk, a ponadto nie przywykł do picia wina wczesnym popołudniem.

- Dana - odpowiedział mężczyzna. Jego ciemne brwi rzucały się w oczy na tle srebrnych włosów. - Nazywam się Charles Dana. Właśnie rozmawiałem o panu, Jung, z moim dobrym przyjacielem Ochsem z „Timesa”. Chce opublikować artykuł o panu.

- Artykuł? - zdziwił się Jung. - Nie rozumiem.

- W związku z wykładami, które dla pana zorganizowaliśmy w Fordham University. Ochs chce z panem przeprowadzić wywiad, do którego dołączy pana krótką biografię. Przeznaczamy na to dwie strony. A „Times” to gazeta dużego formatu. Stanie się pan sławny. Nie wiedziałem jednak, czy pan się zgodzi, więc mu obiecałem, że o to zapytam.

- Ależ ja... Ja nie...

- Jest tylko jedna przeszkoda. Ochs się obawia, że może pan być freudystą, a nie chce, żeby jego gazetę kojarzono z... No cóż, wie pan doskonale, co się mówi o Freudzie.

- Degenerat opętany seksem - wtrącił zażywny jegomość siedzący po jego prawej ręce i pogładził się po wielkich bokobrodach.

- Czy Freud wierzy w to wszystko? - zapytał trzeci z nich, łysiejący mężczyzna. - Czy on naprawdę sądzi, że każda dziewczyna chce go uwieść? Albo w to, co mówi o fekaliach?

Fekaliach, na litość boską! Jak można twierdzić, że każdy wyrafinowany mężczyzna chce uprawiać seks przez odbyty?!

- A te jego historie o małych chłopcach pragnących stosunku seksualnego z własnymi matkami? - dorzucił zażywny jegomość z bokobrodami, a jego twarz wyrażała bezmierne obrzydzenie.

- Gdzie w tym wszystkim jest Bóg? - zapytał Dana, ubijając tytoń w fajce. - Zapewne ciężko panu to wszystko znosić, Jung.

Nie mając pewności, o co idzie, Jung postanowił się nie odzywać.

- Znam pana, Jung - ciągnął Dana. - Wiem, kim pan jest. Szwajcarem. Chrześcijaninem. Naukowcem, podobnie jak my.

I człowiekiem z pasją, który potrafi realizować swoje pragnienia. Mężczyzną, który potrzebuje więcej niż jednej kobiety, żeby prawidłowo funkcjonować. Nie musi pan ukrywać tego przed nami. Ci tak zwani mężczyźni nie podejmują działań i pozwalają, by ich pragnienia zaogniały się jak rany, których ich ojcowie dorobili się na ulicznym handlu - oni zawsze czuli się gorsi od nas! Tylko oni byli zdolni

wymyślić tak nikczemne teorie, fantazując jak barbarzyńcy o sprowadzeniu Boga i ludzi do rynsztoka. Musi być panu ciężko, Jung, gdy pana nazwisko jest kojarzone z takimi ludźmi.

Jung z coraz większą trudnością rozumiał kierowane do niego słowa. Chyba uderzał mu do głowy alkohol. Ten dżentelmen niechybnie go znał. Ale skąd?

- Czasem jest mi z tym ciężko - odpowiedział, powoli wymawiając każde słowo.
- Nie jestem antysemitą. Może pan zapytać obecnego tu Sachsa - oświadczył Dana, wskazując mężczyznę z lewej strony. - Przeciwnie. Podziwiam Żydów. Ich sekret tkwi w czystości rasowej. O wiele lepiej od nas rozumieją, jak jest to ważne. Dzięki temu osiągnęli jako rasa znaczące sukcesy.
- Mężczyzna nazwany Sachsem siedział z kamienną twarzą, a zażywny jegomość tylko wyduł usta. Po chwili Dana ciągnął dalej: - Ale w niedzielę, kiedy patrzyłem na zakrwawionego Zbawcę i przypomniałem sobie, że ten wiedeński Żyd śmie twierdzić, iż nasza miłość do Zbawiciela ma podłoże seksualne, trudno mi było się modlić. Bardzo trudno. Wydaje mi się, że doświadczył pan podobnych trudności. Czy też może Freud wymaga od uczniów, by odeszli od Kościoła?
- Ja chodzę do kościoła - odparł niezręcznie Jung.
- Nie potrafię zrozumieć tego pędu do psychoterapii. Moim zdaniem wszystkie te kierunki, jak mesmeryzm, metoda doktora Quackenbosa...
- Doktor Quackenbos! - wtrącił pogardliwie ten z bokobrodami.
- .. eddyizm i psychoanaliza to nic innego, tylko sekty. Ale połowa kobiet w Ameryce domaga się tej szarlatanerii. Nie możemy pozwolić, żeby czerpały z zatrutej studni. Niech mi pan wierzy, będą piły ze studni pańskiej mądrości, gdy przeczytają o panu w „Timesie”. Krótko mówiąc, możemy uczynić z pana najśłynniejszego psychiatrę w Ameryce, Ochs jednak zareklamuje pana tylko pod warunkiem, że podczas wykładów w Fordham University jasno i wyraźnie powie pan, że nie pochwała freudowskich obscen i że się od niego odcina. Życzę panu miłego wieczoru, doktorze Jung.

Walenie do drzwi hotelowego apartamentu panny Acton nie ustawało, a gałka bez przerwy obracała się w tę i z powrotem. W końcu drzwi się otworzyły i do środka wpadło pięć osób, z których rozpoznałem trzy: burmistrza McClellana, detektywa Littlemore'a i Georgea Banwella. Towarzyszyli im kobieta i mężczyzna, po których na pierwszy rzut oka widać było duże pieniądze.

Mężczyzna dobiegał pięćdziesiątki. Był opalony tak bardzo, że schodziła mu skóra. Miał jasną karnację, spiczasty podbródek, rzednące na skroniach włosy i opatrunek z gazy, który niemal całkowicie zakrywał lewe oko. Bez trudu się domyśliłem, że jest ojcem panny Acton, choć długie nogi i ręce, tak piękne w jej sylwetce, u niego wyglądały raczej groteskowo, a delikatne rysy, dodające kobiecości córce, w jego wypadku raczej nasuwały na myśl brak zdecydowania. Kobieta, którą uznałem za matkę panny Acton, miała najwyżej metr pięćdziesiąt. Była grubsza od męża, miała ostry makijaż, nosiła mnóstwo biżuterii i pantofle na niebezpiecznie wysokim obcasie, zapewne żeby dodać sobie kilka centymetrów. Kiedyś mogła nawet być atrakcyjna. Właśnie ona odezwała się pierwsza:

- Noro! Biedna Noro! A to miałaś pecha. Cierpię katusze, odkąd usłyszałam tę okropną wiadomość. Jechaliśmy tu do ciebie przez wiele godzin. Harcourt! Masz zamiar tak stać?

Ojciec Nory przeprosił korpulentną damę, wyciągnął do niej rękę i podprowadził do krzesła, na które opadła z głośnym westchnieniem, mającym zapewne wyrażać zmęczenie. Burmistrz przedstawił mnie Actonowi i jego żonie Mildred. Okazało się, że kiedy wchodzili do hotelu, ktoś zatelefonował do recepcji ze skargą na hałasy, dobiegające z apartamentu panny Acton. Zapewniłem ich, że nic się nie stało, myśląc przy tym, że byłoby o wiele lepiej, gdyby kawałki porcelany z rozbitej filiżanki nie leżały pod ścianą. Chyba ich nie zauważyli, bo siedzieli do ściany tyłem.

- Wszystko będzie dobrze, Noro - zapewnił pan Acton.

- Burmistrz poinformował mnie właśnie, że nic się nie przedostało do prasy, Bogu dzięki!

- Że też ja cię posłuchałam, Noro! - lamentowała pani Acton. - Mówiłam przecież, że nie powinniśmy zostawiać cię samej w Nowym Jorku. Tak właśnie mówiłam, prawda, Harcourt? I widzisz, co się stało? Omal nie umarłam, gdy mi o tym doniesiono. Biggs! Gdzie ta Biggs się podziewa? Niech cię natychmiast spakuje. Musimy cię stąd zabrać, Noro. Jestem przekonana, że ten gwałcieł znajduje się właśnie tu, w hotelu. A mnie nigdy nie myli przecucie w takich sprawach. Gdy tylko tu weszłam, poczułam na sobie jego spojrzenie!

- Na sobie, moja droga? - zapytał Acton.

Nie mogę powiedzieć, żebym zaobserwował u panny Acton jakiegokolwiek ciepłe uczucia albo choćby ulgę, jakiej można by się spodziewać u młodej dziewczyny na widok rodziców po tak bardzo obfitującym w wydarzenia okresie rozłąki. Ale też nie obwiniam jej za to, zważywszy wszystkie słowa, które padły z ust rodziców. Dziwiło mnie jednak, że panna Acton nie odezwała się ani słowem. Kilka razy otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. Policzki jej się zaczerwieniły, a na twarzy pojawił wyraz złości. Pomyślałem, że dziewczyna ponownie straciła głos. Przypuszczenie okazało się błędne, ponieważ w końcu panna Acton cichym i zdecydowanym głosem powiedziała:

- Nie zostałam zgwałcona, mamo.

- Ależ, Noro! Nie wypada ci nawet takiego słowa wypowiadać! - skarcił ją ojciec.

- Skąd możesz wiedzieć, moje ty biedactwo! - biadoliła matka. - Przecież nie pamiętasz całego tego zajścia. Nie wiadomo więc, co się stało!

Był to doskonały moment, żeby panna Acton poinformowała, iż właśnie odzyskała pamięć. Ona jednak tego nie zrobiła.

- Zostanę w hotelu, żeby kontynuować leczenie - oświadczyła. - Nie chcę wracać do domu!

- Słyszałeś, Harcourt? - wykrzyknęła jej matka.

- W domu nie będę się czuła bezpiecznie - ciągnęła panna Acton. - Mężczyzna, który mnie napadł, może mnie tam obserwować. Tak pan przecież mówił w niedzielę, panie McClellan. Czyż nie?

- Dziewczyna ma rację - włączył się do rozmowy burmistrz. - W hotelu będzie znacznie bezpieczniejsza. Morderca nie ma pojęcia, że tu powinien jej szukać.

Wiedziałem, że to nieprawda, o czym świadczyła notka, którą panna Acton otrzymała na ulicy. Panna Acton też o tym wiedziała. Zauważyłem, jak po słowach burmistrza zaciska dłoń. Wystawał z niej róg kartki. Nie odezwała się jednak, tylko przeniosła wzrok z burmistrza na rodziców, jakby w oczekiwaniu na ich zgodę. Uświadomiłem sobie też, że panna Acton unika spojrzenia Banwella, który przyglądał jej się badawczo.

George Banwell patrzył na Norę z osobliwym wyrazem twarzy. Fizycznie górował nad pozostałymi. Był wyższy od wszystkich z wyjątkiem mnie i miał wydatny tors. Ciemne włosy zaczesał do tyłu i posmarował jakąś pomadą. Siwe pasemka na skroniach czyniły go jeszcze przystojniejszym. Nie spuszczał oczu z Nory. Może się to wydać niedorzeczne, ale odniosłem wrażenie, że patrzy na nią tak, jakby chciał jej zrobić krzywdę. Zapewne inny obserwator nie zgodziłby się z tą opinią, mnie jednak to właśnie przyszło do głowy. Odezwał się w końcu, choć głos nie zdradzał żadnych uczuć.

- Najlepiej będzie wywieźć Norę z miasta - zawyrokował; w jego głosie oprócz szorstkości dało się słyszeć prawdziwą troskę. - Może do mojej wiejskiej rezydencji? Clara może ją tam zabrać.
- Wolę zostać tutaj - oświadczyła Nora ze wzrokiem wbitym w podłogę.
- Naprawdę? Twoja matka uważa, że morderca znajduje się w tym hotelu - przekonywał Banwell. - Skąd więc możesz mieć pewność, że cię nie obserwuje, choćby i w tej chwili?

Twarz panny Acton poczerwieniała. Zauważyłem, że gdy Banwell zwracał się do niej, była napięta jak struna. Przyszło mi do głowy, że się go obawia.

Oświadczyłem, że wychodzę. Panna Acton spojrzała na mnie z przestrawieniem. Złapawszy jej spojrzenie, wykonałem gest, jakbym właśnie coś sobie przypomniał.

- A właśnie! Recepta, panno Acton. Na środek uspokajający, o którym wspomniałem. Zaraz ją wypiszę - powiedziałem, sięgając do kieszeni. Wyjąłem z kieszeni bloczek, szybko wypełniłem i podałem dziewczynie. Na recepcie napisałem: „Czy to Banwell?”.

Panna Acton przeczytała i potwierdziła skinieniem głowy. Delikatnie, ale wystarczająco jednoznacznie.

- Proszę dać tę receptę mnie - powiedział Banwell, przyglądając mi się spomiędzy zmrużonych powiek. - Mój stangret może przecież natychmiast pojechać do apteki.
- Doskonale - odparłem. Od panny Acton odebrałem zarówno receptę, jak i anonimową notkę, którą dostała na ulicy. Wręczyłem mu tę ostatnią. - Zobaczmy, czy pański stangret potrafi sobie z tym poradzić.

Banwell przeczytał widniejące na niej ostrzeżenie. Oczekiwałem, że zgniecie kartkę w dłoni i rzuci mi groźne spojrzenie, ujawniając się tym samym niczym przestępca w tanim romansie. Niczego takiego nie zrobił.

- Co to jest, do diabła? Trzymaj język za zębami? Lepiej niech się pan wytłumaczy, młody człowieku!
- To ostrzeżenie, które dziś rano wręczono pannie Acton na ulicy - powiedziałem. - I wie pan o tym

doskonale, bo sam je pan napisał, panie Banwell. - Zapadła pełna osłupienia cisza. - Panie burmistrzu, panie Littlemore! Oto przestępca, którego szukacie. Panna Acton przypomniła sobie przebieg całego zajścia dosłownie kilka minut przez waszym przybyciem. Sądzę, że należy go natychmiast aresztować.

- Jak pan śmie?
- Kim jest ten... ten osobnik? - zapytała Mildred Acton, wskazując na mnie. - Skąd on się wziął?
- Czy zdaje pan sobie sprawę, jak poważną rzeczą jest fałszywe oskarżenie? - powiedział McClellan spokojnie. - Niech pan je wycofa. Jeśli tak właśnie powiedziała panna Acton, to najwyraźniej pamięć płata jej jakieś figle.
- Panie burmistrzu! Chciałbym... - zaczął Littlemore.
- Nie teraz, Littlemore. Proszę wycofać swoje oskarżenie, doktorze Younger, przeprosić pana Banwella i wyjaśnić nam, co panu właściwie powiedziała panna Acton.
- Ale, panie burmistrzu... - zaczął ponownie detektyw.
- Littlemore! - warknął McClellan z taką wściekłością, że Littlemore aż cofnął się o krok. - Nie słyszał pan, co mówiłem?
- Nie rozumiem, panie burmistrzu - wtrąciłem się. - Czegoś tu nie rozumiem. Właśnie przekazałem panu informację, że panna Acton przypomniła sobie całe zajście i rozpoznała w panu Banwellu napastnika. Pański detektyw też chyba ma do powiedzenia coś, co potwierdzi jej słowa.
- Mamy na to tylko pańskie słowo, doktorze, jeśli naprawdę nim pan jest - odezwał się Banwell i spojrzał ostro na pannę Acton. Wydawało mi się, że z najwyższym trudem hamuje wzburzenie. - Noro! Wiesz doskonale, że nie zrobiłem ci niczego złego. Powiedz im to, Noro!
- No właśnie, Noro - wtrąciła jej matka. - Powiedz temu młodemu człowiekowi, że się myli.
- Noro, kochanie? - rzucił ojciec.
- Niczego mu nie będę mówiła - oświadczyła panna Acton i nie odezwała się więcej.
- Panie burmistrzu! Nie mogę pozwolić, by panna Acton była przesłuchiwana przez człowieka, który zaatakował ją i zamordował wcześniej inną dziewczynę! - oświadczyłem.
- Jestem przekonany, że kierują panem najlepsze intencje, Younger - odpowiedział burmistrz. - Ale jest pan w błędzie. George Banwell był razem ze mną tej nocy, kiedy zamordowano Elizabeth Riverford. Był ze mną. Słyszysz pan? Ze mną. Spotkaliśmy się w niedzielę wieczorem, spędziliśmy razem niedzielną noc i poniedziałkowy poranek. Czteryście kilometrów od Nowego Jorku. Nie mógł w tym czasie nikogo zabić.

Kłęby dymu unosiły się pod sufitem biblioteki. Po wyjściu Junga służący zabrał kieliszki, wymienił popielniczki i natychmiast wyszedł.

- Mamy go? - zapytał łysiejący mężczyzna nazwiskiem Sachs.
- Na pewno - odpowiedział Dana. - Jest nawet słabszy, niż myślałem. Zresztą mamy więcej niż trzeba dowodów, żeby go w każdej chwili zniszczyć. Czy Ochs dostał twoje uwagi, Allenie?
- Naturalnie - odpowiedział zażywny jegomość o grubych ustach i z wielkimi bokobrodami. - Opublikuje je tego samego dnia, w którym ukaże się wywiad ze Szwajcarem.
- A Matteawan? - zapytał Sachs.
- Zostawcie to mnie - powiedział Dana. - Teraz trzeba zablokować im inne możliwości rozpowszechniania informacji. Tym także się zajmę jutro.

Mimo oświadczenia burmistrza, które stanowiło niepodważalne alibi, nie uwierzyłem w niewinność Banwella. Oczywiście - subiektywnie. Bo obiektywnie nie miałem powodu nie wierzyć ani podejmować protestów.

Nora odmówiła powrotu do domu. Ojciec ją błagał, żeby zmieniła zdanie, a matka oburzała się na ten, jak to nazwała, dziewczęcy upór. Problem rozstrzygnął burmistrz. Uznał, że hotel przestał być bezpieczny, skoro pana Acton dostała ostrzeżenie. Dodał, że przecież dom Actonów można ochraniać, i to nawet lepiej niż ogromny hotel, bo ma tylko dwa wejścia, a on może przed każdym postawić policjanta, który będzie go pilnował dzień i noc. Przypomniał też pannie Acton, że ciągle jeszcze jest nieletnia, według prawa on musi więc postąpić zgodnie z życzeniem jej ojca, nawet jeśli stoi ono w sprzeczności z jej wolą.

Myślałem, że panna Acton wybuchnie. Ale nie. Poddąła się, pod warunkiem wszakże, że wolno jej będzie kontynuować terapię.

- To ważne zwłaszcza teraz, kiedy wiem, że mojej pamięci nie można ufać - dodała.

Wydawało się, że mówi szczerze i z przekonaniem. Tylko trudno mi było stwierdzić, czy tymi słowami kwestionuje wiarygodność własnej pamięci, czy też gani tych, którzy nie dawali jej wiary.

Nie spojrzała już na mnie ani razu. Milcząca podróż windą była nieznośna, panna Acton jednak zniosła ją z godnością w przeciwieństwie do własnej matki, która wszystko zdawała się przyjmować jako afront skierowany przeciwko sobie. Ustaliliśmy, że następna sesja terapeutyczna odbędzie się rano w rezydencji przy Gramercy Park, po czym Actonowie wsiedli do samochodu. Burmistrz uczynił to samo, Banwell natomiast rzucił mi jeszcze ostatnie spojrzenie, którego z pewnością nie nazwałbym życzliwym, i wskoczył do powozu, zostawiając detektywa Littlemorea ze mną na chodniku.

- Powiedziała panu, że to Banwell? - zapytał detektyw.
- Tak - odparłem.
- A pan jej wierzy, prawda?
- Wierzę.
- Chciałbym pana o coś zapytać. Powiedzmy, że dziewczyna traci pamięć. Całkiem. Później nagle

pamięć jej wraca. Czy można się na takiej pamięci opierać? Postawić na nią wszystkie pieniądze?

- Nie, nie można - odpowiedziałem. - Może to być fantazja, którą pacjentka bierze za odzyskaną pamięć.

- Ale pan jej wierzy?

-Tak.

- Co więc teraz, doktorze?

- Nie wiem, co teraz. Za to chciałbym zadać pytanie panu, detektywie. Co chciał pan powiedzieć burmistrzowi, kiedy byliśmy na górze?

- Chciałem mu przypomnieć, że także koroner Hugel, który nadzoruje śledztwo w tej sprawie, uważał, iż mordercą jest Banwell.

- Uważał? - zainteresowałem się. - Czyli już zmienił zdanie?

- Musi zmienić zdanie po tym, co powiedział burmistrz - wyjaśnił mi Littlemore.

- A czy możemy brać pod uwagę, że Banwell napadł na pannę Acton, a tę drugą dziewczynę zamordował ktoś inny?

- Nie - stwierdził detektyw. - Mamy dowody. W obydwu wypadkach był to ten sam człowiek.

Wróciłem do hotelu, pozbawiony pewności siebie i niepewny swojej pacjentki, nie bardzo wiedząc, co sądzić o całej tej sytuacji. Czy to możliwe, że McClellan daje Banwellowi fałszywe alibi? Czy Nora będzie w domu bezpieczna? Pogrążony w myślach ledwie usłyszałem, że mnie przyzywa recepcjonista. Miał dla mnie list, który właśnie dostarczono. Był to list od G. Stanleya Halla, rektora Clark University. List długi i niepokojący.

Prosto przed hotelu Manhattan detektyw Littlemore poszedł na postój taksówek.

Od starego woźnicy, z którym rozmawiał poprzedniego dnia wieczorem, dowiedział się, że po wyjściu z jego dorożki ciemnowłosa mężczyzna wszedł do jednej z czerwono-zielonych taksówek przed hotelem Manhattan. Ta informacja była dla detektywa bardzo ważna. Zaledwie dekadę wcześniej po Manhattanie jeździły tylko powozy konne. W 1900 roku po mieście kursowało sto taksówek napędzanych silnikiem elektrycznym. Taksówki elektryczne zyskały dużą popularność. Wążący ponad trzysta sześćdziesiąt kilogramów akumulator bardzo je obciążał i czasem się zdarzało, że na stromych podjazdach (nieczęsto, ale jednak pojawiających się w Nowym Jorku) pasażerowie musieli wysiadać i pchać auto, które inaczej nie pokonałoby wzniesienia. W 1907 roku firma New York Taxicab Company wypuściła na ulice pierwszą flotę taksówek z silnikiem spalinowym, wyposażonych w taksometry. Taksówki te natychmiast stały się przebojem, oczywiście dla bogatych nowojorczyków, ponieważ tylko ich było stać na zapłacenie prawie pięćdziesięciu centów za kilometr. Szybko jednak zaczęły wypierać z miasta taksówki elektryczne i powozy konne zarazem. Wyróżniały się na ulicy właśnie dzięki czerwono-zielonym barwom.

Na postoju przed hotelem Manhattan stało kilka takich taksówek. Kierowcy poradzili Littlemoreowi,

żeby popytał w zajezdni na Pięćdziesiątej Siódmej, między alejami Dwunastą a Jedenastą; tam mieściła się siedziba New York Taxicab i powinien bez trudu ustalić, kto w niedzielę pracował na nocnej zmianie. Detektywowi dopisało szczęście. Dwie godziny później znalazł odpowiedź na swoje pytania. Wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę zabrał sprzed hotelu Manhattan tuż po północy kierowca nazwiskiem Luria. Pamiętał dokładnie ten kurs, ponieważ pasażer nie wyszedł z hotelu, tylko przesiadł się z dorożki. Kazał się wieźć na Czterdziestą do prywatnego domu. Detektyw udał się więc do owego domu i tam szczęście przestało mu sprzyjać.

Dwupiętrowy budynek stał tuż za Broadwayem. Na drzwiach wejściowych wisiała jarmarczna kołatka, a w oknach grube czerwone zasłony. Littlemore musiał stukać pięć albo sześć razy, zanim otworzyła mu atrakcyjna młoda kobieta. Jak na wczesne popołudnie dziewczyna była ubrana nad wyraz skąpo. Kiedy powiedział, że jest policyjnym detektywem, przewróciła oczami i kazała mu poczekać.

Po chwili znalazł się w salonie; podłogi wyłożone były grubymi wschodnimi dywanami, a ściany zdobiła oślepiająca kolekcja luster. Meble obito fioletowym welurem. Spomiędzy grubych fałdów kurtyn dobywał się odór dymu tytoniowego i alkoholu. Na piętrze płakało jakieś dziecko. Po mniej więcej pięciu minutach po wyłożonym czerwonym dywanem schodach zeszła do niego starsza, dość gruba kobieta w bordowej sukni i w nieproporcjonalnie wielkim kapeluszu na głowie.

- Wy to macie czelność! - oświadczyła gruba dama, po czym przedstawiła się jako Susan Merrill, panna Susan Merrill. Z ukrytego za lustrem sejfu w ścianie wyjęła metalową kasetkę, którą otworzyła małym kluczykiem. Odliczyła pięćdziesiąt dolarów. - Masz. I wynoś się, bo jestem już spóźniona.

- Nie chcę od pani pieniędzy! - odparł Littlemore.

- Och, tylko nie to! Mam was wszystkich szczerze dosyć! Greta! Wracaj tu zaraz - krzyknęła. Niekompletnie ubrana dziewczyna leniwie weszła do salonu, ziewając. Był kwadrans po trzeciej, ale mimo późnego popołudnia Littlemore wyrwał ją ze snu. - Detektyw nie chce pieniędzy, Greto. Zabierz go do zielonego pokoju - poleciła, po czym odwróciła się do Littlemore'a. - Tylko niech się pan pospieszy!

- Też nie po to tu przyszedłem, panno Merrill - oświadczył detektyw. - Chcę tylko zadać pani jedno pytanie. W niedzielę nocą zjawił się tutaj pewien mężczyzna. Muszę go odnaleźć.

Kobieta spojrzała na Littlemore'a podejrzliwie.

- Ach, tak? Teraz będziecie się dobierać do moich klientów? Z nich też chcecie wydusić trochę kasy?

- Chyba dotychczas kontaktowała się pani ze złymi policjantami.

- A są jacyś inni?

- W niedzielę wieczorem zabito dziewczynę. Morderca bił ją pejcem, związał i pociął, a w końcu udusił. Chcę dopaść tego typu. Nic więcej.

Panna Merrill owinęła sobie wokół szyi burgundowy szal, odłożyła pieniądze z powrotem do kasetki i zamknęła na klucz.

- Dziewczyna pracowała na ulicy?
- Nie. Była bogata. Naprawdę bogata. Miała apartament w modnej rezydencji w samym centrum miasta.
- No cóż! Szkoda dziewczyny. Tylko co to ma wspólnego ze mną?
- W niedzielę wieczorem był tutaj mężczyzna, którego podejrzewamy, że jest mordercą - wyjaśnił Littlemore.
- Czy wie pan, detektywie, ilu mężczyzn przychodzi tutaj w niedzielę wieczorem?
- Ten był sam. Wysoki, ciemne włosy, praworęczny. Miał ze sobą ciemną torbę.
- Greta, pamiętasz kogoś takiego?
- Niech pomyślę... Nie. Nikogo - odpowiedziała sennie dziewczyna.
- Co więcej chce pan ode mnie? Słyszał pan przecież, co powiedziała Greta.
- Ale ten mężczyzna tu był, panno Merrill. Z taksówki wysiadł tuż przed pani drzwiami.
- Wysiadł tutaj z taksówki? To nie znaczy, że wszedł. To nie jest jedyny dom przy tej ulicy.

Littlemore wolno pokiwał głową. Nie mógł się jednak pozbyć wrażenia, że Greta jest zbyt zblazowana, a pannie Merrill trochę za bardzo zależy na tym, żeby sobie poszedł.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Powiedziała, żebym ją pocałował!

Szedłem Czterdziestą Drugą i widziałem jedynie rozchylone usta Nory Acton. Na palcach ciągle czułem jedwabistą skórę jej szyi. W uszach dźwięczały mi słowa, które domagały się pocałunku.

W kieszeni miałem list, w którym rektor Hall przekazywał mi bardzo niepokojące wieści. Powiniennem zastanawiać się teraz tylko nad jednym: jak zapobiec nie tylko kompromitacji podczas przyszlotygodniowej konferencji w Clark University, ale też zrujnowaniu reputacji Freuda, przynajmniej w Ameryce. Potrafiłem jednak myśleć tylko o rozchylonych wargach i zamkniętych oczach panny Acton.

Nie próbowałem się oszukiwać. Wiedziałem, czym są jej uczucia do mnie. Wiele razy wcześniej widywałem podobne reakcje. Jedna z moich pacjentek w Worcester, Rachel, uparła się i rozbierała do pasa podczas każdej wizyty w moim gabinecie. Za każdym razem podawała jakiś inny powód: a to nierówne bicie serca, a to podejrzenie, że złamała żebro, a to pulsujący ból pod łopatką. Rachel była tylko jedną z wielu. W żadnym z tych przypadków nie musiałem radzić sobie z pokusą, ponieważ pokusy nie odczuwałem. Wręcz przeciwnie: próby uwiedzenia mnie przez pacjentki były dla mnie makabrycznym doświadczeniem.

Wątpię, czy budziłoby we mnie nieprzyjemne odczucia zachowanie pacjentek, gdyby były bardziej atrakcyjne. Nie jestem wzorem cnót wszelakich. Ale kobiety te atrakcyjne nie były. Niemal każda miała tyle lat, że mogłaby być moją matką. Ich pożądanie budziło we mnie odrazę. Rachel stanowiła wyjątek: długie nogi, ciemne oczy - piękne, choć osadzone trochę za blisko siebie, i figura, którą można by nazwać nie tylko dobrą, nawet więcej niż dobrą. Była jednak neurotycznie agresywna, co nigdy mnie nie pociągało.

Wyobrażałem sobie, że moimi pacjentkami są kobiety znacznie piękniejsze. Wyobrażałem sobie, że w moim gabinecie dochodzi do zdarzeń nienadających się do opisanego, choć przecież niewykluczonych. Złapałem się na tym, że zacząłem oceniać urodę pacjentek, gdy po raz pierwszy zjawiły się w moim gabinecie, szukając porady. W rezultacie zacząłem czuć do siebie wstręt i zastanawiałem się, czy powinienem nadal praktykować jako psychoanalityk. Przez całe lato nie przyjąłem żadnej nowej pacjentki - do dnia, kiedy pojawiła się panna Acton.

A teraz ona poprosiła, żebym ją pocałował. Nie próbowałem przed sobą ukrywać, co chciałem z nią zrobić. Nigdy nie odczuwałem tak wielkiej ochoty, by zniewolić kobietę, nigdy nie czułem tak przemożnej chęci posiadania. Szczerze wątpiłem, że to skutek przeniesienia w relacjach z pacjentką. Bo żądza ta pojawiła się we mnie w chwili, gdy pierwszy raz ujrzałem pannę Acton. Ona natomiast postrzegła naszą relację zupełnie inaczej. Jeszcze nie wróciła do siebie po urazie wywołanym atakiem. Co więcej, doświadczała przeniesienia o wyjątkowo wielkiej sile.

Na wszelkie możliwe sposoby okazywała, że mnie nie lubi, aż do chwili, kiedy poczuła, że tłumione wspomnienia wracają uwolnione dzięki uciskowi na jej szyję. W tamtej chwili stałem się dla niej czymś w rodzaju mędrca i mistrza. Przedtem określenie „niechęć” byłoby zbyt łagodne. Panna Acton mnie nienawidziła, co zresztą wprost oświadczyła. Po odzyskaniu pamięci zapragnęła oddać mi się

cała - albo przynajmniej tak jej się zdawało. Było bowiem oczywiste, jak dwa a dwa równa się cztery, że miłość, którą czuła, jeśli oczywiście uczucie to można w ogóle nazwać miłością, to artefakt, fikcja stworzona z powodu intensywności kontaktu terapeutycznego.

Nie pamiętam, kiedy minąłem Piątą, Szóstą, a potem Siódmą Aleję, w każdym razie nagle znalazłem się na Times Square. Poszedłem do ogródka na dachu Hemmerstein Victoria, by dołączyć do Freuda i reszty towarzystwa oraz zjeść z nimi lunch. Na dachu Victorii znajdował się prawdziwy teatr ze sceną, widownią, lożami i zadaszeniem, umieszczonym dobre piętnaście metrów nad głowami publiczności. Właśnie odbywał się pokaz tańca na linie. W wiązanej pod szyją czapeczce, błękitnej jak niebo sukience i niebieskich pończochach Francuzka balansowała na linie, w utrzymaniu równowagi pomagając sobie parasolką. Ilekroć wysuwała ją na boki, elegancko ubrane panie na widowni aż popiskiwały z przerażenia. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego publiczność zawsze reaguje w taki sposób. Przecież nikt chyba nie wątpi, że tancerze na linie tylko udają, że grozi im niebezpieczeństwo.

Nie dostrzegłem nigdzie moich towarzyszy. Przyszedłem spóźniony i zapewne już stąd wyszli. Udałem się w kierunku mieszkania Brilla przy Central Park West, wiedząc, że również i oni w końcu tam dotrą. Nikt nie odpowiedział na dzwonek, przeszedłem więc przez ulicę i usiadłem na ławce, zwrócony plecami do Central Parku. Wyjąłem z kieszeni list rektora Halla. Przeczytałem go kilka razy, po czym odłożyłem i zabrałem się do przyjemniejszych rozmyślań. Nie muszę chyba dodawać, o czym.

- Masz je? - dopytywał się Hugel niecierpliwie, ponagłając Louisa Riviere'a, szefa laboratorium fotograficznego w komendzie policji.
- Właśnie kończę - odpowiedział Riviere znad zlewu w ciemni.
- Ale przecież płytki zostawiłem ci o siódmej rano! - emocjonował się Hugel. - Już dawno powinny być gotowe!
- Uspokój się, proszę - powiedział Riviere, zapalając światło. - Wejdz. Już możesz je obejrzeć.

Hugel wszedł do ciemni i rzucił się na fotografię w nerwowym podnieceniu. Przeglądał jedną po drugiej, odkładając na bok te, które go nie interesowały. Nad fotografią, na której było zbliżenie szyi dziewczyny, zatrzymał się dłużej. Widać było wyraźny okrągły ślad na skórze.

- Co to jest, tutaj na szyi? - zapytał.
- Siniak? - zasugerował Riviere niepewnie.
- Zwyczajny siniak nie byłby tak idealnie okrągły - stwierdził koroner, zdejmując okulary i przystawiając sobie fotografię tuż przed oczy. Na niemal białej szyi wyraźnie widać było okrągły ślad o nierównym zabarwieniu. - Gdzie masz szkło powiększające, Louis?

Riviere wyjął z szuflady coś, co wyglądało jak luneta strzelecka. Hugel wyrwał mu przyrząd z rąk i umieścił na zdjęciu w miejscu dziwnego śladu na szyi ofiary.

- Mam go! Mam go! - krzyknął znad szkła powiększającego.

Spoza ciemni dobiegł głos detektywa Littlemorea.

- Co się stało, panie Hugel?
- Littlemore! Doskonale, że pan tu jest - ucieszył się Hugel.
- Przecież sam mi pan kazał przyjść, panie Hugel.
- Tak, kazałem. I za chwilę przekona się pan, dlaczego
- oświadczył koroner, gestem zapraszając detektywa, by spojrzeć na fotografię przez szkło powiększające Riviere'a. Detektyw się nachylił. Pod szkłem powiększającym niewyraźne ślady w sinym okręgu stawały się bardziej czytelne.
- To wygląda na litery - powiedział Littlemore.
- Bo to są litery - oświadczył triumfalnie koroner. - Dwie litery.
- Ale te litery są jakieś dziwne. Druga wygląda trochę jak J. A pierwszej nie potrafię odczytać.
- Wyglądają dziwnie, bo są lustrzanym odbiciem, panie Littlemore - wyjaśnił koroner i zwrócił się do Riviere'a.
- Louis, wyjaśnij detektywowi, dlaczego litery widać odwrotnie.

Riviere pochylił się nad szkłem powiększającym.

- Już widzę - powiedział. - Dwie nachodzące na siebie litery. Jeśli są odwrócone, ta po prawej to nie J, jak powiedział monsieur Littlemore, tylko G.
- Otóż to - potwierdził koroner.
- Ale dlaczego odwrócone? - dziwił się Riviere.
- Ponieważ, panowie, to zostawiony na szyi dziewczyny odcisk szpilki do krawata mordercy - oświadczył Hugel, po czym zrobił dramatyczną pauzę. - Proszę sobie przypomnieć! Morderca zadusił ofiarę własnym jedwabnym krawatem. Oczywiście, był wystarczająco sprytny, by usunąć narzędzie zbrodni z sypialni panny Riverford. Ale popełnił jeden błąd. Gdy dokonywał zbrodni, w krawat wpięta była spinka z jego monogramem. Kiedy dusił ofiarę, spinka ta dotykała delikatnej skóry na jej szyi. Wskutek silnego i długotrwałego nacisku monogram wrył się w ciało, podobnie jak zbyt ciasna obrączka wpija się w palec. Odcisk, panowie, jest więc identyfikatorem mordercy, ponieważ odkrywa jego inicjały. To tak, jakby zostawił nam swoją wizytówkę, a właściwie jej odbicie w lustrze. Litera z prawej strony to odwrócone G, ponieważ to pierwszy z inicjałów mężczyzny, który zabił Elizabeth Riverford. Litera z lewej strony to odwrócone B, ponieważ imię i nazwisko tego mężczyzny brzmi George Banwell. Teraz wiemy, dlaczego musiał wykraść ciało dziewczyny z kostnicy. Zauważył charakterystyczny ślad na szyi dziewczyny i wiedział, że w końcu odgadną jego znaczenie. Nie mógł jednak przypuszczać, że kradzież zwłok na nic się nie zda, a to z powodu tej fotografii!
- Panie Hugel - odezwał się Littlemore.

Koroner westchnął ciężko.

- Czy mam to wyjaśnić jeszcze raz? - zapytał.
- Banwell tego nie zrobił, panie Hugel - powiedział detektyw. - Ma alibi.
- Niemożliwe - oburzył się koroner. - Jego apartament znajduje się na tym samym piętrze w tym samym budynku. Morderstwo popełniono między północą a drugą nad ranem w niedzielę. Do tej godziny Banwell na pewno wrócił do siebie, nawet jeśli wychodził na jakieś spotkanie.
- Ma alibi - powtórzył Littlemore. - I to nie byle jakie. Przez całą sobotnią noc do poniedziałku rano był za poza miastem.
- Co takiego?
- Jest też błąd w pańskim wywodzie, panie Hugel - wtrącił Riviere. - Mam większe doświadczenie z fotografiami. Wykonywał je pan sam, prawda?
- Tak - odparł koroner. - A dlaczego pytasz?
- To ferrotypy. Stara technologia. Ma pan szczęście, że trzymam w laboratorium siarczan żelaza. Otrzymany obraz różni się od rzeczywistości: prawa strona jest po lewej, a lewa po prawej.
- Co takiego? - zapytał raz jeszcze Hugel.
- Obraz jest odwrócony. Jeśli więc ślad na szyi dziewczyny jest odwróceniem prawdziwego monogramu, fotografia jest odwróceniem odwrócenia.
- Podwójne odwrócenie? - upewniał się koroner.
- Podwójny negatyw - potwierdził Riviere. - A podwójny negatyw jest pozytywem. Znaczy to, że na zdjęciu widzimy monogram tak, jak wygląda on w rzeczywistości, a nie jego lustrzane odbicie.
- Niemożliwe - stwierdził Hugel tonem, w którym słychać było urazę raczej niż niedowierzenie. Wyglądał, jakby Riviere i Littlemore chcieli mu odebrać coś bardzo cennego.
- A jednak to prawda, panie Hugel. Ponad wszelką wątpliwość - oświadczył Riviere.
- A więc to rzeczywiście jest J - odezwał się Littlemore.
- Facet nazywa się na przykład Johnson. Tylko jaka jest pierwsza litera?

Riviere po raz kolejny pochylił się nad szkłem powiększającym.

- To w ogóle nie wygląda jak litera... Możliwe, że to E... ale nie. To może być równie dobrze C.
- Charles Johnson.

Koroner stał dalej w miejscu, powtarzając półgłosem:

- To niemożliwe!

W końcu pod budynek, w którym mieszkał Brill, podjechała taksówka, z której wysiadło czterech mężczyzn: Freud, Brill, Ferenczi i Jones. Okazało się, że po lunchu wybrali się do kina na film o policjantach i złodziejach, pełen szalonych pościgów i wartkiej akcji. Ferenczi ciągle o nim opowiadał. Od Brilla się dowiedziałem, że podczas seansu zaferowany Węgier wyskoczył ze swojego fotela, kiedy na ekranie pojawiła się lokomotywa pędem zbliżająca się w kierunku widowni. Był w kinie po raz pierwszy w życiu.

Freud zaproponował, żebym wybrał się z nim na spacer po parku i zdał mu relację z postępów w pracy z panną Acton. Odpowiedziałem, że z przyjemnością bym to uczynił, ale musimy porozmawiać o czymś innym, ponieważ otrzymałem list z niemiłymi raczej wiadomościami.

- Nie ty jeden, Younger - powiedział Brill. - Dzisiaj rano Jones otrzymał telegram od Mortona Prince'a z Bostonu. Prince został wczoraj aresztowany.

- Doktor Prince? - dopytywałem się zszokowany.

- Zarzut nieprzystojnego zachowania - wyjaśnił Brill.

- A tym nieprzystojnym zachowaniem miały być dwa artykuły opisujące wyleczenie przypadków hysterii metodą psychoanalizy.

- Nie martwiłbym się o Prince'a - wtrącił Jones. - Swego czasu był burmistrzem Bostonu. Choćby dlatego nic złego mu się nie stanie.

Burmistrzem Bostonu był nie Morton Prince, tylko jego ojciec. Ale Jones powiedział to z taką pewnością, że nie chciałem zbijać go z pantafyku. Zamiast więc kwestię korygować, wyraziłem zdziwienie z innego powodu.

- Skąd policja mogła wiedzieć, co Prince ma zamiar opublikować? - zapytałem.

- Też się nad tym zastanawiamy - stwierdził Ferenczi.

- Nigdy nie wierzyłem Sidsowi - dorzucił Brill. Sids był lekarzem i zasiadał w Komitecie redakcyjnym pisma Prince'a. - Ale musimy też pamiętać, że to Boston. Tam aresztowaliby kanapkę z piersią kurczaka, gdyby nie była szczelnie zapakowana. Przecież właśnie w Bostonie do aresztu trafiła ta australijska pływaczka, jak jej tam, Kellerman, ponieważ startowała w stroju kąpielowym, który nie zakrywał kolan.

- Obawiam się, że moje wiadomości są znacznie gorsze, panowie - stwierdziłem. - I dotyczą osobiście profesora Freuda. Przyszłotygodniowe wykłady stanęły pod znakiem zapytania. Profesora zaatakowano w Worcester, to znaczy zaatakowano jego pisma. Bardzo mi przykro, że jestem posłańcem przynoszącym tak złe wieści.

Streściłem list rektora Halla, nie wchodząc w szczegóły, a więc z pominięciem obrzydliwych zarzutów wysuwanych przeciwko Freudowi. Wczoraj spotkał się z rektorem agent reprezentujący bajecznie bogatą rodzinę z Nowego Jorku i zaproponował mu darowiznę na rzecz Clark University, którą Hall określił jako „wyjątkowo szczodra”. Nic dziwnego: rodzina gotowa była ufundować szpital chorób psychicznych i nerwowych na pięćdziesiąt łóżek. Pokrywali nie tylko koszty wzniesienia

budynku, ale też zakupu najnowocześniejszego sprzętu medycznego oraz pensje personelu, to znaczy pielęgniarek i lekarzy, dość duże, by przyciągnąć najlepszych neurologów z Nowego Jorku i Bostonu.

- Ależ to co najmniej pół miliona dolarów! - wykrzyknął Brill.
- Dużo więcej - odparłem. - Dzięki tej inwestycji natychmiast stalibyśmy się najnowocześniejszą placówką psychiatryczną w całej Ameryce. Prześcignęlibyśmy nawet McLean Institute.
- Co to za rodzina?
- Tego Hall nie napisał - odpowiedziałem Brillowi.
- Ale czy jest dozwolone, żeby osoba prywatna dawała pieniądze państwowemu uniwersytetowi? - dziwił się Fe-rencki.
- Nazywamy to filantropią - wyjaśnił Brill. - Dlatego właśnie amerykańskie uniwersytety są tak bogate. I właśnie dlatego niebawem prześcigną najlepsze uczelnie z Europy.
- Brednie! - wykrzyknął Jones. - To się nie stanie nigdy!
- Niech pan kontynuuje swoją opowieść, Younger. W tym, co pan nam przekazał, dotychczas nie zauważyłem niczego złego - rzucił Freud.
- Rodzina postawiła dwa warunki - ciągnąłem. - Jeden z jej członków jest ponoć lekarzem i ma własne poglądy na temat psychologii. Po pierwsze, zażądali, żeby psychoanalizy nie uczono ani nie praktykowano w nowym szpitalu ani na terenie Clark University w ogóle. Po drugie, żądają odwołania przyszłotygodniowych wykładów profesora Freuda. Jeśli warunki te nie zostaną spełnione, darowizna powędruje do jednego ze szpitali w Nowym Jorku.

Wydawali najróżniejsze okrzyki, od zdziwienia przez oburzenie aż po całkowite potępienie. Tylko Freud pozostał niewzruszony.

- Co ma zamiar zrobić rektor Hall? - zapytał.
- Niestety, to jeszcze nie wszystko. Najgorsze dopiero przed nami - powiedziałem. - Rektor Hall otrzymał także dossier profesora Freuda.
- No, powiedzże wreszcie, na Boga! - ponaglił mnie Brill.
- Przestań się z nami bawić w kotka i myszkę!

Wyjaśniłem, że dossier dokumentowało przypadki lubieżnego, a nawet przestępczego zachowania Freuda. Ponadto poinformowano rektora Halla, że prasa nowojorska niebawem doniesie o tym, jak źle prowadzi się Freud, dla dobra uniwersytetu więc rektor powinien odwołać jego wykłady.

- Rektor Hall nie przesłał mi samego dossier, ale w liście podsumował stawiane panu zarzuty, profesorze - zakończyłem. - Może więc przekażę panu ten list, zwłaszcza że rektor wyraźnie zaznaczył, iż ma pan pełne prawo wiedzieć o wszystkim, co się na pański temat mówi.

- Cóż za szlachetny gest z jego strony - ironizował Brill.

Nie wiem dlaczego, ale czułem się osobiście odpowiedzialny za nadchodząca katastrofę. Może dlatego, że to mnie właśnie przyszło przekazywać profesorowi list rektora Halla, czułem się tak, jakbym osobiście zaprosił Freuda do Clark University tylko po to, żeby go zniszczyć. Mój niepokój budziła nie tylko troska o dobro Freuda. Miałem też swoje egoistyczne powody, dla których nie chciałem widzieć upadku człowieka, na którego autorytecie zbudowałem tak wiele własnych przekonań, na którym oparłem sporą część mojego własnego życia. Na przekór prawdzie, że nikt z nas nie jest święty, przed laty doszedłem do przekonania, że Freud jest inny niż my wszyscy. Wyobrażałem sobie, że ma (w odróżnieniu ode mnie) siłę, która pozwala mu unikać zwyczajnych pokus i odrzucać niskie instynkty. Żywiłem nadzieję, że oskarżenia przedstawione w liście Halla są bezpodstawne. Jednakże zarzuty dotyczyły takich szczegółów, że trudno było oprzeć się wrażeniu, iż są prawdziwe.

- Nie widzę powodu, żeby czytać ten list na osobności

- powiedział Freud. - Niech pan nas poinformuje, Younger, co w nim napisano. Nie mam tajemnic przed przyjaciółmi.

Zacząłem od najłżejszego zarzutu.

- Podobno nie ma pan ślubu z kobietą, z którą żyje od lat, choć przedstawia ją pan wszystkim jako swoją żonę.

- Ależ to nie Freud, tylko Jones! - wykrzyknął Brill.

- Wypraszam sobie - oburzył się Jones.

- Ależ Jones, co też pan mówi! - upierał się Brill. - Wszyscy wiedzą, że nie ma pan ślubu z Loe!

- Freud bez ślubu? - zmienił temat Jones, patrząc gdzieś za lewe ramię. - To niedorzeczność!

- Co jeszcze? - zapytał Freud.

- Że został pan zwolniony z pracy w renomowanym szpitalu - ciągnąłem zażenowany - ponieważ wbrew woli przełożonych nie chciał pan przestać omawiać seksualnych fantazji z dwunasto- i trzynastoletnimi dziewczynkami, które przebywały tam z powodu dolegliwości o charakterze somatycznym, a nie neurologicznym czy psychicznym.

- Znowu mowa o Jonesie! - wykrzyknął Brill.

Jones nagle zainteresował się detalem architektonicznym kamienicy, w której znajdowało się mieszkanie Brilla.

- Że został pan pozwany do sądu przez męża jednej z pańskich pacjentek i postrzelony przez małżonka innej.

- Znowu Jones! - skomentował Brill.

- Że obecnie ma pan romans ze swoją nastoletnią gosposią.

Brill przenosił wzrok ze mnie na Freuda, Ferenczego i Jonesa; ten ostatni ze skupieniem wpatrywał się w niebo, najwyraźniej studiując loty zamieszkujących Manhattan ptaków.

- Jones? - zapytał go niepewnie.

W odpowiedzi Jones kilkakrotnie zakaszłał, za każdym razem w innej tonacji, nie odezwał się jednak ani słowem.

- To obrzydliwe - oburzył się Brill. - Jest pan odrażający, Jones!

- Czy to już wszystkie zarzuty, Younger? - zapytał Freud.

- Nie, profesorze - odpowiedziałem. Ostatni zarzut był ze wszystkich najpoważniejszy. - Jest jeszcze jeden: że utrzymuje pan obecnie stałe kontakty seksualne z pewną studentką medycyny, która jest pańską pacjentką. Ponoć romans ten jest tak powszechnie znany, że matka tej dziewczyny wystosowała do pana list, w którym błaga, by nie rujnował pan życia jej córki. W pańskim dossier znalazł się list, którym rzekomo odpowiedział pan na błagania tej kobiety. Podobno domaga się pan od niej pieniędzy w zamian za powstrzymanie się od dalszych kontaktów seksualnych z jej córką.

Kiedy skończyłem, przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. W końcu wybuchnął Ferenczi:

- Ale to Jung, na miłość boską!

- Sandor! - skarcił go ostro Freud.

- To Jung napisał ten list? - dopytywał się Brill. - Jung napisał list do matki tej pacjentki?

Ferenczi zakrył usta dłonią.

- Po prostu się wygadałem! Ale nie można dopuścić, żeby oni myśleli, że to pan, Freud. Musi dowiedzieć się o tym prasa. Już widzę te tytuły!

Też je sobie wyobrażałem: *Freud oczyszczony ze wszystkich zarzutów*.

- Więc wszystko jasne - powiedział Brill w zadumie.

- Jednocześnie atakują nas w Bostonie, w Worcesterze i w Nowym Jorku. To nie może być zbieg okoliczności.

- Jaki przebieg ma atak w Nowym Jorku?

- A jeremiaszowe opowieści o Sodomie i Gomorze to niby co? - odparł Brill poirytowany. - Te dwie wiadomości nie były jedyne, otrzymałem jeszcze inne. Dotarło ich do mnie znacznie więcej.

Wszystkich nas to zaskoczyło. Poprosiliśmy Brilla o wyjaśnienia.

- Cała historia się zaczęła, kiedy przystąpiłem do pracy nad tłumaczeniem książki Freuda -

powiedział. - Nie mam pojęcia, skąd wiedzieli, że nad tym pracuję, ale już w pierwszym tygodniu otrzymałem ostrzeżenie. Od tamtej pory jest coraz gorzej. Pogrożki docierają do mnie wtedy, gdy się ich najmniej spodziewam. Jestem pewien, że ktoś mi źle życzy. Za każdym razem otrzymuję bowiem jakiś biblijny passus o morderstwie, zawsze ze wzmianką o Jezusie i o ogniu. Każdy z tych cytatów kojarzy się z pogromem.

*

Tym razem nikt nie próbował powstrzymać detektywa Littlemorea, gdy wspinał się po schodach budynku numer 782 przy Ósmej Alei. Dochodziła czwarta po południu, pora szykowania obiadu w chińskiej restauracji, w której wydawano okrzyki w języku kantońskim przerywane skwierczącym sykiem kawałków mięsa rzuconych na gorący olej. Little-more, który od rana nie miał nic w ustach, z przyjemnością zjadłby porcję wieprzowiny. Na każdym piętrze czuł na sobie oczy mieszkańców, nikogo jednak nie widział. Słyszał, jak ktoś biegnie korytarzem na górze. Potem rozległy się głośne szepty. Pukanie do drzwi oznaczonych numerem 4C przyniosło taki sam rezultat jak poprzednio: nikt nie otworzył, za to po schodkach pożarowych ktoś pospiesznie się ewakuował.

Littlemore popatrzył na zegarek. Zapalił papierosa, żeby przytłumić unoszące się w powietrzu zapachy. Miał nadzieję, że dotrze do Betty dość wcześnie, by zaprosić ją na obiad. Kilka minut później na schodach pojawił się posterunkowy John Reardon, prowadzący potulnego i wystraszonego Chińczyka.

- Było dokładnie tak, jak pan powiedział - raportował Reardon. - Uciekał tylnym wyjściem, jakby mu się w spodniach paliło.

Littlemore obrzucił spojrzeniem zboląłego Chińczyka.

- Nie chce pan ze mną porozmawiać, panie Chong Sing?

- zapytał. - Chyba powinniśmy się trochę u pana rozejrzeć. Proszę otworzyć drzwi.

Chong Sing był o wiele niższy od Littlemorea i Rear-dona, krępej budowy, miał szeroki nos i porytą zmarszczkami skórę. Wykonał rozpaczliwy gest mający oznaczać, że nie rozumie, co się do niego mówi.

- Otwórz! - polecił Littlemore, waląc w zamknięte drzwi jego mieszkania.

Chińczyk wyjął klucz. Jednopokojowe mieszkanie mogłoby być wzorem czystości i porządku. Nie dałoby się w nim znaleźć nawet drobinki kurzu, a wszystko stało równo poukładane. Dwie niskie prycze przykryte sfatygowaną narzutą najwyraźniej pełniły trzy funkcje: łóżka, sofy i stolika. Ściany były gołe. W rogu kilka tłących się kadzidełek wydzielало kwaśny zapach, tym bardziej duszący, że powietrze pozostawało w całkowitym bezruchu.

- Wszystko starannie wyczyszczone na nasze przybycie

- powiedział Littlemore, rozglądając się po pomieszczeniu.

- Rozsądnie. Coś jednak pominąłeś - dodał, wznosząc rękę do góry. Chong Sing i posterunkowy Reardon podnieśli głowy. Na niskim suficie nad każdą pryczą widać było długą, czarną smugę.

- Co to jest? - zapytał posterunkowy.

- Smugi dymu. Opium - wyjaśnił Littlemore. - Ktoś tu palił opium, Jack. Popatrz na okno, Jack. Czy coś cię w nim zastanawia?

Reardon spojrział na małe okno. Miało tylko jedno skrzydło i było zamknięte.

- Nie, a co takiego?

- W taki upał nie zamyka się na ogół okien - odpowiedział Littlemore. -Zobacz, co jest na zewnątrz.

Reardon otworzył okno i zajrzał do małego kanału wentylacyjnego. Wymacał ręką niewielką półkę znajdującą się pod oknem. Zdjął z niej lampkę oliwną ze szklanym abażurem, kilka długich fajek, miseczek i igłę. Chong Sing kompletnie zbaraniał. Pokręcił z niedowierzaniem głową i patrzył to na detektywa, to na posterunkowego.

- Prowadzisz tu melinę? Palarnię opium, prawda? - stwierdził raczej, niż zapytał Littlemore. - Czy kiedykolwiek wchodziłeś do apartamentu panny Riverford w Balmoralu?

- Co takiego? - zapytał Chińczyk i wzruszył ramionami.

- Dlaczego miałeś na butach czerwoną glinę? - nie przestawał pytać detektyw.

-Co?

- Jack! Zabierz go do aresztu na Czterdziestej Siódmej. Powiedz kapitanowi Postowi, że przyprowadziłeś mu dilera opium - rozkazał Littlemore posterunkowemu.

Kiedy Reardon schwycił Chińczyka za rękę, by go skuć, ten w końcu przemówił.

- Czekaj! Powiem ci. Ja tylko mieszkam w tym mieszkaniu za dnia. Nie znam opium. Nigdy opium nie widziałem.

- Oczywiście - zakpił Littlemore. - Wyprowadź go, Jack.

Na widok kajdanek Reardona Chong znowu zaczął mówić.

- Czekaj! Powiem ci coś jeszcze. Coś ci pokażę. Jeśli pójdziesz za mną korytarzem, pokażę ci to, czego szukasz.

Głos Chonga się zmienił. Słysząc w nim teraz było autentyczny strach. Littlemore dał znak posterunkowemu, żeby puścił Chińczyka przodem. Weszli do ciemnego, wąskiego korytarza. Z dołu dobiegały odgłosy restauracji. Kiedy minęli klatkę schodową, Littlemore usłyszał dysonansowe brzdąkanie jakiegoś chińskiego instrumentu strunowego. Zapach mięsa stał się intensywniejszy. Wszystkie drzwi były otwarte, żeby mieszkańcy od razu wiedzieli, kto przechodzi korytarzem. Wszystkie oprócz jednych, na samym końcu. Właśnie przed nimi Chong się zatrzymał.

- W środku - powiedział. - W środku.

- Kto tu mieszka? - zapytał detektyw.

- Mój kuzyn. Leon - odpowiedział Chong. - On mieszkał tutaj wcześniej. Teraz nikt.

Drzwi były zamknięte na klucz. Nikt nie odpowiedział na pukanie. Gdy detektyw zbliżył się do drzwi, żeby do nich zapukać, zrozumiał, że unoszący się wszędzie zapach nie pochodzi z restauracji. Wyjął z kieszeni dwa metalowe wytrychy. Potrafił sobie świetnie radzić z zamkami w drzwiach. Ten zajął mu ledwie kilka chwil.

Pokój, choć takich samych rozmiarów, stanowił wyraźne przeciwieństwo mieszkania Chonga Singa. Wszędzie porozkładane były jarmarczne czerwone bibeloty. Kilkanaście waz dużych i małych - niemal wszystkie pokryte motywami smoków i demonów - rozstawiono po całym pokoju. Na parapecie stało różowe lakierowane puzderko, za którym ktoś zatknął nieduże lustro, a na toaletce malowana figurka Matki Bożej z dzieciątkiem. Niemal każdy centymetr ścian pokrywały oprawione fotografie przedstawiające mężczyznę, będącego także skrajnym przeciwieństwem Chonga Singa: wysokiego, z wydatnym nosem i ładną gładką cerą. Na wszystkich zdjęciach przystojny Chińczyk ubrany był w marynarkę, koszulę i krawat, niemal na wszystkich też towarzyszyła mu jakaś młoda kobieta, każdorazowo inna.

Przede wszystkim jednak przyciągał wzrok sporych rozmiarów zamknięty kufer stojący pośrodku pokoju. Takich używają zwykle bogaci podróżnicy - z bokami wykończonymi skórą i mosiężnymi zawiasami. Miał trochę ponad pół metra wysokości, tyle samo szerokości i prawie metr długości. Wokół kufra ktoś owinął kilkanaście zwojów grubej liny, jakby chroniąc go przed otwarciem.

W pokoju cuchnęło niemiłosiernie. Z mieszkania znajdującego się nad nim dobiegały dźwięki chińskiej muzyki. Detektywowi trudno było się skupić. W zatechłej atmosferze pokoju kufer zaczął mu falować przed oczami. Littlemore wyjął z kieszeni składany nóż. Posterunkowy Reardon też miał przy sobie scyzoryk. Nie porozumiewając się ze sobą, obydwaj podeszli do kufra i zaczęli przecinać grubą linę. Przy drzwiach zdążył się już zebrać spory tłum Chińczyków, którzy z zainteresowaniem obserwowali zdarzenie; wielu z nich zakrywało usta i nosy chusteczkami.

- Odłóż nóż, Jack - polecił Littlemore. - Miej oko na Chonga.

Detektyw mozolnie rozcinał opasające kufer zwoje. Kiedy uporał się z ostatnim, wieko odskoczyło. Reardon aż się cofnął - albo z zaskoczenia, albo odrzucił go cuchnący odór dobywający się z wnętrza kufra. Littlemore zakrył dół twarzy rękawem, ale się nie odsunął. Wewnątrz zauważył trzy rzeczy; damski kapelusz ozdobiony wypchanym ptakiem, gruby plik listów, związany sznurkiem i skulone ciało młodej chyba kobiety w stanie znacznego rozkładu - była tylko w bieliźnie, ze srebrnym wisiosem na piersiach i białym, jedwabnym krawatem owiniętym ciasno wokół szyi.

Posterunkowy Reardon nie miał siły pilnować dłużej Chonga Singa. Bliski był omdlenia. Widząc to, Chong Sing wmieszał się w tłum mruczących coś Chińczyków, a następnie zniknął w korytarzu.

Po schodach wlekliśmy się w milczeniu noga za nogą. Zanim dotarliśmy do mieszkania Brilla, każdy z nas, jak sądzę, się zastanawiał, co począć z problemami w Worcestere. Mieliśmy kilka godzin do obiadu, na który zaprosił nas Smith Jelliffe, wydawca Brilla. Na podeście piątego piętra Ferrerz rzucił uwagę na temat dziwnego zapachu, jakby ktoś palił liście albo papiery.

- Może któryś z sąsiadów kremuje w kuchni ciało zmarłego? - zasugerował uprzejmie.

Brill otworzył drzwi. Nie spodziewał się widoku, który pojawił mu się przed oczami.

Mieszkanie pełne było śniegu - tak przynajmniej wyglądało. W powietrzu unosił się biały pył, wirując w przeciągu spowodowanym otwarciem drzwi. Przykrywał wszystko: podłogę, stoły, krzesła, parapety i książki. Wszędzie czuć było spaleniznę. Pośrodku pokoju stała Rose Brill ze szczotką i szufelką, od stóp do głów pokryta białym szronem, i usiłowała to wszystko posprzątać.

- Też dopiero weszłam - krzyknęła. - Zamknijcie drzwi, na litość boską! Co to jest?

Wziąłem trochę białego pyłu w palce.

- Popiół - orzekłem.

- Zostawiła pani coś na kuchni? - zapytał Ferenczi.

- Nie - odparła, ścierając sobie z oczu białe drobinki.

- Ktoś wsypał tu ten popiół - odezwał się Brill. Chodził po pokoju jak w transie, z rękami wyciągniętymi przed siebie, na zmianę chwytając popiół albo go skądś strzepując. Nagle odwrócił się w stronę Rose.

- Popatrzcie na nią! Tylko popatrzcie! - krzyknął.

- O co chodzi? - zapytał Freud.

- Zmieniła się w słup soli!

Kiedy na Ósmą Aleję pod numer 782 z posiłkami przybył kapitan Post z komisariatu na Czterdziestej Siódmej Zachodniej, wbrew zastrzeżeniom detektywa Littlemore a aresztował sześciu Chińczyków, w tym szefa restauracji i dwóch jego klientów, którzy mieli po prostu pecha, bo postanowili wejść na górę i sprawdzić, co jest przyczyną zamieszania. Zwłoki przetransportowano do kostnicy miejskiej i zaczęła się obława.

Littlemore najpierw pomyślał, że znalazł skradzione zwłoki Elizabeth Riverford, ciało było jednak w stanie znacznego rozkładu. Nie znał się na patologii, ale jego zdaniem od niedzieli do środy nie mogło się aż tak rozłożyć. Zresztą nie miał potrzeby się zastanawiać, ponieważ pan Hugel na pewno będzie to wiedział.

Przejrzał ponad trzydzieści listów miłosnych, które znajdowały się w kufrze. Wszystkie zaczynały się od nagłówka: „Najdroższy Leonie!”, i kończyły podpisem „Elsie”. Sąsiedzi różnili się w sprawie nazwiska lokatora tego mieszkania. Niektórzy twierdzili, że to Leon Ling, inni zapewniali, że przedstawiał się jako William Leon. Prowadził restaurację w chińskiej dzielnicy. Od miesiąca nikt go jednak nie widział. Mówił płynną angielszczyzną i ubierał się jak Amerykanin.

Littlemore pokazał im wiszące na ścianach fotografie. Mieszkańcy budynku potwierdzili, że znajdujący się na nich mężczyzna to Leon, nie wiedzieli natomiast (albo nie chcieli powiedzieć), kim były towarzyszące mu kobiety. Littlemore zauważył, że wszystkie one były białe. Później spostrzegł

coś jeszcze.

Jedna z fotografii wiszących na ścianie przedstawiała uśmiechniętego Leona wyjątkowo w towarzystwie dwóch kobiet. Najpierw Littlemore pomyślał, że się pomylił. Po chwili doszedł jednak do wniosku, że nie, i schował fotografię do kieszeni. Umówił z kapitanem Postem spotkanie następnego dnia i wyszedł.

Mimo późnego popołudnia wciąż jeszcze było nieznośnie gorąco i parno. W porównaniu z powietrzem w małym mieszkaniu, które właśnie opuścił, to na zewnątrz wydało mu się rześkie i świeże. Było tuż po piątej, kiedy dotarł do mieszkania Betty. Nie było jej w domu. Matka gorączkowo próbowała mu wytłumaczyć, gdzie jest Benedetta, ale mówiła po włosku, w dodatku bardzo szybko; Littlemore niczego nie rozumiał. W końcu do drzwi podeszli mali bracia Betty i powiedzieli mu, o co chodzi: Betty wsadzono do więzienia.

Pani Longobardi wiedziała tylko tyle, i to dzięki miłej żydowskiej dziewczynie, która zjawiała się specjalnie, żeby ją o tym poinformować. Podobno były jakieś zamieszki w fabryce, w której Betty przystąpiła dziś do pracy. Niektóre dziewczęta zabrali, w tym także Betty.

- Zabrali? Dokąd? - dopytywał się Littlemore.

Tego matka nie wiedziała.

Popędził na stację metra przy Pięćdziesiątej Dziewiątej. Stał przez całą drogę do centrum, zbyt podekscytowany, żeby usiedzieć. W komendzie miejskiej policji powiedziano mu, że strajkujący zaatakowali jedną z dużych fabryk odzieżowych w Greenwich Village. Pikietujący rzucali kamieniami w okna i policja aresztowała kilkadziesiąt osób, żeby odblokować ulice. Mężczyzn zamknięto w więzieniu Tombs, a kobiety na Targu Jeffersona.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku na skrzyżowaniu Dziesiątej i Szóstej Alei strzelił w niebo puszący się wiktoriański gotyk, kontrastując z robotniczą dzielnicą, która nie cieszyła się zbyt dobrą sławą. Barwny budynek sądu był bezładnym pomieszaniem dwuspadowych dachów i strojnych pinakli, które z nich wystawały we wszystkich możliwych miejscach. Wieżę strażniczą wieńczyła kilkudziesięciometrowa kopuła. Do gmachu sądu przylegało pięciopiętrowe więzienie w tym samym stylu, a do niego z kolei

- potężny gmach, w którym mieściło się targowisko. Od niego właśnie pochodziła nazwa całego kompleksu: Targ Jeffersona. Projektantom przyświecała idea, że instytucje prawa i porządku nie powinny pozostawać z dala od miejsc, w których toczy się życie.

W ciągu dnia sąd przy Targu Jeffersona zajmował się poważnymi przestępstwami. Po godzinach pracy ten sam trybunał stawał się nocnym sądem doraźnym, w którym rozpatrywano drobne wykroczenia i występki, zwłaszcza te związane z nierządem, narkotykami i hazardem. W rezultacie areszt na Targu Jeffersona zapełniał się głównie prostytutkami oczekującymi, by je doprowadzono na salę sądową i ogłoszono wyrok. W tym właśnie areszcie w środę wieczorem Littlemore znalazł Betty - padała ze zmęczenia, ale była cała i zdrowa.

Zamknięto ją w dużej i zatłoczonej celi przejściowej na trzecim piętrze, oddzielonej od korytarza zatopionymi w suficie i podłodze stalowymi prętami. Zakratowane okno celi wychodziło na Dziesiątą Ulicę. Dwadzieścia pięć, może nawet trzydzieści kobiet słoczonych w tym pomieszczeniu zbiło się w małe grupki albo siedziało na przymocowanych do ściany długich ławkach.

Lokatorki celi dzieliły się na dwie kategorie. Do pierwszej zaliczało się około piętnastu młodych kobiet ubranych w robocze stroje - proste, ciemne spódnice do kostek i białe bluzki z długim rękawem. Były to panny z fabryki szmi-zjerek, w której przez pół dnia pracowała także Betty. Kilka z nich miało nie więcej niż trzynaście lat.

Druga kategoria więźniarek, ponad dziesięć kobiet w różnym wieku, prezentowała się o wiele bardziej kolorowo - zarówno gdy idzie o strój, jak i makijaż. Większość z nich zachowywała się głośno i czuła co najmniej swobodnie, niczym w znanym sobie dobrze miejscu. Jedna była głośniejsza od pozostałych. Wrzeszczała, żeby strażnicy jej wytłumaczyli, jakim cudem kobieta taka jak ona mogła się znaleźć w więzieniu. Littlemore rozpoznał ją od razu: była to panna Susan Merrill. Jako jedyna w celi miała zwykłe krzesło. Pozostałe kobiety traktowały ją z widocznym szacunkiem. Ubrana była w bordową sukienkę, a na ręku trzymała dziecko, które smacznie spało mimo panującego tam wielkiego harmidru.

Odznaka policyjna otworzyła przed Littlemore'em drogę aż do tych ostatnich drzwi, nie pomogła mu jednak otworzyć ich i uwolnić Betty z celi. Stali zaledwie kilka centymetrów od siebie, przedzieleni sięgającymi od podłogi do sufitu stalowymi prętami.

- Byłaś w pracy pierwszy dzień i zdecydowałaś się na strajk? - dziwił się Littlemore. Mówił bardzo cicho.

Betty nie strajkowała. Rano zjawiała się w fabryce, poszła prosto na dziewiąte piętro i tak jak setka dziewcząt zasiadła do maszyny. Na hali było przynajmniej pięćdziesiąt pustych krzeseł i nieruchomych maszyn. Poprzedniego dnia wyrzucono z pracy sto pięćdziesiąt szwaczek za przynależność do związku zawodowego. Tego samego dnia po południu Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Odzieży Damskiej zorganizował akcję, która miała być odpowiedzią na masowe zwolnienia. Wezwał do strajku w fabryce. Rankiem przed budynkiem zebrała się mała grupka pracowników i związkowców, którzy zaczęli wyzywać tych, którzy podjęli pracę.

- Nazywali nas łamistrajkami - opowiadała Betty. - Teraz rozumiem, dlaczego zatrudnili mnie tak szybko. Szukali ludzi na miejsce kobiet ze związku zawodowego. Ale przecież nie miałam o tym pojęcia, więc nie mogę być łamistrajką, prawda Jimmy?

- Chyba nie - odpowiedział. - A właściwie o co chodziło strajkującym?

- Nie uwierzyłbyś! Po pierwsze, jest tam gorąco jak w piekle. Po drugie, potrącają dziewczynom z zarobków koszty stanowiska pracy. Wszystkiego: maszyny, na której się szyje, stołka, na którym się siedzi, igieł, nici, a nawet szafek na ubranie w szatni. Po potrąceniach nie dostają nawet połowy przyrzeczonej pensji. Jedna z dziewcząt pracowała w zeszłym tygodniu siedemdziesiąt dwie godziny i zarobiła trzy dolary. Trzy dolary! To wychodzi... zaraz... Ile to wychodzi?

- Cztery centy za godzinę. Bardzo mało.

- Ale to jeszcze nie wszystko. Zamykają drzwi, żeby szwaczki pracowały przez cały czas. Nie mogą nawet wyjść do toalety!

- No to nieźle! Ale powinnaś była po prostu wstać i wyjść stamtąd, jak się zaczęły zamieszki. Nie musiałaś przecież pikietować z ludźmi, którzy kamieniami wybijali szyby w oknach.

Betty była na poły oburzona, na poły zmieszana.

- Ja nie pikietowałam, Jimmy.

- To za co cię aresztowali?

- Bo zrezygnowałam z pracy. Ostrzegali nas, że te, które zrezygnują, pójdą do więzienia. Ale im nie uwierzyłam.

Oprócz tego nikt nie wybijał okien. Policjanci bili ludzi bez powodu.

- To nie byli policjanci.

- Oczywiście, że byli.

- Wszystko jedno - powiedział Littlemore. - Muszę cię stąd wydostać.

Skinął na jednego ze strażników i wyjaśnił mu, że Betty jest jego dziewczyną i nie brała udziału w strajku, aresztowano ją przez pomyłkę. Kiedy przedstawiał ją jako swoją dziewczynę, Betty spuściła wzrok i uśmiechnęła się z zażenowaniem.

Strażnik, który był kolegą Littlemorea, odparł, że bardzo mu przykro, ale ma związane ręce.

- Nic nie mogę zrobić, Jimmy. Musisz porozmawiać z Beckerem.
- Becker? - zapytał Jimmy i pojaśniały mu oczy. - Stary dobry Becker rządzi tutaj?

Strażnik poprowadził Littlemore'a do pokoju w końcu korytarza, w którym pięciu mężczyzn w mrugającym świetle żarówki elektrycznej, pijąc alkohol i paląc papierosy, grało w karty i robiło przy tym wiele hałasu. Jednym z nich był sierżant Charles Becker, potężny chłop o okrągłej głowie i silnym barytonie. Miał piętnastoletni staż w policji i pracował w najtrudniejszym rewirze na Manhattanie, w którym lśniące kasyna i burdele, w tym także ten prowadzony przez Su-san Merrill, mieszały się z jarmarcznymi pałacami i teatrami wodewilowymi. Littlemore miał wiele szczęścia, że na niego właśnie trafił. Spędził w jego plutonie pół roku jako policjant z patrolu pieszego, tak więc znali się dobrze.

- Witaj, Becker! - krzyknął Littlemore.
- Kogo tu przyniosło! Littlemore! - zadudnił Becker, rozdając karty. - To nasz kolega, chłopcy. Detektyw ze śródmieścia. Jimmy, to Gyp, Whitey, Lefty i Dago. Pamiętasz przecież Dago, prawda?
- Oczywiście. Cześć, Dago - przywitał go Littlemore.
- Kilka lat temu ten facet rozwiązał pewną trudną sprawę i naprowadził mnie prosto na sprawcę, który do dzisiaj siedzi
- wyjaśnił Becker swoim kolegom. - Bo w końcu przymkniemy każdego z nich, chłopcy. Każdego! - zakończył sentencjonalnie, po czym zwrócił się do Littlemorea: - A ty co tu robisz, Jimmy? Przyszedłeś obserwować ptaki czy co?

Becker wysłuchał go, nie odrywając wzroku od kart, a następnie tubalnym głosem dobroczyńcy delektującego się własną wielkodusznością kazał strażnikom wypuścić ptaszynę Littlemore'a. Ten podziękował mu serdecznie i popędził do celi, żeby wyprowadzić z niej Betty Wychodząc razem z nią, wsunął głowę do pokoju i raz jeszcze dał wyraz wdzięczności.

- Becker, a wyświadczysz mi jeszcze jedną przysługę?
- zapytał na zakończenie.
- Tylko powiedz, czego chcesz, a zaraz się zrobi! - odparł sierżant.
- W celi jest też pewna dama z małym dzieckiem. Czy jest szansa, że jej także pozwolisz wyjść?

Becker zgasił papierosa.

- Pewna dama, powiadasz? - spytał. Głos mu się nie zmienił, ale było w nim coś, co natychmiast zgasiło wesołość jego kompanów. Littlemore wiedział, że coś jest nie tak, ale nie miał pojęcia, o co chodzi.
- Chodzi mu o Susie, szefie - odezwał się Gyp, który naprawdę nazywał się Horowitz.

- Susie? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, Whitey, że Susie Merrill jest w moim więzieniu?
- Jest, szefie - odpowiedział Whitey, którego nazwisko brzmiało Seidenschner.
- Masz coś wspólnego z Susie, Jimmy?
- Nie, Becker, nie mam. Ale pomyślałem sobie, że z tym małym dzieckiem... no wiesz...
- Aha - mruknął Becker.
- Zapomnij, że to powiedziałem - dodał Littlemore. - Chodzi mi o to, że gdyby ona...

Becker wrzasnął na strażników, każąc im wypuścić Susie. Do tego rozkazu dodał kilka wybornych przekleństw, którymi podkreślił oburzenie, że w jego więzieniu zamknięto małe dziecko. Wrzasnął też, że jeśli w przyszłości do aresztu zaplączą się jakieś maleństwa, to mają je przyprowadzać prosto do niego. Ta ostatnia uwaga wywołała lawinę śmiechu jego podwładnych. Littlemore uznał, że powinien już iść. Po raz trzeci podziękował Beckerowi i wyprowadził Betty z budynku. Jego ostatnie podziękowanie pozostało bez odpowiedzi.

Ulica Dziesiąta była niemal całkowicie pusta. Od zachodu wiał lekki wiatr. Betty zatrzymała się na schodach wielkiego wiktoriańskiego budynku.

- Znasz tę kobietę? - zapytała. - Tę z dzieckiem.
- Trochę....
- Ale to burdelmama!
- Wiem - odparł Littlemore z uśmiechem. - Byłem u niej.

Betty trzasnęła go na odlew.

- Oj! - krzyknął. - Ale ja tam poszedłem po to, żeby jej zadać kilka pytań w sprawie morderstwa panny Riverford.
- Och, Jimmy! Dlaczego nie powiedziałeś od razu? - zapytała, zakrywając sobie dłońmi twarz, a potem z uśmiechem kładąc je na jego policzkach. - Przepraszam.

Objęli się. Wciąż stali na schodach przytuleni, kiedy dębowe drzwi więzienia otworzyły się z piskiem, rzucając na nich snop światła. Po chwili na schodach pojawiła się panna Merrill z dzieckiem na ręku i w jednym ze swoich olbrzymich kapeluszy. Littlemore pomógł jej zejść, a Betty zaproponowała, że na chwilę potrzyma maleństwo. Kobieta chętnie skorzystała z pomocy obydwójga.

- A więc to ty mnie stąd wyciągnąłeś - odezwała się.
- Pewnie sobie myślisz, że jestem ci coś winna?
- Nie, proszę pani - odpowiedział Littlemore.

Susie przekrzywiła głowę, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Odbierając dziecko z rąk Betty, odezwała się szeptem tak cichym, że ledwie ją usłyszał.

- W końcu się doigrasz! A masz tylko jedno życie.

Ani Littlemore, ani Betty nie zareagowali.

- Wiem, kogo szukasz - ciągnęła Susie niemal niesłyszalnym szeptem. - To było 18 marca 1907 roku.

-Co?

- Wiem co Wiem też kto. Ale ja niczego nie robię za darmo.

- Co się stało 18 marca 1907 roku?

- Sprawdź. I dopadnij go! - syknęła tak jadowicie, że odruchowo zakryła dłonią twarz dziecka, jakby chciała je chronić przed trucizną.

- Ale co się wtedy stało? - zapytał Littlemore ponownie.

- Zapytaj po sąsiedzku - wyszeptała Susie Merrill i zniknęła w ciemnościach wieczoru.

Rose wyprosiła nas z mieszkania, co zważywszy na okoliczności, było z jej strony uprzejmością. Nie chciała oczywiście, żeby Freud uczestniczył w sprzątaniu. Brill natomiast stał ogłupiały, jak żołnierz z syndromem DaCosty. Powiedział tylko, że nie pójdzie z nami na obiad i poprosił, żeby go sprawiedliwić.

Jones poszedł do metra, żeby się udać do hotelu, który mieścił się dalej niż nasz od centrum i był tańszy. Freud, Ferenczi i ja postanowiliśmy natomiast przejść się do Manhattanu przez park. To niesamowite, jak pusty może być wieczorem największy park w mieście. Najpierw wymienialiśmy sugestie na temat tego, co się stało w mieszkaniu Brilla, następnie Freud zapytał Ferenczego i mnie, jak powinien zareagować na list rektora Halla.

Ferenczi stwierdził, że musimy natychmiast zdementować zarzuty, najlepiej telegraficznie, i wyjaśnić, że niemoralne postępowanie przypisywane Freudowi w rzeczywistości jest wzięte z życia Jonesa i Junga. Problem widział jedynie w tym, czy rektor Hall uwierzy nam na słowo.

- Zna pan przecież Halla, Younger - stwierdził Freud.

- Jak pan sądzi?

- Rektor Hall uwierzy nam na słowo - odparłem, mając na myśli, że uwierzy na słowo mnie. - Zastanawiam się tylko, panie profesorze, czy przypadkiem oni nie chcą, żebyśmy się tak właśnie zachowali.

- Jacy oni? - dopytywał się Ferenczi.

- Ci, którzy za tym stoją - odpowiedziałem.

- Nie rozumiem - dorzucił Ferenczi.
- Wiem, co Younger ma na myśli - odezwał się Freud.
- Ktokolwiek za tym stoi, musi wiedzieć, że zarzuty dotyczą Jonesa i Junga, a nie mnie. Tak więc ten ktoś chce sprawić, żebym ujawnił niemoralne postępowanie moich przyjaciół, a wtedy rektor Hall nie będzie już mógł powiedzieć, że ma do czynienia z plotkami. Wręcz przeciwnie, potwierdzę zarzuty, a Hall będzie zmuszony przedsięwziąć odpowiednie kroki. Zapewne odwoła oficjalne wystąpienia Jonesa i Junga. Ja natomiast wygłoszę wykłady za cenę okrycia hańbą dwóch własnych uczniów i zwolenników, dwóch mających największe szanse, by szerzyć moje idee po całym świecie.
- Ale nie może pan milczeć, jakby był winny - protestował Ferenczi.

Freud zastanowił się przez chwilę.

- Zaprzeczmy zarzutom, ale nie zrobimy nic więcej
- stwierdził. -Wyślę Hallowi krótki list, w którym stwierdzę kilka faktów: jestem żonaty, nigdy nie wyrzucono mnie z pracy w żadnym szpitalu, nigdy do mnie nie strzelano i tak dalej. Younger, czy to postawi pana w niezręcznej sytuacji?

Zrozumiałem, o co pyta. Chciał wiedzieć, czy nie czuję się zobowiązany do poinformowania Halla, że Freud jest niewinny, zarzuty natomiast dotyczą Jonesa i Junga. Oczywiście, nie miałem zamiaru mówić mu nic podobnego.

- Nie, panie profesorze. Nie postawi - odparłem.
- Tak zatem postąpię, zostawiając resztę rektorowi Hallowi - podsumował Freud. - Jeśli za cenę wielkiej nawet darowizny jest gotów zakazać wykładania psychoanalizy na uniwersytecie, to (proszę mi wybaczyć, Younger) nie jest wart, by zyskać weń sojusznika. A Ameryka zejdzie na psy.
- Rektor Hall nie zgodzi się na ich warunki - powiedziałem z przekonaniem większym niż to, które żywiłem.

Stali nadal pod budynkiem więzienia na Targu Jeffersona, gdy Betty Longobardi skierowała do Jimmy'ego Littlemore'a tylko dwa słowa:

- Chodźmy stąd!

Ale Littlemore nie bardzo chciał odchodzić. Poprowadził Betty w kierunku Szóstej Alei, po której płynęła na północ rzeka wracających z pracy ludzi. Na rogu, kilka kroków przed ozdobnymi drzwiami do sądu, zatrzymał się i nie chciał iść dalej. Przekrzykując potworny hałas kolejki nadziemnej, z wielkim podnieceniem opowiedział Betty wydarzenia, w które obfitował ten dzień.

- Ona powiedziała, że cię zabiją - odparła na to Betty. Cóż, miał nadzieję, że wyżej oceni jego dokonania.
- Ale powiedziała też, żebym sprawdził po sąsiedzku. Pewnie miała na myśli sąd. No chodź, wejdziemy do środka.

- Nie chcę.
- To sąd, Betty. W sądzie nie może nam się stać nic złego.

Littlemore pokazał swoją odznakę i pracownik sądu wyjaśnił mu, gdzie znajduje się archiwum. Wyraził przy tym opinię, że o tej porze na pewno nie będzie tam nikogo. Pokonali dwa poziomy schodów i cały labirynt pustych korytarzy, zanim znaleźli się przed drzwiami z napisem ARCHIWUM. Były zamknięte, a za nimi panowała kompletna ciemność. Włamywanie się do pomieszczeń sądowych nie należało do stałego repertuaru postępowania detektywa Littlemorea, ale w tym przypadku poczuł się rozgrzeszony. Betty rozglądała się wokół nerwowo.

Sforsował zamek i weszli do środka. Zapalił światło. Znajdowali się w małym gabinecie z jednym dużym biurkiem. Były tam jeszcze jedne drzwi, z kolei niezamknięte, prowadzące do znacznie większego pomieszczenia, w którym składowano akta. Zobaczyli w nim rzędy regałów z opisanymi półkami.

- Na opisach nie ma dat. Tylko litery - powiedziała Betty.
- Musi tu być jakiś spis albo wokandy. W sądach sporządza się zawsze wokandy. Poczekaj, zaraz coś znajdę - polecił.

Nie tracąc czasu, wrócił do biurka, na którym stały dwie maszyny do pisania, suszka i kałamarze; obok nich leżał spory stos oprawnych w skórę ksiąg szerokości ponad pół metra. Otworzył pierwszą z nich. Każda strona prezentowała dzień z życia sądu, odnotowano na niej posiedzenia wydziałów od pierwszego do trzeciego. Karty, które przewracał, nosiły datę bieżącego, 1909 roku. Otworzył drugą księgę, która okazała się rejestrem z 1908 roku. Sięgnął więc po trzecią i bez problemu znalazł w niej datę 18 marca 1907 roku. Zobaczył na niej wpisane wprawną ręką dziesiątki nazwisk i numerów spraw. Niektóre były skreślone, na innych nadpisano jakieś informacje.

- Dziesiąta piętnaście. Wells przeciw Interborough R. T. Company, własność J. Truaxa - odczytał na głos. - Dobrze więc, poszukamy Wellsa!

Minął Betty i przeszedł do pomieszczenia z regałami, na których pod literą W znalazł dokumenty sprawy Wells kontra IRT. Zawierały trzy spięte spinaczem kartki. Przejrzał je szybko.

- Nic tu nie ma - ocenił. - Jakiś incydent w metrze. I po co z czymś takim chodzić do sądu?

Wrócił do księgi.

- Bedrnstein przeciw IRT, jak wyżej - odczytał. - Men-sinub przeciw IRT. Selxas przeciw tejże. Dobry Boże, tu jest przynajmniej dwadzieścia spraw przeciwko IRT! Chyba będziemy musieli przejrzeć je wszystkie.

- Może jednak nie tego szukamy, Jimmy. Jest tam coś jeszcze?

- Dziesiąta piętnaście. Ustalenie warunków procesu. Sprawa Tarbles przeciw Tarbles - przeczytał. - To chyba jakiś rozwód, co?

- Nie ma nic więcej? - spytała Betty.

- Dziesiąta trzydzieści. Kontynuacja terminu stycznowego. Sprawa karna z oskarżenia publicznego. Oskarżony: Harry K. Thaw.

Spojrzeni na siebie. Obydwoje natychmiast skojarzyli nazwisko z człowiekiem. Słyszał o nim chyba każdy w Nowym Jorku, a nawet pewnie w całym kraju. O nim wtedy mówiono bardzo głośno.

- To ten, który... - zaczęła Betty i nagle umilkła.

- ...zamordował architekta na dachu Madison Square Garden - dokończył Littlemore, do którego dopiero po chwili dotarło, dlaczego Betty zamilkła. Na korytarzu dały się słyszeć jakieś kroki.

- Ktoś idzie... - wyszeptała.

- Zgaś światło - nakazał. Betty stała obok lampy. Sięgnęła dłonią pod abażur i nacisnęła jakiś przycisk, ale światło zamiast zgasnąć rozbłysnęło kolejną żarówką. Kroki ucichły, po czym odezwały się znowu. Nie było wątpliwości, że ktoś zbliża się do archiwum.

- Tylko nie to! - szepnęła Betty. - Schowajmy się w drugim pomieszczeniu!

- To nie jest dobry pomysł - zaproponował Littlemore.

Kroki zbliżały się coraz bardziej, aż w końcu idący zatrzymał się po drugiej stronie drzwi. Po chwili przekręcił gałkę, otworzyły się drzwi i pojawił w nich niski mężczyzna w kapeluszu i tanim trzyczęściowym garniturze. Kieszeń marynarki odstawała, jakby nosił pod nią broń.

- Jest tu gdzieś męska toaleta? - zapytał.

- Na drugim piętrze - odpowiedział Littlemore.

- Dziękuję - rzucił mężczyzna, zamykając drzwi.

- Chodź - zarządził Littlemore, kierując się z powrotem do pokoju z regałami. Akta sprawy „Oskarżyciel publiczny przeciw Harry’emu K. Thawowi” zajmowały kilkanaście półek. Littlemore odnalazł protokół z rozprawy. Zawierał tysiące gęsto zapisanych stron powiązanych gumowymi opaskami. Miejscami był nieczytelny, pisany nierównymi literami, bez znaków przestankowych i z poprzekręcanymi słowami. Pod datą 18 marca 1907 roku znajdowało się kilkadziesiąt stron. Littlemore przejrzał je i natychmiast zwrócił uwagę na kilkanaście wyraźnie różnych od pozostałych, zapełnionych równymi rzędami wyraźnego pisma z podziałem na akapity.

- Oświadczenie pod przysięgą - powiedział.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Betty - Patrz! - dodała, wskazując słowa: „chwycił mnie za gardło” i „gwałtowne razy bykowcem”.

Littlemore szybko odnalazł pierwszą stronę oświadczenia. Nosiła datę 27 października 1903 roku i zaczynała się od słów: „Evelyn Nesbit pod przysięgą stwierdza, co następuje...”

- To jego żona, artystka kabaretowa - wyszeptała Betty. Wielu zakochanych mężczyzn opisywało Evelyn Nesbit jako najpiękniejszą kobietę na świecie. Wyszła za Harry’ego Thaw’a w 1905 roku.

Dwanaście miesięcy później Thaw zabił Stanforda Whitea.

- Tutaj więc zeznaje, zanim jeszcze została jego żoną

- zauważył Littlemore i zaczął czytać.

Mieszkam w nowojorskim hotelu Savoy przy Piątej Alei blisko Pięćdziesiątej Dziewiątej. Mam osiemnaście lat. Przyszłam na świat w dzień Bożego Narodzenia 1884 roku.

Przez kilka miesięcy przed czerwcem 1903 roku leżałam w szpitalu doktora Bella przy Trzydziestej Trzeciej Zachodniej, przechodziłam operację wyrostka robaczkowego. W czerwcu pojechałam do Europy na zaproszenie pana Henryego Kendalla Thawa. Pan Thaw i ja podróżowaliśmy pociągami po Holandii, zatrzymując się w różnych miejscowościach. Następnie udaliśmy się do Monachium w Niemczech. Podróżowaliśmy po wyżynach Bawarii, by w końcu dotrzeć do austriackiego Tyrolu. Przez cały

ten czas pan Thaw i ja podawaliśmy się za małżeństwo, panią i pana Dellis.

- A to kanalia - wyrwało się Betty.

- Przynajmniej później się z nią ożenił - zauważył Littlemore.

Po pięciu, może sześciu tygodniach podróży pan Thaw wynajął w Tyrolu zamek, położony w połowie drogi na wysoką górę. Zamek musiał być zbudowany wiele wieków temu, bo wszystkie pomieszczenia są w nim bardzo stare i staromodnie urządzone. Dostałam tam osobną sypialnię.

Pierwszej nocy byłam bardzo zmęczona i udałam się na spoczynek zaraz po kolacji. Następnego ranka jadłam śniadanie z panem Thawem. Po śniadaniu oświadczył, że chce mi coś powiedzieć i poprosił, żebyśmy udali się do mojej sypialni. Kiedy się tam znaleźliśmy, pan Thaw bez żadnego uprzedzenia chwycił mnie za gardło i zerwał ze mnie płaszcz kąpielowy, który miałam na sobie. Pan Thaw wydawał się bardzo podniecony. Nienaturalnie błyszczały mu oczy. W rękę trzymał bykowiec. Złapał mnie i cisnął na łóżko. Byłam bezbronna. Próbowałam krzyczeć, ale on położył mi dłoń na ustach i zaczął dusić.

Następnie bez żadnej prowokacji z mojej strony pan Thaw zaczął mi wymierzać silne i gwałtowne razy bykowcem. Bił mnie tak mocno, że całą skórę miałam pokrytą pręgami i siniakami. Błagałam, żeby przestał, ale nie zwracał uwagi na moje prośby. Mniej więcej co minutę robił krótką przerwę, żeby sobie odpocząć, po czym znów zaczynał mnie bić.

Bałam się o swoje życie. Służba nie mogła słyszeć moich krzyków, bo tłumiły je grube mury zamku. Nie mogłam więc liczyć na ratunek. Ponieważ Thaw groził, że mnie zabije, oraz niemal bez przerwy brutalnie atakował w sposób, który opisałam wyżej, nie mogłam uciec.

Następnego ranka pan Thaw znów pojawił się w mojej sypialni i potraktował mnie podobnie jak dnia poprzedniego. Chwycił bykowiec i okładał mnie nim po gołym ciele. Rzemienie przecinały mi skórę, powodując wielki ból. Zemdlałam i nie wiem, jak długo leżałam bez przytomności.

- Co za okropność - oburzyła się Betty. - I ona go później poślubiła? Dlaczego?

- Pewnie dla pieniędzy - odparł Littlemore. Ponownie przejrzał przeczytane kartki. - Myślisz, że tego szukaliśmy? Że właśnie o tym mówiła Susie?

- Na pewno. Przecież to samo spotkało biedną pannę Riverford.

- Wiem, ale to jest złożone pod przysięgą oświadczenie, a Susie nie wygląda na osobę, która wiedziałaby o istnieniu takich dokumentów.

- Co masz na myśli? Przecież to nie może być zbieg okoliczności.

- Dlaczego tak dokładnie zapamiętała datę, skoro to oświadczenie zostało raz tylko odczytane w sądzie? Coś mi tu nie pasuje. Musiało się wtedy wydarzyć coś jeszcze.

Littlemore usiadł na podłodze i zaczął czytać protokół rozprawy. Betty westchnęła niecierpliwie. Po chwili detektyw zawołał:

- No i mam! Popatrz tutaj. Pytania zadaje prokurator, pan Jerome. Zgadnij, kto jest świadkiem, który udziela odpowiedzi?

W miejscu wskazanym przez detektywa protokół wyglądał następująco:

Pr. Jak się pani nazywa?

Sw. Susan Merrill.

Pr. Czym się pani zajmuje?

Sw. Prowadzę dom dla mężczyzn z umeblowanymi pokojami do wynajęcia przy Czterdziestej Trzeciej.

Pr. Czy zna pani Harry'ego K. Thaw'a?

Sw. Tak, znam.

Pr. Kiedy go pani poznała ?

Św. W 1903 roku. Odwiedził mnie, żeby omówić wynajęcie pokoi. Potem je wynajął.

Pr. Czy powiedział, w jakim celu potrzebne mu są te pokoje?

Sw. Powiedział, że zatrudnia młode kobiety do występów estradowych.

Pr. Czy pan Thaw przyprawdzał do tych pokoi jakichś gości?

Sw. Tak, przeważnie młode kobiety w wieku około piętnastu lat. Mówiły, że chcą występować na scenie.

Pr. Czy coś niezwykłego działo się w czasie, kiedy te młode kobiety składały mu wizytę?

Św. Kiedyś do jego pokoju weszła młoda dziewczyna, a za chwilę usłyszałam jej krzyk. Pobiegłam zobaczyć, co się stało. Dziewczyna była przywiązana do łóżka. On miał w ręku bicz i zamierzał się na

nią. Na całym ciele dziewczyna miała ślady po uderzeniach.

Pr. Jak ta dziewczyna była wtedy ubrana?

Sw. Nie miała na sobie prawie nic.

Pr. Co stało się potem?

Św. On się wściekł i szybko wyszedł. Dziewczyna powiedziała mi, że chciał ją zamordować.

Pr. Proszę opisać ten bicz.

Sw. To był bykowiec. Znaczą nim bił tę dziewczynę.

Pr. A były jeszcze jakieś inne?

Św. Tak. Któregoś dnia były jeszcze dwie dziewczyny. Jedną rozebrał całkiem, a drugą tylko częściowo. Okładał je szpicrutą.

Pr. Czy rozmawiała pani z nim o tym?

Św. Tak. Powiedziałam mu, że to są młode dziewczyny i że nie ma prawa ich okładać.

Pr. Jak wyjaśnił pani swoje zachowanie?

Św. Wcale nie wyjaśnił. Powiedział, że one tego potrzebują.

Pr. Czy poinformowała pani policję o tych incydentach?

Św. Nie.

Pr. Dlaczego pani nie poinformowała policji?

Św. Bo powiedział, że jeśli to zrobię, zabije mnie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Chodźmy więc - powiedział Freud, zamykając rozmowę na temat kierowanych przeciw niemu zarzutów Ruszyliśmy przez park w kierunku hotelu. - Niech nam pan teraz powie, Younger, jak postępuje praca z panną Acton.

Zawahałem się, Freud zapewnił mnie jednak, że w obecności Ferenczego mogę mówić zupełnie swobodnie. Zacząłem od potajemnej schadzki pana Actona z panią Banwell, której mimowolnym świadkiem była trzynastoletnia wtedy Nora, co zresztą Freud przewidział podczas naszej poprzedniej rozmowy. Potem opowiedziałem o ataku wściekłości, którego dziewczyna doznała w hotelu, rzekomym odzyskaniu pamięci i wskazaniu George'a Banwella jako napastnika. Wreszcie opisałem nagłe wtargnięcie Banwella wraz z rodzicami dziewczyny i burmistrzem, który dał Banwellowi alibi.

Ferenczi najpierw stwierdził, jak wielką odrazą napawa go rodzaj stosunku, który pani Banwell odbyła z Harcourtem Actonem - co trudno mi było zrozumieć u psychoanalityka - po czym zapytał, dlaczego Banwell nie mógł napaść na Norę Acton, nawet jeśli nie zamordował tej pierwszej dziewczyny. Wyjaśniłem, że pytałem o to detektywa, a ten oświadczył, że istnieją niezbite dowody, iż obydwu tych czynów dopuścił się ten sam mężczyzna.

- Zostawmy kwestie kryminalistyczne policjantom, panowie! - uciął Freud. - Jeśli analiza pomoże policji, to dobrze. Jeśli nie, musimy przynajmniej pomóc pacjentowi. Mam dwa pytania, Younger. Po pierwsze, czy nie widzi pan niczego dziwnego w oświadczeniu panny Acton, że gdy widziała ojca i panią Banwell w bibliotece, nie miała pojęcia, co oni robią?

- Większość czternastoletnich dziewcząt w Ameryce jest jeszcze niedoświadczona, panie profesorze.

- Domyślam się, ale nie o to mi chodzi - odparł Freud.

- Z jej wypowiedzi wynikało, że teraz już wie, co się wtedy działo, prawda?

-Tak.

- Czy przypuszczałby pan, że siedemnastoletnia dziewczyna będzie bardziej doświadczona od czternastolatki? - Zacząłem rozumieć, do czego zmierza. - Skąd wie teraz to, czego nie wiedziała w wieku lat czternastu? - zapytał Freud.

- Wczoraj mi mówiła, że wiele wyczytała w książkach.

- Rozumiem. Świetnie! Musimy się nad tym głębiej zastanowić. Tymczasem jednak zajmijmy się drugim pytaniem. Otóż niech mi pan powie, Younger, dlaczego pacjentka pana zaatakowała.

- Pyta pan, dlaczego rzuciła we mnie filiżanką i spodkiem?

- Tak - powiedział Freud.

- Przecież jeszcze cisnęła w pana dzbankiem, w którym był wrzątek - dodał Ferenczi.

Nie potrafiłem na to pytanie odpowiedzieć.

- Ferenczi, czy może pan oświecić naszego przyjaciela w tej kwestii? - rzucił Freud.
- Niestety, sam też nie bardzo rozumiem - wyznał Ferenczi. - To oczywiste, że się w nim kocha. Ale co jeszcze?

Freud zwrócił się do mnie:

- Niech się pan zastanowi raz jeszcze. Co pan jej powiedział chwilę przedtem, zanim okazała się wobec pana agresywna?
- Tuż przedtem oderwałem dłoń od jej czoła. Dotyk nie poskutkował. Usiadłem z powrotem na swoje miejsce. Poprosiłem, żeby wyjaśniła analogię, o której wspominała wcześniej. Porównywała biel pleców pani Banwell do czegoś innego, przerwała jednak w pół zdania. Poprosiłem, żeby dokończyła myśl.
- Dlaczego?
- Ponieważ sam pan pisał, profesorze, że jeśli pacjent zaczyna zdanie, po czym przerywa i go nie kończy, w grę wchodzi tłumienie jakichś myśli.
- Doskonale, mój chłopcze! - pochwalił Freud. - Jak zareagowała Nora?
- Kazała mi się wynosić. Bez żadnego powodu. A potem rzuciła we mnie filiżanką i spodkiem.
- Tak po prostu? - zapytał Freud.
- Tak po prostu.
- Jaki z tego wniosek?

Znów nie potrafiłem odpowiedzieć.

- Czy nie pomyślał pan, że Nora była zazdrosna z powodu zainteresowania, jakie okazał pan Clarze Banwell? Zwłaszcza że zainteresowanie dotyczyło jej nagich pleców?
- Zainteresowanie panią Banwell? - zdziwiłem się. - Przecież ja jej nawet nie widziałem.
- Podświadomość nie bierze pod uwagę takich drobiazgów. Nora właśnie opisała panu stosunek oralny Clary Banwell ze swoim ojcem. Była świadkiem tego stosunku w wieku lat czternastu. Widok taki, oczywiście, napawa obrzydzeniem każdego porządnego człowieka, budzi największą odrazę. Nora jednak nie okazuje odrazy, choć sugeruje, że rozumie już, na czym stosunek oralny polega. Mówi nawet, że ruchy pani Banwell wydały jej się fascynujące. Jest raczej niemożliwe, żeby Nora obserwowała tę scenę bez uczucia zazdrości. Dziewczynie ciężko jest znieść, gdy widzi własną matkę w takiej sytuacji, a cóż dopiero całkiem obcą kobietę, która budzi w jej ojcu tak wielkie emocje. Musiała być zazdrosna. Chciała być na miejscu Clary podczas stosunku oralnego. Stłamsiła w sobie tę potrzebę i od tamtej pory towarzyszy jej w podświadomości.

Chwilę wcześniej byłem zdziwiony, że Ferenczi wyraża zgorszenie z powodu rzekomo dewiacyjnego aktu seksualnego. Z jakiegoś powodu nie podzielałem jego zgorszenia, nawet kiedy Freud napomknął o odczuciach porządnych ludzi. Pomyślałem, że każda kolejna psychoanaliza zmniejsza społeczną dezaprobatę dla tak zwanych dewiacji seksualnych. Teraz jednak poczułem, że ogarnia mnie właśnie zgorszenie. Żądza, którą Freud przypisywał pannie Acton, wzbudziła we mnie odrazę. Odraza dodaje pewności siebie, jakby dostarczała moralnej motywacji. Trudno pozbyć się poczucia moralności powstałego na gruncie odrazy. To wymaga przewartościowania pojęć zła i dobra, zburzenia kolumny, na której wspiera się cały system wartości.

- Nora uknuła plan uwiedzenia pana Banwella, żeby zemścić się na swoim ojcu - kontynuował Freud. - Właśnie dlatego zaledwie kilka tygodni później zgodziła się wybrać tylko z Banwellem na pokaz sztucznych ogni. Dlatego też wybrała się z nim na samotny spacer brzegiem jeziora dwa lata później. Prawdopodobnie przez cały ten czas uwodziła Banwella, okazując mu swoje zainteresowanie. Dla młodej i ładnej dziewczyny nie było to trudne. Jakże musiał być zaskoczony, gdy go odrzuciła. I to nie raz, ale aż dwukrotnie!

- A zrobiła to, ponieważ prawdziwym obiektem jej pożądania był ojciec - wtrącił Ferenczi. - Dlaczego jednak zaatakowała Youngera?

- No właśnie, dlaczego? Jak pan sądzi, Younger? - zwrócił się do mnie Freud.

- Ponieważ utożsamia mnie z ojcem?

- Otóż to! Dokonując analizy jej zachowania, stawia się pan w pozycji ojca. To przewidywalna reakcja przeniesienia. Dlatego Nora chce teraz zadowolić Youngera ustami i gardłem. Ta właśnie fantazja opanowała jej myśli, kiedy Younger zbliżył się do niej, żeby dotknąć czoła. Mówił nam pan przecież, że w tym momencie dziewczyna zaczęła zdejmować z szyi apaszkę. Gestem tym zapraszała Youngera, żeby ją wykorzystał. W tym miejscu mogę też dodać, że ten sam gest wyjaśnia, dlaczego dotknięcie szyi okazało się skuteczne, a dotknięcie czoła nie. Younger nie skorzystał z zaproszenia i kazał jej z powrotem założyć apaszkę. Poczuli się odrzucona.

- Rzeczywiście, wyglądała na urażoną - wtrąciłem. - Nie potrafiłem zrozumieć, czym ją obraziłem.

- Musimy też pamiętać - ciągnął Freud - że Nora wstydzi się tych śladów napaści. Inaczej nie nosiłaby na szyi apaszki. Bała się więc, że zareaguje pan negatywnie na widok jej szyi bądź pleców. Mówiąc, by nie zdejmowała apaszki z szyi, najwyczejniej ją pan zranił. A gdy wkrótce potem wrócił pan do pleców Clary Banwell, odebrała to tak, jakby chciał jej pan powiedzieć, że to Clara, a nie ona jest obiektem pańskiego zainteresowania i że chce pan obejrzeć plecy nie jej, tylko Clary Banwell. Tym samym w krótkiej chwili nieświadomie powtórzył pan popełniony przez ojca akt zdrady i wywołał tym nagłą wściekłość pacjentki. Właśnie ta wściekłość doprowadziła do fizycznego ataku, po którym nabrała chęci, by dotknął pan jej szyi i ust.

- Tego rozumowania nie da się podważyć - powiedział Ferenczi, aż kręcąc głową z podziwu.

Wchodząc do salonu w domu przy Gramercy Park, Nora Acton poinformowała matkę, że nie będzie dzisiaj spała w swojej sypialni, tylko w małym salonie na parterze. Stamtąd przynajmniej widać policjanta stojącego na straży przed domem. Zapewniała, że w przeciwnym razie nie będzie się czuła bezpieczna.

Były to pierwsze słowa, które Nora skierowała do rodziców po opuszczeniu hotelu. Wkrótce po przyjeździe do domu udała się do swojego pokoju. Wezwano doktora Hig-ginsona, Nora nie chciała go jednak przyjąć. Nie zeszła także na obiad. Oświadczyła, że nie jest głodna, co nie mogło być prawdą, ponieważ nie miała nic w ustach od śniadania, które przygotowała w hotelu pani Biggs.

Wcześniej jednak Mildred Acton usiadła na sofie w salonie. Oświadczyła, że jest bardzo zmęczona i że uważa postępowanie córki za nierozsądne. Cóż bowiem mogło jej się stać, skoro jeden policjant stoi przed drzwiami frontowymi, a drugi na tyłach domu? W każdym razie było wykluczone, żeby Nora spędziła noc w małym salonie, ponieważ widzieliby ją wszyscy sąsiedzi. Co by sobie pomyśleli? Szczególnie teraz rodzina musi się zachowywać, jakby nie była okryta hańbą!

- Jak możesz mówić, że zostałam zhańbiona, mamó! - oburzyła się Nora.
- Ależ ja niczego takiego nie powiedziałam, Noro! Har-court, czy ja mówiłam coś podobnego?
- Nie, moja droga, nie mówiłaś - odrzekł Harcourt Acton, stając nad stolikiem. Przez cały czas zajęty był przeglądaniem poczty, która nagromadziła się podczas ich nieobecności w domu. - Oczywiście, że nie.
- Powiedziałam przecież, że wszyscy musimy zachowywać się tak, jakbyś nie została zhańbiona - wyjaśniła Mildred, dobitnie akcentując trzy ostatnie słowa.
- Bo nie zostałam - powiedziała dziewczyna.
- Nie bądź uparta! - skarciła ją matka.

Nora westchnęła.

- Co ci się stało w oko, ojcze? - zapytała.
- Ach! Drobnny wypadek podczas gry w polo - wyjaśnił.
- Uderzyłem się własnym kijem. Cóż ze mnie za niezdara! Pamiętasz, jak kiedyś odkleiła mi się siatkówka? Też w tym oku. Czy to nie jest pech? - Nikt nie odpowiedział na jego pytanie. - Ale to nic w porównaniu z tobą, Noro. Nie chciałem...
- Nie siadaj tam! - krzyknęła pani Acton do męża, który właśnie miał zamiar zająć jeden z foteli. - Nie, tam też nie. Przed wyjazdem kazałam wyczyścić fotele.
- To gdzie mam usiąść, moja droga?

Nora zamknęła oczy i skierowała się w stronę drzwi.

- Noro! - odezwała się Mildred. - Jak się nazywa ta twoja szkoła?

Dziewczyna zatrzymała się napięta jak struna.

- Barnard - odpowiedziała.

- Harcourt! Musimy się z nimi skontaktować jutro rano.
- Dlaczego chcecie się z nimi kontaktować?
- Żeby ich poinformować, że cię nie będzie, oczywiście. Nie możesz teraz iść do szkoły. Doktor Higginson zaleca, żebyś odpoczęła. Ponadto nigdy mi się ten pomysł nie podobał. Uczelnia dla młodej damy! Za moich czasów nie było takich rzeczy!

Nora pokraśniała.

- Nie wolno wam tego robić!
- Słucham? - zapytała pani Acton.
- Ja zdobędę wykształcenie!
- Czy ty to słyszałeś, Harcourt? Ona nazywa mnie niewykształconą! - oburzyła się pani Acton. - Które ty kieliszki bierzesz? Weź te z górnej półki!
- Ojczy? - odezwała się Nora.
- Musimy wybierać to, co jest dla ciebie najlepsze, Noro.

Dziewczyna patrzyła na rodziców z nieskrywaną wściekłością. Pobiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie. Minęła pierwsze piętro, na którym znajdowała się jej sypialnia, ominęła także drugie i zatrzymała się dopiero na trzecim, gdzie w jednym z niskich i maleńkich pomieszczeń rezydowali państwo Biggs. Wbiegła prosto do tego właśnie pomieszczenia, rzuciła się na łóżko i skryła twarz w poduszce. Po chwili oświadczyła starej służącej, że jeśli ojciec nie pozwoli jej studiować, ucieknie z domu.

Pani Biggs starała się, jak mogła, ją pocieszyć. Zapewniała, że rano wszystko wyda się jej inne, że najlepszym lekarstwem jest sen. Było już dobrze po północy, kiedy Nora zgodziła się w końcu iść do własnego łóżka. Żeby zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa, pani Biggs posadziła męża na krześle przed jej drzwiami i poleciła mu, żeby przez całą noc nawet nie próbował się stamtąd ruszać.

Stary służący ani razu nie opuścił posterunku, ale szybko zmorzył go sen. Także policjanci stali na wyznaczonych stanowiskach. Tym dziwniejsze wydaje się więc, że w środku nocy dziewczyna nagle poczuła, że ktoś przyciska jej do ust chusteczkę, a do szyi chłodne ostrze noża.

Nigdy wcześniej nie gościłem w domu Jelliffa, nie byłem więc przygotowany na ekstrawagancki wystrój tych wnętrz. Słowo „apartament” nie byłoby wystarczające, chyba że mówiący miałby na myśli apartamenty królewskie, choćby te w Wersalu, które zresztą musiały Jelliffa inspirować. Wszędzie rozstawiono niebieską chińską porcelanę i białe marmurowe statuetki; nogi komody, sekretarzyka i kredensu były bogato rzeźbione. Jeśli Jelliffe chciał pokazać gościom, jak jest bogaty, z pewnością mu się to udało.

Znałem już Freuda wystarczająco dobrze, by zauważyć, że ten przepych wzbudza w nim odrazę. Moje bostońskie wychowanie kazało mi zareagować tak samo. Ferenczi z kolei wydawał się tym splendorem autentycznie zachwycony. Słyszałem, jak wymienia uprzejmości z dwiema starszymi

damami, które krążyły wśród gości w salonie - przed obiadem na złotych, a nie srebrnych tacach służący podawali zakąski. Jelliffe miał na sobie biały garnitur i był jedynym wśród zgromadzonych, który nie włożył czarnego stroju wizytowego. Nie przeszkadzało mu to jednak w najmniejszym stopniu.

- Ileż tu złota! - nie mógł wyjść z podziwu Ferenczi, zwracając się do jednej z rozmówczyń. Na suficie gipsowe sceny niebiańskie otoczone były wieńcem złotych liści.

- Przypomina mi to gmach naszej opery w Budapeszcie wzniesiony przez Miklósa Ybla. Były panie może w Budapeszcie?

Żadna z pań nie tam nie była. Obydwie wprowadził w konsternację. A przecież mówił im przed chwilą, że pochodzi z Węgier.

- Tak, oczywiście - potwierdził Ferenczi. - Popatrzcie tylko na tego cherubina w rogu. Z ust zwisają mu maleńkie winogrona! Czyż nie jest zachwycający?

Freud zatopił się w rozmowie z Jamesem Hyslopem, emerytowanym profesorem logiki z Columbia University, który przykładał do ucha trąbkę wielkości tuby w mówiącej maszynie Victrola. Jelliffe nie odstępował Charlesa Loomisa Dany, wybitnego neurologa i w odróżnieniu od naszego gospodarza bywalca tych salonów, na których widywano moją ciotkę Maime. W Bostonie krewniacy Dany są niczym rodzina królewska: należą do stowarzyszenia Synów Wolności, na co dzień bywają w domach najbardziej szanowanych przywódców rewolucji amerykańskiej i ich potomków, jak choćby Adamsowie, piastują liczne godności. Poznałem kiedyś daleką krewną Dany, niejaką pannę Draper z Newport, która zasmucała rodzinę, przebierając się za starą żydowską krawcową. Widząc Jelliffę, pomyślałem natomiast o rozdającym uściski senatorze. Wyglądał na człowieka o niezachwianym poczuciu własnej wartości i nosił swoje potężne ciało tak, jakby tusza była drugą cnotą po męskości.

Po chwili Jelliffe zaprosił mnie do towarzystwa, które uraczył opowieścią o swoim sławnym pacjencie Harrym Thawie, który żył jak król, choć zamknięty w szpitalu psychiatrycznym. Jelliffe stwierdził nawet, że bez wahania zamieniłby się z nim miejscami. Wywnioskowałem, że nasz gospodarz dumny jest ze sławy, którą zawdzięcza takiemu pacjentowi jak Thaw.

- Wyobrażacie sobie? - dodał na zakończenie. - Rok temu kazał nam wszystkim przysięgać, że jest niepoczytalny, żeby uniknąć zarzutu morderstwa. Teraz chce, żebyśmy ręczyli za jego zdrowie psychiczne, bo w ten sposób wyciągniemy go ze szpitala. I my naprawdę go stamtąd wyciągniemy!

Jelliffe położył dłoń na ramieniu Dany i wybuchnął głośnym śmiechem. Kilku słuchaczy zaśmiało się do wtóru, jednakże nie Dana. W salonie znajdowało się już kilkanaście osób, ale czekano na jeszcze jednego gościa. Niebawem lokaj otworzył drzwi i wprowadził do pokoju młodą kobietę.

- Pani Clara Banwell - zaanonsował.

W pewnych okolicznościach szacowni i poważni ludzie zaczynają się zachowywać jak aktorzy na scenie. Mówią i gestykują, jakby odgrywali jakieś role, a przyczyną takiego nienaturalnego zachowania jest niezmiennie kobieta. Właśnie tak zareagowali mężczyźni zebrani w apartamencie Jelliffe'a na wejście Clary Banwell. Miała dwadzieścia sześć lat i skórę białą jak upudrowana japońska księżniczka. Wszystko było w niej doskonałe. Cudowna figura, lśniące ciemne włosy i oczy

w kolorze morskiej zieleni, w których błyszczała inteligencja. Z uszu zwisały jej kolczyki z opalizujących wschodnich pereł, a na szyi na srebrnym łańcuszku wisała różowa perła otoczona koszyczkiem z diamentów w platynie. Pod mężczyznami uginały się nogi, gdy tylko na nich zerknęła; łudzili się, że za spojrzeniem pójdzie cieplejszy uśmiech.

W 1909 roku obowiązywał jeszcze zwyczaj, że goście dochodzili do stołu parami, panie wsparte na silnych, męskich ramionach. Pani Banwell nie wybrała na towarzysza Freuda. Lekko i z wdziękiem oparła dłoń na ramieniu Younge-ra. Chociaż cały czas rozmawiała z Freudem, skupiając przy tym uwagę całego towarzystwa.

- Czy każdego da się poddać psychoanalizie, panie Freud?
- zapytała Clara Banwell, gdy goście przechodzili do jadalni.
- Czy mnie też może pan poddać psychoanalizie?
- Pragnienia kobiety pozostają tajemnicą zarówno dla psychoanalityka, jak i dla poety - odpowiedział Freud, kiedy zasiadali do stołu, lśniącego od kryształów. - Gdyby tylko zechciały panie nam je przekazać, pani Banwell! Ale nie możecie. To jest właśnie problem, którego nie potraficie rozwiązać lepiej niż my, zagubieni mężczyźni. Natomiast pragnienia mężczyzn są niemal zawsze prawie oczywiste. Na przykład nasz gospodarz, zamiast wziąć do ręki łyżkę, przez pomyłkę chwycił nóż.

Wszystkie głowy zwróciły się ku roześmianej, zwalistej postaci Jelliffa siedzącego u szczytu stołu. Rzeczywiście, trzymał w prawej ręce nóż - nie do masła, tylko do mięs.

- Co to może oznaczać, doktorze Freud? - zapytała jakaś starsza dama.
- Oznacza to, że pani Banwell wzbudziła w naszym gospodarzu agresję - stwierdził Freud. - Agresja ta, wynikająca z seksualnego pożądania, którą każdy z nas łatwo dostrzeże, powiodła jego rękę do niewłaściwego sztućca, odkrywając pragnienia, z których sam nie zdawał sobie nawet sprawy.

Przy stole rozległy się niewyraźne pomruki. Younger, siedzący po prawej stronie pani Banwell, zastanawiał się, czy goście zaakceptują tę szczerą odpowiedź.

- Strzał w dziesiątkę! Przyznaję się - wykrzyknął Jelliff, który najwyraźniej postanowił niczym nie mącić swego szampańskiego nastroju, i skierował nóż w stronę Clary.
- Myli się pan tylko w jednym: pragnienia, o których mowa, nie były nieświadomione.

Ta skandalizująca, ale jeszcze nieprzekraczająca etykiety odpowiedź wywołała falę śmiechu; Younger przestał się martwić.

- Natomiast mój przyjaciel Ferenczi bardzo pieczołowicie umieszcza serwetkę za kołnierzykiem koszuli - dodał Freud po chwili. - W tym samym miejscu wiążemy dzieciom śliniaczki, tak więc Ferenczi stara się wzbudzić w pani uczucia macierzyńskie, pani Banwell.

Ferenczi rozejrzał się po zwróconych ku niemu twarzach z rozbijającym zakłopotaniem. Dopiero wtedy spostrzegł, że on jedyny w taki właśnie sposób posłużył się serwetką.

- Przed obiadem długo rozmawiał pan z moim mężem, doktorze Freud - odezwała się pani Hyslop, leciwa niewiasta siedząca obok Jelliffea. - Czego się pan o nim dowiedział?
- Profesorze Hyslop, czy zechce pan potwierdzić, że podczas naszej rozmowy nie wspomniał pan imienia swojej matki? - zwrócił się Freud do jej męża, zanim udzielił odpowiedzi na pytanie.
- Co takiego? - dopytywał się Hyslop, wysoko unosząc swoją trąbkę.
- Nie rozmawialiśmy o pańskiej matce, prawda? - powtórzył głośniej Freud.
- O mojej matce? Nie, nie wspomnieliśmy o niej ani słowem.
- Miała na imię Mary - stwierdził Freud.
- Skąd pan wie? - wykrzyknął Hyslop, mierząc podejrzliwym wzrokiem pozostałych biesiadników. - Skąd on to wie? Nie mówiłem mu, jak miała na imię moja matka!
- Ależ powiedział pan! - zaprzeczył Freud. - Tylko nieświadomie. Zagadką jest dla mnie natomiast imię pańskiej żony. Jelliffe mówi, że ma na imię Alva. Przyznaję, że ja przewidywałem jakąś formę imienia Mary. Mam więc do pani pytanie, jeśli pani pozwoli. Czy mąż, zwracając się do pani, używa jakiegoś zdrobnienia albo pieszczotliwego określenia?
- Na drugie imię dano mi Maria i mąż zawsze mówi do mnie Marie - odparła zaskoczona pani Hyslop.

Po tym oświadczeniu Jelliffe wydał okrzyk zdumienia, a Freud zebrał entuzjastyczne oklaski.

- Dziś rano obudziłam się z katarą - wykrzyknęła matrona, siedząca naprzeciw Ferenczkiego. - Czy to coś oznacza, doktorze Freud?
- Katar, mówi pani? - powiedział Freud i zamilkł, żeby się zastanowić. - No cóż, czasem katar jest tylko katarą.
- Czy kobiety naprawdę są tak wielką zagadką? - Clara Banwell podjęła przerwany wątek. - Odnoszę wrażenie, że zbyt pan komplikuje sprawy płci pięknej. Kobiety chcą tak naprawdę najprostszej rzeczy na świecie - oświadczyła i zwróciła się do świetnie się prezentującego młodego bruneta po swojej prawej ręce. Jedyńską skazą w jego wyglądzie był leciutko przekrzywiony krawat. - Co pan o tym sądzi, doktorze Younger? Czy potrafi pan powiedzieć, czego chce kobieta?

Stratham Younger miał kłopot z oceną Clary Banwell. Po pierwsze, nie potrafił oddzielić obrazu pani Banwell od myśli o jej mężu, którego ciągle podejrzewał o popełnienie morderstwa mimo alibi, jakiego dostarczył mu burmistrz McClellan. Po drugie, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, nieustannie próbował usunąć z pamięci powracający ciągle obraz cudownych, nagich, poruszających się delikatnie w świetle księżycy pleców pani Banwell, na które co jakiś czas odrzucała swoje piękne włosy

Younger święcie wierzył, że Nora Acton jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał. Clara Banwell była jednak równie atrakcyjna. A może nawet bardziej? Hegel twierdzi, że u mężczyzn początkiem pożądania jest zawsze pragnienie tego, czego pożądają inni. Wydawało się niemożliwe,

aby którykolwiek mężczyzna patrzył na Clary Banwell bez pragnienia, by to właśnie jego wybrała spośród wszystkich pozostałych, by zaczęła go faworyzować albo o coś poprosiła. Jelffe na przykład skoczyłby w ogień, gdyby tylko uznała za stosowne go zaszczyścić, zwracając się doń z taką prośbą. Po drodze do jadalni, kiedy dłoń Clary spoczywała lekko na jego ramieniu, Younger odczuwał ten dotyk całym swoim ciałem. A przecież było w niej także coś, co go od niej odpychało. Być może fakt, że niedawno poznał Harcourta Actona. Younger nie uważał się za purytanina, ale myślał, że pani Banwell zaspokajała mężczyznę tak kiepsko wyglądającego, nie była budująca.

- Jestem przekonany, pani Banwell, że o wiele lepiej i w bardziej interesujący niż ja sposób oświeci nas pani na temat kobiet - odparł Younger.

- Chyba mogę panu i wszystkim obecnym powiedzieć, co kobiety naprawdę sądzą o mężczyznach - powiedziała obiecująco. - A przynajmniej o mężczyznach, na których im zależy. Czy chcieliby państwo to usłyszeć? - Rozległa się fala zachęcających pomruków, przynajmniej wśród męskiej części towarzystwa. - Ale nie zrobię tego, dopóki panowie mi nie przyrzekną, że potem wyjawią swój sąd na temat kobiet.

Targu dobito szybko i przez aklamację, choć Younger trzymał język za zębami, podobnie jak siedzący naprzeciw gospodarza Charles Dana.

- Skoro tak, panowie, zdradzę wam nasz sekret - oświadczyła Clara. - Kobiety lubią mężczyzn władczych. Wiem, że takie słowa brzmią staromodnie i można je uznać za objaw zacofania, ale to prawda, więc głupotą byłoby temu zaprzeczać. Wszystkie bogactwa ludzkości, te materialne i te duchowe, stworzyli mężczyźni. Strzelające w niebo miasta, nauka, sztuka i muzyka zostały skonstruowane, wymyślone, namalowane i skomponowane przez mężczyzn. Kobiety o tym wiedzą. Nie możemy nic poradzić na to, że mężczyźni są silniejsi i mają nad nami przewagę. Nie przestajemy też żyć do was urazy z tego powodu, panowie. Na miłość kobiety do mężczyzny w połowie składa się zwierzęca pasja, a w połowie nienawiść. Im bardziej kobieta kocha mężczyznę, tym bardziej go nienawidzi. Jeśli więc mężczyzna ma być wart kobiety, musi być od niej lepszy. A jeśli mężczyzna jest lepszy od kobiety, jakaś jej część zaczyna go nienawidzić. Tylko uroda pozwala nam was prześcignąć, panowie. Nic więc dziwnego, że urodę cenimy sobie ponad wszystko. Dlatego właśnie największym niebezpieczeństwem dla kobiety jest piękny mężczyzna - zakończyła swój wywód Clara Banwell.

Wszyscy słuchali jej jak urzeczeni, co dla Clary Banwell nie było niczym niezwykłym ani nowym. Younger odniósł wrażenie, że pod koniec swojej przemowy rzuciła mu przelotne spojrzenie (nie był zresztą jedynym mężczyzną przy stole, który takie wrażenie odniósł), doszedł jednak do wniosku, że to tylko w wyobraźni. Youngerowi wydało się też, że pani Banwell właśnie wyjaśniła mu skrajnie sprzeczne emocje, jakie jego matka żywiła w stosunku do ojca. Ojciec Youngera popełnił samobójstwo w 1904 roku. Matka nie wyszła ponownie za mąż. Zastanawiał się, czy przez całe życie kochała ojca i nienawidziła w taki właśnie sposób, jaki przed chwilą opisała pani Banwell.

- Zazdrość jest ponad wszelką wątpliwość dominującą siłą w życiu umysłowym kobiet, pani Banwell - stwierdził Freud. - Właśnie dlatego kobiety mają tak niewielkie poczucie sprawiedliwości.

- Mężczyźni nie są zazdrośni? - zapytała Clara.

- Mężczyźni są ambitni - odparł. - Ich zazdrość bierze się głównie z tego właśnie. Kobieta z kolei

zawsze kieruje Eros. Różnica jest widoczna w marzeniach. Oczywiście, wszyscy marzymy. Mężczyźni wszelako mają dwa rodzaje marzeń: związane z erotyką i wynikające z ambicji. Marzenia kobiet mają wyłącznie charakter erotyczny.

- Jestem pewna, że moje nie - oświadczyła pulchna kobieta z porannym katarem.
- Sądzę, że doktor Freud ma rację - odezwała się Clara Banwell. - Zgodziłabym się ze wszystkim, co powiedział, a zwłaszcza ze sprawą męskiej ambicji. Weźmy na przykład mojego męża. George jest ideałem. Nie jest może piękny, ale bez wątpienia przystojny, dwadzieścia lat starszy ode mnie, silny, zwycięski, niezłomny i pełen determinacji. Za to wszystko go kocham. Ale też nie dociera do jego świadomości moje istnienie, gdy tylko znikam mu z oczu, ponieważ tak silnie kieruje nim ambicja. I za to go nienawidzę. Tego wymaga ode mnie natura. Ale ma to także pozytywne strony, ponieważ mogę robić, co mi się podoba, choćby pojawić się dziś wieczorem na wspaniałym przyjęciu u Jelliffe'a. Jestem więc tutaj, a George nawet nie zauważył, że wyszłam z apartamentu.
- Zraniłaś mnie, Claro - oświadczył na to Jelliffe. - Nigdy mi nie mówiłaś, że cieszysz się aż tak wielką swobodą.
- Powiedziałam, że mogę robić, co podoba się mnie, a nie to, co podoba się tobie, Smith - odpaliła.

Tym razem roześmieli się wszyscy

- Tak więc, panowie, wyznałam już nasz sekret. Co teraz powiecie wy? Czy mężczyźni w skrytości ducha nie pragną odrzucić więzów małżeńskich? Nie, Smith, nie ty. Wiem, co sądzisz na ten temat. Wolałabym zapoznać się z bardziej obiektywną opinią. Czy małżeństwo jest rzeczą dobrą, doktorze Freud?
- Dobrą dla społeczeństwa czy dobrą dla jednostki, pani Banwell? - odpowiedział Freud pytaniem. - Społeczeństwo niewątpliwie odnosi z małżeństwa same korzyści. Natomiast dla niektórych jednostek sprostanie współczesnej moralności jest wręcz ciężarem nie do uniesienia. Jak długo jest pani zamężna, pani Banwell?
- Wyszłam za George'a, mając dziewiętnaście lat - odpowiedziała Clara i kilku gości natychmiast zaczęło się zastanawiać, jak też dziewiętnastoletnia pani Banwell wyglądała na łożu małżeńskim w noc poślubną. - A więc jestem mężatką od siedmiu lat.
- W takim razie wie pani już dość, jeśli nie z własnego doświadczenia, to z opowieści przyjaciółek, żeby nie poczuć się zaskoczona tym, co powiem - stwierdził Freud. - W większości małżeństw satysfakcja ze współżycia płciowego nie trwa długo. Po czterech, pięciu latach małżeństwo zazwyczaj ponosi klęskę w tym aspekcie, a ta klęska z kolei owocuje następną: osłabieniem więzi duchowej. W rezultacie zdecydowana większość małżeństw kończy się fiaskiem w sferze duchowej i fizycznej. Z punktu widzenia psychologa mężczyzna i kobieta wracają do stanu sprzed małżeństwa, z jedną tylko różnicą: są teraz ubożsi, bo stracili złudzenia.

Clara Banwell wpatrywała się intensywnie w Freuda. Na chwilę odjęło jej mowę.

- Co on mówi? - wykrzyknął niecierpliwie profesor Hys-lop, próbując przesunąć swoją trąbkę bliżej Freuda.

- Usprawiedliwia zdradę małżeńską - odpowiedział Charles Dana, który odezwał się po raz pierwszy, odkąd zasiadł przy stole. - Widzi pan, doktorze Freud, oprócz salonowych sztuczek, które pan stosuje, najbardziej mnie w tym wszystkim zaskakuje fakt, iż tak wielką wagę przywiązuje pan do bolączek wynikających z seksualnych frustracji. Tymczasem nasz problem nie polega na tym, że zbyt ograniczamy swobodę seksualną. Odwrotnie: nasze ograniczenia są w tej sferze zbyt małe.

- Czyżby? - zdziwił się Freud.

- Na ziemi żyje miliard ludzi. Miliard! I liczba ich rośnie w postępie geometrycznym. Jak ludzie ci mają żyć, doktorze Freud? Co mają jeść? Co roku wybrzeża naszego kraju zalewają kolejne miliony najuboższych, najmniej rozgarniętych, najbardziej podatnych na wykroczenia przeciw prawu. Nasze miasta znalazły się z ich powodu na granicy anarchii. Nasze więzienia pękają w szwach. Oni rozmnażają się jak muchy. I okradają nas. Nie możemy ich za to winić. Człowiek, który nie ma czym nakarmić swoich dzieci, musi kraść. Tymczasem pan, doktorze Freud, jeśli oczywiście dobrze rozumie pańskie idee, wydaje się zajmować wyłącznie złem płynącym z tłumienia seksualnych popędów. Otóż jestem zdania, że człowiek nauki powinien raczej zająć się niebezpieczeństwami płynącymi z emancypacji seksualnej.

- Co pan by zaproponował, Charles, żeby ograniczyć imigrację? - zapytał Jelliffe.

- Sterylizację - odparł Dana z pełnym przekonaniem, przykładając do warg serwetkę. - Nawet kiepski farmer wie, że nie powinien dopuszczać do rozrodu najgorszych osobników ze swojego stada. Ludzie nie różnią się pod tym względem od bydła. Gdybyśmy zwierzętom pozwolili się rozmnażać wedle ich woli, jedlibyśmy kiepskie mięso. Każdy, kto osiedla się w tym kraju bez odpowiednich środków do życia, powinien zostać wysterylizowany.

- Chyba nie przymusowo, Charles? - zapytała pani Hyslop.

- Nikt ich przecież nie zmusza, żeby tu przyjeżdżali, Alvo

- odparł Dana. - Nikt ich nie zmusza, żeby tu zostali. Jak więc można mówić o przymusie? Jeśli chcą się rozmnażać, niechaj wyjadą. Przymus dotyka nas, a nie ich, bo to my musimy ponosić koszty związane z ich niezdolnym potomstwem, które kończy na ulicy albo w więzieniu. Dopuszczam, oczywiście, wyjątek dla tych, którzy przejdą pomyślnie test na inteligencję. Pyszna zupa, Jelliffe. Prawdziwa zółwiowa, czy tak? Wiem, wiem, powiecie wszyscy, że jestem okrutny i bez serca. Ale przecież ja odbieram im tylko płodność. Doktor Freud chce ich pozbawić czegoś znacznie ważniejszego.

- Czego mianowicie? - zapytała Clara.

- Moralności - odpowiedział Dana. - Jaki byłby świat, doktorze Freud, gdyby pańskie poglądy się upowszechniły? Mogę go sobie wyobrazić. Niższe warstwy społeczne zaczynają gardzić cywilizowaną moralnością. Bogiem staje się satysfakcja i zadowolenie. Wszyscy wspólnie odrzucają dyscyplinę i wyrzeczenia. Tłum wznieca bunt, bo dlaczego miałyby nie wzniecić? A czego zażąda tłum po zniesieniu reguł i norm cywilizacyjnych? Sądzi pan, że będzie chciał tylko seksu? Otóż nie. Wprowadzi nowe reguły. Będzie chciał słuchać jakiegoś nowego szaleńca. I zacznie się domagać krwi, prawdopodobnie także pańskiej, doktorze Freud, jeśli możemy opierać się na historii. Tłum zechce udowodnić, że jest lepszy, bo niższe klasy zawsze chcą to udowodnić. Zacznie więc zabijać, żeby

dowody zyskać. Dojdzie do przelewu krwi, wielkiego przelewu krwi, na skalę dotychczas niespotykaną. Chciałby pan wyeliminować moralność naszej cywilizacji, doktorze Freud, moralność trzymającą w ryzach nieodłączną człowiekowi agresję. Tylko czym pan chce ją zastąpić? Co postawi pan w zamian?

- Tylko prawdę - odpowiedział Freud.
- Prawdę o Edypie?
- Między innymi.
- Jemu w istocie przyniosła wiele dobrego!

Przy łóżku Nory Acton drżał maleńki płomień świecy. Na zasłonach tańczyło delikatnie światło lamp ulicznych w Gramercy Park. Wystarczyło to, aby Nora poczuła raczej, niż zobaczyła, sylwetkę mężczyzny obecnego w jej pokoju. Chciała krzyknąć, ale jej umysł nie funkcjonował normalnie, stracił kontrolę nad ciałem. Wyrwał się z niego i unosił gdzieś wysoko. Jej umysł, a może ona sama unosiła się wysoko nad łóżkiem, aż pod sufitem, zostawiając na pościeli uległe, odziane w nocną koszulę ciało.

Teraz widziała napastnika wyraźnie z góry. Patrząc w dół na samą siebie, dostrzegła, jak odejmuje jej od twarzy chusteczkę, a potem rozmazuje jej na śpiących, bezwolnych wargach czerwoną szminkę. Po co maluje jej usta? Spodobała się sobie z czerwonymi ustami, choć zawsze się zastanawiała, jak będzie wyglądać. Co zrobi dalej? Z góry przyglądała się, jak zapala papierosa od migającej przy łóżku świecy, umieszcza kolano na jej leżącym bezwładnie na wznak ciele i gasi na nim żarzącego się papierosa tuż nad najbardziej intymną częścią.

Jej ciało drgnęło, uderzając o ugięte nad nim kolano. Widziała z góry, jak ciałem wstrząsa dreszcz. Jakby poraził ją ból. Ale przecież nie czuła bólu. Obserwując wszystko z góry, nie czuła kompletnie nic. A skoro nie czuła bólu, patrząc na siebie z góry, to bólu nie było. Bo któż inny mógłby go odczuwać?

CZEŚĆ

czwarta

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Będę musiał się zachowywać, jakbym nie żywił dla niej żadnych uczuć. Tak właśnie sobie powiedziałem w czwartek rano podczas golenia. O wpół do jedenastej miałem się zjawić w rezydencji Actonów, żeby kontynuować z Norą terapię. Wiedziałem, że mógłbym ją mieć. Ale byłaby to manipulacja, wykorzystanie przewagi, jaką ma terapeuta nad pacjentem, pogwałcenie przysięgi, którą składałem, rozpoczynając praktykę lekarską.

Nie potrafię opisać, co chodzi mi po głowie, gdy wyobrażam sobie tę dziewczynę. A wyobrażam ją sobie nieustannie. Nie da się opisać pustki, jaką odczuwam w piersiach, gdy nie znajduję się obok niej. Jakbym umierał z tęsknoty za nią. Jakbym umierał na jej brak.

Czuję się sparaliżowany jak Hamlet. Z jedną wszakże różnicą: ja czuję, że umrę, jeśli nie podejmę działania, Hamlet natomiast jest przekonany, że umrze, jeśli działać zacznie. Dla Hamleta być to znaczy nie działać. Podjąć działanie to umrzeć, popaść w niebyt.

Być albo nie być; oto jest pytanie:

Czy szlachetniejszym jest znosić świadomie Losu wściekłego pociski i strzały,

Czy za broń porwać przeciw morzu zgryzot,

*Aby odparte znikły? - Umrzeć... **

Przekład Macieja Słomczyńskiego.

Innymi słowy, być to znaczy cierpieć swój los, nic nie robić i tym samym żyć, podczas gdy nie być to podjąć działanie, chwycić za broń i zadać sobie śmierć. Ponieważ działanie oznacza śmierć, Hamlet wie, dlaczego nic nie robi. Ze strachu przed śmiercią. Jego monolog kończy się stwierdzeniem, że w krainie śmierci jest coś, co zmienia go w tchórza i pęta jego wolę.

Dla Hamleta istnienie to zastój, cierpienie, tchórzostwo, inercja, podczas gdy niebyt wymaga odwagi, przedsiębiorczości i podjęcia akcji. Tak przynajmniej interpretowany jest jego monolog. Ja jednak nie jestem przekonany. To prawda, w końcu Hamlet ginie, ponieważ wreszcie podejmuje działanie przeciwko stryjowi. Może wie, że taki los mu pisany. Tylko że istnienia nie da się połączyć z biernością. Życie i działanie to przecież jedno. Być nie może oznaczać: nic nie robić. Po prostu nie może. Hamlet jest sparaliżowany, ponieważ w umyśle działanie w jakiś dziwny sposób zrównuje z niebytem. To fałszywe równanie, ta pozorna ekwiwalencja nigdy nie została w pełni zrozumiana.

Z powodu Freuda nie mogę już myśleć o Hamlecie bez odniesienia do Edypa. Obawiam się, że coś podobnego zaczyna dotyczyć moich uczuć do panny Acton. Jeśli Freud ma rację i panna Acton pożąda własnego ojca, ja tego nie zniosę. Wiem, to całkowicie nieracjonalne. Bo jeśli Freud ma rację, wszyscy żywimy takie pragnienia, a ponieważ nikt z nas nie ma na nie wpływu, nikt nie powinien być za nie napiętnowany. Tyle tylko, że gdy rozważam tę hipotezę w odniesieniu do panny Acton, nie potrafię darzyć jej miłością. W ogóle tracę wtedy zdolność kochania: jak bowiem można żywić miłość do istoty, w której kłębią się tak obrzydliwe żądze?

*

Czwartkowy poranek zaczął się w domu Actonów wielką wrzawą. Nora obudziła się o świcie; zataczając się, wstała z łóżka, otworzyła drzwi i przewróciła pana Biggsa wraz z krzesłem, na którym spał przed progiem jej pokoju. Ten natychmiast podniósł alarm i poinformował wszystkich domowników, że w nocy znów ktoś napadł na pannę Acton. Dwaj policjanci spod frontowych i tylnych drzwi domu pędem wbiegli na górę, po czym z powrotem zbiegli na dół. Rozglądali się wszędzie, ale niewiele udało im się osiągnąć. Posłano po doktora Higginsona. Stary lekarz bardzo się przejął faktem, że Nora znów padła ofiarą napaści i z zakłopotaniem obejrzał miejsce oparzenia. Dał dziewczynie maść łagodzącą i zalecił nakładać w razie potrzeby. Zaraz też wyszedł i kręcąc głową, zapewnił rodzinę, że pacjentka nie ucierpiała w żaden inny sposób. Na miejscu zjawiono się więcej policjantów. Detektyw Littlemore, który poprzedniej nocy zasnął przy swoim biurku, dotarł do rezydencji Actonów o ósmej.

Littlemore zastał Norę i zrozpaczonych rodziców w sypialni dziewczyny. Umundurowani policjanci skrupulatnie oglądali okna i wyłożoną dywanami podłogę. Detektyw wręczył jednemu z nich sprzęt do zbierania odcisków i nakazał mu sprawdzić, czy z klamek, parapetów, okien i drewnianych elementów łóżka da się zdjąć odciski palców. Nora leżała na łóżku, wciąż w nocnej koszuli, z rozczochranymi włosami i przerażonym wzrokiem. Prawie się nie poruszała, stanowiąc jakby nieruchome oko cyklonu przetaczającego się wokół. Wciąż od nowa ją proszono, by opowiadała, co się stało.

To był George Banwell, powtarzała w kółko. To był George Banwell, z papierosem i nożem w ręku, otoczony mrokiem nocy. Nikt nie ma zamiaru go aresztować? Pytanie to wywołało żywe protesty państwa Actonów, którzy razem i każde z osobna twierdzili, że to nie mógł być George Banwell. To na pewno nie był on. Skąd Nora może mieć całkowitą pewność, skoro napastnik zaatakował w środku nocy?

Littlemore miał problem. Żałował, że nie dysponuje innymi dowodami niż tylko zeznanie dziewczyny. W końcu pamięć panny Acton nie była wzorem niezawodności. Gorzej, nawet ona sama przyznawała, że nie widziała dokładnie mężczyzny, który wtargnął nocą do jej sypialni, ponieważ było ciemno. Powiedziała jedynie, czego Littlemore także żałował, że po prostu jest przekonana, iż był to Banwell. Gdyby Littlemore kazał aresztować Banwella, burmistrz nie byłby zadowolony. Panu McClellanowi nie podobałoby się nawet, gdyby Banwella wezwał tylko na przesłuchanie.

W końcu detektyw postanowił, że lepiej będzie, jak poczeka na dyspozycje burmistrza.

- Czy mogę zadać pani jedno pytanie, panno Acton?
- Proszę - zezwoliła.
- Czy zna pani Williama Leona?
- Słucham?
- Czy zna pani Williama Leona? - powtórzył Littlemore.
- To Chińczyk, znany także jako Leon King.

- Nie znam żadnego Chińczyka, detektywie.
- Może to odświeży pani pamięć - nie ustępował detektyw, podsuwając dziewczynie pod oczy fotografię, którą wyjął z kieszeni marynarki. Było to zdjęcie, które zdjął ze ściany w mieszkaniu Leona. Przedstawiało Chińczyka z dwiema kobietami. Jedną z nich była Nora Acton.
- Skąd pan to wziął? - zapytała.
- Gdyby mogła mi pani tylko powiedzieć, kto to jest - poprosił. - To naprawdę ważne. Ten człowiek może być niebezpieczny.
- Nie wiem. I nigdy nie wiedziałam. Uparł się, że chce mieć zdjęcie ze mną i z Clarą.
- Jaką Clarą?
- Clarą Banwell - wyjaśniła Nora. - To ona stoi obok mnie. A ten mężczyzna był jednym z Chińczyków Elsie Sigel.

Detektyw Littlemore bardzo się zainteresował obydwoma nazwiskami. Jeśli bowiem William Leon nie miał słabości do kobiet o imieniu Elsie, w jednej chwili zidentyfikował nie tylko drugą kobietę ze zdjęcia, ale także autorkę listów miłosnych znalezionych w kufrze, a może nawet ową martwą kobietę, obok której leżały.

- Elsie Sigel - powtórzył Littlemore. - Czy może pani powiedzieć mi o niej coś więcej? To Żydówka?
- Na Boga, nie! - obruszyła się Nora. - Elsie zajmowała się pracą misyjną. Musiał pan słyszeć o rodzinie Sigelów. Dziadek Elsie był znanym człowiekiem. Jego pomnik stoi w Riverside Park.

Littlemore aż zagwizdał pod nosem. Generał Franz Sigel był naprawdę znanym człowiekiem, bohaterem wojny secesyjnej, który potem został znanym nowojorskim politykiem. Podczas uroczystości pogrzebowych w 1902 roku przed trumną generała pokłoniło się ponad dziesięć tysięcy mieszkańców Nowego Jorku. Wnuczki generałów z czasów wojny secesyjnej nie powinny pisywać listów miłosnych do kierowników restauracji w Chinatown. Nie powinny pisać żadnych listów do Chińczyka. Zapytał więc, co łączyło pannę Sigel z Williamem Leonem.

Nora nie wiedziała na ten temat wiele. Zeszłej wiosny razem z Clarą Banwell zgłosiły się jako pomocnice na apel jednego ze stowarzyszeń dobroczynnych pani Riis. Odwiedzały rodziny z kamienic czynszowych na Lower East Side, by służyć im pomocą. Którejś niedzieli natknęły się w Chinatown na Elsie Sigel, która uczyła religii grupkę Chińczyków. Jeden z jej uczniów miał aparat fotograficzny. Nora zapamiętała go dość dobrze, ponieważ wyróżniał się na tle pozostałych. Był od nich bardziej przyzwoicie ubrany i znacznie lepiej potrafił się wysławiać. Ale nie знаła nawet jego imienia. Odniosła wrażenie, że Elsie utrzymuje z nim jakieś bliższe kontakty. Właśnie ze względu na tę jego rzekomą przyjaźń z Elsie jakoś nie wypadało odmówić jej i Clarze, gdy poprosił o wspólne zdjęcie.

- Czy wie pani, gdzie mieszka panna Sigel? - zapytał Littlemore.
- Nie, ale nawet gdybym wiedziała, nie sądzę, by ją pan znalazł pod adresem domowym, detektywie. W czerwcu tego roku Elsie uciekła z pewnym młodym mężczyzną. Wszyscy mówią, że razem się

udali do Waszyngtonu.

Littlemore pokiwał głową. Podziękował Norze, a następnie poprosił jej matkę, by pozwoliła mu skorzystać z telefonu. Gdy połączono go z komendą policji, wydał polecenie, by natychmiast odnaleźć rodziców Elsie Sigel, prawnuczki generała Franza Sigela. Jeśli państwo Sigelowie potwierdzą, że nie widzieli córki od czerwca, trzeba ich zawieźć do miejskiej kostnicy.

Po powrocie do sypialni panny Acton zastał w niej już tylko Norę i panią Biggs. Ostatni policjant właśnie wychodził. Zameldował mu, że nie znalazł żadnych odcisków palców - ani na parapecie, ani na drążkach podtrzymujących baldachim nad łóżem. Jeśli natomiast idzie o klamki, to zbyt wielu ludzi dotykało ich od chwili napaści. Pani Biggs próbowała uprzątnąć bałagan, który zostawiła po sobie ekipa dochodzeniowa. Nora leżała dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej znajdowała się, gdy opuszczał pokój.

- Jak według pani napastnik dostał się do środka, panno Acton? - zapytał Littlemore, rozglądając się po pomieszczeniu.

- Wydaje mi się, że wszedł... No cóż. Nie wiem.

Rzeczywiście, była to zagadka. Do rezydencji Actonów

prowadziło tylko dwoje drzwi: frontowe i tylne. Pilnujący ich postawni policjanci przysięgali, że przez całą noc przez jedne i drugie nikt nie wchodził ani nie wychodził. Nie było jednak wątpliwości, że stary Biggs zasnął na straży; potwierdzali to wszyscy. Ale ustawił swoje krzesło tak sprytnie, że plecami opierał się o drzwi sypialni dziewczyny. Właśnie dlatego przewróciła go, kiedy rano chciała wyjść. Trudno więc byłoby komukolwiek wejść do sypialni, tak by Biggs tego nie zauważył.

Czy napastnik mógł dostać się do pokoju przez okno? Sypialnia Nory mieściła się na pierwszym piętrze, ale okna wychodziły na park. Gdyby więc ktoś chciał się przez nie włamać, musiałby zwrócić na siebie uwagę policjanta pilnującego drzwi frontowych. Czyżby więc spuścił się po linie z dachu? To nie było wykluczone. Na dach można się było dostać z sąsiednich budynków. Jednakże sąsiedzi przysięgali, że do ich domów nikt się ubiegłej nocy nie włamał. Oprócz tego Littlemore doszedł do wniosku, że dorosłemu mężczyźnie trudno byłoby przecisnąć się przez którekolwiek z okien w sypialni Nory.

Właśnie kiedy detektyw Littlemore oglądał okna w sypialni Nory Acton, na których nie dostrzegł żadnych śladów wskazujących, że ktoś przez nie wszedł lub wyszedł, zaczęły wychodzić na jaw fakty podające w wątpliwość opowiedzianą przez dziewczynę wersję wydarzeń. Najpierw pani Biggs znalazła w koszu na śmieci niedopałek papierosa, który nosił ślady szminki. Bardzo była tym odkryciem zadziwiona. Littlemore także.

- Czy to pani, panno Acton? - zapytał.

- Oczywiście, że nie! - oburzyła się Nora. - Nie palę. Zresztą nie mam nawet szminki.

Jak tylko to powiedziała, zakryła sobie usta dłonią. Właśnie wtedy bowiem przypomniała sobie, że widziała, jak Banwell je malował. Wcześniej jakoś o tym zapomniała. Całe to zdarzenie było dziwnie rozmazane w jej pamięci, jakby widziała je przez mgłę. Stwierdziła, że Banwell zapewne posmarował

niedopałek szminką, zanim wrzucił go do kosza. Nie wspomniała o najdziwniejszym fakcie, że przez cały czas widziała Banwella jakby z góry, a nie z pozycji leżącej. Zapewniła na wszelki wypadek powtórnie, że nie ma w ogóle żadnych kosmetyków, bo nie maluje twarzy.

- Jeśli pani pozwoli, chciałbym się rozejrzeć po pokoju

- oświadczył Littlemore.

- Pańscy ludzie robili to przez dwie godziny - odparła.

- Czy pozwoli pani? - upierał się.

- Bardzo proszę.

Żaden z policjantów nie przeszukiwał rzeczy osobistych Nory Littlemore postanowił zrobić to teraz. W najniższej szufladzie jej toaletki znalazł kilka kosmetyków, w tym puder, fiolkę perfum i szminkę do ust. Obok nich leżała paczka papierosów.

- To nie są moje rzeczy! - oświadczyła Nora. - Nie mam najmniejszego pojęcia, skąd się tu wzięły.

Littlemore kazał swoim ludziom wrócić do sypialni i dokładnie ją przeszukać. Kilka minut później na górnej półce w szafie pod stertą ubrań znaleźli zupełnie nieoczekiwanie krótki bicz z wygiętą rączką. Littlemore nie wiedział wiele o średniowiecznych praktykach umartwiania, nawet on jednak mógł bez trudu stwierdzić, że ten akurat rodzaj bicia pozwoliłby użytkownikowi sięgnąć do miejsc trudno dostępnych na własnym ciele, na przykład pleców i pośladków.

Po tych rewelacyjnych odkryciach Jimmy Littlemore bardzo się ucieszył, że jednak nie kazał aresztować George a Banwella.

Ale chwilę później sam już nie wiedział, co ma o tym wszystkim sądzić, ponieważ jeszcze inny policjant pokazał mu odkrycie, którego dokonał w ogrodzie za domem. Udał się tam i wspiął na drzewo, żeby sprawdzić, czy dałoby się w ten sposób wejść do budynku. Okazało się to niemożliwe. Kiedy schodził, zauważył coś, co połyskiwało w szczelinie w korze drzewa nisko nad ziemią i co w pierwszej chwili uznał za monetę. Okazało się to jednak okrągłą złotą spinką do krawata z monogramem. Monogram pokazywał litery G i B, a w zapięciu tkwił mały kawałek białego jedwabiu.

Po raz pierwszy Brill spóźnił się na śniadanie. Kiedy się w końcu pojawił, wyglądał okropnie. Był nieogolony i wystraszony. Miał podwinięty kołnierzyk koszuli. Powiedział Freudowi, Ferencziemu i mnie, że Rose cała noc nie spała. Godzinę temu dał jej trochę laudanum. Sam zresztą też nie mógł zmrużyć oka. Zaraz też oświadczył, że chce z nami porozmawiać z dala od postronnych osób. Udaliśmy się więc we cztery do pokoju Freuda, zostawiając na stole notkę z informacją dla Jonesa i Junga - choć żaden z nas nie miał pojęcia, czy Jung w ogóle jest w hotelu.

- Po prostu nie mogę tego zrobić! - wybuchnął Brill, gdy znaleźliśmy się w apartamencie Freuda. - Nie mogę! Powiedziałem już Jelliffe'owi. - Najwyraźniej chodziło mu o tłumaczenie książki Freuda. - Gdyby chodziło tylko o mnie, to co innego. Naprawdę. Ale nie mogę ściągać niebezpieczeństwa na Rose. Ona to wszystko, co mam. Rozumiecie, prawda?

Nakłoniliśmy go, żeby usiadł. Kiedy uspokoił się wystarczająco, by mówić logicznie, zaczął nas

przekonywać, że popiół rozsypany w jego mieszkaniu ma związek z biblijnymi cytatami, które przesyłano mu pocztą.

- Widzieliście ją przecież - powiedział, wracając znów do Rose. - Zamienili ją w słup soli. Tak było napisane w telegramie i tak się stało.
 - A więc twierdzisz, że ktoś celowo rozsypał popiół w twoim mieszkaniu, Brill - zapytał Freud. - Ale po co?
 - To ostrzeżenie - odparł Brill.
 - Od kogo? - zapytałem.
 - Tych samych ludzi, którzy kazali aresztować Princea w Bostonie. Tych samych, którzy próbują nie dopuścić do wykładów Freuda w Clark University.
 - Wiedzą, gdzie mieszkasz? - zdziwił się Ferenczi.
 - A skąd wiedzą, że Jones sypia ze swoją służącą? - odpowiedział mu pytaniem Brill.
- Nie możemy zbyt pochopnie wyciągać wniosków
- stwierdził Freud. - Niewątpliwie prawdą jest, że ktoś posiada znaczne rozeznanie w naszym życiu prywatnym.

Brill wyciągnął z kieszeni kopertę i wyjął z niej mały kawałek nadpalonego papieru. Mimo poczerniałej powierzchni widać było, że przed spaleniem pokryty był drukiem. Dostrzegłem niemieckie u z umlautem, a trochę na prawo od niego coś, co mogło być wielką literą H. Niczego więcej nie dało się odczytać.

- Znalazłem to w sypialni - wyjaśnił Brill. - Spalili moją książkę. Książkę Freuda. A popioły rozsypali w moim mieszkaniu. Następnym razem spalą cały budynek. Tak było w telegramie. Deszcz ognia. I trzeba się zatrzymać, zanim będzie za późno. Jeśli opublikuję książkę Freuda, oni zabiją Rose i mnie.

Ferenczi zganił go za takie rozumowanie, argumentując, że jego obawy są znacznie przesadzone wobec wydarzeń, które rzeczywiście nastąpiły. Freud nie pozwolił mu jednak skończyć.

- Bez względu na motywy, Abrahamie, odłóżmy publikację - powiedział, kładąc mu rękę na ramieniu. - Książka może poczekać. Nie jest dla mnie tak ważna jak ty

Brill zwiesił smętnie głowę i położył dłoń na ręku Freuda. Miałem wrażenie, że się zaraz rozplącze. A wtedy zapukał do drzwi kelner, który przyniósł zamówione przez Freuda kawę i ciasteczka. Brill się wyprostował. Przyjął filiżankę kawy. Wydawało się, że ostatnie słowa Freuda przyniosły mu wielką ulgę, jakby spadł mu z serca wielki ciężar. Wycierając nos, odezwał się zupełnie już innym głosem, uderzając w znajomy, na wpół żartobliwy ton.

- Ale to nie mną powinien się pan martwić, profesorze. Co się dzieje z Jungiem? Wie pan, że ja i Ferenczi jesteśmy przekonani, że Jung jest psychopatą?

- Nie mówiłbym jeszcze o psychozie - sprostował Ferenczi. - Ale stwierdzam u niego wyraźne symptomy załamania psychicznego.

- Nonsens! - obruszył się Freud. - Jakie mianowicie?

- Słyszy głosy. Twierdzi, że podłoga w mieszkaniu Brill-la ugina się pod nogami. W pół zdania urywa konwersację. I każdemu napotkanemu człowiekowi opowiada, że jego pradziadek został fałszywie oskarżony o morderstwo - wyliczył Ferenczi.

- Nie potrafię wyjaśnić tego inaczej niż psychozą - stwierdził Freud. Byłem przekonany, że ma na myśli coś konkretnego, ale nie sprecyzował wypowiedzi. Zastanawiałem się, czy nie przytoczyć jako dowodu zaskakującej interpretacji snu Freuda z hrabią Thunem, którą przedstawił nam Jung, byłem jednak przekonany, że Freud nie wspomniał o tym śnie ani Brillowi, ani Ferencziemu. Nie chciałem więc robić tego ja.

- A w dodatku utrzymuje, że śnił pan o nim dziesięć lat temu! - wykrzyknął Brill. - Ten człowiek oszalał!

Freud wziął głęboki oddech.

- Panowie, wiecie równie dobrze jak ja, że Jung żywi pewne przekonania dotyczące jasnowidztwa i okultyzmu. Cieszę się, że podzielacie mój sceptycyzm w tej materii, ale Jung nie jest jedyny, który ma na te sprawy szersze spojrzenie.

- Szersze spojrzenie! - zachnął się Brill. - Gdym ja przyjął spojrzenie tej szerokości, powiedziała by pan, że mam urojenia. Na kompleks Edypa także ma szersze spojrzenie. Musi pan przecież wiedzieć, że nie akceptuje seksualnej etiologii.

- Chcielibyście, żeby tak było i żeby go usunął z naszego grona - odparł Freud spokojnie. - Tymczasem prawda jest taka, że Jung bez zastrzeżeń akceptuje teorię seksualną. W przyszłym tygodniu podczas swojego wystąpienia w Clark University będzie mówił o dziecięcej seksualności.

- Naprawdę? Pytał go pan, o czym będzie mówił w Ford-ham? - Freud nie odpowiedział, tylko popatrzył na Brilla, mrużąc oczy. - Jelliffe mi powiedział, że Jung w rozmowie z nim kilkakrotnie podkreślał, jak bardzo go martwi przykładanie zbyt wielkiej wagi do roli seksu w psychoneurozach. Tak właśnie się wyraził: przykładanie zbyt wielkiej wagi.

- No cóż, najwyraźniej więc nie chce przykładać do seksu zbyt wielkiej wagi - burknął Freud. - Ja też nie chcę zbyt wielkiej wagi do tego przykładać. Posłuchajcie mnie, panowie, obydwaj! Wiem, że nie cierpicie Junga z powodu antysemityzmu. Oszczędzajcie mnie, za to ze zwiększoną energią kieruje ataki przeciw wam. Zapewniam was także, że dobrze wiem o problemach Junga z teorią seksualną. Musicie jednak pamiętać, że jemu o wiele trudniej niż wam było pójść za mną. Trudniej też będzie obecnemu tu Youngerowi. Człowiek wychowany w nieżydowskiej wierze musi pokonać większe opory wewnętrzne. A Jung jest nie tylko chrześcijaninem, ale także synem pastora.

Żaden z nich się nie odezwał, postanowiłem więc wtrącić swoje trzy grosze:

- Przepraszam, panie profesorze, ale dlaczego przywiązuje pan znaczenie do tego, czy się jest

chrześcijaninem, czy żydem?

- Mój chłopcze - odparł Freud szorstko. - Przywołujesz mi na myśl powieść pióra jednego z braci Jamesów. Jak on miał na imię?
- Henry, panie profesorze - podpowiedziałem.
- Właśnie, Henry.

Jeśli wyobrażałem sobie, że Freud powie cokolwiek więcej w odpowiedzi na moje pytanie, to się grubo myliłem. Zamiast tego zwrócił się do Ferenczego i Brilla.

- Wolelibyście, żeby psychoanaliza stała się żydowską sprawą narodową? Oczywiście, że faworyzowanie Junga jest z mojej strony niesprawiedliwe, ponieważ inni są ze mną o wiele dłużej niż on. Ale my, starozakonni, musimy być przygotowani na pewną dawkę niesprawiedliwości, jeśli chcemy zająć jakąkolwiek pozycję w tym świecie. Nie mamy wyboru. Możecie być pewni, że gdybym nazywał się Jones, moje idee wzbudzałyby znacznie mniejsze kontrowersje. Popatrzcie na Darwina. Zakwestionował Księgę Rodzaju i okrzyknięto go bohaterem. Tylko chrześcijanin może doprowadzić psychoanalizę do ziemi obiecanej. Musimy trzymać Junga *fur die Sache*. W nim pokładać wszystkie nasze nadzieje!

Nie wiem, dlaczego „dla dobra sprawy” Freud powiedział po niemiecku. Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Zajęliśmy się kawą i ciastkami. Brill nie jadł. Ogryzał tylko paznokcie. Sądziłem, że nie wrócą już do dyskusji na temat Junga. Ale byłem w błędzie.

- A co z tym jego znikaniem? - zapytał Brill. - Jelliffe mi mówił, że w niedzielę Jung wyszedł z rezydencji Balmoral około północy, a recepcjonista w hotelu się zaklina, że dotarł z powrotem dopiero o drugiej nad ranem. To dwie godziny, podczas których nie wiadomo, co robił. Jung zapewnia, że w poniedziałek drzemał w swoim pokoju przez cały dzień, tymczasem pracownicy hotelu twierdzą, że wrócił do siebie dopiero wieczorem. W poniedziałek po południu pukałeś do drzwi jego pokoju, Younger. Ja także. Długo i głośno. Nie sądzę, żeby był w środku. Gdzie więc był?

- Czy dobrze zrozumiałem? Mówiłeś, że w niedzielę wieczorem Jung był w Balmorale? - wtrąciłem.
- Tak. Jelliffe ma tam apartament. Byliśmy tam przecież wczoraj wieczorem.
- Nie zdawałem sobie sprawy - rzuciłem.
- Z czego? - chciał wiedzieć Brill.
- Nic ważnego. Po prostu zbieg okoliczności.
- Jaki zbieg okoliczności?
- Napaść na tę pierwszą dziewczynę, tę, którą zabito, zdarzyła się właśnie w Balmorale - wyjaśniłem, niezręcznie kręcąc się na krześle. - W niedzielę w nocy. Między północą a drugą nad ranem.

Brill i Ferenczi popatrzyli na siebie.

- Nie bądźcie śmieszni, panowie - skarcił ich Freud.

- A Norę Acton napadnięto w poniedziałek po południu

- zauważył Brill. - Gdzie?

- Abrahamie! - powiedział z wyrzutem Freud.

- Przecież nikogo nie oskarżam - odpowiedział Brill niewinnie, ale był wyraźnie podniecony. - Po prostu pytam Youn-gera, gdzie została zaatakowana Nora Acton.

- Przy Gramercy Park - poinformowałem.

- Panowie! Nie chcę dłużej tego słuchać! - oświadczył Freud.

Rozległo się pukanie do drzwi i stanął w nich Jung. Przywitaliśmy się z nim sztywno, jak można się było spodziewać. Jung zdawał się nie zauważać naszego zakłopotania. Posłodził sobie kawę i zapytał, czy dobrze się bawiliśmy na obie-dzie u Jelliffea.

- Ach, Jung! - rzucił Brill. - Widziano pana w poniedziałek.

- Słucham?

- Powiedział nam pan, Jung, że poniedziałek spędził, drzemiąc w swoim pokoju. Tymczasem okazuje się, że widziano pana na mieście.

Freud pokiwał głową i podszedł do okna. Otworzył je szerzej.

- Nie twierdziłem, że spędziłem w pokoju całe poniedziałkowe popołudnie - odparł Jung spokojnie.

- Dziwne, bo przysięgłbym, że tak właśnie pan mówił

- stwierdził Brill, celowo tonem kiepskiego aktora, który źle udaje.

- A więc widziano mnie w Gramercy Park - powiedział Jung chłodno. - I co zamierza pan zrobić, donieść o tym policji? - zapytał. Po czym zwrócił się do Freuda: - Jak się wydaje, sprowadzili mnie panowie tutaj tylko po to, żeby poddać przesłuchaniu. Proszę mi więc wybaczyć, że nie będę wam towarzyszył podczas śniadania. - Otworzył sobie drzwi i zatrzymał się ze wzrokiem wbitym w Brilla. - Nie mam się czego wstydzić - wycedził.

. Policja nie miała żadnych problemów z ustaleniem adresu prawnuczki tak znamienitego człowieka, jak generał Sigel. Mieszkała z rodzicami przy Alei Wadsworth pod numerem 180. Policjant wysłany tam z posterunku Washington Heights eskortował państwa Sigelów i ich kuzynkę Mabel w drodze do budynku Van den Heuvela, gdzie w poczekalni przed miejską kostnicą spotkali się z detektywem Littlemoreem.

Dowiedział się od nich, że dziewiętnastoletnia Elsie rzeczywiście przepadła bez wieści przed miesiącem. Wybrała się z wizytą do babki Ellie na Brooklyn i nie wróciła. Kilka dni później Sigelowie otrzymali telegram od Elsie w Waszyngtonu, z którego wyraźnie wynikało, iż bawi tam z

pewnym młodym człowiekiem, którego właśnie poślubiła. Prosiła rodziców, by się o nią nie martwili, i zapewniała, że u niej wszystko w porządku. Obiecywała, że wróci do domu najpóźniej jesienią. Rodzice zachowali ten telegram. Rzeczywiście, wysłany był z hotelu w stolicy i podpisany imieniem Elsie, ale oczywiście nie było sposobu, żeby stwierdzić, czy naprawdę ona go wysłała. Pan Sigel nie powiadomił jeszcze policji, mając nadzieję, że jego córka niebawem się odezwie. Chciał też uniknąć skandalu.

Najpierw Littlemore pokazał im listy, które znalazł w skrzyni Williama Leona. Rozpoznali charakter pisma córki. Następnie detektyw wyjął srebrny wisiołek zdjęty z szyi zmarłej i kapelusz z ptakiem. Ani pani Sigel, ani jej mąż nigdy nie widzieli żadnego z tych przedmiotów i zapewnili, że nie należą one do Elsie. Mabel natychmiast jednak rozpoznała wisiołek, który podarowała Elsie w czerwcu.

Littlemore odciągnął pana Sigela na bok i oświadczył, że powinien obejrzeć zwłoki odkryte w mieszkaniu Leona. Kiedy weszli do kostnicy, pan Sigel początkowo nie mógł zidentyfikować zwłok. Ciało uległo zbyt dużemu rozkładowi. Stwierdził jednak posępnie, że pozna prawdę, jeśli zobaczy zęby tej dziewczyny, ponieważ lewy górny kieł jego córki jest charakterystycznie skrzywiony. Po chwili obydwaj zobaczyli skrzywiony kieł.

- To ona - powiedział pan Sigel cicho.

Kiedy obydwaj mężczyźni wrócili do poczekalni, pan Sigel obrzucił żonę oskarżycielskim spojrzeniem. Kobieta zrozumiała. Wybuchnęła płaczem. Trzeba było bardzo długiego czasu, by ją uspokoić. Potem mąż opowiedział, co się stało.

Pani Sigel od lat w znoju i trudzie pracowała w imię Pana Naszego w Chinatown, nawracając Chińczyków na chrześcijaństwo. W grudniu ubiegłego roku zaczęła do domu misyjnego zabierać ze sobą Elsie. Dziewczyna zabrała się do dzieła z wielką pasją, która cieszyła wielce jej matkę, ale zasmucała ojca. Mimo ostrego sprzeciwu pana Sigela Elsie wkrótce zaczęła sama jeździć do Chinatown kilka razy w tygodniu, by prowadzić tam zajęcia z Biblii. Jeden z jej najpilniejszych uczniów, jak stwierdził pan Sigel gorzko, miał nawet czelność pojawić się u nich w domu kilka miesięcy temu. Littlemore pokazał mu zdjęcie Williama Leona. Ojciec zamknął oczy i skinął głową.

Gdy Sigelowie opuścili kostnicę, by na miarę swoich sił stawić czoło rozpaczce i uniknąć ludzkich języków, dziennikarze czekali na nich przed wejściem. Detektyw Littlemore zaczął się zastanawiać, gdzie jest pan Hugel. Zakładał, że koroner będzie chciał osobiście przeprowadzić sekcję zwłok i przesłuchać państwa Sigelów. Koronera nigdzie jednak nie było, a sekcję zwłok Elsie Sigel przeprowadzał jeden z jego asystentów, doktor O'Hanlon. Poinformował Littlemorea, że panna Sigel została uduszona, że stało się to trzy do czterech tygodni temu i że koroner Hugel jest na górze w gabinecie, kompletnie niezainteresowany tym przypadkiem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nieskazitelnie piękna Clara Banwell w sukience, której zieleń idealnie pasowała do koloru jej oczu, rozbierała równie piękną Norę Acton, uspokajając ją, pocieszając i dodając otuchy. Pojawiła się tuż po wyjściu Littlemorea i natychmiast bardzo elegancko, lecz stanowczo wyprosiła wszystkich z sypialni dziewczyny - zarówno policjantów, jak i rodziców. Gdy Nora była naga, Clara pomogła jej wejść do wanny, w której przygotowała chłodną kąpiel. Przez łzy Nora usiłowała opowiedzieć o tych wszystkich okropnych wydarzeniach, ale Clara na to nie pozwoliła. Położyła jej na ustach dwa palce.

- Cicho, sza! Nic nie mów, kochanie. Zamknij oczy.

Nora posłuchała. Clara umyła jej włosy, a potem wykąpała, delikatnie muskając gojące się rany na plecach miękką szmatką.

- Claro! Oni mi nie wierzą - powiedziała dziewczyna, połykając łzy.

- Wiem. Ale wszystko będzie dobrze - pocieszała zrozpaczoną dziewczynę Clara. Poprosiła panią Biggs, która przez cały czas niecierpliwie krążyła po korytarzu, żeby przyniosła maść przepisaną przez doktora Higginsona.

- Dlaczego nie przyszedłeś wcześniej?

- Ciii. Już jestem przy tobie.

- Claro!

Kiedy woda z wanny spłynęła, na polecenie Clary Nora owinęła się białym ręcznikiem i położyła w wannie z zamkniętymi oczami.

- Co ty mi robisz, Claro? - zapytała.

- Goleę cię. Musimy to zrobić, żeby odkryć to okropne oparzenie. Tak będzie ładniej - zapewniła, umieszczając dłoń Nory na najdelikatniejszym miejscu. - Tutaj, przyciśnij mocniej, żeby naciągnąć skórę - poleciła, po czym przykryła dłoń Nory swoją, ściskając silnie. Co jakiś czas zmieniała pozycję, żeby ułatwić sobie zadanie. - George był ze mną przez całą noc. Policja pytała mnie o to i musiałam im to wyznać. Teraz ty powinnaś im coś powiedzieć, bo inaczej gdzieś cię zabiorą. Już poczynili pierwsze ustalenia, że trzeba cię wysłać do jakiegoś sanatorium.

- Nie miałabym nic przeciwko sanatorium - oznajmiła Nora.

- Nie bądź głupia! Nie wolałabyś pojechać ze mną na wieś? Tak właśnie zrobimy, kochanie. Będziemy tam tylko ty i ja, tak jak lubimy. Wszystko sobie wtedy wyjaśnimy.

Clara skończyła golenie i teraz nakładała maść łagodzącą przepisaną przez doktora Higginsona.

- Ale musisz się przyznać.

- Do czego?

- Powiedz im, że sama sobie to wszystko zrobiłaś, bo byłaś zła na nas wszystkich. Na George a, na swojego ojca i matkę, także na mnie. Że próbowałaś się w ten sposób na nas odegrać.

- Nie, na ciebie nigdy nie byłabym zła!

- Och, kochanie! Ja na ciebie też nie - zapewniła Clara i uważnie przyjrzała się dwóm nacięciom na udach Nory. Również na nie nałożyła cienką warstwę maści, którą następnie wcierała delikatnymi, kolistymi ruchami. - Ale musisz im tak powiedzieć. Przeprós za wszystko, zapewnij, że bardzo ci przykro. Poczujesz wielką ulgę. A potem pojedziesz ze mną na wieś na tak długo, jak zechcesz.

*

Nawet koroner Hugel, mężczyzna o zmiennym temperamencie, rzadko przechodził od furii do euforii i od euforii do przygnębienia tak szybko, jak podczas relacji detektywa Littlemorea, który opowiadał mu o porannych wydarzeniach w domu państwa Actonów.

Littlemore próbował zainteresować koronera panną Elsie Sigel, ale Hugel zlekceważył tę sprawę. O zamieszaniu w rezydencji Actonów dowiedział się przypadkiem od jednego z kurierów. To właśnie było przyczyną jego złości: dlaczego poinformowali Littlemorea, a nie jego? Następnie, słuchając historii Nory Acton, Hugel co chwilę pomrukiwał, że wreszcie go dopadli. Równie często przypominał detektywowi, że już dawno zdemaskował Banwella. Wreszcie, słysząc o szmince, papierosach i biczu znalezionych w sypialni dziewczyny, opadł bezwładnie na krzesło.

- No to koniec - powiedział cicho, a twarz mu pociemniała. - Dziewczynę trzeba oddać do zakładu.

- Nie, panie Hugel. To nie koniec. Niech pan posłucha jeszcze tylko tego - poprosił Littlemore i opowiedział koronerowi o spince do krawata, która policjant znalazł w ogrodzie.

Hugel ledwie zwrócił uwagę na tę wiadomość.

- To za mało i za późno - stwierdził gorzko i chrząknął z odrazą. - Wierzyłem w każde jej słowo. Tę dziewczynę trzeba przytknąć, słyszy mnie pan, Littlemore?

- Myśli pan, że jest nienormalna?

Koroner wziął głęboki oddech.

- Gratuluję panu, detektywie, ostrej jak brzytwa logiki! Sprawa Riverford-Acton jest już zamknięta. Proszę poinformować o tym burmistrza. Ja z nim nie rozmawiam.

Detektyw zamrugał oczami, niczego nie rozumiejąc.

- Ależ nie może pan zamknąć tej sprawy, panie Hugel!

- Nie ma już żadnej sprawy, Littlemore. Nie mogę ścigać mordercy bez *corpus delicti*. Rozumie pan? Nie ma ciała, nie ma morderstwa! Nie mogę też ścigać napaści, której nie było. Czy mamy postawić pannę Acton w stan oskarżenia za to, że napadła sama na siebie?

- Chwileczkę, panie Hugel! Nie mówiłem panu jeszcze o jednym. Pamięta pan ciemnowłosego mężczyznę? Ustaliłem, dokąd poszedł. Najpierw do hotelu Manhattan, a potem do burdelu na Czterdziestej. I co pan na to? Poszedłem do tego burdelu, żeby się rozejrzeć. Jego właścicielka naprowadziła mnie na Harry ego Thawa!
- O czym pan mówi, Littlemore?
- Nie pamięta pan? Harry Thaw to facet, który zabił Stanforda White'a.
- Wiem, kim jest Harry Thaw - rzucił koroner, wyraźnie powstrzymując wybuch.
- Pewnie pan w to nie uwierzy, ale moim zdaniem zabójcą nie jest ten Chińczyk, tylko właśnie Harry Thaw.
- Harry Thaw?
- Upiekło mu się, pamięta pan? Wymigał się od kary. A na procesie odczytano oświadczenie złożone przez jego żonę pod przysięgą...
- Czy ma pan zamiar włączyć w to także Harry'ego Hou-diniego?
- Houdiniego? Przecież to ten, który potrafi zewsząd się wymknąć, panie Hugel.
- Wiem, kim jest Houdini - oświadczył koroner cicho.
- Dlaczego miałbym go w to włączać?
- Ponieważ Harry Thaw jest zamknięty w celi, detektywie Littlemore. Nie wymigał się od kary. Został umieszczony w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.
- Dalej siedzi w Matteawan? Myślałem, że już wyszedł. Ale w takim razie rzeczywiście nie może to być on.
- Nie może.
- Czegoś tu nie rozumiem. Ta kobieta w domu, do którego poszedł ciemnowłosy mężczyzna...
- Niech pan zapomni o ciemnowłosym mężczyźnie! - wybuchnął koroner. - Nikt mnie nie słucha! Nikt! Piszę raport i nikt go nie czyta. Postanawiam o aresztowaniu i moja decyzja jest ignorowana. Zamykam sprawę, detektywie.
- Ale przecież są strzępki jedwabiu, włosy, zadane rany. Przecież sam pan tak mówił, panie Hugel.
- Co mówiłem?
- Mówił pan, że ten sam facet, który zabił pannę River-ford, zaatakował Norę Acton. Powiedział pan, że są na to dowody. A to oznacza, że Nora Acton nie wymyśliła sobie wszystkiego. Czyli napaść jednak była, panie Hugel. Jest więc sprawa. Ktoś zaatakował pannę Acton w poniedziałek.

- Powiedziałem, detektywie, że dowody rzeczowe wskazują, że obydwaj przestępstwa popełnił ten sam mężczyzna. Nigdy nie mówiłem, że o czymkolwiek świadczą z pewnością.

- Nie sądzi pan chyba, że panna Acton... Chyba pan nie myśli, że biczowała się sama?

Koroner patrzył prosto przed siebie pośpym, niewyspanym wzrokiem.

- To obrzydliwe! - powiedział.

- A spinka do krawata? Wspominał pan o spince do krawata z inicjałami Banwella. Czy nie takiego właśnie dowodu pan szukał?

- Czy pan nie ma uszu, Littlemore? Słyszał pan, co mówił Riviere? Siny znak na szyi panny Elizabeth Riverford nie składał się z liter G i B. Popełniłem błąd - mruknął Hugel gniewnie. - Popełniam same błędy.

- Co więc spinka robiła w ogrodzie Actonów?

- Skąd mam wiedzieć?! - wrzasnął Hugel. - Niech pan ją o to zapyta! Nie mamy nic. Nic! Tylko tę piekielną dziewczynę. Żadna ława przysięgłych jej teraz nie uwierzy. Zapewne sama podrzuciła spinkę w ogrodzie. Jest... jest psychopatką. Trzeba ją zamknąć w szpitalu dla wariatów!

Sandor Ferenczi, uśmiechając się i kiwając zachęcająco głową, wycofał się z hotelowego pokoju Junga jak dworzaniek opuszczający komnatę, w której przebywa król. Nie bez obaw przekazywał Jungowi prośbę Freuda o spotkanie w cztery oczy.

- Proszę powiedzieć, że z przyjemnością przyjdę do niego za dziesięć minut - odpowiedział mu Jung, całkowicie opanowany.

Ferenczi spodziewał się nieprzejednanej postawy obrażonego, spotkał się tymczasem ze spokojem i łagodnością. Pomyślał, że musi powiedzieć Freudowi, iż tak gwałtowna zmiana nastroju budzi jego niepokój. Mało tego, będzie też musiał mu opisać, co Jung robi w swoim pokoju.

Na podłodze u Junga leżały setki małych kamieni, spora wiązka połamanych gałęzi i porwanych na drobne kawałeczki źdźbeł trawy Ferenczi nie bardzo sobie mógł wyobrazić, skąd Jung wziął to wszystko. Pewnie z jakiegoś placu budowy, których w Nowym Jorku było w bród. Jung siedział pośród tych śmieci ze skrzyżowanymi nogami i stopami podciągniętymi pod kolana, bawiąc się kamykami. Wszystkie hotelowe meble - lampy, fotele, stół - porzucił na boki, robiąc w ten sposób wolne miejsce w pokoju. Z kamyków, żwiru i drewniek zbudował małą osadę - kamienny zamek i kilka małych domków na podgrodziu. Każdy z nich otoczony był małym podwórkiem wyłożonym kępą trawy, która miała pewnie być ogródkiem warzywnym. Pośrodku dziedzińca zamkowego Jung próbował umieścić rozwidloną gałązkę, do której przywiązał długie kawałki trawy, nie mógł sobie jednak poradzić z ustawieniem jej prosto. Zapewne dlatego potrzebował jeszcze dziesięciu minut, zanim zejdzie do Freuda, jak przypuszczał Ferenczi. Jeśli oczywiście ta zwłoka nie miała związku z dużym rewolwerem, który leżał na stoliku przy łóżku.

Budowla z pewnością nie może przybierać żadnej miny, ale przysięgam, że jest inaczej, kiedy w czwartkowe przedpołudnie dochodziłem do pokrytego wapiennymi płytami domu Actonów przy

Gramercy Park. Zanim ktokolwiek otworzył mi drzwi, wiedziałem, że coś się w tych murach wydarzyło.

Pani Biggs wpuściła mnie do środka. Jej zwykła gadatliwość gdzieś się ulotniła. Zrozpaczona tylko załamywała ręce. Udręczonym szeptem przyznała, że to jej wina. Chciała dobrze. Gdyby wiedziała, czym się to skończy, nikomu by nie powiedziała, co znalazła w koszu na śmieci.

W końcu pani Biggs nieco się uspokoiła i opowiedziała mi o upiornych wydarzeniach ostatniej nocy i dzisiejszego poranka, włącznie ze znalezieniem w koszu pobrudzonego szminką niedopałka. Na koniec dodała z ulgą, że przynajmniej jest teraz na górze pani Banwell. Było oczywiste, że zdaniem starej służącej Clara Banwell potrafi zająć się wszystkim lepiej i skuteczniej niż rodzice dziewczyny.

Pani Biggs zaprowadziła mnie do salonu. Pięć minut później zjawiała się tam Clara Banwell. Ubrana była jak do wyjścia. Miała na głowie kapelusik z przezroczystą woalką, a w ręku trzymała małą parasolkę, która musiała być wyjątkowo kosztowna, zważywszy na opalizującą rączkę.

- Proszę mi wybaczyć, doktorze Younger - powiedziała.

- Nie chcę opóźnić pańskiego spotkania z Norą, ale chciałabym zamienić z panem słowo, zanim wyjdę. Czy mogę?

- Oczywiście, że tak, pani Banwell.

Kiedy podniosła woalkę, nie mogłem powstrzymać się od podziwiania jej długich rzęs, zza których połyskiwały tryskające inteligencją oczy. Nie była jedną z opisywanych przez panią Wharton driad podporządkowanych konwenansom. Raczej konwencje salonowe ją ożywiały. Miało się wrażenie, że moda została stworzona po to, by podkreślać uroki jej cudownego ciała, eksponować nieskazitelnie białą skórę i głębię zielonych oczu. Nie potrafiłem niczego przewidzieć na podstawie wyrazu jej twarzy: był jednocześnie wyniosły i bezradny.

- Wiem, że Nora panu powiedziała. O mnie. Wczoraj wieczorem nie wiedziałam.

- Przykro mi, pani Banwell. Niewiarygodne wręcz są zagrożenia wynikające z dociekliwości lekarza wykonującego swój zawód rzetelnie.

- Czy zakłada pan, że pacjenci mówią prawdę? - zapytała.

Nie odezwałem się.

- Cóż, w tym przypadku jest to prawda. Nora widziała mnie ze swoim ojcem. Wszystko odbywało się tak, jak to panu opisała. Skoro więc wie pan już tyle, chcę, żeby dowiedział się reszty. Nie działałam bez wiedzy męża.

- Zapewniam panią, pani Banwell, że...

- Proszę, nie - przerwała mi. - Sądzi pan, że się usprawiedliwiam. - Z półki nad kominkiem zdjęła fotografię przedstawiającą Norę w wieku trzynastu, może czternastu lat. - Nie, panie doktorze. Dawno już wyrosłam z usprawiedliwiania się. Chcę to panu powiedzieć dla dobra Nory, a nie ze względu na siebie. Pamiętam, jak wrócili do tego domu. George przebudował go dla nich. Była wtedy

nadspodziewanie atrakcyjna, choć przecież miała dopiero czternaście lat! Można by pomyśleć, że boginie na chwilę zapomniały o animozjach i wspólnie stworzyły ją w prezencie dla Zeusa. Ja nie mam dzieci, doktorze.

- Rozumiem.
- Czyżby? Nie mam dzieci, ponieważ mój mąż nie pozwala mi ich mieć. Twierdzi, że straciłabym figurę. Myśmy nigdy... Ja i mój mąż nigdy nie odbyliśmy pełnego stosunku seksualnego. On do tego nie dopuszcza.
- Może jest impotentem.
- George? - zapytała, wyraźnie rozbawiona moją sugestią.
- Trudno uwierzyć, by mężczyzna w jego sytuacji dobrowolnie się ograniczał albo powstrzymywał.
- Rozumiem, że to komplement pod moim adresem, doktorze Younger. Cóż, George się nie ogranicza ani nie powstrzymuje. Zaspokajam go... w odmienny sposób. Tradycyjne stosunki odbywa z innymi kobietami. Otóż mój mąż wielokrotnie pragnie młodych dziewcząt, które spotyka na swej drodze; i zazwyczaj je dostaje. Tak się złożyło, że zapragnął również Nory Acton. Znalazł więc sposób, który pozwalał mu dostać to, czego chciał. Kazał mi uwieść Harcourta Actona. Oczywiście, nie pozwolił mi zrobić z Harcourtem tego, do czego nie dopuszczał w kontaktach ze sobą. Dlatego Nora zobaczyła to, co zobaczyła.
- Mam rozumieć, że pani mąż sądził, iż Harcourt Acton będzie gotów zmusić własną córkę do prostytucji?
- Nie, doktorze Younger. George nie oczekiwał, że Harcourt doprowadzi mu do łóżka własną córkę. Chodziło mu tylko o to, by pan Acton nabrał przekonania, że jego własne szczęście zależy ode mnie, by się ode mnie uzależnił tak bardzo, że sprzeciwi się zdecydowanie wszelkim próbom doprowadzenia do rozdzwienku między naszymi rodzinami. Dawało to gwarancję, że we właściwym czasie uda, że niczego nie dostrzega i niczego nie słyszy.

Teraz wreszcie zrozumiałem. Kiedy pani Banwell zaczęła romans z panem Actonem, George Banwell podjął pierwszą próbę zdobycia Nory. Jego strategia się sprawdziła. Gdy Nora poskarżyła się ojcu i błagała, żeby odprawił Banwella, pan Acton wolał jej nie uwierzyć i skarcił ją, jakby to ona zrobiła coś złego. Bo zrobiła. Zagroziła bezpieczeństwu jego cennego układu z panią Banwell.

- Zastanawia się pan pewnie, co czuje mężczyzna typu Harcourta Actona, kiedy dostaje to, o czym tylko mógł marzyć, a właściwie o czym marzyć nawet nie śmiał. Jestem pewna, że taki mężczyzna zrobiłby wszystko, o co bym go poprosiła.

Poczułem dziwny ucisk w okolicach mostka.

- Czy pani mąż dostał to, czego chciał?
- Czy pyta pan z powodów zawodowych?
- Oczywiście! - zapewniłem.

- Oczywiście... Odpowiedź brzmi, jak sądzę, nie. A przynajmniej jeszcze nie. - Postawiła fotografię Nory na półce nad kominkiem obok zdjęcia rodziców dziewczyny. - W każdym razie, doktorze Younger, Nora doskonale wie, że jestem nieszczęśliwa. Nieszczęśliwa w małżeństwie - wyjaśniła natychmiast. - Jestem przekonana, że teraz próbuje mnie chronić.

- Jak mianowicie?

- Nora ma wyjątkowo bujną wyobraźnię. Proszę pamiętać, że nawet jeśli w oczach mężczyzny wygląda ona na kobietę gotową do zdobycia, to jednak jest jeszcze dzieckiem. Dzieckiem, dla którego rodzice nigdy nie mieli ani odrobiny zrozumienia. Jedyńcażką. Niemal całe życie spędzała we własnym świecie.

- Twierdzi pani, że Nora próbuje ją uratować. W jaki sposób?

- Być może sądzi, że skoro powie policji, iż to George właśnie na nią napadł, zaszkodzi mu. Nie zdziwiłabym się, gdyby naprawdę wierzyła, że to on. Prawdopodobnie wszyscy ją przytłoczyliśmy i ma urojenia.

- Albo pani mąż naprawdę ją napadł.

- Nie twierdzą, że byłby do tego niezdolny Mój mąż byłby chyba zdolny do wszystkiego. Tym razem jednak to nie on. Wczoraj wieczorem George zjawił się w domu zaraz po moim powrocie z przyjęcia. Była dziesiąta trzydzieści. Nora twierdzi, że poszła do sypialni nie wcześniej niż kwadrans po północy.

- Pani mąż mógł wyjść później z domu, pani Banwell.

- Tak, mógł. Każdej innej nocy na pewno by mógł. Ale nie wczoraj. Zbyt był zajęty folgowaniem swoim... upodobaniom. Przez całą noc był ze mną - oświadczyła i na jej ustach pojawił się uśmiech. Mały, ironiczny, perfidny uśmieszek. Nieświadomie potarła jeden z nadgarstków. Długie rękawy zakrywały jej przedramiona. Spozrzegła, że się tym zainteresowałem. Wzięła głęboki oddech. - No cóż, w sumie wszystko mi jedno. Równie dobrze mogę panu pokazać.

Podeszła do mnie tak blisko, że zauważyłem brylanty lśniące w płatkach jej uszu i poczułem zapach włosów. Podciągnęła rękawy, odkrywając świeże bolesne otarcia na obydwu nadgarstkach. Słyszałem, że są mężczyźni, którzy wiążą kobiety dla przyjemności. Nie miałem pewności, że taka jest przyczyna ran na rękach pani Banwell, ale właśnie krępowanie partnerki przyszło mi do głowy najpierw.

Roześmiała się cicho.

- Widzi pan, doktorze, jestem kobietą upadłą, a jednocześnie dziewicą - powiedziała cierpko, ale nie było w jej głosie goryczy. - Słyszał pan kiedyś o takim przypadku?

- Nie jestem prawnikiem, pani Banwell, ale sądzę, że ma pani więcej niż dostateczne podstawy, by zażądać rozwodu. Może nawet pani małżeństwo w ogóle dałoby się unieważnić, skoro nie doszło do konsumpcji.

- Rozwód? Nie zna pan Georgea! Prędzej by mnie zabił, niż pozwolił mi odejść - zapewniła i roześmiała się ponownie. Nie mogłem nic poradzić na pytanie o smak jej pocałunku, które natrętnie

kołatało mi w głowie. - Ponadto kto by mnie chciał, gdybym od niego odeszła? Który mężczyzna dotknąłby mnie, wiedząc, co z nim robiłam?

- Każdy - zapewniłem.

- To miłe z pańskiej strony, ale mimo wszystko kłamstwo - powiedziała i podniosła wzrok. - Kłamię pan z premedytacją. Mógłby mnie pan teraz dotknąć, ale nie chce pan tego zrobić.

Popatrzyłem na jej nieskazitelną, pełną urodę.

- To prawda, nie chcę pani dotknąć. Ale nie z powodów, o których pani mówi.

W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się Nora Acton.

Po rozmowie z koronerem Hugelalem detektyw Littlemore stracił zwykłą energię i rubasność. Wiadomość, że Harry Thaw wciąż przebywa w zamkniętym zakładzie, była dla niego prawdziwym ciosem. Od chwili, gdy się zapoznał z dokumentacją jego procesu, wyobrażał sobie, że ta sprawa może się okazać większa, niż ktokolwiek przypuszczał, i że to on sam lada moment ją rozwikła. Teraz nawet nie wiedział, czy sprawa w ogóle jest w toku.

Detektyw nabrał wysokiego mniemania o koronerze mimo jego dziwactw. Był pewien, że Hugel zdoła rozwiązać tę zagadkę. Policjant nie powinien się poddawać. A zwłaszcza nie powinien tego robić koroner Hugel. Jest na to zbyt mądry.

Littlemore wierzył w skuteczność policji. Służbę rozpoczął osiem lat temu, zawiązując swój wiek, żeby dostać się do ulicznego patrolu. Była to jego pierwsza praca, więc się jej trzymał. Pokochał życie w policyjnych koszarach, gdy tylko w nich zamieszkał. Uwielbiał jadać z innymi gliniarzami i słuchać opowiadanych przez nich historii. Wiedział, że są wśród nich czarne owce, ale to wyjątki. Gdyby na przykład ktoś mu powiedział, że jego bożyszczce, sierżant Becker, wyciska pieniądze z każdego burdelu i kasyna w swoim rewirze w zamian za ochronę, Littlemore pomyślałby, że to wolne żarty. Gdyby natomiast ktoś go poinformował, że nowy komisarz policji otrzymuje z tego swoją dolę, uznałby informatora za idiotę. Inaczej mówiąc, detektyw Littlemore żywił szacunek do policyjnych przełożonych, a koroner Hugel go zawiódł.

Littlemore nigdy nie zwracał się przeciwko tym, którzy go zawiedli. Reagował nawet przeciwnie. Chciał naprowadzić koronera z powrotem na właściwą drogę. Musiał znaleźć coś, co przekonałoby Hugela, że sprawy zamknąć nie można. Od samego początku Hugel był przekonany, że sprawcą jest Ban-well. Może miał rację?

Oczywiście, Littlemore szanował burmistrza McClella-na bardziej jeszcze niż koronera Hugela, a burmistrz zapewnił Banwellowi alibi na noc morderstwa Elizabeth Riverford. Banwell nie musiał wszakże działać sam. Jego współnikiem mógł na przykład być Chińczyk. Przecież to Banwell osobiście kazał zatrudnić Chonga Singa w pralni w rezydencji Balmoral. Teraz się okazało, że morderca panny Riverford wcale nie musi być sprawcą napaści na pannę Acton. Bo tak przecież powiedział mu Hugel. Może więc współnik Ban-wella zamordował pannę Riverford, a sam Banwell napadł na pannę Acton? Rozmyślania te doprowadziły Littlemorea do wniosku, że wobec tego koroner Hugel musiałby się pomylić. I chociaż miał o nim jak najlepsze zdanie, to jednak nie uważał go za nieomylnego. Oprócz tego uznał, że Hugel nie byłby niezadowolony, usłyszawszy, że się pomylił co

do drobiazgu, skoro miał rację, jeśli chodzi o meritum.

Detektyw ruszył sprężystym krokiem. Wiedział, że czeka go mnóstwo roboty. Najpierw udał się do głównej kwatery policji i odwiedził Louisa Riviere'a w jego piwnicznej ciemni. Zapytał, czy Riviere mógłby wykonać odwrócone zdjęcie śladu widocznego na szyi Elizabeth Riverford. Francuz obiecał, że będzie je mógł odebrać pod koniec dnia.

- A da się to zdjęcie powiększyć? - spytał Littlemore.

- Oczywiście! - odparł Riviere. - Jest wystarczająco ostre.

Z komendy policji detektyw podążył do centrum. Tramwajem podjechał na Czterdziestą Drugą, a stamtąd pieszo udał się do domu Susie Merrill. Nikt mu nie otworzył, przeszedł więc na drugą stronę ulicy, odszedł kawałek i czekał. Godzinę później drzwi się otworzyły i wyszła z nich sama Susie. Na głowie miała kolejny wielki kapelusz, tym razem ozdobiony kompozycją z owoców. Littlemore poszedł za nią do restauracji Childea na Broadwayu. Usiadła przy pustym stoliku. Detektyw odczekał, aż kelnerka poda do stołu, żeby mieć pewność, że nikt do Susie nie dołączy. Gdy zaczęła jeść zapiekankę z peklowanej wołowiny, wśliznął się na krzesło naprzeciw niej.

- Witaj, Susie. Znalazłem to, co radziłaś mi znaleźć - powiedział.

- Co tu robisz? Wynoś się! Mówiłam przecież, żebyś mnie do tego nie mieszał.

- Nie mówiłaś niczego takiego.

- W takim razie mówię teraz. Chcesz, żeby zabili nas oboje?

- Ale kto, Susie? Thaw siedzi zamknięty u czubków.

- Ach, tak?

- Tak.

- W takim razie to nie on jest twoim mordercą - zauważyła.

- Tak też i mnie się wydaje.

- Nie mamy więc o czym rozmawiać, prawda?

- Nie próbuj mnie spławić, Susie.

- Jeśli chcesz się dać zabić, to świetnie. Nie moja sprawa. Ale ja się będę od tego trzymała z daleka - oświadczyła, podnosząc się z miejsca. Zostawiła na stole trzydzieści centów: dziesięć za kawę, dziesięć za wołowinę i jajko gotowane we wrzątku oraz dziesięć dla kelnerki. - Dziecko zostało samo w domu - powiedziała, odchodząc od stolika.

Littlemore chwycił ją za rękę.

- Zastanów się, Susie. Chcę tylko odpowiedzi na moje pytania. I będę po nie wracał!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Clara Banwell nie wydawała się zażenowana, które ogarnęło mnie, gdy poczułem na sobie chłodny wzrok Nory. Wypełniając ciszę niewymuszonymi słowami, pożegnała nas, jakby nic się nie stało, jakbyśmy nie zostali przyłapani o kilka centymetrów za blisko jedno od drugiego. Wyciągnęła do mnie rękę, Norę pocałowała w policzek i roztronie oświadczyła, że nie musimy jej odprowadzać, ponieważ nie chce opóźnić naszej sesji ani o sekundę więcej. Chwilę potem usłyszałem, jak zamykają się za nią drzwi wejściowe.

Nora stała w tym samym miejscu, które kilka minut wcześniej zajmowała Clara Banwell. Nie zamierzałem przykładać wagi do jej wyglądu, zwłaszcza po przeżyciach ostatniej nocy. Nie mogłem jednak się powstrzymać. Sytuacja była bowiem absurdalna. Można chodzić całymi kilometrami po Nowym Jorku, jak ja tego ranka, albo na przykład spędzić miesiąc na wielkiej, zawsze tłocznej hali Grand Central Station i nie dostrzec choćby jednej kobiety o wyjątkowej urodzie. Tymczasem w ciągu tak krótkiego czasu przewinęły się przede mną dwie olśniewające wprost piękności. Jakże jednak każda z nich była różna od drugiej!

Nora nie nosiła żadnych ozdób - ani biżuterii, ani nawet haftów. Nie miała parasolki ani kapelusika z woalką. Prostą białą bluzkę z rękawami do łokcia wsunęła w jasnoniebieską plisowaną spódnicę, co podkreślało jej niewiarygodnie wręcz szczupłą talię. Bluzka była delikatnie marszczona od góry, co uwydatniało delikatny obojczyk i piękną, długą szyję. Sine ślady zniknęły niemal całkowicie i skóra znów była nieskazitelnie gładka. Długie włosy związała z tyłu w długi warkocz, sięgający niemal do bioder. Była, jak powiedziała pani Banwell, zaledwie dziewczyną. Wręcz tryskała młodością, zwłaszcza jej zarumienione policzki i piękne oczy świadczyły o młodzieńczej ufności, świeżości i - co muszę dodać gwoli ścisłości - furii.

- Nienawidzę pana bardziej niż kogokolwiek innego w całym moim życiu - powiedziała.

A więc tak! Bardziej niż kiedykolwiek przedtem utożsamiła moją osobę z własnym ojcem. Jakby naznaczona nieuniknionym fatum natknęła się na Clarę Banwell i mnie w zamkniętym pokoju, podobnie jak trzy lata wcześniej nieoczekiwanie zobaczyła Clarę zadającą się z jej ojcem. Była naturalnie między tymi wydarzeniami wielka różnica, taka mianowicie, że mnie i pani Banwell nie przyłapała na uprawianiu seksu, Nora jednak tego w sposób oczywisty nie dostrzegła. Jej wściekłość nie była zaskakująca, przed oczami miała bowiem nie mnie, tylko swojego ojca w mojej skórze. Gdybym chciał umocnić terapeutyczne przeniesienie, nie mógłbym chyba znaleźć lepszej strategii. Gdybym chciał doprowadzić psychoanalizę do punktu kulminacyjnego, nie mógłbym zażyczyć sobie lepszego zbiegu okoliczności. Miałem teraz sposobność i obowiązek uświadomić Norze, iż w jej umyśle zachodzi transpozycja, dzięki czemu mogłaby zrozumieć, że wściekłość, którą odczuwa wobec mnie, jest w rzeczywistości niewłaściwie ukierunkowana, ponieważ żywi ją wobec własnego ojca. Inaczej mówiąc, jako terapeuta miałem obowiązek stłumić własne emocje. Powinienem ukryć swoje uczucia dla niej, choćby były najprawdziwsze. I bez względu na ich siłę.

- W takim razie szczęście mi nie sprzyja, panno Acton, ponieważ kocham panią bardziej niż kogokolwiek innego w całym moim życiu - odpaliłem na przekór etyce zawodowej.

Przez kilka uderzeń serca staliśmy w kompletnej ciszy.

- Naprawdę? - zapytała.
- Tak.
- Ale pan i Clara przed chwilą...
- Niczego nie robiliśmy przed chwilą. Przysięgam!
- Niczego?
- Niczego, panno Acton.

Oddech Nory zrobił się ciężki. Zbyt ciężki. Jej bluzka nie była obcisła, ale coś, co nosiła pod nią, było. Jej oddech docierał wyłącznie do górnej części tułowia. Obawiając się, że zemdleje, podprowadziłem ją do frontowych drzwi i otworzyłem je. Brakowało jej powietrza. Po przeciwnej stronie ulicy mieniła się kolorami bujna roślinność Gramercy Park. Nora ruszyła w tamtym kierunku. Zasugerowałem, że powinna poinformować rodziców, skoro ma zamiar wyjść z domu.

- Po co? - zdziwiła się. - Przecież idziemy tylko do parku.

Przeszliśmy przez ulicę. Przed jedną z furtek Nora przystanęła na chwilę, żeby wyjąć z kieszeni czarno-złotą sakiewkę, z której następnie wyciągnęła klucz. Kiedy przepuszczałem ją przodem, poczułem się niezręcznie, niepewny, czy powinienem jej służyć ramieniem, czy też nie. Postanowiłem, że nie.

Z punktu widzenia postępów w terapii miałem nie lada kłopot. Nie bałem się o siebie, choć było bardziej niż oczywiste, że moje uczucie do tej dziewczyny nie dopuszcza do świadomości faktu, że ona najprawdopodobniej cierpi na emocjonalną niestabilność, a nawet chorobę psychiczną. Jeśli Nora rzeczywiście oparzyła się sama, istniały dwie możliwości: albo zrobiła to z rozmysłem i teraz okłamywała wszystkich wokół, albo dokonała samookaleczenia w jakimś stanie hipnotycznym lub somnambulicznym. Prawdę mówiąc, wolałem tę pierwszą ewentualność, choć żadna mnie nie pociągała.

Nie żałowałem, że zdradziłem się z moim afektem. W pewnym sensie zmusiły mnie do tego okoliczności. Samo wyznanie jej miłości było gestem szlachetnym i honorowym, wszelkie natomiast miłosne podchody stanowiłyby przeciwieństwo szlachetności. Nawet najgorszy łajdak nie wykorzystałby dziewczyny w jej sytuacji. Musiałem w jakiś sposób dać jej to do zrozumienia. Musiałem wyplątać się jakoś z roli kochanka, w którą właśnie wszedłem, i spróbować ponownie stać się jej lekarzem.

- Panno Acton - zacząłem.
- Nie może mnie pan nazywać Norą, doktorze?
- Nie.
- Dlaczego?
- Ponieważ nadal jestem pani lekarzem. Nie może więc pani być dla mnie Norą. Jest pani moją

pacjentką - wyjaśniłem. Nie byłem pewien, jak to przyjmie, ale postanowiłem przejść do pytań. - Proszę mi powiedzieć, co się wydarzyło dzisiejszej nocy. Nie, chwileczkę. Wczoraj w hotelu powiedziała mi pani, że wróciła jej pamięć i potrafi odtworzyć poniedziałkowy napad. Proszę mi najpierw powiedzieć, co sobie pani przypomniała.

Zaproponowała, żebyśmy usiedli, i znalazła ławkę w ustronnym miejscu. Stwierdziła, że nadal nie wie, jak się znalazła w sypialni rodziców ani jak się to wszystko zaczęło. Tej części wspomnień jeszcze nie odzyskała. Pamięta tylko, że stała z rękami skrępowanymi nad głową, przywiązany do czegoś nad nią. Miała na sobie tylko halkę. Zasłony i żaluzje były zaciągnięte.

Mężczyzna stał za nią. Owinął jej wokół szyi jakąś miękką tkaninę, chyba jedwab, i ścisnął ją tak mocno, że nie mogła oddychać, a co dopiero krzyczeć. Bił ją też jakimś paskiem albo biczem. Bolało, ale dawało się wytrzymać, jak lanie od rodziców. Przerazający był za to jedwab na szyi. Myślała, że mężczyzna chce ją udusić. Ale za każdym razem, gdy już omdlewała, mężczyzna trochę rozluźniał chwyt, pozwalając jej raz nabrać powietrza.

Zaczął uderzać coraz mocniej. Ból stał się tak ostry, że ledwie mogła wytrzymać. Potem odłożył bicz i stanął z tyłu tak blisko niej, że czuła na karku jego urywany oddech. Położył na niej rękę. Nie powiedziała gdzie, a ja nie zapytałem. Jednocześnie twarda część jego ciała, jak się wyraziła, dotknęła jej biodra. Mężczyzna wydał z siebie wstrętny dźwięk i zaraz potem popełnił błąd. Jedwabna pętla wokół jej szyi się rozluźniła. Wzięła głęboki oddech i krzyknęła z całych sił. Wrzeszczała tak długo i tak głośno, jak tylko mogła. A potem chyba straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, była przy niej pani Biggs.

Zdając mi tę relację, Nora zachowywała się z całkowitym spokojem. Siedziała z dłońmi opartymi o uda. Nie zmieniając tonu, zapytała:

- Czy czuje pan do mnie odrazę?
- Nie - odpowiedziałem. - Czy w pani wspomnieniach napastnikiem był Banwell?
- Tak mi się wydawało, ale burmistrz McClellan stwierdził...
- Burmistrz stwierdził, że Banwell był z nim w niedzielę nocą, kiedy zamordowana została ta druga kobieta, a nie, kiedy pani została napadnięta. Jeśli więc przypomniła sobie pani, że napastnikiem był George Banwell, proszę to powiedzieć.
- Nie wiem - odezwała się płaczliwym tonem. - Tak mi się wydaje. Ale nie wiem. Przez cały czas stał za moimi plecami.
- Nicch mi pani teraz opowie, co się stało dzisiaj w nocy.

Wyrzuciła z siebie opowieść o intruzie, który wtargnął do jej sypialni. Tym razem nie miała wątpliwości, że to był Banwell. Pod koniec jednak odwróciła spojrzenie w drugą stronę. Czyżby miała coś do ukrycia?

- A ja przecież nawet nie mam szminki - zapewniła żarliwie. - I ta okropna rzecz, którą znaleźli w mojej szafie! Skąd niby miałabym coś takiego wziąć?

- Ale przecież nałożyła pani teraz makijaż - stwierdziłem. Jej wargi pokrywał najdelikatniejszy z możliwych kolor czerwieni, a policzki najbledszy róż.

- Ale to kosmetyki Clary! - wykrzyknęła z przejęciem.

- Pomalowała mnie dzisiaj. Mówiła, że będzie mi do twarzy.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu się odezwała.

- Nie wierzy pan w to, co powiedziałam? - zapytała.

- Nie wierzę, żeby mnie pani okłamała.

- Ale okłamałam - stwierdziła.

- Kiedy?

- Kiedy powiedziałam, że pana nienawidzę - odparła po długiej pauzie.

- Jest jeszcze coś w zajściach z dzisiejszej nocy, panno Acton, co budzi pani wątpliwości - stwierdziłem.

- Skąd pan wie? - wybuchnęła.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

Niechętnie wyznała, że w całym zajściu jest coś, czego nie potrafi wyjaśnić. Wszystko, co się działo, obserwowała nie z pozycji leżącej, ale spod sufitu, z miejsca znajdującego się nad nią i nad napastnikiem. Widziała siebie, jak leży na łóżku. Jakby była obserwatorem, a nie uczestniczyła w tym zajściu w charakterze ofiary.

- Jak to możliwe, doktorze? - zapytała miękko. - To przecież niemożliwe, prawda?

Bardzo chciałem ją pocieszyć, ale to, co miałem do powiedzenia, pocieszające, niestety, nie było.

- Opisuje pani wrażenie, które czasem miewamy podczas snu - stwierdziłem.

- Ale jeśli mi się to śniło, to skąd oparzenie? - wyszeptała. - Przecież chyba nie oparzyłam sama siebie, prawda, doktorze? Niech pan powie, że nie oparzyłam się sama!

Nie mogłem tego powiedzieć. Wyobrażałem sobie o wiele gorszy scenariusz. Czy to możliwe, żeby te okropne rany, które widziałem za pierwszym razem, w poniedziałek, także zadała sobie sama? Próbowałem sobie wyobrazić, jak chwyta za brzytwę albo nóż i przeciąga nimi po skórze, dopóki nie ukaże się smużka krwi.

Gdzieś z daleka dobiegły nas krzyki, które nagle przekształciły się w skandowanie. Nora zapytała, co się dzieje. Wyjaśniłem, że to najpewniej strajkujący. Przywódcy związkowi zapowiadali marsz protestacyjny w związku z jakimiś wczorajszymi zamieszkami. Znany podżegacz nazwiskiem Gomper groził, że ogłosi strajk, który kompletnie sparaliżuje przemysł w mieście.

- Nie brak im powodów, żeby strajkować - powiedziała Nora, wyraźnie zadowolona z okazji do zmiany tematu. - Kapitałiści powinni się wstydzić! Zatrudniają tych biednych ludzi i nie płacą im nawet tyle, by wystarczyło na wyżywienie rodziny. Widział pan warunki, w jakich żyją robotnicy?

Opisała, jak ubiegłej wiosny razem z Clarą Banwell odwiedzały kamienice czynszowe na Lower East Side. Clara ją do tego namówiła. Właśnie wtedy poznała Elsie Sigel i Chińczyka, o którego pytał detektyw.

- Elsie Sigel? - zapytałem. Ciotka Maime mówiła mi o niej podczas balu. - Tę, która uciekła do Waszyngtonu?

- Tak, tę samą. Pomyślałam wtedy, że nawracanie tych ludzi jest głupotą, skoro nie mają gdzie mieszkać ani co jeść. Oprócz tego Elsie pracowała tylko z mężczyznami, a przecież to kobiety i dzieci cierpią najbardziej.

Nora wyjaśniła, że Clarze szczególnie zależało, by odwiedziły te rodziny, które straciły ojców, bo uciekli albo zginęli w wypadkach. Wiele takich rodzin poznały i wiele godzin spędziły w ich domach. Nora doglądała najmłodszych dzieci, a Clara w tym czasie zaprzyjaźniała się z ich matkami i starszym rodzeństwem. Raz w tygodniu obie panie dostarczały im jedzenie i najpotrzebniejsze rzeczy. Dwukrotnie zabierały dzieci do szpitala, ratując je w ten sposób przed poważną chorobą, a może nawet przed śmiercią. Podczas którejś z wizyt się okazało, że zaginęła dziewczynka. Razem z Clarą odwiedziły wszystkie szpitale i komisariaty w centrum miasta, by w końcu znaleźć dziewczynkę w miejskiej kostnicy. Lekarz stwierdził, że przed śmiercią została zgwałcona. Matka dziewczynki nie miała nikogo, kto mógłby ją wesprzeć i pocieszyć. Clara zrobiła więc jedno i drugie. Tamtego lata Nora zobaczyła niewyobrażalną nędzę, ale też, jak sądzę, poznała rodzinne ciepło i miłość, których wcześniej nie doświadczyła.

Dziewczyna skończyła opowiadać i znów przez chwilę siedzieliśmy obok siebie w milczeniu. Potem nagle się odezwała:

- Czy pocałowałby mnie pan, gdybym o to poprosiła?

- Proszę nie zadawać mi takich pytań.

Chwyciła mnie za rękę, przyciągnęła ją do siebie i wierzchem mojej dłoni dotknęła swojego policzka.

- Nie - powiedziałem ostro. Natychmiast się wycofała. Wszystko to była moja wina. Sam przecież dałem jej powody, by uznała, że może czuć się w moim towarzystwie swobodnie, tak jak przed chwilą. Teraz swoim zachowaniem odebrałem jej tę pewność, powodując dezorientację. - Niech mi pani wierzy, że niczego bardziej nie pragnę, panno Acton. Nie mogę jednak na to przyzwolić. Byłoby to wykorzystywanie pani słabości.

- Ależ ja chcę, żeby mnie pan wykorzystał!

- Nie.

- Bo mam siedemnaście lat?

- Ponieważ jest pani moją pacjentką. Proszę posłuchać. Wydaje się pani, że żywi dla mnie jakieś

uczucia. Nie wolno jednak im wierzyć. Nie są prawdziwe. To złudzenie, normalne podczas psychoanalizy. Zdarza się to dosłownie każdemu pacjentowi poddanemu terapii.

Spojrzała na mnie, jakby podejrzewała, że żartuję.

- Czyżby pan sądził, że pańskie głupie pytania sprawiły, iż zaczęłam pana obdarzać względami? - zapytała.

- Niech się pani zastanowi. Najpierw jestem pani obojętny, potem robi się pani na mnie wściekła, później znów odczuwa pani zazdrość, a po chwili jeszcze co innego. Ale nie ma to związku ze mną. Nie chodzi tu o mnie ani o nic, co zrobiłem. Jak to możliwe? Wszystkie te uczucia biorą się z pani życia. Są w nim i ujawniają się z powodu wszystkich tych głupich pytań, jak je pani nazywa. Ich obiektem jest jednak ktoś inny. To uczucia, które budzi w pani inna osoba, nie ja.

- Sądzi pan, że jestem w kimś zakochana? Ale w kim? Chyba nie w George u Banwellu?

- Możliwe, że właśnie w nim.

- Nigdy! - stwierdziła z prawdziwym obrzydzeniem.

- Nienawidzę go.

Postanowiłem wrzucić ją na głęboką wodę, choć z wielką niechęcią i obawami, ponieważ być może poczuje do mnie odrazę. Czas zresztą też nie był po temu najlepszy. Taki jednak jest obowiązek lekarza.

- Profesor Freud głosi teorię, która być może pasuje do pani przypadku - stwierdziłem.

- Jaką teorię? - spytała niecierpliwie. Wyraźnie widziałem, że robi się coraz bardziej poirytowana.

- Uprzedzam, że to w najwyższym stopniu niesmaczne. Profesor Freud twierdzi, że każdy z nas od wczesnego dzieciństwa sekretnie pożąda... No cóż, w pani przypadku profesor Freud jest zdania, że gdy zobaczyła pani Clarę Ban-well z własnym ojcem, kiedy ona... kiedy ona przed nim klęczała, żeby mu...

- Nie musi pan precyzować - przerwała.

- Profesor Freud uważa, że była pani zazdrosna.

Patrzyła na mnie beznamiętnie. Miałem kłopoty z klarownym wyrażaniem własnych myśli.

- Zazdrosna, fizycznie zazdrosna. Chodzi mi o to, że zdaniem profesora Freuda, kiedy zobaczyła pani, co Clara Ban-well robi pani ojcu, żałowała pani, że nie znajduje się na miejscu. .. że ma pani fantazje, w których Clara Banwell...

- Dość! - krzyknęła, zakrywając uszy dłońmi. - Niech pan przestanie!

- Przepraszam.

- Skąd on może to wiedzieć? - zapytała, mówiąc jakby do siebie. Była przerażona, a jej dłonie zakrywały teraz usta.

Zauważyłem ten gest, słyszałem wypowiedziane słowa. Próbowałem jednak uwierzyć, że to się nie zdarzyło. Chciałem sobie wmówić, że mi się tylko zdawało. Przez chwilę naprawdę myślałem, że zadając to pytanie, była oburzona na tezy Freuda.

- Nie mówiłam o tym nikomu. Nigdy. Skąd on może to wiedzieć?

Potrafiłem tylko patrzeć na nią tak samo beznamiętnie, jak ona przed chwilą patrzyła na mnie.

- Och! Jestem nikczemna! - krzyknęła i rzuciła się pędem w kierunku domu.

Po wyjściu z restauracji Childea Littlemore udał się na komisariat przy Czterdziestej Siódmej, żeby zobaczyć, czy złapano już Chonga Singa i Williama Leona. Dowiedział się, że obydwu aresztowano już ze sto razy. Kapitan Post opowiadał mu z wściekłością, jak w ciągu kilku godzin od rozesłania rysopisu poszukiwanych otrzymał dziesiątki telefonów z miasta, a nawet z całego Jersey od ludzi, którzy informowali, że widzieli Chonga. Z Leonem było jeszcze gorzej. Każdego Chińczyka w marynarce i krawacie brano za Williama Leona.

- Jack Reardon przez cały dzień biega po mieście, jakby go ganił - powiedział kapitan Post o policjancie, który jako jedyny z jego ludzi wiedział, jak wygląda nieuchwytny Chong Sing, ponieważ widział go na własne oczy, gdy razem z Littlemoreem odkryli ciało panny Sigel. Reardon jeździł więc do komisariatów w całym mieście, ilekroć zameldowano o schwytaniu kolejnego Chonga, tylko po to, żeby stwierdzić jeszcze jedno niepotrzebne aresztowanie. - Wszystko to na nic! Zamknęliśmy już połowę mieszkańców Chinatown i nadal ich nie mamy. Musiałem powiedzieć chłopcom, żeby wstrzymali dalsze aresztowania. To lista zgłoszeń. Może chcesz któreś z nich sprawdzić osobiście?

Post rzucił Littlemore'owi listę zgłoszonych, ale jeszcze niesprawdzonych informacji o tym, że widziano Chonga Singa albo Williama Leona. Detektyw przejrzał sporządzoną odręcznie listę, przejeżdżając palcem po kolejnych liniijkach. Zatrzymał się w połowie strony, gdyż jego uwagę zwróciła krótka notka, z której wynikało, iż na nabrzeżach przy kanale nad rzeką pracuje Chińczyk, który podobno odpowiada rysopisowi poszukiwanego.

- Masz samochód? - zapytał Littlemore. - Chcę rzucić okiem na tego.

- Dlaczego?

- Bo na tych nabrzeżach jest czerwona glina - odparł detektyw.

Littlemore poprowadził jedyny znajdujący się w gestii kapitana Posta samochód. Towarzyszył mu umundurowany policjant. Skręcili w Canal Street i jechali nią aż do wschodnich krańców miasta, gdzie nad East River górował olbrzymi, niedawno wzniesiony Manhattan Bridge. Littlemore zatrzymał auto przy wjeździe na budowę i zaczął się przyglądać robotnikom.

- To on - powiedział. - Mamy go.

Trudno byłoby nie zauważyć Chonga Singa; rzucał się w oczy, ponieważ był jedynym Chińczykiem wśród białych pracowników.

- Idź prosto do niego - poleciał Littlemore policjantowi.

- Jeśli zaczniesz uciekać, to go złapię tutaj.

Chong Sing nie uciekał. Na widok policjanta tylko niżej spuścił głowę i dalej pchał taczki. Kiedy policjant położył mu na ramieniu rękę, nie stawiał oporu. Pozostali robotnicy przerwali na chwilę pracę i przyglądali się, jak przebiega aresztowanie, żaden jednak się nie wtrącił. Zanim jeszcze policjant doprowadził ich kolegę do samochodu, w którym czekał Littlemore, wszyscy powrócili do pracy.

- Dlaczego pan wczoraj uciekł, Chong?

- Nie uciekłem. Poszedłem do pracy. Rozumiesz? Jestem w pracy.

- Postawię panu zarzut współdziałania w morderstwie. Rozumie pan, co to oznacza? Możesz pan wisieć - oświadczył detektyw, wykonując charakterystyczny gest wraz z ostatnim wypowiedzianym słowem.

- Ja nic nie wiem - zapewniał Chińczyk. - Leon wyjechał. Z jego pokoju dochodził ten brzydki zapach. To wszystko.

- Akurat! - rzucił detektyw i kazał odtransportować Singa do więzienia Tombs, sam natomiast został na budowie. Chciał się trochę rozejrzeć po nabrzeżu. Kawałki łamigłówek powoli układały się w większą całość i zaczynały do siebie pasować. Wiedział, że na terenie budowy mostu znajduje czerwoną glinę, i miał przeczucie, że chodził po niej George Banwell.

Wszyscy w mieście wiedzieli, że to Banwell buduje Manhattan Bridge. Kiedy burmistrz McClellan podpisał umowę z będącą własnością Banwella American Steel Company, gazety należące do Hearsta podniosły wrzawę, że to korupcja i potępiły burmistrza za to, że faworyzuje starego kolegę, triumfalnie obwieszczając spodziewane wielkie opóźnienia, problemy techniczne i zawyżone rachunki. Tymczasem Banwell postawił wieże mostu, nie tylko mieszcząc się w przewidzianym budżecie, ale też w rekordowym czasie. Osobiście nadzorował budowę, co nasunęło Littlemoreowi pewien pomysł. Detektyw szedł w kierunku rzeki, mieszając się z masą robotników. Potrafił wmieszać się w każdą grupę, jeśli tylko chciał. Zachowywał się z niezmaconym spokojem, bo był spokojny, zwłaszcza że układanka zaczęła tworzyć jakąś spójną całość. Chong Sing miał pracę w dwóch firmach należących do George a Banwella - czyż to nie interesujące?

Dotarł na główny pomost akurat w chwili, gdy przejmowali pracę robotnicy z drugiej zmiany Setki brudnych, zmęczonych ludzi noga za nogą schodziły z podwyższenia, podczas gdy w długiej kolejce przed windą czekały świeże siły, by zjechać do kesonu. Łoskot turbin, nieprzerwane pulsowanie tych metalowych mechanizmów wypełniało powietrze wściekłym rykiem.

Gdyby ktoś zapytał Littlemorea, skąd wiedział, że w powietrzu wisi coś niedobrego, że unosi się tam ludzkie nieszczęście, nie potrafiłby odpowiedzieć. Wystarczyło parę minut rozmowy z robotnikami, żeby się dowiedział o smutnym końcu Seamusa Malleya. Biedny Malley stał się kolejną ofiarą choroby kesonowej. Kilka dni temu znaleźli go rano w windzie. Strużki krwi wyciekającej z uszu i nosa były już zaschnięte.

Mężczyźni bardzo narzekali na pracę w kesonie, który nazywali pudełkiem albo trumną. Niektórzy uważali, że to miejsce przeklęte. Niemal wszyscy cierpieli na dolegliwości, które przypisywali pracy pod wodą. Dlatego większość z zadowoleniem przyjmowała zbliżające się zakończenie robót. Tylko starsi kiwali głowami i powtarzali, że kiedyś jeszcze wszyscy zatęsknią za dniami, gdy ryli w piasku jak świnie (bo tak właśnie określali pracę w kesonie), ale przynajmniej dostawali pensję. Natychmiast któryś się oburzył, że takich marnych pieniędzy nie można nazwać pensją. Czy trzy dolary za dwanaście godzin ciężkiej harówki to naprawdę pensja? Taki Malley na przykład nie mógł sobie za tę pensję pozwolić na dach nad głową. Właśnie dlatego nie żyje. To oni go zabili. 1 zabiją wszystkich pozostałych. Inny z kolei zauważył, że Malley miał przecież dach nad głową. I żonę, z której powodu właśnie nocował w pudełku.

Littlemore obserwował grudki czerwonej gliny na deskach podestu. Uklęknął, żeby zawiązać sobie buty i ukradkiem schował kilka z nich do kieszeni. Zapytał, czy pan Banwell kiedykolwiek zjeżdżał do kesonu. Okazało się, że tak. Robotnicy powiedzieli mu, że pan Banwell zjeżdżał do trumny przynajmniej raz dziennie, żeby kontrolować postępy pracy. Kilka razy towarzyszył mu nawet pan burmistrz.

Detektyw zapytał, jak się pracuje u Banwella. Odpowiedź brzmiała, że jak w piekle. Wszyscy zgodnie uważali, że Banwella nie obchodziło, ilu z nich umrze w kesonie; nawet po ich trupach gotów był przyspieszyć budowę. Dopiero wczoraj po raz pierwszy Banwell okazał troskę o ich życie.

- A co zrobił?
- Powiedział, żebyśmy nie korzystali z piątego okna.

Littlemore się dowiedział, że oknami nazywano otwory

zsypane w kesonie. Każde okno miało swój numer. Okno numer pięć zapchało się kilka dni temu. Normalnie szef kazałby je zreperować, czego robotnicy nienawidzili, bo naprawa była niebezpieczna przynajmniej dla jednego z nich w zalanej wodą śluzie. Wczoraj po raz pierwszy Banwell powiedział im, żeby się nie przejmowali awarią. Któryś z robotników zasugerował, że Banwell po prostu mięknie, pozostali jednak przypuszczali, że szef nie chce podejmować zbędnego ryzyka, skoro budowa jest już na ukończeniu.

Littlemore przetrwał wszystkie uzyskane informacje i poszedł do windy. Operator dźwigu, pomarszczony staruszek pozbawiony choćby jednego włosa na głowie, siedział w kabinie na stołku. Detektyw zapytał go, kto zamykał windę po zakończeniu pracy w dniu, w którym zginął Malley.

- Ja - odpowiedział staruszek tonem właściciela.
- Czy kabina była na platformie, kiedy ją pan wtedy zamykał, czy też może została na dole?
- Oczywiście, że tutaj. Chyba nie jesteś zbyt bystry, młody człowieku. Jak moja winda może być na dole, skoro ja jestem na górze?

To było dobre pytanie. Winda sterowana była ręcznie i tylko wewnątrz kabiny można było ją podnieść albo opuścić. Dlatego kiedy operator skończył ostatni nocny kurs, kabina musiała zostać na platformie. Ponieważ staruszek zadał

Littlemore'owi dobre pytanie, detektyw odpowiedział mu jeszcze lepszym.

- Jak więc dostał się na górę?

-Kto?

- No ten, który zginął przedwczoraj - wyjaśnił Littlemore.

- Malley. Został na dole po nocnej zmianie, kiedy reszta ludzi wyjechała na powierzchnię, prawda?

- Tak było - pokiwał głową starszek. - Skończony głupiec! Nie pierwszy raz spał na dole. Mówiłem mu, żeby tego nie robił. Ale mnie nie słuchał.

- Ale we wtorek rano został znaleziony w kabinie tutaj, na powierzchni?

- Tak. Sztywny jak kołek. Jeszcze zostały ślady jego krwi. Od dwóch dni próbuję zmyć te plamy i nie mogę. Myłem mydłem i nic. Od sody też nie zeszły. Widzisz?

- Jak więc dostał się na górę?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Carl Jung stanął w drzwiach pokoju Freuda wyprostowany i dumny. Był ubrany wizytowo i nic w jego wyglądzie nie sugerowało, że jeszcze kilka minut wcześniej na podłodze swojego pokoju bawił się kamyczkami i patykami.

Freud, tylko w kamizelce i z podwiniętymi rękami koszuli, poprosił gościa, by czuł się jak u siebie. Jung zdecydowanie nie wyglądał dobrze. Freud nie dawał, oczywiście, wiary sugestiom Brilla, zgadzał się jednak z opinią, że Jung powoli wyrwa się z orbity jego wpływów, i instynkt podpowiadał mu, że to decydująca rozmowa.

Freud wiedział doskonale, że Jung jest inteligentniejszy i bardziej twórczy niż jego pozostali współpracownicy i uczniowie; że on jedyny dysponuje potencjałem pozwalającym poszerzyć horyzonty. Niewątpliwie jednak miał kompleks ojca. Kiedy w jednym z pierwszych listów Jung poprosił go o fotografię, Freudowi schlebiało, że młody człowiek chce w ten sposób oddać mu cześć. Gdy jednak Jung wprost stwierdził, żeby nie traktował go jak równego sobie, tylko jak syna, Freud zaczął się martwić. Doszedł wówczas do wniosku, że będzie musiał jakoś specjalnie się o niego zatroszczyć.

Freudowi wydawało się, że wśród przyjaciół Junga nie ma mężczyzn. Carl otaczał się przeważnie kobietami, zbyt wieloma kobietami. To był kolejny problem. Ze względu na list od rektora Halla Freud nie mógł dłużej odwlekać rozmowy z Jungiem o dziewczynie, o której matka w liście napisała, że jest jego pacjentką i kochanką. Freud widział też pozbawiony wszelkich skrupułów list, który Jung wystosował do matki tej dziewczyny. A w dodatku jeszcze to, co Ferenczi powiedział mu przed chwilą o sytuacji, w jakiej zastał Junga w hotelowym apartamencie.

Jedynie, co do czego Freud nie miał zastrzeżeń, to wiara Junga w podstawowe założenia psychoanalizy. W prywatnej korespondencji i podczas wielu godzin osobistych rozmów Freud przetestował go pod tym względem wielokrotnie. Nie mogło być wątpliwości: Jung wierzył bez reszty w seksualną etiologię. Co więcej, przekonał się do jego teorii w najlepszy z możliwych sposobów - podczas obserwacji wielu przypadków klinicznych, które potwierdzały słuszność założeń Freuda.

- Zawsze rozmawialiśmy ze sobą szczerze - zaczął. - Czy i tym razem możemy tak porozmawiać?
- Nie mógłbym życzyć sobie czegokolwiek innego, zwłaszcza teraz, kiedy wreszcie uwolniłem się spod pańskiej ojcowskiej władzy.

Freud próbował nie pokazać, że zbiło go to z tropu.

- Świetnie, doskonale! Może kawy?
- Nie, dziękuję. Uwolnienie nastąpiło wczoraj, kiedy postanowił pan nadal ukrywać przede mną prawdę o swoim śnie z hrabią Thunem, żeby zachować własny autorytet. To dopiero paradoks! Chciał pan zachować autorytet, a w rezultacie go utracił. Bardziej zależało panu na autorytecie niż na prawdzie. Ale tak jest lepiej. Pańska sprawa tylko zyska na mojej niezależności. A nawet już zyskała. Rozwiązałem bowiem problem kazirodztwa.

W tych pospiesznie wypowiedzianych słowach uwagę Freuda zwróciły dwa.

- Moja sprawa? - zapytał.
- Co takiego?
- Użył pan słów „pańska sprawa”.
- Nie użyłem.
- Ależ tak. I to już po raz drugi.
- No cóż, bo to pańska sprawa. Pańska i moja. I będzie teraz o wiele większa. Słyszał pan? Rozwiązałem problem kazirodztwa.

- O jaki problem panu chodzi? I co ma pan na myśli, mówiąc, że go rozwiązał?

- Wiemy, że dorośli synowie nie pożądamy swoich matek z ich obwisłymi piersiami i żyłakami na nogach. To oczywiste i nie wymaga dowodzenia. Mali synowie także nie pożądamy matek, ponieważ obca jest im potrzeba penetracji. Dlaczego więc neuroza u dorosłych tak często rozwija się wokół kompleksu Edypa, co potwierdza wiele pańskich i moich przypadków klinicznych? Odpowiedź na to pytanie przyniósł mi sen wczorajszej nocy. Dorosły konflikt reaktywuje konflikt z dzieciństwa. Hamowane libido neurotyka jest włączane z powrotem na tory dzieciństwa, dokładnie tak, jak pan zawsze powtarzał! Tam znajduje matkę, która kiedyś była dla niego taka ważna. Libido kojarzy się z nią właśnie, ale niekoniecznie oznacza to rzeczywiste pożądanie.

Uwagi te wywołały dziwną reakcję fizyczną u Zygmunta Freuda. Doznał silnego napływu krwi do naczyń w okolicach skroni; poczuł, że głowa zrobiła mu się jakby cięższa. Przełknął ślinę, zanim się odezwał.

- Zaprzecza pan istnieniu kompleksu Edypa?

- Skądże znowu! Jakże mógłbym? Przecież sam wymyśliłem ten termin.

- Pański jest tylko termin kompleks - sprostował Freud.

- Podtrzymuje więc pan istnienie kompleksu, ale zaprzecza edypowemu?

- Nie! - wykrzyknął Jung. - Zachowuję wszystkie pańskie najważniejsze spostrzeżenia i uwagi. Neurotycy rzeczywiście przejawiają kompleks Edypa. Neuroza każe im sądzić, że pożąдали seksualnie własnej matki.

- Mówi pan zatem, że nie istnieją rzeczywiste pragnienia kazirodcze, bo nie mają ich ludzie zdrowi.

- Nie mają ich nawet neurotycy! To właśnie w moim rozwiązaniu jest cudowne! Neurotyk rozwija kompleks matki, ponieważ jego libido włączane jest z powrotem w etap dzieciństwa. Tym samym neurotyk daje sobie złudny powód, by się samemu ganić i obwiniać. Czuje się winny z powodu uczucia, którego nigdy nie żywił!

- Rozumiem. Jaka jest więc przyczyna jego neurozy?
- Obecny konflikt. Jakakolwiek żądza, do której neurotyk nie przyznaje się sam przed sobą. Każde życiowe zadanie, któremu nie potrafi sprostać!
- Rozumiem, obecny konflikt - powiedział Freud, przeciągając słowa. Nie miał już ciężkiej głowy. Przeciwnie, doświadczał jakiejś dziwnej lekkości. - Nie istnieje więc powód, by zagłębiać się w seksualną przeszłość pacjenta. Ani też w jego dzieciństwo jako takie.
- Otóż to - przytaknął Jung. - Nigdy nie byłem co do tego przekonany Z czysto klinicznego punktu widzenia trzeba bowiem stwierdzić, że odkrycia wymaga aktualny konflikt, i to on musi być przepracowany. Można oczywiście analizować reaktywowany seksualny materiał z dzieciństwa, ale to pułapka przynosząca złudne efekty, ponieważ są one niczym innym jak tylko podejmowanym przez pacjenta wysiłkiem, by uciec przed neurozą. Obecnie zajmuję się spisywaniem tego wszystkiego. Zobaczysz pan, ilu nowych zwolenników zyska psychoanaliza dzięki zmniejszeniu w niej roli seksualności.
- Może więc całkowicie ją wyeliminujemy? Wtedy powinniśmy osiągnąć jeszcze większe sukcesy - rzucił Freud.
- Mogę zadać panu pytanie? Skoro pragnienia kazirodcze nie są rzeczywiste, to dlaczego stanowią tabu?
- Tabu?
- Tak, właśnie tabu. Skoro nie żyjemy ukrytych żądz, to dlaczego problem kazirodztwa istnieje i istniał w każdej cywilizacji, którą od zarania dziejów zbudował człowiek?
- Ponieważ... ponieważ... Nie zawsze tabu dotyczy ludzkiego pożądania.
- Proszę podać choćby jeden przykład.
- Och, wiele jest takich rzeczy - upierał się Jung. - Długa lista.
- Proszę więc podać przykład.
- Dobrze. Choćby prehistoryczne kultury zwierząt, totemy, które... - Jung zawiesił głos i nie był w stanie skończyć zdania.
- Mogę zadać panu jeszcze jedno pytanie? - odezwał się Freud po chwili. - Twierdzi pan, że przyszło to panu do głowy w związku ze snem. Zastanawiam się, co to był za sen. Może dałoby się go jakoś inaczej zinterpretować?
- Nie mówiłem niczego o interpretacji snu - zaprzeczył Jung. - Powiedziałem, że odpowiedź przyniósł mi sen, ale jeszcze wtedy nie spałem.
- Nie rozumiem - stwierdził Freud.
- Przecież zna pan głosy, które się słyszy tuż przed zaśnięciem. Nauczyłem się zwracać na nie

baczną uwagę. Jeden z tych głosów przemawia do mnie ze starożytności. Widziałem człowieka, który przemawia tym głosem. To stary egipski mędrzec, gnostyk; właściwie chimera. Na imię ma Filemon. To właśnie on wyjawiał mi ten sekret.

Freud się nie odezwał.

- Nie boję się pańskiego niedowierzania - zapewnił Jung.
- Jest więcej rzeczy w niebiosach i na ziemi, panie profesorze, niż te, o których śni się w pańskiej psychologii.
- Zapewne. Ale żeby dawać się prowadzić głosom, Jung?
- Być może nieprecyzyjnie się wyraziłem - odparł zapytany. - Nie zaakceptowałem słów Filemona bez dowodów. Wyłożył swój punkt widzenia, przeprowadzając egzegezę pierwotnych kultów matki. Zapewniam pana, że nie od razu mu uwierzyłem. Zgłosiłem kilka zastrzeżeń i wątpliwości. Wszystkie rozwiązałem solidnymi argumentami.
- Rozmawiał pan z nim?
- Widzę, że nie jest pan szczęśliwy z powodu mojej teoretycznej innowacji.

W pośpiechu pokonując Canal Street, detektyw Little-more nie zauważył, że przez cały czas kilka metrów za nim posuwa się duże, czarno-czerwone auto, Stanley steamer. Widział za to kilka innych rzeczy oczyma wyobraźni: jak burmistrz wręcza mu awans na porucznika i jak Betty z zachwytem ogląda go w nowym mundurze. Zapewne dlatego właśnie nie zauważył, że jadące za nim auto gwałtownie przyspiesza. Nie zauważył także, jak zjeżdża ku krawędzi ulicy i pędzi wprost na niego. Nie mógł też oczywiście widzieć, jak zderzak samochodu uderza go w nogi, a siła tego uderzenia wyrzuca w powietrze.

Ciało leżało nieruchomo na ulicy, a samochód z wielką prędkością skręcił w Drugą Aleję i zniknął. Kilku przerażonych świadków zdarzenia posłało za nim przekleństwa, jeden nawet nazwał kierowcę mordercą. Policjant z patrolu, który akurat znajdował się w pobliżu, co siłą podbiegł do leżącego Littlemorea, który miał jeszcze dość siły, by wyszeptać mu coś do ucha. Policjant zmarszczył brwi i skinął głową. Dopiero po dziesięciu minutach zjawił się konny ambulans, który z miejsca wypadku udał się nie do szpitala, lecz prosto do miejskiej kostnicy.

Jung chwycił Freuda pod pachy i ułożył na sofie. Nagle profesor wydał mu się stary i bezsilny, a jego porażająca wnikliwość i zdolność oceny tak słaba, jak zwisające teraz bezwładnie ręce i nogi.

Freud odzyskał przytomność po kilku sekundach.

- Śmierć musi być bardzo słodka - powiedział.
- Czy coś panu dolega? - zapytał Jung.
- Jak pan to wywołał? Ten hałas?

Jung wzruszył tylko ramionami.

- Dobrze się przyjrzę parapsychologii. Ma pan moje słowo - zapewnił Jung. - Zachowanie Brilla... Bardzo mi przykro. On nie mówi tego, co myślę.
- Wiem.
- Przez rok wymagałem, żeby informował mnie pan o swoich poczynaniach. Wiem, że to wielkie obciążenie. Obiecuję też, że wyeliminuję z teorii nadmiar libida. Ale martwię się, Carl. Ferenczi widział... widział pańską wioskę.
- Tak. Znalazłem nowy sposób powracania do wspomnień z dzieciństwa. Przez zabawę. Jako mały chłopiec budowałem w ten sposób wielkie miasta.
- Rozumiem... - powiedział Freud, przykładając chusteczkę do czoła i z wdzięcznością przyjmując od Junga szklankę wody.
- Proszę mi w końcu pozwolić, żebym poddał pana psychoanalizie - poprosił Jung. - Naprawdę mogę panu pomóc.
- Poddawać mnie psychoanalizie? Ach, już wiem! Chodzi panu o moje omdlenie. Sądzi pan, że miało podłoże neurotyczne?
- Oczywiście!
- Zgadzam się. Ale znam już przyczynę - oświadczył Freud.
- Wszystko to pańska ambicja. Ona pana zaślepia, podobnie jak mnie kiedyś.

Freud wziął głęboki oddech.

- Chce mi pan powiedzieć, że zaślepia mnie strach przed zdetronizowaniem, niechęć do pańskiego sukcesu i podejmuję niezmiernie wysiłki, by pana tłamsić?

Jung poderwał się zaskoczony.

- To pan wiedział?
- Oczywiście, że tak - odparł Freud. - Co takiego uczyniłem, żeby zasłużyć na takie oskarżenie? Czy nie chwaliłem pana przy każdej okazji? Czy nie przysyłałem panu pacjentów? Nie cytowałem pana i nie dziękowałem mu w swoich publikacjach? Czyż nie zrobiłem wszystkiego, co w mojej mocy, nawet raniąc oddanych mi przyjaciół, by zajmował pan stanowiska, które mogłem przecież zachować dla siebie?
- Ale nie docenia pan najważniejszego: wagi moich odkryć! Rozwiązałem problem kazirodztwa. To prawdziwa rewolucja, a pan deprecjonuje jej znaczenie.

Freud przetarł oczy.

- Zapewniam pana, że nie. Wiem aż za dobrze, jakie ona ma znaczenie. Na statku opowiadał pan nam swój sen. Pamięta pan? Znajduje się pan w głębokich lochach albo w jakiejś jaskini, wiele

metrów pod ziemią. Dostrzega pan tam szkielet. Powiedział pan nam, że były to kości pańskiej żony Emmy i jej siostry.

- Tak było - potwierdził Jung. - A dlaczego pan do tego wraca?

- Tak było?

- Oczywiście. I co w związku z tym?

- Czyje to były kości?

- Co mi pan sugeruje?

- Skłamał pan. - Jung nie odpowiedział. - Cóż, Jung. Sądzi pan, że po dwudziestu latach kontaktów z pacjentami, którzy wykręcają się od odpowiedzi, nie potrafię sam sobie odpowiedzieć?

Jung nadal milczał.

- Kości były moje, prawda?

- A jeśli nawet, to co? - odezwał się w końcu Jung. - Ten sen mówił wyraźnie, że pana przerastam. Chciałem oszczędzić panu zgryzoty.

- Chciał pan, żebym umarł, Carl. Najpierw uczynił pan ze mnie swojego ojca, a teraz chce pan, żebym umarł.

- Ach, więc do tego pan prowadzi? Moje teoretyczne innowacje są próbą, żeby pana zdetronizować... Tak pan zawsze mówi, prawda? Jeśli ktokolwiek się z panem nie zgadza, to jego zachowanie może być jedynie symptomem neurotycznym, pragnieniem o edypowym podłożu, próbą ojco-bójstwa... Wszystkim, tylko nie obiektywną prawdą. Niech mi pan wybaczy, ale najwyraźniej tym razem o władnęła mną żądza, by choć raz zyskać intelektualne porozumienie. Nie chcę być diagnozowany, tylko zwyczajnie wysłuchany i rozumiany. Ale czy w psychoanalizie to w ogóle możliwe? Może jedyną prawdziwą funkcją psychoanalizy jest obrażanie i okaleczanie innych przez delikatne wytykanie im kompleksów? Jakby to miało cokolwiek wyjaśniać! Cóż za potworna teoria!

- Niechże pan posłucha tego, co pan mówi, Jung. Niech pan posłucha swojego głosu. Proszę, żeby się pan zastanowił, czy istnieje możliwość, za ledwie możliwość, że działa tutaj, jak pan to sam określił, pański kompleks ojca. Byłoby wielką szkodą dla pana, gdyby publicznie ogłosił pan poglądy, a ich prawdziwą motywację dostrzegł dopiero później.

- Obiecywał pan, że będziemy rozmawiać otwarcie - odparł Jung. - Przynajmniej ja zamierzam tak właśnie postępować. Przejrzałem pana. Dostrzegłem, w co pan gra. Nieustannie szuka pan symptomów u innych, ciągle wychwytuje ich przejęzyczenia, bez przerwy dąży do ujawniania ich słabych punktów. Dzięki temu chce pan wszystkich wokół obrócić w dzieci, by stanąć na ich czele, korzystając z autorytetu ojca. Nikt wtedy nie odważy się pociągnąć mistrza za brodę! Ale ja nie jestem neurotykiem. Przecież to nie ja zemdlałem. To nie ja mam problemy z kontrolowaniem czynności fizjologicznych. Poczytny pan dzisiaj jedną słuszną uwagę: pańskie omdlenie było neurotyczne. Prawdą jest więc, że cierpiałem z powodu neurozy, ale pańskiej, a nie własnej. Myślę, że nienawidzi pan neurotyków, a psychoanaliza stanowi ujście dla tej nienawiści. Zmienia pan nas wszystkich w

swoich synów i czeka na jakikolwiek przejaw agresji z naszej strony, stworzywszy uprzednio warunki, w których do agresji musi dojść. A wtedy wyskakuje pan na nas z okrzykiem, że przejawiamy pragnienia o charakterze edypowym albo że życzymy panu śmierci. Gwiżdżę na pańską diagnozę.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza, jak makiem zasiał.

- Oczywiście weźmie pan to za przejaw krytycyzmu - dodał Jung i tym razem w jego głosie zabrakło pewności siebie. - Ale ja mówię to z przyjaźni do pana.

Freud wyjął cygaro.

- To dla pańskiego dobra, a nie mojego - stwierdził Jung po kolejnej chwili milczenia.

Freud wypił resztkę wody. Nie zapalając cygara, wstał i podszedł do drzwi.

- My, analitycy, rozumiemy się nawzajem - powiedział.

- Nikt nie musi czuć najmniejszego choćby zażenowania z powodu własnych przejawów neurozy. Ale zapewnianie, iż jest się okazem zdrowia psychicznego, w sytuacji, gdy przeczy temu nienormalne zachowanie, dowodzi wyłącznie niezrozumienia własnej choroby. Niechże więc pan korzysta z wolności. I oszczędzi mi swojej przyjaźni.

Freud otworzył drzwi. Wychodząc, Jung rzucił jeszcze jedną uwagę:

- Przekona się pan, co to dla pana będzie oznaczać. Reszta jest milczeniem.

Wbrew gorączce wydarzeń Gramercy Park był chłodny i spokojny. Siedziałem na ławce jeszcze długo po tym, jak Nora pobiegła, wpatrzony w jej dom, a potem w znajdujący się za rogiem dom wujostwa Fish, których odwiedzałem jako mały chłopiec. Wuj Fish nigdy nie dawał nam klucza do parku. Najpierw poczułem się niezręcznie na myśl, że po ucieczce panny Acton nie będę mógł się stamtąd wydostać. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że klucz potrzebny jest tylko do wejścia, bo od środka furtkę można otworzyć.

Chociaż kompleks Edypa nadal budził we mnie wielką odrazę, musiałem w końcu przyznać słuszność tej teorii. Bardzo długo jej się opierałem. Już wcześniej kilku moich pacjentów powierzało mi wyznania, które mógłbym interpretować w tych kategoriach. Wcześniej jednak żaden chory nie przyznał się do swoich kazirodczych pragnień wprost i bez ogródek. Tutaj przecież nie była potrzebna żadna interpretacja. Nora przyznała się do edypowych pragnień wprost. Jej wielka świadomość samej siebie budziła we mnie podziw, ale to wyznanie wywołało jednocześnie wielką odrazę.

Nieodwracalnie.

Przyszły mi do głowy słowa, które Hamlet skierował do Ofelii zaraz po swoim słynnym monologu: „Idź do klasztoru, Ofelio!”. Czyż nie było to lepsze niż życie w otoczeniu grzeszników? W świecie, który ciska kalumniami nawet w najczystszych? Zastanawiałem się, czy Ofelia stosowała makijaż. Przecież Hamlet jej powiedział, że Bóg każdemu z nas dał jedną twarz nie po to, byśmy sami przybierali inną.

Chyba u źródeł tych moich rozmyślań tkwiło przekonanie, że nie potrafiłbym teraz dotknąć Nory. Nie potrafiłem nawet myśleć o tym, że jej dotykam. Ale niech mnie diabli wezmą, nie mógłbym znieść

także myśli o tym, że dotyka jej jakikolwiek inny mężczyzna!

Wiem, jak nieracjonalna była ta moja reakcja. Przecież Nora nie ponosiła żadnej odpowiedzialności za uczucia, których doznawała. Kazirodcze żądze nie były jej wolnym wyborem. Doskonale zdawałem sobie z tego sprawę, ale to niczego nie zmieniało.

Podniosłem się z ławki, przeczesując włosy palcami. Zmusiłem się do koncentracji na medycznych aspektach tego przypadku. Byłem przecież jej terapeutą. Z klinicznego punktu widzenia wyznanie Nory, że wydarzenia ubiegłej nocy obserwowała z góry, było o wiele ważniejsze niż przyznanie się do kompleksu Edypa. Prawdą było to, co jej powiedziałem, że takie doznanie jest charakterystyczne dla marzeń sennych; w połączeniu jednak z całkiem realnym oparzeniem skóry wyznanie to skłaniało raczej do zdiagnozowania psychozy. Prawdopodobnie Nora Acton potrzebowała leczenia wykraczającego poza sesje psychoanalityczne; zapewne konieczna będzie hospitalizacja. Idź do sanatorium, Ofelio!

Ale jakoś nie potrafiłem uwierzyć, że sama zadała sobie rany podczas pierwszego napadu, w poniedziałek. Musiałoby to być bardzo brutalne samobiczowanie. Nie byłem też skłonny przyjąć za pewnik, że drugi napad był halucynacją. W mojej głowie to pojawiała się, to zniknęła jakieś nieokreślone wspomnienie z czasów studiów.

Uniwersytet nowojorski znajduje się zaledwie kilka przecznic od Gramercy Park. Ponieważ okazało się jednak, że furta jest zamknięta, musiałem przeskoczyć przez płot i czułem się przy tym jak przestępca. Na Washington Square przeszedłem pod monumentalnym łukiem Stanforda White'a, rozmyślając smętnie o morderczych skutkach miłości. Co jeszcze stworzyłby ten wielki architekt, gdyby nie został zamordowany przez szalonego z zazdrości męża? A teraz Jel-liffe próbował wydostać tego człowieka z zamkniętego szpitala psychiatrycznego! Zatopiony w tych myślach dotarłem do budynku biblioteki uniwersyteckiej.

Zacząłem od pracy profesora Jamesa o podtlenku azotu, którą znałem jeszcze z Harvardu, nie znalazłem w niej jednak niczego, co pasowałoby do podanego przez Norę opisu. Nie przydała się też na nic żadna pozycja z anestezjologii ogólnej. W katalogu znalazłem tytuł *Projekcja astralna*, ale książka okazała się teozoficznym bajdurzeniem. Zaraz potem przebrnąłem przez kilkanaście opracowań na temat bi-lokacji. One też niczego mi nie wyjaśniły. W końcu jednak znalazłem to, czego szukałem.

Miałem szczęście. W świeżo opublikowanej książce na temat zjaw Durville zamieścił kilka interesujących odsyłaczy. Przekonywająco opisał przypadek Bozzano. Doktor Osty zamieścił jeszcze lepszą nawet publikację w datowanym na maj-czerwiec numerze „Revue Métapsychique”. Ale przypadek, który znalazłem u Battersby'ego rozwiązał wszelkie moje wątpliwości. Autor przedstawił w nim następującą relację jednej ze swoich pacjentek:

Broniłam się tak zaciekle, że lekarze i pielęgniarki nie mogli mnie utrzymać... Potem pamiętam, jak rozległ się przeraźliwy wrzask, a ja znalazłam się na górze i obserwowałam wszystko spod sufitu. Widziałam łóżko, nad którym pochylali się lekarze i pielęgniarki. Widziałam, jak bezskutecznie próbują mnie uciszyć, jak mi powtarzają, żebym nie krzyczała, bo wystraszę innych pacjentów. Ale wiedziałam również dobrze, że jestem oddzielona od mojego krzyczącego ciała i nie mogę zrobić nic, by je od tego krzyku powstrzymać.

Nie miałem telefonu detektywa Littlemorea, pamiętałem jednak, że pracuje w budynku komendy miejskiej policji. Udałem się więc tam; pomyślałem, że nawet jeśli go nie zastanę, będę mógł zostawić mu wiadomość.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Goniec w budynku Van den Heuvela powiadomił koronera Hugela, że ambulans przywiózł kolejne zwłoki do kostnicy miejskiej. Nieporuszony tą wiadomością koroner kazał chłopcu odejść. Młodzieniec jednak się nie ruszył z miejsca, tylko dodał, że to nie były jakie zwłoki, ale ciało detektywa Littlemore'a. Koroner zaklął ciężko, wygrzebał się spod stosów luźnych papierów oraz kartonowych pudeł i pobiegł do kostnicy tak szybko, że goniec ledwie za nim nadązał.

Ciało Littlemore'a nie leżało w samej kostnicy, tylko w przedsionku laboratorium; tam autopsji dokonywał sam Hugel. Przywieziono je z miejsca wypadku, po czym umieszczono na jednym ze stołów sekcyjnych. Załoga ambulansu już odjechała.

Hugel i goniec weszli do laboratorium i aż zamarli na widok leżących w nienaturalnej pozycji zwłok. Koroner z ogromną siłą chwycił za ramię towarzyszącego mu chłopca i powoli ruszył w kierunku stołu.

- Nie! To wszystko nie moja wina - powiedział.
- Oczywiście, że nie, panie Hugel - odezwały się zwłoki, otwierając oczy.

Goniec przeraźliwie wrzasnął.

- Kurwa mać! - zaklął koroner.

Detektyw usiadł i otrzepał klapy marynarki. Na twarzy koronera zobaczył wielką ulgę, a zaraz potem wzbierający w nim gniew.

- Niech mi pan wybaczy, panie Hugel - powiedział przeproszającym tonem. - Teraz już nic się nie liczy, bo mam coś naprawdę wielkiego.

Koroner sztywnym krokiem wyszedł na korytarz. Little-more zeskoczył ze stołu i natychmiast zawył z bólu. Jego lewa noga była w stanie znacznie gorszym, niż się spodziewał. Kulejąc, udał się za Hugelem, wyjaśniając mu swoją teorię na temat śmierci Seamusa Malleya.

- Nedorzecznosc! - odpowiedział mu na to Hugel i wchodził po schodach, nie zaszczyciwszy nawet jednym spojrzeniem utykającego detektywa. - Dlaczego po zabiciu Malleya Banwell miałby wciągać zwłoki do windy? Potrzebował towarzystwa w drodze powrotnej na górę?
- Może Malley zginął, kiedy obaj byli w windzie.
- Ach, rozumiem! Banwell zabija go w windzie, a następnie zostawia w kabinie dźwigu, żeby do maksimum zwiększyć prawdopodobieństwo, że policja oskarży go o dwa morderstwa? Banwell nie jest idiotą, detektywie. To człowiek myślący. Gdyby zrobił to, co mu pan zarzuca, zawróciłby windę w dół klesonu i pozbył się tego Malleya w taki sam sposób, w jaki według pana pozbył się zwłok panny Riverford.
- Ale jest jeszcze glina, panie Hugel. Zapomniałem panu powiedzieć o glinie!

- Nie chcę tego słuchać, Littlemore! - uciął koroner. Dotarli właśnie do drzwi jego gabinetu. - Nie chcę więcej słyszeć ani słowa na ten temat. Proszę iść z tym do burmistrza. Niewątpliwie znajdzie pan w nim chętnego słuchacza. Ja swoje zdanie już panu powiedziałem. Sprawa jest zamknięta.

Littlemore zamrugał oczami i z niedowierzaniem potrząsnął głową. Zauważył stosy przygotowanych do spakowania rzeczy i kartonowe pudła.

- Czy pan gdzieś wyjeżdża, panie Hugel?

- Tak, właśnie tak. Zwalniam się z pracy.

- Zwalnia się pan?

- Nie mogę dłużej pracować w takich warunkach. Tutaj nikt nie liczy się z tym, co mówię.

- Ale dokąd pan pójdzie?

- Sądzisz, że to jedyne miasto, które potrzebuje specjalisty patologa? - rzucił Hugel, rozglądając się po gabinecie.

- Chociażby w Cleveland w Ohio jest wolny etat. I z pewnością tam będą się liczyć z moim zdaniem. Oczywiście, będą mi płacić mniej, ale to nie jest najważniejsze. Przez wszystkie lata odłożyłem sobie pokaźną sumkę. Nikt nie będzie narzekał na prowadzoną przeze mnie dokumentację. Mój następcą zostanie doskonale zorganizowany system, który sam stworzyłem. Czy wie pan, w jakim stanie znajdowała się kostnica, kiedy ją przejąłem?

- Ależ, panie Hugel... - zaczął Littlemore i w tej samej chwili w korytarzu pojawili się Louis Riviere i Stratham Younger.

- Monsieur Littlemore! - krzyknął Riviere. - To pan żyje?

- Niestety, tak! - odezwał się koroner. - A teraz, panowie, proszę mi wybaczyć. Mam jeszcze trochę pracy.

Clara Banwell chłodziła się w wannie, kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych. Turecka wanna ozdobiona była kafelkami w stylu mudejar, sprowadzonymi prosto z Andaluzji na jej specjalne zamówienie. Gdy usłyszała, jak mąż wściekłym głosem wykrzykuje w holu jej imię, pospiesznie wyszła z wody i owinęła się dwoma białymi ręcznikami: jednym wokół piersi, w drugi zawinęła włosy.

Ociekająca wodą zastała męża w olbrzymim salonie, ze szklaneczką w ręku wpatrującego się w rzekę Hudson. Nalewał sobie bourbona z lodem.

- Chodź tutaj - rzucił spod okna, nie oglądając się nawet na żonę. - Rozmawiałas z nią?

- Tak - odpowiedziała, nie ruszając się z miejsca.

- I co?

- Policja myśli, że sama się zraniła. Są przekonani, że albo jest szalona, albo mści się na tobie.
- Co im powiedziałaś?
- Że przez całą noc byłeś w domu.

Banwell chrząknął.

- A co ona mówi?
- Nora jest bardzo delikatna, George. Wydaje mi się, że...

Przerwał jej brzęk butelki bourbona, odstawianego

z wściekłością na szklany blat stolika. Szkło nie pękło, ale alkohol wytrysnął przez szyjkę. George Banwell odwrócił się do żony.

- Chodź tutaj - zażądał.
- Nie chcę.
- Chodź!

Posłuchała. Kiedy znalazła się przy nim, spuściła wzrok.

- Nie - powiedziała.

-Tak.

Odpięła klamrę przy spodniach męża. Kiedy wyjmowała lśniąca skórę ze szlufek, nalał sobie kolejnego drinka. Wręczyła mu pasek i uniosła złączone dłonie nad głowę. Banwell przeciągnął pasek przez sprzączkę i mocno ścisnął, pętając jej ręce w nadgarstkach. Skrzywiła się. Przyciągnął ją do siebie i próbował pocałować w usta, udało mu się jednak dosięgnąć tylko kącika jej warg, bo odwróciła głowę, przesuwając ją najpierw w lewo, a zaraz potem w prawo. Oparł głowę na jej nagim ramieniu. Wzięła głęboki oddech.

- Nie - powiedziała.

Zmusił ją, by przed nim ukłękła. Chociaż miała skrępowane ręce, to jednak nie aż tak, by nie mogła nimi odpiąć mężowi spodni. Zdarł z niej ręcznik.

Jakiś czas później George Banwell siedział na kanapie niemal kompletnie ubrany i sączył bourbona. Jego żona klęczała nago, odwrócona do niego plecami.

- Powiedz, co mówiła - zażądał, rozluźniając sobie krawat.
- Nie możesz z tym skończyć, George? - zapytała, spoglądając na niego. - Przecież to jeszcze dziecko. Czy mogłaby ci wyrzucić jakąś krzywdę?

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, zrozumiała, że wzmogły raczej, niż uspiły żądze jej męża. Podniósł się, zapinając guziki.

- Jeszcze dziecko! - powtórzył drwiąco.

Francuz musiał mieć słabość do detektywa Littlemore'a. Ucałował go z dubeltówki.

- Zaczę częściej udawać trupa - zażartował Littlemore.

- Nigdy nie był pan dla mnie taki miły.

Riviere wręczył detektywowi dużą teczkę.

- Zdjęcie wyszło doskonale - powiedział. - Sam byłem zaskoczony, bo nie spodziewałem się, że tak mały detal wyjdzie w powiększeniu tak wyraźnie. To niezwykle - dodał jeszcze i wycofał się, krzycząc za sobą, że to *au revoir*, a nie *adieu*.

Zostałem z detektywem sam na sam.

- Udawał pan trupa? - zapytałem.

- To był tylko żart. Kiedy w ambulansie odzyskałem przytomność, wpadłem na pomysł, że to może być zabawne.

Zastanowiłem się przez chwilę.

- A było?

Littlemore rozejrzał się.

- Raczej tak - odpowiedział. - Ale co pan tutaj robi?

Wyjaśniłem mu, że dokonałem odkrycia, które może się okazać ważne w rozwikłaniu sprawy panny Acton. I natychmiast uświadomiłem sobie, że sam nie bardzo wiem, jak przedstawić mu tę sprawę. Nora doświadczyła bilokacji, czyli odniosła wrażenie, że znajduje się w dwóch miejscach jednocześnie. Z czasów studiów na Harvardzie pamiętałem mgliście jakąś lekturę na temat bilokacji w kontekście badań nad nowymi środkami w anestezjologii, które tak odmieniły chirurgię. Biblioteczna kwerenda potwierdziła to i byłem całkowicie przekonany, że Norze podano chloroform. Do rana specyficzny zapach substancji uleciał i ustąpiły także efekty jej działania.

Mój problem nie dotyczył więc istoty samego zjawiska. Wiedziałem natomiast od Nory, że nie powiedziała detektywowi o tym dziwnym doświadczeniu, bała się, że jej nie uwierzy. Postanowiłem powiedzieć mu wprost.

- Jest coś, o czym panna Acton nie powiedziała panu na temat ostatniego zajścia. Otóż postrzegala je dwojako, to znaczy jednocześnie w nim uczestniczyła i obserwowala z zewnątrz, jakby znajdowała się poza nim - oznajmiłem. Słyszac własne słowa zrozumiałem, że wybrałem najmniej chyba zrozumiały

i przekonujący sposób przekazania mu tej informacji. Mina detektywa nie pozostawiała żadnych złudzeń. Postanowiłem więc coś dodać: - Jakby unosiła się nad swoim własnym łóżkiem.

- Unosiła się nad swoim własnym łóżkiem? - powtórzył detektyw.
- Właśnie tak.
- Chloroform! - wykrzyknął.

Oślupiałem.

- Skąd, u licha, pan to wie?
- H. G. Wells. To mój ulubiony pisarz. Opisuje podobną historię. Przydarzyła się ona pewnemu facetowi, gdy przed operacją uśpili go chloroformem.
- Niepotrzebnie straciłem popołudnie w bibliotece.
- Nie stracił pan - zaprzeczył mój rozmówca. - Bo teraz może pan podeprzeć to naukowo, prawda? To unoszenie się po chloroformie.
- Tak, a do czego to panu potrzebne?
- Powiem panu później, dobrze? Muszę coś sprawdzić, skoro już tu jestem - oświadczył mój rozmówca i ruszył korytarzem, mocno utykając. Po chwili się odwrócił i dodał:
- Koroner Hugel ma w swoim laboratorium kilka naprawdę dobrych mikroskopów. Pójdzie pan ze mną?

Weszliśmy do małego laboratorium w piwnicy z czterema stołami sekcyjnymi i świetnym sprzętem medycznym. Detektyw wyjął z kieszeni trzy małe koperty, z których każda zawierała czerwone kawałki gliny albo może grudki zbitej ziemi. Wyjaśnił mi, że jedna próbka pochodzi z pokoju Elizabeth Riverford w rezydencji Balmoral, druga z piwnicy tejże rezydencji, a trzecia spod Manhattan Bridge - została zebrana na placu budowy, którą nadzoruje George Banwell. Każdą grudkę rozpląszczył na innej szklanej płytce, a następnie każdą płytkę umieścił pod innym mikroskopem i przechodził od jednego do drugiego.

- Są takie same - orzekł w końcu. - Wszystkie trzy są takie same.

Otworzył teczkę otrzymaną od Riviere'a. Zawierała fotografię szyi dziewczyny z małą sinawą plamą o okrągłym kształcie. Jeśli zrozumiałem właściwie, co mi tłumaczył, a nie jestem o tym przekonany, zdjęcie stanowiło odwrócony obraz odcisku, znalezionego na szyi zamordowanej panny Elizabeth Riverford. Littlemore oglądał tę fotografię uważnie, porównując do złotej spinki, którą wyciągnął z innej kieszeni. Była to spinka do krawata. Dał mi ją i poprosił, żebym porównał ze zdjęciem. Nosila monogram GB.

Porównałem więc. Na okrągłym znamieniu widocznym na szyi dziewczyny dostrzegłem zarys liter, które składały się na monogram na wierzchu spinki do krawata.

- Są bardzo podobne - powiedziałem.
- Tak, są niemal identyczne - zgodził się Littlemore.
- Problem tylko w tym, że według Riviere'a powinny być odwróceniem.
- Nie rozumiem.
- Wie pan, gdzie znaleźliśmy tę spinkę? W ogrodzie Ac-tonów. Ta spinka dowodzi, że Banwell był w ogrodzie Acto-nów i wspinał się tam po drzewie, być może po to, aby wejść przez okno do domu. - Usiadł na krześle, ponieważ prawa noga bolała go tak bardzo, że nie mógł na niej stać. - Nadal sądzi pan, że to był Banwell, prawda, doktorze?
- Tak.
- To niech pan idzie ze mną do burmistrza - poprosił detektyw.

Smith Ely Jelliffe, usadowiony wygodnie w pierwszym rzędzie foteli nowojorskiego Hipodromu, największego krytego teatru na świecie, cicho płakał. Podobnie jak gros ludzi na widowni. Wzruszył ich tak bardzo uroczysty marsz sześćdziesięciu czterech dziewcząt, które dostojnie wchodziły do głębokiego na ponad pięć metrów jeziora, będącego częścią gigantycznej sceny Hipodromu. W jeziorze pluskała prawdziwa woda, a podwodne pojemniki z tlenem i sieć korytarzy pod sceną zapewniły im powrót za kulisy Kto potrafiłby powstrzymać łzy, widząc piękne i pełne godności dziewczęta w kostiumach kąpielowych, które schodzą pod wodę po to, by nigdy już nie zobaczyć ziemi i do końca życia występować w cyrku marsjańskiego króla, daleko od własnego domu?

Jelliffe czułby się z pewnością znacznie bardziej osierocony, gdyby nie świadomość, że z dwiema z tych dziewcząt jeszcze się spotka, i to niebawem. Pół godziny później, ze stąpającymi na wysokich obcasach pięknosciami po bokach i bardzo z siebie zadowolony, wkroczył do restauracji Rzymskie Ogrody przy Czterdziestej Drugiej. Za nimi ciągnęły się dwa różowe boa, po jednym za każdą z dziewcząt, przed nimi zaś wysmukłe kolumny gipsowe strzelały do samego sufitu, który wznosił się dobre trzydzieści metrów wyżej, oświetlony mrugającym światłem elektrycznych gwiazd i wyciętego w nienaturalny sposób kształtu księżyca. Środek sali zajmowała trypoziomowa pompejańska fontanna, a na każdej ścianie niewinnym igraszkom oddawały się młode dziewczęta, umieszczone w złudnej perspektywie *trompe-'oeil*.

Jelliffe ważył co najmniej dwa razy tyle, co obydwie towarzyszące mu wodne nimfy. Zapewne wierzył święcie, że tak imponujący obwód w pasie czyni z mężczyzny w średnim wieku obiekt pożądania wszystkich kobiet. Towarzystwo pięknych pań sprawiało mu dzisiaj większą przyjemność niż zwykle, ponieważ chciał wyrzucić na kompanach korzystne wrażenie. Spożywał kolację w towarzystwie Triumwira-tu. Ci trzej po raz pierwszy zaprosili go do wspólnego stołu w restauracji. Wcześniej mógł najwyżej liczyć, że od czasu do czasu trafi mu się zaproszenie na lunch w ich klubie. Ale widać dzięki powiązaniom z nową psychoterapią jego akcje poszły w górę. Jelliffe nie potrzebował pieniędzy. Zależało mu na sławie, szacunku, pozycji i prestiżu, a to Triumwirat dawał mu za jednym zamachem. Właśnie oni skierowali do niego prawników Harry'ego Thawa, dając mu zasmakować sławy. Dzień, w którym niedzielne gazety zamieściły jego zdjęcie, pod którym napisano, że jest jednym z najlepszych w całym stanie psychiatrów specjalizujących się w prawnych aspektach chorób umysłowych, był najwspanialszym dniem w jego życiu.

Członkowie Triumwiratu zaskakująco wiele zainteresowania okazali także jego wydawnictwu. Niewątpliwie byli to ludzie postępowi. Najpierw zabraniali mu przyjmowania do publikacji wszelkich artykułów związanych z psychoanalizą, później jednak zmienili zdanie. Mniej więcej rok temu polecili, by przysyłał im streszczenia wszystkich publikacji z tej dziedziny trafiających do wydawnictwa, i powiadamiali go następnie, które zasługują na aprobatę. Właśnie Triumwirat poradził mu, żeby publikował Junga. Również oni go zachęcili, żeby podpisał umowę na anglojęzyczne wydanie książki Freuda, kiedy wyglądało już na to, że na rynku amerykańskim opublikuje ją pierwszy Morton Prince z Bostonu. Wynajęli nawet redaktora, który pomógł Jelliffe'owi w pracy nad tą pozycją, dzięki czemu została przygotowana do druku znacznie szybciej.

Jelliffe się zastanawiał, ile dziewcząt zabrać ze sobą do Rzymskich Ogrodów. Dziewczęta były jego specjalnością. Miał olbrzymie powiązania prywatne i zawodowe z tą branżą. Znał najlepsze lokale dla panów w całym mieście, a poproszony o radę w tej kwestii niezmiennie polecał Klub Pla-yersa przy Gramercy Park. Członkowie Triumwiratu nigdy go jednak o radę w tej kwestii nie prosili. Mimo to uznał, że zaproszenie na kolację do Rzymskich Ogrodów jest wspaniałą okazją. Wszyscy mężczyźni w mieście wiedzieli, że nad salą restauracyjną znajduje się dwadzieścia luksusowych apartamentów, każdy z podwójnym łóżkiem, oddzielną łazienką i butelką schłodzonego szampana. Najpierw więc Jelliffe wyobraził sobie cztery pokoje i czwórkę dziewcząt. Po namyśle uznał wszakże, iż byłoby to zbyt mało kolegialne. Zadbął więc o dwa pokoje i dwie dziewczyny, przekonany, że odwiedzanie ich na zmianę doda spotkaniu pikanterii, co uczyni atmosferę bardziej familiarną.

Jelliffe rzeczywiście zrobił wrażenie, nie takie jednak, na jakim mu zależało. We wnęce, do której go zaprowadzono, po prostu powiało chłodem. Żaden z trzech siedzących tam mężczyzn nawet się nie podniósł na powitanie. Jelliffe nie potrafił odgadnąć przyczyny ich zachowania, mężnie jednak przywitał gospodarzy, zarządził, żeby przyniesiono zaraz dwa dodatkowe krzesła, i oznajmił, że na górze czekają zarezerwowane dwa apartamenty. Jednym gestem wypielęgnowanej dłoni doktor Charles Dana wstrzymał spieszących z krzesłami ludzi. W końcu do Jelliffeya dotarło, że popełnił gafę, i mruknął, żeby dziewczęta poczekały na niego na górze.

Niedługo potem trzej dżentelmeni uzyskali od Jelliffeya informację, że Abraham Brill niespodziewanie zrezygnował z publikacji książki Freuda na czas nieokreślony. Charles Dana uznał, że to wielka szkoda, i zapytał, co z wykładami doktora Junga w Fordham. Usłyszał w odpowiedzi, że sprawa toczy się właściwym torem i że skontaktował się z nim dziennikarz z pisma „New York Times” w sprawie ustalenia terminu wywiadu z Jungiem.

- W „Timesie” ukazał się wywiad także z panem, Starr, nie mylę się, prawda? - zwrócił się Dana do zażywnego jegomościa z okazałymi bokobrodami.

Pakujący właśnie do ust ostrygę Starr potwierdził, że to był cholernie dobry wywiad i że powiedział w nim wszystko prosto z mostu, po czym rozmowa skierowała się na Harry'ego Thawa i Jelliffeowi powiedziano bez ogródek, że nie powinien więcej stosować żadnych eksperymentów.

Kiedy kolacja dobiegła końca, Jelliffe martwił się, że jego stosunki z Triumwiratem wcale nie stały się bardziej rodzinne. Dana i Sachs nie podali mu nawet ręki na pożegnanie. Kiepski nastrój trochę się poprawił, gdy Starr, który wstał od stołu nieco później niż jego koledzy, zapytał, czy dobrze rozumie, że na górze czekają dwa wynajęte apartamenty. Jelliffe przytaknął. Obaj korpulentni panowie popatrzyli na siebie i każdy z nich wyobraził sobie odzianą w różowe boa dziewczynę pochyloną nad wynurzającą się pomiędzy kostek lodu butelką szampana. Starr wyraził opinię, że

zawsze był i jest nadal przeciwny marnowaniu wydanych pieniędzy.

- Rozum pan postradał, detektywie? - zapytał McClellan za zamkniętymi drzwiami gabinetu burmistrza w czwartek wieczorem.

Littlemore poprosił o grupę ludzi, która zjechałaby do kesołu przy Manhattan Bridge i zbadała zablokowaną śluzę zsywową. On i ja siedzieliśmy przed biurkiem McClellana, który właśnie wstał z krzesła.

- Panie Littlemore - odezwał się McClellan, który najwyraźniej odziedziczył po ojcu wojskowy styl. Obiecałem temu miastu metro i dotrzymałem obietnicy. Obiecałem temu miastu Times Square i dotrzymałem obietnicy. Obiecałem temu miastu most zwany Manhattanem i klnę się na Boga, że tej obietnicy także dotrzymam, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię na tym urzędzie. Pracy nad tym mostem nie wolno pod żadnym pozorem wstrzymać, choćby na jedną tylko minutę! I pod żadnym pozorem nie wolno niepokoić Georgea Banwella! Słyszysz mnie pan?

- Tak, panie burmistrzu.

- Elizabeth Riverford zamordowano cztery dni temu.

O ile mi wiadomo, od tamtej pory nie posunęliście sprawy do przodu, a jedyne, czego dokonaliście, to zagubienie tych cholernych zwłok.

- Gwoli ścisłości, panie burmistrzu, znalazłem zwłoki

- sprostował Littlemore skromnie.

- Ach, tak! Zwłoki panny Sigel, która teraz przysporzyła mi więcej kłopotów niż panna Riverford. Czytał pan popołu-dniówki? Wszystkie o tym piszą! Wszystkie się zastanawiają, jak burmistrz tego miasta mógł dopuścić, aby dziewczynę z dobrego domu znaleziono w skrzyni na terenie Chinatown. Jakbym to ja właśnie był za to odpowiedzialny! Niech pan zapomni o Georgeu Banwellu i znajdzie mi tego Williama Leona!

- Z całym szacunkiem, panie burmistrzu, ale moim zdaniem sprawy Riverford i Sigel są ze sobą powiązane. I sądzę, że pan Banwell jest zamieszany w jedną i drugą.

McClellan skrzyżował ramiona.

- Pańskim zdaniem ten Leon nie zamordował panny Sigel?

- Uważam, że to możliwe, panie burmistrzu.

McClellan wziął głęboki oddech.

- Panie Littlemore! Ten pański Chong Sing, którego sam pan aresztował, złożył zeznania godzinę temu. Wynika z nich, że jego kuzyn William Leon zabił pannę Sigel z zazdrości, ponieważ zobaczył ją z innym Chińczykiem. Policja przeszukała mieszkanie tego drugiego mężczyzny i znalazła listy panny Sigel. Sing zeznał, że Leon ją udusił. Pomagał nawet pakować jej ciało do kufra. I co pan na to, detektywie? Zadowolony?

- Nie byłbym tego taki pewien, panie burmistrzu.
- To niech pan lepiej będzie. Chcę odpowiedzi na konkretne pytania. Gdzie jest teraz Leon? Czy pannę Acton napadnięto wczoraj w nocy, czy nie? Czy w ogóle kiedykolwiek ją napadnięto? Czy sam muszę się zajmować wszystkim?
- grzmiał burmistrz. - I powiem panu jeszcze coś, detektywie Littlemore. Jeśli jeszcze raz któryś z was wparuje do mojego gabinetu i zacznie ujadać, że pannę Riverford zabił jedyny człowiek, co do którego mam absolutną pewność, że tego nie zrobił, to wyrzucę go na zbity pysk! I zwolnię z pracy!
- Tak, panie burmistrzu - odpowiedział Littlemore.

McClellan łaskawie pozwolił nam odejść.

- Przynajmniej burmistrz jest z nami uczciwy - powiedziałem, gdy znaleźliśmy się na korytarzu.
- Nie ja zgubiłem zwłoki panny Riverford - zaproponował Littlemore, okazując tak rzadki u siebie splin. - A w ogóle co się dzieje ze wszystkimi? Mam spinę do krawata, glinę, niewyjaśnioną śmierć na placu budowy nadzorowanym przez faceta, który pasuje do opisu koronera i który wpada w panikę na widok panny Acton, ta mówi wprost, że on na nią napadł, a my nie możemy nawet zejść na dół, żeby sprawdzić, czym się zablokował należący do niego podwodny zsyp!

Przypomniałem mu oczywisty fakt, że Banwella nie było w mieście, kiedy zamordowano pannę Riverford, nie mógł więc jej zabić.

- Tak, wiem, pamiętam. Ale mógł przecież mieć współnika, który to zrobił - odparł Littlemore. - Ma pan pojęcie o wiązaniu węzłów, doktorze?
- Tak. A dlaczego pan pyta?
- Ponieważ wiem, co powinienem teraz zrobić - odparł Littlemore. Kulał wyraźnie gorzej niż wcześniej. - Ale nie uda mi się samemu. Pomoże mi pan?

Gdy powiedział mi, co planuje, uznałem, że w życiu nie spotkałem się z bardziej ryzykownym przedsięwzięciem. Po namyśle jednak zmieniłem zdanie.

Nora Acton stała na dachu swojego domu. Wiatr mierzwił jej kosmyki włosów nad czołem. Miała przed oczami cały park. Widziała też ławkę, na której kilka godzin wcześniej siedziała z doktorem Youngerem. Nie wydawało się, by jeszcze kiedyś miała z nim na niej usiąść.

Nie mogła znieść atmosfery panującej w domu. Ojciec siedział zamknięty w gabinecie. Doskonale wiedziała, co tam robi. Nie pracował. Bo przecież nie miał żadnej pracy. Wiele lat temu odkryła w jego gabinecie skrytkę z książkami. Odrażającymi książkami. Dwóch policjantów w ogrodzie znów pilnowało frontowych i tylnych drzwi. W ciągu dnia ich nie było. Teraz wrócili.

Nora się zastanawiała, czy na pewno by się zabiła, gdyby skoczyła z dachu. Doszła do wniosku, że chyba nie. Weszła z powrotem do domu i skierowała się do kuchni. Sięgnęła do dolnej szuflady, gdzie leżały noże pani Biggs. Wybrała ten do krojenia mięsa.

Co miała robić? Nie mogła powiedzieć nikomu prawdy, ale też nie mogła już dłużej kłamać. Nikt jej nie uwierzy. Już jej nikt nie uwierzy.

Nie zamierzała się zabijać. Nóż nie był dla niej. Miała nadzieję, że się przyda do obrony, jeśli on pojawi się znowu.

CZEŚĆ

piąta

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Littlemore forsował zamek, a ja stałem za nim. Było już dobrze po drugiej nad ranem. Miałem za zadanie się rozglądać, nic jednak nie widziałem w otaczającej nas ciemności. Niczego też nie słyszałem, ponieważ przeraźliwy hałas urządzeń mechanicznych zagłuszał wszystko. Zamiast tego patrzyłem więc na baldachim z gwiazd nad nami.

Zamek ustąpił w niespełna minutę. Kabina windy okazała się nadspodziewanie duża. Littlemore przyciągnął drzwi i znaleźliśmy się w jej słabo oświetlonym wnętrzu. Płomienie dwóch lamp gazowych rzucały jednak dość światła, by Littlemore zdołał odnaleźć dźwignię i przesunąć ją w dół. Delikatnie szarpnęło i zaczęliśmy zjeżdżać do ksonu.

- Na pewno wszystko w porządku? - zapytał mnie Littlemore. W oczach odbijał mu się jeden z dwóch niebieskich płomieni. Drugi zapewne był widoczny w moich. Oprócz tego nie dało się dostrzec kompletnie niczego. Ryczące silniki nad nami pracowały rytmicznie i miałem wrażenie, że poruszamy się w aorcie jakiegoś gigantycznego układu krwionośnego. - Jeszcze nie jest za późno. Możemy zrezygnować.

- Chyba ma pan rację. Lepiej zrezygnujmy - powiedziałem.

Jednym szarpnięciem Littlemore zatrzymał windę.

- Naprawdę pan chce zrezygnować?

- Żartowałem. Niech nas pan zwiezie na dół.

- Dziękuję.

Littlemore kogoś mi przypominał, przedtem nie potrafiłem jednak określić, kogo właściwie. Dopiero w windzie sobie to uświadomiłem. Kiedy byłem chłopcem, rodzice zabierali mnie co roku latem na wieś - nie do rezydencji ciotki Maime w Newport, ale do prawdziwego wiejskiego dom-ku, który mieli niedaleko Springfield. Nie było tam bieżącej wody. Kochałem ten mały domek. Miałem w tamtej okolicy kolegę, który przez cały rok mieszkał na pobliskiej farmie. Tommy Nolan, bo tak się nazywał, i ja pokonywaliśmy długie kilometry wzdłuż drewnianych ogrodzeń oddzielających jedną farmę od drugiej. Przez całe lata nie wspomniałem go ani razu.

- Co zrobi burmistrz, jeśli się dowie o wszystkim? - zapytałem.

- Wyrzuci mnie z pracy - odparł Littlemore. - Czuje pan, jak zatyka uszy? Trzeba ścisnąć nos i dmuchać, to się odetkają. Ojciec mnie tego nauczył.

Ja znałem inny sposób. Na liście wielu bezużytecznych umiejętności, które posiadałem, znajdowała się umiejętność świadomego kontrolowania mięśni otwierających trąbkę Eu-stachiusza. Winda poruszała się nieznośnie wolno. Miałem wrażenie, że stoi w miejscu.

- Ile czasu zabiera podróż na dół?

- Z tego, co mi mówiono, pięć minut. Mój ojciec potrafił przebywać pod wodą ponad dwie minuty - ciągnął.
- Wygląda na to, że pozostawał pan w dobrych stosunkach ze swoim ojcem.
- Mój ojciec to najwspanialszy mężczyzna, jakiego znam.
- A matka?
- Najwspanialsza kobieta! Zrobiłbym dla niej wszystko. Mój Boże, kiedyś sobie myślałem, że gdybym znalazł dziewczynę taką jak moja mama, ożeniłbym się z nią natychmiast.
- Zabawne, że pan to mówi.
- Dopóki nie spotkałem Betty Była pokojówką panny Ri-verford. Pierwszy raz ją zobaczyłem, zaraz... trzy dni temu. Po prostu oszalałem dla niej. Kompletnie oszalałem. A wcale nie przypomina mamy. Jest Włoszką. Ma chyba gorący temperament. Wczoraj wieczorem tak dała mi w pysk, że jeszcze dzisiaj czuję.
- Uderzyła pana?
- Bo sądziła, że zrobiłem skok w bok - wyjaśnił detektyw. - Trzy dni i już mi nie wolno skakać na boki. Wyobraża pan sobie?
- Czemu nie? Panna Acton rzuciła wczoraj we mnie dzbankiem z wrzącą herbatą.
- Musiało boleć. Teraz już wiem, skąd się wziął na podłodze rozbity spodek!

W kabinie zaczęło świszcząć, pewnie to winda wypychała powietrze z szybu. Dudnienie silników na powierzchni ucichło prawie całkowicie i teraz było wyczuwalne w postaci bezdźwięcznych drgań.

- Miałem kiedyś pacjentkę, która mi wyznała, że... która mi powiedziała, że pragnie uprawiać seks z własnym ojcem.
- Co?
- To, co pan słyszał.
- To obrzydliwe!
- Prawda?
- Nie wiem, czy w całym swoim życiu słyszałem coś równie obrzydliwego - dodał detektyw.
- Chciałem tylko...
- Już dosyć o tym.
- Ależ oczywiście - odparłem. Powiedziałem to głośniej, niż zamierzałem, i słowa odbijały się

nieskończonym echem w pustej kabinie. - Przepraszam.

- Ależ nie ma za co. To moja wina - powiedział detektyw, choć oczywiście o jego winie mowy być nie mogło.

Nie wyobrażam sobie, żeby mój ojciec zareagował na coś tak gwałtownie. On nigdy nie okazywał, co czuje. Żył zgodnie z prostą zasadą: nigdy nie okazywać bólu. Przez długi czas sądziłem, że musi odczuwać tylko ból, ponieważ gdyby istniało w nim jakiegokolwiek inne uczucie, okazałby je bez złamania tej świętej zasady. Dopiero później zrozumiałem. Wszystkie uczucia są bolesne w taki czy inny sposób. Największa radość powoduje ukłucie w sercu, a miłość - to kryzys duszy. Dlatego właśnie mój ojciec nie obnosił się z uczuciami. Nie pozwalał sobie na ujawnianie nie tylko tego, co czuje, ale że w ogóle odczuwa cokolwiek.

Matka nienawidziła tej jego skrytości, nieumiejętności komunikowania swoich potrzeb i pragnień, i do dziś powtarza, że to właśnie ona go zabiła. Choć może się to wydać dziwne, właśnie za to podziwiałem go najbardziej. Tego wieczoru, kiedy odebrał sobie życie, zachowywał się przy kolacji tak jak zawsze. Także i ja nie okazuję emocji, codziennie starając się wprowadzać w życie pół zasady mojego ojca, choć nie wychodzi mi to nawet w części tak dobrze jak jemu. Dawno już postanowiłem, że będę mówił o swoich emocjach, ale na mówieniu poprzestanę i w żaden inny sposób ich nie wyrażę. Tak właśnie wyobrażam sobie realizację zasady ojca w połowie. Zresztą, prawdę mówiąc, nie wierzę w inne wyrażanie emocji niż za pomocą języka. Wszystkie formy wyrazu to tylko gra pozorów. Gesty na pokaz. Ułuda.

Hamlet mówi coś podobnego. To pierwsze słowa, jakie wypowiada w dramacie. Matka pyta, dlaczego wciąż sprawia wrażenie przybitego po śmierci ojca, on zaś odpowiada, że nie wie, co to wrażenie, i potępia wszelkie zewnętrzne oznaki żałoby, jak głęboka czerń strojów albo rwący potok łez. Nic dla niego nie znaczą, bo się tylko wydają. Są rolę, którą odegrać może każdy...

- Mój Boże! - krzyknąłem w ciemności. - Mam! Nareszcie mam!

- Ja też! - zawtórował mi Littlemore z równym podnieceniem. - Już wiem, jak zabił pannę Riverford, chociaż był poza miastem. Oczywiście, mam na myśli Banwella. Ona z nim była. Nikt o tym nie wiedział. Burmistrz też nie. Zabił ją tam, gdzie byli, rozumie pan? Potem przytargał ciało z powrotem do apartamentu, związał i upozorował wszystko tak, jakby morderstwa dokonano w sypialni dziewczyny. Że też ja na to wcześniej nie wpadłem! Też pan tak pomyślał?

- Nie. Nie o tym myślałem.

- To o czym? Co pan wymyślił, doktorze?

- Nieważne. Chyba rozwiązałem coś, nad czym zastanawiałem się od dawna.

- Ale co?

Nie mam pojęcia, dlaczego postanowiłem, że spróbuję mu to wytłumaczyć.

- Słyszał pan słowa: „Być albo nie być”?

- A dalej: „oto jest pytanie”?

-Tak.

- Szekspir. Wszyscy chyba to wiedzą - stwierdził. - Ale o co w tym chodzi? Zawsze się nad tym zastanawiałem.
- Właśnie na to pytanie znalazłem odpowiedź.
- Życie albo śmierć? Ma zamiar się zabić albo coś takiego? - zapytał.
- Tak właśnie wszyscy przypuszczali. A zupełnie nie o to chodzi.

Rozwiązanie zagadki przyszło w jednej chwili. Wszystko stało się jasne, jakby nagle słońce wyszło zza chmur po burzy. W tym jednak momencie winda zjechała na dół i zatrzymała się z szarpnięciem. Musieliśmy pokonać śluzę powietrzną. Littlemore przyklęknął, żeby przekręcić kurki, przez które z sykiem zaczęły wpadać silne strumienie powietrza. Poczułem dziwny zapach, suchy i zatęchły jednocześnie. Ciśnienie zrobiło się nieznośne. Zaczęło mi łomotać w głowie. Detektyw najwyraźniej odczuwał podobne dolegliwości, ponieważ wściekle dmuchał przez nos, jednocześnie zatykając go palcami. W końcu podobnie jak mnie udało mu się przyzwyczaić do ciśnienia. Otworzyliśmy wąż do kesonu.

*

Nora Acton podniosła się z łóżka o drugiej trzydzieści nad ranem. Nie mogła spać. Przez okno widziała policjanta, chodzącego tam i z powrotem po chodniku. Tej nocy pilnowało ich domu aż trzech. Jeden przed drzwiami frontowymi, drugi przed tylnym wejściem, a trzeci na dachu. Siedział tam od zmroku.

W świetle świecy Nora skreśliła krótki list i zakleiła go w kopercie, którą zaadresowała oraz opatrzyła znaczkiem. Następnie cicho zeszła po schodach i przez szparę w drzwiach wrzuciła kopertę do skrzynki na listy. Poczta przychodziła dwa razy dziennie, wiedziała więc, że jeszcze przed siódmą rano jej list zabierze listonosz, a przed południem dotrze on do adresata.

Nie spodziewałem się, że będzie aż tak olbrzymi. Ściany kesonu zdobiły niebieskie punkciki płomieni rzucających migotliwą pajęczynę światła i cieni na pokrytą kałużami podłogę i wiszące wysoko krokwie. Z windy wyszliśmy na stromą rampę. Littlemore męczył się bardzo i krzywił, ilekroć musiał przenieść ciężar ciała na prawą nogę. Znajdowaliśmy się w centrum kilku rozchodzących się promieniście drewnianych pomostów. W oddali widać było kolejne pomieszczenia.

- Ile mamy czasu, doktorze?
- Dwadzieścia minut - stwierdziłem. - Po dłuższym czasie będziemy musieli poddać się dekompresji w drodze na górę.
- Rozumiem. Szukamy okna numer pięć. Numeracja powinna być widoczna. Rozdzielmy się.

Detektyw, utykając, ruszył w jedną stronę, a ja udałem się w przeciwną. Na początku otoczyła mnie cisza, upiorna i głucha, przerywana od czasu do czasu echem spadających kropeł wody i odgłosem

nierównych kroków Littlemorea oddalających się coraz bardziej. Potem zdałem sobie sprawę z głębokiego basowego dudnienia, jakby pomruku olbrzymiej bestii. Zapewne był to dźwięk, który przepływająca rzeka wydawała na tej głębokości.

Keson był dziwnie pusty. Spodziewałem się jakichś maszyn, świrdrów albo przynajmniej śladów kopania lub innych prac ziemnych. Tymczasem zobaczyłem tylko porzuconą złamaną łopatę i jakiś łom leżący gdzieś obok kałuży ciemnej wody. Wszedłem do dużego pomieszczenia, ale musiało to być pomieszczenie wewnętrzne, bo nie widziałem żadnych okien zsypowych. Pod stopą złamała mi się deska. Rozległ się dźwięk strzelającego drewna i coś jakby cichy tupot, szmer ucieczki. Czy to możliwe, żeby były tam szczury? Trzydzieści metrów pod powierzchnią wody?

Tupot umilkł nagle; zacząłem się zastanawiać, czy był rzeczywisty, czy może tylko coś mi tupało w głowie. Przeszedłem przez kolejne pomieszczenie, równie puste jak poprzednie, i tam skończył się pomost. Musiałem teraz brnąć w błocie i kałużach. Echo zwielokrotniało odgłos rozpryskującej się wody. W kolejnym pomieszczeniu na przeciwległej ścianie znajdowały się trzy stalowe płyty, umieszczone trochę nad podłogą. Znalazłem więc okna. Obok nich zwieszała się płatanina łańcuszków i sznurków. Na pierwszej płycie wydrapano numer siedem, druga nosiła numer sześć. Kiedy przesuwałem się, żeby sprawdzić, co wyryto na trzeciej płycie, poczułem na ramieniu dłoń.

- No to znaleźliśmy, doktorze.
- Chryste Panie! Littlemore! - krzyknąłem.

Odsunął zasuwę przy płycie numer pięć i pociągnął za

rączkę. Płyta podniosła się jak kurtyna, odsłaniając przestrzeń wielkości trumny; miała mniej więcej pół metra wysokości i około metra osiemdziesięciu szerokości, ściany okute metalem i była zabrudzona resztkami żwiru, szmat i gruzu. Najdalsza ścianka musiała być zewnętrznym włazem wychodzącym na rzekę i otwieranym jednym z wiszących obok okna łańcuszków.

- Nic tu nie ma - stwierdziłem.
- I niczego się nie spodziewałem - odpowiedział Littlemore, siadając na ziemi z wyraźnym trudem i zdejmując buty. - Jak tylko wejdziesz do środka, zamknie pan śluzę i wypełni ją wodą. Da mi pan minutę, doktorze. Dokładnie jedną minutę, a potem...
- Chwileczkę. Chyba nie chce pan wchodzić do wody?
- Oczywiście, że chcę! - powiedział, podwijając nogawkę. - Zwłoki tej dziewczyny leżą tuż za tym włazem. Muszą tam być! Wciągnę je do środka, a potem odpompuje pan wodę i wracamy na górę.
- A pańska noga?
- Nic mi nie jest.

- Jak to nic? Przecież ledwie pan chodzi - zaprotestowałem. Podejrzywałem, że wskutek wypadku doznał pęknięcia kości. W tym stanie już samo pływanie sprawia ból, ale siłowanie się z gruzem albo targanie zwłok trzydzieści metrów pod wodą jest wykluczone. Nie zdołałby się przeciwstawić silnemu prądowi.

- Ale nie ma innego sposobu - stwierdził Littlemore.
- Jest. Ja pójdę.
- Nie mogę na to pozwolić - powiedział detektyw i zaczął się gramolić do komory. Spróbował kucnąć, ale nie mógł zgiąć prawej nogi. Odwrócił się i usiłował wcisnąć do środka tyłem. Na nic. Popatrzył na mnie bezradnie.
- Niechże pan stąd odejdzie! - zażądałem. - Zresztą i tak tylko pan potrafi obsługiwać to urządzenie.

Tak więc chwilę później, zaskakując tym kompletnie sam siebie, znalazłem się w komorze okna numer pięć, rozebrany do pasa i z bosymi stopami. Oglądałem wewnątrz najdokładniej, jak mogłem, wiedząc, że za chwilę zaleje mnie w nim zimna woda. Z sufitu wystawała żelazna rączka. Chwyciłem ją mocno. Ze ścian wychodziły gumowe tuby. Powiedziałem sobie, że zanurkuję na najkrótszy możliwy czas. Byłem coraz bardziej przekonany, że nie znajdę żadnych zwłok, które musiałbym wciągać z powrotem do środka. Te-oria Littlemore'a wydała mi się zupełnie nieprawdopodobna. Płyty zamykające okno były grube i potężne. Nie bardzo mogłem sobie wyobrazić, jak ciało drobnej dziewczyny mogłoby je zablokować.

Littlemore krzyknął, że za chwilę zaczynamy. I zaraz za moimi plecami z głośnym szczękiem spadła metalowa płyta. Ogarnęła mnie tak nieprzenikniona ciemność, że straciłem orientację. Nie wiem dlaczego, wcale na tę ciemność nie byłem przygotowany. Dudnienie rzeki było tu głośniejsze; odbijało się od ścian mojej celi. Usłyszałem walenie - sygnał Littlemore'a, że za chwilę otworzy zewnętrzny właz. Jeśli mu się uda!

W jednej chwili ogarnęły mnie złe przeczucia. Powinniśmy byli najpierw sprawdzić działanie okna. Wiedzieliśmy przecież, że coś z nim jest nie tak. Co się stanie, jeśli Littlemore nie zdoła otworzyć okna ponownie, kiedy ja znajdę się w wodzie? Walnąłem pięścią w wewnętrzny właz, żeby powstrzymać Littlemore'a. Ale on albo nie usłyszał, albo wziął moje stukanie za odpowiedź na własne. Usłyszałem kolejny zgrzyt łańcuchów i poczułem przenikliwe zimno wody. Komora się przekręciła i zostałem wrzucony w odmęty rzeki.

Za żelaznym ogrodzeniem okalającym Gramercy Park stał ukryty w cieniu wysoki ciemnowłosy mężczyzna. Była trzecia nad ranem. Pusty park tylko miejscami oświetlały gazowe lampy. Większość okolicznych domów spowita była w ciemności, tylko w jednym, siedzibie klubu Playersa, paliły się światła i grała głośna muzyka. Wysoka wieża pogrążonego w ciszy kościoła strzelała w niebo słupem ciemności.

Ciemnowłosy mężczyzna obserwował policjanta przechadzającego się przed domem Actonów. W skąpym świetle latarni zauważył, jak rozmawia z drugim policjantem, który następnie odszedł i skręcił w alejkę za rogiem budynku, zapewne prowadzącą na tyły domu. Carl Jung zaczął się zastanawiać, co może w tej sytuacji zrobić. Doszedł jednak do wniosku, że nic; niezadowolony odwrócił się na pięcie i poszedł w kierunku hotelu Manhattan.

Littlemore aż zamarł, gdy przyszła mu do głowy ta potworna myśl. Mówiono mu przecież, że okno numer pięć nie działa, jak należy. Wyobraził sobie, jak z wybałuszonymi oczami Younger desperacko wali pięściami w skorupę kesonu, a on sam w środku bezskutecznie szarpie za sterujące włazami łańcuchy. Dlaczego pozwolił mu tam wejść? Dlaczego nie poszedł sam?

Dokładnie po minucie pociągnął za łańcuchy sterujące, żeby wsunąć właz okna do środka kesonu i zamknąć zewnętrzną śluzę. Mechanizm działał bez zarzutu. Otworzył wewnętrzną pokrywę. Z komory chlusnęły dziesiątki litrów wody. Spodziewał się tego. Miał jednak nadzieję, że w komorze zobaczy nie to, co zobaczył - czyli nic.

- O, nie! - jęknął.

Zamknął wewnętrzny właz, otworzył właz zewnętrzny, odliczył dziesięć sekund i uruchomił mechanizm sterujący w odwrotnej kolejności. Otworzył okno. Znów nic, tylko woda. W szalonym pośpiechu powtórzył wszystkie czynności, tym razem dodatkowo modląc się w duchu. Z całego serca modlił się o to, by zobaczyć w oknie Youngera.

- Boże! Spraw, żeby on tam był! Nie proszę o nic innego, tylko o to! Niech on tam będzie!

Po raz trzeci Littlemore otworzył stalową płytę wewnętrznego włazu okna numer pięć; całe ubranie nasiąkło mu wodą. Komora była dokładnie wypłukana, a jej ściany wręcz lśniły czystością. Ale nadal pozostała pusta.

Detektyw spojrzął na zegarek: dwie minuty i piętnaście sekund. Właśnie tyle wytrzymał pod wodą jego ojciec. Dwie minuty i piętnaście sekund. Ale ojciec uzyskał swój rekord w ciepłej i spokojnej sadzawce. Doktor Younger nie mógł wytrzymać tyle czasu w takich warunkach. Littlemore zdawał sobie z tego sprawę, nie chciał się jednak pogodzić z tym faktem. Upadł na kolana i wpatrywał się tępo w puste metalowe wnętrze komory. Zapomniał zupełnie o bolącej nodze. Zauważył za to, jak wąża miliony ton konstrukcja kesonu zatrzęsała się gdzieś wysoko nad nim. Po wstrząsie nastąpił przeciągły zgrzyt, jakby po dachu kesonu przesunęła swoim spodem łódź podwodna.

Kiedy zgrzyt ucichł, doszedł go kolejny dźwięk. O wiele cichszy, jakby stukanie. Rozejrzał się, nie mogąc ustalić, skąd dochodzi. Na klęczkach przesunął się trochę w lewo. Bał się rozbudzić daremną nadzieję. Stukanie dobiegało zza stalowej płyty okna numer sześć. Ciągłe na kolanach Littlemore zaczął z całych sił ciągnąć za łańcuchy sterujące mechanizmem. Otworzył płytę wewnętrzną. Ze środka prosto w twarz wylały mu się kolejne litry wody, po czym uderzył go spory, drewniany kufer i przewrócił na plecy. Za kufrem z otworu wychyliła się głowa doktora Strathama Youngera z gumowym węzem w ustach.

Woda dalej wpadała do wnętrza kesonu przez krawędź komory, jakby z przelewającej się wanny. Littlemore z kufrem na brzuchu patrzył na doktora w osłupieniu. Younger wypluł z ust gumowy wąż.

- Tu... tu... tuba z tle... nem - powiedział, szcękając zębami. - Właz się nie otworzył. Szósty by... był otwarty.

- Znalazł pan, doktorze! - wykrzyknął Littlemore, wydobywając się spod kufra. Znalazł pan! - cieszył się, odgarniając błoto z drewnianych ścianek. - Jest dokładnie taki sam jak ten, który znaleźliśmy u Leona.

- Niech go pan otworzy - odezwał się Younger, wciąż pozostając w otworze okna numer sześć, z którego tylko wysunął głowę.

Littlemore miał właśnie poinformować Youngera, że klamry przy wieku kufra są zamknięte na kłódkę, kiedy kesonem zatrzęsło po raz wtóry. Również i tym razem po wstrząsie nastąpił dziwny, metaliczny zgrzyt.

- Co to było? - zapytał Younger.

- Nie wiem. Ale to już drugi raz. Ale wszystko jedno. Musimy wracać.

- Będzie z tym problem - odparł Younger. Wciąż nie wyszedł z komory zsypowej, z której przelewała się woda. - Przycięło mi stopę.

Zewnętrzny wąż okna numer sześć chwycił jak w potrzask kostkę Youngera. Dlatego właśnie woda wlewała się do środka kesonu: wąż nie zamknął się do końca, a stopa Youngera wystawała na zewnątrz. Próbował popchnąć płytę swobodną nogą, ale metal ani drgnął.

- Żaden problem - powiedział Littlemore, kuśtykając w kierunku mechanizmu sterującego. - Zaraz ją otworzę i po krzyku.

- Ostrożnie. Może nas zalać.

- Zamknę wąż, jak tylko uwolni pan stopę, nic się więc nie stanie. Gotowy? - zapytał i pociągnął za łańcuch. Wąż ani drgnął. - Może nie da się otworzyć zewnętrznego wężu, dopóki wewnętrzny jest otwarty? Niech pan schowa głowę!

Younger wykonał polecenie, choć z ogromną niechęcią. Schował się cały w komorze zsypowej i ścisnął wargi wokół gumowego ustnika, szykując się na kolejne zanurzenie. Teraz jednak Littlemore nie mógł zamknąć wewnętrznego wężu. Younger powiedział, że na pewno wewnętrzny nie działa, kiedy zewnętrzny nie jest do końca zamknięty.

- Ale obydwa są otwarte - zauważył Littlemore. - Więc obydwa nie działają.

- No to świetnie - ironizował Younger, próbując wyszarpnąć stopę z potrzasku. Kilka razy silnie pociągnął, po czym spróbował przekręcić ją na bok. Nie przyniosło to żadnego skutku, jeśli nie liczyć kilku bolesnych skurczy.

- Littlemore?

- Co takiego?

- Dlaczego gasną światła?

Płomienie lamp gazowych na przeciwległej ścianie zmalowały; nie przypominały już ognia pochodni, lecz płomyk zapalki, po czym zgasły całkiem.

- Ktoś zakręca gaz - orzekł detektyw, wyśliznąwszy się z okna.

Raz jeszcze dobiegł ich z góry złowrogi zgrzyt metalu o drewnianą ścianę kesonu, który tym razem zakończył się odległym szcęknięciem. Chwilę potem usłyszeli nowy dźwięk. Obydwaj spojrzeli w górę na ledwie widoczne krokwie i dobiegł ich z oddali stukot, jakby zbliżał się skład podziemnej kolejki. A potem zobaczyli, jak słup wody o średnicy może trzydziestu centymetrów spadł z sufitu i z wielkim hukiem rozbił się o podłogę, rozpryskując strugi na wszystkie strony. Rzeka powoli wdzierала się do kesonu.

- Jasna cholera! - krzyknął Littlemore.
- Wielki Boże! - zawtórował mu Younger.

Woda lała się do środka nie tylko w ich pomieszczeniu. Z sześciu otworów w całym kesonie spadały z hukiem podobne słupy wody. Hałas był nie do wytrzymania.

Przecieki te nie były przypadkiem. Praca w kesonie dobiegła końca. Właśnie dlatego Younger nie dostrzegł nigdzie żadnych narzędzi ani maszyn. Od początku planowano zatopienie kesonu po zakończeniu prac. Pan Banwell zdecydował nagle o przyspieszeniu tej czynności. Obudził dwóch swoich inżynierów i w środku nocy wydał im odpowiednie polecenia. Wykonując je, inżynierowie udali się na Canal Street i uruchomili silniki, które od jakiegoś czasu stały bezczynnie.

Silniki te wprawiały w ruch coś w rodzaju systemu zraszającego wbudowanego w grubo na sześć metrów sufit kesonu. Ponieważ w kesonie detonowano dynamit, by rozkruszyć skały, projektanci gigantycznej komory obawiali się pożaru.

I rzeczywiście, system gaśniczy okazał się potrzebny, ponieważ raz w kesonie wybuchł pożar i konstrukcję uratowano przed spalaniem tylko dzięki zalaniu wewnętrznych komór wodą. Aby wpuścić wodę, trzeba było przeciąć trzy warstwy stalowych płyt. Dlatego właśnie Littlemore trzykrotnie usłyszał metaliczny zgrzyt.

Woda sięgała już Littlemore'owi do pół łydki i powoli osiągała wyższy poziom. Younger po raz kolejny spróbował wyrwać stopę z potrzasku. Na próżno.

- To na nic. A w dodatku boli - stwierdził. - Ma pan może nóż?

Littlemore pogrzebał w kieszeni i wyjął z niej scyzoryk. Younger z dezaprobatą spojrział na małe narzędzie z dwoma ostrzami.

- Tym nie dam rady - powiedział.
- Ale czemu? - krzyknął detektyw. Ledwie się słyszeli z powodu huku spadającej wody.
- Pomyślałem, że mogę przecieź odciąć - odparł Younger, próbując przekrzyczeć hałas.
- Co odciąć? - dopytywał się Littlemore. Woda sięgała mu po kolana; teraz podnosiła się szybciej.
- Stopę - odpowiedział Younger, sięgając po scyzoryk. - Nie odetnę. Ale chyba mógłbym się nim zabić - dodał.
- Zawsze to lepiej niż utonąć.

- Nic z tego - wrzasnął Littlemore, wrywając mu scyzoryk z ręki. Woda dochodziła już prawie do krawędzi komory okna. - Niech pan weźmie wąż z tlenem.

- Dobry pomysł - stwierdził Younger i sięgnął po gumową tubę. Natychmiast jednak ją wypluł. - To już szczyt pecha! Odcięli chyba dopływ tlenu.

Littlemore schwycił inny ustnik i sam sprawdził. Rezultat był taki sam.

- Cóż, detektywie - krzyknął Younger. - To chyba ostatni moment, żeby pan...

- Dość! Niech pan nawet tego nie mówi! Nigdzie się stąd nie ruszam.

- Niech pan nie będzie głupcem, Littlemore! Proszę wziąć kufer i iść do windy.

- Nigdzie się stąd nie ruszani! - powtórzył.

Younger wyciągnął rękę, schwycił Littlemorea za koszulę i przyciągnął do siebie.

- Nora! - powiedział mu wściekle prosto do ucha. - Opuściłem Norę. Nikt jej nie wierzył, a ja ją zostawiłem. Teraz zamkną ją w szpitalu dla wariatów. Słyszysz mnie pan? Szpital ją zabije, jeśli wcześniej nie zrobi tego Banwell.

-Dok...

- Niech mnie pan przestanie nazywać doktorem! Musi pan ją ocalić! Ja mogę umrzeć. Nie zmuszał mnie pan, żebym tutaj schodził. Sam chciałem zobaczyć dowody. Teraz jest pan jedynym człowiekiem, który jej wierzy. Musi pan przeżyć. Musi pan! Żeby ją ocalić. I niech pan jej powie... Zresztą wszystko jedno. Proszę iść!

Younger odepchnął Littlemore a tak silnie, że ten zatoczył się i upadł, rozbryzgując wokół siebie fontanny. Poziom wody podniósł się już ponad dolną krawędź komory zsypowej. Littlemore się podniósł. Przez chwilę patrzył na doktora, po czym odwrócił się i poszedł najszybciej, jak potrafił, brodząc po uda w wodzie. Ominął słup spadającej wody i zniknął.

- Zapomniał pan kufra! - krzyknął za nim Younger, ale detektyw wydawał się go nie słyszeć. Woda sięgała już połowy wysokości komory zsypowej. Z wielkim wysiłkiem Youngerowi udawało się trzymać głowę kilka centymetrów nad nią. Wtedy pojawił się z powrotem Littlemore, trzymając dużą ołowianą rurę w jednej ręce i spory głaz w drugiej.

- Littlemore! Niech pan wraca!

- Słyszał pan o Archimedesie? Dźwignia!

Dotarł do Youngera i umieścił kamień w komorze, która teraz była prawie cała zalana wodą, po czym zanurkował, żeby umieścić jeden koniec rury pod włazem, tuż obok miejsca, w którym uwięzła stopa doktora i podłożyć pod nią przyta-skany głaz, tworząc w ten sposób dźwignię. Obiema rękami nacisnął drugi koniec rury. Niczego nie wskórał, jeśli nie liczyć tego, że kamień się wysunął spod ołowianej rury.

- Cholera! - zaklął, wynurzając się spod wody.

Younger miał już nad wodą tylko oczy. Podniósł brwi, patrząc wymownie na detektywa.

Ten zaklął raz jeszcze, wziął głęboki oddech i znów zanurkował. Ponownie podsunął kamień pod rurę i nacisnął z całych sił. Tym razem kamień się nie wyslizgnął, ale właz nawet nie drgnął. Littlemore wysunął się z wody najwyżej, jak potrafił i całym swoim ciężarem opadł na dźwignię. Rura pękła na dwie równe części, zanim jednak przepołowiła się z trzaskiem, zewnętrzny właz uniósł się dosłownie kilka milimetrów. Wystarczyło to, by Younger wyszarpnął stopę.

Obydwaj wynurzyli się z wody w tym samym momencie. Littlemore gwałtownie chwycił powietrze i rzucał się na boki, Younger natomiast prawie się nie poruszał. Wziął jeden głęboki oddech i powiedział:

- Jak w filmie, prawda?
- Ależ proszę mi nie dziękować! - odparł Littlemore, prostując się.
- Jak noga? - zapytał doktor.
- Świetnie. A stopa?
- Też dobrze. Może byśmy tak wyszli z tego piekła?

Ciągnąc za sobą skrzynię, ruszyli z powrotem do środkowej komnaty, omijając słupy wody. Stroma rampa, prowadząca do windy była już w połowie zalana. Woda lała się też szybem windowym. Spadała z dachu kabiny dźwigu, rozpryskiwała się na boki, tworząc cienką kurtynę i spływała w dół rampy. Sama kabina wydawała się jednak sucha.

Younger i Littlemore, na zmianę ciągnąc i popychając kufer, dotransportowali go na górę rampy i wsunęli do windy, a następnie sami do niej wsiedli. Ciężko dysząc, Younger zatrzaskał żelazne drzwi kabiny. Nagle wszystko ucichło. Odgłosy wody zatapiającej keson zmieniły się w przytłumiony pomruk. Wewnątrz kabiny płomienie lamp były jeszcze dość wysokie.

- No to jedziemy na górę - odezwał się Littlemore. Przekręcił dźwignię w górne położenie, ale nic się nie stało. Spróbował raz jeszcze. Znowu nic. - Mamy kolejną niespodziankę - dodał.

Younger stanął na kufrze i postukał pięścią w dach kabiny.

- Szyb też zalało - stwierdził.
- W suficie jest właz - zauważył detektyw, wskazując w miejsce, pod którym stał na skrzyni doktor. Pośrodku sufitu kabiny znajdowały się dwie duże metalowe płyty na zawiasach.
- A tutaj na pewno się go otwiera - dodał Younger, wskazując na wiszący przy ścianie łańcuch, zakończony czerwoną, drewnianą rączką. - Na górę wyjedziemy trochę szybciej, niż zjechaliśmy na dół, detektywie.
- Nie! - krzyknął Littlemore. - Oszalał pan? Wie pan, ile może ważyć znajdująca się nad nami woda?

Możemy więc wybrać: albo poczekamy i utopimy się, albo zostaniemy zmiażdżeni słupem wody z szybu.

- Nieprawda - zaprzeczył Younger. - W kabinie jest większe ciśnienie. Znacznie większe. Jak tylko otworzę właz, wystrzelimy obydwaj w górę jak gejzer.
- Nabiera mnie pan.
- I przez całą drogę w górę musi pan wydychać powietrze. Najlepiej proszę przez cały czas krzyczeć. Nie żartuję! Jeśli zatrzyma pan powietrze choćby na kilka sekund, pańskie płuca dosłownie pękną jak ponad miarę nadmuchany balon.
- A jeśli zapłaczymy się w kable windy? - zapytał Littlemore.
- To się utopimy - odpowiedział mu Younger.
- Świetny plan!
- Jestem otwarty na inne propozycje.

Przez szklany wizjer w drzwiach kabiny Littlemore spojrzął do wnętrza keso. Było tam niemal całkowicie ciemno, a woda sięgała już bardzo wysoko. Detektyw przełknął ślinę.

- Co z kufrem? - zapytał.
 - Zabieramy ze sobą. Każdy łapie za jeden ze skórzanych uchwytów. Gotów pan, Littlemore?
- Tak.
- Na trzy. Raz, dwa, trzy!

Younger pociągnął za rączkę. Klapy w suficie kabiny otworzyły się natychmiast i obydwaj mężczyźni, wrzeszcząc na cały głos i kurczowo ściskając w dłoniach drewniany kufer w zawrotnym tempie popłynęli w górę szybu windowego, niczym wystrzeleni z działa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wielki hol w luksusowym apartamencie Banwellów w rezydencji Balmoral miał podłogę wyłożoną płytkami ze śnieżnobiałego marmuru z delikatnie zaznaczonymi srebrnymi żyłkami. Pośrodku inkrustowano ciemnozielone, zachodzące na siebie litery G i B. Inicjały te przynosiły Georgeowi Banwellowi niezmiennie satysfakcję, ilekroć na nie spoglądał. Lubił umieszczać monogram na wszystkich swoich rzeczach. Clara Banwell tego nienawidziła. Kiedyś odważyła się położyć w holu kosztowny wschodni dywan, tłumacząc mężowi, że marmur jest śliski i goście mogą się na nim przewrócić. Następnego dnia wschodni dywan zniknął i podłoga w holu znów błyszczała marmurem. Nigdy więcej o tym nie wspominali - ani on, ani ona.

W poniedziałek o dziesiątej rano lokaj w tym właśnie holu odebrał pocztę. Na jednej z kopert widniało nazwisko pani Banwell skreślone ręką Nory Acton. Szczęście nie dopisało Norze, ponieważ George Banwell nie wyszedł jeszcze z domu. Parker, lokaj państwa Banwellów, miał zwyczaj najpierw zanosić korespondencję pani, i tak też uczynił tego ranka. Clara wciąż jeszcze trzymała w ręku list Nory, kiedy do jej sypialni wszedł mąż.

Clara stała tyłem do drzwi. Wyczuła obecność męża i obróciła się, żeby go przywitać, chowając dłoń z listem za plecami.

- George, jeszcze nie wyszedłeś?

Banwell obejrzał żonę od góry do dołu.

- Nie nabiorę się na to.

- Na co?

- Na ten niewinny wyraz twarzy. Pamiętam go z czasów, kiedy występowałaś na scenie.

- Przecież podobałam ci się na scenie, prawda?

- I dalej mi się podobasz, jak grasz. Tylko że teraz już wiem, że grasz - odparł. Podszedł do żony, sięgnął ręką za jej plecy i wyrwał z dłoni list.

- Nie, George! Tylko się zdenerwujesz - powiedziała Clara.

Czytanie cudzej korespondencji daje niektórym ludziom satysfakcję z pogwałcenia intymności dwóch osób: nadawcy i odbiorcy. Gdy Banwell zobaczył, że autorką listu jest Nora, jego zadowolenie stało się jeszcze słodsze. Radość jednak się ulotniła, gdy zapoznał się z treścią listu.

- Ona nic nie wie - zapewniła Clara.

Banwell czytał dalej. Twarz mu tężała.

- Ponadto i tak nikt jej nie uwierzy, George.

George Banwell oddał list żonie.

- Dlaczego? - zapytała Clara cicho, biorąc od niego kartkę.
- Dlaczego co?
- Dlaczego ona cię tak nienawidzi?

Świtało, kiedy Littlemore i ja dotarliśmy z powrotem do policyjnego auta, czekającego na nas przez cały czas kilka przecznic na południe od Manhattan Bridge. Wystrzeliliśmy dobrych kilkadziesiąt centymetrów w powietrze i opadli z powrotem do wody. Nie wyrzuciło nas jednak od razu na górę, musieliśmy więc, trzęsąc się z zimna, czekać uciepieni metalowych lin windy, aż poziom wody się podniesie, umożliwiając nam wczółganie się na podest. Tam załadowaliśmy kufer na łódkę, tę samą, którą podpłynęliśmy do podestu, żeby nie przechodzić przez plac budowy. Na szczęście samochód Littlemorea stał niedaleko, bo nie sądzę, żeby którykolwiek z nas utrzymał się na nogach choćby chwilę dłużej. Miałem poczucie, że Littlemore złamał regulamin, rezerwując dla nas samochód policyjny, ale była to jego sprawa.

Powiedziałem detektywowi, że musimy zatelefonować do Actonów, nie tracąc ani chwili. Miałem złe przeczucia. Obawiałem się, że w nocy coś się tam stało. Detektyw pojechał prosto na posterunek. Zostałem w samochodzie, a on pokuśtykał do środka. Wrócił po chwili z informacją, że w domu Actonów panuje spokój, a Norze nic się nie stało.

Z komisariatu pojechaliśmy do mieszkania Littlemorea na Mulberry Street. Tam się przebraliśmy. Detektyw pożyczył mi ubranie; nie nosił, niestety, tego samego rozmiaru, co ja. Napiliśmy się gorącej kawy i ruszyliśmy do kostnicy miejskiej. Sugerowałem, żeby rozłupać wieko kufra siekierą, ale Littlemore upierał się, że odtąd będzie ściśle przestrzegał regulaminu. Posłał gońca po ślusarza i czekaliśmy, niecierpliwie chodząc tam i z powrotem, wciąż z mokrymi włosami. Właściwie chodziłem tylko ja, bo Littlemore usiadł na jednym ze stołów sekcyjnych i umieścił prawą nogę w górze. Kufer stał obok niego. Byliśmy sami. Littlemore miał nadzieję, że zostanie w gabinecie koronera, z którym ja widziałem się jeszcze wczoraj, ale Hugla nie było.

Powinienem był zostawić detektywa i skontaktować się z profesorem Freudem i pozostałymi gośćmi. Piątek był naszym ostatnim dniem spędzonym w Nowym Jorku; w sobotę po południu mieliśmy wyruszyć do Worcester. Chciałem jednak być podczas otwarcia kufra. Jeśli w środku znajdowało się ciało panny Riverford, mielibyśmy dowód, że mordercą jest Banwell. Littlemore w końcu mógłby go aresztować.

- Niech mi pan powie, doktorze, czy po obejrzeniu ciała potrafi pan stwierdzić, co było przyczyną śmierci? - zapytał detektyw. Zaprowadził mnie do chłodni, gdzie odnalazł częściowo zabalsamowane zwłoki panny Elsie Sigel. Już wcześniej mi opowiadał, jak znalazł jej zwłoki w chińskiej dzielnicy.
- Ta dziewczyna nie została uduszona - oświadczyłem.
- To znaczy, że Chong Sing kłamie. A z czego pan to wnosi?
- Nie ma obrzęku na szyi. I niech pan spojrzy na tę małą kość tutaj: jest nietknięta. Jeśli przyczyną śmierci jest zadławienie, ta kość zwykle zostaje złamana. Nie widzę też uszkodzeń tchawicy ani

krtani. Zadławienie jest więc mało prawdopodobne. Ale przyczyną śmierci rzeczywiście była asfiksja.

- A to co takiego?
- Udusiła się, ale nie została zadławiona. Zmarła z braku tlenu.

Littlemore się skrzywił.

- Chce pan powiedzieć, że ktoś zamknął ją w tym kufrze, gdy jeszcze żyła, i udusiła się dopiero potem?
- Na to wygląda - orzekłem. - Widzi pan jej paznokcie?
- Moim zdaniem wyglądają normalnie, doktorze.
- I to właśnie jest dziwne. Są gładkie, niezniszczone na końcach.

Littlemore zrozumiał natychmiast.

- To znaczy, że nie walczyła - powiedział. - Nie próbowała się uwolnić.

Spojrzeliśmy na siebie.

- Chloroform - stwierdził detektyw.

W tym momencie zapukano do drzwi laboratorium i zjawili się w nich ślusarze, Samuel i Isaac Friedlanderowie. Za pomocą czegoś, co przypominało olbrzymi sekator, przecięli kłódki, na które zamknięty był kufer. Littlemore kazał im podpisać oświadczenie, że otworzyli zamknięty, i jeszcze chwilę poczekać, by mogli zaświadczyć, co znaleziono wewnątrz kufra. Biorąc głęboki oddech, otworzył wieko. Ale nie poczuł żadnych przykrych zapachów.

Najpierw zobaczyłem gęsto upakowane, przesiąknięte wodą ubrania jakby ozdobione leżącą między nimi biżuterią. Po chwili Littlemore zwrócił moją uwagę na wystające spod nich zmierzwiłe czarne włosy.

- Jest pod spodem - oświadczył. - To chyba nie będzie przyjemny widok.

Detektyw założył rękawiczki, chwycił za wystające spod materiału włosy i pociągnął. Bez najmniejszego wysiłku uniósł w powietrze masę wilgotnych, skołtunionych włosów.

- Pociął ją - odezwał się jeden z braci Friedlanderów.
- Na kawałki - dodał drugi.
- O rany! - wycedził Littlemore zza zaciśniętych zębów i rzucił włosy na jeden ze stołów. - Zaraz, zaraz! - wykrzyknął po chwili. - Przecież to peruka!

Detektyw opróżniał zawartość kufra, wkładając wyjmowane po kolei rzeczy do plastikowych torebek i różnych pojemników. Oprócz dwóch peruk znalazł w środku kilka par pantofli na obcasach, sporą

kolekcję koronkowej bielizny, sześć damskich szlafroków, biżuterię i przybory toaletowe, etolę z norek i lekki damski płaszcz. Ich właścicielki jednak w kufrze nie było.

- Co, u licha? - zastanawiał się Littlemore, kręcąc głową.
- Gdzie jest dziewczyna? Musiał tam być drugi kufer, doktorze, którego pan nie zauważył!

Powiedziałem mu, co sędzę o takiej hipotezie.

Littlemore wyszedł razem ze mną. Było już całkiem jasno. Zapytałem, co zamierza teraz zrobić. Odparł, że sprawdzi, czy którakolwiek z rzeczy znalezionych w kufrze wiąże się jakoś z Banwellem albo z zamordowaną dziewczyną. Może rodzina Riverfordów z Chicago zidentyfikuje jej rzeczy.

- Jeśli zdołam udowodnić, że choćby jeden z tych naszyjników należał do Elizabeth Riverford, to dorwałem Banwel-la! Bo kto jak nie on mógłby umieścić kufer z jej rzeczami w kesonie pod Manhattan Bridge w dzień po tym, jak została zamordowana? I po co by to robił, gdyby nie był mordercą?
- Po co by to robił, gdyby nie był mordercą? - zapytałem.
- No właśnie, po co?
- To wyjątkowo owocna rozmowa - zauważyłem.
- Racja, nie wiem, po co - przyznał detektyw, zapalając papierosa. - W tej sprawie jest wiele rzeczy, których nie rozumiem. Przez chwilę myślałem nawet, że mordercą jest Harry Thaw.
- Ten Harry Thaw?
- Ten sam. Już sądziłem, że dokonam odkrycia, które wywoła wielką sensację. Ale się okazało, że Thaw jest zamknięty w wariatkowie na północy stanu.
- Nie powiedziałbym, że jest tam zamknięty - stwierdziłem i przekazałem detektywowi wszystko to, czego dowiedziałem się od Jelliffea: że warunki, w jakich przebywa Thaw, są - najdelikatniej mówiąc - świetne. Littlemore chciał wiedzieć, czy to pewna informacja, powiedziałem mu więc, że Jelliffe jest jednym z konsultantów psychiatrycznych pacjenta oraz że moim zdaniem rodzina milionera opłaca cały personel i wszystkich strażników szpitala.

Detektyw spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Znam skądś to nazwisko. Jelliffe, Jelliffe... Czy on przypadkiem nie mieszka w rezydencji Balmoral?
- Mieszka. Przedwczoraj byłem tam u niego na obiedzie.
- A to skurwysyn!
- Chyba pierwszy raz słyszę, żeby pan tak przeklinał.

- Bo chyba pierwszy raz tak przeklinam. Zobaczymy się później, doktorze - rzucił, po czym najszybciej, jak mógł ze względu na chorą nogę, wrócił do budynku policyjnego, w którym mieściła się miejska kostnica. Zanim zniknął w drzwiach, jeszcze raz rzucił mi przez ramię podziękowanie.

Dotarło do mnie, że nie mam pieniędzy. Portfel został w kieszeni spodni, które się suszyły za kuchennym oknem w mieszkaniu Littlemore'a. W kieszeni tych, które pożyczył mi detektyw, znalazłem jakieś drobne. Na szczęście się obudziłem, kiedy kolejka metra zatrzymywała się na stacji Grand Central. Inaczej nie mam pojęcia, gdzie bym wylądował.

Detektyw Littlemore wściekle walił w drzwi dwupiętrowego domu na Czterdziestej, tuż przy Broadwayu. Po chwili otworzyła mu dziewczyna, której detektyw nigdy wcześniej nie widział.

- Gdzie jest Susie? - wrzasnął.

Nie wyjmując z ust cygara, dziewczyna poinformowała go, że panna Merrill wyszła. Słyszając, że w salonie rozmawiają jakieś kobiety, detektyw wszedł do środka. W ozdobionym lustrami pomieszczeniu zastał kilka dziewcząt w różnym stopniu roznegliżowanych; to, co miały na sobie, było w kolorze czarnym i szkarłatnym. Widocznie te barwy obowiązywały w ich biznesie. Wśród nich znajdowała się i ta, której Littlemore szukał.

- Witaj, Greto! - powiedział.

Rzuciła na niego okiem i na tym jej odpowiedź się zakończyła. Nie wyglądała na tak rozmarzoną jak poprzednio.

- Był tutaj w ubiegły weekend, prawda? - zapytał detektyw.

Greta nie odpowiadała.

- Wiesz, o kim mówię. Ma na imię Harry.

- Znamy wielu Harrych - rzuciła jedna z dziewcząt.

- Harry Thaw - dodał detektyw.

Greta pociągnęła nosem. Dopiero wtedy detektyw zauważył, że płacze. Próbowana powstrzymać łzy, ale jej się nie udało. W końcu rozbeczała się głośno i zakryła twarz chusteczką. Dziewczęta natychmiast otoczyły ją kołem, oferując pocieszenie i współczucie.

-To ciebie sobie wybrał, prawda? Bił cię pejczem? W ubiegłą niedzielę? - stwierdzał raczej, niż pytał detektyw, a po chwili zwrócił się do pozostałych dziewcząt. - Czy Harry Thaw ją skrzywdził? Czy dlatego płacze?

- Proszę ją zostawić! - zażądała dziewczyna z cygarem w ustach.

Oprócz chusteczki Greta ścisnęła w dłoni różowy kawałek materiału, z którego zwisały dwie różowe tasiemki. Był to śliniaczek. Detektyw przypomniał sobie, że podczas poprzedniej wizyty słyszał głośny płacz dziecka. Teraz było cicho.

- Co się stało z dzieckiem? - zapytał. Greta zamarła, postanowił więc zablefować. - Co się stało z twoim dzieckiem, Greto?

- Ona nic złego nie zrobiła - wybuchnęła Greta, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego, i znów zanosła się płaczem. Dziewczęta starały się ją uspokoić, ale łkania nie ustawały.

- Ktoś zabrał jej dziecko? - zapytał Littlemore.

Greta znów zakryła twarz chustką.

- Susie - odpowiedziała jedna z dziewcząt. - Susie zabrała jej córeczkę. Zniosła ją do jakiejś rodziny w Hell's Kitchen i nie chce nawet powiedzieć, co to za ludzie.

- A w dodatku obcina za to Grecie zarobki - dodała inna.

- Trzy dolary tygodniowo. To nie fair.

- Założę się, że sama płaci tym ludziom za chowanie dziecka nie więcej niż półtora dolara - dorzuciła dziewczyna z cygarem.

- Nie chodzi mi o pieniądze - wyszlochała Greta. - Chcę moją Fannie! Chcę moją córeczkę z powrotem!

- Spróbuję pomóc ci ją odzyskać - obiecał Littlemore.

- Naprawdę?

- Naprawdę spróbuję.

- Zrobię wszystko, co pan chce. Wszystko!

Littlemore zastanowił się przez chwilę, czy powinien

przesłuchiwać kobietę, której przed chwilą odebrano dziecko. Uznał, że to się nie godzi.

- Nie chcę zapłaty - powiedział, wkładając kapelusz. - Powiedzcie Susie, że jeszcze tu wrócę.

Był już za drzwiami wejściowymi, gdy usłyszał głos Grety

- On tu był! - krzyknęła. - Zjawił się około pierwszej w nocy.

- Thaw? - zapytał Littlemore, wracając do środka. - W zeszłą niedzielę?

Greta skinęła głową.

- Może pan zapytać innych dziewczyn! Wyglądał trochę jak szaleniec. Wybrał mnie. Zawsze mu się najbardziej podobałam. Powiedziałam Susie, że nie chcę, ale ona nie słuchała. Wypominała mu, ile pieniędzy nam wisi za to, że siedzimy cicho. Ale on się tylko roześmiał i...

- O jakich pieniądzach za siedzenie cicho mówisz?

- Pieniądze, żeby żadna z nas nie zeznała w sądzie o tym, co z nami wyczyniał. Susie wzięła od niego setki dolarów. Powiedziała mu, że to dla nas, ale zatrzymała wszystko dla siebie. Nie zobaczyłyśmy nawet centa! Ale jego matka przestała płacić, kiedy go zamknęli w szpitalu. Dlatego Susie się tak wściekła. Powiedziała mu, że musi płacić podwójnie, i to z góry, a dopiero wtedy mnie dostanie. Kazała mu obiecać, że będzie dla mnie miły Ale miły nie był - powiedziała Greta, która odzyskała wreszcie błysk w oku i mówiła, jakby relacjonowała przygodę, która się przytrafiła komuś innemu. - Rozebrał mnie, a potem zerwał z łóżka prześcieradła i powiedział, że mnie zwiąże jak poprzednio. Zagroziłam mu, że jak nie wyjdzie, to pożałuje. Ale się tylko roześmiał i powiedział, że mogę sobie robić, co mi się podoba: jemu nic nie zrobią, bo i tak już siedzi. Wtedy weszła do pokoju Susie. Musiała przez cały czas podsłuchiwać pod drzwiami.

- Susie nie podsłuchiwała - wtrąciła jedna z dziewcząt.

- Ja stałam pod drzwiami i powiedziałam Susie, co się dzieje. Dlatego weszła do pokoju. Zawsze panicznie się jej bał. Oczywiście, nic by nie zrobiła, gdyby Thaw zapłacił z góry, tak jak chciała. Szkoda, że pan nie widział, jak stąd uciekał. Jak jakiś szczur!

- Zajrzał do mojego pokoju - powiedziała inna z dziewcząt - płacząc i wymachując rękami jak mały chłopiec. Ale zaraz zjawiała się Susie i znów go pogoniła.

Dziewczyna z cygarem zakończyła opowiadanie:

- Wyrzuciła go na dwór. Wie pan, gdzie go dorwała? Za lodówką. Schował się tam i ogryzał paznokcie. Susie wytargała go stamtąd za ucho, przeciągnęła przez hol i wyrzuciła na ulicę jak worek śmieci. Właśnie dlatego ją zamknęli. Becker zjawił się tutaj parę dni później.

- Becker? - zapytał Littlemore.

- Tak, Becker. Becker we wszystkim macza swoje brudne paluchy.

- Zeznacie przed sądem, że Thaw był tutaj w zeszłą niedzielę?

Dziewczęta milczały, aż w końcu odezwała się Greta:

- Ja zeznam, jeśli pan znajdzie moją Fannie.

Littlemore ponownie zaczął się zbierać do wyjścia.

- Nie chce pan wiedzieć, dokąd pojechał potem? - zapytała dziewczyna z cygarem w zębach.

- A skąd ty to wiesz?

- Słyszałam, jak mówił koledze, który przywiózł go tu samochodem. Stałam w oknie na piętrze.

- Jakiemu koledze?

- No, temu, co z nim tu przyjechał.

- Myślałem, że był sam - powiedział Littlemore.

- A skąd! Był z nim taki tłusty facet przekonany, że jest ósmym cudem świata. Ale trzeba mu przyznać, że kasy nie żałował. Przedstawił się jako doktor Smith.

- Doktor Smith? - powtórzył detektyw. Był niemal pewien, że całkiem niedawno słyszał jego prawdziwe nazwisko. - Więc dokąd pojechali?

- Do Gramercy Park. Wyraźnie słyszałam, jak Thaw kazał się tam zawieźć.

- A to skurwysyn! - powiedział detektyw.

Było po dziesiątej, kiedy dotarłem do hotelu. Gdy odbierałem klucz do mojego pokoju, recepcjonista rzucił pogardliwe spojrzenie na powycieraną marynarkę Littlemorea, której rękawy sięgały najwyżej do połowy przedramienia. Powiedział, że zostawiono mi list, ale odebrał go w moim imieniu doktor Brill. Wskazał przy tym ręką zaciszny kąt holu, w którym siedzieli Brill, Rose i Ferenczi.

- Dobry Boże! Younger! - wykrzyknął Brill, gdy się z nimi przywitałem. - Wygląda pan okropnie. Co pan robił całą noc?

- Unikałem zalania. Naprawdę - odparłem.

- Abrahamie! Doktor Younger po prostu ma na sobie czyjś garnitur. To wszystko - skarciła Brilla Rose.

- Rose przyszła, żeby wszystkim opowiedzieć, jakim jestem tchórzem - wyjaśnił mi Brill.

- Ależ skąd! - zaprotestowała Rose stanowczo. - Jestem tutaj, żeby powiedzieć profesorowi Freudowi, że on i Abraham powinni opublikować tę książkę. Tchórzami są ci, którzy wysyłali te potworne listy i telegramy. Abraham powiedział mi o wszystkim, doktorze Younger. Nie damy się zastraszyć. To niedopuszczalne, żeby w tym kraju ktoś palił książkę! Przecież mamy wolność słowa!

- Weszli do naszego mieszkania i rozsypali w nim popiół - powiedział Brill.

- A ty chcesz się z tego powodu schować w mysiej dziurze! - wypaliła Rose.

- Uprzedzałem pana, Younger - zwrócił się do mnie Brill, bezradnie unosząc brwi.

- Ja nie będę się ukrywała. Tobie też nie pozwolę chować się pod moją spódnicą, Abrahamie! Podobno chcesz mnie chronić! Musi mi pan pomóc, doktorze Younger. Niech pan powie Freudowi, że opóźnienie publikacji jego książki ze względu na moje bezpieczeństwo odebrałabym jako obrazę. To jest Ameryka. Po co umierali ci wszyscy młodzi mężczyźni pod Gettysburgiem?

- Żeby niewolnictwo darmowe zastąpić niewolnictwem płatnym - powiedział z kpiną Brill.

- Lepiej się nie odzywaj - upomniała go Rose. - Abraham włożył w tę książkę tyle serca! Praca nad nią nadała nowy sens jego życiu. Nie jesteśmy bogaci, ale mamy w tym kraju dwie rzeczy warte więcej niż wszystko inne: godność i wolność. Co nam zostanie, jeśli z nich zrezygnujemy?

- Rose zaczęła propagandę wyborczą - wtrącił Brill, prowokując tym Rose, by uderzyła go w ramię torebką. - Ale teraz panowie sami widzicie, dlaczego się z nią ożeniłem.

- Mówię poważnie - ciągnęła Rose, poprawiając kapelusz. - Książka Freuda musi zostać opublikowana. Nie ruszę się z tego hotelu, dopóki sama mu tego nie powiem!

Pochwaliłem odwagę Rose, co Brillowi było nie w smak, stwierdzając, że łatwo mi mówić, skoro jedyne ryzyko, które podejmowałem w życiu, to całonocny taniec na balach z nadgorliwymi debiutantkami. Przyznałem, że zapewne ma rację, i zapytałem o Freuda. Dowiedziałem się, że profesor od rana nie schodził na dół. Ferenczi, który stukał do drzwi jego apartamentu, przypuszczał, że Freud cierpi na niestrawność. Dodał też, że wczoraj wieczorem doszło do potężnej kłótni między Freudem a Jungiem.

- Awantura będzie jeszcze gorsza, gdy Freud zobaczy, co Hall napisał dzisiaj do Youngera - powiedział Brill, wręczając mi list.

- Nie otwierał pan chyba mojej korespondencji, Brill? - zapytałem.

- Czyż on nie jest okropny? Zrobił to, nie mówiąc nam ani słowa. Gdybym wiedziała, nigdy bym mu na to nie pozwoliła! - wykrzyknęła Rose.

- Na Boga! List był przecież od Halla! Younger zniknął, a ja się spodziewałem najgorszego. Nie sądzisz, że powinniśmy wiedzieć, czy rektor Hall zamierza odwołać wykłady Freuda? - bronił się Brill.

- To niemożliwe - oświadczyłem.

- To pewne - odparł Brill. - Niech pan sam przeczyta.

Koperta była gruba. W środku znalazłem złożoną kartkę papieru welinowego, który po wyprostowaniu okazał się ośmiokolumnowym artykułem prasowym opublikowanym pod olbrzymim tytułem *AMERYKA W OBLICZU TRAGEDII*.

Jako autor figurował doktor Carl Jung. Pod tytułem znajdowało się duże zdjęcie Junga w okularach z podpisem głoszącym, że jest „słynnym szwajcarskim psychiatrą”. Zdziwiłem się, bo gatunek papieru był zbyt dobry jak na gazetę, podobnie jakość druku. Jeszcze bardziej zdziwił mnie fakt, że na górze strony widniała data nadchodzącej dopiero niedzieli: 5 września.

- To korekta szpaltowa artykułu, który ma się ukazać w niedzielnym wydaniu „Timesa” - wyjaśnił Brill. - Proszę przeczytać list Halla.

Tłumiąc wzrastającą irytację, postąpiłem zgodnie z jego instrukcją. Oto, co pisał rektor Hall:

Drogi doktorze Younger!

Załączony tekst otrzymałem z dzisiejszą pocztą od rodziny, która zaoferowała uniwersytetowi tę hojną dotację. Podobno to strona wydania pisma „New York Times”, które ma się ukazać w najbliższą niedzielę. Sam pan się przekona, co zawiera. Rodzina ta była tak miła, że powiadomiła mnie o tym z wyprzedzeniem, bym mógł przedsięwziąć odpowiednie działania teraz, a nie po fakcie, w atmosferze skandalu. Proszę powiadomić pana Freuda, że nie jest moją wolą odwoływać jego wykłady, na które czekałem z wielką niecierpliwością. Ale oczywiście, nie byłoby w interesie profesora Freuda ani naszym, gdyby jego obecność tutaj wywołała określony rodzaj zainteresowania. Ja sam nie daję wiary

tym insynuacjom, jestem jednakże zobowiązany liczyć się ze zdaniem innych. Żywię głęboką nadzieję, że ten rzekomy artykuł prasowy nie jest autentyczny i że nasze uniwersyteckie uroczystości przebiegną bez zakłóceń.

Pański oddany etc, etc.

Ku mojemu przerażeniu treść listu potwierdzała opinię Brilla: rektor Hall był skłonny odwołać wykłady Freuda. Kto krył się za tą ohydą kampanią skierowaną przeciw profesorowi? I co miał z tym wszystkim wspólnego Jung?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, kto w tej idiotycznej historii wypada gorzej: Freud czy Jung - stwierdził Brill, wrywając mi z ręki kartkę z artykułem. - Niech pan posłucha... gdzie to było?... o, mam! Otóż to słowa Junga: „Amerykańskie kobiety lubią sposób, w jaki mężczyźni z Europy uprawiają miłość”. Wyobraża pan sobie? On tak powiedział! „Wolą nas, ponieważ czują, że jesteśmy trochę niebezpieczni”. Potrafi pleść tylko o tym, jak bardzo go pożądamy amerykańskie kobiety! - oburzył się Brill, po czym dalej cytował wypowiedź Junga: - „To naturalne, że kobieta pragnie się bać, gdy odczuwa miłość. Kobiety w Ameryce chcą zostać zawładnięte w nasz archaiczny, europejski sposób; chcą być pokonane. Mężczyźni w Ameryce ograniczają się jedynie do roli posłusznych synów swoich matek-żon. Na tym polega tragedia tego kraju!” - Brill podniósł wzrok znad gazety i przeniósł go na mnie: - Słyszał pan? Kompletnie mu odbiło!

- Ale to nie jest atak na Freuda - stwierdziłem.

- Freuda atakuje ktoś inny.

- Kto?

- Autor anonimowego listu, o którym piszą jedynie, że to znany lekarz przemawiający w imieniu szanowanej społeczności medyków amerykańskich. Niech pan posłucha, co wysmarował:

Kilka lat temu dobrze poznałem doktora Zygmunta Freuda z Wiednia. Wiedeń to niemoralne miasto. Na przykład homoseksualizm uważa się tam za przejaw pomysłowości i temperamentu. Pracując z Freudem w tym samym laboratorium przez całą zimę, miałem okazję się przekonać, jak bardzo odpowiada mu wiedeński styl życia. Nie miał żadnych skrupułów ani w kwestii wolnego związku, ani w kwestii ojcowania dzieciom z nieprawego łoża. Nie wiódł życia na poziomie, jego naukowa teoria, jeśli w ogóle można tak ją określić, jest wynikiem kontaktów z wyuzdanym środowiskiem i osobliwego trybu życia, które Freud w tym środowisku prowadził.

- Mój Boże! - jęknąłem.

- To atak czysto osobisty! Czy amerykańskie gazety coś takiego opublikują? - zapytał Ferenczi.

- Masz swoją wolność słowa - rzucił Brill, a małżonka obdarzyła go miazdzącym spojrzeniem. - Nasi przeciwnicy wygrali. Hall odwoła wykłady. I co możemy zrobić?

- Czy Freud wie? - zapytałem.

- Tak. Ferenczi mu powiedział.

- Przez drzwi podałem mu ten artykuł - wyjaśnił Ferenczi. - Nie wydaje się przygnębiony. Stwierdził, że widział już w życiu gorsze rzeczy.

- Ale Hall nie widział - zauważyłem.

Freud od dłuższego czasu obrzucany był kalumniami. Spodziewał się więc ich i w pewnym sensie był do nich przyzwyczajony. Hall natomiast, jak każdy mieszkaniec Nowej Anglii o starych, purytańskich zasadach, panicznie obawiał się skandali. Nie zniósłby, gdyby „New York Times” ogłosił Freuda libertynem w przeddzień rozpoczęcia wykładów na jego uniwersytecie. - Czy Freud pamięta, kto z nowojorczyków pracował z nim w Wiedniu? - zapytałem.

- Nie ma nikogo takiego. Freud twierdzi, że nigdy nie pracował z żadnym Amerykaninem.

- Co? - ucieszyłem się. - W takim razie mamy szansę! Może cały ten artykuł jest jakąś wielką prowokacją! Brill, niech pan zadzwoni do swojego kolegi z „Timesa”! Jeśli naprawdę zamierzają to opublikować, niech mu pan oświadczy zdecydowanie, że to oszczerstwo. Przecież nie zdecydują się opublikować steku kłamstw!

- I sądzi pan, że uwierzą mi na słowo? - rzucił Brill.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zauważyłem, że Ferenczi i Rose przenieśli wzrok gdzieś do tyłu. Odwróciłem się i zobaczyłem parę wpatrzonych w siebie niebieskich oczu. W holu stała Nora Acton.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Chyba naprawdę na kilka sekund stanęło mi serce. Każdy szczegół postaci Nory Acton - kosmyki włosów tańczące miękko przy policzkach, wpatrzone we mnie błagalnie niebieskie oczy, smukłe ramiona, dłonie odziane w białe rękawiczki, cudownie zwężające się linie prowadzące od jej piersi do talii - po prostu mnie obezwładniały.

Widząc teraz Norę w hotelowym holu, miałem wrażenie, że to ja potrzebuję terapii, a nie ona. Z jednej strony byłem przekonany, że nigdy już nie doznam takiego uczucia, które wywołała we mnie ona, że nikt inny we mnie takich emocji nie wzbudzi. Z drugiej zaś - nadal przepełniał mnie wstręt. W kesonie, gdy śmierć zaglądała mi w oczy, myślałem wyłącznie o Norze. Teraz widziałem ją w całej krasie i nie mogłem pozbyć się myśli o skrywanych przez nią obrzydliwych żądzach.

Chyba stałem w osłupieniu o wiele dłużej, niż dopuszczało dobre wychowanie. Na szczęście Rose Brill pospieszyła mi na ratunek.

- Panna Nora Acton, prawda? - powiedziała. - Jesteśmy przyjaciółmi profesora Freuda i doktora Youngera. Co cię tu sprowadza, moja droga?

Z niewyobrażalnym wdziękiem Nora przywitała się ze wszystkimi, wymieniła zwykłe w takich razach uprzejmości i wyraźnie dała nam do zrozumienia, choć nie powiedziała wprost, że chce ze mną zamienić kilka słów na osobności. Byłem pewien, że mimo pozornego spokoju wszystko w niej wrze. Podziwiałem jej opanowanie, niezwykle nie tylko u siedemnastolatki.

- Uciekłam z domu - wyznała, gdy znaleźliśmy się z dala od pozostałych. - Nie mam się do kogo zwrócić, pomyślałam więc o panu. Przepraszam. Wiem, że wzbudzam w panu odrazę.

Te ostatnie słowa zraniły mnie jak nóż wbity prosto w serce.

- Jak mogłaby pani wzbudzać odrazę w kimkolwiek, panno Acton?

- Uczucia odmalowały się na pana twarzy, doktorze. Nienawidzę tego pańskiego Freuda. Skąd on to mógł wiedzieć?

- Dlaczego pani uciekła?

Jej oczy napełniły się łzami.

- Chcą mnie zamknąć w zakładzie psychiatrycznym. Nazywają go sanatorium i twierdzą, że muszę trochę odpocząć. Tymczasem to dom wariatów na północ od miasta. Matka dzwoni tam od świtu i opowiada, że fantazjuję na temat nocnej napaści. Specjalnie podnosi przy tym głos, żebym wszystko słyszała, nie tylko ja, ale i państwo Biggs. Dlaczego nie pamiętam wszystkiego normalnie?

- Ponieważ podano pani chloroform.

- Chloroform?

- Środek anestezyjologiczny - wyjaśniłem. - Znieczulenie to wywołuje takie właśnie skutki, o których pani mówiła.

- A więc to naprawdę był on. Tylko dlaczego on mi to robi?

- Żeby wszyscy myśleli, że sama zadaje sobie pani rany, panno Acton. I nie wierzyli w to, co mówi pani na temat obydwu napaści.

Spojrzała na mnie, po czym odwróciła wzrok.

- Powiedziałem o wszystkim detektywowi Littlemoreowi

- oзнакомиłem.

- Czy Banwell zaatakuje znowu?

- Nie wiem.

- Na szczęście rodzice nie mogą już mnie tam odesłać na siłę.

- Mogą. Jest pani ich dzieckiem.

- Co takiego?

- Decyzja należy do nich, dopóki jest pani nieletnia - wyjaśniłem. - Pani rodzice nie muszą mi uwierzyć na słowo, a żadnych dowodów nie mamy. Chloroform nie zostawia śladów.

- Ile trzeba mieć lat, żeby przestać być nieletnim?

- Osiemnaście.

- W niedzielę obchodzę osiemnaste urodziny.

- Naprawdę? - ucieszyłem się. Chciałem powiedzieć, że nie musi się w takim razie obawiać przymusowego umieszczenia w szpitalu psychiatrycznym, ale ogarnęły mnie złe przeczucia.

- Co się stało? - spytała.

- Musimy ich jakoś powstrzymać do niedzieli. Jeśli uda im się umieścić panią w szpitalu dzisiaj albo jutro, może pani tam pozostać tak długo, jak długo sobie tego zażyczą.

- Nawet po ukończeniu osiemnastu lat?

- Nawet wtedy.

- Więc nie wrócę do domu - oświadczyła. - Mamy letni domek, który teraz stoi pusty. To ostatnie miejsce, gdzie szukałby mnie Banwell. Zresztą nikt nie będzie mnie tam szukał. Moglibyśmy tam pojechać razem... To zaledwie pół godziny od miasta promem. Na życzenie prom zatrzymuje się w Ter-ry Town. Proszę, doktorze! Nie mam nikogo oprócz pana.

Rozważałem słowa Nory. Wywiezienie jej z miasta wydawało się rozsądnym posunięciem. Raz już George Banwell jakimś cudem dostał się do jej sypialni całkowicie niezauważony, mógł więc zrobić to ponownie. Nora nie powinna płynąć promem sama. Samotna podróż młodej kobiety w górę rzeki mogła się źle skończyć, zwłaszcza kobiety tak pociągającej jak Nora Acton. Wszystko inne mogło poczekać do wieczora. Freud nie wstawał z łóżka. Gdyby wysiłki Bril-la, by skontaktować się ze znajomym z „New York Timesa” okazały się daremne, musiałbym jechać do Worcester i osobiście porozmawiać z rektorem Hallem. To jednak mógłbym uczynić jutro.

- Dobrze. Będę pani towarzyszył.
- Czy ma pan zamiar jechać w tym garniturze? - zapytała.

Pół godziny po dostarczeniu porannej poczty pokojówka Banwellów poinformowała, że pani Clara ma gościa.

- To policjant, proszę pani - stwierdziła i Clara poszła za nią do holu, gdzie lokaj trzymał kapelusz drobnego bladego mężczyzny w brązowym garniturze. Gość miał przenikliwe, ale zrozpaczone spojrzenie, sumiaste wąsy i najeżone krzaczaste brwi. Na jego widok Clara stanęła jak wryta.
- Kim pan jest? - zapytała z dystansem.
- Koroner Charles Hugel - odparł gość, czując się tak samo skrępowany. - Nadzoruję śledztwo w sprawie morderstwa panny Elizabeth Riverford. Chciałbym zamienić z panią kilka słów.
- Ach, tak - odezwała się Clara, po czym zwróciła się do lokaja: - To sprawa pana Banwella, Parker, a nie moja.
- Proszę o wybaczenie, ale ten dżentelmen chciał rozmawiać z panią.

Clara się odwróciła.

- Chce pan rozmawiać ze mną, panie... panie...
- Hugel - podrzucił koroner zakłopotany. - Nie. To znaczy tak. Pomyślałem, że skoro nie ma pani męża, to może pani...
- Ale mój mąż jest - przerwała mu Clara. - Parker, powiedz panu Banwellowi, że mamy gościa. A teraz zechce mi pan wybaczyć, panie Hugel.

Chwilę później uszu Clary dobiegła lawina przekleństw wypowiedzianych niskim głosem jej męża. Głośno trzasnęły drzwi wejściowe, po czym ciężkie kroki Georgea Banwella skierowały się do sypialni.

Clara nakładała puder na swoją śliczną twarz. Trzęsły jej się ręce i musiała się bardzo postarać, by opanować to drżenie.

*

Jakąś godzinę później wraz z Norą Acton płynęliśmy w górę rzeki Hudson obok spektakularnych,

brązowopoma-rańczowych klifów New Jersey Jak tylko się przebrałem, wyszliśmy z hotelu Manhattan tylnymi drzwiami - to na wszelki wypadek. Po nowojorskiej stronie rzeki cumowała przy Grand Tomb armada drewnianych trójmasztowników, powiewając białą poluzowanymi żaglami. Przyplłynęły tutaj, by przygotować się do regat w dniu przypadającego jesienią święta stoczni Fultona. Na czystym niebie wisiało kilka zaledwie chmur. Panna Acton siedziała na dziobie promu. Delikatna bryza targała jej włosy.

- Pięknie tutaj, prawda? - powiedziała.
- Jeśli się lubi łodzie - odparłem.
- A pan nie lubi?
- Nie przepadam. Przez ten wiatr. Jeśli ktoś lubi, jak mu wieje w twarz, powinien stanąć naprzeciw elektrycznego wentylatora. Oprócz tego te wyziewy... I ten piekielny dźwięk syren. Jest doskonała widoczność, wokół nie ma żadnego statku, a one, nie wiadomo po co, wyją tak, że ogłuszają całe ławice ryb.
- Dziś rano ojciec wypisał mnie z Barnard College. Zadzwoił do dziekanatu. Matka mu kazała.
- To da się naprawić - stwierdziłem, czując się nagle zakłopotany dziwną wypowiedzią o żegludze.
- Czy ojciec uczył pana strzelać, doktorze Younger?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem. Nie potrafiłem określić, o co może jej chodzić ani czy ona sama ma pojęcie, o co pyta.

- Dlaczego sądzi pani, że potrafię strzelać?
- Przecież wszyscy mężczyźni z pańskiej klasy społecznej strzelają - odparła, słowa „klasa społeczna” wypowiadając ze wzgardą.
- Nie, jeśli oczywiście, nie liczyć strzelania głupimi wypowiedziami.
- Ale pan posługuje się bronią. Widziałam.
- Gdzie?
- Już chyba panu mówiłam. W zeszłym roku na pokazie koni. Zabawiał się pan tam na strzelnicy.
- Tak?
- Tak. I miałam wrażenie, że się pan doskonale bawi.

Patrzyłem na nią przez dłuższą chwilę, próbując zgadnąć, ile wie. Mój ojciec odebrał sobie życie właśnie bronią palną. To delikatnie powiedziane, bo po strzale mózg rozprysnął się wokół.

- Wuj mnie nauczył, nie ojciec - odpowiedziałem.

- Schermerhorn czy Fish?
- Wie pani o mnie więcej, niż mogłem przypuszczać.
- Ktoś, czyje nazwisko się pojawia w rubrykach towarzyskich, nie powinien się dziwić, że jego koligacje rodzinne są powszechnie znane.
- Nie chciałem się w nich znaleźć. Umieszcza się moje nazwisko bez mojej zgody, podobnie jak pani.
- Czy płakał pan, gdy umarł?
- Kto?
- Pański ojciec.
- Do czego pani zmierza, panno Acton?
- Opłakiwał go pan?
- Nie opłakuje się samobójcy - odpowiedziałem po chwili.
- Naprawdę nie? Może i tak. W końcu śmierć ojca to rzecz normalna. Pański ojciec też stracił ojca, i jego ojciec, i ojciec jego ojca.
- Mówiła pani, że nienawidzi Szekspira.
- Jak to jest, doktorze, być wychowywanym przez kogoś, kim się pogardza?
- To akurat powinna pani wiedzieć lepiej ode mnie, panno Acton. Czy nie mam racji?
- Ja? - zdziwiła się. - Mnie wychowywał ktoś, kogo kocham.
- Mówiąc o rodzicach, zwykle nie zdradza się pani z tym akurat uczuciem.
- Bo też nie mam na myśli rodziców - odparła. - Mówię o pani Biggs.
- Nie czułem pogardy do mojego ojca - wyznałem.
- A ja mojego nienawidzę. Przynajmniej nie boję się do tego przyznać.

Wiatr się nasilił, może wróżąc zmianę pogody. Nora wpatrywała się w brzeg. Nie miałem pojęcia, jakie emocje zamierza we mnie wzbudzić.

- Mamy wiele wspólnego, panno Acton - powiedziałem po chwili. - Obydwoje dorastaliśmy, pragnąc, by nigdy nie stać się ludźmi takimi, jakimi byli nasi rodzice. Obydwoje: ojciec i matka. Profesor Freud twierdzi wszakoż, że bunt świadczy o przywiązaniu tak samo silnym jak posłuszeństwo.

- Rozumiem. Pan zdołał się odwiązać.

Kilka minut później poprosiła, żebym powiedział jej coś więcej o teoriach Freuda. Spełniłem jej prośbę, unikając jakiegokolwiek wzmianki o kompleksie Edypa i wszystkim, co się z nim wiąże. Złamałem zasady etyki zawodowej i opisałem jej kilka przypadków psychoanalizy, dzieląc się spostrzeżeniami na temat moich pacjentek - oczywiście, nie zdradziłem ich nazwisk. Miałem nadzieję przybliżyć jej w ten sposób fenomen przeniesienia i jego przemożny wpływ na psychikę pacjenta. Dlatego właśnie wspominałem o Rachel, dziewczynie, która podczas każdej sesji próbowała się w mojej obecności rozebrać.

- Była ładna? - zapytała Nora.

- Nie - skłamałem.

- Kłamie pan - stwierdziła. - Mężczyznom zawsze się podobają takie właśnie dziewczyny. Zapewne uprawiał pan z nią seks.

- Oczywiście, że nie - odparłem, zaskoczony jej bezpośredniością.

- Nie jestem w panu zakochana, doktorze - powiedziała, jakby stwierdzenie to było całkowicie logiczną konsekwencją poprzedniego. - Wiem, że tak właśnie pan myśli. Wczoraj błędnie założyłam, że darzę pana jakimiś uczuciami, był to jednak wynik denerwujących zajęć i pańskiej własnej deklaracji o uczuciu do mnie.

- Panno Acton...

- Proszę się nie niepokoić. Nie mam zamiaru zobowiązywać pana, by się z tej deklaracji wywiązał. Rozumiem, że to, co mówił pan wczoraj, nie odpowiada już pańskim dzisiejszym uczuciom, podobnie jak to, co sama wczoraj powiedziałam, nie oddaje moich. Nie żywię dla pana żadnych uczuć. To pańskie, jak mu tam, przeniesienie, które wedle Freuda każe pacjentom kochać albo nienawidzić swojego lekarza, po prostu mnie nie dotyczy. Jestem pańską pacjentką, jak sam pan powiedział. I nic więcej.

Pozwoliłem jej słowom wybrzmieć, pozostawiając je bez odpowiedzi. A prom nadal płynął w górę rzeki.

Niedługo po dwunastej w południe detektyw Littlemore stanął przed małą brudną celą w potężnym szarym zamczysku, w którym mieściło się więzienie Tombs. Do korytarza nie docierało dzienne światło, ponieważ nie było tam okien. Obok detektywa stał strażnik więzienny. Przez kratownicę z żelaznych prętów obydwaj przyglądali się Chongowi Sin-gowi leżącemu bez ruchu na brudnym łóżku. Ubrany był w straszliwie brudny podkoszulek i miał bosa stopy.

- Śpi? - zapytał Littlemore.

Chichocząc, strażnik opowiedział, jak wczoraj w nocy sierżant Becker nie pozwalał mu spać. Littlemore się zdziwił, słysząc znów nazwisko Beckera. Zaraz też przyszło mu do głowy, że ponieważ zwłoki panny Sigel znalezione zostały w jego rewirze, śledztwo powierzono zapewne jemu. Nie potrafił tylko zrozumieć, dlaczego Becker przesłuchiwał Chon-ga zeszłej nocy, skoro ten zeznał już, że widział, jak kuzyn

William Leon udusił dziewczynę. Tak przynajmniej twierdził burmistrz McClellan.

Strażnik znał odpowiedź na to pytanie. Po pierwsze, to właśnie Becker rozwiązał Chongowi język. Chińczyk nie chciał się jednak przyznać do współudziału w morderstwie. Upierał się, że dziewczyna już nie żyła, gdy wszedł do mieszkania Leona.

- Becker nie kupił tej historyjki? - zapytał Littlemore.

Strażnik zanucił coś pod nosem i pokręcił głową.

- Dobierał mu się do skóry przez całą noc, jak mówiłem. Trzeba to było widzieć!

Śpiący Chong Sing przekręcił się na bok, odsłaniając spuchnięte oko w obwódce koloru śliwki. Pod nosem i przy uchu miał zaschniętą krew. Nos mógł być nawet złamany, Littlemore nie miał jednak co do tego pewności.

- O rany! W końcu Chińczyk się złamał?

- Aha.

Littlemore kazał strażnikowi otworzyć celę. Zbudził śpiącego więźnia, przysunął sobie krzesło i zapalił papierosa. Poczęstował Chińczyka. Ten spojrzał ponuro na kolejnego przesłuchującego i sięgnął po papierosa.

- Wiem, że rozumie pan, co mówię, panie Chong - odezwał się Littlemore. - Być może zdołam panu pomóc. Proszę odpowiedzieć na kilka pytań. Kiedy zaczął pan pracować w rezydencji Balmoral? Pod koniec lipca?

Chong Sing potwierdził skinieniem głowy.

- A na budowie?

- W tym samym czasie, a może kilka dni później - odpowiedział chrypiętym głosem.

- Jak mógł pan cokolwiek widzieć, skoro pana tam nie było? - zapytał Littlemore.

- Słucham?

- Skoro wszedł pan do pokoju po tym, jak Leon zabił dziewczynę, skąd pan wie, że to on ją zabił?

- Już mówiłem. Słyszałem walkę. Patrzyłem przez dziurkę od klucza.

Littlemore spojrzał na strażnika, który potwierdził, że Chong opowiedział tę samą historyjkę poprzedniego dnia.

- Potwierdza pan te zeznania?

- Tak.

- Ale tak być nie mogło. Pamięta pan przecież, panie Chong, że byłem w mieszkaniu Leona. Otwierałem zamek wytrychem i w tym celu oglądałem dziurkę od klucza. Nic przez nią nie widać.

Chińczyk milczał.

- Jakim cudem dostał pan obydwie te prace, Chong? W jaki sposób dostał pan pracę u pana Banwella?

Chińczyk wzruszył ramionami.

- Próbuję panu pomóc - zapewnił Littlemore.

- Leon załatwił mi te roboty - powiedział Chong cicho.

- Skąd Leon znał pana Banwella?

- Nie wiem.

- Nie wie pan?

- Nie wiem - upierał się Chong. - Ja nikogo nie zamordowałem.

Littlemore podniósł się i kazał strażnikowi otworzyć celę.

- Wiem, że pan nikogo nie zamordował - powiedział na odchodnym.

Letni domek w odniesieniu do letniej rezydencji Actonów należało rozumieć w sensie charakterystycznym dla Newport, był to bowiem majątek porównywalny z siedzibami europejskich monarchów, przewyższający standard rezydencji nieco uboższych królów. Początkowo zamierzałem od razu wracać do miasta, kiedy jednak doprowadziłem Norę do drzwi, nie mogłem zostawić jej samej nawet tam.

Służący przywitali ją ciepło, po czym rzucili się do pracy, zaczynając od otwierania drzwi i okien. Zdawali się nie wiedzieć o jej potwornych przejściach. Nora nie powiedziała mi tego wprost, ale czułem, że chce mi wszystko pokazać. Oprowadziła mnie po pierwszym piętrze domu, na które wiodły dwa rzędy marmurowych schodów z holu głównego (on sam miał jakieś dwa piętra wysokości). Po lewej znajdowała się witrażowa kopuła, po prawej - wyłożona drewnem biblioteka. Pełno było marmurowych kolumn i złocień.

W tylnej części domu znajdowała się kryta płytkami dachowymi weranda, z której lekko spadzista aleja wysadzana potężnymi dębami prowadziła do widocznej w dali rzeki. Nora zeszła z werandy. Poszedłem za nią. Niebawem znaleźliśmy się przy stajniach. W powietrzu unosił się swojski zapach koni i świeżej słomy. Okazało się, że czeka tam już kosz wiktuałów na piknik, który przed chwilą przesłał z domu kucharz na wypadek, gdyby panna Nora miała ochotę na przejażdżkę.

Nora trzymała się w siodle nie gorzej ode mnie. Po krótkim galopie rozłożyliśmy koc w cieniastym miejscu z przepięknym widokiem na rzekę Hudson. W koszyku znaleźliśmy obłożone lodem małże, kurczaka na zimno, krokiety ziemniaczane, puszkę ciasteczek i sałatkę z czereśni i arbuza. Obok menażki z napojem herbacianym kucharz umieścił pół butelki czerwonego wina bordo, najwyraźniej

„dla pana”. Od wczorajszego wieczoru nie miałem nic w ustach.

Kiedy skończyliśmy się posilać, Nora zapytała:

- Czy jest pan uczciwy?
- Powiedziałbym: nawet przesadnie. Ale tylko dlatego, że kiepski ze mnie aktor. Czy służący nie zatelefonują do rodziców, żeby ich poinformować, że pani tu jest?
- Tutaj nie ma telefonu - odparła. Zdjęła słomkowy kapelusz, pozwalając, by promienie słońca odbijały się od jej włosów. - Przykro mi z powodu mojego zachowania na promie, doktorze. Nie wiem, dlaczego chciałam mówić o pańskim ojcu. Proszę mi wybaczyć. Mam wrażenie, że się znajduję w płonącym domu, z którego nie ma ucieczki. Clara zawsze była osobą, do której się zwracałam, teraz jednak nawet ona nie może mi pomóc.
- Jest wyjście - powiedziałem. - Zostanie pani tutaj do niedzieli. Skończy pani osiemnaście lat i tym samym wymknie się spod kontroli rodziców. Przy odrobinie szczęścia detektyw Littlemore znajdzie dowody świadczące o winie Banwella i go aresztuje.
- Jakie dowody?

Opowiedziałem jej o wycieczce do kesonu. Dodałem, że może nawet w tej chwili detektyw Littlemore potwierdza, iż rzeczy z kufra należały do panny Riverford, a to wystarczyłoby, żeby zamknąć Banwella w areszcie. Może nawet już go tam wsadził.

- Szczerze w to wątpię - powiedziała Nora, zamykając oczy. - Niech mi pan opowie coś jeszcze.
- Co?
- Cokolwiek, byle nie było związane z Georgeem Banwellem.

W rezydencji Actonów przy Gramercy Park matka przeszukiwała dokładnie pokój Nory. Jego właścicielka zniknęła. Mildred Acton posłała panią Biggs do parku, żeby sprawdzić, czy córka się tam nie wybrała, ale służąca wróciła z niczym. Myśl, że córka wyprowadziła ją w pole, przyprawiała panią Acton o wielkie wzburzenie. Najwyraźniej dziewczyna była obłąkana, a w dodatku niegodziwa. Pani Acton była świadkiem znalezienia papierosów i kosmetyków w sypialni córki. Co jeszcze w niej ukrywała?

Mildred Acton nie znalazła niczego, co nadawałoby się do konfiskaty, dopóki nie zajrzała pod poduszkę - tam, ku swojemu przerażeniu, zobaczyła wielki nóż kuchenny.

Odkrycie to wywołało dziwną reakcję pani Acton. Przemknęła jej przed oczami seria krwawych obrazów, wśród których znalazło się wspomnienie z porodu jej jedyne dziecko, a to przypomniało jej z kolei, że od tamtego dnia ona i jej mąż sypiają osobno. Chwilę później ociekające krwią sceny zniknęły i pani Acton właściwie o nich zapomniała; pozostawiły ją jednak w dość nieokreślonym nastroju. Wypełniło ją poczucie odpowiedzialności za córkę i postanowiła koniecznie ją chronić, odniosła więc nóż do kuchni.

Pani Acton chciałyby, żeby jej mąż jakoś zareagował. Pragnęła, żeby nie zamykał się na całe dni w swojej pracowni w centrum miasta albo żeby nie jeździł na wieś po to, by wyłącznie grać w polo. To Harcourt tak straszliwie zepsuł Norę. Zresztą Harcourt wszystko dookoła psuł. Gdyby nie odziedziczył całkiem pokaźnej fortuny po ojcu, skończyłyby w przytułku dla ubogich. Mildred wielokrotnie mu to powtarzała.

Pani Acton uznała, że musi natychmiast zatelefonować do doktora Sachsa i zamówić sobie elektromasaż. Prawda, że była u niego wczoraj, a każdy zabieg kosztował majątek, ale czuła, że bez masażu po prostu nie przeżyje. Doktor Sachs był doskonałym fachowcem. Oczywiście, byłoby o wiele lepiej, gdyby znalazła chrześcijanina, który wykonywałby elek-tromasaże z równą biegłością. Ale czyż wszyscy wokół nie powtarzali, że żydzi są najlepszymi lekarzami?

Poczułem w głowie kompletną pustkę, gdy Nora poprosiła, żebym opowiedział jej coś ciekawego. Na szczęście trwało to zaledwie chwilę.

- Wczoraj w nocy rozwiązałem zagadkę „Być albo nie być”.
- Nie wiedziałam, że to problem wymagający rozwiązania.
- Wymagał, i rozwiązania szukano od wieków. Nikt go jednak nie znalazł, ponieważ zawsze sądzono, że „nie być” oznacza umrzeć.
- Czyżby nie oznaczało?
- Otóż ten sposób rozumowania nastręcza pewien problem. Cały monolog przyrównuje „nie być” do działania: „nie być” to chwycić za broń, dokonać zemsty i tak dalej. Gdyby więc „nie być” miało oznaczać „umrzeć”, śmierć należałoby zrównać z działaniem, które z pewnością jest atrybutem życia. Jakim więc cudem działanie znalazło się po stronie śmierci? Odpowiedź na to pytanie pozwala wyjaśnić, dlaczego dla Hamleta „być” znaczy „nie działać”. Wtedy da się rozwiązać prawdziwą zagadkę: dlaczego Hamlet nie podejmuje działania, dlaczego jest sparaliżowany tak bardzo długo? Ale chyba panią zanudzam. Przepraszam.
- Ależ skąd, wcale mnie pan nie nudzi. Tylko że „nie być” może oznaczać wyłącznie śmierć - stwierdziła Nora. - „Nie być” znaczy... - wzruszyła ramionami - nie być.

Dotychczas leżałem na kocu. Teraz usiadłem.

- Nie. Znaczą tak. Idzie o to, że „nie być” ma także inne znaczenie. Przeciwnością bytu jest nie tylko śmierć. Przynajmniej dla Hamleta. „Nie być” znaczy także „wydawać się”. A więc udawać.
- Udawać kogo?
- Po prostu udawać - odparłem, podnosząc się z koca
- sprawiać wrażenie. Podpowiedź znajduje się na początku sztuki, kiedy Hamlet w rozmowie z matką wyznaje, że nie wie, co to znaczy „sprawiać wrażenie”. Zastanówmy się! Dania jest przeżarta zepsuciem. Wszyscy powinni płakać po zgonie jego ojca. Zwłaszcza matka Hamleta powinna być w żałobie pogrążona. On sam zaś powinien zasiąść na tronie. Tymczasem Dania świętuje z powodu ślubu jego matki. I to z kim?! Ze zniechęconym stryjcem, który przejmuje berło królestwa.

Zacząłem chodzić w kółko i przyznaję ze wstydem, wyłamywałem sobie palce tak silnie, że aż strzelały.

- Najbardziej boli Hamleta pozorowany smutek - ciągnąłem. - Wszyscy udają pogrążonych w żałobie, nosząc czarne stroje. Tymczasem w rzeczywistości jak zwierzęta zabawiają się w łóżku i nie mogą się doczekać, kiedy zasiądą do weselnej uczyty. Hamlet nie chce należeć do ich świata. Nie chce sprawiać wrażenia, udawać. Chce być. Potem się dowiaduje, że jego ojciec został zamordowany, i przysięga zemstę. Ale od tej chwili sam wkracza do świata pozorów. Najpierw udaje szalonego. Udaje, proszę zauważyć - powiedziałem z naciskiem. - Potem zadziwiony słucha, jak aktorzy „szczerze” oplakują Hekubę. Jeszcze później sam ich instruuje, co mają przekonywająco udawać. Pisze nawet dla nich tekst, który mają wygłosić ze sceny. Oszukuje, że scena ta będzie balsamem dla duszy, podczas gdy w rzeczywistości ma ona na celu odtworzenie morderstwa, by zdeprimować stryja i zmusić go do przyznania się, że zabił ojca Hamleta.

Przerwałem wywód, po chwili jednak ciągnąłem dalej:

- Tak więc Hamlet wkracza w świat pozorów, ułudy, gry; dosłownie teatralnej. Wybór między być nie być nie jest wyborem między życiem a śmiercią. On rozumie ten dylemat jako być naprawdę albo coś udawać. Taką właśnie decyzję musi podjąć. Wydawać się znaczy grać, wcielać się w rolę. Takie właśnie jest rozwiązanie zagadki Hamleta. Zawsze mieliśmy je tuż przed nosem. Nie być znaczy udawać, a udawać znaczy grać. Dlatego być znaczy nie wchodzić w przypisaną sobie rolę. Stąd ten paraliż. Hamlet nie chciał udawać, a więc nie mógł działać. Gdyby chwycił za broń i pomścił śmierć ojca, wszedłby bowiem w rolę syna, a więc udawał zamiast być.

Zakończyłem krótki wykład i spojrzałem na moją jednoosobową publiczność.

- Rozumiem - powiedziała Nora. - Musiałby oszukiwać, żeby dopaść swojego wuja.

- Tak. Ale ma to bardziej uniwersalny wymiar. W każdym działaniu odgrywamy jakąś rolę. Działać to grać w teatrze życia. Nie bez powodu związane z teatrem słowa są wieloznaczne. Wymyślić coś znaczy stworzyć nową rzeczywistość, ale też dopuścić się mistyfikacji. Tworzyć coś znaczy dać początek nowemu bytowi, ale też spreparować. Sztuka to oszustwo, podobnie jak rzemiosło. Nie ma przed tym ucieczki. Jeśli chcemy przyjąć rolę w teatrze życia, musimy grać. Powiedzmy, że mężczyzna dokonuje psychoanalizy kobiety.

Przyjmuje więc i odgrywa rolę lekarza. Jeśli przekracza granice tej roli w dalszych z nią kontaktach, musi przyjąć inną rolę: męża, kochanka, przyjaciela. Cokolwiek wybierze. Możemy wybrać rolę, która nam najbardziej odpowiada. Ale na tym nasz wybór się kończy.

Nora patrzyła na mnie spod ściągniętych brwi.

- Ja też grałam. W kontaktach z panem.

Czasem tak się dzieje, że prawda wychodzi na jaw w środku innej sceny, gdy uwaga skupiona jest na czymś zupełnie innym. Wiedziałem, o czym mówi. Niewątpliwie chodziło jej o skrywanie fantazji erotycznych związanych z własnym ojcem, do których przyznała się nieopatrnie wczoraj, choć bardzo starała się je przede mną zataić ze zrozumiałych powodów.

- To moja wina - odparłem. - Nie chciałem usłyszeć prawdy. To samo działo się z moimi

odczuciami wobec Hamleta przez bardzo długi czas. Nie chciałem uwierzyć, że pogląd Freuda na zawarty w tej tragedii problem może być słuszny.

- Profesor Freud ma pogląd także na Hamleta? - zapytała.
- Tak. Uważa, że Hamlet chce... to znaczy żywi skryte pragnienie, by uprawiać seks z własną matką.
- Profesor Freud tak twierdzi? - wykrzyknęła oburzona.
- I pan mu wierzy? Cóż za obrzydliwość!
- To zaskakujące, że akurat pani reaguje w taki sposób.
- Dlaczego?
- Z powodu tego, co mi pani powiedziała wczoraj.
- Co takiego powiedziałam?
- Przyznała się pani do kazirodczych pragnień.
- Chyba pan oszalał!

Ściszyłem głos, ale mówiłem poważnie i surowo:

- Panno Acton! Przecież wprost przyznała pani wczoraj w parku, że była pani zazdrosna, gdy zobaczyła Clarę Ban-well ze swoim ojcem. Powiedziała pani, że zapragnęła być na miejscu...

Oblała się rumieńcem.

- Niech pan natychmiast przestanie! Owszem, powiedziałam, że patrzyłam na tę scenę z zazdrością. Tak, byłam zazdrosna! Ale nie o mojego ojca! To obrzydliwe! Ja byłam zazdrosna o Clarę!

Popatrzyliśmy na siebie. Teraz staliśmy obydwójce po przeciwnych stronach wełnianego koca. Małe wiewiórki, które dotychczas radośnie bawiły się obok, zamarły w bezruchu i przysłuchiwały się nam uważnie.

- Dlatego powiedziała mi pani, że jest nikczemna?
- Bo jestem - wyszeptała.
- Ale to nie jest nikczemne - zapewniłem. - Relatywnie.

Moja uwaga jej nie ubawiła. Dotknąłem jej policzka.

Spuściła wzrok. Delikatnie ująłem jej podbródek, uniosłem twarz i przybliżyłem do niej swoją. Odepchnęła mnie.

- Nie! - powiedziała.

Nie spojrziała mi w oczy. Odwróciła się plecami i zaczęła zbierać z ziemi naczynia i pakować je do kosza, po czym strzepnęła okruszki z koca. W milczeniu jechaliśmy z powrotem do stadniny, a potem wracali do domu.

Tak więc wszystkie moje skrupuły dotyczące wykorzystania słabości Nory wynikającej z przeniesienia prysły. Przyjąłem błędne założenie, że do przeniesienia w ogóle doszło, a oto dowiedziałem się, że jej skrywana żądza miała charakter saficki, a nie kazirodczy. Z zażenowaniem myślałem o własnej roli w tym wszystkim, choć była w niej jakaś logika. Z chwilą, gdy zrozumiałem prawdę, przestałem żywić przekonanie, że całując mnie, Nora widziała swojego ojca. Być może powinienem teraz dojść do wniosku, że zamiast moich czułyby usta Clary Banwell, ale taka refleksja nie przyszła mi do głowy.

W domu panowała całkowita cisza spowita nieruchomym ciepłem popołudniowego powietrza. Wewnątrz jednak było chłodno. I pusto. Zamknięte okiennice nie wpuszczały do środka letniego upału. Tak w każdym razie przypuszczałem. Nora pogrążyła się w zadumie i nadal nie odzywała się ani słowem. Zaprowadziła mnie do ośmiokątnej biblioteki, wspaniale udekorowanej drewnianymi płaskorzeźbami. Zamknęła za nami drzwi i wskazała mi fotel. Usiadłem, ona zaś przyklękła na podłodze naprzeciw mnie.

- Czy pamięta pan tę chwilę, gdy zobaczył mnie na policji? Kiedy nie mogłem mówić? - spytała, po raz pierwszy przerywając milczenie od czasu, gdy odepchnęła mnie nad wodą.

Nie potrafiłem określić wyrazu jej twarzy. Dostrzegałem niewinność i skrucę jednocześnie.

- Oczywiście - powiedziałem.

- Nie straciłam wtedy głosu.

- Słucham?

- Udawałam.

Próbowałem nie pokazać po sobie, jak bardzo sucho zrobiło mi się w ustach.

- Dlatego następnego ranka już pani do mnie przemówiła.

Skinęła głową.

- Ale po co?

- Jeszcze amnezja.

- Co z amnezją?

- Też nie była prawdziwa.

- Nie cierpiała pani na amnezję?

- Też udawałam.

Patrzyła na mnie swoimi niebieskimi oczami, a ja miałem dziwne wrażenie, że widzę przed sobą kogoś, kogo dopiero w tej chwili poznałem. Próbowałem dostosować to, co o niej wiedziałem i sądziłem, do tych rewelacji. Usiłowałem ponownie przeanalizować wszystkie rozmowy, które odbyliśmy w ciągu tego tygodnia. Żadną miarą jednak nie potrafiłem ułożyć z nich spójnej całości.

- Po co? - zapytałem zrezygnowany.

Potrząsnęła tylko głową i zagryzła dolną wargę.

- Próbowала pani zniszczyć Banwella? - zapytałem.

- Chciała pani oskarżyć go o napaść?

- Tak.

- Ale to kłamstwo.

- Tak. Reszta natomiast jest prawdą niemal w całości.

Zdawała się prosić o zrozumienie. Ale nie znajdowałem

go w sobie. Nic dziwnego, że mi oświadczyła, iż przeniesienie jej nie dotyczy. Przecież nie poddałem jej żadnej psychoanalizie!

- Zrobiła pani ze mnie durnia - powiedziałem.

- Nie miałam takiego zamiaru. Chciałam... to jest takie...

- Wszystko, co mi pani powiedziała, było kłamstwem

- przerwałem jej w pół słowa.

- Nie. On naprawdę próbował mnie posiąść, gdy miałam czternaście lat. Potem ponownie, kiedy miałam lat szesnaście. I naprawdę widziałam mojego ojca z Clarą. Tutaj, właśnie w tej bibliotece.

- Powiedziała mi pani, że widziała pani ojca i Clarę u Ban-wellów, w ich letniej rezydencji.

- Tak.

- Dlaczego pani kłamała także w tej kwestii?

- Nie kłamałam.

Myśli wirowały mi w głowie jak szalone. W tej sekundzie przypomniałem sobie, że letni dom jej rodziców znajduje się przecież w Berkshires w stanie Massachusetts. Nie byliśmy więc w domu jej rodziców, tylko w rezydencji Ban-wellów. Służący znali ją nie dlatego, że byli służącymi jej rodziców, tylko dlatego, że bywała tu częstym gościem. Rzeczywistość stała się nagle tak eteryczna, jakby za chwilę miała się ulotnić. Podniosłem się z fotela. Chwyciła mnie za rękę i patrzyła w oczy, nie wstając z podłogi.

- Sama sobie pani zrobiła to wszystko - powiedziałem.
- Sama okładała się pani batem, sama się pocięła i sama oparzyła.

Przecząco pokręciła głową.

Stańto mi przed oczami kilka scen z niedawnej przeszłości. Kiedy pomagałem jej wsiąść do powozu, podnosiłem ją z ziemi i ścisnąłem w talii. Nie zabołało jej to ani trochę. Kiedy ścisnąłem ją za gardło, by odzyskała wspomnienia, które wszystkie okazały się kłamstwem, drugą ręką trzymałem ją za krzyż. Również i wtedy nie skrzywiła się z bólu.

- Nie ma pani żadnych obrażeń. To było oszustwo. Namalowała pani sobie odniesione rany i potem nie pozwalała nikomu ich dotknąć. Nie było żadnego napadu na panią.

- Nie.
- Nie było napadu czy nie było to oszustwo?
- Nie - powtórzyła.

Chwyciłem ją za rękę. Stłumiła krzyk.

- Zadaję pani proste pytanie. Czy biczowanie to prawda? Wszystko mi jedno, kto to zrobił. Czy jakkolwiek mężczyzna, niekoniecznie Banwell, panią biczował? Tak czy nie? Proszę powiedzieć.

Potrząsnęła głową.

- Tak. Nie. Tak. Byłam biczowana tak mocno, że aż się bałam, że umrę.

Pewnie bym się ubawił tymi ciągłymi zmianami wersji wydarzeń, gdyby to wszystko nie zaczęło napawać mnie wstrętem.

- Proszę mi pokazać plecy - zażądałem.

Potrząsnęła głową.

- Wie pan, że to prawda. Przecież doktor Higginson panu mówił.
- Jego też pani wystrychnęła na dudka.

Chwyciłem górę jej sukienki i szarpnąłem silnie. Rozerwała się z tyłu na plecach. Materiał się zsunął, odsłaniając z przodu ramiona. Znów stłumiła krzyk, nie próbowała jednak się osłonić ani uciekać. Na ramionach nie dostrzegłem żadnych śladów. Również dekolt był biały jak alabaster. Obróciłem ją tyłem do siebie. Na plecach też niczego nie zauważyłem, ale kremowy, ciasno zasznurowany gorset nie pozwalał mi zajrzeć poniżej łopatek.

- Gorset też pan ze mnie zedrze? - zapytała.
- Nie. Dość już zobaczyłem. Wracam do miasta i pani wraca ze mną - zarządziłem. Przymuszczałnie

naprawdę powinna pojechać do tego sanatorium. W każdym razie wymagała pomocy, i na pewno nie mojej. Nie miałem też zamiaru ponosić odpowiedzialności za ukrywanie jej w letniej rezydencji Banwellów. - Odwiozę panią do domu.

- Doskonale - powiedziała.
- Nie boi się już pani zamknięcia w szpitalu psychiatrycznym? To było kolejne kłamstwo?
- Nie, to prawda. Muszę jednak stąd wyjechać.
- Bierze mnie pani za kompletnego idiotę? - zapytałem, wiedząc, że odpowiedź może być tylko potwierdzeniem.
- Gdyby groziło pani zamknięcie w szpitalu, nie chciałaby pani się stąd ruszyć!
- Nie mogę zostać tu na noc. Banwell się o tym dowie. Służący pewnie wyślą do niego depezę, gdy wrócą wieczorem do miasta.
- I co z tego?
- Przyjedzie tu, żeby mnie zabić.

Roześmiałem się kpiąco. Gdy na mnie spojrzała, utkwilem wzrok w jej kłamliwych niebieskich oczach najgłębiej, jak potrafiłem. Albo wierzyła w to, co mówi, albo w życiu nie spotkałem sprytniejszego kłamczucha. Wiedziałem już jednak, że w grę wchodzi wyłącznie ta druga ewentualność.

- Znowu robi pani ze mnie idiotę. Ale tym razem nie dam się nabrać. Banwell wie, że wskazała go pani jako napastnika. Być może ma pani jakieś powody, żeby się go bać, mimo że wymyśliła pani napad na siebie. Ale tym bardziej powinienem zabrać panią do domu.
- Nie mogę jechać w takim stanie. Poszukam dla siebie czegoś w garderobie Clary. Poczeka pan na mnie?

Kiedy zbliżała się do drzwi, krzyknąłem za nią:

- Po co mnie pani tutaj przyciągnęła?
- Żeby powiedzieć panu prawdę - odparła, po czym otworzyła drzwi i po marmurowych schodach pobiegła na górę.

Na szczęście nikt ze służby jej nie widział, bo pewnie natychmiast wezwaliby policję, oskarżając mnie o gwałt.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Nie mówię, że ją zabił, panie burmistrzu. Ale twierdzę, że coś ukrywa - zapewnił Littlemore burmistrza McClellana, siedząc w jego gabinecie. Był piątek po południu. Mówił o Georgeu Banwellu.
- jakie ma pan dowody? - zapytał burmistrz rozdrażniony. - Tylko niech się pan spieszy. Mogę panu poświęcić najwyżej piętnaście minut.

Littlemore zastanawiał się przez chwilę, czy powiedzieć burmistrzowi o kufrze, który razem z Youngerem znalazł w kesonie, postanowił się jednak wstrzymać, ponieważ analiza odkrytych w nim rzeczy nie przywiodła go jeszcze do żadnych konkretnych wniosków i ponieważ wcześniej dostał zakaz wchodzenia do kesonu.

- Właśnie otrzymałem meldunek od Gitlowa z Chicago, panie burmistrzu. Skontaktował się z tamtejszą policją, przejrzał rejestry ludności, zaglądał do różnych spisów, przepytывał mieszkańców. Ona nie pochodziła z Chicago, panie burmistrzu. Nikt tam nie słyszał o Elizabeth Riverford.

McClellan spojrział ostro na detektywa.

- Byłem z Georgem Banwellem w niedzielę wieczorem. Trzykrotnie już to panu powtarzałem.
- Wiem, panie burmistrzu. Jestem też pewien, że Elizabeth Riverford nie mogła być z wami tam, gdzie byliście, w przeciwnym razie pan by o tym wiedział. Czy mam rację?
- Co takiego?
- Jestem pewien, że pan Banwell nie zabrał wtedy ze sobą panny Riverford w tajemnicy przed panem, nie zamordował jej około północy, a później nie przewiózł zwłok do miasta i nie podrzucił ich w jej apartamencie, pozorując, że tam właśnie dokonano morderstwa. Czy rozumie pan, o co pytam, panie burmistrzu?

- Dobry Boże! Detektywie Littlemore!

- Ja po prostu nie wiem, panie burmistrzu, gdzie byliście panowie tamtej nocy, jak pan Banwell się tam dostał i czy przez cały czas byliście panowie razem.

McClellan wziął głęboki oddech.

- Proszę bardzo. W niedzielę wieczorem jadłem kolację z Charlesem Murphym w hotelu Grand View niedaleko zajazdu Sarnac Inn. Na kolację zaprosił nas właśnie pan Ban-well. Oprócz nas był tam także pan Haffen.

Littlemore przyjął tę informację z zaskoczeniem. Charles Murphy był szefem Tammany Hall. Louis Haffen, członek Tammany, był burmistrzem gminy Bronx jeszcze do ubiegłej niedzieli.

- Przecież to na pana osobisty wniosek gubernator Hughes usunął Haffena ze stanowiska.

- Hughes też tam był. Czekał na nas u pana Colgate'a wraz z gubernatorem Fortem.
- Nie rozumiem, panie burmistrzu.
- Pojechałem tam, detektywie Littlemore, żeby się zapoznać z warunkami, które postawiłby Murphy za poparcie mojej kandydatury w wyborach na burmistrza.

Littlemore milczał. Zaskoczyło go to jeszcze bardziej. Wszyscy wszak wiedzieli, że burmistrz zdeklarował się jako wróg Tammany Hall oraz poprzysiągł, że nie wejdzie w żadne układy z Murphym i jemu podobnymi jegomościami.

- George mnie namówił na to spotkanie - ciągnął McClellan. - Argumentował, że po dymisji Haffena Murphy będzie bardziej skłonny do negocjacji. I był. Zażyczył sobie, żebym zainstalował Haffena w ratuszu na stanowisku rewidenta księgowego. Nie od razu, ale za miesiąc albo dwa. Gdybym się zgodził, sędzia Gaynor zrezygnowałby z ubiegania się o fotel burmistrza i kandydatem Tammany Hall stałbym się ja, co zapewniłoby mi zwycięstwo w wyborach. zaproponował, że podejmie takie zobowiązanie w obecności gubernatora, jeśli tylko dam mu słowo, że na jego propozycję przystanę.

- I co pan na to, panie burmistrzu?

- Powiedziałem mu, że moim zdaniem pan Haffen nie potrzebuje żadnej nowej posady, skoro na poprzedniej zdefraudował z kasy miejskiej dobre ćwierć miliona dolarów. George był rozczarowany. Nalegał, żebym przyjął tę propozycję. Niewątpliwie Banwell skorzystałby na naszej przyjaźni, ale zapracował sobie na wszystko, co mu zapłaciła miejska kasa. W tym tygodniu przekazałem mu ostatnią ratę wynagrodzenia i nie dałem mu ani grosza więcej, niż zostało przewidziane w umowie. A jeśli chodzi o pańską hipotezę, to Banwell nie mógłby zabić panny Riverford w Sarnac Inn. Z restauracji w Grand View wyszliśmy o dziewiątej trzydzieści, może o dziesiątej, zaszliśmy na chwilę do pana Colgatea i po tej wizycie razem wyruszyliśmy z powrotem do Nowego Jorku. Moim samochodem. Na Manhattan dotarliśmy o siódmej rano. Jestem pewien, że tamtej nocy Banwell ani razu nie zniknął mi z oczu na dłużej niż pięć minut. Nie mam pojęcia, dlaczego pomylił miejsce zamieszkania rodziny Riverfordów, jeśli oczywiście pomylił. Może miał na myśli, że Riverford mieszka w którymś z miast niedaleko Chicago?

- Sprawdzamy to obecnie, panie burmistrzu.

- W każdym razie na pewno nie mógł jej zamordować.

- Nie sądzę, że to on, panie burmistrzu. Chciałem go tylko wykluczyć z kręgu podejrzanych. Ale jestem już blisko rozwiązania zagadki, panie burmistrzu. Mam trop, który prowadzi wprost do mordercy

- Wielkie nieba, Littlemore! Teraz pan to mówi? Kto jest mordercą?

- Jeśli wolno, panie burmistrzu, chciałbym się jeszcze wstrzymać z jego wskazaniem. Dzisiaj w nocy się okaże, czy mój trop jest się prawdziwy.

Burmistrz przystał na prośbę Littlemorea. Zanim ten odszedł, wręczył mu kartkę z odręczną notką.

- To mój domowy numer telefonu. Jak tylko pan cokolwiek odkryje, proszę do mnie natychmiast

telefonować. Bez względu na porę! - polecił.

O dwudziestej trzydzięci w piątek Zygmund Freud usłyszał pukanie do drzwi hotelowego apartamentu. Na białą koszulę z krawatem i wizytowe spodnie nałożył płaszcz kąpielowy i otworzył drzwi. Zobaczył w nich młodego, wysokiego mężczyznę, który wyglądał na znużonego nie tylko fizycznie, ale i psychicznie.

- Younger, znalazł się pan wreszcie! Wygląda pan okropnie.

Stratham Younger nie odpowiedział. Freud natychmiast

zauważył, że młodemu lekarzowi przydarzyło się coś złego, ale niemal do cna wyczerpał już pokłady współczucia. Stan stojącego w progu młodzieńca wydał mu się przejawem kompletnego chaosu, w którym pograżyło się dosłownie wszystko, odkąd postawił nogę na lądzie w Nowym Jorku. Czy każdy Amerykanin musi być wplątany w jakąś awanturę? Czy przynajmniej jeden nie mógłby wieść uporządkowanego życia i mieć poukładanych wszystkich spraw?

- Przyszedłem zapytać, jak się pan czuje, profesorze.

- Oprócz tego, że właśnie straciłem najważniejszego wyznawcę mojej teorii, wszystko u mnie w jak najlepszym porządku, dziękuję - odparł Freud. - Prawdopodobne odwołanie moich wykładów na pańskim uniwersytecie daje mi oczywiście kolejny powód do satysfakcji. Chyba mogę stwierdzić, zważywszy na wszelkie okoliczności, że podróż do pańskiego kraju nie mogła być bardziej udana.

- Czy Brill skontaktował się z redakcją „Timesa”? Czy teksty wywiadu i artykułu są autentyczne, panie profesorze?

- Tak, Jung udzielił tego wywiadu.

- Jutro udam się osobiście do rektora Halla, panie profesorze. Czytałem ten artykuł. To stek bzdur, plotki wysane z palca. Jestem pewien, że zdołam przekonać rektora, żeby pańskich wykładów nie odwoływał z ich powodu. A Jung w wywiadzie nie mówi niczego, co mogłoby pana skompromitować.

- Nie mówi niczego, co mogłoby mnie skompromitować? - Freud zaśmiał się ironicznie, przywołując w pamięci ostatnią wymianę zdań z Jungiem. - Odrzuca kompleks Edypa, kwestionuje seksualną etiologię chorób, a nawet zaprzecza, by doświadczenia z okresu dzieciństwa mogły stanowić przyczynę neurozy. Wasze medyczne autorytety zgadzają się z nim raczej niż ze mną. Pański rektor Hall najwyraźniej zamierza pójść ich śladem.

Po tych słowach zamilkli obydwaj, każdy po innej stronie progu. Freud nie zaprosił gościa do środka. Ciszę przerwał w końcu Younger.

- Miałem dwadzieścia dwa lata, gdy po raz pierwszy zetknąłem się z pańską pracą, profesorze. Od razu wiedziałem, że po publikacji tego tekstu świat nigdy nie będzie już taki sam. Pańskie idee są największym dokonaniem w tym stuleciu. Ameryka ich pożąda. Jestem tego pewien, panie profesorze!

Freud już otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale gorzkie słowa zamarły na jego wargach. Rozpogodził się nieco.

- Dobry z pana chłopiec, Younger - stwierdził z westchnieniem. - Gdy mowa o pożądaniu, to nie stawiałbym na to zbyt dużych pieniędzy. Spragniony napije się wszystkiego. A skoro mowa o picciu, to dzisiaj wieczorem znowu idziemy na kolację do Brillów. Ferenczi zaraz po mnie zejdzie. Dołączy pan do nas?
- Nie mogę - odparł Younger. - Na pewno zasnąłbym przy stole. Oczy po prostu zamykają mi się same.
- Co, na Boga, robił pan przez cały ten czas, Younger?
- Trudno byłoby mi w kilku słowach opisać dwadzieścia cztery godziny, które właśnie upłynęły. Ostatnie z nich spędziłem z panną Acton.
- Ach, tak - powiedział Freud. Wiedział, że Younger chce z nim porozmawiać, ale nie miał na to ochoty ani siły; nie zaprosił go do środka. Odczuwał takie samo wycieńczenie jak, na co wskazywał wygląd, młody doktor. - Opowie mi pan o tym jutro.
- Dobrze, porozmawiamy jutro - odparł Younger i odwrócił się, chcąc odejść.
- Tylko jedna uwaga. Już wcześniej miałem panu o tym powiedzieć - rzucił za nim Freud, świadom jego rozczarowania. - Musimy się pochylić nad Clarą Banwell.
- Co pan przez to rozumie, profesorze?
- Życie rodzinne koncentruje się zwykle wokół osoby, która jest najbardziej poszkodowana. Wiemy, że Nora praktycznie zastąpiła własnych rodziców Banwellami. Pytanie brzmi, która osoba w tej konstelacji doznała największego psychicznego urazu.
- Sądzi pan, że może to być Clara Banwell?
- Musimy przyjąć założenie, że jest to Nora. Pani Banwell to na pewno frapująca postać, jak każda osobowość narcystyczna. Ale nie mam wątpliwości, że mężczyźni traktowali ją niewłaściwie.
- Tak było, panie profesorze. Wyznała mi to wczoraj.
- U Jelliffa?
- Nie. Rozmawiałem z nią ponownie w rezydencji Ac-tonów.
- Rozumiem - odparł Freud, unosząc brwi. - Spodziewam się, że to właśnie ona uświadomiła Norę, że to, co robiła z jej ojcem w bibliotece, nazywa się stosunkiem oralnym.
- Nie rozumiem.
- Zapewne pan pamięta - Freud zamknął oczy i przytoczył słowo w słowo naszą rozmowę: - Czy nie widzi pan niczego dziwnego w oświadczeniu panny Acton, że gdy widziała ojca i panią Banwell w bibliotece, nie miała pojęcia, co oni robią? Większość czternastoletnich dziewcząt w Ameryce jest jeszcze niedoświadczona, panie profesorze. Domyślam się, ale nie o to mi chodzi. Z jej wypowiedzi wynikało, że teraz już wie, co się wtedy działo, prawda?

Younger patrzył na niego w osłupieniu.

- Ma pan pamięć fonograficzną, profesorze? - zapytał, nie mogąc wyjść z podziwu.
- Tak. To bardzo przydatna umiejętność w psychoanalizie. Powinien ją pan ćwiczyć. Kiedyś potrafiłem przypomnieć sobie rozmowę po upływie całych miesięcy, teraz pamięci starcza mi ledwie na kilkanaście dni. W każdym razie jestem przekonany, że to właśnie Clara Banwell wyjaśniła Norze, jak przebiega stosunek oralny. Spodziewam się, że dopuściła dziewczynę do konfidencji, zapewniając sobie dzięki temu jej całkowitą sympatię. Inaczej uczucia Nory do Clary Banwell nie dałoby się wyjaśnić.
- Uczucia Nory do Clary Banwell... - powtórzył oniemiały Younger.
- Niech się pan tylko nad tym zastanowi, chłopcze! Zamiast nienawidzić Clary Banwell, bo przecież takie właśnie uczucie powinna dla niej żywić, Nora zaakceptowała w tej kobiecie substytut matki. Oznacza to, że Clara Banwell znalazła sposób, żeby stworzyć z tą dziewczyną wyjątkową więź. To nie lada osiągnięcie, zważywszy na wszystkie okoliczności. Jestem niemal pewien, że powierzyła jej sekret swoich erotycznych podbojów. To ulubiony sposób kobiet na zacieśnianie relacji i dochodzenie do zażyłości.
- Rozumiem - powiedział Younger zimno.
- Naprawdę? Niewątpliwie utrudniło to sytuację Norze. Oprócz tego świadczy o braku skrupułów pani Banwell. Kobieta nie powierza takich sekretów dziewczynie, jeśli chce, by ta pozostała niewinna. Widzę w każdym razie, że chce mi pan coś powiedzieć, ale jest pan za bardzo zmęczony i rozmowa teraz nie przyniosłaby wiele dobrego. Pomówimy jutro, Younger. A teraz proszę odpocząć.

Smith Ely Jelliffe śpiewał arię, wkraczając do rezydencji Balmoral w piątek po dwudziestej trzeciej. Wręczył odźwiernemu hojny napiwek i poinformował go niepytany, że spędził cudowny wieczór w Metropolitan w towarzystwie kobiety, która doskonale wiedziała, czym należy się zajmować, będąc w operze. Twarz mu promieniała. Widać było, że jest bardzo zadowolony z samego siebie.

Jego radość przygasła nieco, gdy drogę do windy zagroził mu młody mężczyzna w znoszonej marynarce, a niemal całkiem posmętniał, gdy ów młody mężczyzna przedstawił się jako policyjny detektyw.

- Jest pan lekarzem Harryego Thawa, prawda, doktorze Jelliffe? - zagadnął go Littlemore.
- Wie pan, która jest godzina, dobry człowieku? - odparł Jelliffe.
- Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Pan Thaw znajduje się pod moją opieką. Wszyscy chyba o tym wiedzą. Szeroko rozpisywała się na ten temat prasa.
- Czy był pod pańską opieką także w ubiegły weekend, gdy przebywał w Nowym Jorku? - kontynuował przesłuchanie Littlemore.
- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Z całą pewnością pan nie wie - rzucił detektyw z ironią, przywołując gestem wyzywająco ubraną dziewczynę, która siedziała na skórzanej sofie w drugim końcu marmurowego holu. Greta podeszła do nich i detektyw zapytał, czy rozpoznaje Jelliffę.

- To na pewno on - stwierdziła dziewczyna. - Doktor Smith. Przyjechał z Harrym i razem z nim odjechał.

Tego popołudnia, jeszcze przed wizytą u burmistrza, detektyw ponownie przejrzał protokół z procesu pana Thawa i odkrył, że o jego niepoczytalności zaświadczył przed sądem doktor Jelliffe. Gdy przeczytał, że ma na imię Smith, skojarzył zebrane informacje.

- Więc jak, doktorze Jelliffe? - zapytał Littlemore. - Powie pan prawdę tutaj czy mamy pojechać na komisariat?

Nie musiał czekać długo.

- To nie była moja decyzja. To wszystko zorganizował Dana - wyrwało się Jelliffe'owi.

Littlemore zaproponował, by Jelliffe zaprosił ich do swojego apartamentu. Gdy weszli do urządzonego z przepychem holu, detektyw aż zagwizdał z podziwu.

- No, no... ma pan do stracenia naprawdę wiele - powiedział. - A wracając do sprawy, to pan przywiózł pana Thawa do Nowego Jorku w ubiegły weekend, prawda? Jak się to panu udało? Przekupił pan strażników?

- Tak. Ale to Dana tak postanowił, nie ja - powtórzył Jelliffe. Opadł ciężko na krzesło przy stole w jadalni. - Zrobiłem to, co kazał mi zrobić.

Littlemore spojrzał na niego z góry.

- Czy to pan wpadł na pomysł, żeby go zabrać do Susie?

- Thaw wybrał to miejsce, nie ja. To było konieczne z medycznego punktu widzenia, detektywie. Nawet zdrowy człowiek oszalałby w miejscu takim jak Matteawan, w otoczeniu wariatów i pozbawiony możliwości zaspokojenia zwykłych potrzeb fizycznych.

- Ale przecież Thaw jest chory psychicznie, prawda? Przecież właśnie dlatego znalazł się w domu wariatów?

-Nie jest szalony. Ma poważnie nadwerężone nerwy

- sprostował Jelliffe. - Oraz ogromny temperament. Z zamknięcia takiego człowieka nie wyniknie nic dobrego.

- Szkoda, że podczas procesu powiedział pan ławie przysięgłych zupełnie co innego - zauważył Littlemore. - Nie po raz pierwszy przywiózł pan go do Nowego Jorku. Był tutaj z panem jakiś miesiąc temu, czy tak?

- Nie, przysięgam, to był pierwszy i ostatni raz - zarzekał się Jelliffe.

- Czyżby? Jak w takim razie Thaw poznał Elsie Sigel?

Jelliffe zapewnił, że nie miał pojęcia o istnieniu Elsie Sigel,

dopóki nie przeczytał o niej w gazetach wczoraj po południu.

- Wiedział pan, doktorze, co Thaw będzie robił dziewczętom u Susie? - pytał dalej Littlemore. - Czy to też było konieczne z medycznego punktu widzenia?

Jelliffe zwiesił głowę.

- Słyszałem o jego skłonnościach - mruknął pod nosem.

- Sądziłem jednak, że udało się go z nich wyleczyć.

- Akurat! - rzucił detektyw, patrząc z obrzydzeniem na wypielęgnowane dłonie rozmówcy spoczywające na olbrzymim brzuchu. - Zanim tamtej nocy zawiózł pan Thawa do Susie, przywiózł go pan tutaj, do swojego apartamentu. Jak długo tu przebywał? Czy cały czas miał go pan na oku, czy może wychodził? Co się wydarzyło, kiedy u pana gościł?

- Tutaj? - zapytał Jelliffe zdziwiony i zmieszany. - Za nic w świecie nie przyprowadziłbym tego człowieka do swojego domu!

- Niech pan się nie bawi ze mną w kotka i myszkę, Smith. Mam dość dowodów, by oskarżyć pana o współudział w morderstwie. I to podwójnym.

- Morderstwie? Wielki Boże! - wykrzyknął Jelliffe. - Niemożliwe. Przecież nikt nikogo nie zamordował!

- W ubiegłą niedzielę w tym budynku zamordowano młodą kobietę. W nocy, kiedy w pańskim apartamencie przebywał Thaw.

Jelliffe pobladł.

- Nie - powiedział. - Thaw przyjechał do Nowego Jorku w sobotę wieczorem, a w niedzielę rano osobiście odwiozłem go pociągiem do Matteawan. Był tam w niedzielę i poniedziałek. Niech pan zapyta Dany Moze pan też sprawdzić dokumentację medyczną szpitala. Znajdzie pan w niej odpowiedni wpis.

Zeznanie zrozpaczonego Jelliffe'a wydawało się szczere, Littlemore miał jednak dowody, które nie zgadzały się z jego zapewnieniami.

- Świetnie panu poszło, Smith. Ale pół tuzina dziewcząt może poświadczyć, że pan i Thaw byliście u Susie w zeszłą niedzielę. Czy tak, Greto?

- Pewnie. Około drugiej nad ranem w niedzielę. Tak jak panu mówiłam.

Littlemore zamarł.

- Zaraz, zaraz! Masz na myśli noc z soboty na niedzielę czy niedzielną?
- W sobotę w nocy albo w niedzielę rano - odparła Gre-ta. - Co za różnica?
- Muszę mieć pewność, Greto. Kiedy przyszedł do was Thaw? W sobotę w nocy czy w niedzielę w nocy?
- W sobotę w nocy - odpowiedziała dziewczyna. - W niedzielę nigdy nie pracuję nocą.

Po raz kolejny detektyw Littlemore poczuł się wystrychnięty na dudka. Thaw wydawał się mu całkowitym pewniakiem. Wszystko na to wskazywało. Ale Thaw był u Susie w sobotę, a nie w niedzielę w nocy. A więc w noc poprzedzającą morderstwo.

- Sprawdzę papiery w szpitalu - zwrócił się do Jelliffa.
- Lepiej, by to, co pan powiedział, okazało się prawdą. Idziemy, Greto!

Jelliffe przełknął ślinę i wyprostował się na krześle.

- Chyba jest mi pan winien przeprosiny, detektywie - powiedział.
- Możliwe. Ale jeśli poprosi pan mnie o nie raz jeszcze, odsiedzi pan swoje w Sing Singu za współudział w ucieczce więźnia. Że nie wspomnę o zakazie wykonywania zawodu, który dostanie pan na pewno.

Drugą noc z rzędu Carl Jung spacerował pod kościołem kalwaryjskim przy Gramercy Park. Tym razem miał w kieszeni rewolwer. Zapewne dla dodania sobie odwagi. Równym krokiem maszerował wzdłuż żelaznego ogrodzenia okalającego drzewa od strony Gramercy Park South i podszedł wprost do umundurowanego policjanta stojącego przed domem Ac-tonów. Ten zapytał, czego sobie życzy, i usłyszał w odpowiedzi, że Jung szuka klubu, który jak mu powiedziano, znajduje się gdzieś w pobliżu.

- Na pewno chodzi panu o klub Playersa - domyślił się policjant. - To kilka domów stąd. Pod numerem szesnastym.

Po chwili Jung zastukał do drzwi domu pod szesnastym. Powołał się na Jelliffe'a i wpuszczono go do środka. Rozbrzmiewała tam muzyka i radosny świergot kobiet. Ledwie znalazł się w środku, poczuł się jak głupiec! Dwukrotnie doszedł prawie pod same drzwi i zawrócił! Jak mężczyzna jego postury mógł się obawiać wejścia do domu, w którym można kupić sobie kobietę?

Szatniarka powitała go w przedpokoju ze śmiechem, ale wpadła w zakłopotanie na widok rewolweru. Wręczył go jej z prawdziwie europejską grzecznością, wyjaśniając, że zobaczywszy policjanta kilka domów dalej, podejrzewał, iż popełniono tu gdzieś morderstwo.

- A ja przez kilka sekund myślałam, że to pan jest mordercą - roześmiała się dziewczyna.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem i zamknęły się frontowe drzwi klubu. Niemal w tej samej chwili w cieniu kościoła kalwaryjskiego wysiadł z taksówki kolejny mężczyzna. Auto odjechało, a on zatrzymał się prawie w tym samym miejscu, w którym chwilę wcześniej stał Jung. W ciemnościach połyskiwał biały krawat na jego szyi. Mimo utrzymującego się upału miał na sobie płaszcz, twarz

zakrywał mu kapelusz, który nałożył na głowę, a na dłoniach miał skórzane rękawiczki. Stał przez chwilę nieruchomo w miejscu, w którym policjant pilnujący domu Actonów nie mógł go dostrzec.

Gdy tylko zatrzasnęły się drzwi za policjantem i towarzyszącą mu dziewczyną, Smith Jelliffe podszedł do telefonu, podniósł słuchawkę i kazał się połączyć ze szpitalem stanowym w Matteawan. Dopiero po piętnastu minutach udało mu się odnaleźć strażnika, którego uważał za swojego człowieka. Zaczął gorączkowo wydawać polecenia, strażnik szybko mu jednak przerwał.

- Za późno - stwierdził. - Już pojechał.

- Już pojechał?

- Tak. Trzy godziny temu.

Jelliffe odłożył słuchawkę. Trzęsącymi się rękami sięgnął po nią ponownie i wykręcił numer domowy Charlesa Dany mieszkającego przy Piątej Alei. Nikt nie odebrał. Dochodziła północ. Po sześciu sygnałach Smith Ely Jelliffe odłożył słuchawkę.

- Wielki Boże! - powiedział z ciężkim westchnieniem.

Po wyjściu z rezydencji Balmoral na chodniku po drugiej stronie ulicy Littlemore pożegnał się z Gretą. Noc była tak samo parna jak przed kilkudziesięcioma minutami, gdy szli razem do luksusowego budynku.

- Jeśli pan chce, mogę zeznać, że przyszedł do nas w niedzielę - zaproponowała Greta, zanim się rozstali.

Littlemore nie zdołał powstrzymać śmiechu. Pokręcił przecząco głową i wyciągnął rękę, by zatrzymać przejeżdżającą taksówkę.

- Nie będzie pan szukał mojej Fannie? - zapytała dziewczyna ze smutkiem.

- Oczywiście, że będę jej szukał. I mam zamiar znaleźć

- odparł detektyw.

Kazał kierowcy zawieźć Gretę na Czterdziestą i dał mu dolara za kurs. Greta patrzyła na niego zaskoczona.

- Ale z ciebie pistolet! - powiedziała z podziwem. - A może chciałbyś się ze mną ożenić? Obydwoje jesteśmy rudzi.

Littlemore znowu się roześmiał.

- Przykro mi, złotko, ale jestem zajęty - odparł.

Greta pocałowała go w policzek. Kiedy taksówka odjechała, Littlemore odwrócił się i zobaczył stojącą tuż za nim

Betty Longobardi. Po drodze do miasta detektyw zaszedł do Longobardich i zostawił wiadomość, żeby Betty przysłała do Balmoralu, jak tylko wróci do domu.

- Lepiej, żebyś miał jakieś sensowne wyjaśnienie - powiedziała Betty.

Ale Littlemore niczego nie wyjaśniał. Poprowadził dziewczynę do służbowego samochodu, który zaparkował tuż obok i wyjął z bagażnika wypchany worek.

- Muszę ci pokazać kilka rzeczy - powiedział. - Niektóre z nich mogły należeć do panny Riverford. Tylko ty możesz je rozpoznać.

Littlemore wysypał zawartość worka do bagażnika. Przemokniętych ubrań nie dałoby się rozpoznać. Biżuteria i buty wydały się Betty znajome, ale nie miała pewności. W pewnej chwili zauważyła wyszywany cekinami rękaw, wystający z płataniny sukien. Z przemokniętego stosu wydobyła sukienkę i podniosła ją do światła latarni.

- To jej sukienka! Widziałam ją kiedyś w tej sukience! - wykrzyknęła.

- Jesteś prawdziwym brylantem! - ucieszył się Littlemore. - Jesteś... zaraz, zaraz. Czy wśród tych rzeczy jest coś, w co kobieta mogłaby się ubrać w ciągu dnia?

- To nie, to nie - powiedziała Betty z podniesionymi brwiami, przerzucając leżące w beładzie suknie - i to też nie. Nie, Jimmy. To stroje wieczorowe.

- Stroje wieczorowe - powtórzył detektyw powoli.

- A bo co? - zdziwiła się Betty.

Littlemore nie odpowiedział, pogrążony w myślach.

- Co się stało, Jimmy? - niecierpliwiła się Betty.

- W takim razie pan Hugel...

Przerwawszy w pół zdania, detektyw zaczął się nerwowo poklepywać się po kieszeniach. Wyjął kopertę, zawierającą kilka fotografii. Jedną z nich pokazał Betty.

- Poznajesz tę twarz? - zapytał.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Ale dlaczego...

- Wracamy na górę - przerwał jej Littlemore. Z bagażnika auta wyjął dziwny przedmiot, który wyglądał jak reflektor samochodowy umocowany na świeczniku. Była to latarka elektryczna. Poprowadził Betty do Balmoralu i windą wjechali na ostatnie piętro w Skrzydle Alabastrowym.

- Ile panna Riverford miała wzrostu? - zapytał Littlemore w drodze na górę.

- Była trochę wyższa ode mnie - odpowiedziała Betty. Ona sama miała metr pięćdziesiąt osiem. - A przynajmniej wydawała się wyższa.

- Co masz na myśli?

- Zawsze chodziła na wysokich obcasach - wyjaśniła Betty. - Naprawdę wysokich obcasach. Chociaż nie była do nich za bardzo przyzwyczajona.

- A ile ważyła?

- Nie mam pojęcia, Jimmy! A dlaczego pytasz?

Korytarz na osiemnastym piętrze był pusty. Mimo oporów Betty Littlemore otworzył wytrychem zamek w drzwiach apartamentu Elizabeth Riverford. W środku było cicho i ciemno. Górne oświetlenie usunięto.

- Po co tu przyszliśmy? - zapytała Betty.

- Muszę coś sprawdzić - odpowiedział Littlemore i poszedł korytarzem w kierunku sypialni panny Riverford, rozjaśniając ciemność migotliwym światłem swojej latarki.

- Nie chcę tam iść - stwierdziła Betty, podążając za nim niechętnie.

Podeszli do drzwi. Littlemore sięgnął do klamki, ale zawiesił rękę. Powietrze przeszył wysoki dźwięk, dochodzący z wnętrza sypialni. Dźwięk narastał z każdą chwilą, aż w końcu zmienił się w przejmujące wycie.

Betty chwyciła Littlemorea za rękę.

- To ten dźwięk, o którym ci mówiłam, Jimmy. Słyszeliśmy go tego ranka, kiedy zmarła panna Riverford.

Detektyw otworzył drzwi i dźwięk jeszcze się nasilił.

- Nie wchodź tam! - wykrzyknęła Betty.

Dźwięk ucichł nagle i zapanowała kompletna cisza. Littlemore wszedł do sypialni. Betty, zbyt wystraszona, by zostać tam, gdzie stała, podążyła za nim, kurczowo trzymając go za ramię. Meble stały na swoich miejscach: łóżko, niski stolik, komoda, lustro. Rzuciły upiorne cienie w świetle latarki detektywa. Littlemore przyłożył ucho do ściany i zaczął ją opukiwać knykciami. Przesunął głowę niżej i zaczął robić to samo.

- Co ty wyprawiasz? - dziwiła się Betty.

Littlemore strzelił palcami.

- Kominek! - wykrzyknął. - Przecież glinę znalazłem koło kominka!

Podszedł do kominka, odstawił zasłaniającą palenisko metalową siatkę i położył się na podłodze. Wsunął latarkę do środka i oświetlił komin. Na końcu paleniska dostrzegł cegły, zaprawę murarską i trzy tworzące trójkąt szczeliny.

- To musi być tutaj! - mruzczał do siebie. - Nie ma siły! Ale jak on...

Oświetlił znajdujący się przy kominku stojak. Wisiał na nim pogrzebacz z trójzębną końcówką. Dwa pręty były ostro zakończone, trzeci zakrzywiony. Układały się w trójkąt. Littlemore podniósł się, sięgnął po pogrzebacz i zaczął nim dźgać tylną ścianę kominka. Kiedy trafił na trójkątne szczeliny, końcówka pogrzebacza pasowała do nich idealnie, jakby specjalnie w tym celu ją zrobiono. Nie miał wątpliwości, że tak właśnie było. Chwilę później kominek przesunął się na ukrytych zawiasach i detektyw poczuł na twarzy silny podmuch powietrza.

- Popatrz, popatrz! - powiedział Littlemore, widząc niebieskie punkciki lampek gazowych na ścianach korytarza za kominkiem. - Gdzie ja to już widziałem?

Weszli do środka. Betty znów złapała go za rękę. Gdy mijali żelazną kratkę w ścianie korytarza, detektyw zatrzymał się i przyłożył do niej ucho. Betty zrobiła to samo. Usłyszeli za nimi ten sam jęk, który przed kilkoma minutami tak przeraził Betty w sypialni Elizabeth Riverford.

- Szyb powietrzny - stwierdził Littlemore. - Jakiś rodzaj wymuszonego obiegu powietrza. Musi tu być jakaś pompa. Kiedy się włącza, wydaje ten dźwięk. Po wyłączeniu pompy dźwięk zamiera.

Poszli dalej korytarzem, mijając kilka żelaznych kratek. Dwa razy korytarz zakręcał. Paznokcie Betty wpijały się w jego ramię. Wreszcie dotarli do końca korytarza. Drogę zagrodziła im ściana, na której w migającym świetle ostatniej latarni błyszczała metalowa płytką. Littlemore nacisnął ją i ściana się przekręciła.

W świetle latarki dostrzegli bogato urządzone gabinet. Na półkach zamiast książek leżały makiety mostów i budynków. Pośrodku stało masywne biurko z mosiężną lampą. Littlemore włączył ją, po czym obydwój z Betty po cichu opuścili gabinet i wyszli na korytarz. Minęli wyłożony marmurami olbrzymi ejściowy i usłyszeli stłumiony hałas. Za największym salonem, jaki Littlemore i Betty w życiu widzieli, ktoś kołatał do drzwi, przekręcając okrągłą klamkę to w lewo, to w prawo. Najwyraźniej ktoś za tymi drzwiami bezskutecznie próbował je otworzyć.

Littlemore krzyknął, że jest policjantem. Zza drzwi odpowiedział mu kobiecy głos:

- Niech pan otworzy! Niech mnie pan stąd wypuści!

Littlemore nie potrzebował wiele czasu, żeby sforsować

zamek. Kiedy otworzył drzwi, zobaczył wewnątrz bieliźniarki i stojącą tyłem do siebie kobietę, która ledwie się w nim mieściła. Miała związane za plecami ręce. Odwróciła się i błagała detektywa, żeby ją rozwiązał. Była to Clara Banwell.

Gdy w świetle ulicznych latarni Henry Kendall Thaw zobaczył policjanta chodzącego tam i z powrotem przed domem Actonów, aż się spocił. Mokra koszula natychmiast przykleiła się mu do pleców, a strużki potu zaczęły ściekać po udach.

Thaw stał na Dwudziestej Pierwszej Wschodniej, między Alejami Lexington a Parkową. Widział stamtąd rząd imponujących rezydencji przy Gramercy Park South. Widział też klub Playersa, rzęsiście oświetlony w piątkową noc. Za firankami w oknach na pierwszym piętrze klubu dostrzegł bogatych

mężczyzn i kręcące się wokół nich kobiety z nagimi ramionami, donoszące im w szklaneczkach drinki.

Thaw miał lepsze oczy niż Jung. Trzy piętra nad patrolującym ulicę policjantem na dachu rezydencji Actonów spostrzegł jakiś ruch. Na tle ciemnego nieba zobaczył sylwetkę kolejnego policjanta z karabinem w ręku. Thaw był mężczyzną tak chudym, że mógł się wydawać słabowity i miał ręce trochę za długie jak na swój wzrost. Twarz zaskakiwała chłopotliwością, ponieważ był mężczyzną dobrze po trzydziestce. Pewnie nawet byłby przystojny, gdyby nie trochę zbyt głęboko osadzone oczy i odrobinę za cienkie wargi. Zawsze sprawiał wrażenie, jakby z trudem oddychał - kiedy się ruszał i gdy był nieruchomy.

Teraz się ruszał. Szedł na wschód, trzymając się cały czas cienia. Przecinając Aleję Lexington, naciągnął kapelusz głębiej na oczy. Dobrze znał dom stojący na rogu. Za dawnych czasów oglądał go całymi godzinami, czekając, aż wyjdzie z niego pewna piękna dziewczyna, którą tak bardzo chciał skrzywdzić, że aż dostawał gęsiej skórki. Trzymał się żelaznego płotu i dotarł aż do rogu Irving Street, na której znalazł się poza zasięgiem czujnych oczu policjantów. Żaden z funkcjonariuszy nie zauważył, jak Thaw przemyka się małą alejką na tyłach domów przy Gramercy Park South.

Kilka kilometrów dalej w swoim mieszkaniu na drugim piętrze małego domu przy Warren Street koroner Charles Hugel właśnie skończył się pakować. Stał pośrodku salonu, gryząc palce. Burmistrzowi położył na biurku wymówienie, właściciela domu poinformował, że się wynosi; wypłacił pieniądze i zlikwidował rachunek w banku. Wszystkie pieniądze leżały teraz przed nim na podłodze poukładane w rozkoszne stosiki. Musiał zdecydować, jak je będzie transportował. Nachylił się i zaczął liczyć banknoty po raz trzeci. Zastanawiał się, czy wystarczy mu to, żeby się urządzić w jakimś mniejszym mieście. Kiedy usłyszał pukanie do drzwi, z rąk wypadł mu plik pięćdziesięciodolarowych banknotów.

Gdyby policjant stojący przed frontem domu państwa Actonów zadarł głowę, dostrzegłby na pewno ciemniejszą plamę w oknie sypialni panny Nory Acton. Być może zdałby sobie sprawę, że to cień mężczyzny, który jakimś sposobem przedostał się do środka. Policjant jednak nie spojrział w górę.

Intruz poluzował biały jedwabny krawat zawiązany pod szyją. Po cichu wyjął go spod kołnierzyka i owinął sobie wokół dłoni. Zbliżył się do łóżka Nory. Mimo panujących ciemności widział w pościeli sylwetkę dziewczyny. Dostrzegł też miejsce, w którym pod pięknym podbródkiem zaczynały się kształtne linie jej uroczej i bezbronnej szyi. Wsunął krawat między wezglowie a poduszkę i powolnym ruchem przesunął go coraz niżej, w kierunku szyi śpiącej dziewczyny, aż w końcu jedwab wysunął się spod poduszki. Przez dłuższą chwilę mężczyzna wsłuchiwał się w jej delikatny, miarowy oddech.

Można by zadać sobie pytanie, czy nóż kuchenny, który usunęła spod poduszki pani Mildred Acton, na coś by się zdał. Czy obudzona w środku nocy Nora zdołałaby po niego sięgnąć? A nawet gdyby zdołała, czy zdecydowałaby się go użyć? Nora zawsze spała na brzuchu. Nawet gdyby przez cały czas trzymała rękojeść w dłoni, czy mogłaby tym nożem uratować życie, gdyby owijający jej szyję krawat uniemożliwił oddech?

Być może to dobre pytania, ale czysto teoretyczne. Ponieważ w sypialni nie było noża. Ale nie było tam też Nora.

- Proszę to odłożyć, panie Banwell - odezwał się głos tuż za plecami intruza stojącego nad Norą przy

łóżku. Jednocześnie na plecach mężczyzna poczuł lufę pistoletu. Pomieszczenie rozświetlił snop światła z latarki elektrycznej trzymanej przez umundurowanego funkcjonariusza, który pojawił się w drzwiach. George Banwell przesłonił twarz dłońmi.

- Proszę odejść od łóżka, panie Banwell - rozkazał Little-more. - Betty, możesz już wstać.

Betty Longobardi podniosła się wystraszona, ale z ogromną satysfakcją. Obmacując kieszenie Banwella, Littlemore spojrzał na znajdujący się w sypialni kominek. Tak jak przypuszczał, dostrzegł uchyloną płytę, która otwierała przejście na korytarz.

- Teraz proszę opuścić ręce, a potem powoli i grzecznie złączyć je za plecami - polecił.

Banwell się nie poruszył.

- Jaka jest pańska cena? - zapytał.

- Nie ma pan tyle pieniędzy - odpowiedział detektyw.

- Dwadzieścia tysięcy - rzucił Banwell z rękami wciąż nad głową. - Dam każdemu z was po dwadzieścia tysięcy dolarów.

- Ręce za plecy - zażądał Littlemore.

- Pięćdziesiąt tysięcy - powiedział Banwell. Zezując za siebie, dostrzegł dwóch policjantów stojących w drzwiach sypialni, z których jeden trzymał latarkę. No i jeszcze ten przystawiający mu do pleców pistolet. Policjanci w drzwiach poruszyli się niespokojnie - jak sądził, usłyszawszy o pięćdziesięciu tysiącach. Do nich właśnie zwrócił się Banwell.

- Tylko pomyślcie, chłopcy. Nie jesteście głupi, to widać. Jak myślicie, skąd komendant Byrnes wziął pieniądze? Wiecie, ile ma w banku? Trzysta pięćdziesiąt tysięcy! Właśnie tak. Trzysta pięćdziesiąt! Uczyniłem bogatym jego, uczynię i was.

- Burmistrzowi nie spodoba się to, że nas pan próbował przekupić - stwierdził Littlemore, chwytając Banwella za rękę i opuszczając ją, żeby założyć mu kajdanki.

- Nie chcecie chyba słuchać tego idioty za mną? - ciągnął Banwell, nadal zwracając się do policjantów w drzwiach.

Mówił pewnym, spokojnym głosem, jakby nic sobie nie robił z sytuacji, w której się znalazł. - Zniszczę go w sądzie podczas procesu. Zniszczę go, słyszycie? Nie bądźcie głupi! Chcecie przez całe życie klepać biedę? Pomyślcie o żonach i dzieciach! Chcecie, żeby wasze dzieci też były biedne przez całe życie? Nie przejmujcie się burmistrzem. Jego też mam w kieszeni.

- Czyżby, George? - odezwał się mężczyzna, stojący w drzwiach obok policjanta z latarką, wchodząc w snop światła. Był to burmistrz McClellan. - Czyżby tak było?

Littlemore zapiął Banwellowi kajdanki na drugim nadgarstku; zaciskając je, usłyszał wreszcie satysfakcjonujący szcęk. Wtedy Banwell ze zwinnością i szybkością zaskakującą u człowieka jego postury wyrwał się detektywowi i ze skutymi z tyłu rękami rzucił do przejścia za kominkiem. Musiał

jednak zatrzymać się na chwilę i przykucnąć, by wcisnąć się do środka. I to wystarczyło. Littlemore mógł strzelać, ale użył pistoletu inaczej. Podbiegł szybko do kominka i rękojeścią uderzył Banwella w głowę. Banwell krzyknął, po czym runął na podłogę.

Kilka minut później detektyw Littlemore przykuwał Banwella do poręczy schodów na parterze rezydencji Actonów drugimi kajdankami, które wziął od jednego z policjantów. Po policzku Banwella ściekała krew. Jeden z policjantów przyprowadził z głębi domu roztrzęsionych państwa Actonów.

W klubie Playersa szatniarka powitała kolejnego gościa, który także ją zaskoczył. Mężczyzna nie tylko wszedł tylnymi drzwiami, ale miał na sobie płaszcz, co musiało dziwić w środku upalnego lata. Harry Thaw z wielką przyjemnością wkroczył do pomieszczeń zaprojektowanych przez Stanforda Whitea, mężczyznę, którego zabił trzy lata temu. Przedstawiał się jako Monroe Reid z Filadelfii, także pewnemu obcokrajowcowi poznanemu w małej sali balowej, w której tancerki występowały na niewielkim podwyższeniu. Harry Thaw i Carl Jung świetnie się bawili tej nocy. Gdy Jung wspomniał, że zna członka tego klubu nazwiskiem Smith Jelliffe, Thaw wykrzyknął, że też dobrze zna tego dżentelmena, nie ujawniając wszakże charakteru ich znajomości.

- Świetna robota, detektywie! - pochwalił burmistrz. Znajdowali się w salonie rezydencji Actonów. - Nigdy bym nie uwierzył, gdybym nie zobaczył tego wszystkiego na własne oczy.

Pani Biggs opatrywała ranę na głowie Banwella, który wciąż siedział skrępowany dwiema parami kajdanek: jedną miał na rękach za plecami, a druga przykuwała go do barierek przy schodach. Pan Acton nalał sobie solidnego drinka.

- Może by nam pan powiedział, co się stało, panie McClellan - zwrócił się do burmistrza.

- Obawiam się, że sam do końca nie wiem - odparł burmistrz. - Nie bardzo rozumiem, jak George mógł zabić pannę Riverford.

Odezwał się dzwonek przy drzwiach. Pani Biggs spojrzała na swoich pracodawców, ci zaś z kolei na burmistrza. Littlemore powiedział, że sam otworzy drzwi. Chwilę później do salonu wszedł koroner Charles Hugel prowadzony przez posterunkowego Johna Reardona.

- Złapałem go w ostatniej chwili - zameldował Reardon.

- Już był spakowany. Skąd pan wiedział, że będzie chciał wyjechać, detektywie Littlemore?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Obudził mnie telefon w hotelowym pokoju. Nie pamiętałem, kiedy zasnąłem. Ledwie potrafiłem sobie przypomnieć, jak się w ogóle znalazłem u siebie. Dzwonił pracownik hotelowej recepcji.

- Która godzina? - zapytałem.
- Tuż przed północą, proszę pana.
- A jaki mamy dzień? - zapytałem z kompletną pustką w głowie.
- Jeszcze piątek, doktorze Younger. Przepraszam za porę, ale kazał się pan poinformować, jeśli panna Acton będzie miała jakichś gości.
- Tak?
- Niejaka pani Banwell właśnie zmierza do pokoju panny Acton.
- Pani Banwell? Dziękuję. I proszę nie wpuszczać tam nikogo bez mojej wiedzy.

Z Tarry Town wróciliśmy pociągiem. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Gdy wysiedliśmy na stacji Grand Central, Nora błagała mnie, żebym ją zabrał do hotelu Manhattan, tylko żeby się przekonać, czy apartament nadal zarezerwowany jest tam na jej nazwisko. Bo gdyby tak, to może mogłaby zostać w nim do niedzieli, kiedy nie będzie już musiała się obawiać, że rodzice pošlą ją do szpitala psychiatrycznego wbrew jej woli.

Na przekór zdrowemu rozsądkowi zgodziłem się zabrać ją do hotelu. Ostrzegłem, że jutro rano, bez względu na wszystko, powiadomię pana Actona o miejscu jej pobytu. Byłem pewien - i tak jej powiedziałem - że na pewno wymyśli jakąś kłamliwą historyjkę, która powstrzyma rodziców na czas tak krótki - nieco ponad dwadzieścia cztery godziny. Przypuszczenia Nory co do pokoju potwierdziły się: rezerwacji nie odwołano. Recepcjonista wręczył jej klucz i zniknęła w windzie.

Nocnej wizyty pani Banwell nie uznałem za najmądrzejszą. Przecież mógł ją śledzić mąż! Nora na pewno do niej zatelefonowała. Skoro jednak Nora potrafiła tak skutecznie oszukać mnie, Clara Banwell na pewno umiała okłamać męża, usprawiedliwiając konieczność nocnego spotkania.

Przypomniałem sobie uwagi Freuda na temat uczuć Nory do Clary Banwell. Oczywiście, profesor sądził, że Nora żywi kazirodcze pragnienia. Ja wiedziałem już, że tak nie jest. Pomny własnej nowej interpretacji monologu Hamleta, miałem nawet czelność sądzić, że podważyłem zasadność kompleksu Edypa. Freud miał rację: podstawił lustro, by odzwierciedlić obraz natury, było to jednak krzywe zwierciadło.

Chodzi bowiem o ojca, a nie o syna. Właśnie tak. Kiedy mały chłopiec wkracza na scenę życia, by dołączyć do matki i ojca, zazdrość dopada jednego z członków tego tercetu i jest nim ojciec, bowiem mały chłopiec zaburza jego relacje z żoną. Może nawet przejawiać ochotę pozbycia się małego intruza, którym tak się zachwyca jego żona. Może nawet chcieć, żeby ten mały umarł.

Kompleks Edypa jest prawdziwy, tylko wszystko, co opisuje, dotyczy rodziców, a nie dzieci. Kompleks pogłębia się wraz z dorastaniem potomstwa. Dziewczęta szybko zyskują figurę i urodę, których matka po prostu nie może im nie zazdrościć. Chłopiec w końcu przerasta ojca, który z każdym dniem czuje się coraz bardziej odstawiany na boczny tor.

Ale który rodzic się przyzna, że chciałby zabić własne potomstwo? Który ojciec głośno powie, że jest zazdrosny o syna? Musi się więc dokonać projekcja kompleksu Edypa na dzieci. Ojciec Edypa musi usłyszeć podszept, że to nie on skrycie życzy synowi śmierci, lecz syn pożąda własnej matki i dlatego pragnie uśmiercić ojca. Im silniej zazdrość atakuje rodziców, tym bardziej destrukcyjnie wpływają oni na własne dzieci, które wtedy obracają się przeciw nim, doprowadzając czasem do urzeczywistnienia budzącego najwyższy wstręt scenariusza. Tego uczy nas przecież mitologiczny Edyp. A Freud źle go zinterpretował. Sekret edypowych pragnień leży w sercach rodziców, a nie w sercach dzieci.

Szkoda tylko, że odkrycie to, jeśli można je nazwać odkryciem, wydało mi się nagle banalne i nie dawało żadnej satysfakcji. Jaki miał być z niego pożytek? Czy w ogóle myślenie kiedykolwiek doprowadziło do czegoś dobrego?

- To skandal - krzyknął koroner Hugel głosem świadczącym o ledwie powstrzymanym oburzeniu.
- Żądam wyjaśnień!

George Banwell jęknął z bólu, gdy pani Biggs przyłożyła mu do głowy opatrunek. Ciągłe miał włosy zlepione zakrzepłą krwią, ale jej strużki otarła mu już z policzków.

- Co to ma znaczyć, Littlemore? - zapytał burmistrz.

- Chce pan o wszystkim opowiedzieć burmistrzowi sam, panie Hugel, czy mam to zrobić za pana? - zwrócił się detektyw do koronera.

- O czym ma mi opowiedzieć? - dopytywał się McClellan.

- Niech on mnie puści - zażądał koroner, wskazując głową Reardona.

- Proszę go puścić - rozkazał burmistrz i posterunkowy natychmiast wykonał polecenie.

- Czy to kolejny z pańskich żartów, Littlemore? - zapytał Hugel, strzepując dłonią marynarkę. - Niech pan go nie słucha, McClellan. Dwa dni temu ten człowiek udawał nieżywego na moim stole sekcyjnym.

- To prawda? - zapytał burmistrz.

- Tak - odparł Littlemore.

- A widzi pan, McClellan? - stwierdził Hugel, podnosząc głos. - Nie jestem już pracownikiem magistratu. Dzisiaj o siedemnastej zaczęła obowiązywać złożona przeze mnie rezygnacja. Leży na pańskim biurku, choć jak zwykle jej pan nie przeczytał, McClellan. Wracam do domu. Dobranoc.

- Niech go pan zatrzyma, panie burmistrzu - zażądał Littlemore.

Koroner nie przejął się jego słowami. Założył kapelusz i dumnym krokiem skierował się w stronę

drzwi.

- Niech go pan zatrzyma, panie burmistrzu - powtórzył zdeterminowany detektyw.
- Proszę tu wrócić, panie Hugel - polecił burmistrz. - Detektyw Littlemore udowodnił mi już dzisiaj coś, co wydawało mi się niemożliwe. Wysłucham więc i teraz, co ma do powiedzenia.
- Dziękuję, panie burmistrzu. Zacznę więc od fotografii. Koroner Hugel zrobił zdjęcie panny Elizabeth Riverford z inicjałami pana Banwella na szyi.

Banwell się poruszył.

- A ten co znowu?
- Jego inicjałami? O czym pan mówi? - zdziwił się McClellan.
- Mam tu odbitkę, panie burmistrzu - odparł Littlemore, podając mu zdjęcie. - Sprawa jest trochę skomplikowana. Pan Hugel twierdził, że ciało panny Riverford zostało wykradzione z kostnicy, ponieważ znajdował się na nim ślad wskazujący mordercę.
- Istotnie, mówił mi pan coś takiego, panie Hugel - rzucił burmistrz.

Hugel nie odezwał się, tylko spoglądał spod oka na młodego detektywa.

- Później Riviere wywołał zrobione przez pana Hugela fotografie. Było wśród nich to zdjęcie z jakimś dziwnym śladem na szyi panny Riverford. Ani Riviere, ani ja nie mieliśmy pojęcia, co to za znamię, ale pan Hugel nam to wyjaśnił. Kiedy morderca dusił pannę Riverford krawatem, była weń wpięta szpilka z monogramem właściciela, która odbiła się na ciele ofiary. Tak więc, panie burmistrzu, według koro-nera Hugela na zdjęciu widać inicjały zabójcy. Tak właśnie pan nam powiedział, panie Hugel, prawda?
- Niesamowite! - wykrzyknął burmistrz, podnosząc odbitkę do oczu. - Na Boga! Wyraźnie widzę tu litery GB!
- To właśnie te litery, panie burmistrzu. Mam tu także szpilkę do krawata, należącą do pana Banwella - stwierdził Littlemore, sięgając do kieszeni spodni. Wyjął stamtąd szpilkę i podał burmistrzowi.
- Litery są identyczne! - krzyknął zdumiony McClellan.
- To jakaś bzdura! - krzyknął spod schodów Banwell.
- Ktoś mnie wrabia.
- Na Boga, Hugel! Dlaczego pan mi o tym nie powiedział? - zapytał burmistrz, ignorując Banwella. - Przecież miał pan niezbity dowód przeciwko niemu.
- Ale ja... nie można... - jękał się Hugel. - Proszę mi pokazać tę fotografię - poprosił w końcu. Gdy burmistrz wręczył mu odbitkę, obejrzał ją starannie. - Moje zdjęcie było...

- Pan Hugel nie widział jeszcze tej fotografii, panie burmistrzu - przerwał mu Littlemore.
- Jak to? - zdziwił się burmistrz.
- Na oryginalnym zdjęciu pana Hugela nie było inicjałów GB, tylko odwrotność inicjałów GB, ich lustrzane odbicie, panie burmistrzu - odpowiedział detektyw
- No właśnie. Przecież na fotografii litery powinny być widoczne odwrotnie. Wygrawerowany monogram powinien być odbić się na szyi dziewczyny odwrotnie, jak pieczęć na kopercie - zauważył McClellan.
- W tym właśnie tkwi problem, panie burmistrzu. Ma pan rację. Monogram na szpilce zostawiłby odwrócony ślad, więc lustrzane odbicie GB na fotografii Hugela kazało sądzić, że mordercą jest pan Banwell. Tak właśnie orzekł wtedy pan Hugel. Ale ferrotyp koronera sam przedstawiał odwrócony obraz. Tak twierdzi Riviere. Pan Hugel nie zdawał sobie z tego sprawy. Na jego zdjęciu widzimy odwrócony monogram GB, ale jego fotografia jest też odwróceniem śladu na szyi dziewczyny. Znaczyło to, że odcisk pozostawiony na jej szyi naprawdę wyglądał jak litery GB, a to z kolei prowadzi do wniosku, że monogram mordercy nosił nie litery GB, tylko ich lustrzane odbicie. Czy wyrażam się jasno, panie burmistrzu?
- Proszę to jeszcze raz powtórzyć - zażądał McClellan.

Littlemore powtórzył jeszcze kilka razy, aż w końcu burmistrz zrozumiał. Wyjaśnił też, że poprosił Riviere'a, by wykonał zdjęcie fotografii pana Hugela, w ten sposób ponownie odwracając litery, aby można je było porównać z monogramem pana Banwella. Właśnie ten odwrócony obraz wręczył przed chwilą burmistrzowi.

- Tylko że dalej nie widzę tu sensu - powiedział burmistrz z irytacją. - Najmniejszego sensu. Jak monogram widoczny na oryginalnym zdjęciu Hugela mógł stanowić lustrzane odbicie monogramu Georgea Banwella?
- Jest tylko jeden sposób, panie burmistrzu - odparł Littlemore. - Ktoś go narysował. Ktoś wrył monogram na płytce fotograficznej, zanim Riviere ją wywołał. Ktoś, kto miał dostęp zarówno do spinki pana Banwella, jak i do fotografii pana Hugela. Ktoś, kto chciał, byśmy myśleli, że panna Riverford zginęła z rąk Georgea Banwella. Ten ktoś naprawdę się postarał i bardzo napracował, ale popełnił jeden błąd. Na fotografii pojawiło się lustrzane odbicie monogramu. Wiedział, że monogram na szyi panny Riverford odbiłby się odwrotnie, doszedł więc do wniosku, że fotografia powinna przedstawić jego lustrzane odbicie. Zapomniał jednak albo nie wiedział o tym, że sam ferrotyp jest lustrzanym odbiciem fotografowanego obiektu. I to właśnie był ów błąd. Umieszczenie na fotografii lustrzanego odbicia monogramu było początkiem końca.
- Nawet ja nie rozumiem, co wygaduje ten człowiek o ptasim mózdzku! - wtrącił się Hugel. - Mamy tu wyraźną fotografię szyi ofiary. Widać na niej monogram GB, a nie podwójny negatyw, potrójny negatyw czy cokolwiek jeszcze Littlemore wymyśli. Widzimy po prostu monogram, stanowiący dowód, że mordercą jest Banwell.

Ciszę, która nagle zapadła, przerwał dopiero burmistrz.

- Uważnie pana słuchałem, detektywie Littlemore, ale muszę przyznać, że tyle razy odwracał pan te litery, że nie potrafię już stwierdzić, kto ma rację i o czym to świadczy. Czy to jedyny powód, by sądzić, że pan Hugel fałszował dowody? Czy istnieje możliwość, że Hugel ma rację i fotografia dowodzi, iż mordercą jest George Banwell?

Littlemore zmarszczył brwi.

- Zobaczymy - powiedział. - Mamy mnóstwo dowodów przeciwko panu Banwellowi, prawda, panie burmistrzu? Czy pozwoli pan, że zadam teraz naszemu podejrzanemu kilka pytań?

- Proszę, niech pan zaczyna.

- Dobrze mnie pan słyszy, panie Banwell?

- Czego chcesz? - warknął zapytany.

- Wie pan, panie Banwell, im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiam, tym większej nabieram pewności, że mamy dość dowodów, by pana oskarżyć o morderstwo panny Ri-verford. Znalazłem tajne przejście między waszymi apartamentami.

- No to niech się pan cieszy - odparł Banwell.

- W jej apartamencie znalazłem glinę, która jest identyczna jak glina na pańskiej budowie.

- Jeśli pan sądzi, że to czegokolwiek dowodzi, pańska sprawa.

- I odzyskaliśmy kufer z rzeczami panny Riverford, ten, który pan zatopił w East River tuż pod Manhattan Bridge.

- Niemożliwe! - krzyknął Banwell.

- Wyciągnęliśmy go wczoraj, zanim pan kazał zatopić keson.

- Był pan w kesonie wczoraj w nocy, Littlemore? - zapytał McClellan.

- Tak, panie burmistrzu - odpowiedział detektyw z zakłopotaniem. - Przepraszam.

- No cóż, nie ma za co - stwierdził McClellan. - Proszę kontynuować.

- On mnie wrabia - wykrzyknął Banwell. - W niedzielę w nocy byłem przecież z tobą, McClellan, w Samac Inn. Wiesz, że nie mogłem jej zabić.

- Nie tak spojrz na to prokurator - odezwał się Littlemore. - Powie, że kazał pan komuś przywieźć pannę Riverford do Samac, wymknął się na chwilę podczas kolacji z burmistrzem i zabił ją, po czym kazał odwieźć zwłoki do apartamentu w rezydencji Balmoral i upozorować, że zmarła właśnie tam. Zrobił pan to w tym celu, by wykorzystać burmistrza jako żelazne alibi. Niestety, zostawił pan na jej szyi swoje inicjały. Tak właśnie powie prokurator, panie Banwell.

- Nie zabiłem jej! Mogę to udowodnić!

- Jak niby zamierzasz to zrobić, George? - wtrącił McClellan.
- Nikt nie zabił Elizabeth Riverford - odparował Banwell.
- Co? Ona żyje? Gdzie jest? - spytał burmistrz zdziwiony. Banwell skinął głową. - Na Boga, człowieku! Wy tłumacz się natychmiast - zażądał McClellan.
- Elizabeth Riverford nie istnieje.
- I nigdy nie istniała - dodał Littlemore.

Banwell westchnął ciężko, Hugel wziął głęboki oddech, a burmistrz stanowczo zaprotestował:

- Czy ktoś mi w końcu wytłumaczy, co się dzieje?
- Najpierw zastanowiła mnie jej waga - powiedział Littlemore. - Z raportu pana Hugela wynikało, że dziewczyna miała metr sześćdziesiąt siedem wzrostu i ważyła trochę ponad pięćdziesiąt dwa kilogramy. Tylko że hak w suficie, do którego miała być przywiązana, nie utrzymałby pięćdziesięciodwukilowej kobiety. Oberwałyby się natychmiast. Sprawdziłem.
- Mogłem się mylić, podając wzrost i wagę - odezwał się Hugel. - Działąłem pod presją.
- Nie pomylił się pan, panie Hugel - odparł detektyw.
- Zrobił pan to celowo. Nie wspomniał pan też, że panna Riverford nie była brunetką.
- Oczywiście, że była! Każdy w Balmoralu to zaświadczy! - wykrzyknął Hugel.
- Peruka. Znaleźliśmy dwie w kufrze Banwella.
- On zwariował! Albo ktoś mu płaci, żeby mówił takie rzeczy - stwierdził Hugel, kierując te słowa do burmistrza. - Po co miałbym celowo zmieniać wygląd panny Riverford?
- No właśnie. Jak pan to wytłumaczy, detektywie?
- Ponieważ gdyby powiedział wszystkim, że mierzy trochę ponad metr pięćdziesiąt osiem wzrostu, a waży niewiele więcej niż czterdzieści sześć i pół kilograma, zrobiłoby się naprawdę gorąco, gdy panna Acton, która mierzy trochę ponad metr pięćdziesiąt osiem wzrostu, a waży niewiele więcej niż czterdzieści sześć i pół kilograma oraz ma długie blond włosy zgłosiła się z identycznymi ranami następnego dnia, tego właśnie, gdy z kostnicy miejskiej zniknęło ciało panny Riverford. Prawda, panie Hugel?

Clara weszła do pokoju i Nora natychmiast wpadła w jej ramiona.

- Bogu dzięki, nic ci się nie stało, kochanie! - powiedziała Clara. - Tak się cieszę, że zadzwoniłaś.
- Wszystko im powiem! - wybuchnęła Nora. - Próbowałam dochować tajemnicy. Naprawdę próbowałam. Ale dłużej nie mogę!

- Wiem. Napisałaś mi przecież. Nie martw się, kochanie. Wyznasz prawdę i poczujesz się lepiej.
- Ale ja chcę im powiedzieć wszystko, całą prawdę - wyznała Nora, bliska łez.
- Rozumiem. Nie martw się.
- Doktor Younger nie uwierzył, że zostałam napadnięta i zraniona! Myślał, że namalowałam sobie siniaki i rany.
- Jak mógł?!
- Zasłużyłam na to, Claro. Tak mi źle! Wszystko zepsułam! Byłoby lepiej, gdybym umarła.
- Już dobrze, Noro. Musisz się uspokoić. Ja także - powiedziała Clara, podchodząc do stolika, na którym stała wypełniona do połowy karafka i kilka kieliszków. - To nam pomoże. Co za kiepska brandy! Ale napijemy się jej trochę. Napijemy się razem.

Wręczyła Norze lampkę, w której wirowała odrobina złotawego płynu. Dziewczyna nigdy jeszcze nie piła brandy, Clara zachęcała ją więc, by poznała jej smak, kiedy minie pieczenie po pierwszym łyku. Nora wypila cały kieliszek. Odrobina wylała się jej na sukienkę.

- Mój Boże! Czy ty masz na sobie moją sukienkę? - wykrzyknęła Clara.
- Tak. Przepraszam. Byłam dzisiaj w Tarry Town. Mam nadzieję, że mi to wybaczysz.
- Ależ oczywiście! Wspaniale w niej wyglądasz. Zresztą moje rzeczy zawsze ci pasowały - stwierdziła Clara, nalewając do kieliszka kolejną porcję brandy. Przymknęła oczy, umoczyła usta, po czym przystawiła kieliszek do warg Nory
- A wiesz, że ja nawet kupowałam tę sukienkę z myślą o tobie? Miały być do niej te buty. Te, które mam na sobie. Załóż je. Masz takie piękne kostki. Zapomnijmy o problemach! Wyrzućmy z serca wszystkie troski i przebierzmy cię, jak dawniej.
- Naprawdę? - Nora próbowała się uśmiechnąć.
- Twierdzi pan, że Elizabeth Riverford to Nora Acton?
- zapytał burmistrz McClellan kompletnie zdezorientowany.
- Mogę to udowodnić, panie burmistrzu - odpowiedział mu Littlemore. Skinął na Betty i wyjął z kieszeni kolejną fotografię. - Betty była pokojówką panny Riverford w rezydencji Balmoral. Tę fotografię znalazłem w mieszkaniu Leona Linga. Betty, powiedz wszystkim, kim jest kobieta na tym zdjęciu.
- To panna Riverford, ta po lewej stronie - stwierdziła Betty. - Ma inne włosy, ale to na pewno jest ona.
- Panie Acton, czy może pan do mnie podejść?

Littlemore pokazał Harcourtowi Actonowi fotografię.

- To Nora - powiedział bez wahania Acton.

McClellan kręcił z niedowierzaniem głową.

- Nora Acton mieszkała w rezydencji Balmoral pod nazwiskiem Elizabeth Riverford? W jakim celu?

- Ona tam nie mieszkała - burknął Banwell. - Przychodziła tylko na kilka nocy w tygodniu. To wszystko. No i co tak na mnie patrzysz? Lepiej popatrz na Actona.

- Wiedziałeś o tym? - zapytał burmistrz Actona z niedowierzaniem.

- Oczywiście, że nie wiedział - odpowiedziała za męża pani Acton. - Nora robiła to bez naszej wiedzy.

Harcourt Acton milczał.

- Jeśli nie wiedział, to znaczy, że jest skończonym idiotą! - stwierdził Banwell. - Ale ja jej nawet nie dotknąłem. Zresztą to był pomysł Clary.

- Clara też wiedziała? - zapytał burmistrz z jeszcze większym niedowierzaniem.

- Wiedziała? To ona wszystko zorganizowała! - wykrzyknął Banwell i głos mu się załamał. - Może więc mnie wypuścisz. Nie popełniłem przecież żadnego przestępstwa - poprosił.

- Jeśli nie liczyć potrącenia mnie wczoraj samochodem

- odezwał się detektyw Littlemore. - Oraz próby przekupienia policjantów, usiłowania zabójstwa panny Acton i zamordowania Seamusa Malleya. Powiedziałbym, że miał pan całkiem pracowity tydzień, panie Banwell.

Na dźwięk nazwiska Malleya Banwell spróbował poderwać się z podłogi mimo kajdanków, którymi był przykuty do barierki. Hugel z kolei, wykorzystując zamieszanie, rzucił się w stronę drzwi. Żaden jednak nie osiągnął zamierzonego celu. Banwell jedynie zranił sobie nadgarstki, a koro-nera schwycił posterunkowy Reardon.

- Ale dlaczego, Hugel? - zapytał burmistrz. Koroner nie odpowiedział. - Mój Boże! Więc wiedział pan, Hugel, że Elizabeth Riverford to Nora Acton! Czy to pan wy chłostał ją biczem? Dobry Boże!

- Nie - wykrzyknął Hugel żałośnie, wciąż przytrzymywany przez Reardona. - Nikogo nie biczowałem. Chciałem tylko pomóc. Miałem się przyczynić do jego skazania. Obiecała mi. Ja sam nigdy bym nie... To ona wszystko zaplanowała. Mówiła mi, co mam robić. Obiecała...

- Nora? - zapytał burmistrz. - Co, na Boga, panu obiecała?

- Nie Nora - odparł płaczliwie Hugel, po czym wskazał wzrokiem Banwella. - Żona tego człowieka.

Nora Acton zdjęła swoje buty i założyła pantofle Clary. Obcasy były dla niej za wysokie i za cienkie,

ale buty miały taką piękną miękką skórę. Gdy oderwała od nich wzrok, zobaczyła w ręku Clary coś, czego się kompletnie nie spodziewała: trzymała mały rewolwer z rękojeścią z macicy perłowej.

- Tak tu gorąco, kochanie! Wyjdźmy na balkon - zażądała Clara.
- Dlaczego mierzysz do mnie z pistoletu, Claro?
- Bo cię nienawidzę, Noro. Kochałaś się z moim mężem.
- Wiesz przecież, że nie! - zaprzeczyła dziewczyna.
- Ale on tego chciał. Jak niczego na świecie! To na jedno wychodzi. Albo jest jeszcze gorsze.
- Przecież ty nienawidzisz Georgea.
- Naprawdę? Może i tak. Nienawidzę was oboje jednakowo!
- Och, proszę, nie mów tak, Claro! Wolałabym umrzeć, niż usłyszeć, że mnie nienawidzisz.
- Umieraj w takim razie.
- Przecież sama mi kazałaś...
- Tak, kazałam ci. A teraz każę ci coś innego. Zastanów się tylko nad moją sytuacją, kochanie! Jak mogę pozwolić, żebyś powiedziała policji wszystko, co wiesz? Teraz, kiedy jestem już bliska sukcesu? Tylko ty stoisz mi na drodze. Podnieś się więc, moja droga i idź na balkon. Nie każ mi do siebie strzelać.

Nora wstała. Zachwiała się. Szpilki Clary były dla niej o wiele za wysokie. Ledwie potrafiła w nich ustać. Przytrzymując się oparcia sofy, potem krzesła i w końcu blatu stołu, dotarła do drzwi balkonowych.

- Doskonale! - pochwaliła Clara. - Teraz podejdź jeszcze kawałek dalej.

Nora postawiła krok na balkon, zachwiała się i uchwyciła barierki, żeby odzyskać równowagę. Jedenaście pięter pod nią rozciągało się miasto. Na policzkach i czole czuła chłodną bryzę.

- Kazałaś mi założyć te buty, żeby łatwiej mnie było zepchnąć z balkonu?
- Nie. Żeby wyglądało to na wypadek - odparła Clara.

- Nie byłaś przyzwyczajona do wysokich obcasów, nie byłaś przyzwyczajona do alkoholu. Poczują go na sukience. Nie chcę cię popychać, moja droga. Zeskocz sama. Pozwól sobie na ten luksus. Przecież mówiłaś, że wolałabyś umrzeć, jeśli dobrze pamiętam.

Nora spojrzała na zegar na znajdującym się niedaleko budynku Metropolitan Life. Była północ. Po zachodniej stronie mienił się światłami Broadway.

- Być albo nie być - wyszeptała.

- Obawiam się, że nie być - skomentowała Clara.
- Zrobisz coś dla mnie?
- Nie wiem, moja droga. A czego chcesz?
- Pocałuj mnie, zanim umrę. Tylko raz.

Clara Banwell zastanawiała się przez chwilę.

- Dobrze - zgodziła się.

Nora obróciła się powoli i stanęła zwrócona twarzą do pokoju. Wciąż trzymała się barierki, ręce miała więc za plecami. Mrugała powiekami, żeby powstrzymać napływające jej do oczu łzy. Lekko uniosła podbródek. Clara z rewolwerem wymierzonym w Norę odgarnęła kosmyk włosów z jej ust. Nora zamknęła oczy.

Stojąc nad umywalką w hotelowym pokoju, ochlapałem sobie twarz zimną wodą. Było dla mnie jasne, że Nora stanowiła w rodzinie ofiarę kompleksu Edypa w jego lustrzanej wersji, którą dopiero co wymyśliłem. Ponad wszelką wątpliwość jej matka jest o nią szaleńczo zazdrosna. Przypadek Nory był jednak o wiele bardziej skomplikowany ze względu na Banwellów. Freud miał rację. W pewnym sensie Ban-wellowie stali się dla Nory substytutem rodziców. Banwell pożądał Nory, co potwierdzało odwrócony kompleks Edypa, Nora natomiast najwyraźniej pożądała Clary. Do mojej koncepcji nie pasowało ani to, ani prawdę mówiąc w ogóle Clara. Jej sytuacja była najbardziej skomplikowana ze wszystkich. Jak słusznie zauważył Freud, zaskarbiła sobie przyjaźń Nory, dopuszczając ją do sekretów swojej alkowy. Freud był przekonany, że Nora musi być o Clary zazdrosna. A Clara powinna czuć do niej nienawiść. Powinna...

Zeskoczyłem z łóżka i wybiegłem z pokoju.

Jak tylko ich usta się spotkały, Nora chwyciła Clary za rękę. Pistolet wypalił. Nora nie zdołała wyrwać Clary broni, ale udało jej się odciągnąć lufę od siebie. Kula wystrzeliła w powietrze i zniknęła gdzieś nad miastem.

Chwilę później Nora rzuciła się na Clary, raniąc jej twarz paznokciami. Nad brwią i pod okiem pojawiła się krew. Clara krzyknęła z bólu, a Nora najmocniej, jak potrafiła, ugryzła ją w rękę, w której trzymała broń. Rewolwer upadł na betonową podłogę balkonu, a z niej prześlizgnął się na podłogę pokoju.

Clara uderzyła Norę w twarz raz, potem drugi. Chwyciła ją za włosy, przeciągnęła na krawędź balkonu i z całych sił ciągnąc dalej, zmusiła, by wygięła się do tyłu. Jasne pukle dziewczyny zawisły nad znajdującą się daleko w dole pod nimi ulicą.

Nora uniosła nogę i po chwili szpilka obcasa wylądowała na gołej stopie Clary. Ta zawyła z bólu i rozluźniła uchwyt; Nora zdołała się wtedy wyrwać. Rzuciła się w kierunku pokoju, ale nie potrafiła biec w butach na obcasie, straciła równowagę i runęła na podłogę tuż za drzwiami balkonowymi. Opierając się na dłoniach i kolanach posuwała się dalej. Już sięgała palcami do rękojeści z macicy perłowej, gdy Clara przyciągnęła ją z powrotem do siebie, chwyciwszy za rąbek sukienki, po czym

odepchnęła na bok, przeskoczyła przez nią, przeszła na środek pokoju i podniosła pistolet.

- Świetnie ci poszło, moja droga - powiedziała Clara, ciężko dysząc. - Nie wiedziałam, że jesteś aż tak ostra.

W tej samej chwili rozległ się trzask wyłamywanych drzwi i w powietrze strzeliły drobne kawałki drewna. Do pokoju wparował Stratham Younger.

- Doktor Younger! - powiedziała stojąca pośrodku pokoju Clara Banwell, mierząc trzymanym w dłoni pistoletem w moje podbrzusze. - Jakże wspaniale pana widzieć. Proszę zamknąć drzwi.

Nora leżała na podłodze bliżej balkonu. Dostrzegłem na jej twarzy ślady po uderzeniach, ale dzięki Bogu, nie dostrzegłem nigdzie krwi.

- Jesteś ranna? - zapytałem. W odpowiedzi przecząco pokręciła głową. - Jak się pani bawi dzisiejszej nocy? - zwróciłem do Clary Banwell.

Kąciki jej ust podniosły się nieznacznie. Miała brzydkie zadrapania nad lewym okiem i pod nim.

- Lepiej od razu przejdę do rzeczy - oświadczyła. - Niech pan wyjdzie na balkon, doktorze!

Ani drgnąłem.

- Na balkon, doktorze! - powtórzyła.

- Nie, pani Banwell.

- Naprawdę? Woli pan, żebym go zastrzeliła tu, gdzie pan stoi?

- Nie może pani mnie zastrzelić. Podała pani w recepcji swoje nazwisko. Będzie pani wisieć, jeśli znajdą mnie tu martwego.

- Grubo się pan myli. Powieszają Norę, a nie mnie. Powiem policji, że to ona pana zabiła. Uwierzą mi na pewno. Zapomniał pan? Przecież ona jest psychopatką. Sama oparzyła się papierosem. Nawet jej rodzice tak myślą.

- Nie żywi pani nienawiści do Nory, pani Banwell. Nienawidzi pani swojego męża. Od siedmiu lat znosi pani katusze. Proszę nie być bezwolnym narzędziem w jego rękach.

Clara popatrzyła na mnie. Postawiłem krok w jej stronę.

- Proszę się nie ruszać - rozkazała. - Jak na psychologa wyjątkowo kiepsko ocenia pan charaktery, doktorze. I jest pan taki naiwny! Sądzi pan, że powiedziałam mu prawdę. Czy wierzy pan we wszystko, co mówią kobiety?

- Nie chcę iść z panią do łóżka, pani Banwell.

- Każdy mężczyzna chce się ze mną przespać.

- Proszę odłożyć broń. Ma pani wszelkie powody, by czuć wściekłość. Ale kieruje ją pani przeciw niewłaściwej osobie. Właśnie w tej chwili przegrywa pani walkę z mężem. On panią pokonał. Nie skonsumował waszego małżeństwa. Zmuszał panią do... różnych zachowań...

Clara wybuchnęła śmiechem.

- Niech pan przestanie. Jest pan groteskowy. Aż się robi niedobrze! - Nie tyle demoniczny śmiech, ile jej protekcjonalny ton osadziły mnie w miejscu. - Nigdy mnie do niczego nie zmuszał. Nie jestem niczyją ofiarą, doktorze - oświadczyła Clara. - W noc poślubną powiedziałam mu, że nigdy mnie nie posiadzie. To ja wykluczyłam stosunek, nie on. Wcale nie było to trudne. Powiedziałam mu, że jest najsilniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam. Obiecałam, że będę robiła rzeczy, które spodobały mu się nawet bardziej. I robiłam. Obiecałam, że będę mu sprowadzała młode dziewczęta, żeby mógł z nimi robić, co mu się żywnie podoba. I sprowadzałam. Pozwoliłam mu ranić samą siebie i zapewniłam, że przyniesie mu to rozkosz. I przynosiło.

Nora i ja patrzyliśmy na Clarę w milczeniu.

- Spodobało mu się to nawet bardzo - dodała po chwili z uśmiechem.

Znów zapanowała cisza. Tym razem przerwałam ją ja.

- Ale dlaczego? - zapytałam.

- Bo dobrze go znam. Jego żądze są nienasycone. Oczywiście, pragnął mnie bardzo, ale nie tylko mnie. Musiały więc być także i inne. Czy sądzi pan, doktorze, że zgodziłabym się na sytuację, w której byłabym jedną z wielu? Nienawidzę go od chwili, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy!

- A więc Nora nie ma z tym nic wspólnego - powiedziałam.

- Ma - warknęła Clara. - Ona wszystko zniszczyła.

- Jak? - Tym razem pytanie zadała Nora.

- Samym swoim istnieniem - odpowiedziała Clara z nieskrywanym jadem, nawet nie obdarzając Nory spojrzeniem.

- On się w niej zakochał. Zakochał. Jak pies w suce. Jak najgłupszy pies. Była taka zepsuta i taka niewinna jednocześnie! Cóż za czarująca sprzeczność! Uczucie to stało się jego obsesją. Musiałam więc rzucić psu kość, prawda? Nie da się żyć z mężczyzną, który tak bardzo się ślini.

- Dlatego zgodziłaś się na romans z moim ojcem? - zapytała Nora.

- Ja się na to nie zgodziłam - stwierdziła Clara z pogardą, nadal kierując wyjaśnienia do mnie, a nie do Nory. - Pomysł romansowania z Harcourtem był mój. To najśłabszy i najnudniejszy mężczyzna, jakiego poznałam w życiu! Jeśli istnieje niebo dla kobiet bezinteresownych, to ja na pewno tam trafię... Ale nawet wtedy ona wszystko zepsuła. Odrzuciła Georgea. Po prostu go odrzuciła! - Clara wzięła głęboki oddech, po czym twarz jej się rozjaśniła. - Próbowałam wielu sposobów, żeby go z niej wyleczyć. Najróżniejszych! Bardzo się starałam. Naprawdę!

- Elsie Sigel - powiedziałem.

Ledwie dostrzegalnym drzeniem w kąciku ust zdradziła zaskoczenie, ale nie zawahała się ani chwili.

- Ma pan talent, doktorze, prawdziwy talent policyjnego psa. Myślał pan może o zmianie zawodu?

- Nastęrczyła pani mężowi inną dziewczynę z dobrego domu i miała nadzieję, że dzięki niej zapomni o Norze.

- Doskonale! Nie sądzę, by stać było na to którąkolwiek inną kobietę na świecie. A ja się zdobyłam na taki krok. Znalazłam tego jej Chińczyka i już ją miałam. Pisała do niego listy miłosne. Do Chińczyka! Sprzedał mi je, a wtedy powiedziałam biednej dziewczynie, że jeśli mi nie pomoże, będę musiała przekazać wszystkie jej ojcu. Ale ten pies, mój mąż, zupełnie się nią nie zainteresował. Stwarzał tylko pozory, podczas gdy naprawdę myślał ciągle o tej... - tu Clara spojrzała jadownicę na leżącą nadal na podłodze Norę - tej swojej kości.

- Zabiła ją pani chloroformem. Tym samym, który potem dała mężowi, by uspił Norę.

Clara się uśmiechnęła.

- Powinien pan zostać detektywem. Elsie nie potrafiła utrzymać języka za zębami. A miała bardzo nieprzyjemny głos. Nie pozostawiła mi wyboru. W końcu wszystko by wypaplała. Widziałam to po jej oczach.

- Dlaczego nie zabiłaś mnie? - wykrzyknęła Nora.

- Och, oczywiście, myślałam o tym, moja droga, ale niczego by to nie rozwiązało. Powinnaś była zobaczyć minę mojego wspaniałego męża, gdy się dowiedział, że ty, jedyna prawdziwa miłość jego życia, robisz wszystko, co w twojej marnej mocy, żeby go zniszczyć! Było to warte więcej niż wszystkie jego pieniądze. No, może prawie. A jego pieniądze i tak dostanę ja, bez względu na wszystko. Za długo już przeciągamy tę rozmowę, doktorze Younger.

- Nie może pani zabić nas obojga, pani Banwell - stwierdziłem. - Jeśli policja znajdzie nas z kulami z tego rewolweru w głowach, nie uwierzy w pani niewinność. Powieszają panią. Proszę więc odłożyć broń - powiedziałem, stawiając kolejny krok w jej kierunku.

- Stój! - krzyknęła Clara. - Albo ją zastrzelę!

- Chyba raczej strzeli pani do niej, pani Banwell. I nie trafi. To przecież damski pistolet, zapewne kaliber dwadzieścia dwa. Nie da się z niego trafić w otwarte drzwi stodoły, chyba że z odległości metra od nich. Ja stoję teraz metr od pani, niech więc pani strzeli do mnie.

- Proszę bardzo - rzuciła Clara, pociągając za cyngiel.

Choć to przecież niemożliwe, wyraźnie widziałem, jak

kula opuszcza lufę pistoletu Clary, wolno leci w moją stronę i przebija mi białą koszulę. Poczuję ukłucie z lewej strony pod ostatnim zębem. Dopiero wtedy usłyszałem strzał.

Rewolwer cofnął się nieznacznie. Chwyciłem Clare za nadgarstki. Próbowła się uwolnić, ale nie zdołała. Zmusiłem ją, żeby się cofnęła do balkonu. Szliśmy twarzą w twarz, z podniesionymi rękami i pistoletem wycelowanym w sufit. Nora się poderwała, ale głową dałem jej znak, by została tam, gdzie jest. Clara strąciła ze stołu wielkich rozmiarów lampę, która u jej stóp wzbiła prawdziwą fontannę ze szkła. Ciągle pchałem ją w stronę balkonu, aż wreszcie przekroczyliśmy jego próg i docisnąłem ją mocno do barierki. Broń wciąż mieliśmy nad głowami.

- Na dół długa droga, pani Banwell - wyszeptałem w ciemności, krzywiąc się z powodu bólu, który sprawiała mi kula tkwiąca w trzewiach. - Niech pani rzuci broń.

- Nie zrobisz tego. Nie możesz mnie zabić - powiedziała.

- Czyżby?

- Nie zabijesz mnie. Tym właśnie się różnimy.

Nagle poczułem pieczenie w żołądku, jakby ktoś wsadził mi tam rozżarzone węgle. Dotychczas byłem pewien, że mam dość siły, by ją powstrzymać. Teraz powoli tę pewność traciłem. Zrozumiałem, że siły mogą mnie opuścić w każdej chwili. Piekący ból pod żebrami odezwał się znowu. Podniosłem ją kilka centymetrów nad podłogę balkonu, wciąż trzymając za nadgarstki, i przycisnąłem mocno do ściany. Staliśmy tak nieruchomo, stykając się torsami, z rękami i dłońmi splątanymi między ciałami. Nasze oczy i usta były od siebie zaledwie o kilka centymetrów. Patrzyłem na nią uważnie. Wściekłość czyni niektóre kobiety brzydszymi, a innym dodaje urody. Clara należała do tej drugiej kategorii.

Rewolwer wciąż trzymała w dłoni. Znajdował się między naszymi ciałami, a ona nie zdjęła palca z cyngła.

- Nie wie pani, w kogo wycelowana jest teraz broń, prawda?

- zapytałem, przyciskając ją do ściany jeszcze silniej, aż zaczęła sapać. - Ja wiem. Lufa skierowana jest w prosto w pani serce.

Czułem krew, obficie spływającą mi po koszuli. Clara nie odezwała się ani słowem. Patrzyła mi prosto w oczy, ale w tym spojrzeniu po raz pierwszy dostrzegłem niepewność.

- Ma pani rację - ciągnąłem, zebrawszy nieco sił. - Mogę blefować. Proszę więc pociągnąć za spust. To pani jedyna szansa. Za chwilę panią obezwładnię. No, dalej! Pociągnij za spust, Claro! Pociągnij!

Posłuchała. Rozległ się stłumiony strzał. Jej oczy otworzyły się szeroko.

- Nie - powiedziała.

Ciało się naprężyło. Patrzyła mi prosto w oczy, wciąż z szeroko rozwartymi powiekami.

- Nie - powtórzyła, a po chwili wyszeptała jeszcze: - Ja sama.

Oczy się już nie zamknęły. Mięśnie zwiotczały i martwa osunęła się na podłogę.

Wyjąłem jej z ręki broń i wszedłem do pokoju. Próbowiałem dojść do Nory, ale mi się nie udało.

Opadłem na sofę, trzymając się ręką za brzuch. Między palcami przepływała mi krew. Czerwona plama na koszuli robiła się coraz większa. Nora podbiegła do mnie.

- Obcasy - powiedziałem z wysiłkiem. - Podobasz mi się na obcasach.
- Niech pan nie umiera - wyszeptała.

Nie odezwałem się.

- Proszę, niech pan nie umiera - błagała. - Umrze pan?
- Obawiam się, że tak, panno Acton.

Zwróciłem oczy na ciało Clary, a potem na poręcz balkonu, przez którą widziałem kilka błyszczących na nocnym niebie gwiazd. Odkąd pojawiło się oświetlenie na Broadwayu, widok gwiazd w centrum miasta był rzadkością. W końcu spojrzałem raz jeszcze w niebieskie oczy Nory.

- Niech mi pani pokaże ślady - poprosiłem.
- Jakie ślady?
- Nie chcę umierać w nieświadomości.

Nora zrozumiała. Odwróciła się do mnie plecami jak tego dnia, gdy w tym samym pokoju odbywaliśmy naszą pierwszą sesję. Leżąc na sofie, sięgnąłem ręką, żeby odpiąć guziki. Drugą, zakrwawioną ręką wciąż trzymałem się za brzuch. Gdy materiał się zsunął, rozwiązałem tasiemkę i rozchyliłem krawędzie gorsetu. Przez skrzyżowane tasiemki zobaczyłem między jej cudownymi łopatkami niezagojone jeszcze rany. Dotknąłem jednej z nich. Nora krzyknęła, po czym zaraz zdławiła okrzyk.

- A więc ta sprawa jest załatwiona - oświadczyłem, podnosząc się z sofy. - Musimy teraz zatelefonować na policję i sprowadzić do mnie lekarza. Nie sądzi pani?
- Ale przecież... - Nora patrzyła na mnie ogłupiała. - Powiedział pan, że umrze.
- Bo kiedyś umrę - odparłem. -.Ale przecież nie od byle jakiej kulki!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Jak tylko się obudziłem w sobotę późnym rankiem, pielęgniarka wprowadziła do sali dwóch gości: Abrahama Brill-la i Sandora Ferenczego.

Obydwaj uśmiechali się niewyraźnie. Nadrabiali miną, pytając, jak się miewa ich bohater, i nagabując mnie tak długo, aż opowiedziałem im całą historię z Clarą i Norą. Na koniec jednak nie potrafili ukryć smutku. Zapytałem, o co chodzi.

- Wszystko przepadło - odparł Brill. - Przyszedł kolejny list od Halla.
- List skierowany właściwie do pana, Younger - dodał Ferenczi.
- Oczywiście! Mimo to Brill go przeczytał - stwierdziłem.
- Na litość boską, Younger! - wykrzyknął Brill. - Doszły nas pogłoski, że jesteś umierający.
- Co otwiera sezon na czytanie mojej korespondencji.

Okazało się, że list Halla zawierał zarówno dobre, jak i złe wiadomości. Odmówił przyjęcia dotacji dla uniwersytetu, ponieważ nie mógł zaakceptować, by ktokolwiek ograniczał akademicką swobodę uczelni. Podjął także decyzję na temat wykładów Freuda. Jeśli do szesnastej nie usłyszysz od nas, że „Times” nie opublikuje artykułu, który mu przesłano, wykłady zostaną odwołane. Przepraszał za to i zapewniał, że Freud i tak otrzyma obiecane honorarium, on sam zaś wyda oświadczenie, w którym przyczynę nieobecności profesora usprawiedliwi problemami zdrowotnymi. Na zakończenie rektor informował, że w razie odwołania wykładów Freuda zastąpi go ktoś, kogo zapewne wskazałby sam profesor, a mianowicie Carl Jung.

To ostatnie zapewnienie ubodło Brilla najmocniej.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli, kto za tym wszystkim stoi, osobiście połamałbym mu kości - odgrażał się.

Usłyszeliśmy pukanie, uchyliły się drzwi i przez szparę wsadził do środka głowę Littlemore. Kiedy wszedł, przedstawiłem sobie panów i poprosiłem Brilla, żeby opowiedział detektywowi, w jak niezręcznej znaleźliśmy się sytuacji. Opowiedział mu o wszystkim z detalami, kończąc stwierdzeniem, że najgorsze jest to, iż nie wiemy, kto przeciw nam knuje. Komu bowiem mogłoby aż tak bardzo zależeć na udaremnieniu publikacji książki Freuda i odwołaniu jego wykładów w Worcester?

- Jeśli chcecie mojej pomocy, radziłbym zacząć od krótkiej pogawędki z waszym przyjacielem doktorem Smithem Jelliffeem - stwierdził Littlemore.
- Jelliffe miałby za tym stać? To niedorzeczne! Przecież on jest moim wydawcą. Wykłady Freuda w Clark University przyniosłyby mu same korzyści. Od kilku miesięcy poganiał mnie w pracy nad tłumaczeniem.

- To niewłaściwe rozumowanie - odparł Littlemore. - Nie da się od razu wyjaśnić wszystkiego. Ale jedno jest pewne: ten cały Jelliffe wziął od pana maszynopis, po czym zwrócił go z jakimiś dziwadłami i tłumaczył, że to wina drukarza, któremu pożyczył prasę drukarską? W życiu nie słyszałem bardziej naciąganej historii! Na pewno od niego trzeba zacząć.

Próbowali mnie powstrzymać, ale ubrałem się, żeby iść z nimi. Gdybym nie był takim głupcem, poprosiłbym o pomoc przy wiązaniu butów. Omal nie pozrywałem sobie szwów, kiedy się nachylałem. W drodze do Jelliffa zatrzymaliśmy się w mieszkaniu Brilla. Znajdował się tam jeden dowód, który Littlemore chciał ze sobą zabrać.

*

Littlemore skinął na policjanta stojącego w holu rezydencji Balmoral. Funkcjonariusze od rana przeszukiwali pusty obecnie apartament Banwella. Lubiany wcześniej przez policjantów Littlemore został teraz okrzyknięty bohaterem. Wieść o tym, że aresztował Banwella i Hugela, rozeszła się błyskawicznie.

Smith Ely Jelliffe otworzył drzwi w pizanie z ręcznikiem na mokrej głowie. Widok Youngera, Brilla i Ferenczie-go sprawił go w osłupienie. Natychmiast zmieniło się ono w przerażenie, gdy za plecami trzech kolegów po fachu dostrzegł swoją wczorajszą Nemezys w osobie policyjnego detektywa, który przesłuchiwał go w nocy.

- O niczym nie wiedziałem! - wybuchnął. - Wiadomość o tym dotarła do mnie dopiero, jak pan wyszedł. Był w mieście tylko przez kilka godzin. Nie wydarzył się najmniejszy choćby incydent, przysięgam panu. Jest już z powrotem w szpitalu. Może pan zatelefonować i sprawdzić. Zapewniam, że to się już nie powtórzy.

- To wy się znacie? - zapytał Brill, zdziwiony skierowaną do Littlemorea tyradą Jelliffa.

Przez kilka minut Littlemore zadawał Jelliffeowi pytania na temat Harryego Thawa, ku wielkiemu zdziwieniu pozostałych. Zaspokoiwszy ciekawość w tym względzie, detektyw spytał Jelliffe'a, dlaczego wysyłał Brillowi anonimowe groźby, spalił jego książkę, rozsypał popiół w jego mieszkaniu i szkalował profesora Freuda w prasie.

Jelliffe przysięgał, że jest niewinny i zapewniał, że nie ma pojęcia o żadnych groźbach ani spaleniu książki.

- Czyżby? - zdziwił się Littlemore. - Więc kto wsunął między kartki książki Brilla strony z biblijnymi cytatami?

- Nie wiem - odparł Jelliffe. - Pewnie jacyś przedstawiciele Kościoła.

- Akurat - rzucił Littlemore, wyjmując z kieszeni dowód, po który zachodzili do Brilla: kartkę papieru, na której znajdował się cytat z Jeremiasza, ozdobiony głową mężczyzny w turbanie z wyrazem niezadowolenia na twarzy. - Dlaczego w takim razie znalazła się tutaj ta twarz? Niespecjalnie kojarzy mi się z Kościołem.

Jelliffe otworzył usta.

- Co to jest? Znasz ten rysunek? - zapytał Brill.
- Charaka - wyszeptał Jelliffe.
- Co takiego? - zdziwił się Littlemore.
- Charaka to starożytny hinduski lekarz - wyjaśnił Ferenczi. - Mówiłem przecież, że to Hindus. Pamiętajcie? Mówiłem!
- Triumwirat - rzucił Younger.
- Niemożliwe! - wykrzyknął Brill.
- Triumwirat - przyznał Jelliffe.
- Co takiego? - zdziwił się z kolei Ferenczi.
- Już dawno powinniśmy się byli tego domyślić - zwrócił się Younger do Brilla. - Któż inny w Nowym Jorku jest nie tylko w radzie naukowej pisma Mortona Princea, dzięki czemu mógł znać z wyprzedzeniem plany redakcyjne, a jednocześnie ma dość wpływów, by aresztować kogoś w Bostonie z najbliższego powodu?
- Dana - odpowiedział Brill bez wahania.
- A rodzina, która zaoferowała uniwersytetowi dotację? Hall pisał, że jeden z jej członków jest lekarzem obeznanym z psychoanalizą. Rodzina tylko jednego neurologa w całym kraju jest dość bogata, by ufundować szpital.
- Bernard Sachs! - wykrzyknął Brill. - No i mamy też anonimowego lekarza, który się wypowiadał dla „Timesa”. Że też od razu nie rozpoznałem pompacyjnego tonu tego fanfaronu! Starr zawsze się przechwala, że wiele lat temu studiował w paryskiej klinice Jeana Martina Charcota. Mógł tam przecież spotkać Freuda.
- O jakim właściwie triumwiracie panowie mówią? - dopytywał się Ferenczi.

Younger i Brill wyjaśniali mu na zmianę. Raz jeszcze wymienili nazwiska Charlesa Loomisa Dany, Bernarda Sachsa i M. Allena Starra, trzech najbardziej wpływowych neurologów w kraju, znanych powszechnie jako nowojorski Triumwi-rat. Prestiż i nieprawdopodobne wręcz wpływy zawdzięczali jedynej w swoim rodzaju kombinacji osiągnięć zawodowych, genealogii i fortuny. Dana był autorem najpopularniejszego w Ameryce podręcznika na temat chorób nerwowych ludzi dorosłych. Sachs cieszył się światową renomą, zwłaszcza z powodu swojej pracy nad chorobą (po raz pierwszy opisaną przez Brytyjczyka Warrena Taya) i pierwszej w literaturze książki na temat neurologii dziecięcej. Sachswie nie mogli się równać z Danami, bo ci szczylicili się najlepszym chyba drzewem rodowym. Zresztą jako wyznawcy niewłaściwej religii nie mogli w ogóle bywać w towarzystwie. Ale byli bogatsi. Brat Bernarda Sachsa poślubił córkę Goldmanów, a prywatny bank, który powstał w rezultacie tego mariażu, właśnie zaczynał być głównym bastionem na Wall Street. Starr był profesorem Columbia University i najmniej znaczącą postacią z całej trójki.

- To stary gaduła - podsumował go Brill. - Marionetka w rękach Dany.

- Ale dlaczego miałyby im zależeć na zniszczeniu Freuda? - spytał Ferenczi.
- Ponieważ są neurologami i teorie Freuda ich przerażają - odparł Brill.
- Nie rozumiem.
- Są wyznawcami szkoły somatycznej - wyjaśnił Younger. - A więc uważają, że choroby nerwowe wynikają z nieprawidłowego funkcjonowania systemu nerwowego człowieka, a nie z przyczyn psychologicznych. Nie wierzą, że urazy z dzieciństwa mogą powodować konsekwencje zdrowotne w dorosłym życiu ani że tłumienie popędu seksualnego często kończy się chorobą psychiczną. Psychoanalizę obłożyli anatema i nazywają ją kultem.
- Zrobili to wszystko z powodu naukowych kontrowersji? Dlatego właśnie spalili książkę, wysyłali groźby i rozpuszczali fałszywe oskarżenia?
- Nauka nie ma z tym nic wspólnego - zaproponował Brill.
- Neurologi trzymają na wszystkim łapę. To oni są specjalistami, jak się powszechnie mawia, od nerwów. Wszystkie kobiety ich odwiedzają, by leczyć histerię, palpacje, lęki i frustracje. Praktyka przynosi każdemu z nich miliony dolarów. Mają więc prawo widzieć w nas choćby i same diabły. Jesteśmy dla nich groźni, bo możemy ich wyprzeć z rynku. Nikt nie zasięgnie porady neurologa, jeśli stanie się powszechnie wiadome, że choroby psychiczne mają źródło w psychice, a nie w systemie nerwowym.
- Dana był na pańskim przyjęciu, Jelliffe. Był do Freuda nastawiony wyjątkowo niechętnie. Czy wiedział o planach publikacji jego książki? - zapytał Younger.
- Tak - padła odpowiedź. - Ale on by jej nie spalił. Zachęcał mnie do publikacji i znalazł mi nawet redaktora, który znacznie przyspieszył pracę nad tekstem.
- Redaktora? - zainteresował się Younger. - Czy ów redaktor nie wynosił przypadkiem tekstu z wydawnictwa?
- Oczywiście. Na tym przecież polega rola redaktora. Zabierał książkę do domu i tam nad nią pracował.
- No to wszystko jasne - wtrącił Brill. - Bydlak!
- Co to jest ta Charaka? - zapytał Littlemore.
- To ich klub - wyjaśnił Jelliffe. - Jeden z najbardziej elitarnych w Nowym Jorku. Bardzo trudno się do niego dostać. Członkowie noszą obrączkę, na której wygrawerowano twarz. Taką jak ta tutaj.
- Ależ to zwyczajna koteria! Tajne przysiężenie - wtrącił Brill.
- Tylko że naukowcy nie spaliliby książki i nie rozsypali popiołu w mieszkaniu Brilla - zaprotestował Ferenczi.
- Pewnie palą też kadzidła i składają w ofierze dziewice

- odparował mu Brill.
- Pytanie brzmi, czy to oni stoją za wywiadem z Jungiem i tekstem o Freudzie - stwierdził Younger.
- Tego musimy się teraz dowiedzieć.
- Stoją? - zapytał Jelliffee Littlemore.
- No cóż. Słyszałem kiedyś, jak o tym rozmawiali. I to oni zorganizowali wykłady Junga w Fordham University.
- I wszystko jasne - podsumował Brill. - Promują Junga, żeby zniszczyć Freuda. A Hall daje się na to nabierać. Co zrobimy? Jesteśmy zbyt słabi, żeby pokonać Charlesa Dana.
- Nie byłbym taki pewien - powiedział Littlemore, zwracając się znów do Jelliffee: - W nocy wspomniał pan nazwisko Dana. Czy to ten sam człowiek?

Jelliffee skinął głową.

Służący w małym, ale eleganckim domu na Pięćdziesiątej Trzeciej przy Piątej Alei poinformował nas, że pana doktora nie ma w domu.

- Proszę przekazać, że detektyw z policji miejskiej chce mu zadać kilka pytań dotyczących Harry'ego Thawa - odparł Littlemore. - Aha, i proszę wspomnieć, że ten detektyw właśnie wrócił od doktora Smitha Jelliffee'a. Może jednak, jak to usłyszysz, okaże się, że jest w domu.

Za radą detektywa do domu Charlesa Dana wybraliśmy się tylko we dwóch. Brill i Ferenczi wrócili do hotelu.

Zbudowany z czerwonej cegły dom Dana nie miał w sobie nawet odrobiny jarmarcznego przepychu apartamentu Jelliffee'a czy innych domów wzniesionych niedawno przy Piątej Alei, włącznie z rezydencjami kilkorga moich krewnych. Meble były ładne, ale nie ciężkie. Weszliśmy do holu. Dana wynurzył się z biblioteki, ciemnej, bo od góry do dołu zastawionej książkami. Zamknął za sobą drzwi i przywitał się z nami. Niewątpliwie zaskoczyła go moja obecność, nie dał jednak tego po sobie poznać. Zapytał, jak się ma ciotka Maime, ja natomiast zadałem kilka kurtuazyjnych pytań o zdrowie jego krewnych. Nie zainteresował go zupełnie powód, dla którego towarzyszyłem policyjnemu detektywowi. Takt i swoboda tego człowieka naprawdę zasługiwały na podziw. Dawałem mu jakieś sześćdziesiąt lat i pewnie tyle właśnie miał. Zaprowadził nas do pokoju, w którym, jak sędzę, załatwiał sprawy służbowe i przyjmował pacjentów.

Nasza rozmowa z Daną była krótka. Littlemore przybrał zupełnie inny ton niż podczas wizyty u Jelliffee'a - tam był napastliwy, atakował rozmówcę i zmuszał do obrony, stawiając mu zarzuty. Tutaj nie blefował, zadawał bardziej wyważone pytania. Ale wyraźnie dawał gospodarzowi do zrozumienia, że wie więcej, niż ten by sobie tego życzył.

Doktor Dana nie miał w sobie ani odrobiny służalczości Jelliffee'a. Przyznał, że Thaw zaangażował go do grona swoich obrońców, ale w odróżnieniu od Jelliffee'a odgrywał tylko rolę doradcy. Nie wydawał też nigdy żadnej opinii na temat stanu zdrowia psychicznego oskarżonego.

- Czy wiedział pan o planowanym przyjeździe pana Thawa do Nowego Jorku podczas ubiegłego

weekendu?

- To pan Thaw był podczas ubiegłego weekendu w Nowym Jorku?
- Jelliffe twierdzi, że to pan o tym zdecydował.
- Nie ja jestem lekarzem pana Thaw, detektywie, tylko Jelliffe. Zakończyłem wszelkie zawodowe kontakty z panem Thawem w ubiegłym roku, o czym świadczą odpowiednie zapisy w dokumentacji medycznej. Doktor Jelliffe od czasu do czasu zwracał się do mnie z prośbą o konsultację i w miarę możliwości udzielałem mu porad. Nie wiem natomiast, jakie decyzje podjął ostatecznie doktor Jelliffe, a już z pewnością nie mogę potwierdzić, że podejmowałem sam te decyzje.
- No cóż, chyba powinienem pana aresztować za współudział w ucieczce z placówki penitencjarnej, ale wygląda na to, że trudno byłoby mi to udowodnić.
- Szczerze wątpię, by się to panu udało. Nawet gdyby pan spróbował i tak prędzej ja doprowadziłbym do zwolnienia pana z policji, detektywie.
- Sądzę, że nie mógł pan też podjąć żadnych decyzji związanych z kradzieżą książki doktora Abrahama Brilla, spaleniem jej i rozrzuceniem popiołów w jego mieszkaniu, doktorze Dana? - ciągnął niewzruszony tymi pogroźkami Littlemore. Po raz pierwszy od początku naszej wizyty Dana wydał mi się zakłopotany- Nosi pan ładną obrączkę... a może to sygnet? - kontynuował Littlemore.

Nie zauważyłem wcześniej lśniącego sygnetu. Dana zaplótł palce, nie próbując jednak przy tym zakryć pierścienia i rozparł wygodniej w fotelu.

- Czego pan chce, panie Littlemore? - zapytał i zaraz zwrócił się do mnie. - A może pytanie to powinienem skierować do pana, doktorze Younger?

Odchrząknąłem.

- To stek kłamstw - stwierdziłem. - Zarzuty postawione profesorowi Freudowi są fałszywym oskarżeniem. Co do jednego!
- Przyjmijmy, że wiem, o czym pan mówi - odparł Dana.
- Pytam ponownie: czego pan chce?
- Jest piętnasta trzydzieści. Za pół godziny wyślę depezę do Worcester, do G. Stanleya Halla. Zamierzam go poinformować, że pewien tekst nie ukaże się jutro w gazecie „New York Times”. I chcę, żeby ta informacja okazała się prawdziwa.

Dana siedział w milczeniu, wytrzymując moje spojrzenie.

- Powiem panu, na czym polega problem - odezwał się w końcu. - Otóż nasza wiedza na temat mózgu człowieka jest dalece niekompletna. Nie mamy lekarstw, pozwalających zmienić sposób, w jaki myślimy. Nie da się lekami pozbawić nas złudzeń. Nie wiemy, co zrobić, by człowiek dał upust swoim seksualnym żądzom, nie doprowadzając jednocześnie do drastycznego przeludnienia Ziemi. Nie ma leku, który gwarantowałby ludziom szczęście. Wszystko to neurologia, o czym pan wie

doskonale. I tak być musi. Psychoanaliza cofnie nas o setki lat. Jej tolerancja dla rozwiązłości spodoba się masom. Jej tolerancja dla lubieżności wyda się atrakcyjna młodym naukowcom i wielu ich starszym kolegom. Zmieni masy w ekshibicjonistów, a lekarzy w mistyków. Pewnego dnia jednak wszystkim spadną z oczu łuski i ujrzą nagą prawdę, jak ta o nowych szatach cesarza. Prędzej czy później odkryjemy lekarstwa, które będą wywierały wpływ na to, jak ludzie myślą. Pewnego dnia farmakologicznie zapanujemy nad emocjami i popędami człowieka. Problem tylko w tym, czy zostanie nam jeszcze dość wstydu, by z zażenowaniem patrzeć, jak wszyscy wokół biegają nago. Niech pan wysyła swój telegram, doktorze Younger. Będzie prawdziwy; przynajmniej na razie.

Wyszliśmy z domu Dany. Littlemore odwoził mnie policyjnym autem.

- Wiem, doktorze, co pan czuje do Nory, ale czy nie sądzi pan, że... Dlaczego ona to zrobiła?

- Dla Clary.

- Ale dlaczego?

Nie odpowiedziałem.

- Każdy robił coś dla Clary Banwell - powiedział Littlemore, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Ona za to sprowadzała dziewczęta Banwellowi - powiedziałem.

- Wiem - odpowiedział Littlemore.

- Wie pan?

- Wczoraj wieczorem Nora opowiadała Betty i mnie o pracy, jaką wykonywała z Clarą na rzecz biednych rodzin imigrantów zamieszkałych w centrum miasta. Nie brzmiało to zbyt przekonywająco, przynajmniej nie po tym wszystkim, czego się w tej sprawie dowiedziałem. W każdym razie nabrałem podejrzeń i poprosiłem Norę, by podała mi kilka adresów, pod które zaszedłem dzisiaj rano. Istotnie, odnalazłem rodziny, którym Clara rzekomo pomagała. Ich członkowie nie bardzo chcieli ze mną rozmawiać, ale w końcu wydobyłem z nich informacje. Ohydne informacje, doktorze. Clara wyszukiwała dziewczęta z rodzin bez ojców, a czasem pełne sieroty. Naprawdę młode dziewczęta, trzynasto-, czternasto- i piętnastolatki. Opłacała milczenie opiekunów i podsuwała je Banwellowi.

Przez chwilę Littlemore prowadził auto w milczeniu.

- Dowiedział się pan, jak powstało przejście do sypialni Nory?

- Tak. Banwell powiedział nam dzisiaj także i to - odparł detektyw. - Zrzuca całą odpowiedzialność na Clarę. Nie podejrzewał ani przez chwilę, że ona działała na jego zgubę. Przynajmniej do wczoraj. Trzy albo cztery lata temu Ac-tonowie zlecili mu przebudowę domu przy Gramercy Park. Wtedy właśnie się poznali.

- I wtedy Banwella ogarnęła obsesja na punkcie Nory

- wtrąciłem.

- Na to wygląda. Miała wtedy czternaście lat, ale Banwell pożądał jej bardziej niż czegokolwiek na świecie. Sprowadził do domu ekipę i chłopcy odnaleźli stare, sekretne przejście prowadzące z drugiego piętra domu do szopy w ogrodzie na tyłach domu. Actonowie nie mieli o nim pojęcia, a ponieważ nie było ich wtedy w mieście, Banwell nigdy im tego sekretu nie zdradził. Kazał wyremontować i przebudować przejście tak, żeby można było z niego korzystać, nie przechodząc przez posesję Actonów, a dom po remoncie zaprojektował tak, by pokój, do którego prowadziło tajemne przejście, stał się sypialnią Nory. Pytałem go, czy zamierzał wejść tam pewnego dnia nocą, by zgwałcić Norę. I wie pan co, doktorze? Roześmiał mi się w twarz! Powiada, że nigdy nie zgwałcił żadnej kobiety, bo one wszystkie tego chciały. Zdecydowany był Norę uwieść, a potrzebował do tego wyłącznie dostępu do jej sypialni bez wiedzy rodziców. Ale jak się domyślam, Nora dała mu odpór.

- Właśnie. Odrzuciła go - przytaknąłem.

- Tak i on nam powiedział, składając zeznania pod przysięgą. Powiada, że nawet jej nie dotknął, a z przejścia do sypialni po raz pierwszy skorzystał w tym tygodniu. Moim zdaniem to był dla niego wstrząs. Chyba wcześniej żadna młoda dziewczyna nie odrzuciła jego zalotów.

- Możliwe. A może jest w niej naprawdę zakochany.

- Tak pan sądzi, doktorze?

- Tak sądzę. Dlatego Clara postanowiła zdobyć dla niego Norę.

- Jak zamierzała tego dokonać?

- Chyba chciała rozkochać Norę w sobie.

- Co takiego? - zdziwił się Littlemore. Nie zareagowałem. - Na ten temat nic nie wiem, ale mogę panu powiedzieć tyle, doktorze Younger: Banwell twierdzi, że to Clara wpadła na pomysł, by Nora udawała Elizabeth Riverford. W Balmo-ralu zbudował kolejne sekretne przejście, tam akurat łączące jego własny gabinet z apartamentem, w którym wymościł jej przytulne gniazdko. Urządził je dokładnie tak, jak chciał: wielkie mosiężne łóżko, jedwabna pościel i różne takie. Szafy wypełnił bielizną i futrami, a w jednej, która zawsze była zamknięta, trzymał kilka własnych garniturów. Jeśli można wierzyć Banwellowi, jakiś czas temu Clara go poinformowała, że Nora powiedziała wreszcie tak. Pomysł polegał na tym, że Nora wynajmie apartament z sekretnym przejściem pod fałszywym nazwiskiem. Miała się tam zjawiać na spotkania z nim, kiedy tylko znajdzie sposobną chwilę. Nie wiem, jaka jest prawda. Nie chciałem pytać o to Nory.

Ja wiedziałem. Nora opowiedziała mi o wszystkim poprzedniej nocy, kiedy czekaliśmy na przybycie policji.

Któregoś lipcowego poranka Clara, zalewając się łzami, wyznała Norze, że nie zniesie dłużej katuszy zadawanych jej przez małżonka. George chłoscze ją codziennie i gwałci niemal każdej nocy. Stwierdziła, że boi się o życie i dlatego nie może go zostawić, ponieważ z pewnością by ją zabił, gdyby się na to poważyła.

Nora przyjęła to wyznanie z bezbrzeżnym przerażeniem. Clara powiedziała jej, że nic nie da się zrobić. Owszem, jedno mogłoby ją uratować, ale jest to niestety niemożliwe. Wyjaśniła, że zna

pewnego człowieka na wysokim stanowisku w nowojorskiej policji, oczywiście miała na myśli Hugela, którego poznała, gdy zmarła dziewczyna w jednej z tych rodzin biednych imigrantów, którym obydwie pomagały. Ponoć w chwili słabości wyjawiała owemu policjantowi swoje położenie i ten bardzo jej współczuł. Stwierdził jednak, że wymiar sprawiedliwości jest bezsilny, ponieważ mąż ma pełne prawo posiadać żonę zgodnie z własną wolą. Gdy jednak Clara dodała, że George gwałcił także inne kobiety, a nawet młode dziewczęta, których rodzinom płacił następnie za milczenie, i że przynajmniej jedna z tych dziewcząt została zabita, ko-roner się wściekł. Wpadł na pomysł upozorowania morderstwa, o które zamierzał oskarżyć Banwella.

W apartamencie, który George wynajmował dla swoich kochanek, miała zostać znaleziona martwa dziewczyna. Trzeba tylko zadbać, by wszystko wskazywało na to, że to George ją zabił. Upozorowanie morderstwa jest możliwe, ponieważ sam koroner zobowiązał się dostarczyć lek, który uśpi dziewczynę na czas dłuższy, a oględzin ciała w celu stwierdzenia zgonu także dokona osobiście. Dowody rzeczowe podrzucone w miejscu rzekomej zbrodni obciążą Banwella.

Clara przekonała Norę, że ten diabelski plan wyszedł od koronera. Dziewczyna była zdumiona jego odwagą i zastanawiała się, czy coś takiego w ogóle jest możliwe. Clara odrzekła, że oczywiście nie, ponieważ ona nigdy nie zdobędzie się na to, by poprosić inną kobietę o odegranie roli kochanki i ofiary Banwella. Tak więc nadal musi znosić w pokorze swój godny pożalowania związek.

Właśnie wtedy Nora oświadczyła jej, że gotowa jest podjąć się tej roli. Clara odparła, udając zszokowaną, że nie może na to pozwolić, ponieważ rzekoma ofiara Banwella musiałaby pozwolić, by zrobiono jej krzywdę. Nora zapytała, czy przez krzywdę ma rozumieć gwałt. Usłyszała w odpowiedzi, że nie, ale musiałaby zostać związana, może nawet była duszona i potem miała ślady na ciele. Nora się zdecydowała, że to robi, i wtedy obydwie przystąpiły do sprecyzowania planu.

Nora nie wie, co dokładnie stało się tamtej nocy w Bal-moralu, czego powodem było niewątpliwie wywołujące kata-lepsję lekarstwo koronera. Pamięta tylko, że Clara powtarzała wciąż, że nie wolno jej krzyczeć i że ciągle zapominała, jak brzmi jej fałszywe imię. Cała reszta rozmywa się w ciemności.

- Ja natomiast wiem, co się działo dalej - powiedział Little-more, gdy skończyłem relacjonować, co mi wyznała Nora.

- Dziewczyna obudziła się w poniedziałek rano w miejskiej kostnicy. Obok niej był Hugel. Przekazał jej złe wieści. Zniknął jedwabny krawat z monogramem, który miał obciążać Banwella - dowód rzeczowy, który miał zostać znaleziony na miejscu zbrodni. Jak tylko Banwell dowiedział się o morderstwie, skorzystał z sekretnego przejścia. Musiał zabrać z szafy wszystkie swoje ubrania, które mogłyby go powiązać ze sprawą. Zabrał więc i jedwabny krawat.

- Ale przecież Banwell był wtedy z burmistrzem poza miastem! - wtrąciłem. - Czyżby o tym nie wiedzieli?

- Nie. Żadne z nich nie miało o tym pojęcia. Banwell planował zjeść kolację w mieście. Wypad z burmistrzem do Sarnac Inn był nieplanowany. Wszystko odbyło się w wielkim pośpiechu. Nie było sposobu, by mogła się o nim dowiedzieć Clara, ponieważ w letniej rezydencji Banwellów nie ma telefonu. Kobieta wymknęła się więc z Tarry Town, niezauważona przez nikogo weszła do Balmoralu, zrobiła, co trzeba, z Norą i wróciła na wieś. Hugelowi natomiast kazała określić godzinę zgonu na czas

między pierwszą a drugą w nocy, ponieważ Banwell miał mniej więcej wtedy wrócić z kolacji w mieście.

- Ale następnego ranka Banwell zobaczył na szyi dziewczyny swój krawat i usunął go, zanim jeszcze pojawił się Hugel - domyśliłem się.

- Otóż to. Bez krawata jako dowodu rzeczowego Hugel miał kłopot. Nie mogąc skontaktować się z Clarą, postanowił więc upozorować kolejną napaść, tym razem w domu Nory, i tam podrzucić kolejny dowód rzeczowy. Musiał mieć podstawę, by postawić Banwella w stan oskarżenia, bo taka była umowa z Clarą. Zapłaciła mu dziesięć tysięcy dolarów z góry i obiecała dołożyć kolejne trzydzieści tysięcy, jeśli mąż zostanie skazany. Tym drugim razem znowu coś poszło niezgodnie z planem. Nie wiem jednak, co to było, bo Hugel nie chce o tym mówić.

I znów ja mogłem uzupełnić wiedzę detektywa. Nora zgodziła się na kolejną mistyfikację, ponieważ nadal sądziła, że ratuje Clarę, ale także dlatego, iż nie miała pojęcia, jak inaczej mogłaby wytłumaczyć, skąd się wzięły wszystkie blizny, które zobaczyła na swoim ciele. Tym razem koroner miał ją tylko związać i zostawić, bez bicia. Tak też się stało. Notabene właśnie dlatego Nora nie potrafiła odpowiedzieć na moje proste pytanie, czy jakikolwiek mężczyzna kiedykolwiek ją biczował; pytałem o mężczyznę, a ona bała się wyznać mi prawdę, ponieważ Clara utwierdziła ją w przekonaniu, że obawia się śmierci z rąk męża.

Gdy jednak koroner związał Norę, zaczął się dziwnie zachowywać. Gapił się na nią, pocił i z trudem przełykał ślinę. Nie groził jej, nie molestował, tylko ciągle poprawiał krępujące ją więzy i najwyraźniej nie zamierzał wyjść, jak było zaplanowane. W końcu zaczął się o nią lubieżnie ocierać.

- Najprawdopodobniej koroner całkiem stracił kontrolę nad sobą - stwierdziłem, nie wdając się w szczegóły. - I Nora zaczęła krzyczeć.

- A wtedy Hugel wpadł w panikę, tak? - wtrącił Little-more. - Miał przy sobie spinkę do krawata Banwella, którą zamierzał zostawić w sypialni. W panice jednak zapomniał o niej, wyrzucił ją więc w ogródzie, sądząc, że znajdziemy ją tam podczas przeszukiwania terenu.

- Kiedy koroner uciekł, Nora nie miała pojęcia, co zrobić. Zaplanowali, że Hugel poda jej jakieś lekarstwo, po którym straci przytomność, ale tego nie uczynił. Wtedy właśnie dziewczyna postanowiła udawać, że straciła głos i kompletnie nie pamięta, co się stało. Wpadła na ten pomysł, ponieważ kilka lat wcześniej naprawdę utraciła głos i naprawdę cierpiała na amnezję w związku z nocnymi wydarzeniami w Balmoralu. A czy wie pan - zapytałem - dlaczego Ban-well zatopił kufer w kesonie?

- Był w potrzasku. Proszę się zastanowić, doktorze. Gdyby pozwolił nam przejrzeć rzeczy z apartamentu, na pewno powiązalibyśmy Banwella z lokatorką i wsadzili za morderstwo. Nie mógł także powiedzieć, że Elizabeth to Nora. Nawet gdybyśmy mu uwierzyli, stałby się bohaterem potwornego skandalu i pewnie poszedłby do więzienia za uwodzenie nieletniej. Poinformował więc burmistrza, że odesłał rzeczy Elizabeth do Chicago, tymczasem wpakował je do kufra i wywiózł do kesonu. Sądził, że miejsce jest idealne, dopóki nie natknął się na Malleya.

- Prawie udało mu się nas okpić - stwierdziłem.

- Z Malleyem?

- Nie. Kiedy poparzył Norę.

Myśl o tym wzbudziła we mnie odczucie, że zabiłem niewłaściwą osobę, choć także nosiła nazwisko Banwell.

- Racja - zgodził się Littlemore. - Chciał wszystkim zasugerować, że Nora oszalała i sama się okalecza, konfabulu-jąc o napadach. Uznał, że jeśli w to uwierzemy, wymiga się od kary, bo zdoła odrzucić każde oskarżenie. Nikt nie uwierzy przecież wariatce, cokolwiek by powiedziała.

- Dlaczego więc wczoraj w nocy chciał zabić Norę?

- Nora wysłała do Clary list, w którym napisała, że doniesie policji o wszystkim, co Banwell robił Clarze i innym kobietom, tym z rodzin emigrantów. Banwell chyba go przeczytał.

- Zastanawiam się, czy Clara specjalnie mu pokazała ten list.

- Możliwe - odparł Littlemore. - Tymczasem Hugel zjawił się w apartamencie Banwellów i chciał rozmawiać z Clary. Banwell był wtedy w domu i zaczęło do niego powoli dochodzić, że to wszystko było ukartowane. Wieczorem związał Clary, żeby nie wchodziła mu w drogę, i pojechał do Actonów. W tym samym czasie ja natknąłem się na sekretne przejście w Balmoralu. I znalazłem związaną Clary. Wyśmienicie grała! Powiedziała mi, że jej mąż pojechał zabić Norę. Ale zrobiła to w taki sposób, jakbym to ja z niej z wielkim trudem tę wiadomość wyciągnął. Chyba nie miała pojęcia, że Nora nie ma w domu. Skąd ona właściwie się dowiedziała, że dziewczyna wróciła do hotelu?

- Nora do niej zatelefonowała. A co z Chińczykiem?

- Leonem? Nigdy go nie znajdziemy - odparł Littlemore.

- Dzisiaj długo rozmawiałem z Chongiem. Chyba w końcu powiedział mi prawdę. Jakiś miesiąc temu kuzyn Leon zjawił się u niego i oświadczył, że pewien bogaty facet im zapłaci, jeśli uwolnią go od pewnego kufra. Tego samego wieczoru pojechali we dwóch do Balmoralu, zabrali stamtąd kufer i przewieźli taksówką do mieszkania Leona. Następnego dnia Leon spakował swoje rzeczy. Chong zapytał go, dokąd jedzie. Odparł, że najpierw do Waszyngtonu, a potem wraca do Chin. Chong się wtedy zdenerwował i zaczął wypytywać, co jest w kufrze. Usłyszał, że jak chce wiedzieć, to niech go otworzy i sam sprawdzi. Tak też uczynił i znalazł w środku martwą dziewczynę Leona. Kiedy powiedział, że policja na pewno skojarzy to morderstwo z Leonem, jak tylko znajdzie ten kufer w jego mieszkaniu, ten się roześmiał i powiedział, że o to właśnie chodzi. Kazał mu także następnego dnia iść do Balmoralu, to dostanie dobrą pracę. Chong się wściekł. Zrozumiał, że Leon zainkasował za to naprawdę duże pieniądze. Inaczej przecież nie wracaliby do kraju. I - jak to Chińczyk - zaczął się targować: zażądał dwóch posad, a nie jednej, Leon więc załatwił mu i drugą pracę.

Zajechaliśmy pod hotel, każdy zatopiony we własnych myślach.

- Jeszcze jedno - odezwał się Littlemore. - Dlaczego Clara włożyła tak wiele wysiłku, by zdobyć Norę dla Banwella, skoro była o nią zazdrosna? To przecież nie ma sensu.

- Nie wiem - odparłem, wysiadając z samochodu. - Niektórzy ludzie odczuwają potrzebę ściągania na siebie tego, co przysparza im bólu i cierpienia.

- Naprawdę?
- Naprawdę.
- Ale dlaczego?
- Nie mam pojęcia, detektywie. To nieodgadniona zagadka.
- A właśnie! Nie jestem już detektywem. Burmistrz awansował mnie do stopnia porucznika.

Na przystani przy South Street zmoczył nas ulewny deszcz. W sobotę wieczorem staliśmy przy burcie statku z Nowego Jorku do Fall River: Freud, wyraźnie niezadowolony Jung, Brill, Ferenczi i ja. Kiedy ładowano na pokład ich bagaże, Freud wziął mnie na stronę.

- Nie jedzie pan z nami? - zapytał spod parasola.
- Nie, profesorze - odpowiedziałem mu spod swojego.
- Lekarz uznał, że przez kilka dni nie powinienem podróżować.
- Rozumiem - powiedział sceptycznie. - Nora oczywiście zostaje w Nowym Jorku.
- Tak - stwierdziłem.
- Ale jest jeszcze coś, prawda? - spytał, gładząc się po brodzie.

Wolałem zmienić temat.

- Jak pańskie relacje z doktorem Jungiem, profesorze? Jeśli wolno mi spytać.

Dowiedziałem o niezwyklej scenie, która doszło między Freudem a Jungiem ubiegłej nocy

- Lepiej - odpowiedział. - Wydaje mi się, że był zazdrosny o pana, Younger.
- O mnie?
- Tak, o pana. W końcu do mnie dotarło, że powierzenie panu analizy Nory Acton odebrał jako brak zaufania. Wy tłumaczyłem mu, że wybrałem pana tylko dlatego, że pan tutaj mieszka, i nasze stosunki polepszyły się natychmiast
- wyjaśnił. Przez chwilę patrzył na spadające krople deszczu. - Ale obawiam się, że nie na długo.
- Nie rozumiem pani Banwell, profesorze - wyznałem. - Nie rozumiem uczuć, które żywiła dla panny Acton.

Freud przez chwilę się zastanawiał.

- Cóż, Younger. Rozwiązał pan zagadkę. Niezwykłą zagadkę.
- To pan ją rozwiązał, panie profesorze. Ostrzegł mnie pan wczoraj, że wszyscy znajdują się w

orbicie Clary Banwell i że jej przyjaźń z Norą nie jest całkiem niewinna. A ja naprawdę nie rozumiem postępowania Clary Banwell, panie profesorze. Nie potrafię dociec, czym się kierowała.

- Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że Nora była dla pani Banwell lustrem, w którym widziała samą siebie sprzed dziesięciu lat. Ten obraz jej uświadamiał, kim się stała. Oczywiście, nie wyjaśnia to chęci zepsucia Nory i zadawania jej bólu. Musi pan także pamiętać o latach cierpienia, które znosiła jako dobrowolna ofiara sadysty.

- A przecież z nim była. Przez te wszystkie lata musiało ją trzymać coś więcej niż tylko pieniądze. Czyżby była masochistką?

- Nie ma czegoś takiego, Younger, w czystej postaci. Każdy masochista jest jednocześnie sadystą. W każdym razie u mężczyzn masochizm jest zwykle wtórny i wyjaśniamy go jako sadyzm skierowany przeciwko sobie samemu. Pani Banwell miała niewątpliwie wiele cech męskich. Plany zniszczenia męża mogła snuć od długiego czasu.

Miałem jeszcze jedno pytanie, nie wiedziałem tylko, jak je sformułować. Nie byłem nawet pewien, czy powinienem to pytanie zadawać, zdecydowałem jednak, że to zrobię.

- Czy homoseksualizm jest patologią, panie profesorze?

- A więc zastanawia się pan, czy Nora jest homoseksualna - stwierdził.

- Jestem dla pana aż tak przejrzysty?

- Żaden człowiek nie zdoła utrzymać tajemnicy. Nawet jeśli milczą usta, tajemnice zdradzają koniuszki palców.

Oparłem się przemożnej chęci spojrzenia na czubki własnych palców.

- Nie musi pan patrzeć sobie na palce - ciągnął Freud.

- Nie jest pan przejrzysty, mój chłopcze. Po prostu zadaję sobie pytanie, co sam odczuwałbym na pańskim miejscu. Odpowiem jednak na pańskie pytanie. Homoseksualizm nie jest z pewnością zaletą, nie może jednak zostać zaklasyfikowany jako choroba. Nie jest powodem do wstydu, ułomnością ani nie zasługuje na potępienie. Zwłaszcza u kobiet może się wiązać z narcyzmem, uwielbieniem samej siebie, które każe kierować popęd na inne osoby tej samej płci. Ale homoseksualizm nie wydaje mi się pasować do Nory. Powiedziałbym raczej, że została uwiedziona. Powinienem był natychmiast dostrzec jej miłość do Clary Banwell, ponieważ najsilniej zaznaczała się w życiu mentalnym dziewczyny. Pierwszego dnia powiedział mi pan, jak czule Nora wyrażała się o Clarze Banwell, choć oczywiście powinna być wściekle zazdrosna o kobietę, która miała kontakty seksualne z jej ojcem. Wszak sama takiego właśnie kontaktu z ojcem chciała. Tylko naprawdę silne uczucie do pani Banwell mogło w niej zagłuszyć tę zazdrość.

Nie mogłem całkowicie zgodzić się z tą uwagą, w odpowiedzi pokiwałem więc tylko głową.

- Nie zgadza się pan ze mną? - zapytał Freud.

- Nie wierzę, by Nora była zazdrosna o Clarę - odparłem.

- Nie w ten sposób.

Freud uniósł brwi.

- Może pan w to wątpić, tylko jeśli zakwestionuje pan kompleks Edypa - powiedział. - Aha! - powiedział przeciągle. - Aha! - powtórzył, wziął głęboki oddech, westchnął ciężko i zaczął mi się uważnie przyglądać. - Więc to dlatego nie jedzie pan z nami do Clark University?

Przez chwilę się zastanawiałem, czy nie porozmawiać z Freudem o mojej reinterpretacji kompleksu Edypa. Bardzo chciałem to zrobić, a bardziej nawet jeszcze podyskutować z nim o Hamlecie. Nie potrafiłem jednak się na to zdobyć. Wiedziałem, ile wycierpiał przez Junga, gdy ten chciał go zdradzić. Uznałem więc, że zrobię to przy innej okazji. Miałem przecież pojechać do Worcester we wtorek rano, a więc jeszcze przed jego pierwszym wykładem.

- W takim razie chciałbym porozmawiać z panem jeszcze o jednym, zanim się rozstaniemy. Nie jest pan pierwszy, który odrzuca kompleks Edypa. Nie jest pan także ostatni. Ale pan akurat może mieć wyjątkowe powody związane z moją osobą. Podziwiał mnie pan z daleka, mój chłopcze. W takich sytuacjach zawsze mamy do czynienia z jakąś formą tej miłości, którą darzy się ojca. Kiedy się tu zjawiłem i mógłby pan scementować nasze wzajemne relacje, boi się pan tego uczynić w obawie, że zabiorę panu siebie podobnie jak zrobił to pański ojciec. Dlatego postanowił pan ubiec moje odejście, zaprzeczając istnieniu kompleksu Edypa.

Deszcz padał coraz intensywniej. Freud w milczeniu patrzył na mnie swoimi dobrotliwymi oczami.

- Ktoś panu powiedział, że mój ojciec popełnił samobójstwo...

- Tak.

- Ale to nieprawda.

- Zaiste?

- To ja go zabiłem.

- Co takiego?

- To był jedyny sposób, w jaki mogłem pokonać własny kompleks Edypa - odparłem.

Zmierzył mnie wzrokiem. Przez chwilę się obawiałem, że może potraktować moje słowa poważnie. Ale on się roześmiał i uściśnął mi dłoń. Podziękował za pomoc i opiekę w Nowym Jorku, szczególnie zaś za uratowanie wykładów w Clark University. Odprowadziłem go na pokład. Jego twarz wydała mi się bardziej poorana zmarszczkami niż w dniu, gdy przyjechał do Ameryki. Schodząc już na nabrzeże, usłyszałem, jak woła mnie po imieniu. Stał przy barierce, a ja na trapie.

- Będę z panem szczery, chłopcze - powiedział spod parasola. - Nie podoba mi się ten pański kraj. Niech się pan ma na baczności. Tutaj wychodzą z ludzi najgorsze cechy: prymitywizm, ambicja, okrucieństwo. Za dużo tu pieniędzy. Dostrzegam też oczywiście pruderię, z której pańska ojczyzna słynie, ale to kropla w morzu waszych wad. Ten kraj utonie w powodzi przyjemności, po które sięgają jego mieszkańcy. Boję się, że Ameryka jest pomyłką. Gigantyczną, potężną i zdumiewającą, ale

jednak pomyłką.

Było to moje pożegnanie z Freudem na zawsze. Tego samego wieczoru zabrałem Norę na taras widokowy znajdujący się na dachu budynku Gillendera, stojącego u zbiegu ulic Nassau, Broad i Wall. Choć w miejscu tym codziennie powstawały i ginęły olbrzymie fortuny, w sobotę po zmroku Wall Street świeciła pustkami.

Do Actonów udałem się prosto z przystani po odprowadzeniu Freuda. Pani Biggs przywitała mnie jak starego przyjaciela. Harcourta ani Mildred Acton nie było na dole. Widocznie nie przyjmowali gości tego dnia. Zapytałem o Norę. Pani Biggs poszła na górę i po chwili zjawiła się Nora.

Żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. W końcu zapytałem, czy zechciałyby się przejść, zaznaczając przy tym, że byłoby to wskazane ze względów zdrowotnych. Nagle zacząłem się bać, że mi odmówi i nigdy więcej jej już nie zobaczę.

- Dobrze - powiedziała.

Deszcz ustał. W powietrzu unosił się przyjemny zapach mokrych chodników, który w mieście uchodzi za świeży. W centrum płyty chodnikowe ustąpiły miejsca kocim łbom. Wokół nie było widać żadnych samochodów ani tramwajów, powolny stukot końskich kopyt przypominał mi więc Nowy Jork z czasów, gdy byłem jeszcze chłopcem. Trochę rozmawialiśmy

Portierowi w budynku Gillendera powiedzieliśmy, że chcemy obejrzeć słynny widok i wpuścił nas do środka. W pomieszczeniu pod kopułą, dziewiętnaście pięter nad ziemią, na miasto wyglądały cztery wielkie spiczaste okna, po jednym na każdą stronę świata. Obserwowaliśmy, jak w górę Manhattanu wędruje elektryczność, a od południa, na cyplu, granatowe wody zatoki otaczają płomień pochodni Statui Wolności.

- Niedługo go zburzą - powiedziałem. Budynek Gillendera, wzniesiony w 1897 roku, był jednym z najwyższych drapaczy chmur na Manhattanie. I jednym z najbardziej podziwianych ze względu na smukłą sylwetkę i klasyczne proporcje.

- Będzie to najwyższy wyburzony budynek w historii.

- Czy kiedykolwiek był pan szczęśliwy? - przerwała mi nagle.

Zastanowiłem się.

- Profesor Freud twierdzi, że nieszczęście jest skutkiem niemożności pozbycia się wspomnień.

- Czy radzi też, jak się tych wspomnień pozbywać?

- Przypominając je sobie.

Zamilkliśmy oboje.

- To nie brzmi zbyt logicznie, doktorze.

- Nie brzmi - zgodziłem się.

Nora wskazała na dach jednego z budynków po północnej stronie.

- To Hannover, na którego dachu pan Banwell robił mi awanse trzy lata temu.

Nie odezwałem się.

- Wiedział pan? - zapytała. - Wiedział pan, że go stąd zobaczę?

I znów nie odpowiedziałem.

- Wciąż mnie pan leczy.

- Nigdy pani nie leczyłem.

Popatrzyła w dal.

- Jakże ja byłem głupia!

- Nie tak bardzo jak ja - skwitowałem.

- Co pan teraz zrobi? - zapytała.

- Wrócę do Worcester. Mam tam praktykę, a i studenci niebawem zaczną się zjeżdżać.

- Ja zaczynam zajęcia dwudziestego czwartego - odparła.

- A więc mimo wszystko wybiera się pani na studia?

- Tak. Kupiłam już nawet książki. Wyprowadzam się od rodziców. Zamieszkam w akademiku o nazwie Brooks Hall. To w dobrej dzielnicy.

- Co pani zamierza studiować, panno Acton? Kobiety w sztukach Szekspira?

- A żeby pan wiedział! - odparła śpiewnie. - Mam zamiar skupić się na dramacie elżbietańskim i psychologii. No i oczywiście na wykrywaniu przestępstw.

- Absurdalna kombinacja. Nikt nie potraktuje jej poważnie.

Przez chwilę znów milczeliśmy.

- Chyba więc przyszedł czas, by się pożegnać - stwierdziłem.

- Raz byłam szczęśliwa - odparła na to.

- Raz?

- Wczoraj w nocy - wyjaśniła. - Do widzenia, doktorze Younger. Dziękuję.

Nie odpowiedziałem. I bardzo dobrze, bo gdybym nie dał jej tej dodatkowej chwili, być może nigdy nie powiedziałaaby tego, co tak bardzo pragnąłem usłyszeć.

- Czy przynajmniej pocałuje mnie pan na pożegnanie?
- Pocałować panią? Ależ jest pani nieletnia, panno Ac-ton. Nawet nie mogę o tym marzyć.
- Jestem jak Kopciuszek, tylko w lustrzanym odbiciu, w krzywym zwierciadle - stwierdziła. - O północy skończę osiemnaście lat.

Nadeszła północ. Tak się jakoś złożyło, że jeszcze przez miesiąc nie mogłem się zebrać, by wyjechać z Nowego Jorku choćby na chwilę.

EPILOG

W lipcu 1910 roku George Banwell został oczyszczony z zarzutu zamordowania Seamusa Malleya - z braku dowodów Skazano go natomiast za usiłowanie zabójstwa Nory Acton i resztę życia spędził w więzieniu.

Charles Hugel odbył karę osiemnastu miesięcy pozbawienia wolności za przyjęcie łapówki i fałszowanie dowodów w śledztwie. Źle sypiał w więzieniu, a czasem nie mógł zasnąć wcale. Nabawił się choroby nerwowej, z której nigdy go nie wyleczono.

Pewnego pięknego dnia latem w 1913 roku Harry Thaw wyszedł przez bramę główną zamkniętego szpitala psychiatrycznego Matteawan, wsiadł do czekającego nań samochodu i uciekł do Kanady. Złapano go tam i poddano ekstradycji. Znalazł się więc z powrotem w Nowym Jorku i postawiono go przed sądem za ucieczkę. Oskarżenie sformułowano jednak wyjątkowo nierozsądnie. Aby doprowadzić do skazania Harry'ego Thawa, prokurator musiałby udowodnić, że w chwili ucieczki ze szpitala Matteawan był poczytalny i zdrowy na umyśle - w tym przypadku miałyby jednak pełne prawo stamtąd uciec, ponieważ przepisy zakazują przetrzymywania osób zdrowych psychicznie w zakładach dla umysłowo chorych. Sąd więc bezwarunkowo zwrócił mu wtedy wolność. Trafił jednak z powrotem za kratki, gdy dziewięć lat później wychłostał młodego mężczyznę.

Chong Sing został zwolniony z aresztu 9 września 1909 roku, jego wcześniejsze zeznania uznano bowiem za wymuszone. Nie postawiono mu żadnych zarzutów. Natomiast Williama Leona nigdy nie schwytano mimo poszukiwań na międzynarodową skalę.

George McClellan nie kandydował w wyborach w 1909 roku i już nigdy w życiu nie piastował żadnego urzędu z wyboru. Dotrzymał jednak obietnicy, że doprowadzi do ukończenia Manhattan Bridge, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jakiej dokona, piastując urząd burmistrza. W tamtych latach kadencja władarzy miasta upływała ostatniego dnia w roku wyborów. 31 grudnia 1909 roku McClellan przeciął wstęgę na moście, otwierając go dla ruchu kołowego.

Jimmy Littlemore odebrał nominację na porucznika policji 15 września 1909 roku. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem poślubił Betty, a wśród weselnych gości znalazła się Greta z odnalezioną córeczką na rękach.

Ernest Jones nigdy się nie dowiedział o zaangażowaniu Freuda w rozwiązanie kryminalnej sprawy Clary i George'a Banwellów. Freud nie chciał podać do publicznej wiadomości swojej roli w tej sprawie i nie ufał, że Jones dochowa sekretu. Jones wiedział jednak o Klubie Charaka i wyjątkowo zaimponował mu klubowy sygnet. Postanowił zlecić wykonanie podobnych dla lojalnych zwolenników Freuda, by mogli się wszędzie bez trudu rozpoznawać. Nie trzeba chyba dodawać, że Jung na taki sygnet nie zasłużył.

Dziesięciolecia po wykładach Freuda w Clark University dowiodły, że rok 1909 stanowił przełom w amerykańskiej psychiatrii i kulturze. Wykłady Freuda odniosły wielki sukces. Jego książka w przekładzie Brilla ukazała się z małym opóźnieniem, tuż po zakończeniu postępowania w tej sprawie. Psychoanaliza zadomowiła się w Stanach Zjednoczonych i szybko zyskała ogromne znaczenie. Seksualne teorie Freuda triumfowały i odtąd powszechnie stosowano psychoanalizę.

Wykłady Junga na Fordham University, które doprowadziły do otwartego zerwania z Freudem, odbyły się ostatecznie w 1912 roku. W tym samym roku „Times” zamieścił na swoich łamach nie tylko całostronicową apoteozę Junga, ale także insynuacje M. Allena Starra na temat osobliwego życia Freuda w Wiedniu. Było już jednak za późno. Jung nie błyszczał na firmamencie gwiazd nigdy nawet w części tak jasno jak Freud. Rozbrat z Freudem spowodował u niego depresję; miał kilka epizodów psychotycznych lub kwazipsy-chotycznych, podczas których szydził z teorii Freuda, nazywając ją żydowską psychologią.

Psychoanalicycy obalili teorię powiązania systemu nerwowego z chorobami nerwowymi. Samo określenie choroby nerwowej stało się przestarzałe, a zamiast niego zaczęto stosować takie terminy, jak tłumiona żądza, podświadoma fantazja, *id*, *ego*, *superego* i oczywiście - seksualność. Psychologia przeżyła renesans, a traktowanie chorób psychicznych jako schorzeń somatycznych już od niemal stu lat uznawane jest za przestarzałe i wynikające z ciemnoty.

Sam Freud, choć przecież należałoby się tego spodziewać, nigdy nie chełpił się sukcesem psychoanalizy w Ameryce. Nigdy też o Jelliffe'ie nie wyraził się inaczej niż „kryminalista”, wprawiając tym swoich kolegów w wielkie zakłopotanie. Był przekonany, że nawet jeśli jego idee zdobyły w Ameryce popularność, to nigdy nie zostały tam właściwie zrozumiane. Pod koniec życia wyznał jednemu z przyjaciół, że własnego dystansu wobec Ameryki przewyciężyć mu się nie udało.

OD AUTORA

Powieść ta od początku do końca jest fikcją literacką, opartą jednak w znacznym stopniu na faktach.

Zygmunt Freud odwiedził faktycznie Stany Zjednoczone w 1909 roku i przybył na parowcu „George Washington” w towarzystwie Carla Junga i Sandora Ferenczego. Statek zawinął do portu 29 sierpnia, choć Ernest Jones, biograf Freuda, podaje datę 27 września, którą w późniejszych wydaniach poprawia na także błędną 27 sierpnia. Freud rzeczywiście zatrzymał się w hotelu Manhattan i przed wyjazdem do Clark University spędził tydzień w Nowym Jorku. Faktem jest i to, że Ameryka go zatrzymała. Podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych naprawdę poproszono Freuda o przeprowadzenie na oczekaniu kilku sesji terapeutycznych, choć - jeśli się nie mylę - żadna z tych próśb nie wyszła od burmistrza Nowego Jorku.

Manhattan opisany na kartach tej powieści jest wynikiem żmudnych badań i poszukiwań. Budynki, ulice i nowojorska socjeta wyglądały właśnie tak, w najdrobniejszym szczególe, z kolorem taksówek włącznie, ich opis opiera się bowiem na udokumentowanych źródłach. Mimo usilnych starań nie ustrzegłem się z pewnością od błędów. Będę wdzięczny, jeśli czytelnicy wytkną mi je pod internetowym adresem www.interpretationofmurder.com.

Nie odtworzyłem jednak wiernie wszystkich historycznych miejsc w powieściowym Nowym Jorku. Zmieniłem lokalizację kilku miejskich instytucji. Na przykład główna kostnica miejska mieściła się wtedy w szpitalu Bellevue przy Dwudziestej Szóstej, podczas gdy ja przenieśliem ją i kierującego nią koronera Hugla, postać całkowicie fikcyjną, do wymyślanego budynku w centrum miasta. Wymyśliłem też rezydencję Balmoral, w której znaleziono ciało Elizabeth Ri-verford. Czytelnicy znający topografię Nowego Jorku zorientują się od razu, że pierwowzorem była Ansonia, nowojorski wieżowiec z pławiącymi się w fontannach fokami.

Opisywany w powieści keson pod wieloma względami odpowiada temu, którego naprawdę użyto podczas budowy Manhattan Bridge, jednakże we wrześniu 1909 roku był on już betonowy i nie miał wychodzących na rzekę komór, przez które wyrzucano gruz i odpady - w powieści nazwałem je oknami. Powodów, z których okna były mi potrzebne, zapewne nie muszę wyłuszczać czytelnikom mającym za sobą lekturę powieści.

Przesunąłem też trochę w czasie, do przodu lub do tyłu, niektóre wydarzenia historyczne. Brill w pewnym momencie czyni aluzję do wypowiedzi Theodore'a Roosevelta o Amerykanach, których przodkowie pochodzą z innych części świata. Uwagi miłośników historii na pewno nie umknie fakt, że słynne przemówienie Roosevelta o „Amerykanach pisanych z kreską”, czyli tych przybyłych do Stanów Zjednoczonych w pierwszym pokoleniu, zostało ogłoszone dopiero w 1915 roku. (Sam termin powstał oczywiście wcześniej, także prasa rozpowszechniała stanowisko Roosevelta w tej kwestii na długo przedtem. Zainteresowanych odsyłam choćby do „New York Timesa” z 17 lutego 1912 roku, w którym na stronie trzeciej znajdują informacje, że w niedawno opublikowanym w Niemczech artykule Roosevelt „ostro krytykuje Amerykanów pisanych z kreską”. Brill do końca życia nie pozbył się niemieckiego akcentu, był więc zapewne na tym punkcie wyjątkowo przeczulony) Podobnie rzecz się ma z tekstami, które doktor Younger przegląda w bibliotece, by odkryć, jakim cudem Nora Acton, leżąc na łóżku, obserwowała sama siebie z góry. Wszystkie przytoczone w tym fragmencie tytuły można znaleźć w każdej bibliotece, są bowiem autentyczne, kilka z nich powstało

jednak po 1909 roku. Z kolei wykreowany przeze mnie detektyw Littlemore naprawdę mógł znać opis podobnego wydarzenia z lektury H. G. Wellsa. Opowiadanie *Under the Knife* {*Pod nożem*) po raz pierwszy ukazało się drukiem w 1896 roku.

Wzmianka o strajku w Triangle Shirtwaite Company (w tej firmie znalazła pracę Betty) jest kolejnym anachronizmem. Strajk rozpoczął się w listopadzie 1909 roku (głośny pożar wybuchł tam w roku 1911). Dokonałem jeszcze jednego drobnego przesunięcia w czasie. Dotyczy ono balu, który w mojej powieści pani Fish wydała w hotelu Waldorf-Astoria. W rzeczywistości bal taki, gdyby się odbył, to oczywiście później niż w sierpniu. A sam hotel, tak jak został opisany, nie ma nic wspólnego z dzisiejszym Waldorf-Astoria przy Park Avenue. Został zburzony w 1930 roku, a na jego miejscu wzniesiono Empire State Building.

O wiele bardziej istotnego przesunięcia w czasie dokonałem, pisząc o rozłamie między Freudem a Jungiem. Ich konflikt naprawdę trwał mniej więcej trzy lata i do ostatecznego zerwania doszło w 1912 roku. Kilka wydarzeń skomasowałem więc i przenieśliśmy ich akcję do Ameryki, choć odbyły się poza jej granicami. Niemniej do opisanych w powieści kontrowersji między Freudem a Jungiem doszło naprawdę, nawet jeśli czasem wydaje się to wprost niewiarygodne. Istnieją na przykład zapisy potwierdzające, że spór obydwu dżentelmenów na temat okultyzmu przerwał kiedyś głośny huk. Freud oczywiście dał wyraz wielkiemu sceptycyzmowi, jeśli chodzi o to zagadnienie. Jung oświadczył wtedy, że to on spowodował ów tajemniczy dźwięk dzięki telekinezie i nazwał to zjawisko eksterioryzacją katalityczną. Gdy Freud zaczął pokpiwać z tego wyjaśnienia, Jung oznajmił, że dźwięk powtórzy się lada moment i rzeczywiście, najprawdopodobniej przypadkiem, tak właśnie się stało. Epizod ten wydarzył się jednak nie w apartamencie hotelu Manhattan we wrześniu 1909 roku, tylko wcześniej - w wiedeńskim mieszkaniu Freuda w marcu owego roku. Wiadomo też, że Freud dwukrotnie zemdlał podczas dyskusji z Jungiem, między innymi 20 sierpnia 1909 roku, a więc w przeddzień ich wspólnej podróży do Stanów Zjednoczonych. Z kolei niefortunna sytuacja, kiedy to Freud nie zdołał zapanować nad fizjologią, ujawnił Jung w 1951 roku, choć nie jest oczywiste, czy była to prawda, czy też wymyślił całe zdarzenie, chcąc ośmieszyć Freuda.

Biografowie Junga spierają się o to, czy naprawdę był on aż tak wielkim kobieciarzem, czy miał urojenia i czy przejawiał antysemityzm. Jego portret w tej powieści stworzyłem na podstawie napisanych przezeń książek i artykułów, zachowanej korespondencji oraz niektórych - choć nie wszystkich - wniosków, jakie wysunęli biografowie Carla Junga.

Czytelnicy mogą się także zastanawiać, czy Jung i Freud naprawdę prezentowali poglądy, które im przypisuję w powieściowej rzeczywistości. Niemal bez wyjątku odpowiadam na to pytanie twierdząco. Wiele słów, które wkładam w usta Freuda i Junga, pochodzi z ich listów i esejów, a także wypowiedzi cytowanych w różnych publikacjach. Na przykład ze zdaniem Freuda, że zaspokajanie dzikich instynktów daje o wiele więcej satysfakcji niż cywilizowane folgowanie zmysłom, dociekliwi czytelnicy mogą się zapoznać w tekście *Civilisation and Its Discontents* (strona 79. w dwudziestym pierwszym tomie anglojęzycznego wydania dzieł zebranych Zygmunta Freuda).

Wielbiciele Freuda zauważyli zapewne od razu, iż pierwowzorem Nory była kobieta imieniem Dora, a więc bohaterka najbardziej kontrowersyjnego studium przypadku przezeń opublikowanego. Prawdziwe nazwisko Dory brzmiało Ida Bauer. Nie była Amerykanką, a Freud nie leczył jej w Nowym Jorku, choć tam właśnie kobieta zmarła w 1945 roku. Nora nie jest oczywiście wierną kopią Dory, choć wszystkie najważniejsze przeżycia bohaterki - a więc zaloty najlepszego przyjaciela ojca, odmowa interwencji w tej sprawie ze strony ojca, romans ojca z żoną tegoż przyjaciela i uczucie,

którym obdarzała kochankę ojca - odnajdziemy w pozostawionym przez Freuda studium przypadku Dory. Wynika też z niego, że Zygmunt Freud wyjaśnił przypadek Dory, odwołując się do kategorii edypowych, włącznie ze stosunkiem oralnym, a więc w sposób, który na kartach powieści podsuwa doktorowi Youngerowi jako przyczynę hysterii Nory Acton. Napad, okaleczenie i zagadka związana z morderstwem są oczywiście najzwyczajniejszą fikcją.

Podejmowane przez burmistrza McClellana próby zmierzające do przejęcia kontroli nad Nowym Jorkiem za pośrednictwem organizacji Tammany Hall są historykom dobrze znane. Nie jest nawet wykluczone, że McClellan osobiście nadzorował śledztwo w sprawie o morderstwo we wrześniu 1909 roku, ponieważ w tym właśnie czasie podporządkował praktycznie całą nowojorską policję władzy burmistrza. Z kolei sugestia, że burmistrz McClellan podejmował próby zapewnienia sobie wygranej w wyborach na kolejną kadencję, jest czystą spekulacją, ponieważ oficjalnie głosił, że nie chce kandydować po raz wtóry.

Charles Loomis Dana, Bernard Sachs i M. Allen Starr są postaciami autentycznymi. Naprawdę znani byli jako Trium-wirat i naprawdę z wielką zjadłością zwalczali teorie Zygmunta Freuda oraz psychoanalizę. Chcę jednak podkreślić, że przypisywane im w powieści czyny niezgodne z prawem są całkowitą fikcją. Nie było spisku, który miał na celu uniemożliwić Freudowi wygłoszenie wykładów w Clark University. Ze względu na dramaturgię powieści obdarzyłem Charlesa Danę majątkiem większym, niż w rzeczywistości posiadał i bardziej szlachetnymi przodkami, wiążąc go ze sławną rodziną o tym właśnie nazwisku. Choć Charles L. Dana pochodził najprawdopodobniej od tego samego praprzodka, co ów słynny ród, urodził się w stanie Vermont i pewnie nie potrafiłby określić, czy i jakie więzi rodzinne łączyły go z równie słynnym Char-lesem A. Daną oraz liniami nowojorską i bostońską Danów.

Smith Ely Jelliffe jest kolejną postacią historyczną, którą nieco ubarwiłem na potrzeby powieści. Nie dysponował on tak wielkim majątkiem ani też nie mam podstaw, by sądzić, że był niepoprawnym kobieciarzem. Istotnie natomiast zeznawał jako biegły w procesie Harry'ego Thawa i był wydawcą pierwszej opublikowanej w Stanach Zjednoczonych książki Freuda, przetłumaczonej na język angielski przez Abrahama Brilla. Bez wątplenia także bywał na spotkaniach Klubu Charaka, elitarnego stowarzyszenia, ale bynajmniej nie tajnego sprzysiężenia, założonego przez Danę i Sachsa.

Opis sadystycznych praktyk, jakim Thaw poddawał żonę i inne młode kobiety, przytoczony został niemal dosłownie z dokumentów sądowych. Zeznanie Susan Merrill nie zostało zapisane w aktach procesu o morderstwo w 1907 roku, ale podczas jednego z późniejszych przesłuchań przed sądem, mających ustalić poczytalność Harry'ego Thawa w chwili ucieczki do Kanady. Tylko nowojorczycy opowiadają, że Thaw był sądzony na legendarnym Targu Jeffersona. W istocie tam przedstawiono mu tylko zarzuty, natomiast obydwa procesy toczyły się w sądzie przy Centre Street, tuż obok więzienia Tombs. Nie ma dowodów, że Thaw kiedykolwiek odwiedził przybytek Susan Merrill podczas przymusowego pobytu w szpitalu psychiatrycznym Matteawan. Zważywszy jednak na łatwość, z jaką stamtąd zbiegł, opuszczenie tego zamkniętego zakładu wydaje się całkowicie prawdopodobne.

Zwłoki panny Elsie Sigel, prawnuczki generała Franza Sigela, naprawdę latem 1909 roku odnaleziono w kufrze ukrytym w należącym do Leona Linga mieszkaniu przy Ósmej Alei. Przewijająca się w tej książce postać Chonga Singa jest połączeniem autentycznego Chonga Singa i innego jeszcze mężczyzny zamieszanego w sprawę. Ciało panny Sigel zostało odkryte dwa i pół miesiąca przed przybyciem Freuda do Nowego Jorku. Nie muszę chyba dodawać, że odkrycia tego nie dokonał

detektyw Littlemore, który jest postacią przeze mnie wymyśloną.

Od początku do końca fikcyjne są także osoba doktora Strathama Youngera i jego romans z Norą.

PODZIĘKOWANIA

Najserdeczniejsze podziękowania pragnę skierować do mojej cudownej żony Amy Chua, która podsunęła mi pomysł napisania tej książki, oraz wspaniałych córek. Sophia i Louisa widziały błędy, których nie dostrzegali nikt inny - i to począwszy od pierwszej strony.

Mam nadzieję, że Suzanne Gluck i John Sterling zechcą przyjąć podziękowania za to, że uwierzyli w moją powieść, i Jennier Barth i George Hodgman zaś za to, że ją ulepszyli.

Dziękuję moim rodzicom, bratu i siostrze za głęboką mądrość i miłość.

Debby Rubinfeld, Jordan Smoller, Alexis Contant, Anne Dailey, Marina Santili, Susan Birke Fiedler, Lisa Gray, Anne Tofflemire i James Bundy zechcieli przeczytać rękopis i podzielić się ze mną swoimi uwagami. Heather Halberstadt okazała się niezastąpiona w ustalaniu historycznych faktów, a Ken Russell dowiódł ogromnej skrupulatności.

Jed Rubinfeld wykłada prawo na Yale University. Jest jednym z wiodących ekspertów ds. prawa konstytucyjnego. Tematem jego pracy magisterskiej na uczelni Princeton był Freud. Z kolei na uczelni Juilliard School of Drama studiował Szekspira. Mieszka w New Haven, Connecticut, z żoną i dwoma córkami. *Sekret Freuda* to jego debiut literacki.

Manhattan 1909

Miasto zapierającej w piersiach nowoczesności, imponujących drapaczy chmur, wytwornego towarzystwa, którego wielkie bogactwo skrywa swą drugą, ciemną stronę: korupcję, nierząd i morderstwa. Już pierwszego poranka po przyjeździe Zygmunta Freuda do Nowego Jorku piękna młoda dama zostaje znaleziona w swoim luksusowym mieszkaniu, związana i uduszona. Następnej nocy ktoś odnajduje urodziwą i młodą spadkobierczynię fortuny, Norę Acton, przywiązaną do olbrzymiego żyrandola w domu swoich rodziców, okrutnie poranioną i niezdolną mówić, czy też przypomnieć sobie cokolwiek z napadu. Poproszony o to, by jej pomóc, Dr Stratham Younger, najbardziej zaufany uczeń Freuda, wciąga swojego idola, samego Mistrza, by przeprowadzić go przez wyzwania, jakie stawia analiza zachowania tej młodej, aroganckiej kobiety, której przeszłość rodzinna jest równie skomplikowana, jak jego własna.

Sekret Freuda zabiera nas na salony Gramercy Park, do opiumowych melin Chinatown, a nawet na dno rzeki East, w okolice kładzionych właśnie fundamentów mostu na Manhattanie. W miarę jak Freud walczy ze sprzysiężeniem dążącym do zniszczenia jego kariery, Younger zdaje sobie sprawę z tego, że kobieta, w której się zakochał, będzie najprawdopodobniej kolejną ofiarą zabójcy...

Urzekający thriller historyczny z Zygmuntem Freudem i diabolicznym mordercą atakującym najbogatsze spadkobierczynie na Manhattanie!

W 1909 roku Zygmunt Freud przyjechał do Nowego Jorku z wizytą, która okazała się jego pierwszą i ostatnią w Stanach Zjednoczonych. Po powrocie do Wiednia rzadko mówił o tej podróży, a do końca życia o Amerykanach wypowiadał się per „dzikusy”.

Jed Rubinfeld zainspirował się tym zdarzeniem i napisał wyjątkową powieść o misternie skonstruowanej intrydze. Książka zwróciła na siebie uwagę świata dzięki perfekcyjnemu połączeniu klasycznego kryminału z dokumentem historycznym, z szekspirowskimi łamigłówkami i psychologicznymi tajemnicami w tle.

Sprzedany do 28 krajów *Sekret Freuda* jest wydarzeniem wydawniczym! Fascynująca podróż po zawiłościach, maskach i podstępach ludzkiego umysłu, *Sekret Freuda* oznacza debiut doskonałego i wyjątkowo utalentowanego pisarza.